



Stephanie Clifford

# WSZYSCY W GÓRĘ

Każdy chce osiągnąć sukces i społeczne uznanie...

Stephanie Clifford

# WSZYSCY W GÓRĘ

Przełożył Maciej Muszalski

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2016

## Spis treści

Okładka Strona tytułowa Strona redakcyjna Część pierwsza Rozdział pierwszy  
Rozdział drugi Rozdział trzeci Rozdział czwarty Rozdział piąty Rozdział szósty  
Rozdział siódmy Rozdział ósmy Rozdział dziewiąty Rozdział dziesiąty Rozdział  
jedenasty Rozdział dwunasty Część druga Rozdział trzynasty Rozdział czternasty  
Rozdział piętnasty Rozdział szesnasty Rozdział siedemnasty Rozdział osiemnasty  
Rozdział dziewiętnasty Rozdział dwudziesty Rozdział dwudziesty pierwszy Roz-  
dział dwudziesty drugi Rozdział dwudziesty trzeci Rozdział dwudziesty czwarty  
Rozdział dwudziesty piąty Rozdział dwudziesty szósty Rozdział dwudziesty  
siódmy Część trzecia Rozdział dwudziesty ósmy Rozdział dwudziesty dziewiąty  
Rozdział trzydziesty Rozdział trzydziesty pierwszy Rozdział trzydziesty drugi Roz-  
dział trzydziesty trzeci Podziękowania Przypisy końcowe

Tytuł oryginału:

*EVERYBODY RISE*

Redakcja:

Dorota Rżysko

Projekt okładki:

Pola Raplewicz & Daniel Rusiłowicz / RM Projekt

Zdjęcia na okładce:

Airin.dizain / Shutterstock

file.404 / Shutterstock

Betelgejze / Shutterstock

Trentemoller / Shutterstock

Canicula / Shutterstock

Macrovector / Shutterstock

Korekta:

Maciej Korbasiński

Copyright © 2015 by Stephanie Clifford

Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 9788380151529

Wydawnictwo  
**CZARNA  
OWCA**  
www.czarnaowca.pl

**Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: [sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.



*Moim rodzicom –  
z podziękowaniem*

Wielu kochało się we mnie, szczęście było tuż tuż i szło, zdawałoby się, że mną ramię w ramię; żyłam beztrosko, nie starając się zrozumieć samej siebie, nie wiedząc, czego oczekuję i czego żądam od życia, a czas płynął i płynął... Mijali mnie ludzie ze swoją miłością, migały jasne dni i ciepłe noce, śpiewały słowiki, pachniało sianem, a to wszystko – tak miłe i urzekające we wspomnieniu – mijało szybko, bez śladu, zarówno w moim życiu, jak i w każdym innym, i nie cenione znikало jak mgła... Gdzie to wszystko?

Antoni Czechow,  
Opowiadanie pani N. (1887)<sup>1</sup>

Ten odległy brzeg nie jest chyba tak daleko.  
Stephen Sondheim, *Opening Doors*  
(z musicalu *Merrily We Roll Along*, 1981)



## **Część pierwsza**

## Rozdział pierwszy

### Sheffield – Enfield

– Twoje perłowe kolczyki są zniszczone. Zaczynają przypominać zęby trzonowe – powiedziała do córki Barbara Beegan. Pasztet, który dziobała nożem koktajlowym, był tak nagrany przez słońce, że konsystencją prawie przypominał masło. – Nigdy ich nie zdejmujesz?

Prawa ręka Evelyn błyskawicznie powędrowała do ucha i potarła kolczyk. Rzeczywiście był chropowaty w dotyku. Kupiła sobie te kolczyki jako prezent z okazji ukończenia liceum i przez lata nie zdejmowała ich przed wejściem pod prysznic, pływaniem czy grą w tenisa, więc najwyraźniej straciły swoją nienaganną formę, ale zwróciła na to uwagę dopiero teraz. – Chciałaś, żebym je założyła – odparła.

– Chciałam, żebyś wyglądała jak widz meczu lacrosse’a, nie jak zawodniczka. Mogłabyś je przynajmniej raz na jakiś czas wypolerować. Ludzie na pewno się zastanawiają, dlaczego nie potrafisz dbać o swoje rzeczy. W tym pasztecie chyba jest salmonella. Może wystawiłabyś coś innego?

Evelyn precyzyjnie się obok beżowego mercedesa, rocznik 1985. Kiedy ukończyła kurs wprowadzający w prywatnym liceum Sheffield, matka kupiła ten samochód. Zobaczyła bowiem, że w przeciwieństwie do nich – Beeganów – żadna z bogatych mamus nie przyjechała nowiutkim bmw. Mercedes stał zaledwie kilka centymetrów od kolejnego samochodu – starego volvo. Żaden z samochodów zaparkowanych na boisku nie wyglądał na nowszy niż z 1996 roku. Evelyn otworzyła drzwi i wsunęła rękę do koszyka piknikowego, który stał na tylnym siedzeniu. Wymacała trójkąciki sera opakowane w folię, ciepłe wino... Ciepłe opakowanie serków topionych? W końcu zdecydowała się na tapenadę – doszła do wniosku, że pastą oliwkową najtrudniej się zatruć. Z oddalonego o kilkaset metrów Boiska Pierwszego dobiegł ryk – ludzie na trybunach zaaprobowali jej wybór. Byli pochłonięci meczem lacrosse’a Sheffield – Enfield, zorganizowanym przez jej liceum z okazji zjazdu absolwentów.

Evelyn potrząsnęła głową, żeby włosy opadły jej na uszy, i podeszła do stołu ustawionego koło bagażnika samochodu. Jak wiele innych stał na Boisku Drugim Akademii Sheffield, które na czas dzisiejszego meczu zamieniono na parking. Niektóre stoliki udekorowano transparentami z napisem: SHEFFIELD – ENFIELD WIOSNA 2006. Stowarzyszenie absolwentów udostępniło je wychowankom, których roczne dotacje przekraczały dziesięć tysięcy dolarów. Na stoliku po lewej dostrzegła sery pleśniowe *triple crème*. Białe kręgi roztapiały się na tackach w majowym upale. Po prawej butelki białego wina i Pellegrino pociły się zmęczone

pobytem na dworze. Zobaczyła sędziwych absolwentów, którzy dreptali niepewnym krokiem w szkolnych swetrach – mimo upału koniecznie chcieli je mieć na sobie. Spróbowała wyryc sobie ten obraz w pamięci. Na pewno zainteresowałby jej szefów z People Like Us.

Już miała zawrócić i pójść do hali, kiedy usłyszała chłupot i zobaczyła Charlotte, która zbliżała się do niej, triumfalnie wymachując dwoma pudełkami krakersów. W drugiej ręce trzymała styropianowy kubek. Jak na drobną osobkę o biodrach tak wąskich, że często musiała kupować ubrania w Gap Kids, zostawiała ogromne wgłębienia w ziemi, kiedy tak szła, stawiając długie kroki w kaloszach. Włosy miała spięte w koński ogon, ale przez wilgoć w powietrzu jej bladą twarz okalała aureola orzechowych loczków. – Sukces! – powiedziała, podchodząc do Evelyn. – Babs sprzedałaby mnie handlarzom białych niewolników, gdybym ich nie znalazła.

– Nie wysłała cię chyba po krakersy? Mówiłam jej, żeby tego nie robiła. Przepraszam, Char.

– Przynajmniej krakersy to coś, co jestem w stanie znaleźć. Bałam się, że wyśle mnie po męża dla ciebie – powiedziała Charlotte i wystawiła język. Evelyn kopnęła ją w piszczel, ale stopa odbiła się od gumowego kalosza.

– Masz – Charlotte podała jej styropianowy kubek. – To cydr.

– W maju?

– W maju – odpowiedziała Charlotte, naśladując brytyjski akcent. – Pracowałam jeden dzień w People Like Us i już nie pamiętasz zwyczajów zwykłych ludzi?

– Pracuję tam od trzech tygodni i właśnie realizuję mój plan. Chcę ściągnąć do nas elity tego kraju – Evelyn objęła gestem widownię – Dziś jest dzień zapisów do People Like Us. Tylko że oni jeszcze o tym nie wiedzą.

– Ach, Charlotte, namierzyłaś krakersy! – Barbara Beegan podeszła do dziewcząt i stanęła obok. Rzuciła na nie kłocowaty cień. Jej wypedikiurowane stopy były ściśnięte paskami sandałów na płaskim obcasie. Sandały były dobrane do pastelowiebieskich, plisowanych spodni, które wybrzuszały się na masywnych udach, i świeżo wyprasowanej białej koszuli. Obrazu dopełniały włosy w kolorze masła, ułożone w grube fale, i duże ciemne okulary. W młodości, dzięki diecie opartej na zielonych jabłkach, Barbara Beegan miała szczupłą sylwetkę. Dziś jednak była korpulentna i maskowała dodatkowe kilogramy starannie skrojonymi ubraniami. Jak zawsze pachniała skórą. Na widok pudełek zmarszczyła brwi. – Ale w tych tutaj jest pieprz.

Charlotte spojrzała bez słowa na Evelyn i zrobiła minę jak z *Krzyku* Muncha.

– No cóż, pani Beegan, tylko takie znalazłam.

– W takim razie będziemy chyba musiały się tym zadowolić – stwierdziła Barbara, patrząc ponad głowę Charlotte.

– Powiedz dziękuję, mam – odezwała się Evelyn.

– Tak, dziękuję – odparła Barbara bez entuzjazmu. Otworzyła pudełko i zaczęła układać krakersy w półkole.

– Do usług – powiedziała Charlotte i lekko się ukloniła. – O, tam jest pan Marshon, który uczył historii na roku przygotowawczym. Myślisz, że wciąż jest na mnie zły za to, że odegrałam defenestrację praską jego śnieżną kulą? Pójdę się tylko przywitać, za chwilę wracam.

Evelyn wykorzystała okazję, żeby się wymknąć. Trawa Boiska Drugiego była błotnista, porwana śladami opon i kaloszy Tretorn. Charlotte miała na tyle rozsądku, aby je włożyć. Evelyn brnęła przez wyboje. Z zainteresowaniem patrzyła, jak jeden z absolwentów próbuje jednocześnie zatrzymać drepczące dziecko i wytrzeć labradora, który najwyraźniej kąpał się w rzece Ammonoosuc. Kiedy na nią spojrzał, zakaszłała i odwróciła wzrok.

Od ukończenia szkoły minęło osiem lat i w tym czasie nie wracała zbyt często do Sheffield. Nie chciała słuchać, jak koleżanki z klasy chwalały się dziećmi, pracą i ślubami, kiedy ona z braku lepszego pomysłu wciąż zajmowała się marketingiem podręczników. Z kolei Barbara była oddaną absolwentką, mimo że nigdy nie chodziła do Sheffield. Co roku dzwoniła i próbowała ją wypchnąć na mecz Sheffield – Enfield. Evelyn za każdym razem odmawiała. W ramach pokuty musiała wysłuchiwać wciąż tego samego wykładu o tym, że się starzeje, że powinna szybko kogoś poznać i nie wolno jej rezygnować z szansy, iż wśród absolwentów spotka odpowiedniego kandydata.

Ten rok był inny. Kilka miesięcy temu wydawca podręczników wręczył jej wypowiedzenie, ale udało jej się zaczepić w People Like Us – portalu społecznościowym, adresowanym do elity wśród elit. Nawet Charlotte, która miała nosa do biznesu, uważała, że zbliża się boom na portale społecznościowe. Evelyn przeczuwała, że jeśli odniesie sukces w People Like Us, będzie mogła do woli przebierać w ofertach pracy.

Podczas rozmowy kwalifikacyjnej kilkakrotnie nawiązała do Sheffield i, po przypomnieniu sobie wykładów z cyklu „Powieść z okresu Gilded Age”, także do Newport. Kiedy jeden z dyrektorów generalnych zapytał, jak zamierza dotrzeć do potencjalnych członków, zablefowała. Wspomniała o dwóch przyjęciach dobroczynnych na Upper East Side i dała do zrozumienia, że brała w nich udział, choć wcale jej tam nie było. Wymyślanie szczegółów na temat przyjęć, aranżacji kwiatowych i lokalnych drinków przychodziło jej zaskakująco łatwo. Może i czuła się z tym niekomfortowo, ale tłumaczyła sobie, że na rozmowach kwalifikacyjnych każdy nagina prawdę. Z wynagrodzeniem w wysokości 46 000 dolarów i opcjami na akcje – Charlotte mówiła, że w dzisiejszych czasach tak właśnie to wygląda – została dyrektorem do spraw członkowskich w People Like Us. Odpowiadała za zachęcanie elit do zakładania profili na portalu. Trzy tygodnie po rozpoczęciu

pracy musiała w końcu kogoś zwerbować i z tą myślą pojawiła się na meczu.

Co jakiś czas do jej uszu dobiegały fragmenty bojowego okrzyku z Boiska Pierwszego, gdzie właśnie trwała trzecia kwarta meczu. Kojarzyła ten okrzyk z czasów, kiedy przyjechała do Sheffield jako nowa uczennica, tak zwany świeżak. Był to hymn na cześć szkolnej maskotki – gryfa. Zgarbiony mężczyzna o jasnoniebieskich oczach odwrócił głowę w stronę stadionu i dzielnie zamachał małą flagą Sheffield, jakby zaraz miał stamtąd nadciągnąć oddział żołnierzy i odbić go z niewoli.

Chłodny, szary kamień, z którego była zbudowana szatnia, tłumiał wszystkie dźwięki. Evelyn ruszyła dobrze znaną ścieżką do łazienki dziewcząt, po jednej stronie mijając lodowisko hokejowe, a po drugiej basen do gry w piłkę wodną. W łazience, w świetle jarzeniówek, pochyliła się nad szarą, betonową umywalką cuchnącą piwem – musieli tu być młodszy absolwenci, przez cały dzień nie widziała nikogo starszego z piwem – i pełną plastikowych kubeczków. Sięgnęła do torebki, wyjęła futerał na okulary, a stamtąd flanelową ściereczkę do czyszczenia szkieł. Nachyliła się tak mocno, że dostrzegła cienką warstwę sebum na nosie. Zaczęła pieczołowicie pucować jeden z kolczyków, żeby błyszczał jak na obrazach Vermeera. Rzeczywiście był chropowaty, ale kiedy przed spotkaniem z matką jak zawsze oglądała się od stóp do głów, nie zwróciła na to uwagi.

Przelotnie spojrzała sobie w oczy. Pewnego razu, kiedy miała dwanaście lat, jeden z prawników współpracujących z ojcem powiedział jej, że kiedyś zostanie prawdziwą pozeraczką serc, ale jak dotąd się to nie spełniło. W wieku dwudziestu sześciu lat czuła, że jej rysy wciąż jeszcze nie dojrzały, a skoro tak się nie stało do tej pory, to już się nie stanie. Jej włosy miały kolor mysiego brązu i zwisały bezwładnie poniżej ramion. Twarz była za długa, nos zbyt spiczasty, niebieskie oczy za małe. Jedyłą częścią ciała, którą uważała za naprawdę zjawiskową, był jej wskazujący palec. Oparła się sugestiom matki – choć „sugestie” to w tym przypadku delikatne określenie – i nie zrobiła pasemek ani nie umówiła się na sesję makijażu w Nordstrom. Pokazujesz wszystkim wokół, że ci nie zależy, powtarzała Barbara.

Tak czy inaczej, w ten weekend panował między nimi tymczasowy rozejm. Barbara uważała, że pójście do tej szkoły było jedynym słusznym krokiem w jej życiu, nawet jeśli później tego nie wykorzystwała. Zaczęła obiecująco: zaprzyjaźniła się z Prestonem Hackingiem, którego matka była z Winthropów (porządna bostońska rodzina, jak mawiała Barbara), a ojciec, ma się rozumieć, z Hackingów. Wciąż miała dobry kontakt z Prestonem, ale nie zrobiła z tego żadnego użytku. Jej najlepszą przyjaciółką z Sheffield była Charlotte Macmillan, córka członka zarządu Procter & Gamble. Barbara nadal mówiła o niej: ta dziewczyna z kitkami – z powodu fryzury, którą miała Charlotte, kiedy się poznały.

Evelyn potarła drugi kolczyk. Zginając się nad umywalką tak bardzo, że jej

głowa prawie dotykała lustro, obróciła kolczyk i go wypolerowała. Potem zrobiła to jeszcze raz, na wszelki wypadek. Matka nie będzie już mogła jej skrytykować.

Usłyszała, że ktoś idzie, odskoczyła od lustra i odkręciła wodę. Gdy do środka wpadli absolwenci z bordowymi literami S wymalowanymi na policzkach, miała przynajmniej wiarygodne wytłumaczenie. – Dobry mecz – powiedziała wesoło i oderwała kawałek papierowego ręcznika.

Kiedy szła w stronę karcianego stolika za samochodem matki, czuła, że błoto próbuje wessać jej baletki. Z powrotem na posterunku zaczęła ostrożnie rozsmarowywać pastę oliwkową na pieprzowych krakersach, które tak bardzo zgorszyły matkę.

– No, no, no, a oto i moje kochane kłopoty.

Głos Prestona Hackinga był wysoki, nosowy i dobrze znajomy. Gdy go usłyszała i zobaczyła za sobą krawędź jego znoszonych top-siderów, ostrożny uśmiech przyklejony do jej ust, odkąd wyszła z szatni, zmienił się w banana od ucha do ucha. Okręciła się na palcach i zarzuciła mu ręce na szyję. Preston podniósł ją z okrzykiem i opuścił, kiedy poczuł, że z wysiłku zabrakło mu powietrza.

Wyglądał dokładnie tak samo jak w czasach Sheffield. Był wysoki i chudy, miał gęste, lekko kręcone włosy, czerwone okulary i usta, na których zawsze malował się półuśmiech. Miał szlachetne rysy człowieka, który nigdy nie wdał się w bójkę i grzecznie poddawał się otrzęsinom, urządzanym dobrze wychowanym świeżakom. Kiedyś słyszała, że dał się na wiele godzin przykleić taśmą do pomnika założyciela Sheffield, a kiedy prześladowcy go uwolnili, poczęstował ich cygarem, które trzymał w kieszeni marynarki. Było kubańskie.

Przez ramię miał przewieszony zabytkowy sweter. Wyglądał na gryzący i należał do jego dziadka. Albo pradiadka – Evelyn nie mogła sobie przypomnieć.

– Pres! Myślałam, że zostawiłeś mnie na pastwę towarzystwa geriatrycznego. Co cię zatrzymało?

– Miałem i wciąż mam ogromnego kaca. Pomyślałem sobie, że nie zniosę tej radosnej szkolnej atmosfery, którą roztaczają wokół siebie tacy jak ty. Boże, kobieto, co było w tych martini?

– Może coś ci dosypali?

– Żeby tylko. W takich miejscach podają chyba samogon. Wiedziałem, że trzeba było kupić coś w mieście. Nie można ufać barmanom ze wsi w New Hampshire. Zrobisz mi krwawą?

Evelyn wyjęła jedną ze szklanek z ciętego kryształu, które matka przywiozła z Maryland, nałala odrobinę wódki z butelki w skórzanym etui i zmieszała z sokiem pomidorowym. Zastanowiło ją, skąd matka wzięła te wszystkie barmańskie akcesoria. Pojawiły się hurtem, kiedy rodzina przeprowadziła się z rancza na przedmieściach do starego rozpadającego się domu w Bibville. Była wtedy w szkole podstawowej. Wraz z przeprowadzką nastął czas arystokratycznych

manier i eleganckiego szkła, pomyślała, kiedy patrzyła, jak wódka wypływa z butelki.

– Mama przywiozła chyba seler naciowy, ale teraz gdzieś pobiegła. Lód też był, ale się roztopił. Chyba będziesz musiał się zadowolić ciepłym sokiem pomidorowym.

– Oj tam. Gadanie. Więcej wódki. Jeszcze. Jeszcze. Jeszcze. Dobrze. Jeżeli szybko się nie napiję, zwymiotuję na cały ten piękny piknik.

Pociągnął długi haust.

– A teraz, skoro już ugasiłeś pragnienie, może byś się na coś przydał? Babs i ja próbujemy zrozumieć, jak się rozkłada te krzesła. Nie potrafimy tego rozgryźć.

– Tak, wszyscy pamiętamy twoje nieudane podejścia do pracy fizycznej. Zostaw to mnie. Zawsze marzyłem, żeby być twoim pomagierem.

Preston postawił szklankę na zderzaku, wziął krzesło, przykucnął i zaczął przy nim majstrować. Gdy wróciła Barbara Beegan, poderwał się na nogi. – Pani Beegan, bardzo mi miło.

– Preston, jak cudownie. Evie mówiła, że wczoraj w nocy młodzi zrobili sobie wycieczkę i widziała cię wśród nich. Cieszę się, że dziś to ja mam okazję cię zobaczyć.

– Już nie tacy młodzi. Nie mówiła, że teraz zaliczamy się do absolwentów w średnim wieku? Kiedy od ukończenia szkoły mija więcej niż pięć lat, jest już po wszystkim.

Evelyn trąciła go łokciem, starając się, żeby to wyglądało na przypadek, gdyby matka akurat patrzyła w ich stronę, ale było już za późno.

– Ma prawie trzydziestkę – odparła Barbara. – Nic dziwnego.

– Mam dwadzieścia sześć lat, mam. To nie jest prawie trzydziestka – wymamrotała Evelyn. Ale kiedy mijała obecnych studentów, zdawała sobie sprawę, że dla nich jest jedną z wielu starszawych absolwentek, snujących się po dormitoriach podczas meczu Sheffield – Enfield i rozprawiających o tym, jaki kolor miał dywan za ich czasów.

– Prawie dwadzieścia siedem – powiedziała Barbara. Odwróciła się, żeby widzieć córkę.

– Prawie dwadzieścia pięć – odparła Evelyn.

Preston rozłożył kopniakiem jedno krzesło, potem drugie. – Gotowe... i gotowe. Obie wyglądacie, jakbyście znalazły źródło wiecznej młodości. Pani córka jak zwykle zaprzęga mnie do ciężkiej pracy. Czy pan Beegan też tu jest?

Evelyn podała mu drinka. – To za twoją ciężką pracę. Nie, tata musiał w ten weekend zostać w pracy.

– No cóż, na pewno mu przykro, że to przegapi.

Nie było odpowiedzi, więc Preston wziął do ręki krakersa. – Czytałem w „Journalu” o sprawie, w którą był zaangażowany. Chyba chodziło o pozew prze-

ciwko firmie farmaceutycznej w...

– Czyż nie zawsze o to chodzi? – przerwała Barbara wesołym tonem. – Całe wieki cię nie widziałam. Mieszkałeś w Londynie?

– Właśnie wróciłem do Nowego Jorku – odparł Preston.

– To wspaniale. Czy to nie wspaniale, Evie? Zawsze jej mówię, że powinna lepiej się orientować, co słyhać u jej dawnych znajomych. Jak się mają twoi dawni znajomi? Ten kochany Nick? I twój przystojny brat? Są kawalerami?

Evelyn podała matce krakersa z serkiem śmietankowym. – Już dobrze, mam. Nie musimy oceniać każdego, kogo zna Preston, pod kątem tego, czy się nadaje na męża.

– Ja tylko rozmawiam. Evelyn potrafi być taka przeczulona. No dobrze. Opowiedz mi o sobie, Preston. Na pewno się z kimś spotykasz.

– Prawdziwa miłość nie zna gładkiej drogi<sup>2</sup>, pani Beegan.

– Oczywiście, przed tobą jeszcze szmat czasu, zanim będziesz musiał się ustatkować – powiedziała Barbara.

Evelyn przewróciła oczami i włożyła do ust krakersa. Preston zapewnił Barbarę, że w Nowym Jorku żyje mu się dobrze, a praca niezależnego inwestora idzie jak po maśle (choć Evelyn nigdy nie potrafiła określić, co dokładnie robi i w co inwestuje). – Evelyn świetnie sobie radzi w mieście – powiedział. Uznała to za eleganckie kłamstwo. Barbara nasunęła okulary na czubek głowy. Jej błękitne oczy pojaśniały od komplementu, jakby to jej dotyczył. Po tej wymianie zdań odstąpili od siebie płynnie jak po odtańczeniu menueta. Barbara powiedziała, że znajdzie im miejsca na trybunach, i poszła.

Nagle, od strony samochodów trzy rzędy dalej, dobiegł ich ryk: Ha – CKING!, z oktawą różnicy między pierwszą sylabą a drugą. Po chwili ten sam głos: „Beegs!”

– Dobry Boże! – zawołał Preston.

Evelyn spojrzała w tamtą stronę. Wołał ich Phil Giamatti, chłopak ze wsi w New Hampshire, który w jednej z młodszych klas przedawkował kofeinę. Toczył się w ich stronę. Niewprawnemu oku mógłby się wydawać jeszcze bardziej elegancko ubrany niż Preston. Evelyn domyślała się, że jego fioletowa koszula w kratę to Thomas Pink, a spodnie to Nantucket Reds. Na nogach miał mokasyny od Gucciego, bez skarpetek. Evelyn pamiętała, jak przyjechał do szkoły w za dużej batystowej koszuli button-down i džinsach. Dziś na kilometr czuć było od niego forszą i wodą kolońską, której butelki z pewnością sprzedawano w etui z czarnej skóry.

– Jak się macie, ludziska? – chwycił Evelyn grubymi dłońmi, nachylił się i złożył jej na policzku mokry pocałunek. – Fajnie się tak wyrwać z Manhattanu, co nie?

– Zawsze miło jest wrócić do Sheffield – odparła beznamiętnie Evelyn.



W szkole nie lubiła Phila, bo zawsze na testach próbował spisywać od Charlotte. Teraz, kiedy miał pieniądze, nie lubiła go jeszcze bardziej.

– Co nie? No i dobrze jest się wyrwać z pracy. Bankowość to wariactwo.

– Tak słyszałam.

– Jak się ma takie podejście jak ja, praca trwa non stop. O piątej rano na nogach, do biura, i tak do pierwszej w nocy. Ale, jak to mówią, ciężko pracuj, ostro baluj, co nie? Szampan, kobiety... Modelki i bąbelki!

– Modelki i bąbelki to nie do końca moja bajka – odparł Preston wyniośle.

– Modelki to nie twój styl, Preston?

Evelyn poczuła, że robi jej się gorąco w uszy. Miała nadzieję, że Phil nie zmierza do tego, o czym pomyślała. – Styl Presa... – zaczęła.

– Wolisz modeli? – przerwał jej Phil. – To ci bardziej odpowiada?

Nie musiała nawet patrzeć na Prestona, by wiedzieć, że zrobił się czerwony. – Preston sam jest modelem, Phil – odparła lodowato. Nie była to może najlepsza riposta, ale nic innego nie przyszło jej do głowy. – Powodzenia z tą twoją bankowością.

– Hej, żartowałem tylko! – zawołał za nimi Phil, kiedy odchodzili. – Hej, hej, Hacking? Beegs?

Evelyn wróciła do stolika i zaczęła zmieniać ułożenie noży koktajlowych. Chciała dać Prestonowi czas, żeby ochłonął. W końcu głośno przełknął ślinę. – Nie wiem, o czym on mówił – powiedział.

– Ja też nie – odparła spokojnie. Ponownie napełniła mu szklankę i zmieniła temat. – Co byś wołał?

– Noo, dawaj – Preston natychmiast się włączył do ich starej gry.

– Wołałbyś siedzieć koło Phila Giamattiego na każdym przyjęciu do końca życia czy mieć w ogrodzie przed domem składany basen?

– Cóż za elitaryzm, droga Evelyn. Jak się nazywa ta strona, dla której teraz pracujesz? Nie Nasza Klasa, Kochanie?

– Bardzo śmieszne. Wiesz, że mam zamiar cię zapisać.

– Co to, to nie! Wystrzegam się technologii.

– Będziesz musiał się do niej przekonać. Masz rodowód, szanowane stare nazwisko i zapewne uzależnionych od alkoholu wujów, którzy zostawią ci wielkie fortuny. Mojej firmie zależy na właśnie takich ludziach. Nie martw się. Pomogę ci przygotować uroczy profil.

– A tak w ogóle, odpowiedź brzmi: składany basen. Zbyt cenię przyjęcia, żeby je spędzać z ludźmi pokroju Phila.

– Zgoda – odparła Evelyn.

Nagle pojawiła się Charlotte. Objęła ich oboje chudymi ramionami.

– O czym rozmawiamy? – spytała.

– O Philu Giamattim – odparła Evelyn.

– Nie zwerbujesz go chyba do PLU?

– Moja droga – powiedziała Evelyn, zadzierając brodę i patrząc z góry na Charlotte. – To nie jest kaliber PLU.

– Moja droga, ja bym się nie odważyła. Absolutnie nie PLU – odpowiedziała Charlotte z udawanym brytyjskim akcentem. – Ev dostaje chyba punkty jak łowca nagród. Tym więcej, z im bardziej starożytnego rodu wywodzi się ten, kogo zwerbuj.

– Cóż, mogę to zaakceptować, jeśli to dzięki People Like Us Evelyn pojawiła się w Sheffield – powiedział Preston. – Miło znów być razem.

– W Nowym Jorku nie mogliśmy się oczywiście sprężyć na tyle, żeby zorganizować spotkanie. Ale taki właśnie jest Nowy Jork, prawda?

Evelyn dokręciła butelkę wódki. Jak młodość, to w Nowym Jorku, powtarzali nabożnym tonem mieszkańcy jej rodzinnego Bibville, choć sami nigdy tam nie mieszkali. Evelyn próbowała pokochać to miasto i czasem jej się udawało. Na przykład wtedy, kiedy w rześką jesienną noc, wyperfumowana i w butach na wysokim obcasie, kiwała na taksówkę na Park Avenue, kiedy fontanna w Lincoln Center tańczyła w nocnym świetle albo kiedy siedząc na drugim balkonie, patrzyła, jak Alfred Molina jako Tewje śpiewa *Sunrise, Sunset* i czuła, że jej umysł się uspokaja. Miasto szumiało w sposób, jakiego nie dało się doświadczyć w Bibville, i trudno tu było złapać taksówkę, bo każdy gdzieś się śpieszył. Z początku dodawało jej to energii, ale potem zaczęło działać na nerwy.

Nauczyła się, jak żyć w Nowym Jorku. Wiedziała już, że nie należy chodzić na lunch do koreańskich barów z jedzeniem na wynos ani kupować niemarkowych skórzanych butów ze szklanych witryn w Midtown. Nauczyła się, że pośrodku wagonów metra jest zawsze więcej miejsca niż na końcu i że kwiaty w bodegach – sklepikach spożywczych prowadzonych przez Latynosów – zwykle pochodzą z pogrzebów. A jednak nie żyła nowojorskim życiem. Chociaż miała wielkie plany, większość dni upływała jej na wleczeniu się z domu do pracy i z pracy do domu, a jej życie stało w miejscu. W Nowym Jorku było tłoczno, głośno, brudno i albo za gorąco, albo za zimno. Proste sprawy, jak zrobienie zakupów, wymagały ogromnych nakładów czasu i energii. Po powrocie ze spożywczaka zawsze spływała potem.

Myślała, że kiedy Charlotte i Preston wrócą do Nowego Jorku, będzie mogła bardziej się wyluzować. Liczyła na to, że wszyscy troje będą na okrągło trzymać się razem jak wesola gromada postaci z musicali Sondheima. Że przez cały tydzień będą zgłębiać tajemnice życia i miłości w swoich małych mieszkankach, a w niedziele będą się spotykać, popijać wino na dachach domów i doładowywać sobie nawzajem akumulatory. A tymczasem, kiedy Char pracowała jako analityk w Goldman Sachs, widywały się może raz na dwa tygodnie i Char mówiła tylko o tym, jak dużo ma pracy. Po roku wróciła na Harvard do szkoły zarządzania.

Mniej więcej od roku znów była w Nowym Jorku i pracowała dla Graystone – prężnej firmy private equity – co oznaczało, że większość wieczorów i weekendów miała już zajętych. Z kolei Preston po powrocie z Londynu obracał się w swoim prestiżowym towarzystwie. Evelyn utrzymywała kontakt z koleżankami z college'u Davidson, ale ich drogi coraz bardziej się rozchodziły. Jedna była aktorką i niedawno przeprowadziła się do Bushwick. Evelyn musiałyby dwa razy przesiadać się do innego metra i prawdopodobnie również sprawić sobie nóż, żeby tam bezpiecznie dotrzeć.

Cztery lata od ukończenia college'u Davidson minęły jednocześnie za wolno i za szybko. Nagle Evelyn zorientowała się, że ma dwadzieścia kilka lat, a jej życie nie wygląda tak, jak by sobie tego życzyła. Dziewczyny w jej wieku albo parły do przodu, robiąc karierę, albo angażowały się w poważne związki, które wkrótce zaowocują pierścionkami i przyjęciami zaręczynowymi. Matka zaproponowała, że zapłaci za zamrożenie jej jajeczek. Nie odrzuciła od razu jej oferty. Nie żeby szczególnie chciała mieć męża i dzieci. Po prostu zdała sobie sprawę, że chciałyby wreszcie znaleźć swoje miejsce. Sprawić, by ludzie, patrząc na nią, dochodzili do wniosku, że jest interesująca i warto z nią porozmawiać, i nie musieli się męczyć, wpytując z grzeczności o szczegóły jej życia, by zaraz potem o niej zapomnieć. (– Murray Hill, tak? – Nie. Upper East Side. – Aha... i Bucknell? – Nie. Davidson).

Portal People Like Us mógł być jej szansą, nawet jeśli rodzice patrzyli na to inaczej. Ojciec stwierdził, że grupa docelowa firmy nie potrzebuje kolejnego sposobu na odcięcie się od całej reszty. Odpowiedź matki brzmiała: – Czyli zamiast zadać sobie trochę trudu i poznać ciekawe nowojorskie towarzystwo, będziesz zarabiała na byciu kimś w rodzaju ich konsjerża? To po to posłaliśmy cię do Sheffield?

Musiała przyznać, że długo bała się ludzi, których teraz miała werbować. We wcześniejszej fazie meczu wyłowiła z tłumu kilkoro z nich i zaczęła się zastanawiać, czy za jakiś czas nie dostaną za swoje – czy faceci nie zmienią się w brzuchatych pijusów, a kobiety nie przywiędną. To by udowodniło, że matka niesłusznie dopatrywała się w tej grupie uroku. A jednak dziewczyny wyglądały świetnie, były wyluzowane i swobodne, ich skóra miała najdelikatniejszy odcień opalenizny z prywatnych plaż, a na nadgarstkach pobrzękiwały emaliowane bransoletki od Hermès. Faceci byli przystojni i pewni siebie: bankierzy, prawnicy i przyszli politycy. Podśluchała, jak rozprawiają na temat złamania etykiety w jednym z prywatnych klubów w San Francisco, i początkowo się wycofała, ze strachu, że ją zignorują i poczuje się jak kompletne zero. Ale potem pomyślała o swojej nowej pracy i zmusiła się do rozmowy z tymi, których знаła przez Prestona. Dzięki temu udało jej się wytypować kilku kandydatów do PLU. Evelyn była zdeterminowana, chciała udowodnić rodzicom i wszystkim, którzy jej nie zauważali, że jest kimś. To miasto myślało, że jej się nie uda. Myliło się.

Do Prestona podszedł przyjaciel jego ojca, zaczęli rozmawiać. Evelyn i Charlotte ruszyły w stronę stadionu.

*Kiedy – walczymy – walczymy – literackimi*

*Tropami – i moty – wami – i lejtmotywami, bo nasza*

*Szkoła – słynie – z melancholii*

*Li – teratów, po – etów laureatów i*

*Jeśli – lacrosse nie – jest naszą domeną, to*

*Niech – nasi rywale – spróbują – się zmierzyć*

*Z penta – metrem jam – bicznym, aluzją, ripostą,*

*Porównaniem*

*I z grą słów!*

Pod koniec przyśpiewki kibice Sheffield zgubili rytm, ale „z grą słów” wykrzyczeli unisono, jakby to była największa zniewaga przeciwnej drużyny.

Barbara zajęła pół rzędu gigantycznym kocem z polaru. Kiwała na Charlotte i Evelyn. Sheffield zdobyło piłkę i publiczność krzyczała, kiedy Evelyn wciskała się na miejsce.

– Twój kolczyk wygląda, jakby był poplamiony – powiedziała Barbara.

– Mamo, zaraz wrzucę ten kolczyk w tłum, jeśli nie przestaniesz o nim gadać

– odparła Evelyn, kiedy usłyszała prychnięcie Charlotte.

Barbara zmieniła pozycję na kocu. Tłum zawył w zbiorowym opadającym arpeggiu, kiedy drużyna Enfield odzyskała piłkę.

*Nie czas się smucić, nie czas dołować, kiedyś będziecie dla nas pracować –* rozbrzmiał okrzyk od strony Sheffield.

## Rozdział drugi

### Następny przystanek: Lake James

Evelyn spojrzała na łóżko, zavalone sukienkami, swetrami, džinsami, butami, sandałami i ubraniami od Patagonii, i po raz kolejny próbowała wybrać tylko to, co jej się przyda podczas weekendu w górach Adirondack.

Zadzwoiła komórka. Evelyn podniosła klapkę. – Cześć, mamó – powiedziała.

– Weźmiesz Lilly? – zapytała Barbara.

– Naprawdę, mamó? Dzwonisz, żeby się dowiedzieć, co pakuję? Już kiedyś byłam u Prestona, pamiętasz? Ciebie tam nie było.

– Zobaczysz, nie pożałujesz, że wzięłaś sukienkę Lilly Pulitzer na letni weekend – powiedziała stanowczo Barbara.

Evelyn wybierała się na Dzień Pamięci do letniego domku Prestona w Lake James w górach Adirondack. Chciała zwerbować kolejnych członków People Like Us. Kiedy zaczęła pracę, najpierw czekała kilka dni, aż dyrektorzy – Arun i Jin-ho – powiedzą jej, jakie ma cele i jak mogłaby je zrealizować. Stając z formularzami zgłoszeniowymi w miejscu, gdzie rodzice uczniów Spence odbierają swoje dzieci? Niczego się nie dowiedziała. People Like Us był start-upem w pełnym tego słowa znaczeniu: zajmowali nieodnowione biuro w Chelsea ze składanymi stolikami zamiast biurka i beżowymi IBM-ami – pozostałością po jakimś innym start-upie.

Pomysłodawcą i fundatorem serwisu był siedemdziesięcioletni Szwajcar z Habsburgów. Chodziło mu o narzędzie, które pozwoliłoby mu nawiązywać kontakty z ludźmi jego pokroju, kiedy podróżował do Dubaju albo na Malediwy. Zatrudnił Aruna i Jin-ho, absolwentów szkoły zarządzania Stanford, i zostawił wszystko w ich rękach. Oni zaś najwyraźniej zdali się całkowicie na Evelyn w kwestii sposobu pozyskiwania użytkowników. Zaczęła od studiowania witryny New York Appointment Book i stron społecznościowych „Timesa”. Chciała się zorientować, kto jest kim w tym elitarnym gronie i kogo People Like Us chciałoby zwerbować w Ameryce. Uważała, że należy zacząć od samej śmietanki i w ten sposób zyskać rozgłos i aurę ekskluzywności.

Na szczycie jej listy była Camilla Rutherford. Na żywo widziała ją tylko raz, w barze w Picholine, kiedy czekała na rozpoczęcie *Barbara Cook's Broadway!* w teatrze Vivian Beaumont i popijała piwo Old Speckled Hen, za które przepłaciła. Kierownik sali przez dobre dwadzieścia minut wisi na telefonie i opisuje komuś krok po kroku, jak dojechać do nich z Chelsea. Kiedy Camilla weszła do środka, kelnerzy zamilkli, jakby właśnie zjawiała się Madonna, a kierownik sali zaczął przeproszać za to, że jego wskazówki były tak niejasne. Evelyn nie rozumiała jego

skruchy. Słyszała przecież, że pilotował ją doskonale. Rzuciła okiem na Camillę. Sama jej pewność siebie – nie mówiąc już o pięknych włosach i idealnie wyprasowanej jedwabnej bluzce – sprawiła, że Evelyn poczuła się wymięta, jej włosy nagle wydały się przetłuszczone, a paznokcie u nóg zaniedbane.

Babs dobrze wiedziała o Camilli i jeszcze podczas nauki w Sheffield chciała z niej zrobić przyjaciółkę Evelyn. Ona, rzecz jasna, też o niej słyszała. Camilla z Saint Paulów była tematem rozmów za każdym razem, kiedy nowojorskie towarzystwo Prestona wracało z wakacji. Camilla piastowała stanowisko szefa działu wydarzeń specjalnych w „Vogue’u”, zarezerwowane dla pięknych i szykownych, tych, którzy samą swoją obecnością dodawali blasku przyjęciom. Na Appointment Booku, portalu społecznościowym, na który rzeczywiście zaglądali bywalcy modnych przyjęć, Camilla jawiła się jako niekwestionowane centrum Młodego Nowego Jorku. W wielowarstwowej sukience w kolorze kawy z mlekiem siedziała rozparta na ławce w Metropolitan Museum z okazji przyjęcia w skrzydle egipskim. Na spotkaniu grupy Young Collectors Council w Muzeum Guggenheima miała na sobie czarną jedwabną bluzkę i spódnicę z zygzakowym wzorem, i trzymała w ręku szampana. W osobliwym, inspirowanym flamenco stroju, w którym Evelyn nigdy by się nie pokazała, brała udział w Komu Bije Dzwon – zbiorce pieniędzy dla Nowojorskiej Biblioteki Publicznej, utrzymanej w klimacie hiszpańskiej wojny domowej. Zaliczenie Camilli do grona potencjalnych użytkowników było łatwe. Prawdziwym wyzwaniem było skłonienie jej, żeby się zarejestrowała.

Rozmyślając nad tym, przypomniała sobie, że Camilla, tak jak Preston, ma domek letniskowy w Lake James, i już wiedziała, co robić. Do ludzi tego pokroju należy trafiać na ich terenie. Nie na ulicach miast, gdzie może ich zaczepić byle akwizytor czy kaznodzieja z podkładką do pisania przekonujący do odnawialnych źródeł energii, lecz w ich trudno dostępnych domkach letniskowych. Samą swoją obecnością w tym miejscu pokazałaby, że jest jedną z nich. Wysłała do Prestona maila z pytaniem, czy będzie spędzał Dzień Pamięci w Shuh-shuh-gah, swoim domku w Lake James, a on odpisał: *Comme d’habitude*.

Mogę się wbić? – zapytała, a on odpowiedział po prostu: *Oui*. Załatwianie spraw ze starymi przyjaciółmi było tak przyjemnie proste.

Kilka dni wcześniej przedstawiła Arunowi i Jin-ho swoją strategię na przykładzie zdjęć z Komu Bije Dzwon i kilku innych wydarzeń. – Spójrzcie na interakcje między tymi ludźmi – powiedziała. – Dlaczego zjawili się na tej zbiorce, jeśli nie przywiodła ich tutaj miłość do biblioteki? Ponieważ poprosili ich o to znajomi. „Kup stolik”. „Zyskaj status Wspierającego”. Tak działa ten świat. Najważniejsi są influencerzy. To oni ustalają trendy. Dyktują, na których imprezach trzeba bywać. Dokąd jechać na wakacje. Na jakich portalach społecznościowych warto założyć konto. Skupianie się na ilości zamiast na jakości to niezawodna recepta na to, żeby stracić wiarygodność w tej grupie. Powinniśmy więc zastosować ich własną tak-

tykę. Rekrutację jeden na jednego – będziemy się zwracać bezpośrednio do nich, jakbyśmy organizowali zbiórkę funduszy na bibliotekę. Sprzedaż bez rozgłosu.

Zamówiła eleganckie kartonowe wizytówki i wręczyła je pracownikom, którzy pojechali do Nantucket, na Martha's Vineyard, do Hamptons i do Aspen, żeby w Dniu Pamięci wręczyć je odpowiednim ludziom. Arun i Jin-ho byli pod wrażeniem.

Barbara nie przestawała trajkotać. Evelyn podeszła do okna i przesunęła palcem po grubej warstwie brudu, która zebrała się tam w ciągu nocy. – Tyle czasu minęło, odkąd ostatni raz widziałam Prestona, zanim pojawił się na meczu – kontynuowała Barbara. – Co się z wami stało?

– Nic się nie stało. Mieszkał w Londynie przez... ile to było... trzy lata? Prawie się z nim nie widywałam.

– No i ten jego brat. Miły młody człowiek. Sheffield wyszło im na dobre.

– Bing studiował na Akademii Medycznej na Wyspach Dziewiczych, bo nie dostał się na żadną uczelnię w Stanach. Poza tym ma ośmioletnie dziecko.

– No cóż. Nie wykluczaj mężczyzn, którzy byli żonaci. Rozwodnicy mogą być bardzo wdzięczni za to, że mają młodą, ładną kobietę u swego boku.

– Mamo, ten telefon ma przycisk Zakończ i nie zawaham się go użyć – Evelyn przyłożyła telefon ramieniem do ucha i zaczęła wrzucać ubrania do torby. Do odjazdu pociągu pozostało niewiele czasu.

– Zawsze myślałam, że ty i Preston weźmiecie ślub – ciągnęła Barbara. – Ma cudowne manieri i dobrze gra w tenisa. Z takim człowiekiem życie byłoby proste. Pomyśl, jak łatwo przyjmowałyby się goście albo chodziło na przyjęcia z mężem, który lubi nawiązywać kontakty i za każdym razem ma coś zabawnego do powiedzenia. Preston zawsze jest królową balu. A raczej królem.

Evelyn złożyła gruby wełniany sweter. Też się nad tym zastanawiała – co by było, gdyby po prostu wzięła ślub z Prestonem. Ich ścieżki przypominałyby cyfrę 8 – w ciągu dnia każde robiłoby swoje, nocami spotykałyby się na przyjęciach i kolacjach, a potem znowu się rozdzielali. Prawdopodobnie mieliby kochanków na boku. Sceny z małżeńskiego życia z Prestonem zawsze wyobrażała sobie w czerni i bieli. Nieodłącznymi akcesoriami były małe okrągłe kieliszki do martini i długie cygarniczki. Ale nie mogła sobie wyobrazić nocy spędzonej w jednym domu, nawet pomijając techniczne aspekty migania się od współżycia. Wzdrygała się na samą myśl o czymś tak obrzydliwie intymnym jak jego mokra szczoteczka do zębów.

– Jakie masz plany na lato, Evelyn?

– Na razie Lake James – odparła, choć wiedziała, że matka pyta o resztę lata. Kilku marketingowców z jej poprzedniej firmy miało zamiar wynająć domek na wybrzeżu New Jersey, ale nawet gdyby było ją na to stać, nie umiałaby rozmawiać z ludźmi, którzy sypią szczeniackimi, świńskimi żartami i cytują *Golfiarzy*. Z dru-

giej strony lato w Nowym Jorku również nie wydawało się kuszące – w zeszłym roku oznaczało to samotne picie w gorące weekendy olbrzymich ilości piwa Sam Adams Summer Ale, któremu towarzyszyło wrażenie, że poza paradą Dominican Day zupełnie nic się nie dzieje.

– Robisz to tylko po to, żeby sprzedać swoją stronę internetową. Tak czy inaczej, nie możesz co weekend liczyć na gościnność matki Prestona. Kobieta stanu wolnego to obciążenie dla każdej gospodyni. Trudno jest jej znaleźć kawalera do obiadu.

– Mamo, to już ustalone, jadę do Lake James. Pogódź się z tym, dobrze? I po raz czternasty powtarzam: nie sprzedaję strony internetowej.

– Zapakowałaś Lilly?

Evelyn potrząsnęła głową. – Do widzenia, mamo – powiedziała, zakończyła rozmowę przyciskiem i wepchnęła do torby sukienkę Lilly Pulitzer.

Zaciągnęła torbę do skrzypiącej windy i przeniosła przez hol budynku. Mieszkała na Upper East Side, w wynajmowanym mieszkaniu, na które ledwo było ją stać, choć znajdowało się w „nieprzyjemnej” części dzielnicy, jak ujęła to matka. Nigdy wcześniej nie mieszkała na Manhattanie i początkowo nie zdawała sobie sprawy, że pożądana dzielnica może być atrakcyjna tylko w połowie. Jej budynek nosił nazwę Petit Trianon i mieścił się na Siedemdziesiątej Czwartej Ulicy, po niewłaściwej stronie Trzeciej. Kiedy Barbara wysyłała jej listy, zawsze pisała: Evelyn Topfer Beegan, Le Petit Trianon, jakby to była wiejska posiadłość.

Minęła stojące w holu rośliny o fluorescencyjnej zielonej barwie, które walczyły o trochę słońca. Aloes był teraz na topie. Jego gigantyczne macki leżały smętnie na kraciastej podłodze. Jakiś czas temu roślina się rozrosła i młody konserwator przesadził odrosty do małych doniczek, które postawił w holu, i przed tą prowizoryczną szkółką roślin umieścił napis: Za darmo w dobre ręce. Tego samego dnia, w drodze powrotnej z bodegi, zauważyła, że zdążył je już obsikać jakiś bezdomny. Stały w ciemnej, cuchnącej kałuży.

Siedem godzin później Evelyn wysiadła na stacji Lake James. Na niebie wisały nisko szare chmury, zwiastujące opady śniegu. W maju, kiedy reszta Nowego Jorku oddawała się we władanie lata, góry Adirondacks trzymały się zimy tak kurczowo, jak tylko mogły. Zima była ich porą roku, nie zamierzały jej puścić tak łatwo. Evelyn zadrzała. Pociąg odjechał z łoskotem. Wiedziała, że stacja leży blisko szosy, ale nie słyszała samochodów.

Preston ściągnął na weekend całą ekipę. Między innymi Nicka Geary’ego, swojego najlepszego kumpla od czasów gimnazjum. Nick uczęszczał do Enfield i Dartmouth, a potem pracował w sektorze produktów konsumenckich Morgan Stanley. Charlotte miała z nim stały kontakt służbowy, bo w swojej firmie private equity zajmowała się pozyskiwaniem produktów. Miał być także jakiś kolega Nicka z Morgan Stanley. Charlotte też go znała. Zdecydowała się przyjechać



w ostatniej chwili, bo Evelyn ciągle wierciła jej dziurę w brzuchu. Mieli się zjawić Bing, jego dziewczyna i dziecko. Evelyn miała nadzieję, że przynajmniej kilkoro z nich uda się zwerbować, a innych chętnych chciała znaleźć na przyjęciach w Lake James.

Musiała przyznać, że Lake James było wspaniałe. Nawet dworzec. Widziała przed sobą mały niebieski betonowy budynek, tej samej długości co peron, a za nim zielone drzewa, które rozciągały się we wszystkie strony. Nagle wiatr przybrał na sile, a potem równie gwałtownie ucichł. Liście drzew zaszumiały, imitując odgłos deszczu, ale po chwili znowu zapadła cisza.

Evelyn była ubrana bardziej „na lato” niż „w góry”, więc mocno otuliła się bawełnianym kardiganem. Spojrzała w lewo i na drugim końcu peronu dostrzegła wysokiego, czarnowłosego mężczyznę w ciemnym garniturze. Wyglądał mniej więcej na jej równolatka, ale ramiona miał pochylone do przodu, przez co się garbił, jakby był o wiele starszy. Wpatrywał się w drzewa i wyglądał na zagubionego.

Oboje ruszyli w kierunku dworca i dotarli tam w tej samej chwili. Chwycił za gałkę w drzwiach, trochę się z nią męczył, ale w końcu udało mu się otworzyć i przytrzymał jej drzwi. Miał ponad metr osiemdziesiąt siedem wzrostu, a jego twarz skojarzyła jej się z chorwackim koszykarzem, którego widziała, kiedy zmuszono ją do obejrzenia meczu Lakers-Knicks. Spoglądał na nią z góry małymi, czarnymi oczkami. Poszła przodem do małej kwadratowej poczekalni o niebieskich ścianach, wzdłuż których stały proste drewniane ławki. Jeszcze raz spojrzała na niego ostrożnie, próbując dopasować do któregoś z członków ekipy z Lake James. Ale najwyraźniej zbyt intensywnie przyglądała się jego garniturovi.

– Wracam z pracy – wypalił i pociągnął za krawat.

– Domyśliłam się – odparła Evelyn z uśmiechem. – Albo to, albo Lake James staje się ważnym centrum biznesowym.

Lekko się uśmiechnął, ale zdenerwowanie nie zniknęło z jego twarzy. – Czyli ty pewnie jesteś Evelyn? Nick mówił, że przyjedziesz tym samym pociągiem.

A więc kolega Nicka. Preston nie mówił o nim nic, oprócz tego, że pracuje w Morgan Stanley, ale nie wyglądał na kogoś z paczki Nicka – wydawał się nieokrzesany, ale na swój sposób sympatyczny. – Evelyn Beegan – powiedziała. – Zatrzymasz się u Prestona?

Poczerwieniał, kiedy ścisnął jej dłoń. – Tak, yy... nie wspomniał o tym? Że będziemy w tym samym pociągu? Przepraszam. Pracuję z Nickiem i on pomyślał, że byłoby fajnie, gdybym dołączył. Dołączył do was.

– No tak. Na pewno będzie fajnie. Przepraszam, nie dosłyszałam imienia – odparła Evelyn. Chłopak był tak spięty, że sama czuła się przy nim swobodnie.

– O rany, przepraszam. Scot. Scot Tannauer.

Wyciągnął rękę, ale równie szybko ją cofnął i potrząsnął dłonią, jakby cierpiał na zespół cieśni nadgarstka. Nie potrafiła stwierdzić, czy jest nią zauroczony,

czy po prostu boi się ludzi. Rozejrzał się dookoła. – Nigdy nie byłem w górach Adirondack. Czytałem o nich.

– Nie wiedziałam, że pisano o tych górach.

– O tak. Można poczytać o ich historii, o cudownych domkach letniskowych, o Vanderbiltach i innych rodzinach, które tu przyjeżdżały.

– Już wtedy przyjeżdżali tu bankierzy – odparła Evelyn i lekko się roześmiała.

– A... no tak, zrozumiałem żart – powiedział i spojrzął na swój garnitur.

– Ojej, nie. Nie miałam na myśli...

– Przepraszam. Po prostu... Nie. Ja tylko...

– O czym to mówiłeś? Cudowne domki letniskowe?

– Tak. Architektura jest naprawdę niezwykła. Utrzymana w ciekawym stylu, który skopiowano w niektórych parkach narodowych, ale naprawdę tylko tam.

Evelyn już miała zapytać, kim byli architekci, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł Nick Geary. Miał na sobie białe spodenki tenisowe i białą koszulkę polo. Jego włosy wciąż miały odcień czekoladowego brązu i opadały na czoło, oczy były tak samo ciemnoniebieskie jak dawniej, cera tak samo idealna, a usta miały intensywnie czerwony kolor, za który dziewczyny potrafiłyby zabić. Jedynym problemem były jego dziurki od nosa – wielkie i drgające. Na pewno nie raz zaznały koki, pomyślała Evelyn, uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek. – Nick!

– Evelyn. Kopę lat. Jak tam śpiewanie? – zapytał z większym zainteresowaniem, niż się spodziewała. – Sir – zwrócił się do Scota – Przydzielono mi dziś rolę pańskiego szofera. Wskakujcie. Evelyn, taki wielki bagaż na trzy dni? Jezu Chryste.

– Śpiewanie? – zapytał Scot.

– Kiedy poznałam Nicka, bardzo interesowały mnie musicale. Jestem zaskoczona, że pamięta.

– Aha – odparł Scot. Zabrzmiało to jak rzenie konia.

## Rozdział trzeci

### **Shuh-shuh-gah**

Sklepy w Lake James Village były dwupoziomowe i stłoczone razem na jednej trzeciej trzymilowego wybrzeża wokół stawu. Evelyn poczuła się pewniej, bo wszystko wyglądało tak, jak zapamiętała. Była tu tylko raz – latem, po tym, jak Preston ukończył Sheffield. Choć minęło kilka lat, nie pojawiły się żadne Wal-marty, które odebrałyby wsi wyjątkowość, nie było nawet sieciowych aptek – zostały przeniesione i znajdowały się teraz przy drodze wylotowej. Zamiast tego były tu Just Bead It, Custard Mustard & Ale i lokal o dezorientującej nazwie Steak Loft.

Nawet zapach powietrza, które wpadało do samochodu przez opuszczone szyby, wydawał się znajomy mimo upływu lat. Wyczuwała mokre liście, palone drewno i błotnistą trawę. Usiadła z tyłu, żeby Nick wziął na siebie rozmowę ze Scotem, i patrzyła na przelatujące za oknem jasnozielone drzewa. Było cicho, jeśli nie liczyć śpiewu ptaków i hurkotu zabytkowego jeepa Hackingów.

Choć był już późny maj, na wystawie sklepu odzieżowego Sweater Haus wciąż były grube irlandzkie swetry i gumowce. Nawet outletsy Gap and Bass, część zarzuconego projektu niektórych członków miejskiej starszyny, żeby zrobić z Lake James centrum przecenionej odzieży, eksponowały w oknach resztki zimowych artykułów: puchate kurtki, płaszcze przeciwdeszczowe, ciężkie skórzane buty turystyczne. Kredowa tablica przed wejściem do The Lakeview Inn obiecywała zupę z siedmiu rodzajów fasoli i kanapki z grillowanym serem i zapowiadała dwanaście stopni Celsjusza oraz zachmurzenie.

Evelyn spojrzała na staw James Pond, na którym znajdowało się Lakeview, i przypomniała sobie moment, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Pomyślała wtedy, że tyle się mówi o Lake James jako letnim placu zabaw dla bogatych i dobrze urodzonych, a tymczasem to tylko obskurne wakacyjne miasteczko dla klasy średniej, z malutkim jeziorem i drewnianym niedźwiedziem unoszącym przednie łapy przed co trzecim sklepem. Potem pojechała zgodnie ze wskazówkami Prestona, tak jak teraz Nick – skręciła w prawo między dwa kamienne słupy z wiszącą drewnianą tabliczką: MT. JOBE ROAD – PRIVATE DRIVE – i zrozumiała swój błąd.

Wjechali na nieukończoną, wyboistą wiejską drogę. Po lewej stronie migwały czasem skrawki ogromnego jeziora, a drzewa na wprost nich sprawiały wrażenie, jakby za nimi ukrywały się bardzo eleganckie domy.

– Ooo – odezwał się Scot, uderzony tą samą myślą, która przyszła jej do głowy przed laty. – To tu jest jeszcze jedno jezioro? Myślałem, że tamto było

jedyne.

– To był staw – powiedziała Evelyn. – James Pond. Wszyscy turyści, którzy tu przyjeżdżają, myślą, że to Lake James, wypływają łódką czy czymkolwiek, a potem wracają do domu przekonani, że powodem całego tego szału jest staw. Lake James jest ogromne. Przynajmniej dziesięć razy większe. Nie widać go z miasta.

– Dlaczego?

– Prywatne drogi, przyjacielu – odparł Nick, podjeżdżając pod Mt. Jobe. – Dostosuj się.

– Wydawałoby się, że mieszkańcy powinni być temu przeciwni – powiedział Scot.

– Mieszkańcy, wszyscy co do jednego, żyją z prywatnych dróg – oznajmiła Evelyn ze śmiechem. – Sami odgradzają się od reszty.

– Co za komunistyczne pomysły, Evelyn – odezwał się Nick.

Na Mt. Jobe Road każdy dom był oznaczony skromnym drewnianym słupkiem i tabliczką, na której nieco zwariowanym charakterem pisma wypisane były nazwy posiadłości – mieszanka hołdu i zgrywy: ORLE GNIAZDO, CAMP TAMANEND, WYSTĘP SKALNY, AMYMAMY DOMEK.

Rodzice Prestona kupili swój domek – Shuh-shuh-gah – w latach osiemdziesiątych, po tym jak Jean Hacking pokłóciła się z siostrami i postanowiła, że od tej pory nie będą już jeździli do Osterville. Jej opaski na głowę, bluzy z polaru, spodnie w kant, zapas dobrego czerwonego wina, arystokratyczne pochodzenie ze Wschodniego Wybrzeża, duch rywalizacji w milutkich letnich sportach takich jak żeglarstwo czy wioślarstwo i charakterystyczna wymowa słowa „huragan” – to wszystko sprawiło, że dobrze się odnalazła w towarzystwie.

Choć Hackingowie byli tu zaledwie od trzech dekad, to ci, którzy osiedlili się po nich, traktowali ich jak starą gwardię w Lake James. Po stronie gór, z dala od jeziora, rezydowali ludzie z Los Angeles, Florydy i Karoliny Południowej, którzy kupili ziemie bez prawa dostępu do jeziora, tylko po to, by mogli mówić, że mają domki letniskowe w górach Adirondack. Zrobili sobie żwirowe podjazdy, postawili granitowe rzeźby niedźwiedzi i orłów, i prowadzili odwieczne boje z miejską komisją do spraw zagospodarowania przestrzennego, żeby umieścić na domkach anteny satelitarne.

Nick zrobił ostry skręt w lewo, wjechał do przydrożnego rowu, ale zaraz z niego wyjechał. Evelyn z niepokojem spojrzała na Scota, który prawie uderzył głową o dach samochodu.

Za ostatnim zakrętem, u podnóża góry, Evelyn zauważyła gościnny drewniany hangar na łodzie – brązowy, z zielonymi framugami okien. Dom Hackingów w Lake James był częścią wielkiego obozu w Adirondack, jednego z wielu zbudowanych przez baronów kolejnictwa, bankowości i przemysłu drzewnego pod

koniec XIX wieku. Początkowo był to obóz strzelecki z osobnymi namiotami na platformach, które służyły do gotowania, spania i picia. Kiedy kobiety z wyższych klas znudziły się niemodnymi już kurortami Saratoga Springs i Cape May i zaczęły dołączać do mężów w Adirondack, namioty zmieniono w drewniane domy. Wciąż jednak miały ten chropowaty, rustykalny klimat, który miał przekonać gości, że nadal mieszkają na łonie natury.

Tylko kilka budynków zachowano w całości. Dom Hackingów do nich nie należał. Główny budynek mieszkalny służył kiedyś jako stajnia. Hangar na łodzie był imponujący, miał trzy doki – dwa zadaszone i jeden otwarty – i sypialnie na górze. Pozostałe części pierwotnego obozu były odcięte od parceli Hackingów kępami drzew.

Kiedy przyjechała tu po raz pierwszy, padał deszcz i szalała burza. Zanim poszła na przyjęcie na cześć Prestona, ześlizgnęła się na werandę hangaru. Patrzyła na chude sosny, których pnie przez pierwsze sześćdziesiąt stóp były łyse i kończyły się grubymi maźnięciami zieleni, jak na japońskich obrazach malowanych na jedwabiu. W panującej wokół szarówce widziała tylko kilka świateł domów po drugiej stronie jeziora, a jedynym dźwiękiem był stukot kropli deszczu o drewnianą balustradę i dok. Przez chwilę wydawało jej się, że wszystko jest pogrążone w ciszy.

Potem poszła na imprezę. Starszy brat Prestona, Bing, zaprosił kilku przyjaciół. Byli pijani i kłócili się o rugby. Dziewczyny były ładne, złośliwe i sypały żartami, których nie rozumiała. Nick Geary, którego spotkała wcześniej kilka razy, cały czas mówił do niej Sarah. Matka Prestona siłą zaciągnęła ją do pomocy przy regatach, ona źle otaklowała jedną z łodzi i została publicznie zrugana przez panią Hacking. Później uczestniczyła w jednej kolacji na jeziorze za drugą i bez wątpienia była tam piątym kołem u wozu. Wszyscy mieli na sobie wyszywane paski w wieloryby. Wszyscy, tylko nie ona.

Tym razem miała pasek w wieloryby – nigdy wcześniej niezakładany prezent urodzinowy od Babs – i była przygotowana. Na końcu kamiennej ścieżki, po lewej stronie, dostrzegła krawędź głównego budynku. Otworzyła drzwi i wyskoczyła z samochodu. Wyjęła torbę z bagażnika i ruszyła w stronę szerokich kamiennych schodów wiodących do kuchni.

Hamilton, chart szkocki rodziny Hackingów, nazwany tak na cześć Alexandra Hamiltona i znany z tego, że zawsze trzeba było go odbierać z domów sąsiadów, kiedy pojawiał się na ich terenach nadbrzeżnych po długich, samowolnych wycieczkach wpław, otworzył pyskiem drzwi z moskitierą i trącił ją nosem na powitanie. Weszła za nim do kuchni. Preston siedział na stołku przy centralnej wyspie i ogładał pod światło kiść winogron.

– Ooo. Witam serdecznie, Evelyn Beegan – powiedział, wstając. Miał na sobie wyjątkowo starą różową koszulę typu oxford, ciemne spodnie khaki i aksa-

mitne mokasyny z monogramem i wielką, wygryzioną przez mole dziurą w miejscu małego palca lewej nogi. Potrząsnął jej kciukiem przed nosem. – Masz ochotę na winogrono?

– Nie, dzięki – odparła i usiadła miękko na stołku. W całej kuchni nie było ani jednego naczynia, czystego lub brudnego, tylko miska owoców, która wyglądała jak gotowa do sesji zdjęciowej.

– Gdzie są twoi koledzy z podróży? I co się dzieje z twoimi włosami? – zapytał Preston.

– Koledzy chyba zaraz przyjdą. A włosy wyprostowałam. Dzięki, że pozwoliłeś mi się wbić. Rekrutacja do People Like Us jest w toku.

– A więc w ten weekend czeka nas dalszy ciąg przedstawienia – odparł Preston i wrzucił do ust winogrono. Wyglądał na rozbawionego. – Pamiętasz Binga.

– Jasne.

– Rozwiódł się.

– Mówiłeś. Bardzo mi przykro.

– Niepotrzebnie. Tak będzie lepiej dla wszystkich. Ale podjął nierozważną decyzję i zaprosił tu na weekend swoją dziewczynę. Pracuje w... – Preston urwał i z premedytacją przeżuwał winogrono – agencji reklamowej. Teraz promuje pomidory w puszkach. Chodziła do... nie jestem pewien. DePaul? DePauw? Na pewno coś trzecioliigowego.

– Czy w DePaul nie mają przypadkiem naprawdę dobrej drużyny piłki nożnej?

Preston utkwiał w niej wzrok. – Piłka nożna? Evelyn...

– To też sport.

– No nie wiem. Proszę, poczęstuj się winogronem. Są bardzo dobre. Ale mają pestki, więc uważaj. Mówi o sobie Chrissie.

– Może dlatego, że tak ma na imię?

Preston się uśmiechnął. – Może. Może i tak. Chrissie spędzi tu weekend i nie mogę powiedzieć, że wszystko pójdzie jak z płatka.

– Od jak dawna się spotykają?

Preston się zastanowił. – Od trzech miesięcy. A właściwie od czterech. Ale nie jest pierwszej młodości i wyraźnie pali się do rozrodu. Popisuje się matczynymi umiejętnościami przy Pip. Pamiętasz moją bratanicę? W niedzielę wezmą razem udział we Fruit Stripe. Pip nie jest z tego zadowolona.

– Fruit Stripe? Regaty? To już w ten weekend? Ja się nie muszę ścigać, prawda?

– Zawsze jest taka możliwość. Wiesz, że jeżeli matka cię zwerbuję, nie będziesz mogła odrzucić jej propozycji.

– Pres, kiedy byłam tu poprzednim razem, twoja matka prawie mnie deportowała, bo źle zawiązałam węzeł.

– Jesteś ze Wschodniego Wybrzeża. Powinnaś być dobra w te klocki.

– Tak. Moja matka też tak mówi, ale rok po roku udawało mi się unikać obozów żeglarskich. A więc ta Chrissie żegluj?

– Fruit Stripe zmienia się co roku. Fundator wybiera dyscyplinę. Żeglarstwo, wioślarstwo, kajakarstwo. Same sporty wodne, rzecz jasna. O ile wiem, Chrissie jest doskonałą kajarką – pochodzi z Zachodniego Wybrzeża – i matka spodziewała się, że będzie czarnym koniem, ale po raz kolejny stanęło na żeglarstwie, nie na kajakarstwie. No i tyle.

– Twoja matka nie będzie zadowolona z przeciętnego występu w wodnej dyscyplinie.

– Zgadza się. Bing też nie. To ich od siebie odsunie. I być może właśnie o to chodzi. Nastawiam się na ciekawe widowisko.

Hamilton musnął nosem łydkę Prestona i do kuchni weszli Nick i Scot. – Miło cię znów widzieć, stary – powiedział Preston do Scota, zmieniając ton na twardy i męski.

Po drugiej stronie domu trzasnęły drzwi i do środka wbiegła pani Hacking z plikiem papierów w ręku. Jej siwe, kręcone włosy były upięte spinkami nad uchem. Evelyn nigdy nie widziała jej w niczym innym niż w nadającym się na każdą pogodę stroju, w którym mogłaby zarówno naprawiać motorówkę, uczestniczyć w posiedzeniu komisji, jak i żwawo spacerować z Hamiltonem wokół jeziora. W norweskim swetrze L.L. Bean i sięgających do kostek spodniach w kolorze khaki nie rozczarowywała i tym razem.

– Witam wszystkich! Hamilton, siad. Cześć, Evelyn, w tym roku znów odbywa się Fruit Stripe, więc nie będziesz pomagała przy takielunku. Ty na pewno jesteś Scot, witaj. Nick, dzięki, że ich podwiozłeś. Idę na spotkanie Fruit Stripe, a potem będę musiała wpaść do miejskiej biblioteki, zanim ją zamkną. Preston, zadzwonisz do bibliotekarki i poprosisz, żeby poczekała na mnie do szóstej piętnaście? Drinki będą o szóstej trzydziści, kolacja o ósmej.

W Bostonie, gdzie rodzice Prestona mieszkali przez większą część roku, pani Hacking dołączyła do grona weteranów w bardzo zaciętej drużynie wioślarskiej Mamy Mildred i zaczęła trenować podnoszenie ciężarów. Była doskonałą ogrodniczką i ostatnio zapisała się na kurs architektury krajobrazu. Miała dobrą pamięć, co udowodniła, przypominając wpadkę Evelyn sprzed lat. Była surową gospodynią i jedną z najbardziej skutecznych fundraiserek w czasie kampanii Mitta Romneya, kiedy ubiegał się o urząd gubernatora. Jedyną rzeczą, którą się nie zajmowała, było zmywanie naczyń.

Zadzwonił telefon. Pani Hacking odebrała i zaczęła się kłócić o to, ile tacek crudités potrzeba na Fruit Stripe. Evelyn zajrzała do dużego pokoju. Pan Hacking siedział przy kominku z grubą książką w twardej oprawie, a Bing, rubaszny, ciastowaty typ, był odwrócony w stronę pokoju i opowiadał o klubie Porcellian, ale naj-

wyraźniej nikt go nie słuchał.

Blisko okna z widokiem na werandę i idealnie spokojne jezioro krążyła kobieta o rudych włosach, spiętych w cienki koński ogon. Wyglądała na niespokojną i mówiła do ośmioletniej Pip, która siedziała skulona na krześle z zamkniętymi oczyma: – Myślisz, że powinnam trenować? Boję się, że spadnie deszcz. W prognozie podawali, że będzie padało wcześniej, ale nie padało, powinnam wyprowadzić łódź, ale wygląda, jakby zaraz miało się rozpadać. Nie masz wrażenia, że wygląda, jakby zaraz miało się rozpadać?

Evelyn nie musiała pytać Prestona, aby wiedzieć, że to Chrissie. Zanotowała w pamięci całą sytuację, a następnie znów spojrzała na panią Hacking, która mówiła do słuchawki, unosząc palec do góry. – Margot, w tym roku startują trzydzieści trzy łodzie, trzeba zatem wyżywić co najmniej sześćdziesiąt sześć osób. Dobrze, dobrze. Znakomicie.

Zakończyła rozmowę i zaklaskała w dłonie. – A więc tak. Evelyn, ty będziesz na drugim piętrze w pokoju do pisania, a Charlotte w pokoju obok. Nick i Scot, przykro mi, ale w ten weekend zajmiecie pokój dla służby, na tyłach domu. Po prostu mamy więcej zgłoszeń niż miejsc.

Evelyn zdała sobie sprawę, że powinna odpokutować za błąd z takielunkiem, jeśli chciała otrzymać pomoc w werbowaniu nowych członków PLU. – Ja z chęcią zamieszkać w pokoju dla służby, jest naprawdę uroczy. Poza tym Scot jest tu pierwszy raz, powinien mieć pokój z widokiem. Charlotte i ja zajmiemy pokój dla służby. Naprawdę.

– W porządku. Nie powiem, żeby ktokolwiek inny zgłaszał się na ochotnika – powiedziała pani Hacking, spoglądając na nią nowym wzrokiem. Nachyliła się do dużego pokoju i popatrzyła znacząco na Chrissie. – Dobrze. Dziękuję.

Evelyn podniosła torbę i przeszła z kuchni do spiżarni, a stamtąd do pokoju dla służby. Słyszała jeszcze, jak pani Hacking mówi: – Chrissie, przestań się zadreżczać pytaniem, czy wypływać, i po prostu to zrób. Dobrze?

Pokój miał bielone wapnem ściany. Prawie całą przestrzeń zajmowały dwa łóżka. Na krańcu jednego z nich leżała wielka skórzana torba podróżna. Prawdopodobnie należała do Nicka. Usłyszała za sobą jego ciężkie kroki.

– Cześć – powiedział. – Dziękuję. To byłoby gejowskie, gdybym musiał spać ze Scotem.

– Obowiązek gościa – odparła, unosząc rękę do góry.

Nick coś odburknął, wziął torbę i wyszedł.

Zapadał zmierzch, słychać było krakanie i trajkotanie ptaków, przekazujących sobie informacje o kolacji i wymieniających uwagi o tym, dlaczego w gnieździe panuje taki bałagan. Charlotte chichotała, widząc, jak Evelyn wkłada białe spodnie i granatowy sweter o warkoczowym splocie. Kiedy dodała do tego sznur pereł, Charlotte opadła ze śmiechem na łóżko. – No daj spokój – zawyła.



– Myślę, że wyglądam wspaniale – powiedziała Evelyn, szczerząc zęby do lustra i zakładając naszyjnik obrozę.

Charlotte zaczęła wymachiwać nogami w powietrzu – podeszwy stóp miała brudne, bo przez całe popołudnie ganiała się z Hamiltonem po trawie i na zmianę uciekali do wody. Słyszając, jak hałasują, pani Hacking kazała jej uważać, żeby pies za bardzo nie szalał. Charlotte uniosła dwa kciuki do góry, po czym dalej goniła Hamiltona. Zawsze miała wystarczająco dużo pieniędzy, żeby nie przejmować się swoim zachowaniem. Jej ojciec był jednym z czołowych dyrektorów marketingu w Procter & Gamble. Specjalizował się w rynkach globalnych, więc jako dziecko często przerywała naukę w przedszkolu w Cincinnati, żeby zamieszkać na przykład w Hongkongu, Rosji czy Chile. Mówiła płynnie po kantońsku, arabsku, francusku i hiszpańsku, niezłe po turecku i rosyjsku, i potrafiła się dogadać w jeszcze około dziesięciu innych językach. Kiedy wyciągała Evelyn do którejś z etnicznych restauracji w mieście, koniecznie chciała składać zamówienie w danym języku. Dorastała w bogatych wspólnotach ekspatów, chodziła do eleganckich międzynarodowych szkół i miała mnóstwo pieniędzy, ale nie uważała, że to dzięki majątkowi ludzie są interesujący.

Jej ojciec, który skończył Harvard Business School, był ogromnie dumny z córki, która jako pierwsza z trójki dzieci Macmillanów ukończyła na Harvardzie studia pierwszego i drugiego stopnia. Charlotte lubiła poczucie władzy płynące z bycia jedyną kobietą wśród mężczyzn, bez względu na to, czy chodziło o sparing z braćmi, częste loty samolotem z grubymi rybami, wygrywanie z ojcem olbrzymich sum w gonitwie Belmont Stakes, czy bycie jedyną kobietą obecną przy finalizowaniu lukratywnej inwestycji w Graystone. Evelyn domyślała się, że zarabia od dwustu do czterystu tysięcy dolarów rocznie. Mimo to mieszkała w wyposażonej w meble z Ikei suterenie w Midtown, bo miała stamtąd pięć minut spacerem do biura, a ubierała się przede wszystkim w Gapie.

Cztery lata w Sheffield to najdłuższy okres, jaki spędziła w jednym miejscu, zatem Preston i Evelyn automatycznie stali się jej najbliższymi przyjaciółmi. Brakowało jej czasu na rozwijanie życia towarzyskiego, więc robiła to samo, co oni. Kiedy jeździli do miejsc takich jak Lake James, odpowiadało jej to. Przez całą młodość brała udział w wydarzeniach dla bogatych ludzi z innych niż jej kręgów kulturowych i bez problemu mogła to robić nadal.

– Zapomniałam ci wspomnieć – powiedziała Evelyn, zmagając się z zapięciem naszyjnika. – Phil Giamatti podczas Sheffield-Enfield praktycznie sugerował, że Pres jest gejem. Przy nim.

– Naprawdę? – odparła Charlotte. – Szkoda, że nie widział, jak Pres wkładał język do gardła tej dziewczynie w Dorrian's. Wtedy, kiedy całą sobotę spędziliśmy w Boathouse.

– To było dwa lata temu – stwierdziła Evelyn.

– No i co z tego?

– O ile wiem, od tamtej pory z nikim się nie całował. Nie jestem pewna, czyby to ujawnił, gdyby rzeczywiście był gejem. Jego rodzina ma bardzo surową wizję tego, kim powinien być, a dokładniej rzecz biorąc: on sądzi, że mają taką wizję. Rzecz w tym... – urwała, widząc, że Charlotte skubie sobie stopy. Przypomniała sobie, że ona również od roku czy dwóch z nikim się nie spotykała. Poczerwieniała i poczuła się jak jeszcze większa idiotka, kiedy przypominała sobie zdarzenie z udziałem Charlotte i Prestona, o którym nigdy nie rozmawiali. W pewien weekend, kiedy jeszcze chodzili do college'u i spotkali się w Nowym Jorku, po całonocnym picciu wylądowali w lobby hotelu Royalton. Evelyn wychodziła właśnie z łazienki, kiedy zobaczyła, że Charlotte przyciąga Prestona do siebie i mocno całuje w usta. Zamarła, bo Charlotte po chwili nachyliła się ponownie i chciała więcej, ale Preston się odsunął, poklepał ją przyjaźnie po głowie i zaproponował wodę. Kiedy otrząsnęła się z szoku i do nich dołączyła, oboje siedzieli wygodnie w głębokich białych fotelach i rozmawiali o tym, gdzie Preston mógłby kupić cygara. Żadne z nich nigdy nie wspomniało o tym zdarzeniu. Preston tak wiele rzeczy zachowywał dla siebie, że nie była to niespodzianka, ale Evelyn zastanowiło, jak wiele ten pocałunek znaczył dla Charlotte, skoro nigdy o nim nie wspomniała.

– Tak czy inaczej, nie jestem pewna, czy jego opinia na ten temat jest nam do czegokolwiek potrzebna. Dziękuję, postoję – powiedziała Evelyn.

– Daj, bo zepsujesz – Charlotte wstała, żeby pomóc jej zapiąć naszyjnik. – Myślę, że Preston po prostu nie jest zainteresowany tym całym randkowaniem.

– To prawda – odparła Evelyn. – To prawda.

– Chcesz wiedzieć, co według mnie najbardziej go gryzie? Brak normalnej pracy.

– Dobra robota z zapinką, Char – powiedziała Evelyn, lekko poprawiając naszyjnik. – Pres nie zarządza finansami rodziny?

– „Niezależny inwestor”, co? Uwielbiam Prestona, ale to współczesny odpowiednik flanera, salonowca czy kogoś w tym rodzaju. Jeden z tych bogatych chłopaków, którzy szukają rozrywki.

– Ale jest bystry.

– To prawda. Zgadza się. Jest superbystry, ale ponieważ nie musi pracować, nie ma jak tego wykorzystać.

– No tak, klątwa pieniądza.

– No. Ciężkie życie. To co? Gin z tonikiem na werandzie hangaru? – zapytała ze śmiechem Charlotte i włożyła japonki. Evelyn ruszyła w stronę hangaru boczną ścieżką. Charlotte w podskokach szła przed nią. Słońce wreszcie wyszło zza chmur, w sam raz na złotą godzinę. Promienie padały na szczyty gór po drugiej stronie jeziora, spowijając wszystko i wszystkich hollywoodzkim różowo-złotym blaskiem. Preston stał za drewnianym barem w rogu werandy i mieszał drinki.

Chrissie w końcu postanowiła wypłynąć żaglówką na jezioro. Popelniła błąd – za późno się zdecydowała, co oznaczało, że przegapi drinki, a pani Hacking będzie na nią jeszcze bardziej zła niż dotychczas. Pozostali wchodzili w swoje role: Preston – uważnego gospodarza, Nick – zgryźliwego kolegi, Charlotte – twardej singielki, Bing – hałaśliwego uczniaka, pan Hacking – cichego intelektualisty, Chrissie – osoby, przeciwko której wszyscy zgodnie się sprzymierzili. No i Evelyn – wzór miłego gościa.

– Jak tam, Evelyn, wykończyła cię podróż pociągiem w towarzystwie Scotta?  
– zapytał Nick. – Jestem zaskoczony, że wciąż reagujesz na sygnały werbalne.

– Myślałam, że to twój przyjaciel – odparła Evelyn.

– Scot to po prostu człowiek, którym Nick sam chciałby być – odezwała się Charlotte. – Pres, przygotujesz Ev małą pychotkę?

– Ja pierdołę, Hillary, to nie jest człowiek, którym chciałbym być – powiedział Nick. Evelyn zdążyła już zapomnieć, że Charlotte miała takie przezwisko, po Hillary Clinton.

– Mów sobie, co chcesz. To tylko kwestia czasu. Scotta uwielbiają w Morgan Stanley. Jest protegowanym Davida Greenbauma. Nick pomyślał, że zaprosi go na weekend i pokaże mu, jak wygląda sportowe życie – odpowiedziała Charlotte i zasmakowała teatralnie.

– Kim jest David Greenbaum? – zapytała Evelyn.

– Szefem grupy medialnej, do której Nick próbuje się dostać. Greenbaum prawdopodobnie będzie kolejnym prezesem Morgan Stanley, a któregoś dnia zostanie ministrem skarbu.

– Chcesz robić w mediach, Nick?

– Chcę robić we władzy – odparł Nick.

Evelyn spojrzała na Charlotte szeroko otwartymi oczami. Właśnie dlatego z reguły go unikała.

– Chłopak jest z Arizony i pewnie nigdy nie widział jeziora. Pomyślałem, że mogłoby być miło. Mały Fundusz Świeżego Powietrza.

– Nie sądzę, żeby wiceprezes Morgan Stanley potrzebował twojego Funduszu, Nick – wymamrotała Charlotte.

– Nikt cię nie pytał o zdanie, Hill. Evelyn, ostatnio stroniłaś od życia towarzyskiego. Co nowego u ciebie?

Evelyn nienawidziła tego pytania. Rzadko działo się u niej coś nowego, o czym mogłaby opowiedzieć – chyba że chciałyby dyskutować o tym, czy powinna kupić kanapę Crate & Barrel z obiciem piaskowym czy śnieżnobiałym. Ale tym razem była przygotowana. – Niedawno dostałam nową pracę – powiedziała.

– Naprawdę? Jaka szkoda. Właśnie miałem ci przedstawić pomysł na książkę. Chcesz posłuchać? Jest o tym, dlaczego Ben Bernanke jest do dupy.

– No więc... – zaczęła Evelyn. W firmie wydającej podręczniki zajmowała się marketingiem. Badała trendy rynkowe i przygotowywała prezentacje dla klientów, ale bez względu na to, jak często tłumaczyła to Nickowi, za każdym razem, kiedy się spotykali, referował jej swoje beznadziejne pomysły na książki biznesowe. – Chodzi o całkiem interesującą stronę internetową. Działamy w trybie niewidzialności, więc nie mogę zdradzić zbyt wiele.

Słyszała, jak Arun, mówiąc o stronie, wspomina o trybie niewidzialności. Uznała wtedy, że to brzmi absurdalnie, ale podejrzewała, jak się okazało słusznie, że to wzbudzi zainteresowanie Nicka.

– W trybie niewidzialności? – odparł. – Mów.

– Muszę uważać na to, co powiem, bo nasz sponsor jest na świeczniku, ale wyobraź sobie superelitarną wersję Facebooka. Przepraszam na chwilę.

Zostawiła Nicka samego, licząc na to, że rozbudziła jego apetyt. Podeszła do Charlotte, która stała na palcach przy barze i rozmawiała z Prestonem.

– Piwo? Mamy Ubu, ale ostrzegam, że zawartość alkoholu jest taka jak w mocnych trunkach – powiedział Preston.

– Gin z tonikiem – odezwała się Evelyn.

– Gin z tonikiem? – powtórzył Preston, wyraźnie zaskoczony.

– Tak – potwierdziła. Widziała pytające spojrzenie Charlotte, ale je zignorowała. Nagle rozległ się huk. Scot najwyraźniej się potknął i chwycił drzwi. Czerwony na twarzy trzymał się cienkiej drewnianej ramy z moskitierą.

– Co o nim wiesz? – zapytała cicho Evelyn. Preston kroił limonkę, a pozostali udawali uprzejmie, że niczego nie zauważyli.

– O Scocie? – odparła Charlotte. – Właściwie to go nie znam, ale jest naprawdę bystry. W Graystone zatrudniliby go od razu. Licencjat zrobił w jakimś dziwnym miejscu, Harvard Business School ukończył kilka lat przede mną. Tam przez jakiegoś profesora poznał Greenbauma. Nie pamiętam całej historii, ale Greenbaum go zatrudnił i z miejsca zaoferował mu stanowisko wiceprezesa. Ma się rozumieć, że jest singlem. Specjalizuje się w analizie transakcji. Nick go nie znosi, bo Scot jest teraz o szczebel wyżej od niego, ale jest na tyle bystry, żeby przeciągnąć go na swoją stronę. Jawne lizusostwo.

– Hmm – Evelyn zwróciła się do Prestona. – Mógłbyś zrobić dwa giny z tonikiem?

Weszła w krąg światła i starała się przybrać łagodny wyraz twarzy.

Charlotte prychnęła na widok jej błogiego uśmiechu. – Ev, dlaczego wyglądasz jak opętana?

– Nie opętana, droga Charlotte. Jestem w trybie rekrutacji.

Wiedziała, że w którymś momencie w PLU będą potrzebowali dobrze zapowiadających się ludzi. Uznała, że dobrze by było przynajmniej nawiązać kontakt. Ze świeżym drinkiem w dłoni podeszła do Scota i mu go zaproponowała. – Pomy-

ślałam, że chętnie się czegoś napijesz po długiej podróży pociągiem – powiedziała.

– O rety. Dzięki. Dziękuję – oplótł szklanek wielkimi palcami. Trochę płynu wylało się na dłoń Evelyn. Uznała, że nie będzie go strząsać, żeby nie poczuł się jeszcze bardziej niekomfortowo. – Spóźniłem się, bo myślałem, że psie przysmaki Hamiltona to ciasteczka, i kilka z nich zjadłem – wypalił.

Evelyn posłała mu uśmiech, który mówił: każdemu się to zdarza.

Kolację podano na długim, drewnianym stole. Ustawiono na nim rogowe świeczniki i ułożono podkładki z motywami myśliwskimi, a wszyscy siedzieli na sztywnych krzesłach z drewna i wikliny. Evelyn pomyślała, że wykorzysta tę okazję, aby poćwiczyć. Kolacja z ludźmi z bogatych rodzin oznaczała serię przeszkód, które musiała pokonać, jeżeli chciała tu zwerbować nowych użytkowników serwisu. Pamiętała wiele zasad etykiety, które matka wpajała jej, odkąd przeprowadzili się do Sag Neck. Flirtując z sędziwymi sąsiadami, siedzącymi po obu jej stronach, uruchomiła pamięć mięśniową i nabierała zupę łyżką od siebie.

Mimo to czuła się jak intruz. Wciąż towarzyszył jej strach, że użyje niewłaściwego widelca, zbyt gwałtownie sięgnie po sól czy popełni jakiś inny błąd, nawet o tym nie wiedząc. Tak jak siedzący na przeciwnym rogu Scot, który co chwilę zaliczał spektakularne wpadki. Evelyn zakładała, że spędził wystarczająco dużo czasu w Harvard Business School i na firmowych kolacjach, żeby przyswoić sobie zasady panujące w tym gronie, ale patrząc na niego, odkryła, że nie jest świadomy swojej niewiedzy. Jako pierwszy podniósł widelec i zatopił go w przystawce, co sprawiło, że kilka chwil później pani Hacking powiedziała głośno: – Podniosłam widelec. – Posmarował masłem całą kromkę. Podał solniczkę bez pieprzniczki. Kiedy zaserwowano solę, nie miał pojęcia, co zrobić z nożem do ryb, i zostawił go obok talerza. Patrząc, jak reszta gości oddziela mięso od kręgosłupa za pomocą noży do ryb, pomyślała, że częścią tej gry jest chęć udowodnienia, że wszyscy znają te same zasady, że każdy z nich dorastał w takiej samej posiadłości i co wieczór używał noża do ryb. Tak oczywiście nie było – nikt już tego nie robił – ale wobec braku prawdziwej arystokracji w Ameryce, aspirującym do klasy wyższej pozostawało tworzyć kodeksy zachowań i systemy oparte na wyłączości. Zastanawiając się, jak jej idzie, oddzieliła nożem delikatny płat ryby od kręgosłupa, po czym odwróciła się do pana Desrochersa, żeby zapytać, jak w ciągu ostatniej dekady zmieniło się wydobywanie rudy żelaza.

Kiedy jedli deser, Scot wbił swoją łyżkę w tort czekoladowy, a potem wlał mleko do szklaneczki espresso, na co siedzący po jej lewej stronie pan Van Borgh zareagował ostrym kaszlnięciem.

Wkrótce jednak Scot zapunktował przynajmniej u pana Hackinga, bo odrobił pracę domową.

– Shuh-shuh-gah jest jednym z tych wielkich obozów? – zapytał.

– Kiedyś było – odparła pani Hacking. – Zostało podzielone i sprzedane

w częściach, kiedy Levelingowie potrzebowali pieniędzy.

– Jutro zobaczymy jeden z wielkich obozów – odezwał się pan Hacking, który był jeszcze szczuplejszą wersją Prestona i nie licząc partyjek golfa, spędzał na świeżym powietrzu tak niewiele czasu, jak się tylko dało. Brał do ust kawałki tortu, które zmieściłyby się na łyżeczce dla lalek, a potem przeżuwał każdy z nich tak delikatnie i powoli, że Evelyn zaczęła się obawiać, iż kolacja przedłuży się o kilka godzin. – Obóz Sachem. Tam odbędzie się kolacja z okazji Fruit Stripe.

– Czytałem o tym obozie – powiedział Scot, wyraźnie podekscytowany. – Należał do Rockefellerów, prawda?

– Dziękuję, że nie przewróciłeś krzesła – odezwała się pani Hacking, a jej mąż natychmiast przestał się na nim bujać.

– Nie, masz na myśli Wonundrę – odparł. – Właścicielami Sachemu byli między innymi Stokesowie, dynastia kupiecka. Wszystko odziedziczyła córka, która potem wżeniła się w rodzinę Henningów, a oni oczywiście...

– Majątek Beech Nut! – zawołał Scott, który nie mógł opanować ekscytacji.

Pan Hacking wyglądał na ogromnie zasmuconego tym, że ukradziono mu puentę, i tylko pokiwał ponuro głową.

– To był wielki majątek – włączył się pan Van Borgh, a jego głos brzmiał, jakby dobiegał spod warstw flegmy. Evelyn starała się osłonić swój kawałek tortu. – Zbudowali dużą część kanału Erie. A dziewczyny Henningów zawsze dobrze wychodziły za mąż. Vanderbilt tu, Hunt tam. Ograniczenie reprodukcji było według mnie dobrym posunięciem. Zostawili wszystko w rodzinie.

– Co pan ma na myśli? – spytała Evelyn.

– Primogeniturę. Henningowie poprzestawali na jednym dziecku na pokolenie. To jeden z powodów, dla których posiadłość nigdy nie została podzielona pomiędzy zwaśnione rodzeństwo. Bezpośrednie dziedziczenie. Bez żadnych ceregieli. Sachem *über alles*. I o to właśnie chodzi.

– Chwileczkę – powiedziała Charlotte. – Ograniczyli liczbę dzieci, żeby mogli utrzymać obóz w jednym kawałku?

– Tak. Całkiem mądre. Oczywiście Souse, obecna właścicielka obozu, nie zastosowała się do tego. No, ale przynajmniej miała dwie dziewczynki, a nie dwóch chłopców. Mniejszy kłopot. Żeglujesz, moje dziecko? – zapytał pan Van Borgh.

Charlotte wydawała się zaskoczona tym, że rozmowa przyjęła taki obrót. – Niespecjalnie. To znaczy, potrafię, ale...

– Fruit Stripe to także spuścizna po Henningach. Souse prowadzi ten biznes. Powinnaś wystartować w niedzielę.

– Fruit Stripe? Tak, jak ta guma do żucia?

– To guma firmy Beech-Nut – powiedział pan Hacking. – Lata temu firma sypnęła gotówką, kiedy Souse zagroziła, że jeśli nie sfinansują regat, będzie się

ubiegała o miejsce w zarządzie.

Evelyn nagle coś sobie przypomniała i odwróciła się do pana Van Borgha.

– Beech-Nut – powiedziała cicho. – Czy oni mają coś wspólnego z Camillą Rutherford?

– Tak, tak – odparł chrapliwie pan Van Borgh. – To jedna z córek. Camilla jest starsza, a Phoebe młodsza.

Evelyn oblizwała wargi, zaskoczona dreszczem ekscytacji, który poczuła. Camilla była jej głównym celem na ten weekend. Choć nie wykonała prawie żadnej pracy, udało jej się znaleźć dojście do niej. Wiedziała, że jeśli zwerbują Camillę Rutherford, Arun i Jin-ho zyskają pewność, że zatrudnili właściwą osobę. – A zatem Fruit Stripe należy do nich? Do Rutherfordów?

– Tak. To zawsze były zawody Souse i to ona wybiera dyscyplinę na dany rok. Letnicy w Lake James powinni posiadać wszelkiego rodzaju łodzie. Któregoś razu Souse wybrała łódkę wiosłową typu Adirondack. Tylko niektóre posiadłości je miały i mogły wystartować. Souse co roku decyduje nawet o tym, w który letni weekend mają się odbyć regaty. Jeżeli odbywają się w maju, tak jak teraz, to koszmar dla biednych uczestników. Jest tak zimno. Sam wolę Fruit Stripe w sierpniu – powiedział pan Van Borgh.

– Nie dziwię się – powiedziała Evelyn.

To oczywiste, że ludzie należący do tego świata wciąż będą zmieniać zasady swoich wyścigów, pomyślała.

## Rozdział czwarty

### Obóz Sachem

W sobotę Evelyn obudziła się o ósmej. Nikt inny nie był jeszcze na nogach, czy raczej: ci, którzy wstali, poszli osiągać jakieś rozwijające cele. Charlotte była zaganiana, a w kuchni obok wielkiej miski owoców, termosu z kawą i apetycznego chleba z orzechami włoskimi pani Hacking zostawiła karteczkę z napisem: „Proszę się częstować”. Przeżuwając kawałek chleba, Evelyn wertowała leżący obok „Journal” i próbowała się ustawić w pozycji interesującej rozmówczyni przed dzisiejszym wieczorem. Nie była pewna, o czym będą chcieli rozmawiać Camilla i jej podobni. Przejrzała artykuł o chwiejącym się rynku nieruchomości i zagrożonych podmiejskich osiedlach, zwłaszcza w Arizonie i Kalifornii. Następny w kolejności był artykuł doradcy finansowego o tym, dlaczego kredyty hipoteczne ze zmiennym oprocentowaniem są odpowiednie dla konsumentów o średnich dochodach. Na końcu był dział Rynek i artykuł o Walmarcie, który zachęcony sytuacją ekonomiczną próbował zawalczyć o zamożniejszych klientów droższym mlekiem, czystszyimi alejkami i designerskimi ciuchami. Powtórzyła sobie w głowie główne punkty każdego z artykułów, jak w Sheffield, kiedy uczyła się na pamięć Marlowe’a, a potem starannie złożyła gazetę, żeby wyglądała na nietkniętą, i odłożyła na miejsce.

Po powolnej partyjce golfa, która zajęła prawie cały dzień, umierała z głodu. Całą grupą mieli teraz pojechać na przyjęcie do Obozu Sachem. A może na kolację – nie była w stanie dokładnie określić, co zaplanowano na wieczór. Zaproszenia w Lake James zawsze były niejasne. „Drinki” mogły oznaczać kieliszek wina albo oficjalną pięciogodzinną kolację, obfitującą w toasty i opowieści o wyczynach w szkołach z internatem. Zastanawiała się, czy gospodynie nie podejmują decyzji na miejscu, oceniając wytrzymałość gości i na tej podstawie rozstrzygając, czy kwalifikują się do pełnoprawnego posiłku.

Charlotte, która po grze urządziła sobie krótką kąpiel w jeziorze, wbiegła pod prysznic, zostawiając przepocone ubrania i mokry kostium kąpielowy na podłodze między łózkami. Evelyn wsunęła je palcem u nogi pod jej łóżko i po raz ostatni przejrzała się w lustrze. Zdjęła z głowy opaskę, a potem, w ostatniej chwili, wcisnęła się w limonkową sukienkę Lilly Pulitzer, którą przywiozła.

Usłyszała, że pani Hacking wyjmuje ubrania z suszarki. Wyszła z pokoju, podeszła do drzwi pralni i zapukała we framugę, żeby zaznaczyć swoją obecność.

– Witaj, Evelyn – powiedziała pani Hacking. Trzymała całe naręczce prześcieradeł. – Właśnie szykowaliśmy się do wyjazdu. Mam pewne opóźnienie.

Była ubrana w dwurzędową marynarkę z mosiężnymi guzikami i białe



spodnie, jak wzbudzający zaufanie kapitan statku.

– Co mogę zrobić? Zanieść gdzieś te prześcieradła? – zapytała Evelyn. Ten dzień już był drogi. Ktoś musiał zapłacić za kolacje, wycieczki i drinki, i bała się, że dla wszystkich powoli staje się oczywiste, iż tym kimś ani razu nie będzie ona. Preston kupił kartę wstępu na pole golfowe, Char zapłaciła za wynajęcie kijów, Scot za lunch w klubie, a Nick za kolejkę drinków. Chrissie jako dziewczyna Binga nie musiała za nic płacić. Butelka Veuve, która kosztowała Evelyn 90 dolarów, stała się żalosa, kiedy się okazało, że Hackingowie mają w spiżarni dwie skrzynki tego wina. Sięgnęła po prześcieradło i zanim pani Hacking zdążyła zaprotestować, zaczęła je składać. Wiedziała, że skoro nie pokryje pozostałych kosztów, musi zaproponować, że to odpracuje. Znała swoje miejsce w szeregu: będzie się zgłaszała na ochotnika do kiepskich pokoi, pomagała z praniem i zmywała naczynia, tak jak zeszłego wieczoru.

Gdy skończyła składać prześcieradła, zgodnie z poleceniem pani Hacking wyłożyła na tacę parmezanowe paluszki z pudełka znalezionej w spiżarni i poszła zanieść je do doku. Kilka metrów dalej zobaczyła Nicka i Prestona. W okularach przeciwsłonecznych i mokasynach bez skarpetek zbiegali w kierunku wody po niskich kamiennych stopniach. Kiedy już cała grupa znalazła się na dole, gdzie unosił się ostry zapach benzyny, pan Hacking, instruowany przez panią Hacking, odepchnął Chris-Craft od doku i wskoczył do środka. Bing poszedł gdzieś z kolegami z Tuck, a Pip uparła się, że zostanie w domu, choć kiedy Chrissie ogłosiła, że chętnie się nią zajmie i mogą pograć w scrabble, wyglądała, jakby żalowała tego wyboru.

Scot siedział na podłodze, przyciskając długie nogi do osłony silnika. Charlotte siedziała niepewnie na burcie. Kiedy pani Hacking powoli wycofywała łódź z hangaru, a pan Hacking zaczął nalewać wino do plastikowych kubków, Evelyn usiadła obok Charlotte.

– Wszystko idzie zgodnie z planem, Char – powiedziała.

– Masz na myśli PLU? Nie mów, że zwerbowałaś panią Hacking.

– Nie, ale przecież płyniemy do Sachem. To posiadłość Camilli Rutherford, a ona jest naszym celem numer jeden.

– Proszę, proszę, spędza lato w Lake James, jak cudownie – odparła Charlotte, imitując brytyjski akcent. – Kim ona jest?

– Camilla? No cóż, to dosyć skomplikowana historia. Chodziła do St. Paul's...

– Jakżeby inaczej – powiedziała Charlotte i ugryzła serowy paluszek. St. Paul's to był szczyt szyku, jeśli chodzi o szkoły. Charlotte zainteresowała się tą szkołą jeszcze w Sheffield, w czasie zawodów pływackich, kiedy zauważyła, że dziewczyny z ich drużyny mają ręczniki z monogramami. – Twój ulubieniec. Potem poszła do Trinity College. Kiedy była na ostatnim roku, jej rodzice się rozwiedli.

Na pewno o nich słyszałaś. W „Page Six” pisano o tym bez przerwy. Matka ma na imię Susan. Souse. A ojciec to Fritz Rutherford.

– Poczekaj. Rutherford z tych Rutherfordów? To ta sama rodzina, która prawdopodobnie jest w posiadaniu akcji założycielskich J.P. Morgan?

– Ćśś – syknęła Evelyn, wskazując głową Hackingów. – Tak.

– I nasza bohaterka nie mogła nawet ukończyć Trinity? Obozu Trin-Trin?

Evelyn zniżyła głos do szeptu. – W końcu uzyskała dyplom na Hawajach, w Ekwadorze, czy jeszcze gdzieś indziej. Po rozwodzie rodziców uciekła z miasta. Sprawdziłam szczegóły. Najwyraźniej miał on związek z tym, że Fritz nie chciał wspierać Muzeum Guggenheima.

– Nie słyszę. Dlaczego się rozwiedli? – Charlotte najwyraźniej celowo mówiła coraz głośniej.

– Bo Fritz nie chciał wspierać Muzeum Guggenheima – syknęła znowu Evelyn i spojrzała przez ramię, żeby zobaczyć, czy pani Hacking ją słyszała.

– Wszystkim nam się wydaje, że mamy problemy, ale dzięki Bogu nie wyszliśmy za kogoś, kto nie wspiera Muzeum Guggenheima.

– Charlotte, mów ciszej. Ona organizuje eventy dla „Vogue’a”. Myślę, że nawet szefowie PLU będą pod wrażeniem, jeśli uda mi się ją zwerbować.

– Nie bardzo wiem, co powiedzieć, Beegan, ale podoba mi się twoje bojowe nastawienie.

Pani Hacking zwolniła, bo dopływali już do Sachem. Posiadłość leżała na prywatnej wyspie pośrodku jeziora. Scot i Charlotte zaczęli zasypywać pana Hackinga pytaniami o to, jak dokładnie dostarcza się zapasy na prywatną wyspę, ale ich słowa ginęły na wietrze. Mokra amerykańska flaga na dziobie smagała Evelyn po głowie.

Kiedy pani Hacking znów zmniejszyła obroty, a Chris-Craft, burcząc i podskakując, dopływała do doku, Preston wyskoczył i szybko uwiązał ją kilkoma węzłami. Dok był mniej elegancki, niż się spodziewała – tylko platforma z kilkoma ławkami pod drewnianym dachem w kształcie litery V, a obok podskakujący na wodzie długi, cienki dok i kilka przywiązanych do niego motorówek i łódek wiosłowych.

Wysiadła z łodzi pierwsza i próbowała sprawiać wrażenie, że wie, dokąd idzie. Ruszyła ścieżką w stronę konstrukcji na planie litery A, która wyglądała jak wzniesiona z gigantycznych drewnianych klocków Lincoln Logs. Usłyszała za sobą gwizdnięcie.

– Nie tędy, Ev – powiedział Preston.

– To nie dom?

– To tipi.

– To ma być tipi?

Pan Hacking wyprzedził Evelyn na ścieżce pod górę i przyglądał się

domowi, jakby to był rzadki okaz drapieżnego ptaka. – To się nazywa Taipi. Jak w powieści Melville’a. Miejsce, w którym mężczyźni mogli balować. Wystarczająco oddalone od głównego domu, by mogli pić alkohol i palić cygara tak, żeby kobiety się nie dowiedziały. Legenda głosi, że całe wzgórze poniżej jest pokryte szkłem. Domyślasz się dlaczego?

Evelyn poczuła się jak na zajęciach z historii, kiedy nie przeczytała zadanego tekstu. Pokręciła głową.

– Butelki po alkoholu – wyjaśnił tonem wykładu. – Przerzucali je przez barierkę i strzelali do nich.

– Aha – Evelyn spojrzała za siebie w kierunku doku, ale nie widziała innej ścieżki. Podniosła wzrok i jakieś trzysta jardów nad pierwszym budynkiem, na wzgórzu, dostrzegła drugi budynek, wielki i czerwony.

– Czyli to jest główny dom? Tam na wzgórzu?

– Nie – odparł pan Hacking, tym razem zadowolony z uczennicy – ale dobrze zgadujesz. To tak zwany chalet – domek w stylu alpejskim. Henningowie byli oczywiście wielkimi rywalami Bluestadtów, tych, którzy zbili fortunę na drucie kolczastym, a Bluestadtowie mieli dom na wschód od tego, w East Lake. Z domu Bluestadtów widać było tylko szczyt wzgórza w Sachem, gdzie w owym czasie mieściły się kwatery służby – służący mieszkali na górze, bo stamtąd było oczywiście najdalej do jeziora. Henningowie się wściekli, że goście Bluestadtów mieli widok na kwatery służby, więc zbudowali fasadę chaletu, aby goście nie myśleli o nich źle.

– Jez, ależ ci ludzie mieli ego – powiedziała. – Wioska potiomkinowska. Czy raczej potiomkinowski chalet.

– Bardzo dobrze – powiedział radośnie pan Hacking.

– Gdzie w takim razie jest główny dom? – zapytała Charlotte.

– Skorzystaliśmy z hangaru na łodzie dla służby – odparł pan Hacking. – Łatwiej tam znaleźć miejsce, kiedy trwa przyjęcie. Niedaleko jest ścieżka do głównego domu. Całkiem dobrze ukryta.

– Tak. Broń Boże, żeby służący mogli znaleźć swoich państwa – powiedziała Charlotte.

Reszta grupy ruszyła już ścieżką przez las. Po krótkiej chwili ścieżka się urywała, a rosnące w tym miejscu funkie wyznaczały granicę czegoś, co według Evelyn wyglądało jak wymyślny obóz dla skautek.

Na skraju jeziora stała wielka drewniana konstrukcja, przypominająca domek letniskowy. Miała trzy albo cztery poziomy i była wykonana z typowych dla tutejszej okolicy bali, z których odchodziła kora. Kawalek dalej, na jasnozielonym trawniku oznaczonym bramkami do krokieta, stał podobny budynek, mniejszy i bardziej kwadratowy. Po jednej stronie miał coś w rodzaju rotundy z widokiem na jezioro. Za tym wszystkim był kort tenisowy, a dalej kolejne konstrukcje – Evelyn

naliczyła ich sześć. Wielkie czerwone drzwi pośrodku domu były otwarte, ludzie cały czas wchodzili albo wychodzili, pochylali się nad krawędzią tarasu, zbiegali do wody. Dzieci i dorośli śmiali się, rozmawiali, wyglądali na rozluźnionych. Przez chwilę stała w miejscu i czuła, jak rosnąca przy ścieżce trawa łaskocze ją w stopy. Pomyliła się, wybierając sukienkę, tak samo jak matka, która lobbowała na rzecz Lilly. W tym miejscu nie panował styl klubu tenisowego w Vineyard, tu obowiązywał rozsądek rodem z Adirondack. Jedna z kobiet miała na sobie rybacki sweter. Inna spódnicę-szorty. Wyglądały tak rustykalnie jak domy, z których wyszły. Błoto i woda nie mogły zaszkodzić ich ubraniom, wprost przeciwnie. Evelyn uznała, że powinna bardziej ufać swojemu instynktowi.

Scot i pan Hacking też przystanęli, choć z innego powodu.

– Wygląda prawie jak szwajcarski – powiedział półgłosem Scot do pana Hackinga, kiedy przyglądali się głównemu domowi.

– Tak, w tamtych czasach pojęcie Amerykanów o mieszkaniu na łonie natury nie wykraczało poza to, co budowali Szwajcarzy. Ten wpływ widać w belkach i spiczastych dachach. W naszym domu też da się to zauważyć. Zwróć uwagę na wszystkie te rustykalne elementy.

Evelyn spojrzała na poręcze werandy zbudowane z gałęzi, ułożone w eleganckie krzyżujące się wzory, które wykorzystywały ich naturalne krzywizny. Popatrzyła na donice z wydrążonych pni, które stały po obu stronach drzwi, i na ułożony tam dla ozdoby stos polan ze złuszczejącą się korą.

– Przyroda wkracza do domu – powiedział Scot.

– Otóż to. Jak pamiętasz, w tamtym czasie to był naprawdę nowy pomysł. Podczas gdy Astorowie, Belmontowie i Vanderbiltowie budowali w Newport domy w stylu europejskim, te domki myśliwskie obiecywały coś zupełnie innego. W środku zobaczysz prawdziwy kunszt architektoniczny. Sufit w dużym pokoju podtrzymują świerkowe belki wyciosane z jednego drzewa. No i spójrz na fasadę – to biały cedr. Ma ponad sto lat, a nadal dobrze wygląda. To naprawdę mistrzowskie rzemiosło – powiedział pan Hacking i wyjaśnił, że dom Rutherfordów został zbudowany w 1880 roku, ale dwa razy stał w płomieniach, jak każdy dom na tym jeziorze, w którym warto mieszkać, a obecna wersja jest z „dziewięćset dziewiętego”.

– Wow – odparł Scot. – A pole do krokietu?

– To dopiero historia. Wiąże się z praprababcią, Frances Henning, główną dziedziczką fortuny Beech-Nut. Była nestorką tego miejsca aż do śmierci w 1950 roku. A może to był pięćdziesiąty pierwszy? Zimą nalegała, żeby goście przyjeżdżali saniami, nawet w czasach, kiedy na pozostałych prywatnych wyspach przeprawiano się przez lód samochodami. Jak widzisz, była poważną krokietistką. Oczywiście to pole jest okropne, ale znała jego wszystkie humory i wyboje i z łatwością wygrywała z każdym, kto się odważył stanąć z nią w szranki.

Evelyn widziała to wszystko w wyobraźni – mecze krokieta, sanie wyłożone futrzanymi kocami, epokę, w której każdy wiedział, kim powinien być. Nagle usłyszała piskliwy śmiech i zobaczyła wysoką dziewczynę, która wyskoczyła z wody z młotkiem do krokieta w dłoni. Evelyn zastanawiała się przez chwilę, czy duch Frances Henning nie zdecydował się wziąć udziału w przyjęciu. Kiedy dziewczyna się zbliżyła, podszedł do niej Nick i pocałował ją w policzek. Evelyn zorientowała się, że zna te długie karmelowe włosy. Rozpoznała też głos, skąpany w słońcu, o głębokiej, złotej barwie.

– Camilla – powiedziała cicho. Dziewczyna rzuciła się na czerwony, drewniany fotel typu Adirondack, który stał przy polu do krokieta.

– Musimy obejrzeć ten dom – powiedziała Charlotte i ruszyła w stronę drzwi. – To prawdziwy zabytek, podlegający ochronie.

Evelyn utkwiała wzrok w polu do krokieta. Powietrze było dziwne, srebrzyste i nieruchome, miało bogaty, mokry zapach cynamonu, ziemi i liści. Camilla grała teraz w krokieta z Nickiem.

– Oni się znają? – spytała Evelyn.

– Kto? Nick? O cholera, to ona?

– Tak. Wiesz, skąd Nick ją zna?

– Ev, ja ledwo kojarzę tę dziewczynę. Z całą pewnością nie wiem, skąd Nick ją zna. Chcę zobaczyć, jak ten dom wygląda w środku. Pan Hacking mówił, że jest wspaniały.

– Świetnie – powiedziała Evelyn, patrząc, jak Camilla opiera się na młotku do krokieta. Najważniejszy nie był ładny wygląd Camilli Rutherford ani jej harmonijne ciało, długie kończyny i elegancki sposób, w jaki się poruszała. Najważniejsze było to, że Camilla Rutherford czuła się wyjątkowo swobodnie. Nie zastanawiała się dwa razy, co na siebie włożyć albo co powiedzieć. W przeciwieństwie do mnie, przyznała w duchu Evelyn.

Usłyszała za sobą grzechotanie kostek lodu. Preston z zainteresowaniem lustrował pole do krokieta. – Niezły romans, co?

– Masz na myśli Nicka? – spytała Evelyn.

– *Oui. Et Mademoiselle Rutherford.*

– Nie mów, że oni...

– Tańczą taniec miłości, *et cetera.*

– Nick i Camilla Rutherford? Naprawdę? Jak oni się poznali?

– Na imprezie dobroczynnej. Chyba W Trosce o Nerkę. Albo w Trosce o Wątrobę. Nie pamiętam już, który z tych organów jest tym popularnym, wspieranym przez te wszystkie dziewczyny.

– Wątroba to organ?

– Wyglądam ci na anatoma?

– Czyli się spotykają? Chodzą na randki?

– Dobry Boże, kobieto, nie wiem. Myślisz, że powinnaś odbyć z nimi Tę Rozmowę?

Evelyn wzięła drinka Prestona i zaczęła go sączyć. Kiedy głośno zaprotestował, oddała mu go z powrotem. Weszła za Prestonem do środka, ale nadal patrzyła za siebie, na Camillę.

Po chwili już wiedziała, skąd Hackingowie zaczerpnęli pomysł na belki i ogólny wystrój ich domu. Centralny pokój można było spokojnie nazwać wielkim salonem i nie byłaby to tylko gadka sprzedawców nieruchomości, którzy nazywają tak zwykły duży pokój/jadalnię. Pachniał biblioteką i dymem torfowym. Z szerokich poziomych okien rozciągał się widok na jezioro. Wszystkie albumy, poduszki ze wzorem Indian Navajo, grube koce wydawały się jej przypadkowo rozrzucone, nie sprawiały wrażenia, jakby starannie je ułożono tuż przed przyjściem gości.

Z góry zwieszał się rogowy żyrandol, a po jednej stronie wznosił się gigantyczny kominek wykonany z płaskich, szerokich kamieni. Pan Hacking przykucnął obok.

– Bardzo dobry, prawda? Takie kominki spotyka się często, ale trudno się równać z tutejszymi kamieniarzami. Widzicie dlaczego? – zapytał. Evelyn spodziewała się, że Scot jako prymus odpowie na to pytanie, ale pan Hacking był szybszy. – Zaprawa! – powiedział. – Jest bardzo cienka. Po tym można poznać kunszt. W większości kominków tego typu warstwa zaprawy ma centymetr lub więcej. Ale nie tutaj. Porządna robota.

Charlotte bardzo chciała zobaczyć jadalnię, która mieściła się w osobnym budynku. Pobiegła tam razem ze Scotem i panem Hackingiem. Evelyn odwróciła się w stronę pokoju. Ludzie kręcili się tu i ówdzie, rozmawiali. Jakaś kobieta mówiła, że nigdy nie tknęłyby rzepy, inna opowiadała, jak bardzo nienawidzi Portland. Nie tylko Camilla pasowała do tego towarzystwa. Wszyscy ci ludzie także. Każdy wiedział, co robić, co pić, o czym rozmawiać. Wiedzieli, co lubią, a czego nie (Portland i rzepa były tylko początkiem bez wątpienia długiej listy). Z pewnością istniały tu inne kwestie, których nie dostrzegała – alkoholizm tu, jakiś romans tam – ale zasady ich chroniły i sprawiały, że wszystko toczyło się gładko. Kredyty hipoteczne ze zmiennym oprocentowaniem? Dlaczego Evelyn o nich czytała? Tych ludzi to nie obchodziło. Nie miała pojęcia, co mogłaby powiedzieć komukolwiek z nich, i zanosilo się na to, że jej misja skończy się kompletnym fiaskiem. Bała się, że nie będzie potrafiła znaleźć niczego, co mogłoby ich zainteresować, a tym bardziej skłonić ich do założenia konta na PLU. Czuła się tak, jakby nad kominkiem z cienkimi warstwami zaprawy wisiał wielki neon – wymierzona w nią strzałka i mrugający napis: WYRZUTEK.

Ocknęła się, kiedy poczuła na łokciu czyjeś ciepłe palce. Szybko odwróciła głowę i zobaczyła kobietę, której się przyglądała kilka minut temu – tę, która mówiła z pogardą na temat rzepy. Była brunetką i miała szary perłowy naszyjnik.

Wydawała jej się znajoma, jak wiele bogatych białych kobiet. Może widziała ją w jednym z archiwalnych numerów „Town & Country” u Barbary, a może jej sobowtór w Eastern Tennis Clubie sędziował w meczu, w którym brała udział. – Uważam, że najtrudniejszy jest zawsze początek imprezy, kiedy ludzie nie wypili jeszcze wystarczająco dużo – powiedziała kobieta.

Evelyn potrafiła rozpoznać koło ratunkowe. Z wdzięcznością się go uczepiła. – Święta prawda – odpowiedziała. – Choć chyba trudno bezpiecznie zakładać, że każdy z tutejszych gości wypił mniej, niż powinien.

Kobieta się roześmiała, jej śmiech miał bogate, nasycone cygarowym dymem brzmienie. – Nazywam się Margaret Faber – powiedziała i wyciągnęła rękę.

– Evelyn.

– Miło mi cię poznać, Evelyn. Skąd znasz Rutherfordów?

– Zatrzymałam się u Hackingów, w West Lake. Chodziłam do Sheffield z jednym z ich synów, z Prestonem – odpowiedziała Evelyn. Bacznie się przyglądała rozmówczynie, żeby sprawdzić jej reakcję. Margaret się uśmiechnęła.

– Sheffield – powiedziała. – Cudowne miejsce.

Sezanie, otwórz się, pomyślała Evelyn i mówiła dalej: – Wszyscy jesteśmy bardzo podekscytowani przed Fruit Stripe. Pani Hacking zależy, żebyśmy dobrze wypadli.

– Znając Jean Hacking, mogę cię zapewnić, że byłoby dla was lepiej, żebyście bardzo dobrze wypadli. Bierzesz udział w regatach?

– Nie, nie – odparła Evelyn. – Będę je tylko oglądała.

– Ja chyba też – powiedziała Margaret. – W tym wieku nie mam żadnego interesu w moczeniu się od stóp do głów.

Przyjazne nastawienie tej kobiety podniosło Evelyn na duchu. Poczwała, że być może jednak sobie poradzi. Jej wzrok padł na pana Van Borgha, który kaszłał w serwetkę. Przeprosiła, podeszła do niego i przekonała go, żeby wyszli razem na zewnątrz – chciała, żeby Camilla zobaczyła ją w towarzystwie kogoś ze starszych. Po rozmowie z panem Van Borghiem, Maisie jakąś tam i Wimem jakimś tam, którzy próbowali znaleźć najlepszy sposób na usunięcie kamienia nazębnego u jamnika, zwróciła się w stronę pola do krokieta. Camilla i Nick właśnie stamtąd nadchodzili.

Stała im na drodze, przy stoliku z serami. Ustawiała się tyłem do Camilli, żeby nie wyglądało na to, że próbuje się wepchnąć, i sięgnęła po nóż do sera w tej samej chwili co Nick.

– Oj, przepraszam – powiedziała i podniosła wzrok. – O! Nick! Przepraszam, nie chciałam być serową nazistką.

– NMS – powiedział Nick. Nie ma sprawy. – Śmiało, Evelyn, bierz się za roquefort.

– Dzięki – odparła, rozsmarowała ser na kawałku chleba, a następnie przeniosła wzrok na Camillę. – O, dzień dobry! – powiedziała i spojrzała wyczekująco na Nicka.

– Znacie się? Camilla Rutherford, Evelyn Beegan.

Evelyn poczekała, aż Camilla, jako osoba o wyższym statusie, wyciągnie rękę pierwsza. Była to kolejna z zasad, wpajanych jej przez Babs.

– Ogromnie dziękuję za gościnę. Zatrzymaliśmy się u Hackingów. Na pewno znasz Prestona Hackinga? Bardzo mi miło oficjalnie cię poznać.

– Miło mi – powiedziała Camilla i wzięła do ręki drinka, który wyglądał jak Dark and Stormy. Na jej nadgarstku zabrzęczała mała bransoletka typu charms, z czymś, co wyglądało jak malutkie gofry.

– Piękna bransoletka – powiedziała Evelyn, żeby podtrzymać rozmowę, zanim coś rozproszy uwagę Camilli. – Co to takiego?

– Mistrzostwa Racquet Clubu. Mój dziadek zajął w nich pierwsze miejsce. Bransoletka należała do mojej babci – odparła Camilla.

– Niesamowite – Evelyn potrzebowała chwili, aby w pełni zrozumieć, jak ważna jest ta bransoletka. Racquet Club był wciąż tak tradycyjny i tak elitarny, że przyjmował tylko mężczyzn i pozwalał im pływać nago. Oczywiście wszyscy w tajemniczeni wiedzieli dokładnie, dlaczego jest znacznie bardziej wartościowa niż bransoletka z rubinami czy diamentami. Camilla potrząsnęła nią rytmicznie.

– Mój dziadek był wielkim entuzjastą tenisa królewskiego – powiedziała Evelyn. Te słowa popłynęły z jej ust, zanim jeszcze zdążyła się zastanowić, jak je wytłumaczyć. O tenisie królewskim nie wiedziała praktycznie nic poza tym, że miał tajemnicze zasady i był wyjątkowo ekskluzywny.

– Naprawdę? Gdzie grał?

– W Baltimore, zanim się zurbanizowało.

W rzeczywistości jej dziadek był księgowym, nie skończył college'u i zostawił rodzinę, kiedy jej matka była jeszcze dzieckiem. Wątpiła, czy grywał choćby w zwykłego tenisa. Miała nadzieję, że nie będzie musiała podawać żadnych szczegółów. Na szczęście Camilla, która zaczęła się otwierać, była bardziej zainteresowana opowiadaniem o własnych doświadczeniach z tą dyscypliną.

Kiedy Nick zaczął się dzielić przemyśleniami na temat wypełniania korkiem piłek do tenisa królewskiego, Evelyn wykorzystwała okazję i rozejrzała się po jeziorze. Zatrzymywała wzrok na każdej posiadłości po kolei. Gdy skończyła, wskazała brodą pustą szklanę Camilli.

– Drogi Nicku, myślę, że Camilli przydałby się kolejny drink.

– Ach tak, oczywiście. Chwileczkę – powiedział Nick i ruszył do baru.

– Ciekawa sprawa z tym Obozem Piemacum, prawda? – zapytała Evelyn i przysunęła się do Camilli. Wymieniła nazwę posiadłości, która obijała jej się o uszy, kiedy płynęli tu łodzią.



Camilla przymrużyła oczy. – Jaka sprawa z Piemacum?

– Właściciele są na miejscu?

– Prattowie? Nie, pojechali do Maine na ślub córki.

– Aha – odparła. To ułatwiało sprawę. – Słyszałam, że szef NBC, a może to było ABC, sam z siebie zaproponował, że kupi posiadłość, ale tylko pod warunkiem, że będzie mógł wybudować na tym terenie włoską willę.

– Naprawdę? – Camilla odcięła róg sera z niebieską pleśnią, a kiedy podniosła go do ust, przyglądała się Evelyn. – Myślałam, że tam obowiązuje umowa w sprawie ograniczonego korzystania z gruntu. Ona chyba określa, co mogą zrobić z tym terenem, a czego nie.

Evelyn zamachała rękoma w powietrzu. Wiedziała, że musi wyrażać się nieprecyzyjnie.

– Może i masz rację. Ktoś chyba napisał o tym na People Like Us, ale szczerze mówiąc, kompletnie nie mam głowy do szczegółów. Może nawet nie chodziło o Obóz Piemacum. Może to było gdzieś w Upper St. Regis?

Camilla jadła ser małutkimi kęsami. Była zaabsorbowana przyjęciem i wydawało się, że nie interesuje jej to, co mówi Evelyn. Trzeba było znaleźć jakiś inny sposób. Nagle zapytała:

– Ktoś napisał o tym gdzie?

Evelyn cicho wypuściła powietrze.

– Na People Like Us. To portal, dzięki któremu influencerzy mogą się ze sobą łączyć. Pracuję tam. Fajna sprawa. Podpowiada, dokąd się wybrać albo gdzie kupić niektóre trudno dostępne rzeczy. Albo na przykład pomaga namierzyć najlepszych przyjaciół z letniego obozu w Szwajcarii w 1992 roku. Wydawało mi się, że ktoś wspomniał o tej transakcji w dziale Nieruchomości, ale może się myłę.

– Nie słyszałam o tym. Mówię o portalu – powiedziała Camilla. Przekrzywiła głowę i się zastanawiała.

– Na razie opiera się wyłącznie na zaproszeniach, więc jest dość niewielki. Skupia się tylko na kilku kluczowych influencerach z danego kręgu. Jeśli jesteś zainteresowana, z chęcią pociągnę za sznurki gdzie trzeba. Ludzie z PLU na pewno pokochają twoje teksty o modzie.

Camilla milczała przez chwilę. Po krótkiej chwili powiedziała: – Wiem też dużo o sztuce.

– Sztuka. Jak najbardziej. Każdy z wielką przyjemnością przeczyta, co masz do powiedzenia na ten temat.

– Mówiłaś: People Like Us?

– Proszę – Evelyn wręczyła jej ścisną w dłoni wizytówkę. Była zadowolona, że upierała się przy eleganckim kartonie. – Moi pracownicy przygotowują twój profil. Nie będziesz musiała nic robić, poza oczywiście dzieleniem się z ludźmi swoimi przemyśleniami na temat pokazów mody. Albo, jeszcze lepiej, na temat

pokazów sztuki.

Nick wrócił z Dark and Stormy i odciągnął Camillę na bok. Evelyn przez chwilę przygryzała wargę, a potem zamówiła jeszcze jeden gin z tonikiem i wypiła tak szybko, że dostała czkawki. Przez resztę przyjęcia śledziła ruchy Camilli, jak gdyby była to jej potencjalna kochanka. Patrzyła, jak rozmawia z młodszą blondynką, prawdopodobnie swoją siostrą Phoebe, i jak idzie pod rękę z Nickiem.

Później, kiedy przygrywała im płyta Chubby'ego Checkera, namierzyła Prestona. Na jej widok odstawił gin z czymś tam, poderwał się do góry z gracją żurawia i poprosił ją do tańca. Odtwarzali kroki do swinga, których nauczyli się na pamięć w liceum, a ona taksującym wzrokiem przyglądała się pozostałym tancerzom na trawniku. Wiedziała, że dziś w nocy wszyscy wrócą do swoich wspaniałych domów, a jutro przy śniadaniu będą dyskutować o tym wieczorze, przypominać sobie, jak migoczące światła odbijały się w kieliszkach szampana i ginu, i będą się czuli bezpiecznie, wiedząc, kim są i gdzie mieszkają. Zaskoczyło ją, że byli dla niej mili. Spodziewała się uszczypliwości, a tymczasem zachowywali się sympatycznie. Dobrze ją przyjęli.

Preston mocniej przycisnął dłoń do wyższej partii jej pleców, żeby wykonać obrót. Kiedy się obróciła, dostrzegła niezgrabną sylwetkę Scotta na tle czarnego jeziora Adirondack. Zaraz potem Preston obrócił ją znowu i zobaczyła Camillę, która stała na bocznej linii boiska i delikatnie odgryzała kęs rzodkiewki.

## Rozdział piąty

### Butelka z literą T

Tuż przed rozpoczęciem wyścigu Fruit Stripe Evelyn siedziała w motorówce ubrana w dwie kurtki wygrzebane z szafy w Shuh-shuh-gah i trzęsła się z zimna. Pip prosiła Binga, żeby popłynął z nią, ale wystartował w parze z chłopcem z sąsiedztwa. Chłopiec był lżejszy od Pip, więc łódź mogła płynąć szybciej. W rezultacie Pip znalazła się w drużynie z Chrissie. Pani Hacking, po drodze na tor, zatrzymała się w recepcji urządzonej w Obozie Jumping Rock i zabrała zapas drinków. Nick, Scot, Charlotte i pan Hacking zostali w Jumping Rock, żeby pomóc przy odprawie łodzi.

Evelyn zgłosiła się na ochotnika i pojechała z Prestonem i panią Hacking. Głównie z powodu Scota – poprzedniego dnia na przyjęciu przyparł ją do muru i poprosił o numer telefonu, a potem, w drodze powrotnej i niedawno przy śniadaniu, nie potrafił z nią rozmawiać. Chciała uniknąć kolejnych drętwych spotkań. Ale teraz, kiedy utknęła w motorówce z panią Hacking, doszła do wniosku, że mądrzej byłoby zostać na ładzie. Pani Hacking, w bordowym kapeluszu przeciwdeszczowym z szerokim rondem i sportowej bluzie Dole-Kemp, lustrowała wzrokiem żagle, szukając tych z jej obozu, oznaczonych niebieskimi paskami. Dzień był chłodny, uczestnicy byli grubo ubrani i przygotowani na niepogodę – z wyjątkiem Chrissie, która nierozważnie zawiązała na głowie jedwabną chustę, jakby występowała w scenie z filmu *Wyższe sfery*, w której śpiewano piosenkę *True Love*. Poprzednim razem – wtedy, kiedy niewłaściwie otaklowała łódź, co najwyraźniej nigdy nie zostanie jej wybaczone – Evelyn założyła, że Fruit Stripe to poważne regaty. Teraz już wiedziała lepiej, czego się spodziewać. Dzień przed wyścigiem wszyscy starsi nastolatki i dwudziestoparolatkowie szli do domu gospodarza, żeby pomóc w mieszaniu drinków. Do wiaderek po farbie wlewali kilka butelek lemoniady, soku z żurawiny albo z białych winogron i dodawali zielony barwnik spożywczy. Następnie uzupełniali różną ilość wódki, mieszały i przelewali z powrotem do butelek, uzyskując napoje, które przypominały kolorem opakowania gum do żucia Fruit Stripe. Butelki oznaczano literami: B – bezalkoholowe, M – mocne i T – toksyczne. Podczas wyścigu drinki przechowywano na brzegu w wypełnionym lodem kanoe. Poprzednim razem podczas ceremonii rozdania nagród Evelyn wymiotowała w krzakach w Obozie Georgia, bo wybrała butelkę z literą T, będąc przekonana, że T oznacza: trochę alkoholu.

Większość uczestników podchodziła do Fruit Stripe na luzie. Brali na łódź butelkę T, a kiedy wiatr był zbyt słaby, używali wiosła, żeby kręcić się po torze, i z radością sami się dyskwalifikowali. Jednakże pani Hacking miała jankeski sza-

cunek do sportów uprawianych na świeżym powietrzu i oczekiwała, że rezydenci i goście Shuh-shuh-gah wygrają, zajmą drugie miejsce lub ostatnie. Nagrodą za pierwsze miejsce było roczne posiadanie trofeum Klubu Jachtowego Lake James, zajęcie drugiego miejsca oznaczało, że można było zawiesić na hangarze transparent Fruit Stripe, zdobywcy ostatniego miejsca mogli zaś zatrzymać drinki, które zostaną po imprezie. Kiedy pani Hacking widziała, że łódź z jej obozu przy pływa na metę przedostatnia – co dowodziło, że zawodnikom brak zarówno umiejętności, jak i sprytu – czerwieniła ze złości.

Z tyłu peletonu, w miejscu, gdzie nie było wiatru, Evelyn dostrzegła żagiel w niebieskie paski i łódź, w której płynęły Chrissie i Pip. Pani Hacking dodała gazu, ochlapując Evelyn i Prestona lodowatą wodą.

Niecałą minutę później motorówka okrążyła żaglówkę. Choć od startu minęło niewiele czasu, łódź Sunfish nabrała już kilka cali wody. Chrissie próbowała ją wybierać turystycznym kubeczkim, a Pip leżała smętnie na dziobie.

– Łódź jest za bardzo zanurzona. Wygarniaj wodę. Wygarniaj wodę! – wołała pani Hacking.

– Wygarniam! – krzyknęła Chrissie. – Zboczyliśmy z kursu!

– Popatrz na sterburtę, Chrissie. Spycha was w stronę wybrzeża.

Sunfish bujała się na wzburzonej przez motorówkę wodzie. Pip opłotła ramionami kadłub. Pani Hacking wyciągnęła skądś megafon i zaczęła grzmieć: – Chrissie! Wiatr wieje z zachodniej strony jeziora. Zmień kierunek. Zmień kierunek! – Drugą ręką pani Hacking kręciła sterem tak, że przez cały czas trzymała się burty żaglówki. – Pip, pokaż Chrissie, co ma robić! – krzyczała.

Pip odsunęła do tyłu krawędź kaptura jej przeciwdeszczowej kurtki. – Próbuję, babciu – powiedziała zrezygnowanym tonem.

– Chrissie, spójrz na ten kąt. Spójrz na ten kąt. Teraz już się z tego nie wyplączesz. Złap ster. Uważaj... uważaj... nie, nie, nie, nie! Boże drogi! Uważaj!

Pani Hacking krzyknęła, kiedy bom się wychylił i prawie uderzył Chrissie w głowę. Chrissie desperacko kręciła sterem tam i z powrotem. – Zdawało mi się, że Bing mówił, że ona umie żeglować – powiedziała pani Hacking do megafonu, choć zwracała się do Prestona. Preston pociągnął duży haust soku żurawinowego z butelki z literą T. Evelyn wzięła do ręki butelkę i też wypila łyk w geście współczucia, choć nie była pewna, czy współczuje Chrissie, Bingowi, Pip czy Prestonowi. W każdym razie starała się nie wykonywać gwałtownych ruchów, żeby pani Hacking nie skierowała megafonu w jej stronę.

– Ostrzy! Łódka ostrzy! – krzyknęła pani Hacking, kiedy nadeszła fala i uderzyła Chrissie w ramię. – Wszyscy są już przy trzeciej boi! Musisz stamtąd odpłynąć! Tam nie ma wiatru. Odpłyn stamtąd!

– Weźmiesz mnie do swojej łódki, babciu? – zawołała Pip.

– Chciałabym, ale musisz ukończyć wyścig.

Z oddali dobiegł dźwięk trąbki. – To pierwsze miejsce! – krzyknęła pani Hacking. – Musimy wracać na przyjęcie! Złap trochę wiatru, Chrissie, bo będziesz tu tkwiła godzinami!

Pip, leżąca plackiem na dziobie łodzi, pomachała im smutno.

Pani Hacking znów dodała gazu i ruszyła w stronę Jumping Rock. Kiedy odpływali, kolejnych kilka cali wody bryznęło do żaglówki. Evelyn patrzyła na zmniejszającą się sylwetkę Chrissie. Dziewczyna była zbyt nerwowa i popełniła błąd, wymuszając zaproszenie jej do Hackingów. Niepotrzebnie twierdziła, że potrafi żeglować, i w ogóle za bardzo się starała. Była po drugiej stronie niewidzialnej linii, która wyznaczała granicę poprawnego zachowania. Dzięki temu nie ulegało wątpliwości, że Evelyn jest po tej dobrej stronie. A jednak na widok Chrissie stojącej po kostki w lodowatej wodzie, którą wylewała kubeczkami w obecności panienki z dobrego domu kwestionującej każdy jej ruch, Evelyn zapragnęła, żeby nagły podmuch wiatru wybawił je z opresji.

– Simpsonowie wychodzą na prowadzenie! Tom Junior i Lally są za wami! – krzyknęła pani Hacking, kiedy motorówka odpływała, podskakując na falach.

Kiedy dotarli do Jumping Rock, Evelyn wyskoczyła z łodzi i pobiegła na bezpieczniejszy teren. Nick był po mniej więcej dziesięciu drinkach. Uznał, że drogę do domku gościnnego powinny znaczyć kopczyki, i wysłał Prestona do lasu po kamienie. Evelyn czuła się zmęczona, sięgnęła zatem po butelkę zielonego ponczu oznaczoną literą M, poszła na werandę hangaru na łodzi i usiadła w głębokim fotelu typu Adirondack. Czterdzieści minut później była już tak pijana, że prawie udało jej się stłumić dyskomfort, jaki czuła na myśl o końcówce wyścigu. Bing czekał w łodzi tuż przed linią mety, a kiedy zobaczył, że Chrissie i jego córka wreszcie się zbliżają, zrobił jeszcze jedno kółko, żeby przyplłynąć jako ostatni, i sprawił, że jego dziewczyna i córka zajęły znienawidzone przedostatnie miejsce. Kiedy usłyszała sygnał trąbki na sprężone powietrze potwierdzający, że Chrissie ukończyła wyścig, a zaraz potem kolejny sygnał, który oznaczał, że linię mety przeciął Bing, wymieniła M na T. Bing stał w swojej łodzi i giął się w ukłonach, a ludzie na brzegu śmiali się i bili mu brawo. Pani Hacking zabrała na ląd megafon i wykrzyczała do niego gratulacje. Evelyn zaczęła szukać wzrokiem Chrissie i zobaczyła ją, mozolnie podchodzącą pod górę. Mokra, sflaczała chusta wciąż lepiała jej się do głowy.

Evelyn wygramoliła się z fotela, pobiegła do łazienki w hangarze i zgarnęła jeden z przygotowanych tam plażowych ręczników, które zauważyła wcześniej.

– Hej – zawołała, kiedy dogoniła Chrissie. – Na pewno zmarzłaś. Pomyślałam, że to ci się przyda – dodała i podsunęła jej ręcznik.

– Było okropnie – powiedziała Chrissie i wytarła oczy. – Naprawdę okropnie. Tak mokro, tak długo, a potem Bing... – umilkła.

Evelyn jedną ręką strzepnęła ręcznik i otuliła nim Chrissie. Ta wczepiła się

w niego i powiedziała: – Dziękuję.

Evelyn miała ze sobą butelkę z literą T. Wręczyła ją Chrissie ze współczującym uśmiechem. – To mocne – oznajmiła. – Nie mogę obiecać, że twoje problemy znikną, ale przynajmniej będziesz pijana, kiedy zobaczysz wszystkich z powrotem w Shuh-shuh-gah.

Chrissie przez chwilę się zastanawiała, a potem wlała w siebie solidny haust T. Kiedy oddała butelkę Evelyn, ona również pociągnęła długi łyk.

## Rozdział szósty

### Sag Neck

Był długi weekend z okazji Czwartego Lipca. Stworzony przez Evelyn profil Camilli zaczął działać dwa dni wcześniej. Wybrała jej piękne zdjęcie profilowe i z pomocą zbyt hojnie opłacanego konsultanta PR zatrudnionego przez właścicieli strony umieściła wzmiankę w „Page Six”: „DOWIEDZIELIŚMY SIĘ, ŻE... odważna bywalczyni salonów, Camilla Rutherford, dołączyła do People Like Us, co potwierdza informację, że zaproszenia na portal są obiektem pożądania ludzi z jej sfery”. Założyła też profil Nickowi i Bingowi, a nawet rozpoczęła ożywioną dyskusję o nieruchomościach w Adirondack, aby Camilla nie zorientowała się tak łatwo, że wzmianka o Obozie Piemacum była blefem. Prośby o członkostwo zaczęły do niej spływać. Akceptując każde zgłoszenie z osobna, przyjęła wiele osób, ale kilka odrzuciła bez żadnego wyjaśnienia. Uznała, że jeśli odmówi kilku losowo wybranym chętnym, pozostali uznają członkostwo za jeszcze bardziej atrakcyjne.

Barbara dała jej jasno do zrozumienia, że nie chce, aby przyjeżdżała na lato – tę porę roku powinna wykorzystać na zaliczanie kolejnych celów wakacyjnego wypoczynku i poznanie przyszłego męża. Ostatnio ich rozmowy były oficjalne. Tuż po powrocie z Lake James zadzwoniła do matki, podekscytowana tym, jak dobrze jej poszło, i chciała opisywać kolacje i przyjęcia, przekonana, że matka chętnie o tym posłucha. Ale Barbara odpowiedziała, że nigdy nie była zbyt zainteresowana sprzedażą. Ojciec nie był lepszy – zapytał, czy nadal zadaje się z bywalcami salonów.

– Za moich czasów nikomu za to nie płacili – oznajmił.

Od tego czasu już nie dzwoniła i zdziwiła się, kiedy matka przysłała wiadomość, że zaprasza ją do domu na Czwartego Lipca. Szykowało się doroczne patriotyczne przyjęcie u Sally Channing. Tommy Channing był współnikiem w kancelarii Leiberg Channing, w której pracował jej ojciec. Rodzina chciała, żeby z tej okazji pojawiła się w domu. Przez krótki czas rozważała, czy nie wykazać się nieposłuszeństwem i zamiast tego nie pojechać do domu Nicka do Hamptons. Jednak ten nowy świat wymagał znacznie większych funduszy niż te, którymi dysponowała. Potrzebowała pożyczki od rodziców, a zatem musiała się zgodzić na ich warunki, przynajmniej tymczasowo.

Wysiadła z pociągu Amtrak w New Carrollton w Maryland. Wokół wisiało ciężkie letnie powietrze i czuła się tak, jakby oddychała bawełną. Po drodze dzwoniła do ojca, na komórkę i do biura, ale nie odbierał. Po chwili nie czuła już na skórze chłodu klimatyzacji z pociągu i zaczęła się pocić. Zrzuciła torbę na ramię

i okrążyła parking. Mijając beżowego datsuna, którego skądś kojarzyła, spostrzegła stojącą obok kobietę o szerokich ramionach. Zorientowała się, że to Waleria – Rosjanka, która kilka lat wcześniej została nową gosposią w Sag Neck i której często coś się nie podobało.

– Cześć! *Eveline!* – krzyknęła, unosząc anemicznie dłonie.

– Hej, Walerio. Nie ma tu moich rodziców?

– Proszę, włóż do bagażnika, nie na tylne siedzenie. Na tylnym siedzeniu będzie za dużo brudu i ja będę musiała znowu czyścić.

Evelyn spełniła prośbę i ustawiła torbę tak, żeby nie dotykała pary chińskich kapci i papierowej torby pełnej winylowych rękawiczek. Wskoczyła do tyłu i zobaczyła kontur głowy mężczyzny, który siedział na fotelu pasażera.

– Mój mąż, Aleksiej, on tu jest też. Nie lubi, jak ja sama jeżdżę w nocy. W zeszłym tygodniu na autostradzie był, jak to się mówi, napad na samochód, w którym siedziała jakaś pani.

Aleksiej miał krótkie jasne włosy ostrzyżone w stylu Hitlerjugend i trzymał na kolanach złożoną skórzaną kurtkę. Uniósł rękę w cichym pozdrowieniu.

– Dziękuję, że mnie podwozisz – powiedziała Evelyn – ale to ojciec miał mnie odebrać. Jest w pracy?

Waleria z piskiem opon skręciła w prawo i wyjechała z parkingu.

– Twój ojciec, pfff. On wraca do domu i oni się kłócą.

– Dziś w nocy? Kłócili się dziś w nocy?

– Dziś w nocy, wczoraj w nocy, codziennie w nocy. Mówię Aleksiejowi, że amerykańskie żony są bardzo trudne dla swoich mężów. I dlatego te kłótnie. W Rosji kobiety nie takie trudne.

– Chwileczkę, to było wczoraj w nocy? Czy dzisiaj? Wydawało mi się, że do dzisiejszego popołudnia miał być w Wilmington – odparła Evelyn. Jej ojciec zazwyczaj spędzał dni powszednie w swoim mieszkaniu w Wilmington, gdzie mieściła się jego kancelaria prawnicza.

– Mój pierwszy mąż, ten w Rosji, on zawsze mówi, że Rosjanki są najbardziej uparte z kobiet. Ale ja myślę, że to nie jest prawda. Mój pierwszy mąż, on jest łatwy w domu, i czysty, czysty jak kobieta. Ale on pije. Wódkę pije. No i co zrobisz? No to wyjeżdżam i jestem tutaj.

Waleria nacisnęła pięścią klakson. Zaskoczony przechodzień z przerażeniem podniósł wzrok i przebiegł przez ulicę.

– Walerio, powiedziałaś, że mój ojciec już przyjechał? – zapytała Evelyn.

– Twój ojciec? Tak, już przyjechał. Czwartek. Środa.

– Jest od dwóch dni? Co on tam robi?

– Mówię ci, to jest trudne. Twoja matka, ona zamyka drzwi do swojego pokoju i mi mówi, przez te drzwi, że nie mogę posprzątać w środku. To jest trudne, bo ona potrzebuje pomocy. Ona mówi: Walerio, to był błąd, że wyszłam za tego



człowieka. Tak mówi.

– Co? – Evelyn wiedziała, że matka mogła tak powiedzieć. Nie wierzyła tylko, że powiedziała to gosposi. W jej świecie istniały wyraźne podziały klasowe i jeśli zwracała się do pomocy domowej – naprawdę używała tego określenia – mówiła pomału i z nieszczerym uśmiechem. – Przepraszam. Czyli mój ojciec jest w domu od środy?

– Powtarzam ci tylko to, co ona mówi. Mówię jej: pani Barbaro, kobiecie zawsze trudno. A oni się kłócą o obciążenia. Obciążenia to, obciążenia tamto.

– Chwileczkę, obciążenia? O to się kłócili? – Evelyn bębniła palcami o szybę, ale przestała, kiedy zobaczyła, że Waleria wpatruje się w zostawione przez nią odciski. Rodzice od czasu do czasu pomagali jej finansowo, ale przez ostatnich kilka tygodni korzystała z ich karty kredytowej tylko po uzgodnieniu tego z nimi. Kupiła bilety na akcję dobroczynną na rzecz dzieci z biednych rodzin i liczyła na to, że będzie to mogła zaliczyć do wydatków firmowych, ale Ann, która w PLU odpowiadała za HR i administrację, odrzuciła jej podanie. Stwierdziła, że tego typu koszty musi pokryć z własnej kieszeni. Jej niemodne czarne sukienki nie nadawały się na letnie przyjęcia, więc w Bloomingdale’s kupiła nową za dwieście dolarów. Ojciec oznajmił, że jego zdaniem nie powinni płacić za tego typu rzeczy, obiecała zatem, że odda mu pieniądze. Jej pensja w PLU była jednak tak niska, że chwilowo nie było jej na to stać. Komentarze Walerii nie wróżyły nic dobrego, jeśli wziąć pod uwagę, że w ten weekend potrzebowała od rodziców jeszcze więcej pieniędzy.

– Kłócą się o obciążenia, Walerio? Obciążenia ich karty MasterCard?

– MasterCard? Nie, to nie to.

Waleria przeszła na rosyjski, mówiła szybko, a Aleksiej wydawał uspokajające pomruki, jakby się z nią zgadzał. Evelyn, oparta o szybę, skuliła się na tylnym siedzeniu. Słowa takie jak „MasterCard”, „Bloomingdale’s” i „akcja dobroczynna” krążyły jej po głowie i delikatnie zderzały się ze sobą. Zamknęła oczy i zapadła w niespokojną samochodową drzemkę.

Została wyrwana ze snu, gdy samochód wjechał na most Chesapeake Bay. Uniosła opadające powieki i zobaczyła wysokie drewniane wsporniki, które znały zmniejszający się dystans między nią a jej rodzinnym miastem Bibville. Znowu odpłynęła, a kiedy otworzyła oczy, Waleria podjeżdżała już zwirową ścieżką do Sag Neck – domu rodzinnego Evelyn. Zatrzymała się, ale nie wyłączyła silnika. Evelyn powiedziała do widzenia, ale najwyraźniej miała na koncie jakieś *faux pas*, bo Waleria była opryskliwa. Jednak Aleksiej z mocnym akcentem powiedział:

– Życzę ci powodzenia.

Kiedy się tu wprowadzili i Evelyn chodziła do podstawówki, mówiła, że Sag Neck to rezydencja, dopóki matka nie zabroniła jej używać tego słowa. Był to wielki drewniany dom otoczony rzędami drzew, które chroniły go przed sąsiadami.

Za domem było delikatne wzniesienie, opadające do Meetinghouse Creek. Dół domu zajmował główny dwupoziomowy hol z żyrandolem i masywnymi drewnianymi schodami. Po lewej był duży pokój, rzadko używana biblioteka i oficjalna jadalnia z widokiem na trawę i potok. Po prawej był wielki pokój z pianinem – Barbara nazywała go salą balową, ale za ich panowania w tym miejscu nie odbył się tam żaden bal – który ciągnął się przez całą długość domu. Kuchnia została upchnięta z tyłu. Ten dom to był olbrzymi postęp w porównaniu z domem w Silver Spring na przedmieściach Waszyngtonu, w którym się urodziła. Tamten był domem typu split-level, z brązowymi ścianami, brązowymi szafami i brązową trawą. Wszyscy z radością go opuścili, kiedy ojciec zaczął wygrywać znaczące sprawy.

Drzwi do Sag Neck nie były zamknięte na klucz i, jak to zwykle w lecie, napęczniały od wilgoci. Evelyn otworzyła je szarpnięciem. W domu panowała cisza.

– Halo? Mamo? Tato?

– Evelyn, czy to ty? – głos matki dobiegał z góry.

– Co się dzieje? Dlaczego tata mnie nie odebrał? Mam za sobą dziwną przejażdżkę z Walerią i jej mężem.

– Właśnie. Dlaczego twój ojciec cię nie odebrał?

Evelyn była zmęczona i nie miała nastroju na słowne gierki z matką. – Wiesz, gdzie on jest?

– Najwyraźniej nie wiem o niczym, co robi twój ojciec.

Odgłos zamykanych drzwi i zasuwanego zamka dopełnił powitania, jakie czekało na nią w domu.

– Mamo? – spróbowała raz jeszcze, ale nie było odpowiedzi. Nacisnęła rząd włączników światła i poszła do kuchni. Włożyła głowę do jednej z dolnych szafek, gdzie czasem można było znaleźć łakocie. Nagły hałas przy tylnych drzwiach sprawił, że podskoczyła i uderzyła się o górną ściankę. Do środka wbiegł Dale Beegan w niepokojąco obcisłych spodenkach rowerowych. Spływał potem, dyszał i omal się nie potknął o córkę, która kucała na podłodze.

– Jezu słodki, Evie, co ty tu robisz? Kryjesz się w kuchni jak szczur. Wstań i się pokaż!

– Au. Zrobiłabym to, gdybym wiedziała, że tak mnie przestraszysz – powiedziała Evelyn i dotknęła się z tyłu głowy. – Chyba mam guza.

Dale podszedł do zlewu i wlał w siebie szklankę wody. Nadal miał wspaniałe włosy – brązowe, mocne i lśniące – i pucułowate policzki szczęśliwego dziecka. Jego zęby były wyjątkowo białe, bo co wieczór po kolacji zakładał paski wybielające Crest Whitestrips i bez skrępowania nosił je przez zalecane trzydzieści minut. Wyglądał coraz bardziej jak syn, a nie mąż Barbary, ale była na tyle rozsądna, żeby nie wspominać o tym nawet mimochodem.

– Co ty sobie myślisz, w ten sposób straszyć starego człowieka?

– Nie spodziewałam się, że będziesz w domu, skoro mnie nie odebrałeś i w ogóle.

Dolał wody do szklanki. – Jestem pewien, że wszystko będzie okej.

– Miejmy nadzieję. W każdym razie Waleria mówiła, że jesteś tutaj od kilku dni.

Dale odstawił pustą szklankę na blat. – Jak tam to twoje piękne miasto, Evie? Ci ważni ludzie, dla których pracujesz, są dla ciebie łagodni?

– Tak się składa, że ta praca jest w pewnym stopniu wymagająca – powiedziała ostro.

– Zadawanie się z bogatymi zawsze jest wymagające. Dla mnie bardziej satysfakcjonująca jest praca z ludźmi, którzy o coś walczą.

Ale żeby móc z nimi pracować, latasz pierwszą klasą, pomyślała Evelyn i rozdarła górę kartonowego pudełka słonych krakersów. Ojciec urodził się w Karolinie Północnej w mieście, które było ośrodkiem przemysłu włókienniczego, i oboje jego rodzice pracowali w tkalni. Jego dom rodzinny stał z dala od solidnych ceglanych domów bogatszych rodzin kadry zarządzającej, po drugiej stronie potoku. Dale opowiadał, że właściciele tkalni dawali się we znaki pracownikom i że właśnie dlatego postanowił zostać adwokatem tych, którzy są zbyt słabi – jak jego rodzice – aby ich usłyszano. W tym mieście sklepy w centrum zamykano wcześniej, bo ich oferta była adresowana do żon mieszkańców ceglanych domów. One, w przeciwieństwie do żon pracowników tkalni, nie pracowały. Choć Dale chodził do szkoły i do kościoła z chłopakami z ceglanych domów, latem stał za ladą budki z lodami, a oni byli po drugiej stronie. Postanowił, że skończy college, a potem pójdzie na prawo i pokaże tym wszystkim bogatym chłoptasiom w sztywnych kołnierzykach, że każdy zasługuje na to, by dać mu szansę.

Kiedy jeszcze mieszkali w Silver Spring i ojciec prowadził praktykę samodzielnie, był znany ze spraw, które konsumenci wytaczali dużym firmom farmaceutycznym. Wkrótce Leiberg Channing, wielka kancelaria z Wilmington, zaproponowała mu, żeby zajął się u nich takimi sprawami.

Widziała ojca przy pracy i nie mogła oderwać od niego oczu. Nic nie zapisywał, a mimo to neutralizował przeciwników jednym subtelnym argumentem za drugim. Wiedział, co mówić przysięgłym, jak odwołać się do ich emocji i jak sprawić, żeby współczuli i jemu, i jego klientom. Zawsze wiedział, co powiedzieć. Chyba że był w domu.

Choć zarobił dużo pieniędzy, wciąż chyba nie mógł się zdecydować, czy sam jest teraz grubą rybą, czy nadal nienawidzi grubych ryb, tak jak wtedy, kiedy był dzieckiem, synem pracowników tkalni. Lubił dawać efektowne prezenty, takie, które wszystkich wprawiały w zachwyt. Galettes z owocami firmy Harry & David, których pudełko przysyłał jej co miesiąc, gdy chodziła do Sheffield, były obiektem

zazdrości całego akademika. Z okazji ukończenia Sheffield dał jej wielkiego złotego roleksa. Był zawstydzająco drogi, schowała go zatem do pudełka ze starymi rocznikami klasowymi i za odłożone pieniądze z kieszonkowego kupiła sobie w prezencie małe perłowe kolczyki. Zawsze sam ustalał, czy i kiedy wydawać pieniądze, był arbitrem moralnym i to on decydował, co jest warte ich wydania, a co nie, tylko on jeden znał wartość pieniądza.

Kiedy skończyła college, oczekiwał, że będzie sama się utrzymywała, pracowała w branży, którą uzna za wartościową, i robiła coś dla dobra ogółu. Było jasne, że praca w sektorze usług społecznych nie pozwoli jej pokryć kosztów czynszu i nie spotka się z aprobatą żadnego z rodziców. Dlatego w pierwszych miesiącach po przyjeździe do Nowego Jorku zgłosiła się na ochotnika do grupy mentorskiej dla dziewcząt. Powiedziano jej, że dla mentorów czas oczekiwania wynosi rok, że potrzeba trzech referencji i że woleliby kogoś z większym doświadczeniem.

Powstrzymała się przed powiedzeniem czegokolwiek głośno. Jeżeli ojciec był zły z powodu obciążeń karty, a ona potrzebowała jeszcze więcej pieniędzy, nie mogła sobie pozwolić na kłótnię. – A więc dlaczego jesteś w domu? Leiberg Channing zezwala na telekonferencje podczas procesów?

– Na pewno jesteś zmęczona po podróży. Porozmawiamy rano, dobrze? – powiedział i zaczął się zbierać do wyjścia. Pustą szklankę zostawił na blacie, jakby oczekiwał, że ktoś inny włoży ją do zmywarki.

– Tato, jeśli chodzi o obciążenia na karcie, możemy porozmawiać teraz.

Zmarszczyła brwi na widok etykiety na pudełku krakersów – to był wariant bez soli. – Sam powiedziałeś, że za niektóre rzeczy mogę płacić twoją kartą. A to tylko ułamek tego, ile kosztuje Nowy Jork. Naprawdę. Za lunch trzeba zapłacić jedenaście dolarów, a mówimy o sałatce w plastikowym pojemniku. Spłacę wszystko. Po prostu z tą pracą i ze wszystkim zrobiło się ostatnio trochę gorąco.

– Poczekajmy z tym do rana. Dobranoc, kochanie. To nowa koszula? Do twarzy ci w tym kolorze.

Koszula rzeczywiście była nowa. Tata wyszedł z kuchni i poszedł na górę. Evelyn obgryzała brzegi niesłonego krakersa i rozmyślała o tym, że ojciec zawsze potrafi rzucić coś tak szarmanckiego, że nie sposób go nienawidzić.

Następnego ranka postanowiła, że wypije kawę w mieście, by się wzmocnić przed sprzeczką z rodzicami. Kiedy zeskoczyła z ostatniego stopnia i znalazła się na parterze, w dużym pokoju po swojej prawej stronie zobaczyła dwie sylwetki. Matka patrzyła przez okno na podjazd przed domem, a ojciec przerzucał stos papierów.

– Evelyn – powiedziała matka, odwróciła się od okna o kilka stopni i rozłożyła ramiona tak, że wyglądała jak Evita na balkonie Casa Rosada. To był sygnał, że Evelyn powinna podejść i ją uścisnąć. Zrobiła to. Matka i córka dotknęły swoich przedramion i pokiwały głowami.

– Cześć, mam. Ładnie wyglądasz – odparła Evelyn. Matka, w szarym swetrze, o wiele za grubym jak na lipiec, i w białych spodniach, wyglądała co prawda, jakby przybrała na wadze, a Evelyn wciąż miała żal o to, że z takim lekceważeniem odnosiła się do PLU, ale po wczorajszej pokrętej rozmowie z ojcem doszła do wniosku, że potrzebuje sojusznika.

Czekała na polecenia, ale rodzice milczeli. Błądziła wzrokiem między jednym a drugim. – No... właśnie miałam iść do miasta – zaczęła.

– Nie, Evelyn. Twój ojciec – Barbara nasyciła to słowo potężną dawką sarkazmu – ma ci coś do powiedzenia. Siadaj.

Ojciec przyjął jedną ze swoich nieludzko zrelaksowanych póz. Rozłożony w poprzek fotela obitego drapiącą wełną, balansował prawą kostką na lewej łydce. Evelyn próbowała zobaczyć, czego dotyczą oglądane przez niego papiery, żeby jakoś się przygotować, ale ojciec zebrał je w stos, odwrócił i ułożył na stoliku. Usiadła na twardym drewnianym krześle przy drzwiach.

– Cieszę się, że cię widzę, Evie – powiedział ojciec i szeroko się uśmiechnął. – Jest coś, co powinniśmy przedyskutować.

– Coś? – prychnęła Barbara ze swojego miejsca przy oknie.

– Znasz moją pracę i wiesz, że się o nią troszczę, tak samo jak moi koledzy prawnicy. Nasza praca to walka w imieniu...

Evelyn potrafiła dokończyć to zdanie w myślach – słyszała je z ust ojca niezliczoną ilość razy, zawsze mówił to nowo poznanym ludziom podczas uroczystych kolacji i na przyjęciach – „...w imieniu ludzi, którzy są zbyt biedni albo pozbawieni prawa głosu. Robimy to najlepiej, jak potrafimy”.

– Chodzi o moją pracę? – zapytała Evelyn. – Tak, wiem, ci ludzie mają prawo głosu, nie twierdzą, że jest inaczej. Ale naprawdę nie są tacy źli, jak ci się wydaje. Są... no cóż. Mama wie. Potrafią być naprawdę mili. Zresztą nie chodzi o sprzedaż. Chodzi o członkostwo, a to co innego. W tym przypadku jesteśmy na równej pozycji. Poza tym to tylko czterysta pięćdziesiąt dolarów. Wiem, że to nie jest wielka suma, ale...

– Skarbie, skarbie – przerwał Dale. Spojrzał na Barbarę, ale się nie odwrócił. – Nie chodzi o twoją pracę. Tylko o moją. Kiedy walczysz na rzecz ludzi, utrudniasz życie tym, którzy mają władzę. I wiesz, co się dzieje? Ci, którzy mają władzę, próbują się do ciebie dobrać. Republikanie pokazują prawnikom walczącym o odszkodowania, jak wielka jest ich władza. Rząd znalazł kogoś, kto twierdzi, że robiliśmy nielegalne rzeczy, że składaliśmy nielegalne oferty. Nieraz siedziałś w sali sądowej, wiesz, jakich argumentów używałem. Słuchałaś świadków, biegłych. Słuchałaś sędziego. Wiesz, jak przebiega proces sądowy. Dlaczego powoływałem biegłych? Bo potrzebujemy tych świadków – często są to lekarze – żeby wyjaśnili przysięgłym, jak niektóre z leków mogą wpływać na naszych klientów.

– Zgadza się – powiedziała Evelyn nieufnie.

– Pamiętasz sprawę Oney? Peg Oney z Cresheim? To była sprawa przeciwko firmie Wallen Pharma. Pamiętasz?

– Tak – odparła Evelyn. Była wtedy w gimnazjum. Razem z Barbarą pojechała do Pensylwanii, żeby posłuchać, jak jej ojciec wygłasza przemówienie wstępne. Pozew dotyczył tego, że firma Wallen wiedziała o skutkach ubocznych stosowania jednego z jej leków, ale zataiła tę informację. Sprawa była skomplikowana, roilo się w niej od procesów chemicznych i procedur związanych z wytwarzaniem leków, ale ojciec przedstawił wszystko jasno. Zaczął od opisanego, jak Peg, na skutek zażywania tego leku, straciła czucie w koniuszkach palców.

– Może się wydawać, że koniuszki palców to nic wielkiego – mówił ze swoim wyraźnym karolińskim akcentem. – To nie jest ręka. Ani noga. Ani nawet dłoń. Ale kiedy Peg przysuwa rękę do płomienia świecy, nie czuje ciepła. Kiedy głaszcze swojego psa Scouta, nie czuje jego sierści. Kiedy dotyka policzka swojego rocznego dziecka, nie czuje jego miękkiej skóry. Czubki palców to tylko koniuszki, ale są też całym światem.

Sprawił, że wszyscy przysięgli poczuli, jak to jest być Peg, a następnie opuścił podium i przeszedł tak blisko ławy przysięgłych, że ci siedzący z przodu mogli go dotknąć.

– Tutaj, w tej sali, wy, mieszkańcy Pensylwanii, możecie dziś powiedzieć temu wielkiemu koncernowi: dosyć tego. Nie wolno wam odbierać nam zmysłów. Nie wolno wam mówić, że nie możemy czuć ciepła, nie możemy głaskać psa, nie możemy dotknąć własnego dziecka. Już wystarczająco długo nas zwodziliście i okłamywaliście. Czas to zakończyć. Tu i teraz.

W niecałe trzy godziny przysięgli zdecydowali o przyznaniu Peg Oney ogromnego odszkodowania.

– Uszczerbek, jakiego doznała Peg, wpływ leku na jej organizm, to wszystko było skomplikowane – mówił Dale, porządkując plik papierów. – Żeby pociągnąć Wallen do odpowiedzialności, musieliśmy powołać ekspertów, którzy prześledzili, co dokładnie było testowane, jak dużo wiedziano w firmie i jakie dokładnie skutki uboczne wystąpiły u Peg oraz reszty pokrzywdzonych. Do tego potrzeba dobrych ekspertów i szukaliśmy ich, gdzie się tylko dało. Lekarz i chemik przedstawili fakty, których nie można było podważyć. Dzięki temu Oneyowie dostali pokaźną sumę. Naprawdę pokaźną.

I my też, dodała w myślach Evelyn, bo przypomniała sobie, jak rodzice dyskutowali o milionach, które ojciec zarobił na tej sprawie. Matka zaraz potem zatrudniła dekoratora wnętrz – przerobił on Sag Neck od tapet po żyrandole.

– Więc o co chodzi? – zapytała.

– Mąż Peg, wtedy już były mąż, poprosił nas później, żebyśmy się przyjrzeliby innej firmie farmaceutycznej. Zdaje się, że większości pieniędzy z odszkodowania

nie zobaczył nigdy na oczy i był zły. Czuł się zraniony. Teraz myślę, że chciał się zemścić na Peg i wybrał nas jako narzędzie. Powiedział, że zajmuje się inwestycjami na rynku farmaceutycznym i odkrył, że jedna z wielkich firm prowadzi wątpliwą politykę kontroli jakości. Zgłosił się do nas, licząc na to, że wytoczymy jej proces. Przyjrzelśmy się temu i założyliśmy sprawę, która szybko zakończyła się ugodą. Były mąż wyraźnie nie był usatysfakcjonowany, choć wychodziliśmy z siebie, żeby pomóc jemu, jego rodzinie i temu miastu. Potem do naszych drzwi zapukali ludzie z rządu i powiedzieli, że to my, Leiberg Channing, przekupywaliśmy biegłych, aby składali fałszywe zeznania. Sprawa Wallen Pharma nie podlegała przedawnieniu, ale on twierdził, że te same praktyki miały miejsce przy okazji tej drugiej sprawy. Myślę, że miał niewiele więcej niż jeden e-mail, w którym rozmawialiśmy o opłaceniu biegłych, co oczywiście jest jak najbardziej legalne.

Dale odchylił się na fotelu tak beztrosko, jakby właśnie się opalał podczas wiosennych ferii.

– Ale rząd nie może z tego zrobić sprawy w sądzie – powiedziała Evelyn.

Uśmiech, który Dale posłał w kierunku jej matki, był jak nieprzyjęty serwis – Barbara stała odwrócona plecami. – Tak jest. Wiedziałem, że to zrozumiesz. Tu się nie ma do czego przyczepić. Firmy farmaceutyczne pompują wielkie pieniądze w administrację Busha i wszyscy bushowscy prokuratorzy z uczelni biorących udział w Lidze Bluszczonej chcą się dobrać do takich małych płotek jak ja, które pomagają zwykłym Amerykanom. Ale to oni się na tym przejadą. Jedyne, z czym udało im się wyskoczyć po dużym śledztwie, to były mąż dawnej klientki, który twierdzi, że lata temu zrobiliśmy coś nielegalnego. Administracji Busha i republikanom zależy tylko na tym, żeby...

Przerwało mu huknięcie ręką o szybę. – Przystaniesz wreszcie winić za swoje problemy spisek republikanów? – odezwała się Barbara.

Dale podniósł dłonie na znak, że jest szczerzy. – Barbaro, możemy się o to kłócić do końca świata albo nawet dłużej, ale jeśli prokuratorzy federalni mogą wezwać kogo chcą, żeby przyjrzał się firmie, której szczególnie nienawidzą ich główni republikańscy darczyńcy, to nietrudno skojarzyć jedno z drugim.

Evelyn spojrzała na matkę. Barbara patrzyła na wiewiórkę za oknem. Evelyn odwróciła się z powrotem w stronę ojca, ubranego w jasnozieloną koszulkę polo ze zbyt cienkiego dżerseju, który podkreślał zębra.

– I co się teraz stanie? – zapytała Evelyn.

Dale oparł nogę na małym stoliku. – Nie oskarżyli firmy ani żadnego z jej partnerów, bo dowody, a raczej to, co według nich może uchodzić za dowody, to cieniżna. Wiedzą, że niczego z nimi nie zwojują. Mimo wszystko uznałem... a właściwie głównie twoja matka uznała, że powinniśmy ci o tym powiedzieć.

– Dlaczego w takim razie nie powiesz jej, co się naprawdę dzieje? – odezwała się Barbara, gniewnie wypluwając słowa. – I co powinna powiedzieć, kiedy

będą ją ignorować na dzisiejszym przyjęciu u Channingów. No właśnie, o tym nie wspomniałeś, prawda? Dlaczego nie mówisz córce, że ci wszyscy republikańscy prokuratorzy dziwnym trafem skupiają się na tobie? Nie na Tommym Channingu, nie na Larrym Leibergeru? Albo o tym, czemu tak naprawdę przygląda się rząd? Że twoja firma zajmowała się łapówkarstwem na wielką skalę, obiecując biegłym jakiś procent od odszkodowania albo od ugody? Że być może, podkreślam: być może wyolbrzymili to, co spotkało biedną Peg Oney albo kogoś innego spośród twoich biednych klientów?

Mówiła tak szybko, że słowa zlewały się ze sobą, a kiedy skończyła, oparła się o framugę i wyglądała na wyczerpaną.

Dale zamrugał, a przyjemny uśmiech nie zniknął z jego twarzy. Po minucie znów podjął temat.

– Cóż, wygląda na to, że tajemnica się wydała. Byłem prawnikiem prowadzącym te sprawy i z naszych informacji wynika, że rzeczywiście część uwagi może być skierowana na mnie. Ale powiedzmy to sobie jasno: nad każdą z tych spraw pracowała cała nasza trójka – Larry, Tommy i ja.

– Oskarżenia – powiedziała szybko Evelyn i pokręciła głową. – Waleria. Powiedziała, że jesteś w domu od środy. Nieczęsto ci się to zdarza. Boże. Chodziło jej o oskarżenia, nie o obciążenia. O co konkretnie chodzi?

– Twojemu ojcu przygląda się wielka ława przysięgłych – oznajmiła Barbara.

Evelyn wstała tak szybko, że drewniane nogi krzesła skrzypnęły o podłogę.

– Wielka ława przysięgłych? Od jak dawna o tym wiesz?

– No cóż, śledztwo trwa – odparł Dale.

– Tak, zrozumiałam. Ale od jak dawna wiesz o wielkiej ławie przysięgłych?

– Od miesiący – odezwała się Barbara.

– Barbaro, wiele tego typu postępowań toczy się miesiącami – powiedział Dale ostrym tonem. – Nie znaczy to, że do czegokolwiek to doprowadzi.

Evelyn chwyciła oparcie krzesła. – To nie ma sensu.

– Zgadza się – powiedział Dale. Modulował głos, nadając mu słodkie brzmienie. – Przepraszam, że tak cię tym teraz zaskakujemy. Nie sądziliśmy, że cokolwiek z tego wyniknie, i nadal nie sądzimy, ale rząd zdradza różne szczegóły prasie, więc i tak o wszystkim byś się dowiedziała.

Barbara odwróciła się od okna.

– To nie powinno było się stać – powiedziała. Jej dłoń się trzęsła, ale reszta ciała była nieruchoma. – To nie powinno było się stać.

– Ale się stało. I nadal się dzieje.

Evelyn próbowała mówić spokojnym głosem, ale nie mogła nad nim zapanować, jakby ktoś inny regulował głośność. – Dzieje się to, że Dale'owi Beeganowi przygląda się wielka ława przysięgłych. Może powinieneś wspomnieć o tym swo-



jemu dziecku wcześniej niż po kilku miesiącach. Może to byłby dobry pomysł.

– Nie uznaliśmy tego za konieczne.

– Ale było. Było konieczne.

– Evie, nie denerwuj się tak. Wygląda na to, że śledztwo utknęło w martwym punkcie i tylko jeden bezrobotny facet wysuwa fałszywe oskarżenia. Pomyśleliśmy, że osobiście ci o tym powiemy, skoro idziesz na przyjęcie...

– I jakie wspaniałe będzie to przyjęcie! – wykrzyknęła Barbara. Porzuciła lekki baltimorski akcent, który czasem pobrzmiwał w jej głosie, kiedy była zła lub zmęczona, i zaczęła mówić jak pani na włościach Sag Neck, przeciągając samogłoski niczym Katharine Hepburn i dodając do tego nosowość Ethel Merman. – Evelyn, co ty na to, żebyśmy włożyły nasze najlepsze sukienki, poszły na przyjęcie do Channingów i zachowywały się tak, jakby nikt nie wiedział, że twój ojciec jest podejrzany o... cóż by to mogło być... pranie brudnych pieniędzy? O korupcję? Ależ by była pyszna zabawa, co? Jestem pewna, że Sally Channing będzie zachwycona na widok tria w składzie: Dale Beegan, jego żona i córka, i że gorąco nas przywita. Przyjaciele Sally też będą zachwyceni, zwłaszcza po lekturze fascynujących prasowych doniesień o tym, że według rządu Stanów Zjednoczonych łamiesz prawo.

– Barbaro, wystarczy. Mówiłem ci, że jeśli nie chcesz iść na przyjęcie, to nie musisz – powiedział Dale.

To wszystko było naprawdę niepokojące. Niewiarygodna wiadomość, że wielka ława przysięgłych prowadzi postępowanie w sprawie jej ojca, napięcie w pokoju, czekający ją straszliwy dzień, kiedy będzie zmuszona iść na przyjęcie albo zostać w domu z szalejącymi z wściekłości rodzicami. Jeżeli o tej sprawie piszą gazety, wszyscy jej znajomi mogą już o tym wiedzieć. Może po spotkaniu w Lake James rozsyłają to sobie mailowo. Oczywiście wyobraźni widziała wiadomość Nicka: „Wygląda na to, że jej życie nie jest tak doskonałe, jak starała się udawać”. Camilla też mogła czytywać gazety, a nawet jeśli nie, to w dzisiejszych czasach, kiedy wszystko tak szybko się rozprzestrzenia i trafia do sieci, nie dało się kontrolować ani przewidzieć, kto co przeczyta. Stanie się pośmiewiskiem. – To jest w gazetach? – zapytała słabym głosem.

Matka odpowiedziała piskliwym: – Ha!

Ojciec przejechał językiem po przednich zębach. – Evelyn, takie już są gazety. Zawsze próbują zrobić coś z niczego.

– W Nowym Jorku? Nie piszą o tym nowojorskie gazety, prawda?

– Nie śledziłem tego tak dokładnie, skarbie.

– Och. Nie – Evelyn zrobiła kilka kroków do tyłu i zbliżyła się do grubych drewnianych drzwi prowadzących na korytarz. – Tato, nie mówisz poważnie, prawda? Pisano o tym? Podając twoje nazwisko?

– To, co piszą gazety, to czyste spekulacje. Czyste spekulacje.

– Jest tam twoje nazwisko? W tych artykułach?

Dale zmrużył oczy i spojrzał na nią z szerokim uśmiechem, którego używał, wygłaszając mowy końcowe, i który dawno temu nazwała Olśniewaczem. – Nie pamiętam, czy w gazetach wymieniane jest moje nazwisko, czy nazwa firmy. To bez znaczenia. Wszyscy wiemy, jaka jest prawda.

– Czyżby? – powiedziała Barbara.

Evelyn cofnęła się o kolejnych kilka kroków. Pomyślała, że jeśli tylko uda jej się dotrzeć do framugi, będzie mogła wyjść niezauważona przez rodziców. Chciała to wygooglować, a jednocześnie nie chciała. Gdyby w Nowym Jorku o tym słyszeli, ktoś by jej coś powiedział. Preston lub Charlotte wspomnieliby o tym. Nick i Scot prawdopodobnie czytali tylko o finansach. Z całą pewnością tylko o tym. Camilla nie mogła być czytelniczką prasy. Zresztą pewnie nawet nie znała jej nazwiska. Nowojorskie blogi nie interesowałyby się prawnikiem z Maryland. Nic się nie stało. Wszystko będzie dobrze.

– Prawda jest taka – mówiła głośno Barbara – że każdy mieszkaniec Bibville wie, co zrobił twój ojciec. Leiberg Channing, mistrz spraw o odszkodowanie, pupilek Partii Demokratycznej, rzucony na kolana przez rząd republikanów, którego tak nienawidzi. A właściwie, bądźmy konkretni, nie Leiberg, nie Channing, tylko Dale Beegan, któremu nie udało się umieścić swojego nazwiska na tabliczce przy 422 North Market.

Po tych słowach w pokoju zapadła cisza. Barbara patrzyła na męża matowym wzrokiem. Dale przestał się wiercić i przyglądał się swoim splecionym dłońmi. Evelyn poczuła, jak ucieka z niej energia. Zapach pomarańczowego wosku, którym Waleria zapewne pokryła drewniane podłogi, wydawał się jeszcze silniejszy.

Ciszę przerwał w końcu ojciec, który odchrząknął i poklepał się po kolanach.

– No cóż, najlepiej będzie, jeśli będę się teraz dalej przygotowywał do zeznań pod przysięgą. Macie jeszcze jakieś pytania?

Evelyn pokręciła głową i podniosła wzrok na matkę, która zdawała się zagubiona i rozkojarzona. Po cichu wycofała się z pokoju i, wychodząc, zgasiła światło.

## Rozdział siódmy

### Historia społeczna

Evelyn siedziała po turecku na siedzisku pod oknem w swojej dawnej sypialni na piętrze. Patrzyła na potok, trawy i affenpinczera sąsiadów, który szarpał się z gałęzią koło kępy drzew.

Pamiętała sprawę Peg Oney. To wtedy kariera jej ojca zaczęła nabierać rozpędu. Czasami przyjeżdżał do domu na weekendy, ale równie często zostawał w Beaumont w Teksasie, Caddo w Arkansas czy w Tallahassee na Florydzie – w miejscach, które sprawdzała w wielkim atlasie w pokoju z pianinem. Wtedy jeszcze uważała, że ojciec wygląda olśniewająco – że jego dwurzędowe garnitury są luksusowe, a starannie ułożone włosy upodabniają go do Howarda Keela. Teraz garnitury wydawały jej się tandetne, a fryzury przesadzone. Czasami żałowała, że nie patrzy już na niego tak jak wtedy, kiedy była małą dziewczynką. Lubiła się wślizgiwać do jego gabinetu i głaskać gładką, skórzaną aktówkę, a on puszczał do niej oko i częstował karmelkami. Czasami zostawała tam na długo, po cichu bawiła się frędzlami dywanika i słuchała, jak pisze w swoim żółtym notatniku.

Jej rodzice poznali się jesienią, kiedy matka była na drugim roku Hollins – małego college'u w Wirginii, w którym można było podjąć studia jeździeckie. Barbara Topfer urodziła się w Baltimore, ale jej rodzina w latach pięćdziesiątych przeniosła się z Peabody Heights na przedmieścia. Kiedy była nastolatką, ojciec uciekł z młodą sekretarką ze swojej firmy spedycyjnej. Przysyłał wystarczająco dużo pieniędzy, żeby jej i matce dobrze się żyło, ale traktowała jego nieobecność jako hańbę i dopust boży. Uwięziona z matką w Towson oglądała filmy i czytała książki. Była ładna, więc uznała, że musi jej być pisane coś więcej niż takie życie. Złożyła dokumenty do Hollins College i zanim się tam znalazła, miała już ułożoną historię: jej rodzina dorobiła się na spedycji, ojciec nie uciekł z sekretarką, ale umarł młodo i zostawił Barbarze wielką fortunę. Evelyn była zdumiona, kiedy usłyszała tę historię od koleżanki matki z Hollins.

Na drugim roku Barbara pojechała na zjazd absolwentów University of North Carolina i poznała Dale'a Beegana. Dale dostał stypendium na naukę w college'u NC State, osiągał tam znakomite wyniki, a potem zaczął studiować prawo na UNC i został prawdziwą gwiazdą. Towarzyszką Barbary była jedna z jej koleżanek z klasy – typowa uczennica elitarnej szkoły. Dale nie mógł jej znieść i spławił ją z wielką przyjemnością. Barbara łatwo dała się uwieść – pomyślała, że ambicja, urok i robotnicze korzenie Dale'a tworzą mieszankę idealną dla przyszłego polityka. Jak kiedyś jej powiedziała, wierzyła wówczas, że Dale jest na dobrej drodze do zostania ambasadorem, senatorem albo nawet prezydentem. Ona również miała

ambicje, duże ambicje, do których, jako dziewczyna, nie miała prawa się przyznać. W Hollins w latach sześćdziesiątych dziewczęta mogły dążyć tylko do jednego: do zamążpójścia. Skoro Barbara nie mogła prowadzić samochodu, chciała siedzieć z przodu. Pobrali się, kiedy Dale obronił dyplom z prawa. Barbara nigdy nie skończyła college'u.

Dopiero w Sheffield Evelyn doszła do wniosku, że musiało się wydarzyć coś, co tłumaczyłoby dwunastoletnią lukę pomiędzy ślubem rodziców a jej narodzinami – Barbara miała wtedy trzydzieści trzy lata, a jak na dziewczynę z Hollins był to wiek matuzalemowy. Dowiedziała się tego pewnego wieczoru w czasie letnich wakacji, kiedy wróciła z Sheffield do domu. Barbara siedziała na tarasie z mocno opróżnioną butelką białego wina. Zawołała ją do siebie i ostrzegła, że płodność kobiety nie trwa długo. Evelyn skrzywiła się i odwróciła w stronę potoku, ale matka zaczęła opowiadać o swoich problemach z zajściem w ciążę, gdy w końcu zdecydowali się spróbować. Tygodnie ciągnęły się w nieskończoność, kiedy zgodnie z zaleceniami lekarza odbywała precyzyjnie zaplanowane stosunki. (– Mamo! – zawołała w tym momencie Evelyn, ale to nie powstrzymało Barbary przed kontynuowaniem opowieści). Czekala, próbowała wyczuć, czy jest bardziej zmęczona niż zwykle, a potem wracały znajome skurcze i rozczarowanie. Dopiero po roku Barbara w końcu zaszła w ciążę.

Po wizycie u lekarza powiedziała Dale'owi, że dziecko ma już rozmiar ziarenka grochu, a on zaczął je nazywać Groszek. Kiedy opowiadała tę anegdotę Evelyn, głos uwiązł jej w gardle.

Była w trzecim miesiącu ciąży i właśnie malowała białą farbą owce na ścianie w pokoju dziecięcym, gdy zaczęło się krwawienie. Pojawiły się skurcze, a na bieliźnie widać było zaschniętą krew.

W tym momencie Evelyn znów zaczęła prosić, by przestała, ale Barbara, która przez całe życie wręcz nie przyznawała się do fizjologii, najwyraźniej była zdecydowana wyjawić Evelyn każdy szczegół poronienia, jednocześnie nie zdradzając związanych z tym uczuć.

Pojechała samochodem do szpitala – Dale miał wtedy sprawę w Kalifornii – i dostała środki nasenne. Kiedy się obudziła, lekarz powiedział jej, że straciła dziecko. Ona, Barbara, straciła dziecko.

Krwawienia trwały jeszcze ponad dwa tygodnie. W nocy Barbara rzucała się niespokojnie po łóżku, budziła się w środku nocy i w bólach wydalala coraz więcej, czekała, aż jej ciało i jej dziecko ulegną dezintegracji. Każdy kolejny skurcz był szyderstwem z niegościnnosci jej ciała, niezdolności do zrobienia jednej tylko, prostej i podstawowej rzeczy, z którą radzą sobie kobiety na całym świecie. Za namową Dale'a po poronieniu poszła do kościoła, ale wyszła, kiedy ksiądz poprosił o modlitwę za zmarłych. Nie wiedziała, czy Kościół uznaje zbiór komórek w jej ciele za zmarłego człowieka.

– I jeszcze twój ojciec – mówiła Barbara z ponurą miną. – Twój ojciec. Przez całe tygodnie po tym wszystkim nie robił nic, tylko pracował. W ciągu dnia wysyłał swoją sekretarkę, żeby sprawdzała, czy wszystko w porządku. Sekretarkę! Dzieś się tygodni po poronieniu Dale wrócił wcześniej do domu. Powiedział, że zapoznał się ze wszystkim, bez mojej zgody zresztą – z kartami medycznymi i lekami, które przyjmowałam – i że stało się tak nie bez przyczyny. Jeden z leków, który przyjmowałam – pentathilin – podejrzewano o wywołanie poronień także u innych kobiet. Dale znalazł lekarza w Kentucky, który był zdecydowanie przeciwny podawaniu go ciężarnym.

Evelyn czytała o tej sprawie. Pamiętała, że ojciec pokazywał jej artykuł w „Washington Post”. Dzięki jego procesowi i innym podobnym kobiety musiały podpisywać coś w rodzaju zobowiązania, że nie zajdą w ciążę w czasie przyjmowania pentathilinu. Dale uznał, że od tej sprawy zależy jego reputacja. Poprosił przysięgłych i obserwatorów, żeby wyobrazili sobie, jak się czuje taki mały groszek (było jej trochę niedobrze na myśl, że ojciec rzeczywiście użył takiego określenia). Jak mówi: Pozwól mi żyć, pozwól mi wytrzymać – a jednocześnie czuje szkodliwe działanie leku. „Washington Post” napisał, że jego przemowa głosem nienarodzonego dziecka wzruszyła niektórych przysięgłych do łez, zwłaszcza kiedy zaczął opowiadać, jak życie dziewczynki mogłoby wyglądać teraz – jak stawia niepewne kroki, łapie wszystko, co ma w zasięgu wzroku, i hoduje grube pukle jedwabistych włosów. W gazecie można było przeczytać, że Dale Beegan w tym momencie musiał przerwać, aby dojść do siebie. Autor artykułu widział, jak trzęsły mu się ramiona.

– Chciał, żebym zeznawała – opowiadała Barbara. – Uznał, że będę idealnym świadkiem, że będę się dzieliła swoją przeszłością z obcymi ludźmi, by mogli mnie osądzać. Ja nie wiedziałam, Evelyn. Gdybym wiedziała, nigdy nie zażyłabym tego leku.

– Już dobrze – powiedziała Evelyn.  
– Wtedy nie wiedzieliśmy...  
– Już dobrze – powtórzyła Evelyn.  
– To nie było jego – odpowiedziała matka. Jej słowa przeszywał gniew.  
– Dziecko? – zawołała Evelyn. Zbyt głośno.  
– Ależ oczywiście, że dziecko było jego. Co ci przyszło do głowy? Chodzi mi o to wszystko. Nie miał prawa tego wykorzystywać. To ja straciłam dziecko.

Evelyn domyślała się, że to od tamtej pory rodzice spali w oddzielnych pokojach.

Dale pracował, więc prawie całą młodość spędziła w towarzystwie Barbary, przy stoliku dla dwóch osób w Eastern Tennis Clubie. Kiedy była dzieckiem, w poniedziałek rano zawsze czekała na odgłos butów ojca na żwirze. Gdy go słyszała, wymykała się do pokoju z pianinem i siadała na kanapie pod gryzącym gra-

natowym kocem. Czekwała na mamę i próbowała nie zasnąć, ale często kilka minut później już drzemała i dopiero chłodna dłoń głaszcząca ją po głowie wyrwała ją ze snu. Evelyn otwierała oczy, a mama otwierała pianino i zaczynała grać. Najpierw były gamy, lekkie i płynne, a następnie *Oh, What a Beautiful Mornin'* albo *Bill*. Czasami pytała Evelyn, co chciałaby usłyszeć. Ona zawsze zastanawiała się nad tym przez kilka dni, wiedziała zatem, co odpowiedzieć. Jeżeli mama i tata gniewali się na siebie, prosiła o *Waitin' for My Dearie* albo *If I Loved You*. Uważała, że nikt nie może grać tych piosenek, jeśli nie jest zakochany. Jeżeli matka od kilku dni była przygnębiona, prosiła o zabawną piosenkę, na przykład *Sister Suffragette*. Czasem, kiedy mama była radosna przez dzień lub dwa i planowała coś z koleżankami albo dla Evelyn, wiedziała, że może poprosić o piosenkę, którą naprawdę chciała usłyszeć: *Somewhere* z musicalu *West Side Story*. Jest miejsce dla nas – śpiewała nocą do swoich pluszaków.

Zacząła grać w wieku pięciu lat. Jej zeszyty Mozarta i Clementiego, z dużymi nutami, wciąż były upchnięte we wbudowanych szafkach w pokoju z pianinem w Sag Neck, razem z Irvingiem Berlinem, George'em Gershwinem i Frankiem Loesserem z czasów, kiedy umiała już więcej. Z zaskoczeniem stwierdziła, że jej granie brzmi o wiele lepiej, odkąd się przeprowadzili – pokój z pianinem był prawie jak sala koncertowa. Nikt jej nie przeszkadzał, kiedy grała, ale czasami, gdy wyciągnęła szyję nad pianinem, widziała, że matka siedzi na patio i słucha. To były najlepsze chwile – spod jej palców płynęły piosenki, matka była obok, ale patrzyła na przepływający za oknem potok. Okno wyznaczało wyraźną linię podziału między nimi.

W piątki czekała, aż ojciec wróci na weekend z Wilmington. To się zmieniło po sprawie Peg Oney. Po mowie wstępnej cała rodzina poszła z pozywającymi na obiad. Wybrali włoską knajpę z plastikowymi menu, położoną przy autostradzie. Wszyscy mieszkańcy miasta podchodzili do ojca podziękować mu za wykonywaną pracę. – Twój ojciec to naprawdę wyjątkowy człowiek... – Był dla nas taki dobry... – Masz wyjątkowe szczęście... – Ojciec był tak zajęty przyjmowaniem tych pochwał, że prawie nie rozmawiał z nią i z matką, choć miały za sobą długą podróż.

Barbara odciągnęła Dale'a od tłumu wielbicieli, wyciągnęła z torebki walentynkę wyciętą z różowego papieru i opatrzoną koślawym napisem TATA i przybiła mu ręką do piersi. Evelyn zrobiła ją w szkole własnoręcznie tydzień wcześniej, i gdy zobaczyła, co robi Barbara, miała ochotę się schować pod stolikiem. Ojciec popatrzył na nią, jego usta zmieniły się w wąską kreskę, a ona czuła się tak, jakby na pomiętym różowym papierze biło jej własne serce. Ani on, ani matka nie wspomnieli o tym nawet słowem. Tamtej nocy nie mogła zasnąć, wyobrażała sobie tę walentynkę leżącą na stercie linguine w restauracyjnym śmietniku. Ona i Barbara wyjechały z Cresheim trzy dni wcześniej, niż planowały.

To wtedy Barbara zaczęła traktować Evelyn jak swoją powierniczkę i współspiskowca. Niekiedy bywało to ekscytujące, a czasem z kolei wprawiało ją w ogromne zakłopotanie. Barbara tłumaczyła, że Dale się nie ogranicza, kiedy kupuje coś sobie, ale jest skąpy, gdy trzeba wydać pieniądze na nią. Dlatego wysyłała Evelyn do jego gabinetu, żeby pytała, czy mogą sobie pozwolić na nowe rakiety do tenisa albo na ogrodnika, a Dale czasami się zgadzał. Kiedy była starsza, skręcało ją od środka na widok ojca, który po raz kolejny odrywał wzrok od zapisanej strony i patrzył na córkę, już wyższą, stojącą w drzwiach gabinetu i proszącą teraz o to, czego sama chciała: o pieniądze na podróż po Europie w czasie semestru w Sarennes albo na droższy jednoosobowy pokój w Davidsonie.

Gdy Barbara odwoziła ją do szkoły czy do Eastern Tennis Clubu, Evelyn słyszała stałą śpiewkę. Twojego ojca nigdy tu nie ma. Twój ojciec znów odwołał. To przez twojego ojca nie dostałam się do tego komitetu. Z twoim ojcem wstyd się pokazać. Gdyby twój ojciec nie reprezentował pokrzywdzonych, gdyby twój ojciec nie był prawnikiem, to naprawdę dobrze by się nam żyło.

Affenpinczer biegał, trzymając w pysku ptaka wielkości wróbla. Evelyn zastanawiała się, czy zabił go już wcześniej, czy też biedny ptak właśnie umierał ze strachu. Myśl, że wielka ława przysięgłych badała sprawę jej ojca, była straszna i nie można jej było odpędzić. Co za lekkomyślność z jego strony – dać się postawić w takiej sytuacji. Miał do niej pretensje, że zaczęła pracę w People Like Us, a sam zrobił coś na tyle wątpliwego, że badali to federalni śledczy? Przyszła zebrać o czterysta pięćdziesiąt dolarów, a śledczy myśleli, że przekupił ekspertów, aby zasądzono wielomilionowe odszkodowania?

– Evelyn! – rozległ się krzyk matki z korytarza, a następnie kroki. – Evelyn?  
– Barbara otworzyła drzwi bez pukania. – Nie przebrałaś się.

– Miałam się przebrać?  
– Na przyjęcie. Wyjeżdżamy za pół godziny.  
– Mimo wszystko jedziemy na przyjęcie do Channingów?  
– Mimo wszystko jedziemy, zgadza się. Nic mi to nie da, jeśli się nie pojawię i pozwolę, żeby o tym gadali przez całą imprezę. Ubieraj się – odparła Barbara.  
Evelyn wciąż wyglądała przez okno.

– Mówię poważnie. Ubieraj się. Masz pięć minut.  
Evelyn zmieniła pozycję na siedzisku pod oknem i spojrzała na matkę. Barbara niewątpliwie włożyła dużo pracy w swój ubiór. Obwiązała szyję szalikiem, włożyła największy perłowy naszyjnik, prostą lnianą sukienkę granatowego koloru i beżowe balerinki Ferragamo. Miała też swój odnowiony pierścionek z brylantem, który wybrała na dwudziestą rocznicę ślubu.

– Nie chcę – powiedziała Evelyn.  
Ku jej zaskoczeniu Barbara milczała. Ku jeszcze większemu zaskoczeniu podeszła do łóżka, usiadła i zaczęła skubać róg zagłówek. Evelyn próbowała jakoś

zakwalifikować to zachowanie. Widziała matkę siedzącą na łóżku być może dwa razy w życiu, kiedy chorowała. Barbara złapała luźną nitkę i powoli ją wyciągała. Evelyn ześlizgnęła się z siedziska i bez słowa zabrała matce poduszkę. Dziwnie się czuła, kiedy tak nad nią stała.

– To nie jest dobre, Evelyn – powiedziała Barbara, patrząc na miejsce, w którym leżał zagłówek.

– Może wszystko jest okej. Nie wiemy tego – odparła Evelyn i niezdarnie wyciągnęła rękę z zagłówkiem, ale Barbara najwyraźniej go nie widziała.

– To nie jest dobre – powtórzyła.

Wentylator, szumiący nad ich głowami, rozprowadzał po pokoju gorące letnie powietrze, ale nie przynosił ulgi.

– Pomyślał... ja pomyślałam... że będzie łatwiej. W latach sześćdziesiątych wydawało się, że całe to społeczne tło nie ma znaczenia. Nie byłam hippiską, ale wyglądało na to, że wszystko się zmienia. Nastaje coś dla nowego pokolenia. I nagle po prostu... on po prostu... to wszystko się rozpada. Pierwsze lata były bardzo trudne. Twój ojciec tylko pracował, a ja byłam sama i próbowałam wmówić sobie, że linoleum to coś dobrego.

Urwała i zaczęła gładzić dłonią narzutę.

– Myślisz sobie, że nie ma znaczenia, w jaki sposób się zarabia pieniądze. Ale nie można od tego uciec. Zawsze gdzieś obok, pod powierzchnią, czai się pytanie, jak się tego dorobił. Prawnik. Pozywający ludzi, którzy naprawdę pracują i dokonują odkryć.

Evelyn mocno ścisnęła poduszkę. Wiedziała, aż nazbyt dobrze, jak ważne jest, w jaki sposób zarabia się pieniądze, a przede wszystkim – kiedy. Widziała to w Sheffield, kiedy dziedziczki starych fortun, noszące fantastyczne środkowe imiona, swobodnie dryfowały między poszczególnymi kręgami towarzyskimi i wiedziały, że wszędzie zostaną dobrze przyjęte. Dostrzegała to również u Camilli. Nie da się zamaskować zapachu nowobogactwa, jest ostry i plastikowy jak woń winylowej zasłony prysznicowej tuż po wyjęciu z pudełka. Można było próbować przykrywać to kolejnymi warstwami starych domów, starych mebli i manier, imitujących zachowanie ludzi, którzy żyją tak od wieków. Ale jeśli twoja fortuna nie ma kilkupokoleniowej historii, to ani ona, ani ty nigdy nie będziecie znaczyć tyle samo.

Rozluźniła uścisk na zagłówku. Sprawa z jej ojcem była okropna, ale może pozwoli objawić się nowej Barbarze. Przystępnej, a nawet wrażliwej. Tej Barbarze, która siedziała teraz na jej łóżku.

Po chwili Barbara wstała i potarła dłonie.

– Evelyn, to całe zamieszanie z ojcem w nas uderzy, i to wkrótce. Jeżeli go oskarżą, jeżeli to się skończy procesem albo ugodą obrończą, może nas to też kosztować. Będziemy musieli zapłacić rządowi. Do tego czasu musisz okrzepnąć



w Nowym Jorku. Rozumiesz, co mam na myśli? Twoją pozycję. Twoją reputację. Myślę, że ta praca mimo wszystko może ci się przydać. Zaprzyjaźniłaś się z Camillą Rutherford i odnawiasz przyjaźń z Prestonem. Musisz się tego trzymać. Potrzebujesz solidnego oparcia, zanim to wszystko... – Barbara zwiesiła rękę. – Rozumiesz?

Evelyn ostrożnie odłożyła zagłówek na miejsce, a luźną nitkę schowała z tyłu. – Rozumiem – odparła.

– Te przyjaźnie mogą być bardzo, bardzo ważne – kontynuowała Barbara, przyglądając się jej badawczo. – Chciałabym, żebyś poszła do Channingów.

Evelyn powoli pokiwała głową i posłała matce uśmiech, który przynajmniej w założeniu miał jej dodać otuchy. – Pójdę.

Włożyła sukienkę i zeszła na dół. Matka była już wyprostowana, a w jej oczach błyszczała wściekłość. Po drodze opowiadała o mszycach, które w tym roku zaatakowały ogród Sally. Najwyraźniej gdzieś między pokojem Evelyn a frontowymi drzwiami usłyszała podpowiedź suflera, a wtedy przypomniała sobie swoje kwestie i znów była na środku sceny. Ich rozmowa musiała zostać w kulisach. Nie miała nic wspólnego z rolami, które obie odgrywały.

## Rozdział ósmy

### **New York, New York**

Evelyn przysunęła się do okna pociągu i, jak zwykle gdy wracała do Nowego Jorku, wypatrywała napisu: TRENTON PRODUKUJE, ŚWIAT KUPUJE. Wiedziała, że Trenton to podupadłe miasto, ale wciąż pamiętała chwilę, kiedy zobaczyła je po raz pierwszy, w wieku dziesięciu lat, podczas pierwszej wycieczki do Nowego Jorku. Wszystko podczas tej podróży było magiczne, a kiedy zobaczyła ten napis, uznała Trenton za coś w rodzaju warsztatu Świętego Mikołaja, miasta, w którym przedzie się watę cukrową i skrzydełka wróżek.

Wtedy oczarował ją nawet dworzec Penn Station. Nigdy wcześniej nie widziała tylu ludzi naraz. Barbara przedarła się przez tłum, wyszła na ulicę i zatrzymała taksówkę, która pachniała płynem z przenośnej toalety. W środku dyndał kartonowy odświeżacz w kształcie choinki. Barbara musiała jej wytłumaczyć, co to takiego.

Mieszkały w hotelu Plaza. Zaraz po przyjeździe poszły na herbatę. Popołudniową herbatkę – takiego określenia kazała jej używać Barbara. Evelyn miała zaprezentować to, co obie ćwiczyły w domu. Zmarszczyła w skupieniu brwi – nie chciała zepsuć radosnego nastroju matki. Serwetka na kolanach, kiedy się siada. Serwetka na krześle, kiedy się wstaje od stołu. Śmietanka do english breakfast, ale nigdy do earl greya. Śmietankę wlewa się do herbaty, a nie odwrotnie. (Kiedy Evelyn zapytała dlaczego, Barbara odpowiedziała tylko, żeby przestała zadawać tyle pytań. Później, na szkolnej wycieczce do Bath, Evelyn dowiedziała się, że przedstawiciele angielskiej klasy średniej wlewali najpierw mleko, żeby na filiżankach nie zostawały plamy. Ci z wyższych sfer albo nie musieli sami ich usuwać, albo też mieli na tyle dużo zapasowych filiżanek, że nie był to dla nich problem). Kanapkę z ogórkiem je się eleganckimi kęsami. Usta delikatnie muskamy serwetką, nie przecieramy.

Kiedy matka poszła do łazienki, Evelyn wzięła do ust jeden z jadalnych kwiatów stojących na stole i zaczęła go z zapalem przeżuwać – była pewna, że tego nie ma na liście właściwych zachowań.

Następnego ranka matka oświadczyła, że pokaże jej Nowy Jork Barbary Topfer. Mieszkało tu kilka jej koleżanek z Hollins i często spędzała w mieście wesole długie weekendy. Po godzinie oglądania sztuki w muzeum Frick Collection Barbara zniknęła na jakiś czas, a potem wróciła, wymachując błyszczącą broszurą.

– Podoba ci się w Nowym Jorku, Evelyn? – zapytała i usiadła obok na zimnej marmurowej ławce. – Myślę, że powinnyśmy tu spędzić więcej czasu, nie sądzisz?

Evelyn się zgodziła. Widziała wcześniej billboard reklamujący musical *Koty* i zapytała, czy mogłyby go obejrzeć. Matka odpowiedziała, że na Times Square roi się od dewiantów.

Następnego ranka Barbara obudziła ją wcześniej i powiedziała, że są umówione w salonie fryzjerskim, a potem idą na lunch z jej przyjaciółką z Hollins. Ta przyjaciółka, znana wśród przyjaciół jako Push, nie tylko wżeniła się w rodzinę Van Rensselaerów, ale też od strony ojca była z Pierrepontów, a od strony matki z Phippsów.

– Push? – zapytała Evelyn.

– Nie bądź niegrzeczna – odparła Barbara.

Evelyn wyobraziła sobie kobietę ze zwałami tłuszczu, która strąca porcelanę, gdy tylko się obróci.

W salonie w hotelu Plaza Barbara poprosiła, żeby umyć i ułożyć jej włosy, a włosy Evelyn zakręcić w długie pukle (które zdążyły już obwisnąć, zanim wizyta w salonie dobiegła końca). Kiedy wracały windą na górę, Barbara zdradziła więcej szczegółów na temat kobiety o tajemniczym przezwisku Push. Push miała się zjawić na ślubie Barbary, ale w ostatniej chwili odwołała przyjazd – oczywiście miała inne zobowiązania w Nowym Jorku, ale przyjechałaby, gdyby nie to, że nie czuła się dobrze, a droga do Durham była daleka. Push była znaną debutantką – jej pierwsze pojawienie się na balu zostało opisane w magazynie „Life”. Nie była to jednak wina Push. Zakazała wstępu fotografom na swój debiut, ale mimo to natrętni przedstawiciele prasy zabijali się, żeby zdobyć jej zdjęcie.

Nawet w wieku dziesięciu lat Evelyn nie potrafiła kupić opowieści matki. Miałaby ni z tego, ni z owego zostać przyjaciółką Van jakiejś tam, która od strony matki była z jakichś tam innych? I nagle stała się ekspertką od debutantek, kimkolwiek one były? Po głowie, jak natrętny komar, krążyło jej pytanie. Próbowwała je odpędzić, ale pukle włosów denerwująco ocierały jej się o ramiona, a poza tym chciała zobaczyć pomnik Alicji z Krainy Czarów w Central Parku, a nie chodzić w gryzącej sukience, więc wypowiedziała je na głos:

– Dobrze się bawiłaś na jej ślubie, mamusiu?

Barbara czekała, aż otworzą się drzwi windy. Szybko odwróciła się w prawo.  
– Nie mogłam się tam pojawić. Do Nowego Jorku było wtedy naprawdę daleko, a ja miałam swoje wydarzenia towarzyskie, na których musiałam być.

Komar bzycał głośniej, szukał mięsa, w które mógłby się wgryźć.

– Push była smutna, że nie mogłaś przyjechać?

– Och – odparła Barbara, próbując trafić kluczem do zamka. – Na pewno było jej smutno, że jednej z jej przyjaciółek nie było.

– Masz jeszcze zaproszenie? Fajnie byłoby je zobaczyć.

– Evelyn, powinnaś się przebrać. W tej sukience twój brzuch jest za duży.

Evelyn wyślizgnęła się z sukienki. Komar żądał krwi. – Na pewno przykro

było przegapić tak wielkie wydarzenie towarzyskie.

– Uważaj, Evelyn. Nie chcę słyszeć ani słowa na ten temat, kiedy się z nią spotkamy. Czy to jasne?

Push dorastała na rogu Sześćdziesiątej Szóstej i Park Avenue, ale potem przeprowadziła się dwie przecznice w górę i dwie w bok – na róg Sześćdziesiątej Ósmej i Piątej. Barbara nie chciała iść tam na piechotę z hotelu, bo obawiała się, że się pobrudzą. Zamówiła długi czarny samochód, który miał je zawieźć. Była ubrana w różowy kostium ze złotymi guzikami, a dla Evelyn wybrała kwiatową sukienkę Laury Ashley w kolorze morskiej piany i z koronkowym naszyjnikiem. Evelyn uważała, że wygląda w nim jak purytanka.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła jej się w oczy po wyjściu z windy, był obraz przedstawiający młodego dobosza o rumianych policzkach, wiszący nad połączonym stołem, na którym ustawiono różowe kwiaty. Pokojówka prowadziła ich przez kolejne pokoje, aż dotarli do takiego, w którym okna wychodziły na obie strony, a sufit był wyższy niż ten w lobby hotelu Plaza. Wisiał w nim wielki żyrandol i stało jeszcze więcej wazonów ze świeżymi kwiatami. Wiedziała, że świeże kwiaty są drogie, bo jej rodzice zawsze się kłócili o to, czy je kupić, czy nie.

Evelyn podeszła do okna i patrzyła na przejeżdżające w dole taksówki, ale matka zawołała ją po imieniu i wskazała głową duży, zielony fotel. Kiedy się w nim zatopiła, nie sięgała nogami podłogi.

Chwilę później do pokoju weszła Push, zapowiedziana przez pobrękiwanie bransoletek. Evelyn od razu wiedziała, że to ona, bo miała na sobie bluzkę, jakiej nigdy wcześniej nie widziała, powłóczyście wokół szyi. Włosy spięła w coś, co przypominało cytrynową bułeczkę i trzymało się dzięki sile woli i drewnianej pałeczce. Usta Push były pomalowane czerwoną szminką – Barbara powiedziała kiedyś, że czerwonej szminki używają tylko dziewczyny na telefon i choć Evelyn nie do końca wiedziała, kim są te dziewczyny, była raczej pewna, że Push do nich nie należy i matka może się mylić.

– Barbaro, jakże miło znów cię widzieć, nie postarzałaś się ani o dzień – zawołała Push i podeszła do kanapy, z której Barbara natychmiast się poderwała. Evelyn zaczęła wstawać, ale znowu usiadła. Nie mogła sobie przypomnieć, czy przy podaniu ręki dorosłemu trzeba stać, czy siedzieć. Przynajmniej uścisk jej dłoni był pewny – dzięki matce popracowała nad nim już dwa lata wcześniej, wiedząc, że słaby uścisk dłoni to prośenie się o brak szacunku.

Dorośli zaczęli rozmawiać i dopiero po chwili Push zauważyła Evelyn, która wisała w kucki nad krzesłem, na wypadek gdyby musiała usiąść albo wstać.

– No, no! A to z pewnością twoja córka! – powiedziała Push. – Dzień dobry, nazywam się Van Rensselaer – przedstawiła się i wyciągnęła rękę. Evelyn uściśnęła ją z determinacją i odparła: – Jestem Evelyn. Miło mi panią poznać.

– Też będziesz Hollinsówną? – zapytała Push.

– Mam taką nadzieję – odparła Evelyn z akcentem, który wydawał jej się zbliżony do tego, jaki miała baronowa Schraeder w *Dźwiękach muzyki*.

– To cudownie! – odpowiedziała Push i odwróciła się z uśmiechem do Barbary. – Też mam córkę, ale dopiero uczy się chodzić. Zobaczymy, czy ją też kiedyś zapiszemy do Hollins.

Dorośli gawędzili dalej. Potem Push dała komuś znak i na stole pojawiła się taca z herbatą. Evelyn już wiedziała, przed czym tak ćwiczyły w hotelu.

Push nalała jedną filiżankę Barbarze, a następnie Evelyn, która podniosła ją za rączkę. Patrzyła, czy Push doda śmietankę do herbaty. Dodała, a więc musiała to być english breakfast. Evelyn też sięgnęła po śmietankę. Potem Push dodała cytrynę. Evelyn była przekonana, że tak się nie robi. Zbita z tropu spojrzała na matkę, ale ta nie zwracała na nią uwagi.

– Tak miło spotkać starych przyjaciół – zaczęła Barbara. – I wspaniale być z powrotem w Nowym Jorku. To miasto ma tyle ikry.

– Świetnie się tu mieszka – zgodziła się Push.

– W Bibville naprawdę brakuje nam takiego życia kulturalnego, jakie macie tutaj. Wczoraj zabrałam Evelyn do Fricka i po prostu oszalała.

Nie było to prawdą. Podobał jej się basen, ale sztuka była nudna.

– Bibville – powiedziała Push nieobecny tonem.

– Wspaniałe miejsce na Wschodnim Wybrzeżu. Latem roi się tam od polityków.

– Wschodnie Wybrzeże.

– Maryland.

– Oczywiście.

– Frick wykonuje fascynującą robotę – kontynuowała Barbara. – O ile pamiętam, zasiadasz w zarządzie.

Push zmarszczyła brwi. – Zgadza się, od niedawna.

– To taka wartościowa instytucja.

– Tak.

Matka Evelyn owinęła uchwyt filiżanki małym palcem.

– Teraz, kiedy Evie już prawie wyfrunęła z domowego gniazdka, mam nadzieję spędzać więcej czasu w Nowym Jorku.

– Naprawdę prawie wyfrunęła? Ile masz lat, Evelyn?

– Dziesięć.

– Prawie jedenaście – wtrąciła matka. – I poważnie się zastanawiamy nad szkołą z internatem.

Wtedy Evelyn usłyszała o tym po raz pierwszy, ale ponieważ była miłośniczką Pen Pals – serii książek dla młodzieży o dziewczynkach Palmer i Shanon, które chodziły do szkoły z internatem – spodobał jej się ten pomysł.

– Moi chłopcy są w Sheffield i po prostu je uwielbiają. Ja jestem dziewczyną

z Porter's, więc ode mnie usłyszysz tylko superlatywy.

– Nie chcę się rozstawać z moim skarbem, ale wiesz, jak to jest. A jeśli chodzi o Nowy Jork: uwielbiałam tu przyjeżdżać, kiedy byłyśmy w college'u. Tak sobie myślę, że bardzo chętnie zaangażowałabym się w działalność Fricka.

Push podniosła imbryczek z herbatą i znów go postawiła. Spojrzała w stronę drzwi, ale służąca zdążyła już sobie pójść. Barbara mówiła dalej.

– Jest tam naprawdę mocna kolekcja. No i oczywiście Frick to wspaniały ośrodek życia towarzyskiego.

– Dziękuję ci. To wyjątkowa instytucja. Nie mam pojęcia, gdzie się podziała Rosa. Miałabyś ochotę na shortbread?

– Nie, dziękuję. A wracając do Frick Collection, naprawdę chciałabym się tam mocniej zaangażować. Może pamiętasz, że w Hollins byłam wielką miłośniczką sztuki.

Evelyn siedziała w zupełnym bezruchu.

– No cóż – Push poprawiła serwetkę. – Są tu kursy dla przewodników, ale chyba bardziej nadają się dla miejscowych. Harmonogram potrafi być naprawdę wymagający.

– Właściwie to bardziej interesuje mnie miejsce w zarządzie, gdyby było akurat wolne.

– Miejsce w zarządzie? Barbaro, to chyba... to zależy od innych dyrektorów, członków zarządu i działu pozyskiwania dotacji. Ja w tym zarządzie dzierżę szlachetny tytuł organizatorki przyjęć. Mam bardzo niewielką moc sprawczą.

Barbara wygładziła spódnice. – Jeśli mowa o sponsoringu korporacyjnym, firma mojego męża nieustannie szuka nowych możliwości.

Push podniosła wzrok. – Jak się nazywa ta firma?

– Leiberg Channing.

Nie wyglądało na to, żeby kiedykolwiek o niej słyszała. – Mmm – mruknęła.

– Ma siedzibę w Wilmington i jest bardzo wpływowa – dodała Barbara. – Bardzo wpływowa.

– Z całą pewnością – odparła Push. – Raczej nie współpracujemy z innymi miastami, jesteśmy instytucją nowojorską. Bardzo doceniam twoje zainteresowanie, ale nie do mnie należy się z tym zwracać. Z pewnością w Bib... Bib... w Maryland są galerie, które przyjmą twoją pomoc z otwartymi ramionami.

Barbara ściągnęła usta.

Push podniosła palec i tym razem pojawiła się Rosa. Zareagowała na trzycałową różnicę w wysokości palca, zgarnęła z kolan Evelyn do połowy pełną filiżankę i spodek, i zabrała całą tacę.

– Bardzo się cieszę, że podobało ci się w muzeum. Powiem kuratorowi wystawy, że zadowolila wymagające oko dziewczyny z Hollins – powiedziała Push przyjemnym tonem. – Ech, te wszystkie lekcje sztuki, na które musiałyśmy cho-

dzie. A właśnie, to mi przypomniało, dlaczego tu jesteśmy. Tak się cieszę, że mnie poinformowałaś o swoim przyjeździe do Nowego Jorku, naprawdę nie znoszę załatwiać tego typu spraw przez telefon, jest taki bezosobowy. Przepraszam za moją bezpośredniość, ale w tym roku jest zjazd naszego rocznika i mieliśmy nadzieję, że zwiększysz swoje wsparcie.

Evelyn spostrzegła, że matka odwraca głowę do okna, nagle zainteresowana niebem w kolorze sierści królika i szczytami budynków. Zerknęła na Push, która wpatrywała się wyczekująco w Barbarę. Znała tę grę i wiedziała, że do niczego to nie doprowadzi. Odczekała do momentu, kiedy cisza przedłużała się na tyle, że chciało jej się krzyżeć. Siłą woli próbowała skłonić matkę, by coś powiedziała, ale bezskutecznie. Wtedy posłała Push niepewny uśmiech.

– Mama naprawdę uwielbiała Hollins. Wspomina je na okrągło.

Push przesunęła wzrok w lewo, a potem w dół, jakby patrzyła przez lornetkę i próbowała zlokalizować wyjątkowo małego płaza.

– Och! – powiedziała. – To wspaniale!

Evelyn siedziała ze złączonymi kolanami i stuknęła kostką o kostkę. – Wygląda na to, że było tam bardzo zabawnie. Zwłaszcza Tinker Day wydaje się świetny.

– Och, moja droga! Tinker Day to wspaniała tradycja tej uczelni. Prawda, Barbaro?

Barbara lekko odwróciła głowę z powrotem, a na jej twarzy malował się nieobecny uśmiech, jakby Push i jej córka były postaciami na ekranie telewizora, które budzą umiarkowane zainteresowanie, ale nie wywołują emocji.

Push nie wydawała się tym speszona.

– Tak jest, Tinker Day oznaczał, że lekcje są odwołane i wszyscy wdrapujemy się na Tinker Mountain. Niektóre dziewczyny podczas tych wypraw robiły się wręcz agresywne. Byłyśmy niezłymi dzikuskami!

– Czy to prawda, że po dotarciu na miejsce urządzałyście sobie miłe pikniki? – spytała Evelyn.

– Pikniki, ależ tak, oczywiście! – Push głośno zaklaskała w dłonie. Do pokoju szybkim krokiem weszła Rosa, ale równie szybko z niego wyszła, kiedy zobaczyła, że Push po prostu się cieszy, a nie wydaje polecenie. – Chyba mam coś, co ci się bardzo spodoba! Chodź, chodź.

Push momentalnie poderwała się z krzesła i popędziła w stronę bocznych wahadłowych drzwi. Evelyn też wstała, a potem się odwróciła i spojrzała na matkę. Barbara patrzyła prosto na Evelyn. Skóra wokół jej ust zrobiła się obwisła. Evelyn poczuła się tak, jakby kwasowy pazur zaczął ją drapać w ścianę żołądka, ale zdążyła już wstać z krzesła, a Push na nią czekała. Odwróciła się i poszła za nią przez szereg małych pokoi do biblioteki z rzędami drewnianych regałów na książki i drabiną na kółkach, przymocowaną na górze do ściany.

– Gdzieś tu powinna być – powiedziała Push, wdrapała się na drabinę i zaczęła sunąć po pokoju, odpychając się nogą jak na hulajnodze. – Nie oglądałam tego od lat, ale podejrzewam... chodź tutaj! – poleciła. Evelyn posłuchała. Push wyrzucała z małego pudełka wstążki i karteczki. W końcu wzięła do ręki szeroką różowo-zieloną wstążkę. – Tu jest! Miałam ją na głowie jako opaskę na drugim roku podczas Tinker Day. Wszystkie miałyśmy takie dziwne rzeczy, poza tym wspaniale było nosić coś, co wcześniej miała na sobie absolwentka. Jeżeli masz zostać Hollinsówną, myślę, że powinnaś to mieć.

Evelyn spojrzała niepewnie na starszą kobietę.

– No dalej, weź ją!

Wstążka była zrobiona z szorstkiego rypsu, zawiązana na końcach i wyblakła. Evelyn wzięła ją, jakby to była ranna jaskółka, i delikatnie położyła na złożonej w łódeczkę dłoni.

– Dziękuję bardzo – powiedziała.

– Cała przyjemność po mojej stronie. To cudowne, kiedy kolejne pokolenie chce się związać z Hollins. No, a teraz lepiej wracajmy do mamy, co?

– Tak, pani Van Rensselaer – odparła Evelyn.

Kiedy wróciły do salonu, Barbara stała ze ściągniętymi łopatkami. – Dziękuję za herbatę – powiedziała ściszone głosem.

– Proszę, Barbaro. Pomyśl o tym wsparciu. Jeżeli firma twojego męża jest zainteresowana filantropią, nie widzę lepszego miejsca niż Hollins. Niektóre programy stypendialne są naprawdę...

– Rozumiem – powiedziała Barbara i ruszyła w stronę windy, nie patrząc na Evelyn. Przeszła już pół pokoju, kiedy Evelyn doszła do wniosku, że powinna iść za nią.

– No i gotowe! – krzyknęła wesoło Push z pokoju. – Zapisalam, że ty i twój mąż zgadzacie się na pięć tysięcy. Może się spodziewać telefonu z działu pozyskiwania dotacji. Tak się cieszę, że Hollins może na was liczyć! *Esse quam videri*, jak nas uczono w szkole! Do widzenia, wspaniale będzie znów się z wami zobaczyć! Dobrze się bawcie w Bibbington!

Evelyn nie zdążyła jeszcze dojść do windy, a już zamknęły się za nimi drzwi. Sensacje żołądkowe przybrały na sile, bo Barbara nie odezwała się ani słowem, kiedy zjeżdżały windą i później, gdy połknął je czarny samochód. Evelyn obracała w palcach strzępiący się materiał wstążki, którą wciąż ścisnęła i która była jak kojąco szorstki język kota. Z każdą kolejną minutą wścieklej ciszy napięcie rosło, a sytuacja stawała się coraz bardziej niemożliwa do naprawienia.

Dopiero w windzie hotelu Plaza Barbara przemówiła.

– No. To dopiero przedstawienie.

Jej głos był jak pokrywka na garnku wrzącej wody.

Pazur w brzuchu Evelyn znów zaczął drapać, tym razem mocniej. – Co masz



na myśli? – zapytała. Starła się nadać głosowi miękki, bezbronny ton.

Barbara wykrzywiła usta w paskudnym grymasie i zmarszczyła nos. – Och, moja mama wprost uwielbia Tinker Day – powiedziała głosem wyższym o oktawę.

– Och, jestem taka podekscytowana, że zostanę Hollinsówną!

Zadrapania pozostawione przez pazur zmieniały się teraz w falę gorąca.

– Co takiego chciała ci pokazać?

– Słucham? – odparła Evelyn, żeby zyskać na czasie.

– Kiedy z tobą tam poszła. Co chciała ci pokazać?

Barbara z impetem włożyła klucz w zamek. Niewiele brakowało, by otworzyła drzwi kopniakiem.

– Jakież tam rzeczy ze szkoły. Rocznic klasowy.

– Rocznic? – Barbara spojrzała na nią spod zmrużonych powiek. – Dała ci coś?

– Nie – powiedziała Evelyn i zacisnęła dłoń na wstążce, która zdążyła się zrobić wilgotna.

– Kłamiesz – powiedziała matka już niższym głosem. – Jesteś w tym bezna-  
dziejna. No, zobaczmy.

Barbara wyciągnęła rękę. Evelyn jeszcze mocniej zacisnęła pięść.

– W tej chwili!

Evelyn zaczęła się cofać do ściany. Stał pod nią duży kredens i liczyła na to, że uda jej się dyskretnie schować wstążkę. Zanim tam dotarła, matka chwyciła jej nadgarstki, rozwarła pięść i wyciągnęła pamiątkę.

– Co to jest? Barwy Hollins. Czy ma to jakiś związek z Tinker Day? Poprosi-  
łaś ją o to?

– Nie... nie. Pani Rensselaer sama mi to dała.

– Już to widzę. Zwłaszcza że zachowywałaś się tam jak jakiś cholerny domo-  
krążca, który próbuje opchnąć towar. Nigdy nie wiedziałaś, co to duma. Zupełnie  
jak twój ojciec.

Z każdym słowem Evelyn wycofywała się coraz bardziej, ale nie miała  
dokąd uciec.

– Pokażę ci, co możesz zrobić z tą przeklętą pamiątką z Tinker Day – oznaj-  
miła Barbara. Obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę kosza na śmieci, potem  
przystanąła i odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni w kierunku łazienki. Otarła  
się o Evelyn z taką siłą, że zderzyły się łokciami. Evelyn stała nieruchomo  
z zamkniętymi oczami i starała się nie oddychać zbyt gwałtownie. Usłyszała odgłos  
spuszczanej wody, potem odkręcanego kranu w umywalce, a na końcu zamyka-  
nych drzwi do łazienki. Zastanawiała się, w jak dużym bezruchu jest w stanie  
utrzymać swoje ciało. Bała się, że jeśli wyda zbyt głośny dźwięk, matka wyjdzie  
z łazienki, zanim minie jej gniew. Stała z rękoma opuszczonymi wzdłuż tułowia  
i słuchała tylko szumu klimatyzatora, który regularnie włączał się i wyłączał, pró-

bując utrzymać stałą temperaturę w pomieszczeniu. Zauważyła, że kiedy wdycha powietrze przez nos i wypełnia płuca tylko do połowy, jej klatka piersiowa nawet się nie unosi. Czowała, że jeszcze trochę, a wyfrunie ze swojego ciała i popatrzy z góry na czubek swojej głowy.

## Rozdział dziewiąty

### Wall Street Blues

Evelyn wysiadła z pociągu linii Amtrak na Penn Station, ruszyła za tłumem w stronę ruchomych schodów i przeszła przez poczekalnię, w której wciąż unosiło się widmo Nowego Jorku sprzed szesnastu lat. Błyskawicznie złapała taksówkę, bo długi weekend z okazji Czwartego Lipca sprawił, że w niedzielę miasto było wyludnione. Rodzina przetrwała przyjęcie u Channingów tak, jak się tego spodziewała: Barbara promieniała sztuczną radością, Dale dyskutował o jakimś wniosku sądowym, a ona trzymała się na uboczu, za ciastkami krabowymi i faszerowanymi jajkami. Nikt, czy to z rodziny, czy spoza niej, nie wspominał już o śledztwie wielkiej ławy przysięgłych. Mimo to Evelyn była wykończona po weekendzie. Stukała palcem w szybę taksówki i zastanawiała się, czy nie jest za późno, żeby odwołać zaplanowaną na wieczór drugą randkę ze Scotem. Wybrał francuskie bistro na Sześćdziesiątej Dziewiątej. Wizja Scota, który nie potrafi się zdecydować, czy zamówić befsztyk tatarski, czy stek *au poivre*, była przerażająca. Ale kiedy wysiadła z taksówki pod domem, jej myśli absorbowano śledztwo, uznała zatem, że musi gdzieś wyjść i nawiązać kontakt z ludźmi. Postanowiła, że na randce zapłaci za siebie, a na koniec da Scotowi znać, że chociaż lubi się z nim spotykać, to nie do końca działa.

Kiedy zadzwonił do niej po weekendzie w Lake James, niechętnie zgodziła się na pierwszą randkę. Przyszła uzbrojona w cztery czy pięć tematów do rozmowy, ale przerobiła je wszystkie, jeszcze zanim kelner przyniósł koszyk z pieczywem. Sama ciągnęła rozmowę i było to ciężkie jarzmo. Wymieniali się informacjami o sobie: on dorastał w Kalifornii, ale kiedy matka wyszła ponownie za mąż, przeniósł się do Arizony, gdzie zawsze czuł się obco. Dopiero gdy skończył studia MBA na Harvardzie, poczuł, że jest akceptowany. Ona powiedziała, że dorastała w mieście Chesapeake Bay i że woda oraz wybrzeże były tam piękne. On mówił o swojej pracy dyplomowej na temat zbieżności między Adamem Smithem i Friedrichem Hayekiem, a ona próbowała stłumić ziewnięcie. Zmienił temat albo przynajmniej wydawało mu się, że go zmienia, i zaczął mówić o stawkach podatku od dochodów kapitałowych, ale wkrótce zaczął się kłócić sam ze sobą o podatek od spadków i darowizn. Był słodki, naprawdę miły, więc kiedy po pierwszej randce ją pocałował, a ona raczej ostentacyjnie starła ślinę z ust, poczuła się jak kawał suki. Poza tym nie przychodził jej do głowy żaden dobry powód, by już więcej się z nim nie spotkać.

Przygotowywała się do randek, jakby zakuwała do egzaminu z zajęć, na które prawie nie chodziła. Dla Harrisa Reardona, nudnego konsultanta McKinseya,

z którym chodziła zaraz po ukończeniu college'u, studiowała wirtualne ligi baseballowe, dopóki nie miała jasno sprecyzowanej opinii na temat RBI B.J. Uptona. Dla Jacka Lyncha, który był kolegą kolegi Charlotte i pracował jako analityk w Bear Stearns, próbowała zgłębić temat win, aby równie pretensjonalnie jak on opowiadać o nosie i bukicie. Tak podchodziła do wszystkich mężczyzn – zastanawiała się, którą wersję siebie zaprezentować, żeby byli nią zainteresowani.

Nie potrafiła za bardzo ustalić przyczyny, dla której jej życie randkowe nigdy nie nabrało rozpędu. Od początku, jeszcze w Bibville, toczyło się w powolnym rytmie. Josh Meisel, chłopak, w którym się kochała w gimnazjum, w szóstej klasie okazał krótkie i zaskakujące zainteresowanie jej osobą – potrafił zadzwonić na jej prywatny numer podczas *Zagubionego w czasie* i zapytać o pracę domową z matematyki. Jednak w szkole była zbyt zestresowana, żeby z nim rozmawiać, a gdy wreszcie dochodziło do rozmowy, patrzyła w przestrzeń z wyrazem twarzy, który – jak jej się wydawało – wyglądał na europejski. Nie oczarowało go to.

Świat zawsze wysyłał komunikat, że należy być sobą, ale kiedy ona się do tego stosowała, faceci nie byli nią ani trochę zainteresowani. Dlatego też pozostała jej gra w udawanie, entuzjastyczne odnoszenie się do wszystkiego, co chcieli robić mężczyźni, bez względu na to, czy chodziło o wspinaczkę skałkową, dobieranie piwa do sera, czy o mecz Knicksów.

Szła Siedemdziesiątą Czwartą w kierunku zachodnim i próbowała nie myśleć o sprawie ojca. Udawało jej się to do momentu, kiedy kobieta w szarym kostiumie, o ostrych, prokuratorskich rysach, po raz drugi posłała jej niepokojące spojrzenie. Evelyn skręciła i ruszyła na południe. Na Siedemdziesiątej Drugiej zaczęła się zastanawiać, w których gazetach została opisana ta sprawa. Kiedy dotarła do Siedemdziesiątej, martwiła się, że ojciec pójdzie do więzienia. W okolicach Sześćdziesiątej Dziewiątej, gdy skręcała na zachód, pomyślała, że być może wszyscy jej przyjaciele i szefowie w PLU już o tym wiedzą i chichoczą za jej plecami. Kiedy wreszcie przystanęła przed Le Charlot, czuła, że całe jej życie wymyka się spod kontroli.

Weszła do środka, zobaczyła Scotta, popijającego wodę przy stoliku, i wydawało jej się, że już się pozbierała. Podeszła do niego i chciała powiedzieć coś lekkiego i wesołego, ale tylko stała z otwartymi ustami i nie mogła wydać żadnego dźwięku. A potem zaczęła płakać.

Scot wygramolił się z krzesła i ku zaskoczeniu Evelyn nie wahał się, tylko ją przytulił. Jego klatka piersiowa była twarda i ciepła, ramiona wystarczająco długie, żeby ją dobrze opleść, a wełniany sweter miękki. Scot pachniał świętami Bożego Narodzenia i ten jeden jedyny raz powiedział to, co należało – dzięki temu, że się nie odezwał.

– Chcesz się przejść? – zapytał po kilku minutach, w czasie których jego koszula przesiąkała łzami. Pokiwała głową i próbowała zetrzeć czarną plamę, którą

zostawiła na jasnoniebieskiej wełnie, ale on tylko powiedział: – Ćśś – i przeprowadził ją przez rozmazaną restaurację. Kiedy skierował ją na Sześćdziesiątą Drugą, zaczęła wyrzucać z siebie pojedyncze słowa, które miały ją usprawiedliwić. Scot niczego jej nie narzucał, po prostu trzymał na jej plecach wielką, ciepłą dłoń i szedł z nią powoli, mijając jedną dzielnicę za drugą, przechodząc przez kolejne ulice. Czasami oplatał ją ramieniem, ale przede wszystkim pozwalał jej się wypłakać. W końcu opadła na ławkę przy gabinecie optometrysty i próbowała delikatnie zetrzeć spod oczu to, co musiało być rozmazanym tuszem. Scot usiadł obok.

– Przepraszam – powiedziała. – To tylko sprawy rodzinne.

– Okej – odparł. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek przedtem jedno słowo sprawiło jej taką ulgę. Żadnych pytań. Żadnego wścibstwa. Tylko okej.

– Okej? – powtórzyła.

– Okej.

Pogładził ją po włosach i poczuła wspaniałe kojące łaskotanie, które pamiętała z czasów gimnazjum, kiedy zostawała na noc u koleżanek i plotły sobie nawzajem warkocze. – Nadal masz ochotę na jedzenie? – zapytał miękkiem głosem.

Pokręciła głową.

– Zaprowadzić cię do domu?

Znów pokręciła głową.

– Może w takim razie chwilę tu posiedzimy?

Podniosła wzrok i zobaczyła przez łzy, że po drugiej stronie ulicy stał ktoś, kto wyglądał jak jej koleżanka z Sheffield. To nie była ona, ale ktoś na tyle podobny, że chciała po prostu stamtąd odejść. – Może poszlibyśmy do twojej dzielnicy?

– Wall Street w niedzielę? Będzie cicho.

– Cicho? To mi się podoba – odparła Evelyn i pociągnęła nosem. – Bardzo mi się podoba.

Scot przycisnął ją mocniej do siebie, a potem wstał i przywołał taksówkę.

Jego mieszkanie mieściło się w wielkim wieżowcu przy Gold Street. Wszystkie budynki pochylały się tam nad wąskimi kolonialnymi ulicami, które przez to nawet wczesnym letnim wieczorem wydawały się ciemne, zimne i wilgotne. Przechodzili obok placów budowy, na których szcęk maszyn mieszał się z odgłosami młotów pneumatycznych, mijali naciągaczy sprzedających obskurne pocztówki, obiecujące, że nigdy nie zapomnimy, i turystów, próbujących się zorientować, gdzie jest Fulton Street. Sam budynek był typowy dla kawalerów z Wall Street – miał basen w piwnicy, wielki hol wyłożony czarno-białymi płytkami i kanapy, na których nikt nigdy nie siadał.

Mieszkanie Scota, numer 5G, było podobnie wielkie i puste. W salonie stała olbrzymia szara kanapa, która wyglądała na twardą, płaski telewizor, sprzęt grający z gigantycznymi srebrnymi głośnikami i dwa stołki ustawione pod oknem między

salonem a małą kuchnią.

Evelyn poszła ze Scotem do sypialni. Włączył muzykę klasyczną – *W grocie Króla Gór* – i usiadł na łóżku. Evelyn nie miała zamiaru tak szybko uprawiać z nim seksu, ale chciała poczuć jeszcze to ciepło, które okazywał jej na ulicy. Zaczęli się całować i w końcu, kiedy było już jasne, że on tego nie robi, sama rozpięła kilka guzików swojej koszuli. W odpowiedzi wstał, zdjął koszulę, złożył ją, starannie ułożył na krześle, wrócił i czekał na ciąg dalszy. Zrobiła mu dobrze ręką, kiedy się o nią ocierał. Choć przez cały czas pojękiwał z zadowoleniem, miała wrażenie, że dla niego było to równie kiepskie jak dla niej. Ale później, kiedy zaczęła coś przebąkiwać o tym, że musi się zbierać, po prostu powiedział: zostań. I została. Wyszorowała zęby pastą nałożoną na palec wskazujący, umyła twarz jego mydłem Irish Spring, włożyła jedną z jego koszulek, która sięgała jej do kolan, i poszła do łóżka. Oplótł ją swoimi wielkimi ramionami i przywarł do niej nogami. Zesztywniała, ale po chwili, w tym obcym łóżku, poczuła się bezpiecznie. Przejechała kciukiem po jego przyjemnym, grubym przedramieniu i zasnęła przy dźwiękach Griega.

Następnego dnia dostała mail od Nicka: „Słyszałem, że trzymaliście się w ramionach. Ostro”.

## Rozdział dziesiąty

### Na południe od autostrady

Evelyn była tak pochłonięta Nancy Mitford, że kiedy pociąg Long Island Railroad zatrzymał się w Bridgehampton, prawie przegapiła dwuminutowy postój. W Hamptons sierpień był szczytem sezonu i pociąg był bardziej zatłoczony niż wagon metra. Dziewczyny siedziały i stały w przejściach przez większość trzyipółgodzinnej jazdy. Evelyn udało się zdobyć miejsce siedzące i dzięki książkom podróż minęła jej szybko. Uznała, że jeśli chce nadal odnosić sukcesy w People Like Us, musi się uczyć. Czytała jak opętana: starą Emily Post z lat dwudziestych, zanim ta ekspertka od etykiety wpasowała się w masowe gusta, *Klasę* Paula Fussella, *Angielską arystokrację*, w której Mitford wyjaśniała różnicę między słownictwem wyższych sfer a zwykłym. Nauczyła się na przykład, że lepiej używać prostych słów typu „umrzeć” i „bogaty” zamiast kwiecistych „odejść” i „zamożny”. Nie powinno się też mówić: „Zdrowie!”. Z irytacją przeczytała, że monogramy na papeterii mają być tłoczone, a nie drukowane jak te, na które niedawno wydała trzysta dolarów. Wiedziała, że będzie musiała złożyć nowe zamówienie, bo Camilla na pewno zauważy różnicę.

Evelyn była w Hamptons dwa razy, co stanowiło żenująco słaby wynik. Pierwszy raz się nie liczył, bo to była impreza przy basenie u jej dawnego szefa. Drugi raz w zeszły weekend, na degustacji win, którą zorganizowała w East Hampton w imieniu People Like Us. Kiedy Preston i Nick wpadli się przywitać i zobaczyli jej laminowaną plaketkę z imieniem, poczuła się jak pszczoła robotnica. Udało jej się zwerbować piętnastu nowych członków i uważała to za dobry wynik, ale Jin-ho uznał, że nie warto było wydawać na degustację kilku tysięcy dolarów. Evelyn tłumaczyła, że już samo zorganizowanie degustacji win w East Hampton jest dobre dla marki i że nie można rozpatrywać tego w ścisłych kategoriach koszt – zysk.

– Ev! Orientuj się! – przez okno czerwonego wypożyczonego samochodu stojącego na parkingu wychylała się Charlotte. Evelyn stwierdziła z ulgą, że raczej nic nie wie na temat jej ojca. Nie miała zamiaru mówić o tym komukolwiek i żałowała, że rozkleiła się przy Scocie. Okazując słabość, daje się przewagę innym.

Wsiadła do samochodu i w szybkim tempie pokonały krótki dystans między dworcem a domem Nicka. Leżał na południe od autostrady, choć zaledwie kawalek. Kiedy obserwowała drogę, dotarło do niej, dlaczego w Hamptons wszyscy trzymają się tego rozróżnienia. Po jednej stronie były posiadłości, żywopłoty, pieniądze i przywileje. Drugiej tego brakowało.

Charlotte skrzyła na podjazd i Evelyn z zaskoczeniem stwierdziła, że dom

Nicka wygląda naprawdę ładnie. Wiedziała od Prestona, że kosztował dziewięćset tysięcy, i spodziewała się chromu i szkła, a tymczasem zobaczyła wysmagany wiatrem i deszczem, kryty gontem dom z białą ozdobną stolarką. Fakt, że w wieku dwudziestu sześciu lat Nick miał na własność dom, nie był niczym nadzwyczajnym. Musiał mieć więcej pieniędzy, niż jej się wydawało. Choć zarobki w bankowości były dobre, to pensja analityka, który niedawno skończył studia, nie wystarczyłaby nawet na domek letniskowy. Preston mówił też, że rodzice Nicka nie pomagali mu przy zakupie. Zaczęła się zastanawiać, czy aby wszyscy jej znajomi nie mają jakichś sekretnych źródeł finansowania.

Po wejściu do dużego pokoju wiadomo było, że ten dom kupił kawaler – przy jednej ze ścian stała zagracona kanapa, przy drugiej stolik barowy, przy trzeciej stół do jadalni, i wszystko stało tak blisko ścian, jak tylko się dało. Była to mieszanka pieniędzy, męskości i ukrytej obietnicy domowego zacisza, dzięki której każda Jenna, Jenny i Sara (wymawiana jak Sahrah), którą Nick przyprawdzał z imprezy w klubie, mogła uwierzyć, że da radę ujarzmić ten dom i samego Nicka. Evelyn wiedziała od Prestona, że wciąż przyprawdzał nowe i żadna nie pojawiła się tu dwa razy.

Charlotte ledwo przestąpiła próg, oznajmiła, że skorzysta z wolnej chwili i trochę pobiega, bo w nocy będzie musiała pracować. Nick pojechał do miasta po węgiel, a Scot i Preston mieli przyjechać wieczornym Luxury Linerem.

– Czyli mamy sobie wybrać dowolny pokój? – zapytała Evelyn.

– Chyba tak. Ja wybrałam. Oczywiście nie pokój Nicka, ale w ten weekend nie przyjeżdża chyba tak wiele osób, prawda? A więc nie musimy się tym przejmować.

– Pewnie masz rację.

Evelyn wniosła torbę na górę, do wąskiego korytarza. Po obu jego stronach były sypialnie. Na każdym łóżku leżała starannie ułożona lniana pościel w lnianym kolorze. Zamówił ją Nick, po raz kolejny dając dowód wyjątkowo powściągliwego gustu. Sypialnia na samym końcu należała do Nicka. Wskazywały na to gigantyczne drewniane łóżko sanie i dwa olejne obrazy przedstawiające las. W pozostałych sypialniach ściany były gołe. Evelyn zajęła jedną z sypialni po jej prawej stronie. Były tam dwa pojedyncze łóżka, przyjemne wysokie okna z widokiem na trawnik i łazienka. Czowała, że jest jeszcze za wcześnie, żeby spać ze Scotem w jednym łóżku – nie chciała narazić się na komentarze Prestona i Nicka. Poza tym ich randki ostatnio były niewiele lepsze, zatem ten wybór jej odpowiadał.

Następnego ranka obudziły ją kakofonia śmiechu i wysoki okrzyk: Niiiiiiiiick!

Poprzedniego dnia, kiedy wszyscy w końcu przyjechali, cała ekipa wybrała się do Jeroboam, klubu, który wyrósł na skraju autostrady Montauk w byłym podupadłym hotelu i w jednej chwili stał się centrum nocnego życia bankierów



w Hamptons. Nick pociągnął za kilka sznurków, żeby wszyscy mogli wejść. „Nawet Scot” – powiedział Prestonowi. Zatrzęsła się, kiedy to usłyszała. Scot był ujmująco słodki, kiedy zostawali sami, ale w grupie takiej jak ta nie mogła się dobrze bawić, bo przez jego toporność mogła myśleć tylko o tym, jak ostro wszyscy ją oceniają przez pryzmat tego, że jest z nim związana.

Jero, jak w skrócie nazywano to miejsce, był w zasadzie klubem z Dwudziestej Siódmej Ulicy, przeniesionym do Hamptons. W środku było ciemno, gorąco i czerwono, wewnątrz klubu przypominało tętnicę pełną pulsującej krwi. Evelyn szła za Nickiem przez tłum, a potargani mężczyźni w koszulkach button-down zderzali się z nią biodrami. Czekali na drinki w kolejce liczącej trzydzieści pięć osób i po dłuższym czasie wracali z kieliszkami grey goose za piętnaście dolarów i napojami gazowanymi. Drinki były małe i dało się je wypić kilkoma łykami. Charlotte była w piekle, jak powtarzała raz po raz z uśmiechem przez zaciśnięte zęby. Evelyn nie mogła sobie pozwolić na luksus takiego punktu widzenia, postanowiła zatem, że polubi Jeroboam. Szybko wypijała dwa drinki i dołączyła do Nicka i Prestona na parkiecie. Zobaczyła maszynę, która pryskała czymś w tłum. – Feromony – krzyknął Nick i wskazał opadające na nich maleńkie kropelki. Evelyn otarła pot z czoła i bujała się w rytm *I'm N Luv (Wit a Stripper)*.

Pamiętała, że jakiś czas później, gdy cała paczka zdobyła stolik i tańczyła na nim grupa przypadkowych dziewczyn, ona próbowała wywabić plamę z soku żurawinowego, którą miała na spódnicy. Po głowie kołatał jej się też obraz butelki grey goose w wiaderku z lodem. Miała co do niej złe przeczucia, ale nie potrafiła określić dlaczego.

Charlotte, wciąż jeszcze w piżamie, weszła do kuchni. Evelyn akurat otwierała szafki i próbowała znaleźć filtr do kawy.

– Nick przyproceedził kogoś do domu? – zapytała Charlotte i wskazała piętro, skąd dobiegało skrzypienie.

– Chyba tak. Nick i Pres założyli się o to, któremu z nich uda się wyrwać dziewczynę na tekst o... jak to się nazywało... liberii? Coś ze stopami procentowymi.

– LIBOR?

– O, właśnie.

– Jezu. Biedne dziewczyny – odparła Charlotte. – Kiedy kilka tygodni temu byliśmy w Nowym Jorku, zrobili to samo z pytaniem, czy Ameryka powinna utrzymać parytet złota, czy nie.

– Kto wygrał?

– Chyba Preston, ale zostawił tę złotą dziewczynę przy barze.

– Oczywiście.

– Wczoraj wieczorem Nick był trochę... hm, energetyczny, nie sądzisz? – zapytała Charlotte.

– Jak to?

– Jakby jechał na białym koniu, głuptasie. Jedna z pracownic Morgan Stanley, zajmująca się sprzedażą, jest po prostu dilerką kokainy. Nadwyżkę przekazuje Nickowi.

– Nie jestem specjalnie zaskoczona, że Nick wciąga kokę, ale żeby rozprawać ją oficjalnie jako sprzedawca, tak jak robi to ta kobieta w Morgan Stanley?  
– odparła Evelyn.

Charlotte otworzyła lodówkę. – Obsługa klienta. Niektórzy chcą szampana, inni coś na pobudzenie, a jeszcze inni coś na uspokojenie. Musi też zabierać ich do klubów ze striptizem i udawać, że to lubi. To chore, ale tak się załatwia interesy. Choć chciałabym zobaczyć jej raport wydatków.

– Bądźmy poważni. Odkąd to Kolumbijczycy wydają paragony?

– Właśnie, bądźmy poważni. Do której wczoraj zostałaś?

– Mniej więcej do drugiej.

– Cud, że nie jesteś bardziej zjechała. Pamiętasz, jak biegłaś po tę śmieszna wódkę?

Charlotte miała na myśli grey goose. – W jakim sensie śmieszna?

– Hm... widziałaś jej cenę?

– Ile kosztowała?

– Trzysta pięćdziesiąt. Czteryście.

– Za butelkę wódki?

Evelyn otworzyła szafkę, w której był tylko słoik z mieszanką przypraw do mięsa. A więc to ją gryzło. Spokojnie mogła pozwolić, żeby to Preston albo Nick zapłacili za wódkę, ale dobrze się poczuła, kiedy ten jeden raz zaproponowała, że kupi coś tak drogiego. Chłopcy owacyjnie powitali jej zakup i wydawali okrzyki uznania, kiedy dzielnie i od serca napełniała im szklanki. – No cóż – powiedziała. – Jestem tu gościem i już się stało, więc niech będzie.

– To chłopaki chcieli, żeby podawano im do stolika. Nie musiałaś za nich bulić.

– Ty też postawiłaś kolejkę.

– Ev, ale ja przecież pracuję w bankowości. Wiem, ile zarabiasz w PLU, i powiem ci, że nie musisz się czuć jak...

– Już dosyć, Charlotte. Chciałam zrobić coś miłego. Nie musisz rozkładać tego na czynniki pierwsze.

– Jak sobie chcesz – Charlotte weszła do dużego pokoju i klapnęła na kanapę.

Evelyn znalazła w końcu filtry w szufladzie z przyborami do grilla i właśnie wsypywała ziarna do ekspresu, kiedy usłyszała ciężkie kroki na schodach. W drzwiach pojawił się Preston. Cały był starannie wyprasowany, ale jego głos brzmiał o oktawę niżej niż zwykle. – Kawy – powiedział prosząco.

– Jeszcze nie jest gotowa – odparła Evelyn.

– Teraz – jęknął Preston. – Bądź dobrą sekretarką i rób, co mówię. Plik! Będę dyktował!

– Dzień dobry, panie Hacking – odparła Evelyn. – Dziękuję, panie Hacking.

– Pamiętasz kawę w Sarennes? Chyba była w stanie stałym, a nie w płynie – powiedział Preston, otworzył lodówkę, wyjął słoik musztardy i zaczął mu się przyglądać, jakby próbował rozgryźć, co to takiego. Potem delikatnie włożył go do pustej drewnianej miski, która stała na blacie.

– O Boże, pamiętam – odparła Evelyn, nalała kawę do kubka i podała go Prestonowi. – To cudowne, że byliśmy wtedy licealistami, którzy pojechali na jeden semestr za granicę, a teraz tacy z nas poważni kawosze.

– Oczywiście, jakżeby inaczej! W końcu byliśmy we Francji – Preston wypił łyk. – Nie żeby szczególnie mi smakowało to ich paliwo rakietowe, ale... dobry Boże, kobieto. Czy w tym w ogóle jest kofeina? To przecież sama gorąca woda.

Ekspres nadal klikał, ale Preston wysunął ramię z filtrem, dosypał więcej ziaren, wsunął pojemnik i podstawił filiżankę prosto pod strumień.

– A więc kogo przyprowadził wczoraj Nick? – zapytała Evelyn.

– Dziewczynę. Jak zawsze. Raczej przechodzona. Trzydzieści cztery lata, coś koło tego – odparł Preston.

– Nadal się spotyka z Camillą? – spytała Evelyn, siląc się na swobodny ton.

Preston sączył kawę. – Tak jakby. Ale nie sądzę, żeby Camilli chodziło o coś poważnego.

Usłyszeli rumor na schodach i zajrzeli do pokoju. Nick próbował wypchnąć za drzwi dziewczynę o oczach ciemnych od rozmazanego tuszu, zanim ktokolwiek ją zobaczy.

– Cześć, jestem... – zaczęła, ale Nick wszedł jej w słowo: – Załatwię tylko szybką odwózkę i zaraz wracam z muffinkami, okej?

Evelyn dostrzegła w oczach dziewczyny żądzę posiadania i już wiedziała, że Nick nie będzie odbierał telefonów od niej.

Nick wrócił piętnaście minut później z torbą z kawiarni Golden Pear. Scot zdążył już do nich dołączyć.

– Dobra, obozowicze. Oto wasze żarcie – powiedział i zaczął rzucać wszystkim torebki z brązowego woskowanego papieru. – Przyszło moje PMI? – zapytał Scota.

– No – odparł Scot i wskazał pudełko z FedExu, które stało przy drzwiach.

– PMI? – zapytała Evelyn.

– Poufne Memorandum Informacyjne – wyjaśnił Nick. – Dotyczące transakcji.

– Wow, ale z ciebie szycha – odezwała się Charlotte.

– Co mówisz, Hillary? Wkurzasz się, bo nie jesteś na tyle ważna, żeby

dostać PMI w weekend? – powiedział Nick.

– Ugryź się. Dostają ich pięć tygodniowo. Mój szef zostawił mi jedno zeszłej nocy. Usługa „od drzwi do drzwi”.

– Gdzie ma dom?

– W Southampton. Meadow Lane.

Nick skupił całą swoją uwagę na Charlotte. – Kiedy go kupił? Który to?

– Ten wielki, szary, o trójkątnych szczytach, widać go z drogi. Dwa domy dalej jest dom Calvina Kleina.

– A, ten. Był na rynku dość długo.

– Taaa, kupił go jakieś osiemnaście miesięcy temu.

– Za ile, trzydzieści dolców?

– Więcej. Pisał o tym „Post”.

– Niech to szlag. Facet żyje moim życiem. Czy to nie on ma za żonę tę superlaskę?

– Ta kobieta – odparła Charlotte z uśmiechem – jest niemożliwa. Dzwoni do jego wiceprezes, która ma jakieś trzydzieści sześć lat i jest wystrzałowa, i prosi ją o porady finansowe. Jakby po pierwsze – żona miała jakąkolwiek kontrolę nad finansami rodziny, i po drugie – jakby ta wiceprezes, która zarabia dobry milion rocznie, miała czas kierować jej transakcjami. Chyba naprawdę wygląda to tak, że ćwicząc na siłowni, widzi coś na CNBC, a potem, ubrana w trykot – wyobrażam ją sobie w trykocie – dzwoni do tej kobiety i mówi: Na pasku napisali, że forint traci na wartości, i zastanawiałam się, co to znaczy dla mojego portfo... portfo... no, tej śmiesznej rzeczy, która robi te wszystkie pieniądze.

Po śniadaniu Nick wysłał Charlotte na plażę po ręczniki, a Evelyn po przekąski. Przyniosła ze spiżarni dwie paczki chipsów Terra i paczkę Twizzlersów. W sypialni, którą dzieliła ze Scotem, włożyła nową tunikę Tory Burch, którą Nick widział w Lake James i nazwał zabójcą erekcji. Następnie wrzuciła do swojej plażowej torby rzeczy Scota: raporty badawcze, raporty roczne, okulary przeciwsłoneczne, leki na astmę, biografię Nathanaela Greene’a, dwa numery „The Economist”, filtr przeciwsłoneczny SPF 55 i butelkę aloesu na jego nieuniknione poparzenia.

Wycieczka na plażę została skrócona przez popołudniowe chmury. Kiedy Evelyn i Charlotte wróciły do domu, zaczynało się już zbierać na deszcz. Po drodze zrobiły jeszcze postój w UPS Store, bo Charlotte musiała wysłać jakieś dokumenty. Evelyn wysiadła z wynajętego samochodu, w środku i na zewnątrz pokrytego zaskorupiałą solą z morza i chipsów Terra, które jadła. Wytarła ręce o gołe ramiona. Powietrze z ciepłego stało się zimne. Charlotte siedziała w samochodzie i pisała na blackberry, na podjeździe stał samochód Nicka i jeszcze jeden – niebieski jaguar o rejestracji WIELKIEMICO!, który wydawał skrzypiące dźwięki, świadczące o tym, że przed chwilą był używany. Może szef Nicka przyjechał na

kilka drinków?

– Halo? – zawołała i postawiła torbę przy drzwiach. – Nick? Jesteś tu? Scot? Pres?

Pobiegła na górę. Pomyślała, że jeśli od razu odkręci wodę, będzie mogła się zanurzyć w tej eleganckiej wannie jeszcze przed nadejściem burzy.

Weszła do przedpokoju i z zaskoczeniem zobaczyła, że na orientalnym chodniku Nicka leży góra prania. Po chwili zaczęła dostrzegać szczegóły. Było tam jej brązowe bikini z zapięciem w kształcie skorupy żółwia. Biała sukienka, którą powiesiła w łazience, była teraz zmięta i leżała pod wysmarowaną gliną podeszwą sandała Jack Rogers. Jej kosmetyczka była otwarta i niedyskretnie wystawał z niej tampon. Turkusowa podróżna szczoteczka do zębów była mokra, a rozczapierzone włosie dotykało podłogi w przedpokoju. Czy ktoś robił pranie i przez pomyłkę wziął jej rzeczy? Ale co w takim razie robiły tu kosmetyczka i szczoteczka? Czyżby to Scot? Ale on przecież nie powyciągałby jej rzeczy, a nawet gdyby, to na pewno by je poskładał. Podeszła do sterty i zobaczyła, że wszystko, co tak starannie wybierała na weekend, było teraz wściekle skołtunioną masą. Za górą ubrań stała walizka Scota. Nie rozpakował jej, wciąż była nietknięta. Czyżby Nick się wkurzył? Co takiego zrobiła?

Zajrzała do sypialni, którą zajęła dzień wcześniej, i szukała jakiejś wskazówki. Na ławie przy nogach łóżka, gdzie wcześniej stała jej torba, była teraz inna, różowa, z inicjałami CHR. Rozszyfrowała je od razu.

– Nie, lepiej spółka typu C-corporation – rozległ się głos zza drzwi sypialni Nicka. – Co? Dlatego że przy takiej strukturze będziemy mogli przenieść straty podatkowe na kolejny okres. Przenieść straty podatkowe – powtórzył z przekonaniem. – Rich, weź się w garść, okej? Porozmawiamy znowu za kilka godzin. I chcę mieć te liczby.

Otworzyły się drzwi na końcu korytarza. – Evelyn – odezwał się Nick. Trzymał w ręku telefon i patrzył na rozgardiasz. – Domyślam się, że ta cała galanteria jest twoja?

Evelyn zorientowała się, że nie tylko siedzi w kucki, ale i obraca w palcach zabłąkany tampon. Obróciła ramię, żeby zasłonić go przed Nickiem, i odepchnęła nogą miseczkę stanika.

Nick posłał jej dziwny uśmiech. – Camilla postanowiła przyjechać na kilka dni. Zdaje się, że chciała dostać pokój, który wy zajęliście. Przykro mi.

Evelyn szybko zamrugła.

– Nie, to na pewno moja wina. Nie wiedziałam, że Camilla przyjeżdża. Nie powinnam była zajmować pokoju.

Kiedy to powiedziała, uświadomiła sobie, jak absurdalnie to brzmi. Czy zeszłej nocy miała cichutko drzemać u podnóża schodów?

Uśmiech Nicka się rozluźnił. – Tak. Camilla była tu w zeszły weekend

i naprawdę podobał jej się widok z okna albo coś w tym rodzaju. Przepraszam.

– W zeszły weekend? – zapytała Evelyn. Była wtedy na degustacji win i nic o tym nie wiedziała. Najwyraźniej już została wykluczona.

– Tak. Jeżeli pozostałe pokoje są już zajęte, ty i Scot możecie spać w kanciapie, tam jest rozkładana kanapa. Pościel jest w szafie obok kuchni.

Rozkładana kanapa w kanciapie. Świetnie. Rano pewnie zobaczy nad sobą Camillę, pokazującą zaschniętą ślinę, która zebrała się wokół jej ust, kiedy spała. – Da się zrobić. Potrzebuję tylko mojej torby. Chyba jej tu nie ma.

Nick kopnął drzwi sąsiedniej sypialni i zlokalizował torbę. Była wciśnięta za drzwiami.

– Camilla ma silny rzut, ale z celnością u niej trochę gorzej – powiedział ponurym tonem, podał Evelyn otwartą torbę i ruszył sprężystym krokiem w stronę schodów. Evelyn wytrząsnęła z torby koszulę i zaczęła powoli składać ubrania. Kiedy usłyszała na dole kroki Nicka, wcisnęła wszystko do środka jak leci. Sandały plasnęły nieprzyjemnie, kiedy je ze sobą złączyła. Rzuciła szczoteczką przed siebie, aż odbiła się od ściany. Jeżeli Nick widział jej rzeczy w korytarzu, to Preston też, a Camilla wszystko przetrząsnęła. Poplamione krwią majtki używane przez nią podczas miesiączki, które dorzuciła w ostatniej chwili i które od wielokrotnego prania nabrały błotnistej koloru. Szczoteczkę na podłodze pełnej zarazków. Wszystko wyrzucone na korytarz, tak że każdy mógł to zobaczyć. Jaką zasadę zapomniała sobie przyswoić? Przed jakim amerykańskim zwyczajem z 2006 roku zapomniała ją ostrzec Nancy Mitford? Zniosła torbę po schodach do małej, ciemnej kanciapy, usiadła na kanapie i patrzyła, jak niebo za oknem coraz bardziej szarzeje. Kopnęła torbę. Wiedziała, co powiedziałyby Nancy Mitford: nie powinna była zajmować drugiego najlepszego pokoju, z pewnością nie w domu Nicka, gdzie w najlepszym razie była gościem czwartej kategorii. Kopnęła ją znowu.

– Kurwa! – rozległ się głos Charlotte, która przechodziła obok kanciapy i pisała na blackberry. – Dlaczego ten pieprzony plik nie chce się załączyć?

– Słownictwo – upomniał ją Preston. Evelyn wyslizgnęła się na korytarz i spojrzała przez szklane drzwi na ogród i basen. Zmrużyła oczy. Camilla rzeczywiście tam była, odpoczywała na leżaku. Miała na sobie wełniany sweter z wzorem Aran, dół od bikini i znoszone top-sidery. Evelyn wycofała się do kanciapy. Musiała jakoś załagodzić sprawę z Camillą. Pokazać, że jej to nie spieszyło. Wysunęła się z tuniki i stojąc w bikini, zadała sobie oczywiste pytanie: czy Camilla miała pod swetrem górę od bikini, czy też zabiłoby to efekt, jaki można osiągnąć, kiedy się dobierze niepasujące do siebie rzeczy? Włożyła cienki zielony kardigan, ale wyglądało to dziwnie. Spróbowała połączyć dół od bikini z parką, ale wyglądała w tym jak prostytutka pracująca na morzu. W końcu włożyła na bikini koszulkę z długimi rękawami i miała nadzieję, że efekt jest zbliżony.

Kiedy podeszła do drzwi, wszyscy byli zajęci rozmową. Rozejrzała się po

kuchni w poszukiwaniu czegoś, co mogłaby, w dosłownym sensie, wnieść na imprezę. W kuchni była otwarta butelka wina, ale Evelyn jak przez mgłę przypomniała sobie zasadę, że czerwonego nie pije się przed czwartą po południu. Na wózku barowym Nicka zobaczyła butelkę ciemnego rumu i wzięła ją do ręki. Przypomniała sobie, że w lodówce widziała piwo imbirowe. Zrobiła dark and stormy, spróbowała, wytarła ślad ust ze szklanki, dodała limonkę i zrobiła następnego.

Wyszła na zewnątrz. Kostki lodu w szklankach stukały o siebie. – Ktoś ma ochotę na dark and stormy?

– Tak! – zawołała Camilla. – Poproszę.

Pomachała do niej, a ona od razu poczuła, że stylizacja, na którą się zdecydowała, jest kompletnie nietrafiona.

– Evelyn! Nie wiedziałam, że przyjeżdżasz. Jestem zachwycona moją stroną w People Like Us. Wczoraj zadałam pytanie o Gorsucha i dostałam odpowiedź w jakieś trzy minuty.

– Niesamowite – zachichotała Evelyn i zanotowała w pamięci, żeby sprawdzić, kim jest Gorsuch. – Zabawne, ty też jesteś miłośniczką dark and stormy? Nie ma nas tak wielu. Pychota, prawda?

– Mmm-hmm – odparła Camilla. – Naprawdę zabawna historia.

Miała przed sobą weekendowy „Journal”. Nick rzucał cię na gazetę.

– Materiał o prywatnych samolotach – powiedział Nick. – Pewnie nie wiesz, ale forwardowałem go około dziesiątej rano.

– Pewnie nie wiesz, ale ja forwardowałam go o dziewiątej trzydzieści rano – odpowiedziała Charlotte i ze stukiem położyła blackberry na drewnianym stole piknikowym. – I jak tu nie kochać bezprzewodowego internetu.

– I właśnie dlatego nie masz męża, Hillary – odezwał się Nick.

– O czym jest ten artykuł? – zapytała Evelyn.

– O ludziach, którzy przerabiają samoloty, dostosowując je do swoich potrzeb – odparła Charlotte. – Całe samoloty pasażerskie. Jeden właściciel funduszu hedgingowego transportuje swoim samolotem konie.

– Dziwniejszy jest prawnik, który ma 737 – powiedział Nick. – Nie mogę sobie tego wyobrazić. Prawnik sprawdzający stan techniczny samolotu przed zakupem? Który prawnik ma samolot? Ile on może zarabiać, sto osiemdziesiąt rocznie? I nagle kupuje sobie 737?

– Jeżeli ten prawnik specjalizuje się w procesach o odszkodowanie, to zarabia znacznie więcej niż sto osiemdziesiąt rocznie – powiedział Preston. – Może to jakaś wielka sprawa przeciwko Big Tobacco albo coś podobnego?

Preston postukał dłonią w paczkę papierosów, która leżała na małym stoliku. – To w zasadzie nasz parlament płaci za przeloty tego faceta.

– Pres – powiedziała ostro Charlotte i skinęła głową w stronę Evelyn.

– O kurczę. Przepraszam, Ev. Zapomniałem o twoim tacie.

Evelyn uśmiechnęła się blado i usiadła przy stole piknikowym.

– O co chodzi z jej tatą? – zapytał Nick.

– Dale Beegan, adwokat specjalizujący się w sprawach o odszkodowanie – wyjaśnił Preston.

– Żartujesz – powiedział Nick. – W jakiej firmie?

– Leiberg Channing, z Wilmington. Nie słyszałeś o niej – odparła Evelyn. – Głównie procesy przeciwko koncernom farmaceutycznym. Kiedy firmy nie badają leków wystarczająco dokładnie, tego typu sprawy.

– Leiberg Channing – odezwała się Camilla. Akurat ona. – To duża firma?

– Średnia – odparła Evelyn. Chciała, żeby temat umarł śmiercią naturalną.

– Nick, mogę na chwilę pożyczyć od ciebie blackberry? – zapytała Camilla.

Nick podał go jej i powiedział: – Przeciwko koncernom farmaceutycznym. Przysięgam, nic o tym nie wiedziałem. Poczekaj, czy to nie ta...

– Nie wierzę, że ludzie nadal palą papierosy – powiedziała głośno Charlotte.

Preston przeciągnął się na krześle i przeczesał ręką loki. – A właśnie, kole-dzy, to mi o czymś przypomniało. Nie możemy już dłużej się godzić na taką sytuację kolejową.

– Nie podoba ci się podróż pociągiem LIRR? – zapytała Charlotte. – Chwilęczkę, czy wy nie przyjechaliście wczoraj Luxury Linerem?

– Luxury Liner, moja droga, to w dalszym ciągu autobus. Wszystko, co ma cztery koła i blaszaną toaletę – zwłaszcza jeśli określa samo siebie słowem „luksusowy” – nie ma nic wspólnego z prawdziwym luksusem. Uważam, że następnym razem powinniśmy stąd odlecieć helikopterem.

– Jakże to pretensjonalne! – odparła ze śmiechem Charlotte.

– Koleś... Preston ma na nadgarstku czterdzieści kaflów, a my siedzimy przy basenie w Bridgehampton. Myślę, że pretensjonalność mamy już za sobą – powiedział Nick i wskazał brodą zegarek Patek Philippe na ręce Prestona. – Jestem za helikopterem. Dotarlibyśmy tu w pół godziny. Lądowisko jest dwie minuty drogi od mojego biura.

– Dlaczego musisz używać słowa „koleś”, Nick? Twoje służbowe wyjazdy do L.A. nie powinny dawać ci prawa do mówienia jak Kalifornijczyk. Bez urazy, Scot – powiedział Preston.

– Jestem z Arizony.

– Nie uznaję Arizony.

– Jako stanu? – zapytała Charlotte.

– Nie, z dyplomatycznego punktu widzenia. Handel, reparacje, tego typu sprawy. W każdym razie wynajęcie helikoptera to nie jest właściwy krok. Wynajmowanie... – Preston uśmiechnął się pobłażliwie na dźwięk tego słowa.

– Nie chcemy helikoptera – powiedział Nick. – Mój szef ma świetny samolot na dwanaście osób. Trzyma go na prywatnym lotnisku na JFK. Z heliportu na JFK,



a potem samolotem na lądowisko w East Hampton. Góra pół godziny. Kiedy dostaniemy premie.

Camilla spojrzała znad blackberry. – Musisz być taki niewychowany i cały czas gadać o pieniądzach, Nick?

– To nie oznaka braku wychowania, jeśli mowa o czymś możliwym do osiągnięcia, kochana C – powiedział Preston.

– Kretyni z was – skwitowała Charlotte i zmieniła pozycję na ławce przy stole piknikowym. – Ja tam lubię autobus.

– A ty, Scot? Jakie jest twoje stanowisko w sprawie kwestii podróży do Bridgeton drogą powietrzną?

Scot miał na sobie niebieskie spodenki kąpielowe. Evelyn pomyślała, że aby zakryć jego uda, muszą być tak długie jak nogawki jej spodni mierzone od kroku do dołu. Odchrząknął.

– Cóż – zaczął, a ona oderwała od stołu drzazgę. – Komunikacja publiczna jest niezwykle efektywna, a transport lotniczy opiera się na paliwach kopalnych, co oczywiście oznacza dużą emisję dwutlenku węgla. Poza tym nie jestem pewien... – spojrzał na Evelyn, która wpatrywała się w drzazgę. – Przepraszam, czy ja was nie zanudzam?

– W żadnym wypadku – powiedział Nick. – Proszę. Oddajemy ci głos.

– No więc myślę, że powinniście pomyśleć o kwestii materializmu. Uważam, że nasze pokolenie ma zbyt dużą obsesję na jego punkcie. Wciąż chcemy wymieniać wszystko na lepszy model, ale przypomnijmy sobie Schopenhauera, daremność tych starań, i pomyślmy o tym, że ludzkie pragnienia są w gruncie rzeczy puste...

Evelyn przyjrzała się grupie. Charlotte wyglądała na śpiącą, Preston patrzył na zegarek, Nick taksował niebo jak zadowolony kot, szukający ptasiej przekąski, Camilla wystukiwała coś na blackberry Nicka. Evelyn wydawało się, że weekend w Hamptons, w domu Nicka – kupionym, nie wynajmowanym – z przyjaciółmi, którzy kształcili się w Sheffield, Enfield, St. Paul's, na Harvardzie, w Dartmouth, Tufts i HBS, to wystarczający powód do zadowolenia. A tymczasem przyjechała pociągiem, a powinna była wybrać autobus, ale autobus też nie był dość dobry, więc zaczęli rozmawiać o helikopterze, a potem helikopter okazał się gorszy od samolotu. Nigdy nie mieli dość, nic nigdy nie było wystarczająco dobre. Słowo „więcej” stale grało jej na nosie.

– Przepraszam. Hm... To chyba za ciężki temat na plażę – zakończył Scot.

– Uwielbiam Schopenhauera na plaży – wymamrotała Charlotte z zamkniętymi oczyma. Pozostali milczeli.

– Scot – powiedziała Evelyn dziarskim tonem. – Mógłbyś przynieść mi trochę wody?

– Jasne – odparł Scot, poderwał się z krzesła i niechętnie je kopnął. Krzesło

z głośnym skrzypieniem przejechało kawałek po wyłożonym kostką chodniku. – Oh. Ha – powiedział i pomaszerował do środka. Był skupiony, jakby właśnie wypełniał ważną misję.

– Twój chłopak jest wystrzałowy – powiedział Preston, kiedy za Scotem zamknęły się drzwi. – Nie mogę się doczekać jego wieczornego wykładu o geologii.

– Serio, co to, kurwa, było? – odezwał się Nick.

Camilla patrzyła na drzwi, za którymi zniknął Scot. – Ja uważam, że jest bardzo mądry – powiedziała po prostu i oddała Nickowi blackberry. Po tych słowach negatywne emocje wyparowały i atmosfera znów zrobiła się przyjemna. Evelyn pomyślała, że być może nie doceniła Camilli.

– Możemy popracować nad planowaniem obiadu? – zapytała Camilla. – Miałabym ochotę na stek. Grillowany stek z chimichurri. Nick, zrobisz mi chimichurri?

– Zrobię ci wszystko, czego tylko sobie zażyczysz – odparł Nick miękim, przyjemnym głosem.

– Ooch, na początek zrobmy malutkie bułeczki z sałatką z homara! Są bardzo zabawne i nadają się na plażę!

– Nie ma sprawy.

– My pójdziemy po potrzebne produkty – powiedziała Camilla i spojrzała na Evelyn. Evelyn zerwała się z ławki, kiedy dotarło do niej, że została włączona w owo „my”. – Chyba muszę włożyć spodnie – dodała Camilla. – Spotkajmy się za pięć minut przy drzwiach.

Weszła do środka, a kiedy przechodziła obok Evelyn, podała jej swoją opróżnioną szklankę.

Evelyn ruszyła za nią. Usłyszała jeszcze, jak Nick mówi: – No więc mam teraz kartę kredytową Best Buy, bo kiedy kupowałem płaski telewizor, mieli akurat ofertę z zerową rzeczywistą roczną stopą oprocentowania. Czyli, jeśli wziąć pod uwagę wartość pieniądza w czasie, przez rok spłaca się bez oprocentowania. Zdecydowałem się na nią. Ale mieć taką kartę w portfelu to poniżej mojego poziomu.

Evelyn pobiegła, żeby w ciągu wyznaczonych przez Camillę pięciu minut zdążyć umyć i wysuszyć szklanki, też włożyć jakieś spodnie i ustawić się przy drzwiach.

Kilka minut później Camilla zapukała do drzwi kanciapy i weszła, nie czekając na odpowiedź. – Cześć... oj. To było twoje?

Zaczęła lustrować rzeczy Evelyn, które wystawały z torby.

Evelyn szybko zakryła ręką tampon. – Moje? Ach, tak. Zgadza się.

– Wyrzuciłam to z pokoju na górze.

– Ach, to byłaś ty? – odparła Evelyn, ale nie wydawało jej się, żeby to zabrzmiało przekonująco. – Pomyślałam, że może przeszkadzało czy coś takiego.

– O mój Boże – powiedziała Camilla i zaczęła się śmiać. – Zobaczyłam ten turkusowy kostium z cekinami i pomyślałam, że na pewno zostawiła go dziewczyna, z którą Nick spał tu zeszłej nocy. Tydzień temu, kiedy tu byłam, Nick i ja kręciliśmy ze sobą. A teraz Preston powiedział mi, że w nocy była tu jakaś dziewczyna, więc kiedy zobaczyłam te sukienki w łazience, to pomyślałam, że... no cóż.

Evelyn nie zdawała sobie sprawy, że jej turkusowy kostium to przesada. Zaczęła się zastanawiać, co tak gorszącego było w jej sukienkach, że wyglądały jak ciuchy pierwszej lepszej dziewczyny, którą Nick sprowadził na noc do domu. Połowę z tych rzeczy kupiła w Calypso, podczas gdy tamta dziewczyna prawdopodobnie ubierała się w Rampage. – Naprawdę, kanciapa jest całkiem przytulna – powiedziała. – Całkiem w porządku.

Camilla oparła się o futrynę. – Kręcimy ze sobą. Nick i ja. To naprawdę najmniej interesująca rzecz z możliwych, ale moja chiromantka twierdzi, że powinnam być bardziej otwarta, więc ci o tym mówię. Jestem po prostu znudzona i potrzebuję kogoś, z kim mogłabym pofiglować.

– Oczywiście. Oczywiście. Wspaniale. Nick to dobry chłopak i...

– Nie pytałam cię o zdanie. Chciałam tylko być szczerą i otwartą, a moja chiromantka mówi, że bycie szczerą i otwartą to praktyka, a nie cecha. A zatem to już wszystko.

Camilla sprawiała wrażenie, jakby na coś czekała. – Aha. Googlowałam twojego ojca.

– Mojego ojca? Teraz?

– Na blackberry Nicka. Znalazłam kilka bardzo interesujących rzeczy.

Czy Camilla przyszła tu, żeby ją przetestować, jak w filmie *Dazed and Confused*, a ona była świeżakiem? Świnką, która miała się smażyć jak bekon? Evelyn starała się jak mogła, żeby zjednać sobie tę dziewczynę, ale to się powoli stawało absurdalne. Klapnęła na brzegu rozkładanego łóżka i odwróciła głowę od Camilli.

– Słuchaj. To wszystko zaczął taki jeden facet z przeszłości, zgorzkniały typ. Oni niczego nie znajdują.

– Jaki facet?

– Wielka ława przysięgłych, Camillo. Jeżeli przyszłaś tu powiedzieć mi, że wiesz, iż w sprawie mojego ojca toczy się śledztwo, to bardzo dobrze. Głoś to na górze.

Camilla obeszła łóżko i przekrzywiła głowę. – Wielka ława przysięgłych prowadzi śledztwo w sprawie twojego ojca?

Evelyn spojrzała na nią. Nie była pewna, co odpowiedzieć.

– Nie martwisz się chyba, co? – spytała Camilla.

– Camillo, to jest śledztwo federalne.

Camilla zaczęła się śmiać, ale jej śmiech nie był złośliwy, tylko przyjazny i perlisty. – Oj, moja droga – powiedziała. – To nic takiego.

– Co?

– Kochanie, w dzisiejszych czasach każdy, kto coś znaczy, jest pod lupą wielkiej ławy przysięgłych. Jeżeli nie jest, to znaczy, że niewystarczająco ryzykuje w biznesie, wierz mi na słowo. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy ojcowie moich dwóch koleżanek z klasy w St. Paul's zostali postawieni w stan oskarżenia – powiedziała Camilla. Kiwała głową z przekonaniem. – Po pierwsze, nikt nie idzie do więzienia, a jeśli nawet, to jest to w zasadzie kilkumiesięczny obóz. Żony się cieszą, bo mogą odpocząć od mężów. Moja matka niedawno planowała wycieczkę z jedną ze swoich najlepszych przyjaciółek, bo jej mąż znika na trzy miesiące. Wybrzeże Amalfitańskie – dodała i zaklaskała. – Mówię poważnie. Nie możesz się tym martwić. To nie jest żaden problem. A tak w ogóle, to zaczęłam mówić o twoim ojcu, bo wydaje mi się on bardzo prawdziwy – zakończyła.

Evelyn, chcąc nie chcąc, wybuchnęła śmiechem.

– Myślę, że to ważne, żeby nie tracić kontaktu z prawdziwymi ludźmi – powiedziała Camilla. – Założę się, że klienci twojego ojca klepią biedę.

– Jego klienci? – odparła Evelyn. Na pewno klepała biedę jego własna rodzina. Tylko dwa razy odwiedziła miasto, w którym dorastał. Raz, kiedy jego rodzice jeszcze żyli – pamiętała jedynie ciemny dom, protezy zębowe pływające w brudnej szklance i wszechobecny zapach mokrego drewna. Później, kiedy była w liceum, Dale zrobił dużo szumu wokół weekendu taty z córką, który sam zaplanował. Jednak zamiast pójść pograć w golfa, jak wynikało z pierwotnego planu, zabrał ją do swojego rodzinnego miasta, które wówczas było opuszczone i w pewnym sensie przerażające. Cokolwiek chciał jej powiedzieć, nie potrafił znaleźć słów i skończyło się na tym, że siedzieli w jedynej działającej restauracji i w milczeniu jedli tłuste burgery, a potem spędzili noc w Charlotte. Skoro Camilla już czytała o jej ojcu, Evelyn nie mogła tego przykryć, ale nadal mogła ukształtować jej wrażenie na temat rodowodu matki. – Tak, klienci to bez wątpienia prawdziwi ludzie. Mój ojciec też. On i moja matka to taka zabawna para. Ona pochodzi ze starej rodziny z Baltimore – zajmowali się spedycją... transportem morskim. Mieszkali w Baltimore od pokoleń. Jej rodzice prawie zwariowali, kiedy przyprowadziła do domu chłopaka z robotniczego miasta w Karolinie Północnej.

– To takie romantyczne.

– Bardzo.

– Ależ mi się to podoba. To niesamowite. Chcę, żebyś mnie przedstawiła.

– Moim rodzicom?

– Twojemu ojcu – Camilla splotła ręce i wyglądała na zadowoloną z siebie. – Chcę go poznać. – Odwróciła się do drzwi i kiedy wychodziła, rzuciła Evelyn kluczyki. – Możesz prowadzić? Jestem trochę wstawiona.

– Robi się – odparła Evelyn, lekko zdezorientowana po tym, co się wydarzyło.

Samochód Camilli był niebieski, mały i zadbane.

– Uwielbiam tę twoją tablicę rejestracyjną – powiedziała Evelyn i otworzyła drzwi od strony kierowcy.

– To znaczy?

– WIELKIEMICO. Naprawdę zabawne.

– O mój Boże – odparła Camilla. – To nie jest moja tablica. Ten samochód należy do chłopaka mojej matki. Doszłam do wniosku, że będę go potrzebowała na lato. Facet jest tak śliski, że bardziej się nie da. Ta rejestracja doprowadza mnie do szału.

– Rozumiem – powiedziała cicho Evelyn i włożyła kluczyk do stacyjki. Przynajmniej w Sarnes nauczyła się jeździć samochodem z ręczną skrzynią biegów.

Kiedy zatrzymały się na czerwonym świetle, zauważyła, że Camilla ma tę samą bransoletkę, którą miała w Sachem. Poleciała, żeby pojechały do Southampton, bo tam są lepsze sklepy niż w Bridge. Evelyn posłuchała i – co wydawało się nieprawdopodobne – jak tylko przyjechały, znalazła miejsce parkingowe na Main Street. – To co, pójdziesz po steki i sałatkę z homara? – zapytała Camilla. – Jedną przecnicę stąd jest Johnson's. Ja skoczę tylko do apteki.

Camilla wysiadła z samochodu i przeszła przez ulicę. Dwa pojazdy – volvo i vespa, oba w kolorze morskiej zieleni – zatrzymały się dla niej na środku ulicy. Mops w koszyku vespy miał na oczach gogle.

– Dzięki! Kochana jesteś! – krzyknęła Camilla przez ulicę. – Aha, i jeszcze trochę wina! Cab albo jakieś inne!

Evelyn przypomniała sobie grey goose, którą kupiła zeszłego wieczoru, ale potem pomyślała, że niekupienie wina, kiedy Camilla o nie prosiła, to zły pomysł. Zaczęła od zakupów w sklepie z alkoholem. W zasięgu ręki nie znajdowało się tam nic, co kosztowałoby więcej niż sto pięćdziesiąt dolarów. Z jednej strony dlatego, żeby zniechęcić drobnych złodziejasków z Southampton, a z drugiej po to, żeby klienci, którzy chcieli kupić ducru-beaucaillou, mogli oznajmić to na cały głos. Evelyn od razu podeszła do działu z bordeaux, żeby ci, którzy być może ją obserwowali, pomyśleli, że wie, co robi. Przebierała w butelkach, dopóki nie znalazła takiej, która kosztowała 125 dolarów. Nawet jeśli to nie był cabernet, wino kosztowało na tyle dużo, by nikt się nie skarżył. Tym bardziej że kupiła dwie butelki.

Znalazła Johnson's, dopiero kiedy minęła go trzy razy. Był to sklep mięsny w starym stylu. Długi i wąski, niezaprojektowany z myślą o tłumach. W rezultacie zawsze był zatłoczony, a każdy klient życzył sobie, żeby wszyscy pozostali wrócili na Manhattan i pozwolili mu się cieszyć prawdziwym Johnsonem. Po dwudziestu minutach przysła kolej na Evelyn.

– Potrzebuję kilku steków – powiedziała. – Hm... może sześciu? Albo ośmiu, na wypadek gdyby byli głodni.

– Rezerwowała pani przez telefon?

– Właściwie to nie.

– Porterhouse, łata, filet, rostbef? Co ma być?

– Yy... może filet mignon?

– Cały czy wyciąć ze środka?

Evelyn zgadywała jak podczas badania wzroku. – Wyciąć ze środka?

– Jak duży? Mniej więcej po funcie każdy?

Zajrzała do gabloty, żeby sprawdzić cenę, ale stała przed działem wieprzowiny, a nie wołowiny – Oczywiście.

– Sześć filetów mignon, ze środka, po funcie każdy! – krzyknął rzeźnik.

– Osiem, tak na wszelki wypadek.

– Osiem.

– I może jeszcze trochę sałatki z homara. Ile potrzeba na sześć osób?

– Na sześć osób? Do kanapek dwa i pół funta.

– W porządku, niech będzie.

Wzięła pakunki, przedarła się do przodu i z hukiem opuściła na ladę ciężką, zimną paczkę wołowiny i kubełek wypełniony sałatką z homara. Kobieta przy kasie żuła gumę i była zajęta dmuchaniem wielkiego różowego balona. – Pięć czterdzieści – powiedziała, kiedy już skończyła.

Evelyn domyśliła się, że kobieta mówi po Nickowemu i w zależności od sytuacji pięć może u niej oznaczać pięć tysięcy, pięćset tysięcy albo pięć milionów. Uznała, że chodziło jej o 50 dolarów i 40 centów, i podała jej trzy dwudziestki.

Kobieta gapiała się na nią, żując gumę. – Co to jest? – zapytała.

– Pięćdziesiąt czterdzieści. Przepraszam, nie mam czterdziestu centów.

– Ha! – zaśmiała się i zmoczyła kasę drobinkami jagodowej śliny. – Bill! Popatrz no tylko! Pięćdziesiąt dolców za całe to gówno – zamachała dłonią nad pakunkami. – Najśmieszniejsze, co dzisiaj słyszałam. Nie. Należy się pięć pięćdziesiąt. Pięćset pięćdziesiąt.

– Czego, dolarów?

– Nie, lirów. Jasne, że dolarów.

– Co? Przecież to tylko trochę wołowiny i sałatka z homara.

– Filet mignon – powiedziała głośno kasjerka i podniosła mięso. – Trzydzieści cztery za funt, osiem funtów. Sałatka z homara, dziewięćdziesiąt za funt, dwa i pół funta. Plus podatek. W sumie pięćset czterdzieści. Przyjmujemy Visę albo MasterCard, nie przyjmujemy AmEx.

Evelyn już miała prosić o powtórzenie ceny sałatki z homara, kiedy zobaczyła za sobą parę mokasynów bez skarpetek i podwinięte nogawki poszarpanych dżinsów. Wiedziała, że w kolejce za nią czeka niecierpliwie mieszkaniec Southampton, który z pewnością się zastanawia, czy naprawdę jest tak naiwna, czy po prostu tak spłukana. – Bardzo przepraszam – powiedziała do ekspedientki,

uśmiechnęła się do mężczyzny i podała kartę debetową. Rozważała, czy opowiedzieć całą historię Camilli. Z jednej strony świadczyła o tym, że Evelyn nie przywiązuje wagi do pieniędzy. Ale z drugiej, czy nie powinna już wiedzieć, że sałatka z homara w Hamptons kosztuje dziewięćdziesiąt dolarów za funt?

– Moja żona ma to samo – powiedział mężczyzna w dżinsach. Evelyn wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: że niby ja? – i wybuchnęła śmiechem.

– Jak one wszystkie – wymamrotała kasjerka i przejechała kartą przez czytnik.

– Tak to jest, kiedy się wysyła cywili do takich zadań – powiedziała Evelyn i spojrzała w oczy śmiejącemu się mężczyźnie. – Mój kucharz zwykle robi tu wszystkie zakupy – dodała. – Życzę miłego popołudnia.

## Rozdział jedenasty

### Sprawy absolwentów

Evelyn nie była pewna, czy zaprosić Scota na przyjęcie dla absolwentów, na którym mieli też być jej rodzice. Lubiła być z nim sam na sam. Ostatnio na przykład zabrał ją na *Afrykańską królową* do Film Forum w Village i przemycił cukierki lukrecyjne Good & Plenty. To, że była na randce z tym słodkim i troskliwym mężczyzną, działało na nią uspokajająco. Ich przedramiona dotykały się na wspólnym oparciu, jakby byli nieśmiałymi nastolatkami, choć sama nigdy nie doświadczyła tego etapu nastoletniego życia. Potem szli przez wyczerpane sierpniowym upałem miasto, wstąpili do ulubionej księgarni Scota, a jeszcze później pili zimne białe wino w maleńkim barze ze świecami i ciemnym drewnem. Czowała się jak bohaterka radosnego fragmentu piosenki *Manhattan* Elli Fitzgerald o letnim weekendzie i młodych ludziach, którzy zaglądają do eleganckich miejsc, kojarzących się z bohemą.

Wiedziała jednak, że tak czy inaczej nie uniknie opinii matki. Jej pytania na temat Scota stawały się coraz bardziej bezpośrednie. Zresztą w pewnym sensie chciała poznać jej zdanie. Lubiła Scota, czasem nawet bardzo, ale potrzebowała potwierdzenia z zewnątrz, że jest dobrym chłopakiem, kimś, kto ma na nią pozytywny wpływ i potrafi nadążyć za jej tempem, które z każdą sekundą było coraz szybsze. Otrzymała zaproszenia na dwa pokazy mody (choć za każdym razem przydzielono jej miejsce w dalszym rzędzie). Znowu pojechała do Shuh-shuh-gah, Camilla zaprosiła ją na jesień do Sachem i wszyscy mówili o zimowej wycieczce do Jackson.

O siódmej niebo wciąż jeszcze było jasne i padała mżawka. Evelyn próbowała przejść na Times Square, przeciąć plac i z nikim się nie zderzyć. Ciasno owinęła się trenczowym płaszczem i szła, mijając sklepy z guzikami, pasmanterie i inne niedobitki przemysłu, które wciąż jeszcze się trzymały, choć otaczające je miasto ulegało przeobrażeniu. Została ściśnięta, stłamszona, wzięta w dwa ognie przez troje turystów, którzy zatrzymali się w poprzek chodnika na Siódmej Alei, jakby chcieli zablokować wszelki ruch po linii prostej. Po drodze dała sobie wcisnąć próbkę batonika PowerBar, próbkę papieru toaletowego i próbkę czegoś, co wyglądało jak kawałki białej czekolady w ryflowanych kubeczkach. Już miała wrzucić to do ust, kiedy hostessa ostrzegła ją, że to rzemieślnicze mydło. Dwa razy jej szpilka utknęła w gumowatej zaprawie między płytami chodnika i musiała ją wyrwać, a jednocześnie sprawiać wrażenie eleganckiej i niewzruszonej.

Barbara była niezadowolona z przyjęcia dla absolwentów, jeszcze zanim się zaczęło. Starła się o to, żeby kolacja odbyła się w Harvard Clubie, ale ponieważ



ani ona, ani Dale, ani Evelyn nie studiowali na Harvardzie, nie mogła zbyt wiele zrobić. Kiedy Evelyn dołączyła do niej przed Marriott Marquis na Times Square, kulila się pod markizą, jakby właśnie szalała ulewa, i demonstracyjnie ignorowała ulicznego komika, który wciąż ją pytał, czy lubi się śmiać. Nie twój target – miała ochotę odpowiedzieć mu Evelyn.

– Evie. Czy to ta sukienka, którą ci kupiłam? – Barbara chwyciła ją za ramię i patrzyła taksującym wzrokiem, trzymając ją na odległość ręki.

– Tak.

Z głośników Marquis Theatre płynęła swingująca melodia. Evelyn dyskretnie ruszała kolanami do rytmu i z tęsknotą w oczach patrzyła na afisz reklamujący musical *The Drowsy Chaperone*.

– Dobrze to wygląda. Jestem zaskoczona. Beż to kolor, w którym większości kobiet nie jest do twarzy. Twojego ojca nie ma, jak zwykle. Mówił ci, gdzie jest?

– Sprawdzę. Mogłabyś sobie kupić komórkę – Evelyn otworzyła telefon i wysłuchała wiadomości głosowej od Aimee, jego sekretarki. – Spóźni się – powiedziała.

– Ależ oczywiście – powiedziała Barbara. – Byłam zdania, że w ogóle nie powinien przychodzić, ale mówi, że nie może się zachowywać, jakby był winny, skoro nie jest. Jakoś mi się nie wydaje, żeby prokuratorzy z Delaware monitorowali imprezy absolwentów Sheffield.

– Nie sądzę, żeby był na imprezie absolwentów Sheffield, odkąd ukończyłam szkołę – powiedziała Evelyn. Wściekała się, że ojciec postanawiał brać udział w wydarzeniach z jej życia wtedy, kiedy najwyraźniej miało to wpływ na jego publiczny wizerunek, a nie wtedy, gdy go potrzebowała. Stawiało ją to w niezręcznej sytuacji. Uznała, że bez względu na to, czy sprawa jest poważna, czy nie, lepiej nie mówić przyjaciółom o toczącym się postępowaniu. O ile się orientowała, nikt poza Camillą o nim nie wiedział.

– Nie, chyba go nie było – powiedziała Barbara. – No więc gdzie jest ten twój kolega?

– Możesz mówić „chłopak”, mamo. Powiedziałam Scotowi, że spotkamy się z nim w środku.

Weszły do lobby. Niestety, Evelyn spostrzegła, że twarz matki rozjaśnia się na widok mężczyzny o szerokich ramionach, ubranego w modny szary garnitur i emanującego pewnością siebie. Nie Scota. Evelyn pomachała niezdarnie prawdziwemu Scotowi, który stał na jednej nodze jak łabędź.

– Ten wysoki? To Scot?

– To Scot.

Barbara się zastanowiła.

– Przypomina mi naszego konserwatora. Duże uszy, nos, broda, no i ta ciemna karnacja.

– Jest bankierem, mamó.

Konserwator, pomyślała Evelyn. Chryste.

Podeszły do niego jednakowo sztywnym krokiem. Evelyn miała nadzieję, że będzie zrelaksowany i chłopięcy, tak jak ostatnio, kiedy byli razem, ale zaczął się szamotać z blackberry i prawie upuścił go na ziemię, zanim udało mu się go schować z powrotem do kieszeni. – Cześć – powiedział i zgiął się wpół, żeby przywitać Evelyn, a potem odwrócił się do Barbary i podniósł obie ręce. Przestraszona Evelyn weszła pomiędzy nich, zanim zdążył ją uściskać, i subtelnie opuściła jego jedną rękę, żeby mógł się przywitać samym uściskiem dłoni.

Dziwna nowoczesność Marquisa – wyjątkowo długie ruchome schody i półkole wind bez przycisków – nie pasowała do Sheffield. Evelyn z radością zobaczyła przy szatni wiceszefa stowarzyszenia absolwentów i od razu zaczęła go wypytywać, dlaczego Sheffield sponsoruje rejs absolwentów po Jangcy. Kawalek dalej zobaczyła skupionych wokół baru Charlotte i Prestona. Ruszyli ze Scotem w ich kierunku.

– No, no, no – odezwał się Preston. – Właśnie o tobie rozmawialiśmy. Miło cię widzieć, Scot.

– A więc ona istnieje – powiedziała Charlotte do Prestona. – Właśnie debatowaliśmy, czy nie byłaś tylko wytworem mojej wyobraźni. Cześć, Scot.

– Ale przecież widzieliśmy się...

– W Hamptons. W lipcu – odparła Charlotte.

– Oj.

– Coraz trudniej zobaczyć cię samą – odezwał się Preston i poprawił okulary.

– Ale wystarczy poszukać Camilli, a Evelyn będzie gdzieś w pobliżu.

– Daj spokój, Pres – powiedziała Evelyn.

– Camilla – wymamrotała Charlotte. – Scot, jak tam twoje szachy?

Scot, kiedy usłyszał to pytanie, rozjaśnił się i zaczął opisywać partię, którą rozegrał ostatnio w parku Lower East Side z jakimiś Rosjanami. Preston przemknął do Evelyn i objął ją w talii.

– Zaprosiłaś Scotą na imprezę Sheffield. Odważnie. Będzie miał okazję poznać przerażającą Babs. Wie, co go czeka? – zapytał.

– Właśnie się poznali.

– I jeszcze się trzyma? Nie zastrzeliła go na miejscu? A to dopiero. Ja pamiętam, że kiedy po raz pierwszy spotkałem twoją matkę, upiła mnie. Ale w końcu byłem ulubionym synem.

– Wcale cię nie upiła. Miałaś szesnaście lat.

– Pozwolę sobie się nie zgodzić, panno Beegan. Dobrze to pamiętam. Babs zabrała nas na obiad do Portsmouth i przysięgam, że zamówiłem czekoladowe martini. To było zaraz po naszym powrocie z Sarennes.

Nagle Evelyn niezwykle wyraźnie zobaczyła przed oczami kieliszek do mar-

tini z mlecznym płynem stojący na białym obrusie. Przypomniała sobie, że kiedy patrzyła, jak matka ucina sobie pogawędkę z Prestonem Hackingiem, czuła smak sukcesu.

Jej nauka w Sheffield i przyjaźń z Prestonem w żadnym razie nie były z góry przesądzone. Pewnego niedzielnego ranka, kiedy miała dwanaście lat, obudziły ją dźwięki pianina, na którym grała Barbara. Już miała wstać, kiedy muzyka ucichła. Barbara zapukała do drzwi i powiedziała, że może pospać jeszcze godzinę. Potem wręczyła jej stos lektur: książkę *Przygotowując się do władzy: elitarne szkoły z internatem w Ameryce*, katalog J. Crew, informator na temat egzaminu SSAT i katalog dla kandydatów do Sheffield. Barbara mówiła, że córka Gibby'ego Hodge'a chodziła do Sheffield i tam poznała, a potem poślubiła Cabota z linii Massachusetts. Wiedziała, że Gibby Hodge nie miał z tym nic wspólnego i że wysyłano ją do tej szkoły dlatego, iż chodzili tam synowie Push Van Rensselaer. Na szczęście miała na tyle dobre oceny, że dostała się bez trudu, a Dale nie miał problemu z opłacaniem czesnego.

Preston był o rok wyżej od Evelyn. Znała jego nazwisko, zanim się dowiedziała, jak wygląda. Częściowo z powodu matki. Kiedy Barbara się dowiedziała, że jego matka jest z Winthropów, a on sam z Beacon Hill, zaproponowała Evelyn, aby spróbowała go nakłonić do zaproszenia jej na potańcówkę dla młodszych roczników. Ten pomysł był tak niedorzeczny, że sama nie wiedziała, jak wytłumaczyć matce, co by było, gdyby ona, nieznana nikomu pyzata uczennica, choćby tylko odezwała się do Prestona Hackinga. Prawdopodobnie skończyłoby się na tym, że zamiast iść z nim na tańce, pisałaby za niego wypracowanie z angielskiego.

W szkolnej gazetce redagował humorystyczny kącik *Posadzony na wieży z kości słoniowej*. Początkowo miał się ukazywać co tydzień, ale Preston nie wierzył w deadline'y, toteż kącik po debiucie dorobił się podtytułu: *rubryka mniej więcej codwutygodniowa*. Grywał w squasha, choć nie w szkolnej reprezentacji, bo wyjazdy autobusem na weekendowe turnieje uważał za barbarzyństwo. Poza tym był nominalnym wiceprezesem Młodych Republikanów, głównie dlatego, że jego dziadek za czasów Teddy'ego Roosevelta był sekretarzem stanu.

Wiedząc to wszystko, była zaskoczona, kiedy zobaczyła, jak naprawdę wygląda Preston Hacking. Było to na zebraniu z okazji Dnia Absolwenta. Dyrektor poprosił Prestona o kilka słów o tym, jak to jest być czwartym pokoleniem w Sheffield. Zamiast ciemnowłosego, atrakcyjnego mężczyzny, którego się spodziewała (zdjęcie w roczniku było rozmazane i zrobione pod dziwnym kątem, więc Evelyn mogła dodać sobie w myślach całą masę efektownych ozdobników), zobaczyła wysokiego, chudego koleżkę o falujących jasnych włosach i alabastrowej skórze. Tego samego, którego widywała, jak w swetrach z łatami na łokciach wylegiwał się na ławkach na terenie kampusu. Bez wątplenia był jednym z lubianych dzieciaków, ale jednocześnie wydawał się ekscentryczny w sposób, którego mu zazdro-

ściła.

Ona sama nie była ani lubiana, ani ekscentryczna, ani w ogóle jakakolwiek. To się stało jasne jej drugiego dnia w szkole, podczas Dnia Prób. Miała do wyboru Key Association w bibliotece, Ben Jonson Players w teatrze eksperymentalnym, Stowarzyszenie Federalistów w budynku szkoły i grupę tańca indiańskiego Aananda na boiskach do squasha rezerwowego składu szkolnej drużyny. Miała za sobą lekcje gry na pianinie i przez długi czas liczyła na to, że uda jej się zaczepić w teatrze. Ale pewnego przykrego poranka w Bibville Barbara powiedziała jej, że fałszuje, i od tego czasu nie śpiewała. Zamiast występować w chórze w musicalach, które wystawiali w muzeum w Bibville, zaczęła malować tła. Miała nadzieję, że kiedyś może będzie mogła się zająć reżyserią. Przed ósmą klasą spróbowała jeszcze raz i oznajmiła, że chce wziąć udział w obozie muzycznym w Wirginii, ale matka rzuciła okiem na okładkę broszury, na której widać było śpiewającą pulchną dziewczynę, i powiedziała, że ci ludzie od teatru powinni znaleźć trochę czasu na ćwiczenia na świeżym powietrzu. Tamtego lata zapisała ją po raz kolejny na obóz tenisowy.

Evelyn zebrała się na odwagę i drugiego dnia w Sheffield poszła do centrum sztuki, żeby posłuchać o nadchodzącym sezonie teatralnym. Już trzymała rękę na kłamce pokoju przesłuchań, kiedy usłyszała głos dziewczyny, która opowiadała, że latem grała młodą Kozetę w objazdowym spektaklu *Nędzników*. Prawie pobiegła z powrotem do swojego pokoju. Zanim próby dobiegły końca, było dla niej jasne, że garstka studentów już została wyznaczona do przyszłej sławy. Tego samego ranka świeżak z Wyckoff zachwyił wszystkich jako napastnik na boisku i okazało się, że będzie trenował trzy dyscypliny, a Kozeta – dziewczyna z McGeorge – została wybrana do roli Sarah w musicalu *Faceci i laleczki*, którego produkcja miała ruszyć jesienią. Evelyn przeczuwała, że choć nie było jej na żadnej próbie, i tak została obsadzona w swojej zwyczajowej roli z Sheffield – dziewczyny z drugiego planu nr 4.

Barbara jakimś cudem skombinowała sobie kopię katalogu uczniów i oprócz zadawania pytań o Prestona egzaminowała ją z wiedzy na temat Jamesa Scrippsa Robinsona i Sarah Monaghan Lowell. – Scrippswie założyli muzeum w Detroit – mówiła. Albo: – W Hollins, rok lub dwa wyżej ode mnie, była dziewczyna z Lowellów. Chyba w końcu wyszła za de Puya. – Przygotowując się do pytań matki, Evelyn nauczyła się znaków – adresów w Tuxedo Park, nazwisk rodzin bogatych od pokoleń, nawet z takich miast jak Cleveland – które w tym świecie działały jak pierścień do łamania szyfru. Czasami, na skrawkach papieru, które potem natychmiast darła i wyrzucała, zestawiała swoje imię z różnymi co bardziej szlachetnymi nazwiskami: Evelyn Beegan Cushing, pani Jamesowa Cady Robinson. Najczęściej jednak oglądała *Orbitowanie bez cukru*, *Cztery wesela i pogrzeb* czy cokolwiek, co w danym tygodniu przyniosła z wypożyczalni kierownicza aka-

demika, i słuchała, jak w sąsiedniej świetlicy grupki dziewczyn śpiewają Lisę Loeb.

Towarzyski los Evelyn uległ zmianie po wycieczce do Sarennes. W czasie wakacji po roku przygotowawczym Barbara spostrzegła, że Evelyn wciąż siedzi z nosem w książce i palcami na klawiszach pianina, i zawyrokowała, że jest jeszcze mniej towarzyska niż przed pójściem do Sheffield. Uznała, że najlepsza będzie terapia przez zanurzenie – namierzyła panią Germont, która kierowała programem wyjazdów semestralnych do Sarennes w Alzacji, i złożyła wniosek o to, żeby Evelyn mogła do niego dołączyć w trybie *last minute*. Wiadomość o tym prawie ją sparaliżowała. Wiedziała, kto jeszcze ma spędzić semestr w Sarennes: Preston Hacking z kumplami.

Evelyn zamieszkała u rodziny piekarza, nad małą miejską piekarnią, razem z surową matroną, która wstawała o czwartej rano i traktowała ją jak służącą. Matrona na początku mówiła po francusku, ale kiedy grono pedagogiczne z Sheffield wyjechało, przeszła na alzacki i Evelyn praktycznie jej nie rozumiała. Pierwszy dzień Evelyn wypadł w niedzielę, kiedy piekarnia była zamknięta, więc poza uczestnictwem w luterańskiej mszy, na którą ją zaciągnięto, nie miała wiele do roboty. Drugiego dnia kobieta obudziła Evelyn o piątej, kazała jej zejść na dół i czekać na kobiety z miasta, które przynosiły garnki z gulaszem. Piekarz pokrywał mięso warstwami surowego ciasta, kobiety szły robić pranie i załatwiać swoje sprawy w mieście, a potem przychodziły po gotowe baeckeoffe. Zapach tłustego mięsa i mąki sprawił, że Evelyn zaczęła się zastanawiać, jak szybko da radę się stamtąd wyrwać.

Trzeciego ranka, jako zakontraktowana alzacka służąca, postanowiła, że wymknie się do miasta i podzwoni z różnych restauracji, żeby zasięgnąć informacji na temat lotów powrotnych. Ulica o świcie wyglądała na pustą, ale po chwili w dole ulicy zobaczyła Prestona Hackinga, luźno opartego o trzonek miotły przed framugą drzwi. W pierwszym odruchu chciała zawrócić i pójść do miasta inną drogą, żeby oszczędzić sobie wstydu, jaki by poczuła, gdyby zduszonym głosem powiedziała: cześć. Ale wówczas jej wyprawa trwałaby kilka minut dłużej, a musiała wrócić, zanim madame załatwi swoje poranne sprawunki. Ruszyła zatem naprzód, nieelegancko pomachała ręką z przeciwległej strony wąskiej brukowanej ulicy i tonem, który wydał jej się wysoki i fałszywy, krzyknęła: – Witaj!

Wcześniej podczas tego wyjazdu nie rozmawiali ze sobą – Preston trzymał się ze swoją grupką przyjaciół. Mimo to podniósł głowę i spojrzął na nią, chyba z zainteresowaniem.

– Cóż za miejsce – powiedział w tym swoim dialekcie, który brzmiał, jakby miał szczękościsk. – Co ja tu najlepszego robię, z miotłą w ręku tak wcześnie rano?

Musiała walczyć ze sobą, bo najchętniej posłałaby mu uśmiech numer pięć i uciekła. Wciągnęła do płuc chłodne powietrze. – Praca fizyczna?

– Praca fizyczna. Zgadza się. Płacimy tym Francuzom, żeby pozwolili nam tu zostać, a oni nie dość, że nie szanują tych pieniędzy, to jeszcze budzą mnie bladym świtem i wciskają do ręki ten przedmiot. Czy ja wyglądam jak zamiatacz ulic?

– Taki dobrze ubrany zamiatacz.

Evelyn spodziewała się, że Preston zignoruje jej komentarz, ale on się uśmiechnął i podtrzymał rozmowę.

– Nie ma czegoś takiego. Taki człowiek nie istnieje. A już na pewno nie jestem to ja. Co tutaj robisz o tak niehumanitarnej porze? Idziesz skręcić kark kurczakowi?

– Właściwie to szłam do restauracji.

– Twój gospodarz tak źle karmi?

Evelyn zachichotała i zrobiła kilka niepewnych kroków w stronę Prestona. – Nie, chcę skorzystać z telefonu.

– Dzwonisz do mamci, żeby cię stąd wyciągnęła?

– Nie. Chciałam zadzwonić do biura podróży.

Preston wypuścił trzonek miotły. – Rozumiem. Idziesz prosto do źródła, żeby się uwolnić z tego obozu jenieckiego. Twój rodzice nie będą przestraszeni, jeśli się pojawisz tak bez zapowiedzi?

– Nie przemyślałam tego. Może się ucieszą?

– Po tym, ile kosztował ten program pracy przymusowej? Wątpię.

– No to może poproszę agenta, żeby na jakiś czas wysłał mnie do Paryża.

Preston zaczął się śmiać i poczuła, że jej policzki robią się czerwone, a rumieniec rozchodzi się po całym ciele. Nie mogła uwierzyć, że rozśmieszyła kogoś takiego jak Preston Hacking. Stała tu, rozmawiała z jednym z najbardziej popularnych przedstawicieli wyższych sfer i jeszcze najwyraźniej udawało jej się go rozbawić, chociaż przez cały rok praktycznie nie zamieniła z żadnym z chłopaków ani słowa. Żałowała, że nikt tego nie nagrywa, bo film byłby dowodem sukcesu towarzyskiego i mogłaby go oglądać podczas długich wieczorów w akademiku.

– Podoba mi się to. Ucieczka do Paryża, w całości ufundowana przez starszyków. A oni nigdy się nie dowiedzą. Evelyn, zgadza się?

– Tak jest.

– Evelyn jak?

– Beegan.

– Beegan. To irlandzkie?

Evelyn przeniosła ciężar ciała i przyjęła postawę obronną. – Koreańskie. Rosyjskie. Afrykańskie.

Preston się uśmiechnął i ostrożnie oparł trzonek miotły o futrynę. – Multietniczne. Jak nowoczesnie. Pójdę z tobą. Chcę się przekonać, czy ucieczka jest rzeczywiście możliwa.

Przestąpił małą kałużę i podszedł do Evelyn. Nawet w słabym świetle jego mokasyny lśniły.

W barze kupił im obojgu po gęstej kawie, którą prawie dało się żuć. Evelyn zapomniała o różnicy czasu – mogła tylko zostawić wiadomość agentowi z Easton, który organizował jej przeloty.

W końcu lot powrotny nie był jej potrzebny. Nocą usłyszała pohukiwanie pod oknem. Opadła na podłogę i przyczołgała się, żeby sprawdzić, kto i dlaczego robi sobie z niej żarty. To był Preston Hacking w towarzystwie Charlotte Macmillan – dziewczyny obracającej się w międzynarodowym towarzystwie, o której krążyła plotka, że dostała karę za wślizgnięcie się po godzinach do pokoju Jamesa Yinga. Było tam też paru innych *coolies*, jak nazywano ich w Sheffield, i żaden najwidoczniej z niej nie szydził. Preston wołał, żeby do nich wyszła. Wstała, pomachała i zeszła na dół.

Podczas semestru czuła, że w końcu ma przyjaciół, trzyma się z grupą ludzi, którym nie przeszkadza jej obecność i którzy być może nawet ją lubią. To było zaskakujące i dodawało jej otuchy. Wysyłała matce zdjęcia, na których była z prawdziwymi ludźmi. W programie Sarennes uczestniczyły dzieciaki, które były dziwne, mówiły pokręcone rzeczy i na weekendowych wycieczkach po zamkach w Dolinie Loary z nikim się nie trzymały, ale ona do nich nie należała. Czuła, że jest częścią czegoś. Przez cały czas się kontrolowała, starała się nie narzucać swojej woli w denerwujący sposób, nie być zbyt nudna i dobrze odgrywać rolę wyluzowanego obiektu żartów Prestona i reszty.

Po powrocie do Sheffield nie była szczególnie popularna, ale miała swoje miejsce. Jedna z dziewczyn z Sarennes powiedziała, że byłaby idealna do drużyny wioślarek wagi lekkiej, i pierwszego dnia semestru wiosennego zabrała ją do hangaru na łodzie. Trener powiedział, że ze swoją figurą będzie naturalnym talentem. Wkrótce miała kolejną grupę przyjaciół, z którymi mogła przesiadywać, przerzucać się żartami dla wtajemniczonych, oblewać się wodą z rzeki Ammonoosuc i śpiewać w autobusie w drodze na weekendowe zawody w Groton i Kent. Teraz Charlotte siadała obok niej w świetlicy i pytała, czy chce zamówić kanapki z paluszkami z kurczaka w Delvecchio. Poprosiła ją też, żeby od przyszłego roku zamieszkała razem z nią, by mogły dostać *hot-doub* – dwuosobowy pokój na czwartym piętrze, z balkonem i ukrytą szafą z tyłu, w której Charlotte mogła palić papierosy. Evelyn miała teraz na sobie metkę osoby z kręgu Prestona, która wyróżniała ją spośród mas w Sheffield.

Kiedy była na pierwszym roku, jej matka przyjechała na wielkanocny weekend i nalegała, żeby Evelyn zaprosiła kogoś znajomego. – Mamusiu, a może by tak zaprosić całą grupę? – podsunęła Evelyn.

– Jaką grupę? – zapytała Barbara.

Evelyn zaczęła wymieniać nazwiska, które były jak cukierki, spadające do

wygłodniałych ust: Preston Hacking, Charlotte Macmillan, Nick Geary – najlepszy przyjaciel Prestona z gimnazjum, który przyjechał na weekend z Enfield.

Barbara uznała, że można zorganizować nocny wypad. Wynajęła samochód, który miał zawieźć wszystkich do Portsmouth, złożyła zamaszty podpis na każdym z przesłanych faksem pozwoleń ze szkoły i zabrała ich do restauracji nad rzeką. Nick, wiedząc, że w sobotę mają pojechać do Portsmouth z czyjąś mamą, skontaktował się z handlarzem trawką, którego znał z Brookline, i upalił się przed wyjazdem, ale i tak udało mu się oczarować Barbarę. Preston rzeczywiście pił czekoladowe martini. Pamiętała też, że dla całej reszty matka zamówiła wino. Myślała, że pięknie z dumy – udało jej się zebrać ludzi z Brookline i Beacon Hill (Barbara nie była równie zachwycona Charlotte, która tamtej nocy spięła włosy w kitki). Przez całe życie była towarzyską niezdara, a teraz nagle miała przyjaciół, a matka to widziała. Evelyn chciała, żeby ten nocny wypad trwał godzinami.

\* \* \*

– Pamiętam to martini – powiedziała. – Nie sądziłabym, że Babs mogłaby podsuwać alkohol nieletnim uczniom, a tu proszę.

– Nie mogę się doczekać, kiedy znów ją spotkam – odparł Preston.

– Dziś wieczorem dostaniesz potrójną porcję Beeganów. Mój ojciec też przyjeżdża.

– Charlotte – zawołał Preston. – Słyszałaś? Dzisiaj zobaczymy pana Beegana, to prawie jak spotkać yeti.

Charlotte była dziwnie blada. – Nie wiedziałam, że twój tata jest w mieście, Ev.

– W późnym okresie życia postanowił, że będzie wspierał absolwentów Sheffield. Cóż mogę powiedzieć? – odparła Evelyn.

– Jego praktyka prawnicza... – zaczął donośnym głosem Scot, ale Charlotte szybko mu przerwała.

– Czyli ten stary moskwianin zrobił otwarcie pionem? Na jakie pole? – zapytała.

Dale wpadł kilka minut później, w towarzystwie wicedyrektor do spraw absolwentów, której nigdy wcześniej nie widziała i która śmiała się do rozpuku z czegoś, co powiedział. Dale wyróżniał się w tej szkole eleganckich srebrnych rybek w powściągliwych garniturach. Jego garnitur wyglądał jak dżinsowy i miał jasnoróżową kieszonkę. Równie dobrze ojciec mógł powiesić sobie na szyi antyczny stoper. Nawet w domu miał ostentacyjny styl. Evelyn zachodziła w głowę, w jaki sposób przyciągał uwagę w Nowym Jorku, gdzie można było się pokazać w getrach albo w szacie druida i nie zasłużyć nawet na drugie spojrzenie przechodniów. Na widok Evelyn Dale pożegnał się z wicedyrektorką czymś, co zapewne było kolejnym prześmiesznym żartem.

– Cześć, kochanie. To twoje miasto jest gorące jak Hades, nie uważasz?



– Tato, pamiętasz Charlotte i Prestona? A to jest Scot – powiedziała Evelyn.

Dale, który nie widział Charlotte i Prestona, odkąd ukończyła Sheffield i który, o ile pamiętała, ani razu o nich nie zapytał, nawet się nie zawahał. Spojrzał każdemu z nich w oczy, kiedy podawali sobie ręce. – Charlotte, wyglądasz pięknie jak zwykle. Preston, dziękuję, że opiekujesz się moją małą dziewczynką w wielkim mieście. Scot, naprawdę bardzo mi przyjemnie.

Charlotte przestępowała z nogi na nogę. – Miło mi pana widzieć, panie Beegan. Pójdę po coś do jedzenia. Ktoś coś chce? Nie? Okej – powiedziała i się zmyła.

– No, no – powiedział Dale i popatrzył po sali. – To dopiero wydarzenie. Co tam czytasz, Scot? – zapytał, kiedy zobaczył białe czasopismo, wystające z jego torby na ramię.

– Pismo ekonomiczne. Artykuł na temat Nourieła Roubiniego – odpowiedział Scot, a Preston, który stał za jego plecami, zaczął symulować napad narkolepsji.

– Co ma do powiedzenia pan Roubini? – zapytał Dale.

– Uważa, że Ameryka stoi na skraju przepaści. Gospodarka mieszkaniowa, upadłości banków.

– Prorok zagłaaaady – odezwał się Preston głosem jak ze Scooby-Doo.

– Cóż, miło byłoby zobaczyć, jak Wall Street zostaje pociągnięte do odpowiedzialności.

– Tato, zostawmy Wall Street w spokoju, dobrze? – odezwała się Evelyn.

Dale rozejrzał się dookoła i po chwili się ożywił. – Ach! Toż to Jim Weisz. W zeszłym roku stanęliśmy naprzeciwko siebie w PDNJ. Pójdę się przywitać – powiedział i zniknął tak szybko, jak się pojawił.

– PDNJ? – zapytał Preston.

– Południowy Dystrykt Nowego Jorku. Sąd federalny – wyjaśnił Scot.

– Ach, to dobrze. Już się bałem, że to jakaś państwowa szkoła – powiedział Preston, odsunął rurkę i opróżnił szklankę z drinkiem. – Jeszcze jedna kolejka?

Preston poszedł po drinki, a Evelyn dołączyła do Charlotte, która stała przy stoliku z przystawkami. Kawior właśnie się zsuwał z jej wyładowanego talerza.

– Boże, czy tego nie jest trochę za wiele? Jak myślisz, ile kosztowała ta cała impreza? – zapytała.

Evelyn sięgnęła po talerz. Była zaskoczona, że Charlotte, która zawsze wydawała się utrzymywać ze swojej pensji, zwróciła uwagę na koszty.

– Czy ty nigdy... – zaczęła Charlotte. – To znaczy, popatrz tylko... te wszystkie szkolne sprawy, cała ta otoczka: weekendowe wycieczki, wina i kolacje. Kiedy byliśmy u Nicka w Hamptons, wszyscy zachowywali się tak, jakby gratulowali sobie, że są częścią hegemonii WASP-ów<sup>3</sup>, a przecież w zasadzie nie ma to już znaczenia.

Evelyn wzięła crêpe z wędzonym łososiem. – No nie wiem, Charlotte. To ma swój urok – powiedziała.

– Jaki?

– Chodzi mi o całą związaną z tym tradycję. O sposób życia, kodeks dobrych manier. Dobre traktowanie innych i służbę większemu dobru. Ci ludzie... Char, nie chcę tutaj uprawiać propagandy PLU, ale myślałam, że będą okropni, a są mili. Wręcz świetni.

– Ale... – Charlotte szerokim gestem omiotła salę – kto w tym tłumie, w ogóle z tego otoczenia, robi coś dla większego dobra? To banda zapatrzonych w siebie dzieciaków, którym rodzice załatwili pracę.

– To nieprawda, Charlotte. Mówisz tak, bo wszyscy tu są młodzi i nikt nie miał jeszcze szansy zabłysnąć, ale Camilla stanie na czele nowojorskiego życia towarzyskiego. Możesz się śmiać, ale to naprawdę ważna dobroczynna praca. Dziadek Nicka był gubernatorem Massachusetts i Nick prawdopodobnie zaangażuje się w politykę.

– Chyba zwariowałaś. Nick nie może nawet dostać awansu na wiceprezesa, a jego historia zażywania kokainy jest tak długa, że mogłaby udaremnić każdą próbę ubiegania się o urząd. Myślisz, że dziennikarz, który będzie pisał na jego temat, nie trafi na ślad tych, dajmy na to, trzydziestu kobiet rocznie, z którymi sypiał i potem nie oddzwaniał, zanim poślubił odpowiednią kobietę, kimkolwiek ona się w końcu okaże? Poza tym, skoro ma być w polityce, to czy nie powinien zajmować się teraz czymś innym niż bankowością?

– Nie będzie bankierem do końca życia. W zeszły weekend mówił, że chciałby wrócić do Brookline i startować na radnego. Dzięki pracy w bankowości zyskał trochę życiowego doświadczenia.

– Nie sądzę, żeby to nadal tak działało. Spójrz na te wszystkie dzieciaki, które chcą zrobić karierę w polityce. Mniej więcej połowa ludzi, z którymi studio- wałam na Harvardzie, zamierzała w przyszłości ubiegać się o prezydenturę. Byli przerażający jak cholera, ale to tylko uwaga na marginesie. W swoich szkołach średnich byli przewodniczącymi klas, w pierwszym tygodniu studiów dołączyli do Instytutu Polityki, a zanim obroniliśmy dyplomy, byli już stażystami w Waszyngtonie i organizowali konferencje z Henrym Kissingerem. Bankier z koneksjami nie może już się tak po prostu zjawić i liczyć na to, że zostanie wybrany.

– Spójrz na Bushów. W rodzinnych koneksjach jest coś, co wzbudza zaufanie ludzi.

– Bushowie! No dobra, jeśli pominąć sytuację, kiedy tatulek płaci, żebyś uniknął kłopotów, i załatwia ci prezydenturę...

– Charlotte, proszę, naprawdę nie potrzebuję twojego wykładu na ten temat. Chcesz mieć przykład demokracji? Przypomnij sobie Kennedych.

– Mówię tylko, że w dzisiejszych czasach można zarabiać pieniądze na wiele

ciekawszych sposobów.

– No dobrze, ale czy w takim razie tradycja nie staje się jeszcze ważniejsza? Jeśli każdy może zarabiać pieniądze, to czy nie są jeszcze bardziej pożądane... bo ja wiem... eleganckie maniery, tradycja...

– No dalej, powiedz to. Klasa.

– Charlotte.

– Klasa. Klasa, klasa, klasa, klasa, klasa.

– Jak tam chcesz. Mówię tylko, że skoro te wszystkie kolegia, kluby i co tam jeszcze są otwarte dla każdego, kto może zapłacić, nawet dla ludzi, którzy dostają się tam na podstawie zasług, to może ludzie nadal potrzebują takich miejsc, gdzie rodzina, tradycja...

– Izolacjonizm i arystokracja nadal rządzą? Daj sobie spokój z tą gadką, Ev. WASP-owie wszystkim rządzą, bo nie było nikogo innego. A teraz jest. Żyjemy w społeczeństwie merytokratycznym, a przynajmniej chcącym za takie uchodzić. Władzę zdobywają ludzie, którzy rzeczywiście coś potrafią. Jasne, maniery WASP-ów wciąż jeszcze są dobre, ale nie ma nic innego, na czym można by się wzorować. WASP-owie nie obchodzą nikogo poza nimi samymi.

– Nie sądzę, żeby to była prawda. Spójrz chociażby na modę. Jesienna kolekcja Michaela Kors'a to tylko *Gatsby* i *Love Story*. Wszędzie te poziome pasy.

– Obchodzi cię teraz moda?

– Nie musisz być taka lekceważąca, Charlotte.

– No dobra, niech ci będzie, zawsze to jakieś odniesienie kulturowe.

– Drugim paradygmatem dla ludzi przy forsie jest, dajmy na to, Phil Giattini albo twój obrzydliwy szef z domem na Meadow Lane. To też nie jest chyba coś, do czego warto aspirować.

Charlotte parsknęła. – Mówiłam ci, że mój szef nazwał swój jacht „Wiecznie Niezaspokojony II”?

Evelyn wybuchnęła śmiechem. – „Wiecznie Niezaspokojony I” powinien być dać do myślenia.

Kiedy przy kolacji dołączyli do nich rodzice Evelyn, Charlotte gwałtownie wstała od stołu i powiedziała, że obiecała swojej dawnej trenerce pływania, że usiądzie obok niej. Barbara usiadła więc obok Scota. Rozmowa z pozoru stawała się coraz bardziej przypadkowa, ale Evelyn dokładnie wiedziała, jaki cel przyświecał Barbarze, kiedy zaczęła temat tenisa. Chciała sprawdzić, czy Scot grywa. Potem zaczęła mówić o znaczących rodach z Baltimore, których Scot nie mógł znać, a w końcu zapytała, do jakiego liceum chodził. Kiedy usłyszała, że do szkoły w Arizonie, chciała wiedzieć, czy to szkoła państwowa. Gdy odpowiedział twierdząco, spytała, czy szkoła mieściła się na terenie indiańskiego rezerwatu.

Evelyn nabrała ochoty na przerwę, ale wtedy głos zabrał jeden z absolwentów, obecnie ambasador w Chinach. Słuchając jego monotonnego buczenia, odpły-

nęła, ale ożywiła się podczas sesji pytań i odpowiedzi, bo spostrzegła, że Scot trzyma rękę w górze. Barbara przekrzywiła głowę, a ona położyła rękę na kolanie Scota. – To naprawdę nie jest tego typu spotkanie – wyszeptała z lekkim uśmiechem.

– Prosimy o pytania.

– Wiem, ale podczas tych kolacji ludzie nie zadają pytań – odparła Evelyn.

– Myślę, że można pytać – odezwał się głośno Dale, który siedział po jej drugiej stronie. – Dawaj. Dobrze, żeby ludzie, którzy mają władzę, byli rozliczani.

Stary absolwent, który siedział po drugiej stronie sali, chrypiącym głosem zapytał o zakwaterowanie podczas rejsu po Jangcy. Scot posłał Evelyn zagadkowy uśmiech i podniósł rękę jeszcze wyżej.

– Tak – powiedział, kiedy przyniesiono mu mikrofon. – Zastanawiam się, czy trwa jakakolwiek dyskusja wokół tezy, że prezydent Bush powinien naciskać Hu Jintao w sprawie sztucznie zaniżanej wartości juana, i jaki wpływ, pańskim zdaniem, może to mieć na amerykański przemysł, a z drugiej strony jak uwolnienie juana może wpłynąć na amerykańskie stopy procentowe.

Siedzący po drugiej stronie stołu Preston rozprostował dłonie i zamachał palcami, Barbara chwyciła serwetkę, a Dale rozbawiony wyszczerzył zęby. Ambasador odpowiedział na pytanie, Scot dał znak, że chciałby zadać kolejne, ale Evelyn odpędziła gestem człowieka z mikrofonem. – Już dobrze, Scot – wyszeptała. – Już wystarczy.

– Myślałem...

– Już dobrze – powiedziała, wpatrując się w knykcie matki.

– Ma chłopak jaja, podoba mi się to – powiedział Dale.

Kiedy wstali z krzesel, Barbara ścisnęła ramię Evelyn. – To jest spotkanie absolwentów Sheffield, a nie konferencja prasowa – syknęła. – Ambasador myślał pewnie, że mówi do przyjaciół, a nie do przesłuchujących go śledczych.

Evelyn zmieniła ułożenie serwetki na stole. – No nic! – powiedziała do serwetki. – Powinniśmy się zbierać?

– A więc jest z Nevady – powiedziała Barbara, prowadząc Evelyn w kierunku szatni.

– Z Arizony.

– Jego rodzina nadal mieszka w Arizonie?

– Matka tak.

– Wdowa?

– Nie, rozwódka.

– Rozwódka – Barbara wyduła wargi. – Powiem ci coś, Evelyn. Kobiety w rodzinie Topferów może i nie były szczęśliwe, ale nigdy nie posunęłyśmy się do tego, żeby się rozwieść.

To była prawda. Nawet po tym, jak ojciec Barbary uciekł z sekretarką, jej

matka, która przez większość czasu paliła papierosy i wycinała kupony rabatowe, nigdy nie wniosła pozwu o rozwód. Evelyn wyjęła z portfela dwa jednodolarowe banknoty dla dziewczyny z szatni.

– Mówiłam ci, żebyś smarowała dłonie emulsją do opalania – powiedziała Barbara. – Musisz uważać na zmarszczki. Dłonie są pierwsze. Dłonie i kolana. Smarowałaś kolana emulsją do opalania?

– Nie wiem.

– One zawsze zdradzą wiek. Masz już prawie dwadzieścia siedem lat. To naprawdę najlepszy sposób na spędzanie czasu? Z tym Arizończykiem?

– Dwadzieścia sześć. Większość ludzi w moim wieku nie ma jeszcze ślubu.

– Wielu ma. Kumpłowanie się z chłopakiem z Arizony ma sens, jeśli jesteś świeżo po college’u, ale w tym wieku...

– Mamo, ale on jest naprawdę, naprawdę bystry. Charlotte mówi, że to jeden z najbystrzejszych ludzi w Morgan Stanley. Został zwerbowany przez Davida Greenbauma, wybitnie zdolnego człowieka, i jest tam jednym z najmłodszych wiceprezesów, a to pozycja wyższa nawet od tej, którą piastuje Nick. On naprawdę nie jest grajkami w metrze.

– Jestem pewna, że ma doskonale kwalifikacje. Ale sądziłam, że twoja praca przy stronie internetowej wprowadzi cię w nowe kręgi. Pozwoli ci poznać nowych ludzi.

– Tak się stało.

– Ale to śledztwo... – Barbara zaprowadziła Evelyn na koniec korytarza, gdzie nikt ich nie słyszał.

– W dzisiejszych czasach każdy ma ojca, przeciwko któremu toczy się śledztwo – odparła Evelyn. Odkąd Camilla to powiedziała, próbowała przekonać samą siebie, że to prawda. Ta mantra pomagała jej czasem się uspokoić, ale wypowiedziana na głos zabrzmiała fałszywie.

– Czyżby? – zapytała Barbara sarkastycznym tonem. – Dobrze wiedzieć, że Nowy Jork stał się taki wyrozumiały. W Bibville ludzie się przejmują, kiedy coś takiego się wydarza.

Barbara wyciągnęła z torebki fiołkową szminkę i starannie pomalowała nią usta. – Szczerze mówiąc, wszystkie moje przyjaciółki w Eastern pytały o ciebie i nie rozumiały, dlaczego nikt sobie ciebie jeszcze nie przygruchał. W głębi duszy ludzie myślą, że coś jest z tobą nie tak, skoro w wieku dwudziestu siedmiu lat nadal nie jesteś zamężna ani zaręczona. To zaczyna być dziwne.

– Dlaczego im nie powiesz, że się z kimś spotykam?

– Nie chcę, żebyś popełniła ten sam błąd, co ja. Czy nie widzisz, że małżeństwo z kimś na obrzeżach kręgu ciebie też sytuje na obrzeżach? Życie, do którego zostajesz zwerbowana – ciągle przystosowywanie się do środowiska, bo twój mąż nie zawraca sobie głowy tym, co uważa za głupie subtelnosci – to nie jest nic przy-

jemnego. Zasady są zasadami nie bez powodu. Scot nie gra nawet w tenisa. Naprawdę chcesz przeżyć życie z kimś, kto nie umie grać w tenisa?

– Mamo, to takie staroświeckie – odparła Evelyn. Mimo to czuła rozczarowanie, kiedy w czasie meczu tenisowego u Nicka Scot siedział z boku, pogrążony w lekturze książki historycznej i nic sobie nie robił z tego, że nie potrafi grać, a ona musiała być w parze z grubym kolegą Nicka z Enfield, który zalewał potem cały kort.

– Chciałam porozmawiać z tobą o Jaimem Cardenasie. Ukończył studia biznesowe na Harvardzie i w Stanford. Zasiada we wszystkich komitetach dobroczynnych dla młodych. To syn Fernanda Cardenas. Poznałaś go już?

Evelyn często nie mogła się nadziwić, że matka potrafi namierzyć przedstawicieli młodej nowojorskiej elity właściwie nie gorzej niż ona, zwłaszcza że ledwo potrafiła korzystać z internetu. Ona sama nie знаła Jaimego, ale wiedziała, że istnieje. Googlowała go kilka razy po tym, jak zobaczyła go na zdjęciach z Camillą. Rodzinna fortuna została zapoczątkowana kilka pokoleń wcześniej rozlewnią w Wenezueli. Potem dziadek Jaimego zbudował całe konsorcjum, w skład którego wchodziły firmy z branży produktów konsumpcyjnych, handlu detalicznego i bankowości. Jaime był teraz wiceprezesem rodzinnej firmy i wdarł się przebojem na nowojorską scenę towarzyską, chociażby dlatego, że w niespotykane młodym wieku dwudziestu ośmiu lat został wybrany do rady nadzorczej muzeum Metropolitan. Był jednym z celów Evelyn, ale jeszcze nie miała okazji go spotkać i powiedzieć mu o People Like Us.

– Wymawia się *Haime*, mamo. *De Karden-jaz*. Albo *de Karden-jas*. Jaime de Cardenas. Scot też studiował na Harvardzie.

– Studia biznesowe to nie to samo co college. Jaime de Cardenas – Barbara wymówiła to powoli, jakby jej usta były pełne oliwek. Evelyn zastanawiała się, czy to jedyne hiszpańskie słowa oprócz *Rioja*, które kiedykolwiek wymówiła. – Dobrze. A więc go znasz.

– Nie za bardzo.

– Powiem ci, że nie wiem, jak ja sama czułabym się z... no wiesz... z *chicano*.

– Nikt już chyba nie używa słowa *chicano* na określenie mniejszości meksykańskiej.

– Tak jest, świat się zmienia.

– Jaime na pewno będzie wniebowzięty, kiedy to usłyszysz.

– Daruj sobie ten sarkazm. To nie przystoi. Myślę, że powinnaś rozważyć spotkanie się z nim.

Powtórka z Sheffield, pomyślała Evelyn. Matka sądziła, że wydanie prostej dyspozycji wystarczy, żeby zaznała towarzyskiej chwały. Po prostu zaprzyjaźnij się z takim i takim z Watch Hill. Po prostu zacznij się umawiać z wenezuelskim

miliarderem. A jednak sama matka nigdy nie osiągnęła tego poziomu i przez cały czas próbuje to sobie zrekompensować.

– Mam chłopaka – powiedziała Evelyn.

– Nazywaj to sobie, jak chcesz. Przykro mi to mówić, ale twoja uroda zacznie przygasać, a ciało będzie się robić coraz bardziej obwisłe. U mnie to trwa od trzydziestu lat i powiem ci, że jest okropne. Kiedy pomyślę, co mogłam zrobić w wieku dwudziestu sześciu lat... W każdym razie Jaime de Cardenas ma powiązania z hiszpańską arystokracją. Z tym po prostu nie możesz dyskutować. Susie – pamiętasz Susie, jej córka jest w Waszyngtonie – mówiła, że w tym roku będzie uczestniczył w balu Save Venice.

Save Venice, grupa młodych przyjaciół Muzeum Fricka i grupa Apollo Circle z Metropolitan. Tak, tak. Evelyn wiedziała, o co chodzi.

– Powinnaś mieć na niego oko. Zdaje się, że to ostatni spośród kawalerów do wzięcia.

Evelyn spostrzegła, że Scot stoi na końcu korytarza, czeka na nią i niezdarnie rozciąga ramiona. Werdykt matki zapadł. Evelyn przez chwilę milczała i przyciskała kciukiem górny staw małego palca.

– Tylko tyle chciałam powiedzieć – zakończyła Barbara. – Proszę, pomóż mi włożyć płaszcz.

## Rozdział dwunasty

### Lato w mieście

Camilla postanowiła, że w jeden z ostatnich weekendów urzędzą „miejską inkursję”. Zignorowała poprawkę Scotta, który zwrócił uwagę, że inkursja to nagły najazd, a nie przeciwieństwo ekskursji. – Będzie wspaniale – zapewniała. – Wszystkie restauracje będą praktycznie puste, będziemy mogli iść, gdzie zechcemy, ćwiczyć pilates i nie czekać na umówiony termin w Exhale.

– W Exhale nigdy nie trzeba czekać na umówiony termin – odparła Evelyn.

Camilla tylko się uśmiechnęła.

W piątek po południu Evelyn wymknęła się z siedziby PLU, po intensywnej i męczącej kłótni z Arunem i Jin-ho. Fundator z Habsburgów był niezadowolony z liczby nowych członków, więc Arun i Jin-ho wezwali ją do jednej z sal konferencyjnych, żeby to wyjaśnić. Powiedzieli, że chcą bardziej tradycyjnego marketingu. Evelyn miała zrobić, co w jej mocy, żeby poprawić wyniki.

– Na przykład co? – zapytała. – Mam wykupywać listy mailingowe z rejestrów nieruchomości w drogich dzielnicach? Zdajecie sobie sprawę, ile to kosztuje i jak dużo niechcianej korespondencji dostają ci ludzie? Cały sens tej strony polega na tym, że jest wybiórcza. Jeżeli ktoś chce mas, może się zarejestrować na MySpace. Nawet Facebook nie wprowadza już ograniczeń, jeśli chodzi o college’ę. Nie musimy po nich kopiować.

– Potrzeba nam czegoś innego – powiedział Arun. – Twoje jednorazowe akcje były drogie i nie przyniosły wielkich zysków.

– To strategia długofalowa. Na tym etapie nie powinniśmy organizować wielkich eventów z pokaźnymi liczbami. Jeśli chcecie wydać pieniądze na prawdziwe przyjęcie inauguracyjne, to świetnie. Chętnie poprę taką inicjatywę. Tylko że jej koszt będzie można liczyć w setkach tysięcy dolarów, a nie sądzę, żeby było nas na to stać. Mniejsze eventy są stosunkowo tanie i budują rozgłos: byliśmy w „Page Six”, byliśmy w „Styles”, a nasza lista członków to czysta ekstraklasa – Bridie Harley, Caperton Ripp, Camilla Rutherford, Preston i Bing Hackingowie – że wymienię tylko kilka nazwisk. Właśnie na tym nam zależy.

– Ulrich uważa, że te liczby powinny być wyższe.

– Ulrich jest Szwajcarem i – z całym szacunkiem – ma siedemdziesiąt lat. Nam chodzi o Amerykanów około dwudziestki. Będzie musiał nam zaufać.

– Jeden z moich kumpli pracuje w zarządzie Rangersów – powiedział Jin-Ho. – Powinnaś z nim porozmawiać, jak tylko zacznie się sezon hokejowy. To specjaliści od marketingu symbiotycznego.

– Rangersi? Żartujesz? – odparła Evelyn. – Dostarczanie piankowych palu-



chów w czasie, kiedy faceci wybijają sobie nawzajem zęby, raczej nie kojarzy się z elitą. Staramy się udowodnić, że jest to strona dla najwyższych warstw społecznych. Jeżeli teraz zrobimy coś, co nie pasuje do marki, możemy ich stracić. Oni potrafią wyczuć błąd. Potrafią wyczuć słabość.

Arun wykrzywił usta, a potem się uśmiechnął. Był sympatyczniejszy od Jin-ho. – Okej, Evelyn, ale, czy ci się to podoba, czy nie, wszyscy pracujemy dla Ulricha i jeśli mówi, że mamy poprawić wyniki, to poprawiamy wyniki. Nie musi to być mecz Rangersów, ale musisz coś wymyślić.

Evelyn splotła ręce. Nie chciała się do niczego zobowiązywać. Kiedy zobaczyła, że w południe Arun i Jin-ho wychodzą z budynku i idą na jakieś przyjęcie kawalerskie w Vegas, ruszyła na spotkanie z Camillą. Idąc, tak mocno stuknęła obcasami o chodnik, aż je uszkodziła. Miały się spotkać w Takashimaya – japońskim domu towarowym na Piątej.

Evelyn znalazła Camillę na drugim piętrze. Oglądała turystyczny zestaw do pielęgnacji paznokci, w krokodylowym etui. – Urocze, nie uważasz? – zapytała, gdy ją zobaczyła. Wokół nich było cicho jak w bibliotece. Evelyn czuła się tak, jakby jej głowa wydzielala obłoki pary.

– Co jest? – zapytała Camilla.

– Praca – jęknęła Evelyn. – Nie słuchają niczego, co mam do powiedzenia.

– Kto nie słucha?

– Dyrektorzy. Arun i Jin-ho.

– Że jak? Kim oni są?

– Absolwentami Stanford. Niczym się niewyróżniającymi, dodajmy. Jin-ho zapina górny guzik, a Arun rozpina do trzeciego i czwartego, żebyśmy wszyscy mogli sobie obejrzeć jego włosy na klacie. I oni myślą, że wiedzą więcej ode mnie, co należy robić z tą stroną.

– Krejzolstwo. Olej to! – zawołała radośnie Camilla. – Moja akupunkturzystka mówi, że w życiu nie wolno dopuszczać do siebie negatywnej energii. Chcę skórzane sandały.

Nagle, jakby Camilla wezwała dzina, pojawił się siwowłosy mężczyzna. Evelyn powiodła po nim wzrokiem, naśladowując lodowaty chłód, z jakim Barbara zawsze traktowała sprzedawców. Spodziewała się, że Camilla zrobi to samo. Ale ona tylko się do niego nachyliła.

– Hej! – zawołała, jakby był jej ulubionym wujkiem. – Co słychać? Piękna pogoda, prawda? Wspaniała ta pańska spinka do krawata. Miałam nadzieję, że pomoże mi pan wybrać sandały. Numer siedem.

Mężczyzna posłał jej szczerbaty uśmiech, który sprawił, że wydawał się radosny i pełen życia i nie wyglądał jak zwolniony z pracy urzędnik, który mógł się zatrudnić tylko przy sprzedaży damskich butów. To właśnie były czary Camilli. – Sandały – powtórzył i poszedł na tył sklepu. Wrócił z trzema wielkimi pudłami

i przykucnął przed Camillą.

– Ależ pan jest śmieszny – powiedziała, kiedy zapinał jej na nogach jedną z par.

– Przepraszam – odezwała się Evelyn. – Ciągle jeszcze myślę o pracy. Oni naprawdę powiedzieli, że można by zrobić event marketingowy podczas meczu Rangersów.

– Oj. Nie chcę mieć tam profilu, jeśli będą w to zamieszani ludzie związani ze sportem.

– Nie, nie, nie, nie, nie. Nie zrobią tego. Nie pozwolę im. Będę broniła PLU, obiecuję.

Evelyn nie mogła stracić Camilli. Szybko wpadła na kolejny pomysł. – Członkowie powinni być ludźmi takimi jak my, jak wskazuje sama nazwa. Pomyślałam, że powinni się udzielać na przykład na tegorocznym Balu Debiutantek.

Spojrzała na Camillę. Podziałało. Chwyciła przynętę. – Oo, to byłoby dobre. Debiutantki jak najbardziej mogłyby korzystać ze strony.

Evelyn obróciła głowę i próbowała powstrzymać rozkwitający na jej twarzy uśmiech. Ostatnio, z myślą o swojej pracy, zgłębiała temat debiutantek, czytała o nich w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej. Przeglądała mikrofilmy i mikrofiszę, i dowiedziała się trochę o nowojorskich debiutantkach, choć nie było to takie łatwe, bo jedną z zasad jest to, że gdy jest się debiutantką, nie należy o tym mówić ani pisać.

Po raz pierwszy o nowojorskiej scenie debiutantek usłyszała w Sheffield – Preston uczestniczył czasem w balach jako osoba towarzysząca. „Sezon” – o ile rzeczywiście można było mówić o sezonie – przypominał przyjęcia w London Court, które zainspirowały amerykańską tradycję balów debiutantek.

Bal Français był pierwszym z nich i odbywał się w czerwcu, kiedy najstarsze roczniki kończyły szkołę średnią. Na tle prestiżowych balów, które odbywały się w czasie wakacji, był czymś w rodzaju treningu przygotowawczego. Na Junior League, który odbywał się w Święto Dziękczynienia, przychodziło trochę nowobogackich rodzin, ale mimo wszystko impreza cieszyła się dobrą opinią. W czasie świąt Bożego Narodzenia ważnym wydarzeniem był Infirmary – oprócz rodzin nowojorskich uczestniczyli w nim ludzie z Old Greenwich, Bostonu i Waszyngtonu, a ponieważ debiutantki mogły zapraszać przyjaciół, było to wydarzenie popularne wśród młodzieży. Junior Assembly był już balem z prawdziwego zdarzenia – małym, utrzymanym w starym stylu i zarezerwowanym dla debiutantek, ich rodzin i osób towarzyszących. Informacja, że dziewczyna jest katoliczką, wciąż wywoływała tam uniesienie brwi. The International, który odbywał się w okolicach Nowego Roku, wieńczył sezon, ale był przeznaczony dla nowobogackich parweniuszy, córek rosyjskich oligarchów i kurczakowych potentatów z Południa.

Evelyn czytała też o socjologicznym aspekcie balów debiutantek. O tym,

dlaczego ta pozornie archaiczna tradycja wciąż jest żywa w miastach całego kraju – od Dallas przez Seattle po Boston – i dlaczego bale nadal się odbywają, skoro wiadomo, że osiemnastoletnie dziewczyny nie są już na nich przedstawiane towarzystwu po raz pierwszy. „Rytuał przejścia oznaczony symbolami statusu społecznego” – zapisała w notatniku. „Próba wyodrębnienia warstw społ.”. „Sposób na przekazanie dzieciom wyróżników klas/miejsca w społeczeństwie. Amerykanie nie mają tytułów jak Brytyjczycy – bal spełnia funkcję Social Register – zastępuje rejestr nazwisk i rodów z klasy wyższej”. „Kapitał kulturowy”. „Wstęp tylko na zaprosz. – tzn. elita decyduje, kto wejdzie. Oddzielenie elity od nie-za-bardzo-elity”.

– Tak jest – powiedziała Evelyn. Jeśli Camilla rozmawiała z nią o debiutantkach, musiała założyć, że ona też debiutowała: to była niepisana zasada. – Zdecydowanie. Myślę, że to przyciągnęłoby do nas wiele osób. Nawet sama treść dotycząca balów – gdzie powinnam szukać sukienki, gdzie zrobić afterparty i tak dalej.

– Wyobrażam to sobie – odparła Camilla.

– Ja miałam wielkie problemy ze swoją sukienką, bo przymiarki były robione latem, a potem poszłam do szkoły i przytyłam prawie cztery kilo. Krawcowa była na mnie zła – słowa wylewały się z Evelyn, a ona nawet nie chciała ich zatrzymać. Chciała zobaczyć, dokąd to zaprowadzi.

– Gdzie debiutowałaś? – zapytała Camilla i wskazała sandały.

– The Bachelors’ Cotillion – odparła Evelyn swobodnym tonem. Nie na darmo spędziła tyle czasu przy mikrofiszach.

– The Bachelors’ Cotillion – powtórzyła Camilla.

– W Baltimore – szybko dodała Evelyn. – Jest bardzo zabawny i w starym stylu. Kiedy uczestniczyła w balu moja babcia, wszystkie dziewczyny musiały mieć sukienki z długim rękawem i zapanował kompletny chaos, gdy jedna włożyła sukienkę bez ramiączek. Widywaliśmy tę kobietę w klubie tenisowym, w tamtym czasie miała już siedemdziesiątkę i nosiła kaftany, a moja babcia nadal uważała ją za nieprzyzwoitą.

Evelyn była pod wrażeniem: słowa płynęły z jej ust chyba nawet szybciej, niż mózg był w stanie je sformułować.

Camilla tylko się uśmiechała. – Świetne – powiedziała. Potem poderwała się do góry i wręczyła mężczyźnie kartę AmEx Platinum. – Mógłby pan zapakować dla mnie tę parę? Ogromnie dziękuję. Evelyn, musimy porozmawiać.

Evelyn już chciała się wycofać z historii o debiutantkach, ale nie zdążyła. – Wiesz, że matka próbuje mnie zmusić, żebym była gospodynią komitetu dobroczynnego młodych podczas Luminarzy?

– Oczywiście – odparła Evelyn. Była to kluczowa akcja charytatywna nowojorskiego klubu Signet Society. Dochody przeznaczano na wspieranie wydarzeń artystycznych i literackich w mieście.

– Tak sobie myślałam, że twój ojciec byłby znakomitym Luminarzem.

– Mój ojciec? On nawet nie jest nowojorczykiem.

Camilla puściła do niej oko. – Czasem możemy zrobić wyjątek. Zwłaszcza jeśli Luminarze wspierają grupę.

– Millo, on nie ma nic wspólnego z literaturą.

– Pomyślałam, że powinien zostać jednym z Patronów. Będzie fantastyczna kolacja, która z pewnością go zachwyci. Wydaje się taki fajny, Evelyn. Nigdy nie ma u nas ludzi z Południa, a to dodałoby trochę pieprzu.

– Na pewno byłby zachwycony, ale, szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby to było w jego stylu.

– Evelyn, wspieraj moje, a ja będę wspierała twoje – powiedziała Camilla ściszym głosem i zmrużyła oczy. Evelyn tylko czekała, aż na końcu zapyta: *capisce?*

– Na pewno zapytam, ale...

– A zatem poziom Patronów. Naprawdę mu się spodoba. Przygotuję dla niego wszystkie informacje. Daj mu znać, że liczę na dotację Patrona. Próg to dwadzieścia pięć tysięcy.

– Dwadzieścia pięć tysięcy – Evelyn oblizwała wargi. – Dobrze, tylko że...

Sprzedawca wrócił z trójkątną torbą. Camilla wzięła ją do ręki i mówiła dalej.

– Będzie się świetnie bawił. Nie chcę już słyszeć ani słowa na ten temat. A teraz lunch.

Ruszyła przed siebie. Evelyn przez chwilę stała w miejscu, trochę oszołomiona.

\* \* \*

Wyobrażała sobie, że weekend w Nowym Jorku spędzi tylko z Camillą, że będą robić zakupy, zamawiać drinki i jeść brunchy tylko we dwie. Ale kiedy tego wieczoru przysiadła się do niej w Sant Ambroeus, Camilla zamówiła aperol spritz dla siedmiu osób.

– Kto jeszcze będzie? – zapytała Evelyn i wzięła łyk jaskrawopomarańczowego drinka.

– Nick, Brooke Birch, Will Brodzik, Pres, i chyba twoja przyjaciółka Carrie.

– Charlotte? – odparła Evelyn.

– Nie miała na imię Carrie?

Kiedy Camilla wspomniała o Brooke poprzednim razem, Evelyn wyszukała ją w Google i dowiedziała się, że chodziła z Camillą do St. Paul's i Trinity. Jej pulchny chłopak Will grał w Enfield w piłkę wodną, ale był stuprocentowym przedstawicielem klasy średniej. Camilla mówiła kiedyś, że jest miejscowy i tylko dojeżdża na zajęcia do Enfield. Brooke i Will należeli do ludzi, którzy nie lubią rywalizacji – po college'u przenieśli się do San Francisco i zamiast rozpychać się

łokciami w Nowym Jorku, wybrali świat triathlonów i rynków drugiego szczebla. Brooke przez dwa lata pracowała przy zbiórkach pieniędzy w Muzeum Sztuki Współczesnej w San Francisco. Niedawno zrezygnowała z tej pracy i przebąkiwała, że otworzy butik w Pacific Heights, ale drugie małżeństwo jej matki było na tyle dobre, że miała odziedziczyć mnóstwo pieniędzy i nie musiała pracować. W rzeczy samej, małżeństwo z deweloperem ośrodków narciarskich było też dobre dla Willa, który pracował w firmie ojczyma Brooke.

Brooke przyjechała, kiedy Camilla była w toalecie. Kierownik sali zaprowadził ją do stolika. Nie zdążyła jeszcze usiąść, a już zaczęła wręcz gapić się na Evelyn. Miała cienkie jasne włosy i spiczaste uszy.

– Jestem Evelyn Beegan. Tak miło wreszcie cię poznać. Tyle o tobie słyszałam – powiedziała Evelyn i poderwała się z krzesła, żeby podać jej rękę. – A zatem znasz Camillę z St. Paul’s?

– Jesteśmy bardzo starymi przyjaciółkami – odpowiedziała Brooke, akcentując słowo „bardzo”. – Myślałam, że dziś wieczorem będziemy tu tylko ja, ona, Will i Preston.

– Nie – odparła Evelyn.

– Poznałyście się przez portal internetowy?

Brooke była zazdrosna i dlatego zachowywała się jak suka. Evelyn usiadła, bez pośpiechu, i dopiero potem odpowiedziała:

– Poznałyśmy się w Lake James. Ale zgadza się, pracuję dla portalu internetowego. People Like Us, znasz? W zeszłym tygodniu był o nas artykuł w „Styles”.

– To coś jak portal randkowy?

– Nie. Nic z tych rzeczy. To serwis społecznościowy. Mamy kilka grup członków. Oczywiście w Nowym Jorku, ale też w Dubaju, Londynie, Genewie, Aspen – zaakcentowała dobitnie. Pamiętała, że ojczym Brooke ma wielki dom w Vail, więc dziewczyna prawdopodobnie miała kompleks niższości na punkcie Aspen.

– Cóż – powiedziała Brooke.

Do środka jak jeden mąż wtoczyli się Nick, Preston, Will i Charlotte, pogrążeni w rozmowie na temat jakiegoś znajomego.

– Ale chodził do Wharton – powiedziała Charlotte.

– Chodził do Wharton, bo jego ojciec załatwia tam miejsce wszystkim innym ważnym osobom – odpowiedział Nick. – Spieprzył zakup lewarowany Federated.

– Tobie jakoś nie załatwił miejsca w Wharton – powiedziała Charlotte.

– Daj spokój, Hillary. Jest idiotą, ale jego grupa CDO w Lehmanie w zeszłym roku zarobiła miliardy. Miliardy. Wystarczający zysk dla całej firmy. Sprzedają te gówniane hipoteki w pakietach tym, no... jak to się nazywa, Pres?

– Subprime?

– Nie, to drugie.

– A, NINJA.

– Tak jest. Kredytobiorcom bez dochodu, bez pracy i bez majątku.

– CDO to obligacja zabezpieczona... – odezwała się Charlotte.

– Długiem – dokończył Nick. – Banki sprzedają pakiety hipotek nieudacznikom z Nevady i Kalifornii.

– Po pierwsze, to nie wina ludzi, którzy biorą pożyczki, tylko banków, które ich udzielają. Po drugie, na rynku nieruchomości nie jest już tak gorąco.

– Niemieckie banki wykupują ten szajs jak świeże bułeczki, więc nie można na tym stracić – powiedział Nick. – Nie chce mi się wierzyć, że ten Lehman dostaje taki bonus.

– Nudzi mi się – oznajmiła Camilla, kiedy wolnym krokiem podeszła z powrotem do stolika. – Dosyć już tego biznesu. Wszyscy się tu znamy?

– Jestem zaskoczona, że cię tu widzę – powiedziała cicho Evelyn do Charlotte, kiedy Camilla była zajęta przedstawianiem osób.

– Ja też jestem zaskoczona, że widzę tu siebie – odparła Charlotte. – Pres do mnie zadzwonił, a ja wcześniej skończyłam pracę, pomyślałam więc, że warto znieść obecność panny Rutherford, żeby zjeść porządną kolację i zobaczyć was oboje. Przez całe lato nikogo nie było w mieście.

– No to jak? Wszyscy jesteśmy podekscytowani na myśl o naszym miejskim weekendzie? – zapytała Camilla, zagłuszając Charlotte.

– Myślałam, że wyrwiemy się z miasta – powiedziała Brooke. – Nie po to przylecieliśmy, żeby spędzać weekend na Manhattanie.

– Pomyślałam, że weekend tutaj może być fajny – powiedziała spokojnie Camilla. – Jeżeli się nie zgadzacie, możecie zaplanować sobie coś innego. A dla tych z nas, którzy chcą się dobrze bawić: po kolacji będą drinki u mnie.

Brooke wymieniła z Willem spojrzenie, którego Evelyn nie potrafiła rozszyfrować.

– Brzmi nieźle – powiedziała Brooke słabym głosem.

– Dobrze – odparła Camilla. – Tak czy siak, już wam mówiłam, że Pośrednik chce, żeby bestie dostały się do École? No więc zgadnijcie, kogo zwerbowano do nadzorowania debutantek na Balu?

Camilla powinna jeździć z tłumaczem, pomyślała Evelyn. Pośrednik, inaczej Ari, był chłopakiem Souse Rutherford – właścicielem tablicy rejestracyjnej z napisem WIELKIEMICO. Jego firma, AF Holdings, posiadała większość znaczących nieruchomości w Nowym Jorku – Pierre Hotel, budynek Lord & Taylor. Camilla go nie lubiła, dlatego nazywała go Pośrednikiem. Ari mieszkał w gigantycznym apartamencie, zajmującym całe piętro budynku na Piątej Alei. Udało mu się je dostać po zaniżonej cenie dwudziestu jeden i pół miliona dolarów – zarząd spółdzielni odrzucił wyższą ofertę złożoną przez księcia Bahrajnu, ponieważ obawiał się, że jego immunitet dyplomatyczny będzie wykorzystany do składowania broni

w budynku. Mówiąc „bestie”, Camilla miała na myśli małe dzieci Ariego – jedno miało chyba cztery, a drugie sześć lat. École była to École Internationale, francuskojęzyczna szkoła na East End Avenue, znana z tego, że trudno się było do niej dostać. Bal zaś – Evelyn czuła się jak uczestniczka quizu na czas – był to Bal Français – bal debiutantek, którego gospodyniami były przeważnie matki uczniów École i członkinie zarządu.

– Ty jako przykład dla młodych umysłów? Co ty tam będziesz robiła? Prowadziła lekcje walca i przemycała gaz rozweselający? – zapytał Preston.

– I tańczyła *danse d'honneur* – dodała Camilla i się ukloniła. – Czy to ten taniec, w którym dawna debiutantka ma płaszać z ambasadorem?

– To naprawdę ważne – Brooke otworzyła szeroko oczy. – Bill Cuningham zawsze zamieszcza zdjęcie z *danse d'honneur* w swojej rubryce, a Marchesa w zeszłym roku wypożyczyła Sophie Gerond sukienkę specjalnie na tę okazję. Millo, to niesamowite.

Camilla zakręciła łyżeczką na obrusie. – Phoebe oczywiście obsługuje Assembly i Infirmary, ale moja matka zapisała ją na Bal Français w czerwcu, bo Ari uważa, że może to pomóc jego dzieciom dostać się do École. Kto wie?

Evelyn wiedziała, że Bal Français był blisko końca rankingu nowojorskich balów, ale wciąż był ważny – ci, którzy odnieśli tam sukces, często dostawali zaproszenia na bale zimowe, gdzie spotykała się prawdziwa śmietanka. Choć każdy, kto zadebiutowałby na Balu, a potem nie pokazał się na Assembly albo Infirmary, byłby jak zawodnik Staten Island Yankees.

Kelner postawił na stole koszyk z pieczywem. Sięgnęła po nie tylko Charlotte.

– Czy Ari chociaż mówi po francusku?

– Ari mówi w dolarach – odparła Camilla. Postawiła łyżeczkę na sztorc, Evelyn patrzyła, jak światło odbija się od metalu. – Tak czy inaczej, kochanie, tu nie chodzi o mówienie po francusku. Tu chodzi o szkołę. Jedenaścioro uczniów École zostało w tym roku przyjętych do Yale. Przy takich wynikach Ari nie miałyby chyba nic przeciwko, nawet gdyby językiem wykładowym był tunezyjski.

– Nie ma takiego języka – odezwała się Charlotte. – Tunezyjczycy mówią po arabsku. I po francusku.

– Właśnie – odparła Camilla.

Brooke jęknęła z zadowoleniem. – Zazdroszczę Phoebe. Ja w college’u uczestniczyłam w International. Było świetnie.

Camilla pokiwała głową. – Masz rację. A ten Bal jest o niebo lepszy od International. Phoebe będzie się doskonale bawiła – powiedziała tak szybko, że Evelyn zaczęła się zastanawiać, czy Brooke wyczuła przytyk. – Evelyn, kiedy ty debiutowałaś, uroczystość była duża czy mała? Nawet nie wiem, jak to się robi poza prawdziwymi miastami.

Evelyn spojrzała na Charlotte, która miała na wardze gruby kawałek masła. Nie dała jej znaku: zetrzyj to. Jeśli Charlotte chciała swoim zwyczajem demonstrować intelektualną wyższość tekstami w stylu: „Nie ma takiego języka jak tunezyjski”, nie zamierzała jej pomagać.

– Ten bal odbywa się w Baltimore. Skala średnia.

Charlotte wysunęła język w kierunku kawałka masła, ale nie trafiła. – Byłaś debiutantką, Ev? Dlaczego ja tego nie pamiętam?

– Cóż, nie ma się czym chwalić, prawda? – odpowiedziała Evelyn i wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Co co co? – odezwał się Preston. Poprawił okulary. – Dlaczego ja nie dostałem zaproszenia? Byłem najlepszą osobą towarzyszącą. Na jednym z balów tak się skułem, że któraś z matek poszła ze mną przed Plażę w czasie śnieżycy i starała się mnie otrzeźwić. Chyba próbowałem się z nią całować. Powiem wam w zaufaniu, że zrobiła to z jęczyczkiem.

– Fuj! – zawołała ze śmiechem Evelyn.

– Kiedy ja byłem osobą towarzyszącą, przemyślałem trawkę. Wierzcie mi, dzięki temu jedzenie o północy było naprawdę smaczne.

Camilla zmrużyła oczy i spojrzała na Willa.

– A ty, Will?

– Ja nie robiłem takich rzeczy – odpowiedział.

– Ach? – Camilla odczekała chwilę, żeby cisza mogła wybrzmieć. – No, Birchie – zwróciła się do Brooke – Will pewnie myśli, że to wszystko jest skomplikowane. I staroświeckie. A jeśli chodzi o Bal, pomożesz mi, prawda? Matka zapisała mnie do komitetu organizacyjnego – chcę mieć kogoś młodego, kto by zapanował nad debiutantkami. Ale ja sobie nie dam rady sama z tymi wszystkimi nastolatkami, więc powiedziała, że mogę sobie dobrać kogoś do pomocy.

– O mój Boże, Millo, zgadzam się. Oczywiście, że się zgadzam.

– To świetnie. Szczerze mówiąc, nie ma przy tym aż tak dużo pracy. Tylko kilka spotkań, a potem sam bal w czerwcu.

– W czerwcu? – Brooke rzuciła okiem na Willa. – Naprawdę bardzo bym chciała, ale w czerwcu mogę być zajęta. Kochanie?

Will wstał i zadzwonił łyżeczką o swoją szklanę z wodą. Było to kompletnie niepotrzebne, bo tylko przy ich stoliku było głośno. – Chcemy coś ogłosić. Oboje.

Spojrzał na Brooke, która podniosła rękę z wyprostowanym palcem serdecznym. Tkwił na nim pierścionek z diamentem – musiała go wsunąć, kiedy trzymała rękę w kieszeni, bo jeszcze przed chwilą go tam nie było. – Jesteśmy zaręczeni! – pisnęła.

Preston i Nick od razu zerwali się na nogi, zaczęli poklepywać Willa po plecach i całować Brooke w policzek. Charlotte też wstała i po męsku uściśnęła



obojgu dłonie. Evelyn została na miejscu, kiedy zobaczyła, że Camilla również siedzi na krześle i ostrożnie składa serwetkę. – Wow, gratulacje, dzieciaki.

Brooke pośpiesznie okrążyła stół. – Chcesz zobaczyć pierścionek?

– Tak, koniecznie – powiedziała Camilla i odepchnęła rękę Brooke. – Jest taki okrągły.

Evelyn wstała i niezdarnie poklepała Brooke po plecach. – To świetnie – powiedziała. – Ale ładny.

Pojawił się kelner z butelką szampana i kilkoma kieliszkami. – Uczcijmy to! – zawołał Will. Każdy wziął po kieliszku, a Nick wznosił toast za narzeczonych.

Camilla opróżniła kieliszek kilkoma szybkimi łykami, podała go kelnerowi, żeby go znowu napełnił, i rozlała trochę szampana.

– Ups. Mój kielich przelewa się<sup>4</sup> – powiedziała i uniosła kieliszek w kierunku zaręczonej pary.

Po kolacji Evelyn poszła z Camillą prosto do jej mieszkania. Nick koniecznie chciał wstąpić do sklepu winiarskiego razem z Prestonem – tłumaczył, że kiedy ostatnim razem Preston kupił burgunda, był tak cienki, że smakował, jakby był z Long Island. Charlotte, która zdążyła już się upić i kłóciła się z Nickiem o skład Red Soxów w 1986 roku, poszła z nimi. Brooke zaczęła narzekać, że ma za wysokie obcasy, i powiedziała, że razem z Willem wezmą taksówkę. Evelyn i Camilla odłączyły się od grupy. Słyszały jeszcze, jak Brooke, prawie zapłakana, mówi Willowi, że nie tak sobie wyobrażała ogłoszenie wiadomości o ich zaręczynach.

Camilla szła wzdłuż Madison tak szybko, że Evelyn musiała biec truchtem, żeby za nią nadążyć. – No tak. Co to było? Ten cały zaręczynowy teatrzyk? Jestem zaskoczona, że obyło się bez części artystycznej – powiedziała Camilla.

Evelyn próbowała podsumować w myślach to, co wiedziała: Camilla i Brooke były najlepszymi przyjaciółkami w St. Paul's, ślub krzyżował plany Camilli związane z Balem, a na dodatek Camilla nie lubiła Willa. Zdecydowała się na neutralne stwierdzenie: – Nie da się ukryć, że chcieli to uczcić.

Zadziało tak, jak na to liczyła. Camilla zaczęła rozwijać temat, tym samym naprowadzając ją na właściwy trop. – Po pierwsze, musieli się zaręczyć już jakiś czas temu i trzymali to w tajemnicy przed nami, żebyśmy świętowali ich wspólny wybór. Daj spokój, oglądanie pierścionka? Zamawianie okolicznościowego szampana? To ja powinnam zamówić szampana i poprosić wszystkich o toast w moim imieniu.

– Za Camillę i jej niedawne pasmo sukcesów... – powiedziała Evelyn.

– Prawda? Dlaczego nie?

Zatrzymały się na czerwonym świetle, obok śmignął motocykl. – Nie znasz Brooke, ale kiedyś, dawniej, była naprawdę świetna. Bardzo oryginalna. A teraz? Will? Will Brodzik? Evelyn, jego rodzice zajmują się sprzedażą samochodów. Sprzedają samochodów, Evelyn. I on ma poślubić Brooke? Naprawdę? Założę się,

że w noc poślubną odstawi tablety i zajdzie w ciążę w ciągu miesiąca. A potem co? Przeprowadzą się na przedmieścia San Francisco, Will pójdzie do swojej absurdalnej pracy i będzie udawał, że zależy mu na karierze. To wszystko. Mieszkałyśmy w tym samym internacie, a w ostatniej klasie ona cały czas powtarzała, że zamieszka we Włoszech i zaprojektuje własną kolekcję ubrań. A teraz ma zostać żoną z przedmieścia. Jaki to ma sens?

Minęły zamknięty sklep z butami, które były oświetlone jak biżuteria.

– Założę się, że ich pierwsze dziecko będzie miało na imię Will. Drugie – Birch. To jest poziom wyobraźni, z którym mamy tu do czynienia. Dobija mnie to.

– Brooke Birch Brodzik? – powiedziała Evelyn i zachichotała chrapliwie.

– O mój Boże, o tym nawet nie pomyślałam. Brooke Birch Brodzik. Evelyn, w dzisiejszym społeczeństwie jest tak mało wielkości, tak mało prawdziwej wielkości, a tak dużo – to brzmi okropnie, ale ty wiesz, o co chodzi – tak dużo skupienia na pracy, codziennej harówce. Potrafisz dochować tajemnicy?

– Jak kot – odparła Evelyn. To nie do końca było porównanie, którego szukała.

– Rzucę to – powiedziała Camilla.

– Rzucisz pracę?

– Bądźmy szczerze – to nie ma sensu, nie uważasz? Nie wiem, co świat będzie miał z tego, że poznam Microsoft Outlook. Siedzenie cały dzień w biurze nie jest dobre dla skóry i dla ciała. Myślę, że dużo bardziej przydam się społeczeństwu, jeśli zaangażuję się teraz w prawdziwą pracę, zamiast udawać, że zależy mi na tym, aby skoordynować stroje kelnerów na kolejny event.

– Nie myślałam o tym w ten sposób – powiedziała Evelyn.

– Will Brodzik! Kiedy ludzie w naszym wieku naprawdę robią coś konkretnego. Jak Jaime de Cardenas. A ona ma swojego nudnego Willa.

Camilla zamachała rękoma jak małpa.

– Jaime? Otóż to – powiedziała Evelyn ostrożnie.

– Znasz go?

– Znam... Chyba spotkałam go w Harvard Clubie – odparła Evelyn.

– Myślę, że będzie z niego świetny facet. Świetny facet. Wyjdiesz za Scotta?

– Spotykamy się dopiero od kilku miesięcy.

– Rozumiem – Camilla zmarszczyła brwi, ale tylko nieznacznie. Zawsze pilnowała, żeby nie pogłębiać sobie zmarszczek. – Tak trudno wyobrazić sobie Scotta na Harvardzie, prawda? – skrzyła w Siedemdziesiątą Pierwszą. – Ale tak czy owak, to dobra partia dla ciebie.

Przekaz odebrany, pomyślała Evelyn i powstrzymała się przed przewróceniem oczami w odpowiedzi na docinek Camilli.

U Camilli, w klasycznym sześciopokojowym apartamencie na Piątej, z widokiem na park, grupa zebrała się ponownie. Przy czwartej butelce wina Brooke spro-

wadziła rozmowę z powrotem na tory swoich zaręczyn.

– Zależało mi na szlifie Asschera, choć zawsze myślałam o sobie jako o dziewczynie, do której pasuje szlif Princess, no i tak jakoś wyszło – powiedziała.

– Wow – odparła Camilla i spojrzała na pierścionek z szerokim uśmiechem.  
– Jest taki piękny, Birchie. Coś, czego zawsze pragnęłaś. A zatem myślałaś o czerwcu?

– Chyba tak. Tyle jeszcze trzeba zaplanować. Mama mi oczywiście pomaga i jest zdania, że czerwcowe kwiaty, róże i lilie, będą w sam raz.

Evelyn nalała sobie pełny kieliszek wina i zaczęła się zastanawiać, co knuje Camilla. Po jej nastawieniu sprzed kilku godzin nie było ani śladu. Teraz pytała Brooke, jaki fason sukni ślubnej najbardziej jej się podoba. Dopiero kiedy zauważyła resztę grupy, przerwała i pozwoliła, żeby wypowiedź Brooke na temat dekolotów zawisła w powietrzu.

– Birchie – powiedziała Camilla, choć zwracała się do wszystkich – wygląda na to, że przy tym ślubie będzie mnóstwo pracy. Nie chcę cię od tego odciągać, więc będę dobrą przyjaciółką i zwolnię cię z Balu.

Zanim Brooke zdążyła przełknąć łyk wina, Camilla potargała jej włosy i odwróciła się do Evelyn. – Evelyn, ty możesz się tym zająć, prawda? Znajdziesz czas?

Evelyn spojrzała znad kieliszka. Wszyscy poza Willem zastygli w bezruchu.

– Evelyn? Byłaś debutantką, znasz to wszystko.

– Tak. Tak. Byłoby wspaniale. To znaczy, jeśli Brooke...

– Brooke jest teraz przyszlą panną młodą. Musi myśleć o kwiatach, listach gości i zostaniu panią Brodzik. Prawda, Birchie? Ev – zwróciła się do niej Camilla, chyba po raz pierwszy używając zdrobnienia – będziesz zachwycona. – Myślę, że to jedno z najlepszych przyjęć w Nowym Jorku.

– W porządku – powiedziała Brooke, posyłając Camilli wesołe spojrzenie. – Wszystko w porządku. W czerwcu będę zajęta, masz rację.

– Będzie świetnie – powiedziała Evelyn. – Będzie wspaniale.

Nieświadomy niczego Will dokończył drinka z głośnym siorbnięciem. – Ktoś chętny na golfa jutro?

– Spędzamy weekend w mieście, Will. W golfa możesz grać, kiedy wrócisz do San Francisco – powiedziała Camilla i się odwróciła, żeby wyjrzeć przez okno.

Później, kiedy Evelyn po drodze do łazienki przestąpiła leżącego na wznak Prestona, postukał ją w kostkę cygarem Cohiba, które palił. – Bal – powiedział. – W porządku.

## **Część druga**

## Rozdział trzynasty

### **Bogaci i szczęśliwi**

Kiedy Evelyn zobaczyła e-mail o tytule: *FW: Balowa herbatka i spotkanie organizacyjne*, wstrzymała się z otwieraniem, żeby się nim nasycić. Spodziewała się, że Camilla zapomni o swojej propozycji albo przywróci Brooke na stanowisko w komitecie, ale w mailu czarno na białym widniało: *cześć Ev zobacz niżej podeks-cytowana xx*. Z radością przeczytała, że spotkanie odbędzie się w domu Margaret Faber – kobiety, która była dla niej tak miła w Sachem. Potem zobaczyła, że Margaret Faber mieszka pod jednym z najlepszych adresów w całym Nowym Jorku.

Nie była pewna, jak matka zareaguje na wieść o zaproszeniu do komitetu, ale Barbara była zachwycona. Wręcz serdeczna. – Tak się cieszę, kochanie – powiedziała. – Przyjęcie ma być naprawdę wspaniałe. Tak się cieszę, że wreszcie zaczęłaś się tym zajmować. Od lat ci powtarzałam, że ci ludzie są niesamowicie interesujący.

Barbara zadzwoniła nawet jeszcze raz, pytała o szczegóły przyjęcia i wydawała się autentycznie szczęśliwa. Po raz pierwszy Evelyn udało się tak ją uszczęśliwić.

Czuła, że sukces na Balu jest kluczowy. Jeżeli zrobi na nim furorę, nie tylko stanie się bardziej wiarygodna dla PLU, ale też będzie mogła się spodziewać kolejnych zaproszeń. Zimą być może zostanie zaproszona na Junior League i Infirmary, a może nawet dołączy do komitetu, kiedy jej własne dzieci podrosną.

Kiedy znalazła się pod apartamentem Margaret Faber na Park Avenue, okrążył ją idący szybkim krokiem mężczyzna w krawacie od Hermès, a odźwierni dudniącymi głosami zawołali: – Dzień dobry, panie Shuder.

Rob Shuder – producent z Hollywood, pomyślała. Nowy nabywca. Kupił pół piętra, a „New York Post” relacjonował jego kłótnię z sąsiadami o definicję przestrzeni publicznej po tym, jak jego dekorator wnętrz wzbogacił wspólny korytarz o mosiężne zdobienia.

Evelyn poszła za nim. – Dzień dobry – powiedziała. – Evelyn Beegan, ja do Margaret Faber.

Stojący po prawej odźwierny – a może powinna mówić konsjerż? – uśmiechnął się. – Tak, panno Beegan. Pani Faber czeka na panią – powiedział, nawet nie sprawdzając na liście. – Proszę za mną.

Na marmurowej podłodze niemal nie było słychać jego kroków, podczas gdy spod jej stóp dobywało się krępujące skrzywienie. Przywołał windę, w środku był kolejny dozorca. – Panna Beegan do pani Faber – powiedział ten, który jej towarzyszył. Dozorca w windzie włożył klucz w panel, przekręcił, wcisnął 12, opuścił

ręce wzdłuż tułowia, i patrząc gdzieś wysoko, pojechał do góry z Evelyn.

– Dziękuję, panno Beegan – powiedział, zanim znów został połknięty przez windę. Evelyn zrobiła niepewny krok do przodu, w stronę pokoju z rzędami krzesel. Sama nie wiedziała, kogo spodziewa się zobaczyć. Pokojówkę? Kamerdynera? Ale w tej samej chwili do przedpokoju wbiegła Margaret Faber. Miała na sobie niebieską, opiętą w talii sukienkę. Z bukli, tak samo jak moja, pomyślała Evelyn z ulgą.

– Te sery są praktycznie zamrożone! – powiedziała Margaret.

Evelyn się wyprostowała. Miała nadzieję, że nie pomyłono jej z dostawcą cateringu.

– Przykro mi to słyszeć – powiedziała.

Spojrzała w lewo. Gospodynie uroczystości, ich mężowie, przyszłe debiutantki i ich rodzice – wszyscy integrowali się w wielkim salonie z wbudowanymi regałami na książki. Okna, obramowane różowoszarobrazowymi brokatowymi zasłonami, które wydawały się ciężkie, wychodziły na Park Avenue. Kanapa wyglądała dziwnie znajomo. Evelyn zaczęła się zastanawiać, czy nie widziała jej już kiedyś w magazynie „Architectural Digest”. W pokoju obok błysnął flesz aparatu.

– Jestem Evelyn, przyjaciółka Camilli Rutherford – powiedziała. Przyjemny, wyczekujący uśmiech Margaret się nie zmienił. – Poznałyśmy się w Sachem. Pomagam przy debiutantkach.

– Ach, tak. Oczywiście. Kiedy spotkałyśmy się w Sachem, nie wiedziałam, że jesteś przyjaciółką Camilli. Souse i ja przyjaźnimy się od lat i znam Camillę, odkąd była małym dzieckiem. Souse! Souse! – zawołała. Jej głos był donośny i dudniący, nie krępowała się krzyczeć na cały przedsiónek, który wyglądał jak sala w muzeum.

Z pokoju pełnego ludzi wybiegła jasnowłosa kobieta – Souse Rutherford. Emanowała jeszcze większą energią niż jej przyjaciółka, miała złotą opaleniznę, a jej pięknie uformowane ramiona były odkryte, bo miała sukienkę bez rękawów (też z bukli). – Makaroniki nadchodzą! – krzyknęła Souse jak hedonistyczny Paul Revere.

– Jest tu przyjaciółka Camilli! Evelyn! – odkrzyknęła Margaret.

– Evelyn? Evelyn! – Souse nachyliła się, żeby ją zobaczyć, a Evelyn poczuła mieszankę zapachu perfumowanego pudru do twarzy i Chanel No. 5. – No, no. Tyle o tobie słyszałam, a Camilla przez cały ten czas trzymała cię z dala ode mnie! Spójrzcie tylko na nią. Po prostu urocza. I na ten żakiet. Wspaniały. Czyż nie jest wspaniały?

– Tak, wspaniały. To vintage?

– Tak. Dostałam go od matki – odparła Evelyn. Tak naprawdę kupiła go w second-handzie, ale podziałało, bo uśmiechy obu kobiet zrobiły się szersze.

– Chciałabym, żeby moja córka nosiła moje dawne ubrania – powiedziała Margaret i zmarszczyła brwi. – Mam jeszcze gdzieś stare rzeczy od Balmaina, które zmieniają się w kolonię moli.

– Camilla, jak można się było spodziewać, jest spóźniona, ale powinnaś wejść do środka i się ze wszystkimi przywitać. W dużym pokoju podają herbatę, a w bibliotece dziewczyny pozują do zdjęć, ale najpierw musimy odbyć spotkanie z członkiniami komitetu. Tu obok, w westybulu – powiedziała Souse.

– Zaczynamy za pięć minut, choć połowa kobiet zawsze się spóźnia i jeśli nie uporamy się z tym serowym problemem... te sery są naprawdę twarde – Margaret urwała. Wyglądała na przejętą.

– Ja się mogę tym zająć. Rozwiązać serowy problem. Jeśli mi pokażecie, jak trafić do kuchni. Wystarczy kilka sekund w mikrofalówce, wiem, że to okropne, ale dzięki temu zmiękną.

Evelyn słyszała w głowie głos matki: Każdy ceni pomocnego gościa. I swój własny: Wykaż się, Evelyn.

– Tak! – zawołała Margaret i zaklaskała w dłonie. – Jak mądrze! Rosa nie wie, co zrobić z tymi serami, to są praktycznie bryły lodu. A ser musi oddychać! Chce wyrzeć na świat! Nie musisz iść. Zawołam ją tu i wszystko jej powiem. Cudownie. Cudownie!

Evelyn patrzyła na obraz za plecami Margaret i próbowała ustalić, dlaczego rumiany dobosz wydaje jej się znajomy, gdy nagle usłyszała, jak Souse mówi: – Push, mam poczekać w lobby, żeby nie dali popalić chłopakowi od makaroników?

Usta Evelyn przypominały teraz kształtem literę O, tak samo jak usta dobosza. Mieszkanie zdawało się unosić i wirować wokół niej. Zobaczyła wazon, stół, dywanik sprzed lat. Jej dłoń się zacisnęła i zrobiła się wilgotna, jakby nadal trzymała tę skłębioną wstążkę z Tinker Day i jakby pamiętała napięcie dziesięcioletniej dziewczynki, która chciała wszystko ukryć, wszystko naprawić, przykryć matczyne milczenie i niezrozumienie i sprawić, żeby Nowy Jork stał się tym, na co obie liczyły. Ale nie, pomyślała. Nie. Nie była już tą małą dziewczynką. Nie pozwoli się wytrącić z równowagi jakiemuś staremu wspomnieniu, dawnej słabości. Zmieniła się. Mogła pokazać, że tu jest jej miejsce.

Próbowała nie gapić się na Margaret/Push – teraz z ciemniejszymi włosami i w innym mieszkaniu, ale jednak tę samą co przed laty. Kiedy kolejna kobieta, która do nich dołączyła, zaczęła mówić o kończeniu szkoły w Lozannie, Evelyn rozluźniła dłoń i zmusiła puls, żeby zwolnił.

– Co za szkoda, że dziewczęta w dzisiejszych czasach upierają się, żeby kończyć szkoły w Nowym Jorku – powiedziała kobieta, a Evelyn pokręciła głową w solidarnym akcie współczucia.

– Dlatego musimy im zafundować ten sezon treningowy, prawda? – odezwała się Push. – W treningach są ogromne braki.

– Każda z nas jest do pewnego stopnia niepewna, zatem nic, co dodaje nam pewności siebie, nie może nam zaszkodzić – powiedziała kobieta z Lozanny. Jej łydki były grube i umięśnione.

– No cóż, amerykańskie szkoły kiedyś były inne – stwierdziła Push. – W Hollins, jeżeli dacie temu wiarę, musiałyśmy nosić rękawiczki do obiadu i chodzić na lekcje aranżacji kwiatów. Oczywiście to było sto lat temu.

– Hollins? – powiedziała Camilla, która wyszła z windy akurat w złym momencie. – Cześć, mamó. Cześć, Push. Dzień dobry, pani Egstrom. Przepraszam za spóźnienie. Evelyn, czy twoja mama nie chodziła do Hollins?

– O! Jak ona się nazywa? – zapytały równocześnie Push i Souse.

– Moja mama jest o wiele starsza – odparła Evelyn. – Na pewno się nie poznałyście. Ona była... – Evelyn szybko odjęła w myślach. Starła się wytypować na tyle dużą różnicę wieku, żeby kobiety przestały pytać.

– Ojej! – zawołała Push i zmarszczyła brwi.

Evelyn zdała sobie sprawę, że przedstawiła matkę jako osobę po siedemdziesiątce, i wybuchnęła perlistym śmiechem. – Byłam późnym dzieckiem – powiedziała.

– Też mam jedno takie – powiedziała Push i puściła do niej oko. – Wythe właśnie teraz próbuje pewnie podpalić tartaletki.

Wythe, pomyślała Evelyn. Pamiętała, że Push miała małe dziecko, kiedy jeszcze nosiła nazwisko Van Rensselaer.

W westybulu – Evelyn cieszyła się, że już wie, co znaczy to słowo – komitet gospodyń balu urządził krótkie zebranie. Przewodnicząca balu, Agathe, o rzadkich i rozwichrzonych białych włosach i szczupłej sylwetce dwudziestokilkulatki, policzyła tegoroczne debutantki – trzy ze Spence, dwie z Brearley, cztery z École i jedną z Chapin. Potem zaczęła karcić członkinie.

– Jak wiecie, we wrześniu odbyła się wycieczka do centrum dziecięcego w Harlemie. To była jedyna wizyta terenowa w roku, a obecnych można było policzyć na palcach obu rąk. Musimy zdecydować, czy dalej powinnyśmy łączyć bal z częścią dobroczynną, skoro widać wyraźnie, że nasze członkinie są tym umiarkowanie zainteresowane.

– Myślę, że powinnyśmy się skupić na samym balu. Jest tyle innych zbiórek charytatywnych – powiedziała stara kobieta o słabym głosie, która stała z tyłu i chyba włączała albo wyłączała aparat słuchowy. Evelyn nie mogła tego stwierdzić z całą pewnością. – Myślę, że to wspaniałe, kiedy możemy zobaczyć, jak młode dziewczyny uczą się tańca i właściwego zachowania. Może wizyty terenowe i to wszystko powinny być drugorzędne.

– Chodziłam do szkoły dobrych manier w Lozannie – powiedziała donośnym głosem potężna brunetka. – Uczono nas tam, jak mówić i jak się zachowywać w towarzystwie. Tego wszystkiego, czego się uczą debutantki. Ja też uważam, że



to wspinały element przygotowań do balu.

– Tak, ale chciałabym zwrócić uwagę na problem ze znalezieniem debiutantek. Zgadza się, nasze córki wezmą udział, ale mamy też Assembly i Infirmary, które naprawdę zabierają całą śmietankę nowojorskich dziewczyn – zaprotestowała Agathe. – Wśród młodych dziewcząt panuje przekonanie, że te przyjęcia nie są do końca demokratyczne.

– Co może być bardziej demokratyczne niż pomoc dzieciom? – odezwała się kobieta z Lozanny.

– Nie możemy powiedzieć naszym córkom i ich koleżankom, aby brały udział w balu ze względów charytatywnych, skoro nasza grupa nie może poświęcić jednego wieczoru, żeby pójść do centrum dziecięcego i zobaczyć jeden program, który wspieramy – powiedziała Agathe.

Zebrane patrzyły na swoje buty albo wyglądały przez okno.

– No cóż, mamy tu dwie młode kobiety. Co ty myślisz o tej tradycji? – zapytała Agathe, patrząc na Evelyn spod przymrużonych powiek.

Evelyn spojrzała na Camillę, żeby przekazać jej pytanie, ale Camilla sięgnęła do torebki po telefon i zaczęła się nim bawić, zrozumiała zatem, że to ona musi udzielić odpowiedzi.

– Bycie debiutantką – zaczęła, starając się grać na zwłokę. – Myślę, że to wspinały sposób na złączenie się z historią. Na złączenie się z tym, co robiły nasze matki i babki, na naukę poprawnego zachowania w towarzystwie.

Nadal czuła na sobie wyczekujące spojrzenia i uznała, że musi się uwiarygodnić, nawet jeśli to, co miała zamiar powiedzieć, nie było raczej godne wiary.

– Byłam debiutantką w Maryland, skąd pochodzi moja rodzina.

Zobaczyła kiwające głowy w kolorze srebrnym i bladożółtym i uznała, że jest na właściwym tropie. – Czy w świecie, w którym każdy może być, kim chce, wszyscy mogą być, gdzie chcą, i tak niewielu ludzi wie, jak się zachować, nie jest miło mieć tradycji, która mówi nam, kto naprawdę jest kimś?

– A poza tym – powiedziała Camilla znad telefonu – w zasadzie chodzi o szampana i ładne kiecki, a nastolatki to lubią.

Souse wyglądała, jakby w każdej chwili mogła zacząć bić brawo.

– Musimy chodzić na tak wiele nudnych imprez – tak, my wszyscy, nie patrz tak na mnie, Louise – na których jest białe wino i opiekana ryba, a mówca próbuje zachęcić do licytacji, opowiadając o safari Abercrombie & Kent – odezwała się Margaret Faber. – Naprawdę straszne imprezy. A to jest wielkie przyjęcie ze znajomymi. Obecność debiutantek sprawia, że jest młodziej i bardziej świeżo. Uważam, że to wspinałe rodzinne wydarzenie. Wiele z nas, większość tu obecnych, debiutowała i miło to wspomina. Nasze córki bez przerwy wiszą na telefonie i siedzą przed komputerem. Czy to nie miłe, że możemy im ofiarować próbkę tradycji i świata, w którym dorastałyśmy?

Defensywa pani Faber uciszyła pesymistów, łącznie z Agathe.

Decyzja najwyraźniej zapadła. Agathe zakończyła spotkanie i wszyscy poszli na herbatę. Debiutantki pozowały do zdjęć. Każda miała na sobie wymyślny sweter i koronkową sukienkę i wszystkie miały pieczołowicie wystylizowane i podkreślone włosy.

Nagle rozpętało się zamieszanie. Do pokoju wpadła Phoebe – młodsza siostra Camilli, a wraz z nią dziewczyna ładną podobna do Margaret Faber – jej córka Wythe Van Rensselaer. Phoebe tupnęła nogą i uniosła ręce jak gwiazda filmowa z lat czterdziestych. Miała na sobie białą marszczoną koszulę typu oxford, postrzępione dzinsy i kedsy – jeden z różową sznurówką, a drugi z zielono-żółtą.

– Ruszaj się jak Phoebe, tak mówią na wybiegach – powiedziała Wythe, a Phoebe wypięła biodro, a następnie dumnym krokiem zaczęła iść w kierunku Camilli.

– Mama jest w końcu wolna? – zapytała głośno. – Czuję się tak, jakby wszystko kręciło się wokół niej. Sama tylko tam stoję i wyglądam pięknie. Millo, ta druga dziewczyna ze Spence, której właśnie robią zdjęcie, to kompletna porażka. Jennifer. Uch! Nie mam pojęcia, co ona tu robi.

Camilla postukała siostrę w nadgarstek. – Cześć. Wcale nie wyglądasz pięknie. Ściągnij łopatki. Wyglądasz jak garbus.

Sama Camilla miała na sobie szczególnie dziwny strój, jeśli wziąć pod uwagę, że była to popołudniowa herbatka – sukienkę z tweedu i czarnej skóry i buty z ćwiekami, które budziły wyraźne skojarzenia ze stylem dominy. Evelyn była zadowolona, że postawiła na buklę: dyrektor generalny może przeklinać i romansować na prawo i lewo, ale jeśli aspiruje się na stanowisko menedżera niższego szczebla, trzeba przychodzić punktualnie na spotkania i uprzejmie się zachowywać.

– One są z łapanki, Millo. Nie wiem, dlaczego mama każe mi to robić z tymi dziewczynami – powiedziała Phoebe.

– Bo Ari tego chce. Evelyn! Poznaj moją uprzykrzoną siostrę i jej najlepszą kumpelę. Phoebe, Wythe, to jest moja przyjaciółka Evelyn.

Evelyn przywitała się z dziewczynami uściskiem dłoni. Kobieta z Lozanny rzuciła zaniepokojone spojrzenie w stronę biblioteki, gdzie Jennifer pozowała do zdjęcia, i poklepała Evelyn po ramieniu. – Evelyn, prawda? Czy mogłabyś się upewnić, że tam wszystko idzie dobrze i dziewczyny są jak trzeba?

Evelyn weszła do drugiego pokoju. Matka Jennifer, brunetka o wylupiastych oczach zwiastujących problemy z tarczycą, próbowała wyrwać aparat kobiecie, która robiła zdjęcia, bo chciała je ocenić. – Musi mieć sukienkę uszytą na miarę, bo jest taka drobna.

– Mam rozmiar zero zero – zgodziła się dziewczyna.

Fotograf odzyskała aparat i wycelowała w nią obiektyw. – A więc masz na

imię Jennifer? Powiedz mi, co lubisz robić, kiedy nie ma cię w Spence.

– Właściwie przez cały czas jestem w szkole – odparła Jennifer. – Robię cztery kursy Advanced Placement i trenuję szermierkę.

– Właśnie wygrała Nagrodę Courbeta w konkursie malarskim. Jej nauczycielka powiedziała, że przez wszystkie te lata, kiedy wysyłała prace dziewczyn ze Spence, żadna z nich nie zdobyła nagrody – powiedziała jej matka.

– Okej. Rozluźnij usta. Na pewno pójdziesz do college’u, co? – zapytała fotograf.

Matka odpowiedziała i tym razem. – Whitman. W Waszyngtonie. To w zasadzie taki Williams, tyle że w Waszyngtonie.

– Zawsze wiedziałaś, że będziesz debiutantką? – spytała fotograf i przesunęła statyw o kilka centymetrów.

– Ja...

– Kiedy ją zaproszono – w grudniu, zaraz po tym, jak przysłała dowód przyjęcia do Whitmana – zapytała mnie: czy kobiety nadal chodzą na bale debiutantek? To takie staroświeckie. Odpowiedziałam: Dzięki temu ludzie wiedzą, kim jesteś. Jeśli to zrobisz, przez resztę życia będziesz mogła mówić: byłam debiutantką. To była w stu procentach jej decyzja – powiedziała matka.

– Pani też była debiutantką? – zapytała fotograf.

– Mogłam być – odparła matka i w tej samej chwili zobaczyła Evelyn. Evelyn szybko oceniła ją w myślach. Za jej plecami wisiał kolejny obraz, który pamiętała sprzed lat – abstrakcja złożona z gniewnych niebieskich i czarnych maźnięć, zabarwiona złością. Nie, ta matka nie mogła być debiutantką. Ta matka była produktem przedmieścia New Jersey i prawdopodobnie nie wiedziała, że debiutantki nadal istnieją, dopóki nie udało jej się przeprowadzić do miasta i dopóki nie wypchnęła sterowanej przez siebie córki, która miała być kolejnym wpisem w jej towarzyskim CV. Sama obecność Jennifer zaniżała wartość balu, sprawiała, że stawał się czymś, na co uczestniczki Infirmary i Assembly mogłyby krzywo patrzeć.

– Niektórych być może to odstrasza, ale tylko dlatego, że nie biorą w tym udziału – powiedziała Jennifer. – Ten Bal w pewnym sensie ma pokazać, że dziewczyna zostaje przyjęta do towarzystwa. Moja sukienka – to zabawne, wszyscy myślą, że to sukienka ślubna, a ja im odpowiadam, że mam siedemnaście lat – jest po prostu świetna. Dekolt w kształcie serca i rozkloszowana spódnica. Mamo, mogłabyś poprawić mi szminkę?

– Została w mojej torebce w drugim pokoju. Zaraz wrócę – powiedziała matka i przebiegła obok Evelyn.

– Ja też zrobię sobie chwilę przerwy – oznajmiła fotograf i wyszła innymi drzwiami.

Jennifer uszczypnęła się w policzki.

– Mamo, czy mogłabyś poprawić mi szminkę? – rozległ się prześmiewczy

głos. Phoebe zrobiła to po mistrzowsku – nawet Evelyn ledwo ją usłyszała, choć stała tylko kilka centymetrów dalej. Phoebe chwyciła naszyjnik ze sztucznych pereł, który leżał na stosie akcesoriów rozłożonych przy stanowisku pani fotograf, i rzuciła go. Wythe złapała go jedną ręką. – Wythe! Wystylizuj mnie! – zakomenderowała Phoebe, a Wythe trzy razy owinęła jej naszyjnik wokół szyi.

Za ich plecami tłoczyły się debiutantki, które próbowały ustalić, jak należy się zachowywać.

– No i jak tam, Jennifer? Jak ci idzie sesja? – zapytała Phoebe.

– Dobrze – odparła Jennifer i uniosła nos.

– No nie wiem – odezwała się Wythe. – Coś by się tu przydało. Fryzura typu ul. I może jeszcze jakieś okulary?

– UI – zamyśliła się Phoebe. – Styl gospodyni domowej z lat pięćdziesiątych. Jenny-Jen-Jenno.

– Mama układała mi włosy – powiedziała Jennifer.

– Och, mama układała ci włosy? Nie wiedziałam. Wythe, mama układała jej włosy.

– No cóż – odparła Wythe. – To tym bardziej należy je zmienić.

Jennifer, która wciąż siedziała na krześle, uśmiechnęła się niepewnie i pociągnęła za jeden ze swoich loków. Spojrzała na Evelyn. Evelyn czuła oddechy pozostałych debiutantek, które chciały zobaczyć, jak daleko to zajdzie. To ona miała tu być dorosła. Wiedziała, że powinna wkroczyć.

– Evelyn! – odezwała się Phoebe. – Powiesz Jennifer, że potrzebna jej nowa fryzura?

Evelyn spojrzała na dziewczynę z przegiętymi lokami i przegiętą matką z Jersey i poczuła, jak poczucie władzy wzbiera w niej i wibruje. Ręka sama sięgnęła po grzebień ze stolika z przyborami. – Myślę, że ul będzie wyglądał świetnie – powiedziała. Była zaskoczona, jak ostro i dobrze brzmią w jej ustach te słowa.

Wythe krzyknęła: – Hurra! – A Phoebe zaczęła skandować: – Dalej, Jennifer! UI! UI!

Evelyn zrobiła krok w kierunku Jennifer. Trzymała grzebień jak nóż. Chciała nie tylko rozczesać jej loki, ale też przejechać grzebieniem przez jej włosy, zobaczyć, jak to jest być królową nastolatek, której wszyscy się boją.

– UI! UI! – skandowała Wythe, a Phoebe w ekstazie wyrzuciła w powietrze sznur fałszywych pereł.

Evelyn już wyciągała rękę, żeby zdominować oklapnięte, smutne loki Jennifer, kiedy przechodząca korytarzem kobieta z Lozanny zwróciła na nich uwagę.

– Co się dzieje, dziewczęta? Jennifer, nie powinnaś kombinować z włosami. Odlóżcie te wszystkie naszyjniki na miejsce. Czy wy naprawdę nie potraficie wypełniać najprostszych poleceń? Czy nie prosiłam, żebyście słuchały Evelyn? – powiedziała i posłała jej współczujący uśmiech.

Jennifer bez słowa potrząsnęła głową i wybiegła z pokoju. Jej loki podskakiwały w biegu. Evelyn patrzyła za nią i nagle grzebień w jej dłoni wydał jej się nie-dorzeczny. Co ona robi? Znęca się nad nastolatką? Potem poczuła, że Phoebe ścisnęła ją za ramię. Odwróciła się i zobaczyła, że pozostałe debiutantki patrzają na nią z podziwem.

– Kocham Evelyn – powiedziała Phoebe do Camilli, która właśnie utorowała sobie drogę przez tłum debiutek, żeby do nich dołączyć. – Ale nie chce mi się brać udziału w tym balu. Choć z drugiej strony moja sukienka jest za-jedwa-bista. Kupiłam ją w sklepie vintage za dwadzieścia dolarów. Chyba pierwotnie to była halka.

– Sukienka Jennifer – odezwała się Evelyn, naśladowując egzaltowany ton dziewczyny – ma dekolt w kształcie serca i rozkloszowaną spódnicę.

Phoebe i Wythe wybuchnęły śmiechem, stojące za nimi debiutantki zrobiły to samo. Nawet na twarzy Camilli pojawił się uśmiezek.

– Uch – odezwała się Phoebe. – Poproszę zespół, żeby zagrali *Hot Legs*, kiedy dygnę.

Camilla wydała przeciągłe westchnienie.

– Czy ty i Wythe mogłybyście skończyć z tym, co robicie, cokolwiek to jest? Proszę. Po prostu załatwcie normalne sukienki i zaproście normalne osoby towarzyszące, żebyśmy wszyscy mogli wyjść z tego w jednym kawałku. Prawda, Evelyn?

– Camilla ma rację – odparła Evelyn. – Na moim balu debiutek była dziewczyna w martensach, wyglądała w nich jak wariatka.

– Martensy! – zawyło kilka młodszych dziewczyn. – Ile ty masz lat?

– Martensy. O mój Boże, epoka grunge’u nie chciała się skończyć – powiedziała Camilla.

– Kiedy uniosła sukienkę, żeby dygnąć, jej matka prawie zemdląła – dodała Evelyn. Co dziwne, wyobrażała sobie tę sytuację, jakby naprawdę ją pamiętała.

– Gdzie debiutowałaś? – zapytała Phoebe.

– W Maryland, skąd pochodzę. Na The Bachelors’ Cotillion.

– Bachelors’ – powtórzyła Camilla. – Nie mogę uwierzyć w tę historię z martensami.

– Całe szczęście, że to nie była flanela.

Wythe nachyliła się do Evelyn i zaczęła badać jej szare perłowe kolczyki. Miesiąc wcześniej schowała do pudełka te, które wyglądały jak zęby trzonowe, i od tamtej pory ich nie wyjmowała. – Genialne są – powiedziała Wythe. Pstrykając palcami, narysowała w powietrzu kształt litery Z. – Phoebis, masz fajki?

Phoebe i Wythe ruszyły dziarskim krokiem w stronę drzwi, choć wspólna herbatka wciąż trwała w najlepsze, kiedy nagle znów pojawiła się Souse. Evelyn usłyszała, jak Phoebe śpiewnym tonem mówi do niej: – Och, matko, dziękuję, że

dałaś mi szansę, żebym została debiutantką i spełniła każde twoje życzenie.

– Och, Phoebe – odpowiedziała Souse. – Masz pieniądze na taksówkę?

Phoebe, nagle potrzebująca, posłała jej potulny uśmiech. Souse wręczyła jej dwadzieścia dolarów, a gdy Phoebe uniosła brwi, kolejne dwadzieścia.

Kiedy dziewczęta wyszły, Souse odwróciła się do Evelyn i dała znak kelnerowi, żeby przyniósł dwa szampany.

– Witam ponownie. Jestem wykończona. Chodź tu, siadaj. Dwie minuty z własną córką, czy to nie nowoczesne? Phoebe zdenerwowała ojca. Fritz nie przyjedzie. Co miałam robić, skakać koło jednego i drugiego? Ari przekazał organizacji całkiem sporą sumę, więc rości sobie prawo do tego balu. Fritz weźmie udział w Assembly. Musimy się wymienić. Usiądź, Evelyn.

Souse wzięła z talerzyka kanapkę bez skórki.

– Jedną z najbardziej cywilizowanych rzeczy, jakie robię, jest codzienna przerwa na herbatę, a więc również dzisiaj pozwalam sobie na tę chwilę słabości. Jeśli w środku dnia zjesz kanapkę, nie może on być taki zły.

– Nasza gosposia zawsze robiła naprawdę pyszne, z ogórkiem i dosłownie odrobiną masła – powiedziała Evelyn. Tak naprawdę Waleria pracowała dla nich dopiero od kilku lat i jedynym posiłkiem, jaki przygotowywała, były chrupiące bułeczki, które przynosiła z domu i czasem niechcący zostawiała u nich w szafce. Ale najwyraźniej pokaz kastowej solidarności zadziałał, bo Souse odparła: – Rozumiem, że jesteś z Baltimore?

– Tak, rodzina mojej matki stamtąd pochodzi.

– Długo tam mieszkali?

Jeszcze kilka miesięcy temu wypytywanie o takie rzeczy wyprowadziłoby ją z równowagi. Ale od tego czasu dużo czytała i ćwiczyła. Mijanie się z prawdą szło jej jak z płatka. Zaczęła mówić o interesach w branży spedycyjnej, o przyległych domach w stylu Tudorów w Roland Park, w których mieszkały jej niezamężne cioteczne babki, o opowieściach o Baltimore sprzed ery samochodów, wśród których dorastała, o rodzinnych związkach z uniwersytetem Johns Hopkins, o domku letniskowym na Wschodnim Wybrzeżu, który postanowili przekształcić w całoroczną rezydencję, o wszystkim, co, jak się jej wydawało, było potrzebne Souse, żeby uznać jej rodzinę za posiadaczy starej fortuny.

– Cudownie. Słabo znam Baltimore, ale miło, że ma takie tradycje – skwitowała Souse, kiedy jej opowiadanie dobiegło końca. – Camilla mówiła mi, że masz chłopaka.

– To prawda. Ma na imię Scot.

– Kim on jest?

– Działa w branży finansowej. W grupie medialnej Morgan Stanley. Pracuje z Davidem Greenbaumem.

– Finanse. Wy, dzisiejsze dziewczyny, jesteście takimi tradycjonalistkami.

W moim pokoleniu wszystkie byliśmy buntowniczkami, a dzisiaj... takie eisenhowerowskie lata pięćdziesiąte, nieprawdaż? No i jeszcze Ari. Nieruchomości. Naprawdę. Poznałam go w Madison w deszczowy dzień, czyż to nie okropne? Żeby było śmieszniej: w barze. Szybko się upił, bo – jak się okazało – ma tylko jedną nerkę. Jest bardzo dobry dla moich dziewczynek.

– Wyobrażam sobie. Widzę, że Camilla bardzo go szanuje.

– Naprawdę? Mnie się do tego nie przyzna. Powiedz mi, Evelyn, bo Camilla na pewno mi tego nie powie: czy przyprowadza kogoś na bal? Chodzi mi o to, czy umówiła się z jakimś chłopakiem.

– Zastanawiała się, czy zaprosić Nicka Geary’ego, ale tylko jako kolegę. Szczerzę mówiąc, myślę, że w tej chwili dobrze jej samej. Nie chodzi o brak zainteresowania ze strony mężczyzn.

– Och tak, wiem, wiem. Ale czy nie powinna się z kimś spotykać? Sama nie wiem. Nie rozumiem, jak ta dzisiejsza młodzież to robi. Każdy jest taki zajęty. Jak Jaime de Cardenas, znasz go?

Evelyn się wyprostowała. – Spotkaliśmy się raz czy dwa. Wydaje się fantastycznym facetem.

– Jest fantastyczny. I świetnie strzela.

– Polowania?

– Głównie na kaczki. To naprawdę coś. Kiedy może, przyjeżdża do Sachem i wszyscy świetnie się bawią. Ale nie było go już całe wieki. Ta dzisiejsza młodzież. Każdy jest przepracowany. Właśnie, miałam ci powiedzieć: Camilla tak się cieszy, że twój ojciec będzie jej gościem na kolacji Luminarzy.

Evelyn miała nadzieję, że Camilla zapomniała o zaproszeniu na kolację Luminarzy, której cena wynosiła dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Już miała się wykroczyć od odpowiedzi, kiedy uświadomiła sobie, że skoro Souse cieszy się z udziału jej ojca w kolacji, Camilla nie powiedziała jej o śledztwie wielkiej ławy przysięgłych i naprawdę nie miało to znaczenia, dopóki wszyscy wierzyli w jej szlachetny rodowód.

– Mój ojciec jest tym tak samo podekscytowany – oznajmiła.

– Jego dotacja jest bardzo szczodra. Naprawdę. O rety, Push daje mi znaki. Wciąż jeszcze nie znalazłam przedmiotów na cichą aukcję i muszę za to odpokutować. Cieszę się, że mogliśmy porozmawiać. Dlaczego nie spotkałyśmy się wcześniej?

Ukryty sens tego pytania – założenie, że znajduje się w kręgu znajomych Souse albo blisko niego – sprawił, że po szyi przeszedł jej dreszcz, choć zdawała sobie sprawę, że przez swoje opowieści pogrąża się coraz bardziej. – Ach, byłam zajęta pracą i dopiero niedawno lepiej poznałam Camillę. To spotkanie jest wspaniałe. Zawsze cudownie jest wrócić do czasów debiutu.

– To prawda, masz rację. Dzięki temu wciąż jesteśmy młode. A raczej ja

jestem. Ty nie musisz się o to martwić, prawda?

Souse pobiegła dalej, a Evelyn, która rzeczywiście czuła się młodo w tym towarzystwie, ruszyła w stronę półmisków z jedzeniem – kiszy, tabbouleh i malinowo-cytrynowych tartaletek. Zappełniła mały talerzyk i próbując dyskretnie wyssać z zębów pietruszkę z tabbouleh, przysłuchiwała się rozmowom kobiet. – Ani została przyjęta w trybie przyśpieszonym do Princeton, ale Michael tylko do Oberlin... – Znam parę osób, które chodziły do Oberlin i dobrze im się wiedzie... – Kupiliśmy blisko Stockbridge... – Wydaje się, że ludzie nie jedzą i nie podają nic poza kurczakiem... – Przesłuchania kandydatów do chóru, wyjeżdżającego w trasy... – Amerykanie zawsze pytają o Marię Antoninę i uważają, że to ciekawe, iż ścięliśmy królową.



## Rozdział czternasty

### Wybór w Jamón

Evelyn patrzyła na ojca przez szybę baru Jamón. Wskazywał jedną golonkę za drugą, podnosił ręce i śmiał się z własnych słów. Ponieważ nie było jeszcze aktu oskarżenia, wspólnie z Leiberg Channing doszli do wniosku, że najlepiej będzie działać dalej tak jak do tej pory. Był w Nowym Jorku na spotkaniu mediacyjnym, które najwyraźniej się udało. Jego spodnie khaki wręcz wydymały się z dumy.

Stał przy marmurowym barze, człowiek za ladą czekał, aż złoży zamówienie, ale on był zbyt zajęty wygłaszaniem monologu o wiszącej szynce. Evelyn znalazła to miejsce w przewodniku Zagat, w którym pisano, że panuje tu „iberyjski szyk” i „modna atmosfera”. Znajdowało się blisko miejsca, w którym miał spotkanie. Miała nadzieję, że będzie tu cicho, bo ojciec łatwo się dekoncentrował, a ona musiała poprosić go o pieniądze. Kiedy próbowała to zrobić poprzednim razem, w Bibville, z tropu zbiła ją wiadomość o akcie oskarżenia.

– Tato – powiedziała, gdy weszła do środka.

Dale się odwrócił i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Właśnie patrzyłem na to jedzenie. Tam, skąd pochodzę, mamy szynkę, ale tak nie wygląda! – przyjrzał się uważnie człowiekowi za barem i wiedziała, że czeka na odpowiedź, jakiej zwykle spodziewał się po przysięgłych – drgnienia w kąciку ust, delikatnej zmarszczki koło oka, która świadczyłaby o tym, że zjednął sobie tego mężczyznę o obwisłych powiekach, ale nic takiego nie dało się zauważyć.

– No to jak będzie z tą szynką, synu? – zapytał.

Młodzieniec uniósł ciężkie powieki. – Jamón serrano, jamón ibérico de bel-lota, jamón ibérico de cebo – wymamrotał, wskazując golonki peklowanej świni.

– Nie ma starej dobrej szynki z Wirginii?

Mężczyzna wyglądał na załamanego. – Nie – odparł.

Dale znów się roześmiał tak serdecznie, że śmiech praktycznie odbijał się od ścian. – No Evie, twój gust bez wątpienia robi się wyrafinowany. Dobry człowieku, czy mogę poprosić zwykłą czarną kawę?

Chłopak za barem zaczął przygotowywać americano, w jego ruchach dało się wyczuć smutek. Evelyn i Dale usiedli przy jednym z wysokich stolików. Pomiedzy nimi stała płonąca świeczka, choć na zewnątrz było widno.

– Nowy Jork to nie miasto dla mnie, ale jesienią nie jest tutaj tak źle – powiedział Dale.

– Jesień w Nowym Jorku – zaintonowała Evelyn.

– O co chodzi? – Dale dał znak mężczyźnie, żeby przyniósł im kawę do sto-

lika.

– Chyba odbiór jest przy barze – odparła Evelyn.

– Tutaj, tutaj! – zawołał Dale. Evelyn z niezadowoleniem patrzyła, jak mężczyzna przynosi im kawę. – To nic, czego nie byłby w stanie naprawić duży napiwek – powiedział głośno Dale.

Evelyn się skrzywiła, patrzyła w blat. Nie mogła się na niego zezłościć, była tu w charakterze petenta, chciała prosić o pieniądze. To była niedorzeczna pozycja. Tak bardzo się starała, żeby utrzymać się samodzielnie, i do niedawna świetnie jej to szło, a teraz, kiedy rząd prześwietlał jej ojca z zarzutem korupcji, musiała znowu zebrać i pozwalać mu ją osądzać. Nawet karta MasterCard rodziców została zamknięta bez słowa wyjaśnienia, więc nie było żadnego awaryjnego źródła dochodu.

Po prostu potrzebowała więcej pieniędzy. Do tej pory jakoś udawało jej się nadażać za nowym towarzystwem, ale tempo rosło. Przez ostatnie tygodnie Camilla kazała jej brać udział w rozmaitych wydarzeniach, z których każde kosztowało pięćset albo siedemset pięćdziesiąt dolarów, a nie mogła przecież prosić Scota albo Prestona, żeby zapłacili. Oprócz tego pozostawała jeszcze kwestia ubrań. Jakkolwiek głupio to brzmiało – sama nie mogła w to uwierzyć – taka była prawda. Musiała mieć całą masę sukienek koktajlowych, bo wkładanie tego samego na imprezy, na których spotykała tych samych ludzi, było jak przychodzenie do pracy w tej samej parze dżinsów dwa dni z rzędu. Sukienki nawet przy dobrych przecenach kosztowały sześćset dolarów za sztukę. Splądrowała konto emerytalne 401(k), na które zaczęła wpłacać, kiedy pracowała przy sprzedaży podręczników. Te środki chwilowo jej pomogły, ale szybko się skończyły. Jednym z kluczowych sposobów na poradzenie sobie z tym było wypracowanie odpowiedniego statusu – jak Camilla, która dostawała zaproszenia za darmo, bo organizatorzy chcieli ją widzieć na ściankach. Z kolei projektanci sami przysyłali jej sukienki, licząc na darmowy rozgłos.

Wszyscy inni mieli pod dostatkiem środków, jeśli nie dzięki pracy – a rzadko się to zdarzało, chyba że w przypadku bankierów – to z funduszy powierniczych, od rodziców albo z innych mitycznych źródeł. Evelyn nie mogła zrozumieć, dlaczego – skoro przez całe życie próbowała być odpowiedzialna – jej rodzice nie doszli do wniosku, że zasługuje na takie wsparcie. Choć w zasadzie dokładnie wiedziała dlaczego: jej ojciec twierdził, że wierzy w wartość oszczędzania, choć sam kupował takie rzeczy jak ta okropna i bez wątpienia droga amarantowa marynarka, którą miał na sobie. Wydawało się, że tego dnia jest wyjątkowo promienny i zachowuje się jak sprzedawca tylko po to, żeby ją przetestować.

– Jak się masz, kochanie? – zapytał.

– W porządku, tato. Dziś jestem trochę zmęczona. Wczoraj brałam udział w imprezie charytatywnej z Prestonem i Camillą. Przeciągnęła się do drugiej.

– Myślałem, że twój chłopak ma na imię Tate.

– Nie. Nie Tate. Scot. Preston to jeden z moich najstarszych przyjaciół. Chodziliśmy razem do Sheffield. Widziałeś go tam na zjeździe absolwentów.

– Ach tak, Preston. Ten chudy. Gdzie on pracuje?

A gdzie pracował ktokolwiek z tych ludzi? O ile była w stanie stwierdzić, praca Prestona, błędnie określana mianem finansów, polegała na graniu w golfa i jedzeniu lunchów. Camilla, tak jak zapowiadała, rzuciła pracę w „Vogue’u”. Kiedy pracownicy odpowiedzialni za wydarzenia specjalne zaczęli pracować nad przyszłoroczną galą Costume Institute w Metropolitan, Camilla zobaczyła Jessicę Simpson na liście celebrytów, którzy mieli zostać zaproszeni, i wpadła w szal. To była kropla, która przelała czarę.

Przyjaciele Camilli pracowali dorywczo, dzięki czemu mieli mnóstwo czasu na akcje dobroczynne – ktoś był globalnym ambasadorem marki biżuterii, ktoś inny konsultantem marketingowym w Citarelli albo pracował w delikatesowym sklepie na East Side i w Hamptons. Nick rzeczywiście pracował i wciąż spóźniał się na przyjęcia albo nie przychodził wcale, przez co Camilla była na niego coraz bardziej wściekła. Nie było szans, żeby mieć pracę i jednocześnie robić to wszystko. W zasadzie posiadanie pracy wykluczało prawdziwe członkostwo w grupie.

– Preston zajmuje się inwestycjami. Ale to Hacking ze strony ojca i Winthrop ze strony matki, więc tak naprawdę nie musi pracować – powiedziała Evelyn. Mimo to pieniądze wciąż do niego płynęły dzięki koneksjom. Charlotte osłupiała, kiedy usłyszała, że zarobił kupę forsy na pierwszej ofercie publicznej z branży technologicznej, na którą chrapkę mieli wszyscy na rynku.

– Kiedy ja byłem na studiach prawniczych, zarabiałem, zmywając naczynia w zapuszczonej starej jadalni w centrum Chapel Hill.

– Wiem, wiem, tato. Ale nie jestem pewna, czy Preston rozważa karierę w zmywarstwie. Większość moich przyjaciół nie ma pracy na pełny etat.

– To niemożliwe.

– Myślę, że naprawdę trudno nadążyć za współczesnym życiem, jeśli się cały czas pracuje. Albo jedno, albo drugie.

– To nie może być prawda, Evelyn. Wszyscy twoi przyjaciele mówią pracy „nie”?

– Nie wszyscy. Ja pracuję – odparła, zmieniła pozycję na stołku i posłała Dale’owi coś, co miało wyglądać jak triumfalny uśmiech. Kiedy skończyła college i zaczęła zarabiać, poczuła ulgę, że nie musi już odstawiać tego teatrzyku, ale zarobki przestawały jej na cokolwiek wystarczać. – No więc, tato – powiedziała – Miałam nadzieję, że dostanę od ciebie trochę gotówki w ramach zabezpieczenia.

– Jesteś dorosła. I – mówię to z radością – masz pracę.

Wzrok Dale’a był utkwiony w punkcie za jej plecami, w menu wypisanym

na czarnej tablicy przy barze. – No coś takiego. Marynowany gołąb. Myślisz, że zgarniają gołębie z chodników? Kolego – wrzasnął, chcąc zapewne zadać to pytanie człowiekowi za barem, ale Evelyn odpędziła go ruchem ręki.

– Tato, zapomnij o gołębiu. Chodziło mi o to, że większość ludzi w Nowym Jorku dostaje pomoc od rodziców, a z mojej pensji naprawdę nie jest łatwo się utrzymać.

– Ty nie jesteś „większość ludzi”. Zostałaś wychowana według pewnych zasad.

– Ale tato. Wiem, że to głupio brzmi, jednak te wydarzenia dobroczynne są naprawdę drogie.

– Wydarzenia dobroczynne? Evelyn, jeśli chcesz chodzić na przyjęcia, możesz za nie zapłacić.

Machnął ręką na mężczyznę za barem. – Chyba spróbuję trochę tej specjalnej szynki.

Evelyn znów spojrzała za siebie, ale mężczyzna był zajęty innym klientem. Odwróciła się z powrotem do ojca. – Te wydarzenia są częścią mojej pracy i proszę tylko o drobną pomoc.

Dale się skrzywił, a Evelyn zobaczyła, że do baru wchodzi jej matka. Miała gigantyczne okulary przeciwsłoneczne, które ostatnio nosiła od pierwszego brzasku aż do zmierzchu. Trzymała w ręku liliową torbę ze sklepu Bergdorf Goodman, ale Evelyn zauważyła, że do środka wepchnięta była większa torba z Duane Reade.

– Mamo, tata i ja właśnie rozmawialiśmy o tym, czy mogłabym dostać trochę pieniędzy. Koszty tych wszystkich imprez dobroczynnych, kolacji i wycieczek się sumują.

– Mówiłem Evelyn, że nie chcę fundować jej życia towarzyskiego – odparł Dale. – Gdyby to były niezbędne potrzeby, to co innego, ale nie uważam, żeby sukienkę na przyjęcie można było uznać za konieczność.

– Twoja poszetka kosztowała dwieście dolarów! – powiedziała Evelyn ze złością.

– Zarobiłem pieniądze i mogę je wydawać, na co chcę, tak samo jak ty możesz wydawać zarobione przez siebie pieniądze, na co chcesz.

– No tak. Co za głuptas ze mnie.

– Kłóczę się o to z twoim ojcem od dziesięcioleci. On nie ma pojęcia, ile kosztuje utrzymanie pozorów życia towarzyskiego – powiedziała Barbara. Wciąż nie zdjęła okularów. – Mamy siedzieć przy tym pospolitym stole?

– Mamo – odparła Evelyn. – Po prostu siedź. Tu ma być jak w Hiszpanii.

Barbara niechętnie usadowiła się na stołku. – Dale, Evelyn przeżywa teraz najlepszy czas w życiu, a to kosztuje.

– No to niech płaci. Proste.

Każde z nich demonstrowało złość i każde patrzyło w inną ścianę. Chłopak

z baru podszedł do nich, ocenił sytuację i się wycofał.

W końcu Barbara powiedziała: – Twój ojciec ma rację, skarbie. Planowanie budżetu jest ważne.

– Mamo – zawołała Evelyn. Była naprawdę zdenerwowana.

– Jak tam poszukiwanie mieszkania? – zapytała Barbara.

– Słucham?

– Evie ma zamiar się przeprowadzić – powiedziała Barbara ku jej zdziwieniu. Wcale nie miała takiego zamiaru. – Jej mieszkanie nie jest bezpieczne. Mam na myśli lokalizację. Rozmawiałyśmy o tym, że mogłaby się przenieść na zachód od Lexington, bo tam jest mniej obskurnie – Barbara posłała jej konspiracyjny uśmiech. – Czy ostatnio pod twoim mieszkaniem nie doszło do jakiegoś incydentu? Nie zrobiło się niebezpiecznie? Dlatego rozmawiałyśmy o przeprowadzce.

– Tak jest – powiedziała Evelyn, kiedy już zrozumiała, o co chodzi. – Tak. Choć mieszkanie, nad którym się zastanawiam, jest trochę droższe. Dlatego że ma całodobową ochronę, a w dzisiejszych czasach to ważne ze względu na przestępczość. Ma też system alarmowy.

– Nie sądziłem, że twoja okolica jest niebezpieczna – powiedział Dale.

– Staje się taka. Przez lokale komunalne. Bardzo często dochodzi do napadów rabunkowych. Tam, gdzie mieszkam, nie czuję się nocą zbyt bezpiecznie – odparła Evelyn. Przestępczość w okolicy polegała na tym, że czasem jakaś nastolatka z Brearley kradła lakier do paznokci z Duane Reade, ale Evelyn nie musiała tego doprecyzowywać. – Nowy budynek nie jest o wiele droższy. Tylko kilka stówek na miesiąc. Myślę, że mojego bezpieczeństwa w nocy nie da się wycenić.

Źle się czuła, kiedy widziała, jak ojciec się nad tym zastanawia, ale przypomniała sobie, co zawsze mówiła matka: upierając się przy kontrolowaniu wydatków, sam zmuszał je do takiego postępowania.

– Gdzie jest to nowe mieszkanie? – spytał.

– Yy... Na Sześćdziesiątej Ósmej. Wschodnia Sześćdziesiąta Ósma. Tuż obok Park Avenue.

– To dodatkowych kilka stówek miesięcznie?

– Zgadza się.

– Myślę, że to rozsądne. Ale kup sobie też gaz obezwładniający.

– Oczywiście.

Ona i matka uśmiechnęły się do siebie. Evelyn zostanie w Petit Trianon – łatwo będzie to ukryć przed ojcem, bo nigdy jej nie odwiedzał, ale dzięki „różnicy w czynszu” do jej kieszeni będzie trafiało dodatkowe czterysta dolarów miesięcznie. Obliczyła, że dzięki temu już po kilku miesiącach zarobi na baleriny Chanel z zaokrąglonymi noskami, na których tak jej zależało. Planowanie budżetu nie było takie trudne.

– W Nowym Jorku roi się od przestępców.

– Wiem, tato.

Zadzwoił telefon i Evelyn opuściła wzrok. Obiecała Camilli, że spotka się z nią w Village na pedicure, i musiała natychmiast wyjść. Odebrała i powiedziała, że jest w barze Jamón, próbuje zakończyć spotkanie z rodzicami i zaraz potem pobiegnie prosto do Jin Soon.

Dziesięć minut po pomyślnym zakończeniu misji pieniężnej Evelyn wypytywała już ojca o sezon drużyny Tar Heels. Podmuchi zimnego powietrza i zapach bruku świadczyły o tym, że ktoś wszedł z ulicy. Evelyn odwróciła się i z zaskoczeniem zobaczyła, że w ich kierunku biegnie Camilla. Zdążyła tylko odwrócić się z powrotem do rodziców i wyszeptać: – To Camilla Rutherford. Nie...

– Witam! – zawołała radośnie Camilla. – Panie Beegan. Pani Beegan. Bardzo mi miło. Jestem Camilla Rutherford. Przepraszam, że przeszkadzam, ale byłam w pobliżu, a Evelyn powiedziała, że państwo tu są. Nie mogłam nie skorzystać z okazji, żeby państwa poznać.

– Camillo! – zawołała Evelyn. Dlaczego jej ojciec postanowił dziś włożyć tę idiotyczną amarantową marynarkę? – Co za niespodzianka. To moi rodzice, ale pewnie się tego domyśliłaś.

– Tak miło państwa poznać – powiedziała Camilla z powagą. Uścisnęła dłoń Barbary i poddała się chwytowi „złap i pompuj”, który zastosował Dale. Evelyn zwróciła uwagę, że rękawy jego koszuli są za krótkie, a na nadgarstku ma żółtą żelową bransoletkę z napisem LIVESTRONG.

– Mamo, tato, już jesteśmy spóźnione na wizytę u pedicurzystki, chyba musimy się zbierać. Może jutro rano zajmiemy się tą sprawą z czekiem? Mogę wpaść do was do hotelu.

– Nie, nie – odpowiedziała Camilla. – Nie wygłupiaj się. Pedicure możemy zrobić w każdej chwili, a państwo Beegan nie codziennie są w mieście.

– Jesteśmy umówione na szóstą – Evelyn starała się to ukrócić. Kto wie, co oni zaraz powiedzą? – pomyślała. Matka na pewno będzie chciała zaprezentować siebie i Evelyn jako przedstawicielki klasy średniej, a ojciec będzie się zachowywał jak oślizgły południowiec.

Camilla machnęła ręką.

– Nie przejmuj się tym, Evelyn. Jin Soon może nas przyjąć w każdej chwili. A to dla mnie taka przyjemność porozmawiać z twoimi rodzicami.

– Umówiłam nas z Jin Soon trzy tygodnie temu – zaprotestowała Evelyn.

– Usiądź, Camillo – powiedział Dale. – Jem tę wymyślną szynkę i muszę powiedzieć, że jest całkiem dobra.

– Nie, naprawdę się śpieszymy. To tylko jamón serrano, tato. Nie jest taka niespotykana. W Nowym Jorku mają ją wszędzie – odparła Evelyn.

– Nowy sklep gourmet w Easton ma jej duży zapas, Dale – odezwała się Barbara. – Mówisz, jakbyśmy mieszkali w jakimś zaścianku.

– Z chęcią się do was przyłączę – oznajmiła Camilla. – Jaką kawę pan pije, panie Beegan? Wygląda pysznie. Też taką zamówię. I może jeszcze trochę jamón, czemu nie?

– Nie mamy czasu. Naprawdę musimy iść – nalegała Evelyn.

– Camillo, słyszałam, że jesteś bardzo zaangażowana w filantropię związaną ze sztukami wizualnymi – odezwała się Barbara. – Evelyn przesłała mi twoje zdjęcia z wydarzenia w MoMA. Miałaś absolutnie olśniewającą sukienkę.

– Nie! Nie wysłałam zdjęć – odparła Evelyn. Skłamała. – Chcesz powiedzieć... chyba po prostu widziałas je w gazecie dzień później. Nie wysłałam zdjęć. Naprawdę. Ależ to dziwne... Masz ochotę na czarną kawę, Camillo?

– Tutaj nazywają ją americano – powiedział Dale i dał znak człowiekowi za barem. – *Yo soy Americano.*

– Dale nauczył się hiszpańskiego, żeby móc rozmawiać ze swoimi klientami z niższych klas – podsunęła Barbara.

– Kawa? – prawie krzyknęła Evelyn. – Jeszcze jedno americano? Proszę.

– Camillo, słyszałem, że mkniesz przez świat bankowy z prędkością zająca – powiedział Dale.

– Tato, mówisz o Charlotte, a ona pracuje w private equity. Charlotte, moja koleżanka z pokoju w Sheffield. Znasz ją od jakichś dziesięciu lat. Camilla nie pracuje w bankowości.

– Tak łatwo się pomylić, panie Beegan – powiedziała Camilla. Evelyn odniosła niepokojące wrażenie, że flirtowała z jej ojcem. – Te wszystkie nowojorskie dziewczyny i ich miejsca pracy. Ale nie, ja jeszcze do niedawna zajmowałam się planowaniem eventów i nawiązywaniem relacji ze społecznościami lokalnymi.

– Relacje ze społecznościami lokalnymi, to wspaniale. Zawsze mówię Evelyn, że w pracy trzeba brać pod uwagę szerszy świat, ale ona chyba mnie nie słucha.

– W „Vogue’u” – powiedziała Evelyn, wbijając sobie paznokcie w nadgarstki. – Magazynie „Vouge”. Tym o modzie.

– Pyszne – powiedziała Camilla. Wąchała kawę, jakby to było wino. – Doskonała rekomendacja, panie Beegan.

– Prawda, że dobra? – odparł Dale, a Barbara w tej samej chwili zapytała: – Camillo, jak tam twoja mama? – zbyt poufale, jakby ona i Souse się znały.

Camilla przeniosła wzrok z jednego na drugie i najwyraźniej wybrała Dale’a. – Panie Beegan – powiedziała i przysunęła się do niego. – Mam nadzieję, że nie jestem zbyt natarczywa, ale chciałam porozmawiać z panem osobiście na temat wsparcia Luminarzy.

– Oj, Camillo, nie miałam okazji z nim o tym porozmawiać – powiedziała Evelyn. Czowała, jak przyspiesza jej puls.

– Dlatego wpadłam – odparła Camilla i położyła rękę na ramieniu Dale’a.

Evelyn i Barbara spojrzały na to podejrzliwie. – Pomyślałam, że powinniśmy o tym porozmawiać w cztery oczy. Spotkanie Luminarzy, panie Beegan, to wspaniałe wydarzenie. Powstało z myślą o liderach biznesu, sztuki, filantropii i oczywiście prawa – powiedziała i ścisnęła jego ramię. – Spotykają się ze sobą, żeby rozmawiać o pomysłach. Byłabym zaszczycona, gdyby zechciał pan być moim gościem i Patronem Luminarzy.

– Twoim gościem? Z pewnością możesz znaleźć kogoś młodszego i bardziej żywotnego niż ja.

– Wcale nie, panie Beegan. Pan byłby idealny. To naprawdę miłe wydarzenie. Odbywa się w mieszkaniu Georgette Scharffenberg z Constellation Capital i panuje tam atmosfera prywatnej kolacji, nie jest zatem zbyt formalnie.

– Constellation Capital – odpowiedział Dale. – Firma private equity? Chyba nie będą zbyt szczęśliwi, kiedy mnie zobaczą. Wspierali przedsiębiorstwo, z którym ostatnio wygrałem proces o odszkodowanie.

– Obecnie w Bibville mamy przeróżne ciekawe firmy z branży finansowej – przerwała Barbara.

– Mamo – odezwała się Evelyn. Pomyślała, że matka ani trochę nie zachowuje się jak dziedziczka fortuny.

– Och, nie, nic z tych rzeczy – zamruczała Camilla, ignorując ją i Barbarę. – To wydarzenie typowo towarzyskie. Naprawdę, w zeszłym roku pojawił się David Boies i wszyscy go pokochali, choć ubiegłoroczni gospodarze właściwie samodzielnie sfinansowali kampanię Busha, kiedy rywalizował z Alem Gore'em.

Evelyn wzdrygnęła się na samą myśl o tym, że ojciec mógłby chodzić wśród gości i opowiadać Georgette Scharffenberg o swoim dzieciństwie w przemysłowym miasteczku. Dlaczego właściwie Camilla chciała, żeby się pojawił? Souse mogłaby pomóc córce ściągnąć, kogo tylko zechce. Nagle zrobiło jej się gorąco. Ależ oczywiście. To byłby podwójny cios. Camilla dostałaby dwadzieścia pięć tysięcy dotacji, które umocniłyby jej władzę, a poza tym zaproszenie prawnika z Południa, przeciwko któremu toczy się postępowanie, byłoby gigantycznym środkowym palcem pokazanym Souse i zapewniłoby Camilli trochę buntowniczej sławy.

Evelyn pchnęła nóż po stole, żeby zwrócić uwagę matki, a kiedy Barbara podniosła wzrok, posłała jej surowe spojrzenie i bezgłośnie wyszeptwała: ława przysięgłych. Matka mogła to zakończyć, choćby po to, żeby ochronić ich reputację w Nowym Jorku. Nie chodziło nawet o Dale'a, ale o całą rodzinę.

Barbara najwyraźniej zrozumiała aluzję, bo powiedziała:

– To chyba nie jest odpowiedni moment. Dale próbuje teraz skupić się na pracy, a nie na pokazywaniu się publicznie. Prawda, Dale?

– No cóż, to mi się nie wydaje zbyt publiczne – odparł Dale.

– Poza tym w grę wchodzi dotacja, prawda, Camillo? Dotacja. Jest wyma-



gana dotacja – Evelyn prawie krzyczała.

– Patroni wspierają wydarzenie, ale prawie wszystkie pieniądze idą na programy literackie adresowane do młodzieży z biednych rodzin. Na przykład na remonty bibliotek w państwowych szkołach. To naprawdę wspaniała inicjatywa – powiedziała Camilla.

– Z dumą wesprę taką inicjatywę – powiedział Dale.

– Ale... jeśli chodzi o twoje pieniądze... uwagę... czas... może to nie jest najlepszy czas – wyjąkała Evelyn i wstała od stołu.

– Chcesz powstrzymać tatę od udziału? – zapytała Camilla. Jej głos brzmiał niewinnie, ale oczy płonęły.

– Nie! Nie. Oczywiście, że nie. To brzmi cudownie. Tylko że tata tak łatwo przesadza ze składaniem obietnic. Prawda, tato?

Dale uśmiechnął się szeroko do Camilli. – Zdarza mi się przesadzać, ale to zaproszenie jest tak miłe, że chyba będę musiał skorzystać.

– Myślę, że będzie fantastycznie, panie Beegan. Tak wesoło. Czytałam tekst pańskiego gościnnego wykładu na UNC, o tym, że Wall Street działa na niekorzyść amerykańskiego społeczeństwa, i wiem, że inni uczestnicy z chęcią o tym posłuchają.

– Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek chciał o tym słuchać – odezwała się Barbara, niezbyt cicho.

– Camillo – powiedziała Evelyn, niemal proszącym tonem. Jej ojciec wydawał się podbudowany. Chciała go ochronić. Chciała go poświęcić. Przede wszystkim jednak chciała uciec jak najdalej. Zaczęła się przesuwac w stronę drzwi, jakby mogła przyciągnąć Camillę magnetyczną siłą.

– Byłbym zaszczycony – odparł Dale. Cały promieniał.

– Wpiszę pana na listę Patronów Luminarzy – oznajmiła Camilla. – Tak bardzo panu dziękuję, panie Beegan.

Evelyn stała w miejscu, tupiała nogą i próbowała skłonić Camillę, żeby wstała i wyszła. W końcu się udało. Kiedy były już na zewnątrz, Camilla syknęła:

– Co to było? Miałaś mi pomagać.

– Pomagałam. Pomagałam! On naprawdę jest bardzo zajęty.

– Zbyt zajęty dla mnie, jak rozumiem?

– Nie, nie o to chodzi. Po prostu tyle się dzieje.

Piętnaście minut później i pół godziny po czasie Evelyn i Camilla zeszły do Jin Soon przy Jones Street. Camilla wzięła z półki szarobrazowy lakier.

– Dopilnuj, żeby przyszedł. W porządku?

Evelyn pokręciła przecząco głową, ale powiedziała:

– Okej. Okej.

Camilla podała Evelyn buteleczkę lakieru.

– Ten będzie dobrze wyglądał na twoich paznokciach u nóg – powiedziała.

Lakier miał kolor zaschniętego błota.

## Rozdział piętnasty

### Terminarz

Nastała jesień, a wraz z nią popołudnia w kolorze pomarańczy i grube białe koperty z zaproszeniami na przyjęcia. We wtorkowy wieczór Camilla zaprosiła Evelyn na kolację w Colony Clubie na Upper East Side – miejscu spotkań kobiet z bogatych rodzin. Evelyn wiele razy przechodziła obok, ale nigdy wcześniej nie była w środku. Camilla prowadziła ją przez lobby i opowiadała, że zawsze je tu kolację w dzień swoich urodzin – trzynastego lipca – i że zaprosiłaby Evelyn na tegoroczne urodziny kilka miesięcy wcześniej, gdyby tylko lepiej ją wtedy знаła. Evelyn cieszyła się, że w ogóle jest w tym miejscu, zwłaszcza na kolacji sam na sam z Camillą, choć była zaskoczona, że miejscami jest tu dość obskurnie. W każdym nowobogackim domu takie stare, powgniatane kanapy zostałyby oddane kotu, ale tutaj stanowiły symbol WASP-owskiej gospodarności. Jedzenie miało niższy poziom niż to podawane w country clubach – opiekana ryba i sałatki Waldorf serwowane w koralowej jadalni. Evelyn widziała kobiety, które mówiły, choć nikogo przy nich nie było, i zrozumiała, że są przyzwyczajone do wydawania poleceń czekającym na to służącym.

W czwartek po południu Camilla nalegała, żeby poszły na wystawę Louisa Comforta Tiffany'ego w Metropolitan (na jednej z tabliczek na ścianie Evelyn przeczytała, że rodzinna fundacja dziadków Camilli była jej hojnym sponsorem). Aby mieć na to czas, zadzwoniła do People Like Us i powiedziała, że jest chora. Po wystawie poszły do E.A.T na sałatki. Camilla nie chciała korzystać tam z toalety i uparła się, żeby pójść do mieszkania Evelyn. Z każdą przecznicą dalej na wschód Evelyn była coraz bardziej przerażona. Nie mogła sobie przypomnieć, czy tylko zasugerowała Camilli, że mieszka tuż obok Madison, czy powiedziała to wprost. Kiedy Camilla zaczęła żartować na temat Orientu, Evelyn wdała się w wyjaśnienia, jak to się stało, że utknęła tak daleko na wschodzie: sekretarka jej ojca znalazła to mieszkanie i podpisała dla niej umowę wynajmu długoterminowego.

Wbiegła do mieszkania pierwsza i gdy Camilla korzystała z łazienki, krzątała się po mieszkaniu i zbierała książki Mitford, Post i Fussella, jakby to było porno. Wepchnęła je pod łóżko, a stos cukierkowych płyt Rodgersa i Hammersteina przykryła kocem. Camilla zastała ją w sypialni, rzuciła okiem na kwiatową narzutę i powiedziała, że Scot musi się czuć, jakby spał w domku dla lalek.

Evelyn zrobiła sobie pasemka, dzięki którym po raz pierwszy była blondynką, i zapisała się do stylisty Camilli na modelowanie włosów suszarką trzy razy w tygodniu, żeby jej włosy osiągnęły taki sam poziom lśniącej perfekcji jak włosy Camilli. W pierwszej chwili uznała, że cena jest wysoka, ale wkrótce spostrzegła,

że im więcej wydaje, tym mniej się tym przejmuję, i poczuła się wolna. Matka wyciągnęła skądś tajemniczy czek na dziesięć tysięcy i kazała Evelyn mądrze je wydać, razem z różnicą w czynszu za „nowe mieszkanie”. Evelyn zrozumiała, że mądrze wyda pieniądze, jeśli przeznaczy je na umocnienie swojej pozycji w tym towarzystwie. Kupiła suszarkę T3 o dużej mocy, żeby jej włosy zawsze były proste i puszyste, choć nie mogła jej używać jednocześnie z klimatyzatorem okiennym, bo wysadzała bezpieczniki. Przeczesała dolne poziomy Barneysa, Bergdorfa i Saksa, i wybierała odpowiednie przybory toaletowe. Za 23 dolary kupiła mydło do rąk Molton Brown, o zapachu morwy białej i liści laurowych, oraz szczotkę z naturalnym włosiem, marki Mason Pearson. Kupiła Perles de Lalique, głównie dlatego, że Camilli podobała się butelka, choć same perfumy dziwnie pachniały czarnym pieprzem. Miała nadzieję, że stanie się jedną z tych kobiet, które kojarzy się z charakterystycznym, przyjemnym zapachem i że kiedy tylko wejdzie do pokoju, ludzie będą mówili: ach, to Evelyn. U sprzedawcy antyków w Soho kupiła kredens art déco do dużego pokoju, żeby przechowywać w nim srebrną zastawę, którą niedawno przysłała jej matka. Barbara dołączyła karteczkę, na której napisała, że zastawa może jej się przydać, niedługo bowiem zaczną przyjmować gości. Po siedmiu irytujących minutach ze słojem pasty do polerowania srebra załadowała zastawę do torby podróżnej, zaniósła do indyjskiej restauracji trzy numery dalej i zaproponowała bangladeskiemu pomocnikowi kelnera, że da mu sto dolarów, jeśli ją umyje i wypoleruje. Zgodził się, a ona poczuła się bardzo wytwornie, kiedy wpadła tam po drodze do domu, odebrała lśniące srebra i kupiła trochę papadum.

Rozdzwięk między jej pracą a wieczornym życiem był coraz większy. Im bardziej angażowała się w życie towarzyskie i im więcej wiedziała o tym, czego chcą ci ludzie, tym mniej Arun i Jin-ho jej słuchali. Wymuszali bardzo intensywny wzrost liczebności członków, Jin-ho zaproponował nawet, żeby przestała akceptować i odrzucać użytkowników pojedynczo i zezwoliła na otwartą rejestrację. Evelyn utrzymywała, że to zniszczyłoby rynkową pozycję, którą udało im się zbudować. Jednocześnie regularnie walczyła z ludźmi od marketingu – na przykład ostatnio, kiedy na środku strony internetowej umieścili gigantyczną reklamę butów Ugg – i z ludźmi od contentu, którzy zaczęli prosić o recenzowanie produktów upiększających z drogerii.

W People Like Us wciąż nie załatwili jej biurka z prawdziwego zdarzenia i zatrudnili koderka o imieniu Clarence, który siedział obok niej przy długim stole z linoleum. Między nimi było tylko kilka centymetrów wolnej przestrzeni i za każdym razem, kiedy chociaż odrobinę odrywała wzrok od ekranu, widziała jego wybrzuszoną, białą łydkę z grubymi, czarnymi włosami, które z rzadka ją porastały. Odkąd w sierpniu zaczął pracować, codziennie przychodził w szortach. Kiedy pisał, jego drobne ręce były wyciągnięte maksymalnie do przodu, a gruba dolna warga wisiała. Oddychał przez usta. Regularnie zasysał powietrze, a gdy to

robił, lśniąca od śliny dolna warga podskakiwała. Stopy, wciśnięte w grube, czarne, wysokie tenisówki, ledwo dotykały podłogi. Co jakiś czas odbierał telefony – jeden dotyczył tego, że ubezpieczenie nie pokryje jego recepty na propecię, lek na łysienie – a kiedy rozmawiał, nie przestawał pisać, jakby był ważnym prezesem, który nie może się rozpraszać. Evelyn zawsze miała wrażenie, że obserwuje jego funkcje życiowe od środka – kasznięcia na monitor, od których trzęsa mu się klatka piersiowa, grzmiące pięciosylabowe ziewnięcia. Żeby zagłuszyć dźwięki Clarence’a, wkładała do uszu słuchawki iPoda i włączała soundtrack z *Annie* najgłośniej jak mogła wytrzymać. A może całkiem blisko – śpiewała Annie z nadzieją, że gdzieś tam czeka na nią idealne życie. W tym samym czasie Evelyn dostawała maile od Camilli: „dzień w spa, przyłączysz się?” albo „w drodze do Q, daj znać, czy możesz się pojawić” – gdy Camilla jechała do matki chrzestnej, która mieszkała w Quogue. To sprawiało, że praca wydawała jej się jeszcze bardziej jałowa.

Szczególnie nie cierpiała korzystać z łazienki, kiedy musiała się przebrać przed nocą na mieście. W świetle jarzeniówek białka jej oczu wyglądały na zażółcone i nie potrafiła powiedzieć, czy skóra jej twarzy jest rozświetlona, czy tylko przetłuszczona. Poza tym było to poniżające, gdy przebierając się w elegancką wieczorową suknię, słyszała rozrywanie opakowania tamponów dobiegające z sąsiedniej kabiny i stłumione jęki i pluski, zdające relację z trawiennych perypetii Ann z HR-u, która zawsze była w łazience o piątej po południu. Evelyn czuła się tak przyziemnie, kiedy słuchała tych odgłosów i patrzyła na stal, linoleum i różowe antybakteryjne mydło w płynie. Jak zmęczona sekretarka z filmu z lat pięćdziesiątych, która powinna zdjąć zabrudzone pończochy, zanim pociąg zabierze ją do Astorii.

Zazwyczaj czekała w kabinie, dopóki Ann nie wstała z sedesu i nie wyszła. Potem ostrożnie zdejmowała służbowe ubranie, balansując na palcach szpilek Givenchy. Starła się, żeby nic nie dotknęło podłogi, kiedy więc próbowała wkręcić się w sukienkę, jej kosmetyczka była wciśnięta między łokieć a żebra, spodnie wisały na szyi, a sweter tkwił między kolanami. Buty już boleśnie ją cisnęły – zaprojektowano je do używania w komplecie z samochodem i kierowcą.

Po wyjściu z kabiny wykonywała ustalony zestaw odświeżających czynności: kropiła twarz wodą różaną, kładła korektor Touche Éclat pod oczy, papier matujący na nos, połyskujący beżowy cień na powieki, klasyczną różową Chanel na usta, na to balsam ChapStick i na koniec odrobina Perles de Lalique, żeby przykryć woń Perles de Jelita Ann. To wszystko i tak nie usuwało dnia pracy. Wiedziała, że zostawia on piętno na jej twarzy jak pył węglowy po długim dniu w kopalni. Nie było szans, żeby nabrała odświeżonego, wypoczętego, wypracowanego przez jogę i wymodelowanego wyglądu kobiet, które wyszły ze swoich apartamentów na Upper East Side i z którymi musiała rywalizować podczas wieczornych spotkań.

Najgorsze było noszenie kosmetyczki do łazienki i z powrotem i patrzenie, jak ci wszyscy nieudacznicy posyłają jej solidarne uśmiechy. Nie była jedną z tych pracujących czytelniczek magazynu „Redbook”, które uważały, że dodanie szalika i podrasowanie wyglądu odrobiną biżuterii może załatwić transformację stylu dziennego w nocny. Była sprytniejsza. Ponieważ ludzie na przyjęciach wiedzieli, że przychodzi prosto z biura, zawsze przebierała się w strój, który z powodzeniem można było nosić także w pracy. Nie chciała, by myśleli, że przebierała się w kabine służbowej ubikacji.

Ale nocą, gdy opuszczała siedzibę PLU, czuła się tak, jakby wstępowała do zaczarowanego świata. Znała już kod. Mogła wejść do baru, zamówić porto Cockburn's – wymawiała to: Coburn's – i patrzeć, jak barman rzuca jej spojrzenie pełne uznania. Mówiła „chatki”, kiedy miała na myśli Maine, „domki”, gdy chodziło jej o Jackson Hole (czyli po prostu Jackson), i „obozy”, kiedy opowiadała o górach Adirondack. Chodziła z Prestonem na premiery do Met i jadała kolacje w Knickerbocker Clubie, podczas których wygłaszała mądre toasty na cześć jubilatów albo niedawno zaręczonych par. Weszła do La Goulue. Kierownik sali ją znał i posadził przy prawie najlepszym stoliku. Pojawiała się na rozmaitych przyjęciach, uprzejmie i z odpowiednią dawką zażyłości kładła dłoń na ramionach gospodyń. Należała do grupy, o jakiej kiedyś często myślała – osób, które prowadzi się na górę lub na dół, do wydzielonych części klubów i restauracji, które i tak nie są otwarte dla wszystkich. Gdy widziała starsze wersje siebie, z szacunkiem kiwała głową, a one odpowiadały uprzejmymi skinieniami, bo same niedawno były młode i uprzywilejowane. Evelyn miała dwadzieścia sześć lat i po raz pierwszy była widziana. Rozpoznawana. Ludzie nie odwracali głów, żeby ją zobaczyć – o tak wiele by nie prosiła – ale zdarzało się, że jakiś mężczyzna wytrzymał jej spojrzenie odrobinę dłużej, niż powinien, albo jakaś kobieta zazdrosnym okiem patrzyła na jej sukienkę. Mogła być teraz dziewczyną, którą ktoś zobaczył na ulicy i szukał przez ogłoszenie na craigslist, mogła być fragmentem tekstu piosenki albo inspiracją dla bohaterki musicalu. Schodziła po wielkich schodach, które powstały po to, żeby ukazywać kobiety z jak najlepszej strony, i patrzyła z góry na podziwiający ją tłum. Po raz pierwszy w życiu matka ją akceptowała. Na weekend została zaproszona do Newport. Do Newport! Miała wejść do historii w otoczeniu marmurowych umywalk, miedzianych armatur, łóżek z wysokimi kolumnami, w mieście, które było centrum śmietanki towarzyskiej. Stresy nowoczesnego życia – brudne ulice, śmieci i wydatki – roztopiały się w tej scenografii. Czuła się tak, jakby za plecami miała zespół rewiowy – tancerzy, którzy wymachiwali nogami i tańczyli shimmy, zagrzewając ją do boju.

– Panno Evelyn, ostatnio dostaje pani dużo poczty. Listonosz zostawił to wszystko dla pani, bo nie zmieściło się w skrzynce.

Weekendowy portier – Randy? Andy? – wręczył jej plik listów, spiętych

wielką gumową opaską. Od razu zobaczyła, że oprócz prostokątnych rachunków jest wśród nich wystarczająco dużo grubych kwadratowych i czarnych chropowatych kopert, aby stwierdzić, że jeśli chodzi o zaproszenia, łup jest znakomity.

Zanim zaczęła otwierać pocztę, przyciemniła światło w dużym pokoju, włączyła płytę, na której Judy Holliday śpiewała *The Party's Over*, i naląła sobie kieliszek wina. Postawiła na stoliku srebrną tacę, położyła na niej zaproszenia, otworzyła czerwony notatnik Smythson, wyjęła swój ulubiony brązowy marker Sharpie ze ściętą końcówką i zaczęła zapisywać nagłówki zaproszeń i poszczególnych sponsorów. Strony terminarza zaczynały uginać się pod ciężarem kolejnych wpisów, których przybywało co tydzień:

Kolacja Nowy Jork Antiques Show – MOŻE? (Dowiedzieć się, czy Pres idzie)

Premiera dokumentu o Chanel, Paris Theater, afterparty, Bergdorf – TAK – wcześniej kolacja świąteczna

Kolacja pediatrów Nowy Jork Presbyterian – üczerwona Ungaro

Doroczny charytatywny lunch Sloan Kettering – ü biały zakiet Milly

Charytatywne zakupy w J. Mendel – Nowojorczycy w Walce z Tocznem – NIE

Ivari (linia biżuterii Jessy Winter) – przyjęcie inauguracyjne – Barneys (może? Konflikt z dokumentem o Chanel)

ArtBall w Studio Five, Chelsea – TAK – stolik charyt. – potwierdzić, że Scot może iść

Jak zwykle oddzieliła dobre rzeczy od rachunków. Rachunki przerzuciła najszybciej jak mogła, wysuwała je tylko z kopert i sprawdzała miesięczne minimum, a nie pełną kwotę. Szybko wypisała czeki, a potem zebrała rachunki do kupy i schowała je z tyłu szuflady na srebra – tam było miejsce ich oskarżycielskich treści.

Potem mogła się znowu odprężyć. Pogłośniła pilotem Judy Holliday i jeszcze raz przejrzała zaproszenia. To była najlepsza część – oczekiwanie. Dostała te zaproszenia, a więc ktoś jej szukał i ustalił jej adres. Ktoś jej chciał.

## Rozdział szesnasty

### Cicha noc

Evelyn otworzyła drzwi do Sag Neck. W jednej ręce trzymała bezkofeinową piernikową latte na chudym mleku. Zauważyła, że rodzice w tym roku nie wywieśli nawet stroika. Zazwyczaj Barbara Beegan wymuszała świąteczny przemarsz, który rozpoczynał się od wigilijnego nabożeństwa. Potem była wieczerza (indyk z nadzieniem ostrygowym i pieczonymi ostrygami), następnego dnia kawa, poranne ciasto i otwieranie prezentów, potem śpiewanie kolęd, późny lunch – pieczeń wołowa – potem placek i jeszcze więcej kolęd. Evelyn lubiła to wszystko, nawet owinięty wstążką słój marynowanych fistaszków – śluzu w zalewie, jak nazywał je ojciec – które co roku zostawiała pod ich drzwiami Sally Channing.

Wieczorem przed wylotem z Nowego Jorku świętowała ze Scotem. Byli tylko we dwoje. Zrozumiał jej aluzje – zarezerwował kolację w restauracji Daniel i kupił jej potrójny złoty pierścionek Cartiera, który chciała dostać. Przez całą jesień próbowała zmienić prawdziwego Scota w takiego, którym mógłby być. Wysłała go, żeby sprawił sobie szyty na miarę garnitur z precyzyjnymi ręcznymi szwami widocznymi na klapach, i sprawiła, że zamienił swoje outletowe koszule Polo na Lacoste. Wydawał się łasy na jej komplementy i zawsze wkładał wybrane dla niego ubrania, kiedy gdzieś wychodzili. Wzbudzało to u niej dziwne poczucie winy. Pracowała też nad jego manierami i spokojnie starała się korygować sposób, w jaki trzymał nóż, lub nauczyć go zasad prawidłowego korzystania z obrotowych drzwi. Kiedy byli sami, lubiła go, podobało jej się, że jest taki słodki i lekko nerdowaty, ale gdy byli w grupie, zwracała uwagę tylko na to, że jego koszula nadal wygląda jak kupiona w dzielnicowym sklepiku, a śmiech jest zbyt głośny.

Kiedy pewnego niedzielnego ranka w listopadzie wychodziła z mieszkania numer 5G i usłyszała, jak Scot szepcze: Kocham cię – udą, że nie słyszy, i nie zatrzymując się, poszła do windy. Zastanawiała się, skąd niby ma wiedzieć, kiedy coś jest prawdą, a kiedy nie?

Na szczycie listy Ulubionych w telefonie umieściła numer Camilli, nie Scota.

W każdym razie pierścionek z trzema rodzajami złota był doskonały. Evelyn nosiła go na środkowym palcu i przez pół drogi pociąganiem do domu przekrzywiała go tak, żeby łapał promienie słońca. Co jakiś czas wyjmowała też kartkę od Scota: „Droga Evelyn, dzięki tobie ten rok był cudowny. Wesołych Świąt. Kocham cię. Scot”. Na widok tej kartki czuła to samo, co w liceum, kiedy dostała list miłosny od chłopaka. Czuła, że ktoś ją lubi.

W mieszkaniu zostawiła śmieszny prezent, który dostała od przyjaciół na



zakrapianym hot-toddy przyjęciu bożonarodzeniowym u Camilli. Była to wybrana przez Prestona plastikowa tiara, bo – jak powiedział – była teraz królową Nowego Jorku. Zanim wieczór dobiegł końca, nosiła ją Camilla.

W Sag Neck nie było nie tylko stroika, ale nawet choinki. (Matka stwierdziła, że sprzątanie tych wszystkich igieł dla jednego dnia świętowania nie ma sensu). Rodzice nie wywiesili też wełnianych skarpet na drewnianych szczeblach poręczy. Na pierwszy dzień świąt matka zarezerwowała im miejsce w Eastern Tennis Clubie, żeby wykorzystać część kwoty, którą co miesiąc musieli tam wydać na jedzenie. Na kolację wigilijną zaplanowano kanapki na zimno. W tym roku pod drzwiami nie było marynowanych fistaszków Sally Channing. To akurat jej nie zaskoczyło.

Ojciec był na górze w swoim gabinecie, a matka siedziała przy pianinie, ale nie grała. Jej ręce zawisły nad klawiszami, jakby czekała na animatora, który pociągnie za sznurki.

Evelyn rzuciła torbę w przedpokoju, poszła na górę, zapukała i jednocześnie otworzyła drzwi do pracowni ojca. Siedział przy biurku ze szklaneczką bourbona i wydłubywał pilnikiem brud spod paznokci. Przed nim leżała otwarta gruba książka.

Gabinet był w znacznym stopniu urządzonej przez Barbarę – elementami wystroju były drewniane wiosła, drewniane narty i list do sekretarza marynarki wojennej podpisany przez Williama McKinleya i zaadresowany do „mojego drogiego Potsa”. (Evelyn już dawno wydedukowała, że nie miał nic wspólnego z jej rodziną). Dale dodał swoje własne pamiątki: proporzycy UNC, książki z dziedziny epidemiologii, chemii i biologii, a także *Inside the Jury*. Jedna z półek wypełniona była kryształowymi piramidami i metalowymi przyciskami do papieru, które świadczyły o tym, że jest Emerytowanym Członkiem Zarządu Attorneys And Aid, Wybitnym Absolwentem University of North Carolina, 1999 i Wiceprezesem Del-MarVa Trial Lawyers, 1995.

Odłożył pilnik i dał znak Evelyn, żeby usiadła.

– Nie, w porządku, tato. Tylko się zastanawiałam, czy nie moglibyśmy wykombinować czegoś na kolację wigilijną. Kanapki, które załatwiła mama, są przygnębiające.

– Kupiła je w nowym sklepie kanapkowym w Easton. Uważam, że wcale nie są złe.

– Mama mówi to samo. Ale chodzi o to, że ja nie chcę jeść kanapek w Wigilię. Nie przygotowaliście skarpet, nie przygotowaliście choinki i nic nie gotujemy. Niezbyt to odświętne.

– Jeśli chcesz choinkę, to idź po nią.

– Nie o to chodzi.

– Bourbon?

- Słucham?
- Chcesz trochę bourbona? Lubisz bourbon, prawda?
- Nie za bardzo – odparła i uniosła filiżankę kawy.

Ojciec i tak napełnił dla niej szklanekę. Miękki głos z gramofonu śpiewał: *Goodnight, Irene, goodnight, Irene.*

- Muszę ci coś powiedzieć – oznajmił.
- To coś złego?

Ojciec nie odpowiedział. Począł, aż Evelyn odstawi kawę i zanurzy język w bourbonie. Skrzywiła się i zamieniła bourbon na kawę. – Jak dużo o tym czytałaś?

– W ogóle nie czytałam. Pomyślałam, że najlepiej będzie się do tego nie mieszać. Sam mówiłeś, że nie pisali dużo.

Dale ponownie napełnił swoją szklaneczkę i ostrożnie nałożył zakrętkę na butelkę.

– Tak mówiłem? No cóż. To prawda. Nie było tego dużo. Cóż. Wychodzi na to, że w tym roku będę miał długie ferie świąteczne. Postanowiłem wziąć urlop w firmie.

– Przecież prawie nigdy nie bierzesz wolnego.

– Myślę, że to pomoże wyjaśnić parę spraw i uspokoić rząd.

– Tato, czy nie dasz do zrozumienia, że jesteś winny, jeśli odejdziesz z firmy, kiedy trwa to wielkie śledztwo?

- Nie odchodzę z firmy. Biorę tylko urlop.
  - Nic się nie stało, prawda? Wielka ława przysięgłych niczego nie znalazła?
- Dale postukał pilnikiem w biurko. – O ile wiem, to nie.

– Czy to nie będzie wyglądało tak, jakbyś sam się o to prosił? Czy nie lepiej po prostu zachowywać się tak, jakby nic się nie stało?

- Mój prawnik i ja uważamy, że tak będzie najlepiej.

– Tato, śledztwa wielkiej ławy przysięgłych to nic strasznego. Ważne jest, jak się do tego podejdzie. Jeśli weźmiesz urlop, ludzie zaczną gadać. Nie żartuję. Zaczną się zastanawiać, czy zrobiłeś coś złego. Powinieneś po prostu pracować dalej i udawać, że wszystko jest w porządku.

– Może jednak przyjmijmy tezę, że znam się na prawie lepiej niż ty – odparł Dale. Kilka razy postukał pilnikiem o biurko, a następnie położył rękę na cienkim beżowym woluminie, otwartym na stronie z czarno-białymi fotografiami.

- Wiesz, co to takiego? – zapytał.
- Nie.
- Przyjrzyj się.

Dale wstał i podsunął jej pośliską na brzegach książkę. Jego włosy były już przyprószone siwizną. Evelyn próbowała sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni widziała na jego głowie same brązowe włosy, ale nie potrafiła. W jakim momencie

życia ciało zaczyna się pochylać do przodu, a tiki stają się dziwnymi przyzwyczajeniami staruszka? Dale odchrząknął, jakby chciał jej na to odpowiedzieć, i nagle zaniósł się głośnym, ciężkim od flegmy kaszlem.

– Scipio High – powiedział. – Byłem w drużynie baseballowej. W Raidersach. W tamtych czasach każde przemysłowe miasteczko miało taką drużynę. Ligi starszych też. Potrafili zatrudnić brygadzystę tylko dlatego, że był dobrym łapaczem.

Spojrzał na nią, szukając czegoś, czego nie udało mu się znaleźć, a potem odszukał stronę, na której rocznik łatwo się otwierał. Było tam jego zdjęcie. W podkolanówkach, z pewnym siebie uśmiechem i fryzurą na amerykańskiego żołnierza maszerował przez boisko na czele grupy chłopców. Patrzył w obiektyw, a jednocześnie krzyczał coś do grupy.

– Byłem kapitanem. Szło mi całkiem dobrze. Ten za mną to Jimmy Happabee. Świetny był z niego łapacz. W sobotnie wieczory jeździliśmy po mieście jak wariaci ciężarówką jego taty. To był jedyny dzień, kiedy nie musieliśmy pracować – przyciągnął książkę z powrotem do siebie i zamknął. – To był inny świat. Staruszkowie powtarzali wtedy to samo i niech mnie diabli, jeśli nie zmieniłem się w jednego z nich. – Popatrzył na Evelyn. – Jesteś szczęśliwa, prawda? Dobrze się czułaś w Sheffield i w Davidson?

– Tak, tato.

– Masz dobrych przyjaciół. Masz pieniądze. Dużo pieniędzy.

Wypiła łyk kawy. Czy właśnie dlatego to zrobił, jeśli rzeczywiście to zrobił? Żeby zdobyć pieniądze dla rodziny? A może dla siebie? Jakkolwiek by było, suma okazała się niewystarczająca. Nie wiedziała dokładnie, ile wynosił majątek rodziny, ale szacowała, że co najmniej kilka milionów, jeśli wziąć pod uwagę pokaźne sumy, które Dale wygrywał, i zestawieć je z często wygórowanymi wydatkami rodziców. Ojciec prawdopodobnie myślał, że te miliony wystarczą, żeby mieć wstęp do każdego nowojorskiego towarzystwa, tymczasem kilka milionów to kwota, którą przeciętny menedżer funduszu hedgingowego zarabia w ciągu roku.

– Dobrze sobie radzę, tato – powiedziała.

Jego ręka się trzęsła, kiedy odkładał książkę na biurko. – To dobrze. Dobrze to słyszeć. Odłożę to. Będzie o tam, na półce. Możesz przeglądać, kiedy zechcesz.

– No.

– Nawet jeśli przysięgli coś znajdą, chcę, żebyś wiedziała, że prawo jest dla mnie wszystkim i nigdy nie przekroczyłbym jego granic. Że nigdy ich nie przekroczyłem.

Nie bardzo w to wierzyła. Ojcu zawsze udawało się stawiać obok siebie prawo i ambicję, a w tym przypadku prawo stało w kontrze do ambicji. Właściwie nie miała wątpliwości, którą stronę by wybrał. Nigdy nie myślisz, że cię złapią, pomyślała, dopóki nie zostajesz złapany.

– Okej – powiedziała w końcu. – Tato, skoro jesteś na urlopie, jak to będzie z Luminarzami?

– Z czym? – Potrząsnął głową. – A, chodzi o kolację twojej przyjaciółki. Najlepiej odwołaj.

– Mam odwołać? To przecież ja ci mówiłam, żebyś się nie zgadzał.

– Jakie to ma znaczenie, Evelyn? To tylko jedna kolacja.

– Zapisała cię. Zabije mnie, jeśli się wycofasz. A co z pieniędzmi?

– Z jakimi pieniędzmi?

– Z dotacją. Zobowiązałeś się do niej. Zapisała przy twoim nazwisku sumę dwudziestu pięciu tysięcy.

– Nic nie wspominałaś o dotacji w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów.

– Jestem pewna, że wspominałam – odparła, choć wiedziała, że tak nie było.

– Mówiłaś, że w grę wchodzi dotacja, ale nie mówiłaś, że przekracza ona roczny dochód wielu Amerykanów. Obiecać, że dam dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, żeby wesprzeć inicjatywę twojej przyjaciółki? Co ty sobie myślałaś? – patrzył na nią, nie mrugając.

– Ja nie złożyłam takiej obietnicy. To ty chciałeś iść.

– Evelyn, nie sądzę, żeby coś się wydarzyło w związku z tym śledztwem, ale jeśli tak się stanie, i szczerze mówiąc, nawet jeśli tak się nie stanie, czy wiesz, jak niestosowne byłoby zapłacenie tak wielkiej dotacji jednej z twoich koleżanek?

– Co mam jej powiedzieć?

Dale się uśmiechnął i ponownie wziął do ręki rocznik. – Boże, Evelyn, powiedz jej, że nie mogę przyjść.

– To nie takie proste – odparła Evelyn.

Ale ojciec już jej nie słuchał. Znowu otworzył rocznik, na tej samej stronie. Przesuwał palcem po nagłówku. Evelyn była w stanie przeczytać tylko pierwszą część: MŁODZI BASEBALLIŚCI PODCZAS PRZERWY, kapitan D. Beegan...

Nie podniósł wzroku, kiedy podsunęła mu szklaneczkę z niedopitym bourbo-nem i wyszła.

## Rozdział siedemnasty

### Pytania zabezpieczające

Ostry dzwonek telefonu w jej mieszkaniu wyrwał Evelyn ze snu. O co chodzi? Dokąd ma iść? Wokół panowała ciemność. Czy było jeszcze dzisiaj, czy już jutro?

Zabrzmiał kolejny dzwonek i podniosła się z kanapy. – Halo, tak?

– Panno Evelyn, panna Charlotte wchodzi na górę.

– Co... która godzina?

– Pięć po ósmej.

Zorientowanie się w sytuacji zajęło jej kilka sekund. Wcześniej wyszła z PLU, żeby pójść do Equinox na trening vinyasy. Próbowała wyciszyć umysł i przez chwilę nie myśleć o ojcu, swojej sytuacji finansowej i kolacji Luminarzy, ale się nie udało. W szatni po zajęciach przebrała się znowu – nie chciała, żeby dziewczyny, które wkładały szpilki, spódnice i robiły makijaż przed wieczornym wyjściem, pomyślały, że nie ma planów na wieczór. Dołączyła do blondynki, która suszyła włosy przed długim lustrem. Czesząc się, posłała jej rozumiejący uśmiech. Patrzyła na nią na tyle długo, by zauważyć obrączkę, przyciśniętą do suszarki: platynowa, szlif Princess, jedna z tych, które mógłby dać w prezencie bankier.

Ostatnio była pewna, że jeśli tylko zrobi wystarczająco dużo aluzji, dostanie taką obrączkę od Scoty. Obrączki były wszędzie, a ona nie chciała już na zawsze być godną pożałowania singielką. Ale jaki sens miało wyciąganie tego pierścienia od Scoty? Jeśli chcesz wziąć ślub, nie czując zbyt wiele do przyszłego męża, powinien przynajmniej zapewnić ci życie, o jakim marzysz. Sarah Leitch, której mąż był korpulentnym nudziarzem, ale w zeszłym roku zarobił dwadzieścia milionów, właśnie remontowała swoją winnicę w dolinie Napa.

Stojąc przed lustrem, Evelyn też wysuszyła włosy suszarką, zamaskowała korektorem cienie pod oczami, pomalowała rzęsy tuszem, pociągnęła usta balsamem i włożyła buty Jimmy Choo. Potem włożyła złoty pierścienek na serdeczny palec lewej ręki i przekręciła go, żeby wyglądał jak obrączka. Wyszła do holu siłowni. Dla postronnego obserwatora wyglądała jak mężatka, która wybiera się na spotkanie towarzyskie.

– Może jej pan powiedzieć, że mnie tu nie ma? – zapytała portiera.

– Przykro mi, panno Evelyn, ale jest stałym gościem i już ją wpuściłem.

Takie mamy zasady.

Ostatnio niezbyt często się z nią widywała. Charlotte zawsze chodziła do muzeów o nazwach takich jak Amerykańsko-Żydowskie Muzeum Diaspory Zachodnioafrykańskiej i dawała do zrozumienia, jak wiele się tam uczy i że taki

sposób spędzania czasu jest znacznie bardziej produktywny niż to, co robi Evelyn. Zdawała sobie sprawę, że Charlotte uważa jej życie za idiotyczne – zresztą powiedziała to wprost. Charlotte nie mogła jednak wiedzieć, jak bardzo jest uzależniająca.

Rozległo się pukanie do drzwi. Evelyn przełożyła pierścionek na prawą rękę i siłąc się na zaskoczony ton, powiedziała: – Tak? Kto tam?

– Charlotte.

– Och! Char! Już idę! Przepraszam, nie zadzwonili do mnie.

Otworzyła drzwi i zobaczyła zmęczoną Charlotte w eleganckim szarym stroju, bez wątplenia skompletowanym przez osobistego stylistę z Saksa, którego zatrudniła i który specjalizował się w ubieraniu kobiet pracujących w bankowości. Na nogach miała myśliwskie buty L.L. Bean, pokryte topniejącym śniegiem z dworu.

– Masz jakieś piwo? Chętnie bym się napiła.

– Co robisz w tych stronach? Ósma, a ty nie jesteś w pracy?

– Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nie przydzielono mi żadnej transakcji. A tak w ogóle, to przepraszam, ale pytasz mnie, co tu robię? Kiedy ty sama, praktycznie rzecz biorąc, zniknęłaś z powierzchni ziemi? Poważnie pytam, masz piwo?

– Tylko wino.

– Ty zawsze masz piwo.

– Tylko wino, Char.

Charlotte klapnęła na kanapę i wzięła kieliszek wina, który podała jej Evelyn. – Wyglądasz na wystrojoną. Wychodzisz gdzieś?

– Nie. Miałam pewien event. Po pracy – odparła. Uznała, że jogę można od biedy zaliczyć do eventów. – A ty co tu robisz?

Charlotte dziwnie cmoknęła policzkami. – Randka. Nieudana. Czuję się tak, jakbym każdemu, kogo poznam, od razu krzyczała: jestem lesbijką.

– Miałaś na nogach myśliwskie buty?

– Evelyn... – Charlotte zaczęła się podnosić.

– Przepraszam. Przepraszam! – odparła Evelyn i uniosła ręce do góry.

– Nie, nie miałam myśliwskich butów. Dzięki, że pytasz.

– Chciałam tylko... – Evelyn naląła wina do kieliszka Charlotte. – Przykro mi z powodu randki. Jesteś świetną partią. Spójrz tylko na siebie. Prędzej czy później będziesz kierowała całym Graystone.

– W tych myśliwskich butach?

– Chcesz szczerzej opinii? Nie w tych butach.

Charlotte odpowiedziała gniewnym śmiechem. – Graystone. Jasne. Jestem kobietą, to się nigdy nie stanie. Po prostu nie umiem grać w tę nowojorską grę. Jeśli wyjdę z pracy o rozsądnej godzinie, zdążę zaliczyć siłownię, wrócić do domu

i już muszę się kłaść do łóżka. I tak przez siedem dni w tygodniu. Kiedy właściwie mam kogoś poznać? A potem spotykam tego faceta, zresztą na imprezie służbowej, a on mi mówi, że przez swoją pracę wiodę zbyt intensywne życie, jak na jego gust.

– Char, Char. To wariactwo. On jest wariatem – Evelyn usiadła obok przyjaciółki i nieporadnie poklepała ją po kolanie.

– Patrzcie państwo, Evelyn Beegan przychodzi z fizycznym wsparciem. Musi być naprawdę źle.

Evelyn się uśmiechnęła.

– Pamiętam, że w Sheffield przytuliłaś mnie dwa razy – mówiła dalej Charlotte. – Kiedy ukończyłam szkołę i kiedy zmarł mój wujek John.

– Uznałam wtedy, że tego potrzebujesz.

– Babs nigdy mnie nie przytuliła przez te wszystkie lata. Jedyne, na co mogę liczyć, to mocny uścisk dłoni. Byłaś szkolona przez najlepszych.

Evelyn zatrzymała palcem strużkę czerwonego wina, która uciekała z butelki. – Można tak powiedzieć.

– Jak tam w pracy?

– Działa mi na nerwy. Cały czas gadają o zwiększaniu liczby członków. Rozumiem, ale to nie ta marka. Świat nie potrzebuje kolejnego MySpace’a. Koncepcja górnej półki ma sens – zdobywamy użytkowników i stajemy się wpływowi, a oni chcą wyrzucić to do kosza i pokazać duży przyrost osobowy.

– Rzeczywiście, to się wydaje dziwne. Myślę, że ta marka działa. Oczywiście to nie moja bajka, ale reklamodawcy na pewno są w siódmym niebie, skoro mają dostęp do różnych Camilli Rutherford tego świata.

– Zgadza się. A mimo to przenieśli mnie na margines razem z moją strategią. Jin-ho, jeden z dyrektorów generalnych, zaczął się zajmować marketingiem i sprawami członkowskimi, a on nie ma pojęcia, w jaki sposób dotrzeć do tych ludzi. Krejzolzstwo.

– Mówisz teraz: krejzolzstwo?

– Zawsze tak mówiłam.

– Okej, Camillo. A zatem powiesz mi, gdzie byłaś przez ostatnich kilka miesięcy, skoro nie rzuciłaś się w wir pracy? Ty i Camilla zawarłyście związek partnerski i poleciałyście na Fidżi spędzić miesiąc miodowy?

– Nigdzie nie jeździłam. Byłam głównie w Nowym Jorku. I w Aspen. No i oczywiście w Bridgeton. Aha, i w Newport. Pojechałam też do Quogue, zimą jest tam naprawdę pięknie.

– Może już wystarczy. Kto by pomyślał, że ta dziewczyna, która na zdjęciu z ostatniej klasy ma plisowane spodnie khaki, przemieni się w takiego towarzyskiego motyla?

– Nie były plisowane.

– Były. I to jak.

Evelyn zaczęła chichotać. Usiadła z powrotem na kanapie.

– Ev – odezwała się Charlotte miękkiem głosem. – Ta sprawa z twoim ojcem...

– Jaka sprawa? – Evelyn usiadła, nagle nabrała czujności.

– Ta z jego firmą – Charlotte szukała słów. – Jeśli chcesz porozmawiać...

– Nie chcę rozmawiać. Nie wiem, skąd o tym wiesz, ale to nie twoja sprawa. To nic takiego, nic się nie stanie i byłabym wdzięczna, gdybyś nikomu o tym nie wspominała – powiedziała Evelyn, mocno akcentując spółgłoski.

– Broń Boże, jeszcze Camilla by się dowiedziała.

– Tak się składa, że Camilla o tym wie.

– Jasne, że wie. Powierniczka numer jeden.

Po chwili Charlotte wypuściła ciężko powietrze. – A Pres? Często się z nim widzujesz?

– Z Presem? Jasne. W zeszłym tygodniu mieliśmy zjeść razem kolację, ale skończyło się na tym, że poszliśmy z Camillą do River Clubu. Na Sutton Place, tam na dole jest wspaniały klub. Nie uwierzysz, kogo widziałam.

– Wracając do Presa – powiedziała Charlotte z naciskiem. – Umówiliśmy się we wtorek na drinka, wydaje mi się, że wypiliśmy maksymalnie dwa, a jemu urwał się film. O pierwszej w nocy wysłał mi esemesa z King Cole Baru, a potem poszedł piechotą na Jedenastą Aleję. Dziwne, że nikt go nie okradł.

– Zabawne. Byłam we wtorek w King Cole, ale go nie widziałam. To było wcześniej, bo Nick, Camilla i Bridie Harley chcieli się spotkać po...

– Evelyn. Skup się. Preston. Martwię się o niego. Pije o wiele więcej niż zwykle.

– Przepraszam. Przepraszam. Nie zauważyłam tego. Ja się chyba aż tak nie martwię. Jest zima, mróz na dworze, wszyscy piją więcej niż zwykle, a Pres ma mocną głowę. Za tydzień pojawi się na mojej urodzinowej kolacji w Colony. Obiecuję, że będę miała na niego oko. Tak mi przykro, że będziesz wtedy w Indianapolis. Mówiłam ci, że Camilla robi imprezę tematyczną – tropiki? Brzmi bosko.

Charlotte wyglądała na zdenerwowaną. – Tak, na pewno tak będzie. A, właśnie. Pres chciał, żebym ci to dała. Chyba pomyślał, że prędzej się spotkasz ze mną niż z nim, ale, jak wiadomo, tak się nie stało. Dlatego dziś wpadłam. Noszę to od tygodni.

Charlotte wyciągnęła coś z torebki. – Płyta Whiffenpoofs.

– Poofsi! Czekałam na ich bezpieczny powrót kilka miesięcy. Puścisz? Mój komputer jest włączony.

– Tak – Charlotte podeszła do kredensu, gdzie stał laptop Evelyn, podłączony do internetu pod dziwnym kątem i otoczony z obu stron ustawionymi pionowo albumami Slima Aaronsa. Charlotte przesunęła jeden z albumów i włożyła płytę do napędu. Kiedy zaczęła się kręcić, a chórzyci z Yale śpiewali *Rainbow*



*Connection*, Charlotte wzięła do ręki książeczkę czekową, która leżała odwrócona na kredensie. – Evelyn Beegan, nie mów mi, że nadal używasz czeków.

Evelyn nie miała pojęcia, jak długo książeczka leżała w tym miejscu. Kilka tygodni? Kiedy po raz ostatni płaciła jakiś rachunek?

– Nie korzystasz z bankowości internetowej?

– To zbyt skomplikowane. Chcesz trochę wody? Ja umieram z pragnienia – odparła Evelyn. Chciała, żeby Charlotte zmieniła temat.

– Tak.

Kiedy napełniała dwie szklanki z dzbanka Brita, słyszała dobiegający z dużego pokoju szybki stukot klawiszy komputera. – Char, co ty robisz? – zapytała.

– Tylko sprawdzam coś w sieci – odparła Charlotte. Evelyn przypomniała sobie, że latem, gdy ona była na obozie tenisowym, Charlotte kupiła sobie program Mavis Beacon Teaches Typing i nauczyła się pisanie bezwzrokowego. Najwyraźniej nadal miała tę umiejętność.

Evelyn wróciła z wodą. Charlotte stała nad sędziwym IBM-em i wręcz promieniała.

– Zobacz. Jestem taka pomocna, że wszystko ci ustawiam. Twój numer rachunku był na czeku. Potrzebujesz tylko loginu. Co to będzie, „EvBeeg”?

– Charlotte, nie chcę korzystać z bankowości internetowej. Możesz się odczepić?

– Spokojnie, Ev. Obiecuję, że to zaoszczędzi ci czas. Masz. Tylko wybierz nazwę użytkownika i hasło.

Evelyn z hukiem postawiła szklankę na kredensie i przesunęła ją do Charlotte. Szklanka zostawiła za sobą mokre ślady. Evelyn nawet nie próbowała ich ścierać.

– Czy musisz wnosić do mojego mieszkania cały ten służbowy harmider? – zapytała. – Ani trochę mnie to nie interesuje.

– Jasne, jasne. Pamiętasz, jak to było w Sheffield, kiedy nie chciałaś sobie wyrobić karty debetowej? Nadal wypisywałaś czeki w 7-Eleven i czekałaś, aż mama przyśle ci kasę pocztą. Popatrz. To śmiesznie proste.

Gdyby tylko matka przesyłała mi kasę pocztą, pomyślała Evelyn i wzięła malutki łyk wody. Smakowała jak z puszki. Wróciła na kanapę i sięgnęła po wino. Wiedziała, że musi się uporać z kwestią swoich finansów. Może Charlotte mogłaby jej pomóc? Może nie było aż tak źle, jak myślała? Wszystkie rachunki za prąd i gaz od Con Ed, za kablówkę od Time Warner Cable, pisma od firm obsługujących jej karty kredytowe leżały jak wyrzut sumienia w szufladzie na srebra. Tak bardzo nie chciała ich oglądać, że kiedy zamawiała tajskie jedzenie albo sushi, używała plastikowych sztuczków, żeby tylko nie otwierać szuflady. Ostatnio otwierała ją wyłącznie wtedy, gdy chciała wepchnąć tam kolejne koperty.

Nalała sobie kolejny kieliszek wina i wstała. – Okej. Niech będzie Evie98 – to był rok, w którym ukończyła Sheffield. Nachyliła się nad ramieniem Charlotte i wpisała swoje standardowe hasło „możedalekostąd” – z *Annie*.

– Dobrze. Okej. Pytania zabezpieczające.

Evelyn zaczęła przeglądać rozwijane menu: Marka pierwszego samochodu? Najlepszy przyjaciel z dzieciństwa? Twój bohater? Miejsce, w którym poznałeś swoją drugą połowę?

Kursor mrugał, domagając się odpowiedzi. Nie mogła zdać tego testu. Nigdy nie miała samochodu – kiedy inni robili prawo jazdy, ona była w szkole z internatem. Najlepszym przyjacielem z dzieciństwa był nie kto inny, tylko jej matka, ale nie zamierzała tego wpisywać. I kto w dzisiejszych czasach ma swojego bohatera? Za kogo się uważał ten bank, gdy próbował ją wpasować w eleganckie przegródki, które definiują klientów na rynku masowego odbiorcy?

– Ev?

– To głupie, Charlotte.

– Jesteś niemożliwa. Odpowiem za ciebie. Bohater: Brooke Astor.

– Bardzo śmieszne.

Charlotte wpisała nazwisko znanej bywalczyni salonów i zaczęła przeglądać korespondencję Evelyn ułożoną na srebrnej tacy, ale były tam tylko zaproszenia i prośby o dotacje na cele dobroczynne. – Gdzie są twoje rachunki, Ev? – zapytała.

Evelyn zaczęła się szarpać za włosy. Próbowała wymyślić odpowiedź, która jak najmniej przestraszyłaby Charlotte. – Nie wiem.

– Evelyn! Jestem teraz twoją bardzo wysoko opłacaną asystentką do spraw wpisywania danych, dzięki uprzejmości Graystone Partners. Możesz się nie zachowywać jak dwuletnie dziecko?

Evelyn przypomniała sobie, że w tym tygodniu przyszedł wyciąg z konta czekowego, którego jeszcze nie schowała do szuflady. Pomyślała, że nie powinien wywołać zbyt ostrej reakcji Charlotte – nie miała tam pokaźnej sumy, ale przynajmniej nie była na minusie. Wyciągnęła go spod katalogu Gorsuch, który leżał na stoliku w przedpokoju, i podała Charlotte.

– Mogę otworzyć? – zapytała Charlotte i nie czekając na odpowiedź, krzywo rozerwała kopertę. Evelyn nie chciała na to patrzeć, odwróciła się zatem i zaniósła do zlewu wazon dawno zwiędłych kwiatów. Wylała starą wodę, której zapach kojarzył się z bakteriami, śluzem i kwasem. Spryskała zlew odświeżaczem Caldrea, żeby zamaskować tę woń zapachem Mandarin Vetiver.

– To nie jest karta kredytowa, Ev. Potrzebuję czegoś z firmy, której płacisz rachunki.

– Hm... Nie wiem.

Charlotte potrafiła być naprawdę ostra i stanowcza. Evelyn poczuła, że zrobiła błąd, kiedy pozwoliła jej się za to wziąć.

– A tak przy okazji, gdzie lokujesz swoje oszczędności? Dobrze jest nie trzymać zbyt wielkich sum na koncie czekowym, ale powinniśmy trochę przelać, żeby wystarczyło na twoje wydatki. W którym banku masz konto? Vanguard? Schwab?

– Okej, okej – Evelyn odkręciła kran, żeby dać sobie trochę czasu do namysłu. Nie uważała, żeby jej konto czekowe było w aż tak złej kondycji, ale Charlotte zareagowała, jakby nic na nim nie było. Założyła, że ma jeszcze jakieś sekretne oszczędności albo rachunek inwestycyjny na czarną godzinę – to był kolejny aspekt życia, z którym nikt nie nauczył jej sobie radzić.

– Możemy nawet ustawić zlecenie stałe, żeby nie ruszać kwoty zainwestowanego kapitału – Charlotte spojrzała na nią wyczekująco.

Evelyn udało się wykrztusić kilka słów. – Nie teraz. Na razie jest w porządku – odparła. Czy wszyscy mieli osobne konta inwestycyjne, z których co miesiąc spływały do nich pieniądze? Jak mogła tego nie zauważyć?

– Spoko. No to wróćmy do bankowości internetowej. Ustawimy zlecenia stałe. Czyli tak: czynsz, kablówka... płacisz osobno za internet? Telefon komórkowy. No i karty kredytowe, prawda? Jakie masz? AmEx, zgadza się?

Evelyn patrzyła, jak woda przesiąka przez przybrudzoną żółtą gąbkę. Może Charlotte będzie wiedziała, co robić. Może jeśli naprawdę będzie miała kłopoty, Charlotte zaproponuje, że pożyczy jej pieniądze. Ona będzie się nieprzekonująco wzbraniać, aż w końcu z wdzięcznością się zgodzi, będzie mogła opłacić rachunki albo przynajmniej ich część, i wszystko się ułoży. Wytarła wodę wokół wazonu. – I kilka innych – powiedziała cicho.

– To znaczy?

– Visa, Barneys i Scoop.

– To Scoop ma swoją kartę kredytową? Ile wynosi roczne oprocentowanie tych wszystkich kart?

Evelyn przesuwiała gąbką po ładnych wzorach ze smug wody, przypominających te, które zostawiają samochodowe wycieraczki. Robiła to tak delikatnie, że raczej rozpryskiwała wodę na blacie, zamiast go zmywać. – Nie jestem pewna.

– W każdym razie potrzebuję wyciągów.

– Wyciągów.

– Wyciągów.

Evelyn chwyciła drugą butelkę wina i poszła z nią na kanapę. Usiadła i się uśmiechnęła. – Siadaj, Char.

– Nie, nie chcę, żeby mnie wylogowało.

– Słuchaj, bierz otwieracz i wypijemy jeszcze kieliszek. Okej?

– To nie potrwa długo.

– Naprawdę. Czas na wino.

Charlotte niechętnie odeszła od komputera i poszła do kuchni.

– Nie widzę go – powiedziała.

– Otwieracza? Powinien być w górnej szufladzie.

Evelyn usłyszała skrzypnięcie, a potem zapadła cisza. – Znalazłaś?

Charlotte nie odpowiadała. Evelyn podniosła się z kanapy i poszła do kuchni. Zobaczyła, jakby w zwolnionym tempie, że Charlotte otworzyła jej szufladę na srebra. Odwróciła się i Evelyn spostrzegła w jej ręku zdradziecki niebieski dokument z American Express. Pusta koperta balansowała na krawędzi blatu.

Przez minutę przyglądały się sobie.

– Odłóż to, Charlotte. Odłóż – powiedziała w końcu Evelyn.

Zastygły w miejscu. Żadna z nich się nie ruszała. Żadna nic nie mówiła. Gołąb otarł się o szybę i zagruchał przerażony.

– Wiesz, ile jesteś winna? – zapytała Charlotte. – Wiesz, ile jesteś winna?

Evelyn oparła się rękoma o framugę drzwi w kuchni. – Odłóż ten rachunek, Charlotte. Nie masz prawa przeglądać moich rzeczy. Nie masz prawa.

– To nie ma teraz znaczenia, Evelyn. Potrzebujesz pomocy. Twoja karta kredytowa... a to tylko jedna z nich...

– Wszystko jest w porządku. Okej, Charlotte? Wszystko jest w porządku.

– Nie. Nie jest w porządku. Nie jest w porządku – odparła Charlotte, wymachując papierami. – Myślałam, że to są twoje punkty, ale na karcie AmEx masz sześćdziesiąt pięć tysięcy długu. Zdajesz sobie sprawę, co... nie, w porządku, jakoś się z tym uporamy. Usiądziemy, wyliczymy wszystkie kwoty minimalne i zrobimy transfer między rachunkami...

– Płacę kwoty minimalne – powiedziała głośno Evelyn, ale widząc reakcję Charlotte na ten rachunek, który był tylko jednym z kilku, poczuła strach, który przeszył ją jak ostry nóż. Problem był potężny. Pożyczka od Charlotte nie mogłaby go rozwiązać. Nic nie mogłoby go rozwiązać.

– Nie. Nie. Widzisz... widzisz to? Spóźniałaś się z wpłatami kwot minimalnych, więc roczna stopa procentowa wzrosła do dwudziestu dwóch procent. To znaczy, że wydajesz... wydajesz tysiące dolarów na opłaty za tę jedną kartę.

Charlotte wyjęła z szuflady stos nieotwartych kopert. To były nowe rachunki i Evelyn nie zapłaciła jeszcze nawet kwot minimalnych. Dźwięk rozrywanych kopert przyprawiał ją o dreszcze. – Zobacz, Barneys... i... o Jezu... Visa. Nie możesz mieć tylu niespłaconych kart, Ev. To zmasakruje twój rating kredytowy – powiedziała i zaczęła gorączkowo przerzucać rachunki, jakby liczyła na to, że trafi jej się lepsze rozdanie. Kiedy tak stała nad papierami, wygłaszała sądy, histeryzowała i obiecywała pomoc, co wprawiało Evelyn w jeszcze gorszy nastrój, wyglądała brzydko i niechlujnie. Skóra na jej nosie była tłusta i porowata, a włosy, nie dbale spięte w koński ogon, wymykały się spod gumki. Evelyn czuła coraz większe ciśnienie w żołądku, ale nie chciała pokazać Charlotte, że jej słowa robią na niej wrażenie.

– Karta kredytowa daje ci kredyt – powiedziała powoli, starannie wymawia-

jąc każde słowo. – Proszę, żebyś stąd wyszła.

– Nie, Evelyn. Cztery tysiące dolarów od Gucciego? Dziewięć tysięcy od Saksa?

– Zostaw moje rzeczy.

– Ev, twoi rodzice... mogą pomóc...

– Chyba przeczytałaś już wszystko na temat mojego ojca, więc wiesz, że nie mogą. Proszę, Charlotte, odłóż te papiery na miejsce. W tej chwili.

Podeszła do Charlotte, wyrwała jej koperty z ręki, wepchnęła je do szuflady i ją zamknęła, choć z pewnym trudem, ze względu na piętrzący się z tyłu stos. Charlotte otworzyła usta i zaraz je zamknęła, zrobiła krok do tyłu i prawie potknęła się o próg. Evelyn stała nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym w szufladzie, jakby nieustanna czujność mogła powstrzymać zawartość przed przeciekaniem do jej życia. W końcu usłyszała, że Charlotte zbiera swoje rzeczy, a potem rozległ się trzask zamykanych drzwi. Nie ruszyła się z miejsca. Drżała z wysiłku, który musiała włożyć w utrzymanie wszystkiego pod kontrolą.

## Rozdział osiemnasty

### People Like Us

– To jakiś kiepski żart – powiedziała ostro Evelyn do ściany z ciemnego drewna, na której wisiały oprawione w ramy koszulki sportowe. Jin-ho poprosił o przysługę swojego kolegę, który pracował w zarządzie Rangersów. To zaś w jakiś ohydny sposób sprawiło, że w sobotnie popołudnie w kwietniu w barze na Midtown East miała się odbyć transmisja meczu Rangersów z Devilsami, sponzorowana przez People Like Us. Piękne, powściągliwe logo i czcionka People Like Us – stylizowany *fleur-de-lis*, który Evelyn pomogła wybrać i który miał budzić skojarzenia z europejską arystokracją – widniały teraz na afiszach nad dwoma kaskami hokejowymi.

Evelyn westchnęła najgłośniej, jak się dało, choć była zbyt daleko od pozostałych obecnych tu osób – biuściastych dziewczyn, które Jin-ho zatrudnił przez jakąś firmę zajmującą się event marketingiem, i od pracowników rozstawiających krzesła i dzbanki na piwo – żeby ktokolwiek ją słyszał.

Odwróciła się w stronę brudnych szklanych drzwi, przez które do środka wpadało mroźne powietrze, i wybrała numer Camilli.

– Czytasz mi w myślach – powiedziała Camilla na powitanie. – Właśnie mieliśmy iść na lunch do... gdzie to jest? Nie wiem, gdzieś w Chinatown. Będziemy jeść pierożki z zupą w środku i upijać się tanim winem. Dołącz do nas. Nie, z węzowej skóry proszę – powiedziała do kogoś po drugiej stronie słuchawki.

– A ja, wyobraź sobie, jestem w barze sportowym na Midtown East. Tu jest strasznie.

– Po co tam poszłaś?

– Event People Like Us.

– Nudziarstwo. Phoebe mówi, że to miejsce, gdzie idziemy, serwuje najlepszą chińszczyznę w mieście. Kompletna nora. Potem poszukamy chińskiego ziółka, który sprawi, że będziemy wiecznie młode. Mówiłam ci o korzeniu rdestowca, prawda? Czy ja chcę balerinki z węzowej skóry?

– To takie smętne, Camillo.

– Są w bardzo ładnym odcieniu zieleni.

– Nie. Chodzi mi o event PLU. Naprawdę nie wytrzymam.

– No to wyjdź. Chodź do nas. Potem wybieramy się na akupunkturę stóp. To pierwszy od wieków dzień bez mrozu.

– Nie mogę. Mam prowadzić rekrutację podczas tego eventu, ale to tak strasznie niedobre dla PLU, że nawet nie umiem tego wyrazić.

Dziewczyna z firmy zajmującej się planowaniem eventów, w skurczonym

podkoszulku z nazwą PEOPLE LIKE US! zapisaną kursywą w kolorze magenta i widniejącą na tle wielkich piersi, złapała ją za łokieć.

- Przepraszam. People Like Us, prawda?
- Rozmawiam przez telefon – odparła Evelyn.
- Potrzebujemy pani do pomocy w pewnej pobocznej kwestii.
- Zajmę się tym, jak skończę rozmowę.
- Musi się tym pani zająć teraz. Goście przyjadą za dziesięć minut.
- Chwileczkę – Evelyn znów zaczęła mówić do telefonu: – Millo, przepraszam, jakaś dziewczyna w dziecięcej koszulce suszy mi tu głowę. Zadzwoń, kiedy będę wychodziła, dobrze? Może spotkamy się przy barze Sixty-eight?
- Pewnie będę wtedy drzemała, ale zadzwoń.
- Dziękuję za komplement – powiedziała dziewczyna przesłodzonym głosem, kiedy Evelyn zakończyła połączenie.
- Do usług – odparła Evelyn takim samym tonem. – O co chodzi?
- Powiedziano mi, że pomoże pani z ulotkami reklamowymi.
- People Like Us nie ma ulotek reklamowych. To jeden z elementów całej koncepcji.
- Są ulotki, a pani szefowie chcieli, żeby wręczać je gościom osobiście.
- Ulotki? Kto zrobił ulotki?
- Nasza firma, na zlecenie People Like Us.
- To jakiś absurd. Nawet o tym nie wiedziałam, a przecież jestem dyrektorem do spraw członkowskich.
- Może powinna pani przymierzyć jedną z naszych dziecięcych koszulek i zobaczyć, dokąd to panią zaprowadzi? – odparła kobieta. – W sprawie broszurek proszę pójść do Simona, jest z tyłu.

Evelyn przekradła się na tyły, gdzie stał człowiek z plakietką: CZEŚĆ, NAZYWAM SIĘ... SIMON. Trzymał w ręku stos ulotek. Evelyn wzięła jedną ze środka, przez co kilka innych spadło na podłogę. Simon schylił się szybko, żeby je podnieść, a ona popatrzyła na ulotkę. Zdążyła tylko przeczytać: „People Like Us, nowy portal społecznościowy, dzięki któremu możesz się połączyć z innymi fanami \* sportu \* muzyki \* programów telewizyjnych”, kiedy usłyszała za sobą głos Jin-ho. Obróciła się.

– Co to ma być, do diabła? – zapytała, trzymając ulotkę w dwóch palcach, jakby to była zużyta chusteczka. – Łączenie się z fanami muzyki i telewizji? Myślałam, że wycieczka do piwiarni to zły pomysł, ale coś takiego? Naprawdę?

Jin-ho był denerwująco spokojny. Wziął od niej ulotkę i starannie ułożył na stole.

– Prosililiśmy o wzrost liczby użytkowników i go nie było, więc próbujemy czegoś innego – powiedział.

– Bez konsultacji ze mną?

– W kółko cię prosiliśmy, żebyś zmieniła strategię, ale ty odpowiadałaś, że twoim modnym przyjaciołom by się to nie spodobało.

– Nie mówiłam nic takiego i doskonale o tym wiesz. Mówiłam, że musimy odróżnić portal od dziesiątków innych stron. I wybaczyć, ale nie uważam, że telewizyjna transmisja hokeja i jakieś ulotki z fotografiami z banku zdjęć to właściwa droga. Przepraszam, ale to absurd. Na podłodze jest piwo, są trociny, toalety to jedno wielkie złamanie przepisów sanitarnych, a już niedługo ludzie wracający z pracy będą tu przychodzili się narąbać przed przyjazdem pociągu do Paramus o szesnastej piętnaście. To z definicji nie są ludzie tacy jak my.

Evelyn widziała, że uszy Jin-ho robią się różowe.

– Szczerze mówiąc, nie jestem zaskoczony twoją odpowiedzią, Evelyn. Twoje nastawienie od tygodni, jeśli nie od miesięcy, jest okropne i nie robisz tego, o co cię prosimy.

– Zapewniłam wam najlepszych możliwych członków. Camillę Rutherford? Bridie Harley, która na rozdaniu Oscarów siedzi w pierwszym rzędzie w sukience od Caroliny Herrery, choć ma dopiero dwadzieścia osiem lat? Caperton Ripp, którego rodzina właściwie stworzyła Charleston?

– To było wtedy, kiedy zaczynałaś. A co zrobiłaś przez ostatnie trzy miesiące, Evelyn? Tak naprawdę? Wskaż jedną rzecz.

– Podrzucałam wam jeden pomysł za drugim i słyszałam tylko: nie.

– Twoje pomysły niezbyt dobrze pasują do naszej strony.

– Oj, przepraszam. Miałam takie wrażenie, że użytkownicy People Like Us są, bo ja wiem, dobrze wykształceni. Albo obyci w świecie. Albo interesują się sztuką. Po części dlatego, iż powiedziałeś mi, że takich ludzi szukasz. I takich załatwiałam. Więc wybaczyć, że pomyślałam, iż ten mecz hokeja, który zorganizowałeś z przyjacielem z Rangersów, jest rażąco niezgodny z polityką marki.

– Tak, Evelyn, bardzo dobrze znasz tę grupę i nigdy nie przestajesz nam o tym przypominać. Ale mimo to nie robiłaś tego, o co cię prosiłem, czyli nie zwiększałaś liczby członków do poziomu, którego życzy sobie Ulrich.

– To zmniejszy wartość wszystkiego, co robi People Like Us – powiedziała Evelyn. Jin-ho po prostu stał w miejscu. Wpatrywała się w niego i czekała, aż przyzna, że się mylił.

Jin-ho patrzył w punkt za jej plecami. Simon zniknął, a biuściaste dziewczyny się przepychały, żeby zdobyć zapasy z barowej kuchni. – To się nie sprawdza – powiedział Jin-ho. – Będziemy musieli ci podziękować.

– Zwalniasz mnie? – zapytała.

– Tak. Ann zadzwoni do ciebie w poniedziałek w sprawie formalności.

– Zwalniasz mnie w barze? W barze, pod drzwiami toalety?

– Przykro mi, jeśli to nie przystaje do twoich wysokich standardów – uszy Jin-ho były teraz intensywnie czerwone, choć jego twarz nie miała w sobie wiele



koloru. – Od jakiegoś czasu twoje wyniki są niezadowolające i jeżeli nie chce ci się brać udziału w wydarzeniu, które według nas ma kluczowe znaczenie dla przyszłości witryny, nie mamy już więcej pytań.

– Chcę porozmawiać z Arunem.

– Arun jest tego samego zdania. Mieliśmy się tym zająć po powrocie do biura, ale po co to przeciągać?

– Posłuchaj. Mogę wykonywać tę pracę. Moje pomysły były naprawdę dobre. Jeśli tak bardzo ci zależy na tych wydarzeniach sportowych, w porządku. Zacznę pracować nad wydarzeniami sportowymi, choć chcę wyraźnie i głośno powiedzieć, że moim zdaniem to pomyłka.

– Nasz zespół jest mały i szczerze mówiąc, potrzebujemy graczy zespołowych, a nie bywalców salonów, udających, że pracują na etacie – spojrzał na zegarek. – Muszę wszystko przygotować na ten event. Powodzenia – zakończył i przeszedł za jej plecami do kuchni.

Evelyn stanęła jak wryta, ale po kilku sekundach dziewczyna w przykrótkiej sukience potrąciła ją ramieniem. Evelyn obróciła się, chwyciła torebkę, przeszła przez bar i wyszła do bezdrzewnej części Madison, mocno mrugając na kwietniowym słońcu, które nie miało w sobie radości. Z jednej strony myślała, że powinna przedstawić sprawę Arunowi, zawsze bardziej empatycznemu z dwójki dyrektorów. Ale co potem? Nadal będzie maszerowała do tego obskurnego biura, podczas gdy jej przyjaciele będą rozkwitać i wzrastać jak w cieplarni? Autobus M2 podjechał do krawężnika, stanął i buchnął na nią obłokiem brudnych spalin. Widniała na nim brązowa reklama Cellina i Barneses, prawników specjalizujących się w sprawach nieszczęśliwych wypadków. Drzwi się otworzyły i zaczęły piszczeć, wymuszając na niej podjęcie decyzji. Myśleli, że jest bywalczynią salonów? To dlatego odrzucali jej dobre pomysły? No i dobrze. Zostanie bywalczynią salonów.

Ruszyła gniewnie w stronę bardziej eleganckiej części miasta. Ta okolica Madison była tak okropna – z mnóstwem gabinetów dentystycznych, kiosków z kanapkami, sklepów aspirujących do miana luksusowych, których właściciele nie byłoby stać na czynsz w bardziej prestiżowych częściach miasta – że po dwóch przecznicach poszła na zachód, zamiast skręcić na wschód, gdzie mieszkała. Otworzyła się przed nią Piąta Aleja, szeroka i dumna, a w tle Central Park – drzewa zaczynały wypuszczać zielone liście i zamknięte pąki. Przeszła przez ulicę. Czowała na sobie spojrzenia turystów: Kto to jest? Czy to ktoś ważny? Tak, odpowiadała im w myślach i żeby to udowodnić, pchnęła drzwi do Bergdorfa.

Zdusiła niedającą jej spokoju myśl, że nie powinna wydawać pieniędzy. Kiedy wszystko jest do kitu, można robić, co się chce, byle tylko przetrwać. Była pewna, że Camilla kiedyś powiedziała: w problemy rzucaj pieniędzmi. Od People Like Us dostanie opcje na akcje i prawdopodobnie jakiś rodzaj odprawy albo premii pożegnalnej. Teraz chciała tylko zjeść lunch i spróbować sprawić, żeby ten

dzień był odrobinę miłszy.

Na siódmym piętrze zamówiła sałatkę gotham i chenin blanc. To tutaj było jej miejsce, ponad brudnymi ulicami, w towarzystwie ludzi, którzy naprawdę ją lubili, a nie w People Like Us. Kiedy zamówiła espresso z odrobiną cytryny i położyła na stole swoją ładną srebrną kartę Visa, poczuła, że dochodzi do siebie.

Kilka minut później, gdy odwróciła wzrok od Central Parku za oknem, zauważyła, że kelner nadal nad nią stoi. Trzęsły mu się wąsy.

– Tak? – zapytała chłodnym tonem.

– Psze pani, bardzo przepraszam, ale czy ma pani może inną kartę, z którą moglibyśmy spróbować?

To „psze pani” ją zdenerwowało. Poczowała się staro i potrzebowała chwili, żeby zinterpretować jego słowa. – Pardon? – odparła. – Słucham? – poprawiła się po chwili, kiedy przypomniała sobie zasady Nancy Mitford.

– Transakcja została odrzucona.

Wydawało się, że kelner specjalnie podniósł głos. Evelyn gorączkowo rozejrzała się po sali, żeby sprawdzić, czy słyszały to siedzące dookoła niej blondynki z włosami spiętymi w koki.

– To musi być jakiś błąd – powiedziała Evelyn. – Proszę spróbować jeszcze raz.

Wzięła ze sobą tylko srebrną kartę Visa, bo wiedziała, że przynajmniej na niej zapłaciła kwotę minimalną. Czyżby tak nie było? Visa nie mogła chyba zablokować jej karty, jeśli spóźniła się z wpłatą tylko o miesiąc lub dwa? Czy w takim wypadku nie wysłaliby jej listu? A może wysłali? Czy w posiadaniu karty kredytowej nie chodzi o to, żeby mieć kredyt? Srebrna karta mrugała do niej, naśmiewała się z niej. Odczuła ulgę, gdy kelner ją zabrał.

Do jej uszu dobiegała jakaś natarczywa melodia grana na pianinie. Brzmiała jak rosyjska. Evelyn zamrugała. Młoda dziewczyna zderzyła się z jej krzesłem – jęczała do matki, że są już spóźnione na spinning. Evelyn zauważyła, że ma na sobie żakiet Marni z tego sezonu. Jeśli sytuacja z rachunkami była aż tak zła, jak myślała Charlotte... ale nie, nie mogło tak być... Przypomniała sobie, że w czwartek otrzymała pismo z informacją, że zalega z czynszem za kwiecień i musi go natychmiast zapłacić. Próbowwała pójść za radą instruktorki jogi z Equinox – podziękować każdej myśli za przybycie, a potem pozwolić jej odpłynąć, ale myśli nie odpływały i nie mogła ich przegonić, nawet tutaj, w miejscu, które miało być jej ucieczką.

Zacisnęła szczęki i je rozluźniła. Kelner wrócił i zanim zdążyła się choćby wyprostować, podał jej kartę na srebrnej tacy. Rachunku nie było.

– Przykro mi, psze pani.

– Przepraszam na chwilkę, muszę to wyjaśnić – odezwała się Evelyn.

Kelner cofnął się o krok, ale pozostał przy stoliku.

– Powiedziałam: przepraszam. Potrzebuję kilku minut.

Kelner odwrócił się na pięcie i odszedł.

Ostrożnie podniosła kartę i się jej przyjrzała. Z tyłu był numer telefonu zaczynający się od 800. Wstukala go do telefonu. – Obsługa klienta – powiedziała cicho, gdy poproszono ją o wybór działu. „Obsługa klienta. Obsługa klienta. Obsługa klienta. Obsługa klienta!” – powtarzała automatyczna sekretarka.

Przywitał ją głos kobiety, która mówiła z nieokreślonym akcentem.

– Dzień dobry. Moja karta kredytowa nie działa. Sprawdźcie to, proszę, bo chciałabym zapłacić za lunch – powiedziała Evelyn.

– Dobrze, psze pani – odparła kobieta. To „psze pani” było pełne ciepła i sympatyczne, nieoceniające, jak się tego spodziewała. – Kiedy będę sprawdzała szczegóły, z chęcią opowiem o ofertach specjalnych i usługach dostosowanych specjalnie do pani potrzeb. Psze pani, nie spłacała pani kwot minimalnych i dopóki płatności nie zostaną uregulowane, musimy wstrzymać autoryzację. Czy chciałaby pani uregulować je teraz?

Evelyn przysunęła krzesło bliżej do okna i nachyliła się do telefonu. – Chodzi o to, że muszę zapłacić za lunch, a system odrzuca kartę. Czy możemy temu zaradzić?

– No cóż, psze pani, nasze rejestry pokazują, że ostatnia wpłata była dokonana w lutym, a saldo należności wynosi...

– Nie zdawałam sobie sprawy, że to tak dawno. Naprawdę, bardzo dużo się teraz u mnie dzieje. Miałam zamiar zapłacić.

– Rozumiem, psze pani. Zawsze z radością pomagamy naszym cenionym klientom. Mam możliwość przygotować teraz dla pani plan płatności.

– Proszę posłuchać, chodzi o to, że w tym momencie jem lunch, niedawno wymieniłam portfel i mam dziś przy sobie tylko tę jedną kartę. Rozumie pani, wcześniej musiałam być na pewnym okropnym wydarzeniu w barze sportowym i naprawdę nie mam wyboru, muszę zapłacić za lunch tą kartą. Nie może pani nic zrobić?

– Tak, psze pani, proszę poczekać, zobaczę, co mogę dzisiaj pani zaproponować.

Po kilku minutach muzyki Hall & Oates kobieta odezwała się znowu.

– W tej chwili mogę autoryzować kolejne obciążenia, jeśli przeniesiemy saldo na kartę Pewter Card. Jest to nowa karta, stworzona specjalnie z myślą o klientach w trudnej sytuacji kredytowej, takich jak pani. Z tą ofertą wiąże się wyższe roczne oprocentowanie i coroczna opłata. Czy chciałaby pani poznać szczegóły oferty?

– Nie. To znaczy, to mi się podoba. Czyli mogę teraz skorzystać z karty?

– Tak, psze pani, będzie pani mogła teraz użyć karty, a także swojej nowej karty Visa Pewter Card, jak tylko przyjdzie pocztą. Potrzebuję tylko wyraźnego

„tak”, żeby aktywować nową usługę.

– Okej. Tak. Świetnie.

– Czy mogę w czymś jeszcze pomóc?

– Nie. Dziękuję. Bardzo dziękuję.

Evelyn się rozłączyła i spojrzała na swoje odbicie w szybie, wygładziła włosy i podniosła rękę, żeby przywołać z powrotem kelnera. Miała nadzieję, że gest był odpowiednio znudzony. – Bałagan w banku – powiedziała, gdy się pojawił. Nie mogła odmówić sobie złośliwego uśmiechu. – Może pan obciążyć kartę.

Następnego dnia zadzwoniła Ann i powiedziała, że nie kwalifikuje się do opcji na akcje, bo nie przepracowała w firmie pełnego roku, a poza tym nic nie wskazuje na to, że People Like Us będzie wystawione na sprzedaż, więc i tak nie miałyby ich jak upłynnić. Firma nie zaproponowała odprawy, bo najwyraźniej był to przywilej, a nie prawo, i na pewno by się do niej nie kwalifikowała, skoro została zwolniona za kiepskie wyniki. Kiedy zapytała o premię pożegnalną, Ann wybuchnęła śmiechem.

W poniedziałek, po zignorowaniu telefonu i wiadomości głosowej z Sag Neck – rodzice byli ostatnimi ludźmi, z którymi miałyby ochotę teraz rozmawiać – spotkała się z Camillą na lunchu w Café Sabarsky. Chciała zapewnienia, że jeśli straci tę pracę, wszystko będzie w porządku. Camilla nie miała wątpliwości: to najlepsze, co mogło jej się przytrafić, i wszystko się ułoży.

– Skarbie – powiedziała – teraz możesz się skupić na prawdziwym życiu. Chciałaś się mocniej angażować w działania charytatywne i teraz naprawdę się tym zajmiesz, zamiast tracić czas na tę okropną drogę do pracy i z powrotem. Będiesz absolutnie zachwycona. I w końcu będziesz dla mnie dostępna w ciągu dnia.

Camilla posłała jej uśmiech z gatunku: życie ma kolor złota, a Evelyn od razu poczuła się lepiej. Camilla miała rację. Owszem, Evelyn miała rachunki do zapłacenia, ale jej marna pensja i tak niewiele by tu zmieniła. Miała odrobinę na koncie emerytalnym 401(k), z którego mogła korzystać, dopóki nie pojawi się coś albo ktoś, kto zapewni jej takie życie, na jakie zasługiwała. Camilla nigdy za nic nie płaciła, a Evelyn była przecież niemal na tym samym poziomie. Na razie Scot mógł się zajmować kolacjami i tego typu sprawami, a jeżeli wszystko inne zawiedzie, mogła zawsze za niego wyjść albo w ogóle dobrze wyjść za mąż.

Tak jak powiedziała Camilla, będzie teraz miała czas, żeby skupić się na komitetach dobroczynnych i bardziej regularnie chodzić na siłownię. Może też mocniej zaangażować się w Bal – spotkania organizacyjne odbywały się w południe i nie będzie miała problemu, żeby w nich uczestniczyć. Te wszystkie wydarzenia na Manhattanie, które nie wchodziły w grę, gdy miała pracę, teraz stały przed nią otworem. Pomyślała o tych zenujących chwilach, kiedy musiała zadzwonić z pracy do dermatologa, a Clarence sapał obok i słyszał wszystko o jej nawrotach egzemy. Pomyślała o tym, że gdy wracała z pracy, pralnia chemiczna była zawsze

zamknięta, przypomniła sobie, że już kilka tygodni temu kafelki w łazience zaczęły odpadać, a ona musiała być w pracy w godzinach, w których gospodarz domu mógł się tym zająć. Nie miała czasu na żadną z tych spraw. Chciała się nauczyć gotować, ale zajęcia zaczynały się o piątej, chciała się uczyć włoskiego, ale kursy były we wtorki i w czwartki w południe. Po prostu nie było możliwości, żeby pracowała i jednocześnie robiła wszystkie inne rzeczy. Jak to zawsze powtarzała Camilla: wyszło na dobre i wszystko się ułoży.

## Rozdział dziewiętnasty

### Szkocki taniec

Czwartego dnia bez pracy poczuła, że bardzo jej odpowiada ten stan rzeczy i staje się jej drugą naturą. Wstała, kiedy miała na to ochotę – zachęciło ją słońce, delikatnie muskające ją przez szybę, a nie natarczywy budzik. Poszła na lekcje jogi, które odbywały się późnym rankiem, następnie spacerowała po parku, patrzyła na pąki kwitnącej wiśni, wróciła do domu, wzięła prysznic, przebrała się i wyszła do fryzjera, z którym udało jej się umówić dzień wcześniej wieczorem, bo jej czas był tak elastyczny.

Potem wstąpiła na herbatę i makaronik do Payard, zajęła krzesło pod bursztynowym żyrandolem i wyciągnęła telefon. Na poczcie głosowej miała kolejną wiadomość od rodziców, ale jej nie odsłuchiwała. Przełączyła się na wiadomości tekstowe. Odkładała to, ale na wieczór umówiła się ze Scotem, a esemesy wydawały się łatwiejsze niż prawdziwa rozmowa. Napisała: „Zgadnij, co się stało?”, skasowała, spróbowała inaczej: „Nowe wieści”, ale to też usunęła i w końcu napisała i wysłała wiadomość: „Mam wielką nowinę...”.

Odpowiedź Scota nadeszła w ciągu kilku sekund: „?”.

„Opowiem wieczorem”.

„Wolałbym wiedzieć teraz”.

Evelyn najpierw napisała: „Podziękowali mi”, potem: „Zwolnili mnie z pracy”, a w końcu zdecydowała się na: „Redukcje etatów w PLU. Ja. NIE martw się. Tak lepiej”.

„Zwolnili cię? Wszystko u cb ok?”.

„Zredukowali. Tak. Dobrze jest”.

„Co chcesz robić?”.

Evelyn odgryzła maleńki kawałek czekoladowego makaronika, złoty listek rozpuścił jej się na języku. Nie wiedziała, co odpisać, więc postanowiła udawać, że nie widziała pytania.

„Wieczor w Sothebys?”.

„Naprawdę wszystko OK?”.

„Super. Pa!”.

Tym razem nie przeszkadzało jej, że będzie musiała przyjechać sama na event – firmowaną przez Scottish Society zbiórkę pieniędzy w Sotheby's, gdzie razem z Camillą miała się pojawić na parkiecie jako modelka. Mogła przyjechać z domu, rześka i wypoczęta, w niewygniecionej sukience i w świeżym makijażu. Wreszcie startowała z tego samego poziomu co reszta dziewczyn.

Kiedy minęła falangę dudziarzy i weszła do sali, natychmiast zauważyła Pre-

stona. Wyglądał, jakby był już po kilku drinkach, i wpatrywał się w paprotkę.

– Potrzebny mi stek – jęknął, gdy do niego podeszła.

Przemknęło jej przez głowę, że może powinna się zaniepokoić. Wciąż pamiętała, jak zmartwiona jego pićm była Charlotte. Zobowiązała się, że na przyjęciu urodzinowym będzie go obserwowała, ale zajęła się wtedy czymś zupełnie innym.

– Drogi P. – powiedziała. – A więc przyszedłeś.

– Droga E. – odparł. – Świeżo upieczona dwudziestosiedmiolatko. Chyba nie widziałem cię od czasu urodzinowej kolacji.

– Było świetnie, nie uważasz? Bridie Harley wzniosła niesamowity toast, prawda?

– Coś w tym stylu – zgodził się Preston i poprawił okulary, które opadły.

– Byłam naprawdę zaszczyczona, że znalazła czas. Tego samego wieczoru miała kolację w Central Park Conservancy, a mimo wszystko wstąpiła na moje przyjęcie.

– Cieszę się, że dziewczyna ma dobrze ustawione priorytety.

– Nie mogłam uwierzyć, że Camilli udało się przekonać Colony do tropikalnej imprezy tematycznej. Nie uważasz, że palmy były świetne?

– Odrobina Polinezji w tej smętnej porze roku. *Gdy kwiecień deszczu rzęsi-  
stym strumieniem...*

– *Marcową suszę zmoczy do korzeni*<sup>2</sup>. Naprawdę nie widziałam się z tobą od tamtego czasu.

– No cóż, moja droga, za każdym razem, kiedy próbuję umówić się z tobą na kolację, kończy się na wyjściu w wielkiej grupie.

– A jednak Scottish Society cię zwabiło?

– Nie mogłem przegapić okazji do włożenia kiltu bez bielizny – odparł Preston. Miał na sobie garnitur.

– Właściwie to się cieszę, że zastałam cię samego.

– No, no, no. Bezpośrednie maleństwo – powiedział i wyszczerzył do niej zęby.

– Kiedy to robisz, wyglądasz jak zły wilk.

– Grr – warknął Preston zaskakująco głośno, pochylił się do przodu i wyciągnął rękę, udając, że to łapa, ale kiedy część gości zaczęła się odwracać i sprawdzać, skąd dobiegł ten hałas, on już rozglądał się razem z nimi z miną niewiniątka.

– Cicho bądź, Preston! Ludzie na ciebie patrzą – powiedziała Evelyn. Dwie nieco starsze dziewczyny z towarzystwa – Alix Forrester Landau, której ojciec podobno miał prywatny numer inwestora Berniego Madoffa, i Gemma Lavalley, której matka zapoczątkowała linię kosmetyków z podkładami z dodatkiem kruszonych pereł – wyciągały szyje i szukały źródła dźwięku.

– Nie wiedziałem, że tak łatwo wprowadzić cię w zakłopotanie – odpowiedział

Preston.

- Gemma i Alix niemal się na nas gapią.
- Dlaczego obchodzą cię Gemma i Alix? – zapytał.
- Obchodzą mnie gracia i elegancja.
- Powtórzę pytanie: dlaczego obchodzą cię Gemma i Alix?

Evelyn westchnęła.

– Och, miałam cię o coś zapytać. Zastanawiałam się, czy twoja mama mogłaby mi pomóc z komitetem wspierania centrum onkologicznego Sloan Kettering. Zasiada przecież w zarządzie instytutu Dana Farber, musi znać ludzi ze Sloan Kettering, prawda?

Preston milczał, dotykał paprotki. Dopiero po chwili odpowiedział:

– Powinnaś poprosić o pomoc swoje koleżanki Gemmę i Alix.

– Nie. Znam ludzi w komitecie. Nie o to chodzi. Po prostu bardziej by mi pomogło, gdyby ktoś taki jak twoja mama mógł... mógł nadmienić, że byłabym dobrym członkiem zarządu.

– Moja mama chyba nie załatwia nic ze Sloan Kettering.

– Wiem, ale to środowisko jest małe. Proszę tylko, żeby o mnie wspomniała.

– Moja matka ledwo... – urwał, wyraźnie pochłonięty kostką lodu, którą próbował zepchnąć rurką na dno drinka. – Spróbuję z nią porozmawiać – powiedział w końcu, nie odrywając wzroku od szklanki. – Ale potrzebuję kolejnego drinka.

Evelyn sięgnęła po jego szklankę.

– Przyniosę ci w ramach podziękowania za twoje usługi – odparła. Spodziewała się, że Preston się roześmieje, ale on wyrwał jej szklankę. – Ja się tym zajmę – powiedział i ruszył w stronę baru.

Nick i Scot przyjechali razem o siódmej piętnaście, w tej samej chwili, kiedy pojawiła się Camilla. Kilka tygodni wcześniej Camilla przestała spotykać się z Nickiem. Wyjaśniła Evelyn, że próbuje uprościć i oczyścić swoje życie, według rady mistrza reiki, do którego chodziła. Nick był zdeterminowany, żeby pokazać, jak niewiele to zerwanie, o ile można to tak nazwać, dla niego znaczy. Z kolei Camilla wydawała się naprawdę o tym nie myśleć, kiedy nachylała się do powitalnego pocałunku. W odpowiedzi Nick zmierzył ją tęsknym spojrzeniem od stóp do głów.

– Cześć, Millo, cześć, chłopcy – powiedziała Evelyn. Jednocześnie próbowała sobie wyobrazić, jak wygląda, kiedy tak stoi z kieliszkiem szampana i rozmawia z Camillą. Chwilę później fotograf z agencji Patrick McMullan zrobił dokładnie takie zdjęcie, na jakie liczyła. Pochyliła się do przodu i jak profesjonalistka powiedziała do jego dyktafonu: – Beegan. B-E-E-G-A-N.

Camilla tylko mu pomachała. Nie musiała mówić, kim jest.

– Dobry dzień na parkiecie – powiedział Nick. – Dow trzynaście tysięcy? Co takiego?

– Tak jak mówiłem: trend jest twoim przyjacielem – odparł Preston. Otrzą-



snął się z tego, co gnębiło go wcześniej, pomyślała Evelyn. – Słyszeliście w zeszłym tygodniu monsieur Paulsona? To całe wariactwo z kredytami subprime zostało opanowane i Paulson wierzy, że rynek nieruchomości znowu zanotuje wzrost. No to co, kupujemy jakieś osiedla?

– Paulson nigdy nie powinien był odchodzić z Goldmana – powiedział Nick. – Tyle pieniędzy przeszło mu koło nosa. Umowy sypią się teraz jak z rękawa.

– Subprime i takie tam naprawdę są pod kontrolą? – zapytał Scot. – Rynek kredytów hipotecznych zaczyna wariować. Zaproponowałem, że poręcę mamie kredyt hipoteczny – kupowała nowy dom, a miała złą historię kredytową. W banku w Arizonie powiedzieli, żebym nie zawracał sobie głowy poręczaniem, bo to zbędne formalności, a w razie czego oni włożą tę hipotekę w pakiet i sprzedadzą innemu bankowi. Próbowali też ją nakłonić, żeby pożyczyła więcej pieniędzy, niż potrzebowała, a szczerze mówiąc, nie powinna się kwalifikować do żadnych pożyczek. Na coś takiego nie jestem w stanie się zgodzić. Nie jestem pewien, czy kryzys da się opanować, jeśli banki tak postępują.

– Ty to potrafisz zdołować, chłopie – powiedział Nick. – Dlaczego po prostu się tym nie cieszysz, póki trwa?

– Bo włącza mi się dzwonek alarmowy, Nick. Banki tworzą i sprzedają obligacje zabezpieczone długiem, fundusze hedgingowe dokonują na nich arbitrażu, kredytodawcy dalej udzielają kredytów hipotecznych i nikt nie ma zielonego pojęcia, co leży u podstaw tych holdingów, prawda? Ta sprawa z moją mamą dała mi do myślenia.

– Kto zresztą bierze kredyt hipoteczny? – powiedziała Camilla. – Jeżeli już musimy rozmawiać o biznesie, chciałabym pomówić o absurdalnie wysokiej cenie funta. Céline musiał specjalnie zamówić dla Evelyn kopertówkę z londyńskiego sklepu i musiała zapłacić w funtach. Prawie dwa razy tyle, ile kosztuje tutaj.

Evelyn była zaskoczona, że Camilla zauważyła cenę, i czuła się mile połączona, że o niej wspomniała. Przełożyła swoją wspaniałą kopertówkę tak, żeby było ją widać.

– Wystrzałowa. Muszę powiedzieć, Evelyn, że dobrze wyglądasz. Bezrobocie ci służy – odezwał się Nick.

Scot, który kręcił swoją wielką głową tam i z powrotem – Evelyn podejrzewała, że ze względu na swój wzrost miał przed sobą nietypowy widok na czubki głów: niesforne kosmyki i przeredzone miejsca – teraz znieruchomiał.

– Powiedziałaś Nickowi?

– To miała być tajemnica? Ojejku – odparł Preston i zakrył usta dłonią.

– Nie wiedziałeś, że twoja dziewczyna dołączyła do Camilli w szeregach nieopłacanych?

Usta Scota zmieniły się w kreskę, jakiej wcześniej nie widziała. Powiedział jej do ucha: – Czyli poinformowałaś wszystkich oprócz mnie?

– Ciebie też – odparła Evelyn. Patrzyła w punkt za jego plecami, otworzyła usta w udawanym zdziwieniu i zaczęła machać Bridie Harley, która właśnie weszła. – Która godzina? Muszę iść za kulisy i przygotować się do pokazu.

– Evelyn – Scot obrócił ją tak, że patrzyła prosto na niego. – Kiedy cię zwolnili?

– W weekend – powiedziała i przygryzła wargę, naśladowując sposób, w jaki Camilla robiła to przy Nicku.

– Dzisiaj jest środa. Mówisz mi to dopiero teraz?

– Powiedziałam ci kilka godzin temu.

– Kilka dni po tym, jak to się stało?

– Teraz wszystkiemu będziemy przybijać pieczętę z datą?

– Wygląda na to, że wszyscy wiedzieli już od jakiegoś czasu.

– Plotki szybko się rozchodzą – powiedziała Evelyn, a w tym samym czasie Camilla podeszła do niej posuwistym krokiem i powiedziała: – Evelyn, skarbie, musimy natychmiast iść za kulisy.

– Gdzie będziesz pracowała? – zapytał Scot.

Evelyn miała nadzieję, że Camilla się wtrąci i odpowie na to pytanie, ale ona patrzyła na nią wyczekująco.

– Ja... nie będę pracowała.

– Co? – odparł Scot.

– Po prostu nie da się połączyć mojego życia z pracą.

– Zobaczmy się na wybiegu, Scootles! – zaszcebiotała Camilla i chwyciła Evelyn za prawy łokieć. Scot mocno trzymał lewy.

– Z czego będziesz się utrzymywać? – zapytał Scot.

Camilla puściła Evelyn i przewróciła oczami.

– Jaki praktyczny – wyszeptała do niej. Głośniejsze dodała: – Do zobaczenia za sceną!

Scot nadal się na nią gapił.

– Co?

– Z czego będziesz się utrzymywać?

– Nie wiem. A z czego utrzymuje się Camilla?

– Mówisz poważnie?

– Tak sędzę.

– Camilla ma ponad dwadzieścia milionów dolarów, którymi ktoś dla niej zarządza, a kiedy jej rodzice umrą, będzie miała cztery razy tyle.

Evelyn zamrugła. – Ja... też mam rodzinną fortunę.

Wiedziała, że rodzice w końcu przestaną tak kurczowo ścisnąć pieniądze – będą musieli wreszcie poluzować. Przypomniała też sobie, że od miesiąca lub dwóch matka nie przysyłała pieniędzy, które oficjalnie miały być przeznaczone na czynsz. Powinna się tym zainteresować.

Scot zatopił palce we włosach i zaczął je mierzwić. Czekał, aż powie coś więcej, ale milczała.

– Jestem spóźniona – powiedziała w końcu.

– Czekaj. Czekaj – odezwał się Scot, ale ona go zignorowała. Odwróciła się, szybko przeszła zaimprovizowanym wybiegiem i odsunęła zasłonę na jego końcu.

Camilla siedziała na krześle, a jakaś kobieta, wygięta pod dużym kątem, nakładała jej puder na brwi.

– Wiedziałam, że Scot nie zrozumie – powiedziała.

Jakiś mężczyzna o włosach zaczesanych do przodu jak u Prince'a wepchnął Evelyn na krzesło obok Camilli i zaczął rozcierać podkład na jej policzkach.

– No i miałaś rację. Wygląda na to, że nie może tego pojąć.

– Nie można oczekiwać, że człowiek, którego życiową ambicją jest praca w koncernach medialnych, to zrozumie, prawda? Scot jest bardzo słodki, ale bądźmy szczerze. Nikt go nigdy nie nauczył, jaką wartość ma praca charytatywna i tego typu rzeczy.

– Nie uważasz, że jest stworzony do wielkości.

Camilla uśmiechnęła się ze współczuciem. – Nie uważam. Naprawdę.

Evelyn przejrzała się w ciemnym lustrze, otoczonym żarówkami jak na Broadwayu. Prince, któremu czuć było z ust rodzynekami, zanurzył pędzelek w słoiczku z eyelinerem i zaczął nakładać grubą kreskę wzdłuż linii rzęs.

– Scot lepiej się ubiera. Zauważyłaś? – zapytała Evelyn.

– Jak najbardziej, skarbie, ale ubiór to tylko niewielki ułamek całości.

– Różowa koszula nie czyni mężczyzny – powiedziała Evelyn.

– Chciałam cię zapytać o dotację twojego ojca – powiedziała Camilla, zamykając oczy, żeby pozwolić na nałożenie cieni na powieki. – Mamy go w programie jako Patrona Luminarzy, więc musimy dostać czek, zanim rozpocznie się event.

– Auć! – zawołała Evelyn, choć Prince trzymał pędzelek w naczyniu z jakimś płynem. – Przepraszam, coś mi wpadło do oka. Czy mogę tylko... Muszę iść to wyjąć.

– Pięć minut – powiedział Prince i postukał w zegarek. – Proszę się pośpieszyć. Tam na końcu korytarza jest toaleta.

Evelyn weszła w boczne drzwi i ruszyła pustym korytarzem dla obsługi. Jedno jej oko było mokre od eyelinera, a drugie niepomalowane. Była przestraszona reakcją Scota, stwierdzeniem Camilli, że Scot wciąż nie jest wystarczająco dobry, i wiszącym nad nią widmem dotacji. Przystanęła przy fontannie, żeby się ochłodzić i odetchnąć. Kiedy się podniosła, z zaskoczeniem zobaczyła Charlotte. Nie sądziła, że ją też zaproszono. Zauważyła z irytacją, że Charlotte nie zrobiła nic z włosami, poza wetknięciem w nie spinki, przez co wyglądała jak dziesięciolatka. Poza tym na jej nudnej czarnej koktajlowej sukience widać było plamę po mleku. To, co u świeżo upieczonej matki świadczyłoby o niedbalstwie, było niepojęte

u dwudziestosześcioletniej bankierki singielki.

Dzień wcześniej Evelyn miała poczucie winy, że nie spędzała ostatnio zbyt dużo czasu z Charlotte i zrobiła błąd, pisząc do niej maila z pytaniem, czy wybierze się z nią na lunch. Nawet zaproponowała, że wyjdzie jej na spotkanie w Midtown East. Jak można się było spodziewać, Charlotte zaczęła wyjaśniać, że jest bardzo zajęta i nie może nawet się wyrwać na kawę, nie mówiąc już o lunchu, a potem zapytała Evelyn, dlaczego organizuje wtorkowy lunch w centrum. Evelyn odpisała, że postanowiła odejść z People Like Us i skupić się na innych rzeczach niż praca.

Charlotte zadzwoniła niecałą minutę później. Evelyn nie odebrała. Po kilku minutach przyszedł mail z mnóstwem wielkich liter i mnóstwem osądzania. Uczucie wolności, które towarzyszyło jej od czasu zwolnienia z pracy, zostało szybko skradzione przez Charlotte. Evelyn wytrzymywała z nią, kiedy zachowywała się krępująco i dziwnie, i nigdy nie wypominała jej wywyższania się w towarzystwie Camilli, ale przyjaciółka nie potrafiła zostawić jej takiej samej swobody. Teraz Evelyn potrzebowała dwóch minut, tylko dwóch minut, żeby dojść do siebie, ale najwyraźniej nawet to jej się nie należało.

Przesunęła się za fontannę, ale Charlotte spojrzała w jej stronę i ruszyła do niej, stąpając po linoleum. – Evelyn – powiedziała.

– Char. Nie wiedziałam, że tu będziesz. Jestem zaskoczona, że wyrwałaś się z pracy.

– Przerzuciłam trochę modelowania na młodszych pracowników. Pomyślałam, że tu będziesz, a ponieważ nie oddzwaniałaś...

– Kto w dzisiejszych czasach rozmawia przez telefon?

– Ani nie odpowiadałaś na maile...

Evelyn dała ujście złości na Charlotte za brak wsparcia z jej strony, pisząc gniewnego maila, którego nigdy nie wysłała. Zamiast tego postanowiła wykorzystać dzień bez pracy na masaż twarzy i masaż gorącymi kamieniami. Uznała, że w ten sposób wykazuje się niemałą inteligencją emocjonalną.

Zaczęła bębnić dłońią w obramowanie fontanny.

– Rety, ostatnio prawie nie sprawdzam tego konta. Naprawdę muszę lecieć. Idę w pokazie mody i jestem już spóźniona.

– Wysłałaś mi maila z tego konta, więc musiałaś je sprawdzić.

– Okej, detektywie w spódnicy. Nałożyli mi tylko połowę make-upu. Zobaczymy się po pokazie, dobrze?

– Możesz wystudzić silniki chociaż na minutę? Naprawdę muszę z tobą porozmawiać.

– Char, muszę...

– Evelyn, mówię poważnie – Charlotte szybko obejrzała się za siebie. – Słuchaj, chodzi o tę sprawę z pracą. Musimy o tym porozmawiać.

– Skupiam teraz energię na czymś innym.

– Powinnaś szukać innej pracy – powiedziała Charlotte.  
– Jak już musisz wiedzieć, zostałam zwolniona.  
– To naprawdę zły pomysł.  
– Oj, przepraszam, zostać zwolnionym to zły pomysł? Zaalarmuj „New York Magazine”. Masz artykuł do działu Trendy.

– Powinnaś pracować.  
– Charlotte, ty zawsze lubiłaś swoją pracę, okej? Ja właśnie zdałam sobie sprawę, że może zwolnienie z pracy to wspaniała rzecz. Wpatrywanie się w stary komputer to naprawdę nie jest robienie dobrego użytku ze swojego życia. Przypomnij sobie zajęcia w Sheffield, te, na których była mowa o znajdowaniu swojej pasji. Przez ostatnie pięć lat praktycznie to ignorowałam, skakałam między rzeczami, w których się nie realizowałam.

– Posłuchaj, czasami lubię swoją pracę, ale przez trzy tygodnie właściwie wklepywałam dane i próbowałam ustalić, czy jakiejś tam firmie uda się utrzymać rentowność. Nie zawsze jest *glamour*. A właściwie nigdy. Ale co tydzień dają wypłatę. I dlatego ludzie nazywają to pracą.

Evelyn wydmuchała powietrze.

– To nie to samo, Char. Po pierwsze, dostawałam znacznie mniej, niż powinnam, jeśli wziąć pod uwagę, że miałam nieporównywalnie wyższe kwalifikacje niż ten krejzolski typ, który siedział obok mnie, i że podupałam przez to na zdrowiu, co jest raczej wysoką ceną. Mój poziom stresu osiągnął szczyt, moja skóra jest w katastrofalnym stanie i przez miesiąc nie dałam rady pójść na trening kardio. W zasadzie nie miałam czasu dla siebie ani na robienie rzeczy, które chcę robić.

– Na przykład treningi kardio?

– Nieważne, Char – powiedziała Evelyn ostrym tonem. – Muszę się przygotować do tego pokazu.

– Poczekaj – powiedziała Charlotte. – Pracuję teraz nad pewną transakcją. Przejmujemy dział pakowania pewnej firmy farmaceutycznej. Ta firma została pozwana przez Leiberg Channing.

Evelyn się nie poruszyła. Tak jak odczuwający strach przed lataniem pasażer samolotu liczy fotele, dzielące go od wyjścia ewakuacyjnego, próbowała zmierzyć w głowie, jak daleko są od ludzi, którzy mogliby je podsłuchać. Jedyнным dźwiękiem, jaki słyszała, był szum świetlówek nad ich głowami. Odgłosy przyjęcia były stłumione przez grubą ścianę po jej prawej stronie.

– Wiem, już wcześniej mówiłaś, że nie chcesz o tym rozmawiać, ale akt oskarżenia przeciwko twojemu ojcu wypłynął podczas analizy due diligence. Nie mów nikomu, że ci to przekazałam – zwolniliby mnie – ale nasi prawnicy mówią, że nie wygląda to dobrze.

– Nie ma żadnego aktu oskarżenia, Charlotte. Jest wątle śledztwo i to wszystko. Poza tym, tak jak powiedziałam, to w żadnym wypadku nie jest twoja

sprawa.

– Technicznie rzecz biorąc, to jest moja sprawa, skoro dowiedzieliśmy się o tym przy okazji due diligence – odparła Charlotte. – A po drugie: jest akt oskarżenia. To już nie jest śledztwo. W poniedziałek twój ojciec został postawiony w stan oskarżenia.

Śmiech Evelyn zabrzmiał jak gdakanie.

– Nie wydaje mi się.

– Ja to wiem, Evelyn.

– Ja nie... ja nie... – Evelyn nachyliła się nad fontanną i wypłała duży łyk. Przypomniała sobie dwa albo trzy telefony z Sag Neck, których nie odebrała w tym tygodniu. Kiedy się wyprostowała, czuła, że udało jej się dojść do siebie. Oskarżenie nie było o wiele gorsze od śledztwa, to tylko formalne zarzuty. A nawet tak jest lepiej, bo teraz jest jasne, z czym ojciec ma do czynienia, i jego prawnik będzie mógł na to odpowiednio zareagować. – Co chwilę ktoś jest oskarżany, Charlotte. Naprawdę muszę wracać – ruszyła w stronę drzwi.

– Wiedziałaś, że partnerzy z Leibergera planują pozwać twojego ojca, jeśli nie doprowadzi do umorzenia sprawy?

– To absurd. On sam jest jednym z partnerów w Leibergeru – Evelyn się zatrzymała i patrzyła na pusty korytarz, który nagle zrobił się zbyt długi i zbyt szary.

– Dystansują się od niego, Evelyn. W grę mogą wchodzić naprawdę duże pieniądze. Jest jeszcze odszkodowanie. Nie wiem, ile ma twoja rodzina...

Evelyn się odwróciła. Czy dla Charlotte wszystko było obiektem krytyki? Jej praca, jej wybory, jej ojciec, pieniądze jej rodziny?

– Nie, nie wiesz, Charlotte. Masz rację, mogą cię za to zwolnić, więc nie jestem pewna, czy powinnaś o tym jeszcze mówić.

– Mówisz poważnie?

– A ty? Mam pójść w tym pokazie, a zaraz się rozplączę z nerwów, chociaż to miał być wesoly wieczór. Chciałam tylko minuty dla siebie, ale najwyraźniej żądam zbyt wiele.

Charlotte zacisnęła dłoń w pięść.

– Dobrze, Evelyn. Dobrze. Idź sobie w swoim pokazie. Przepraszam, że próbowałam z tobą rozmawiać o czymś, co jest naprawdę kurewsko ważne. Przepraszam, że urwałam się z pracy i przebrałam w tę kurewsko paskudną sukienkę, która jest jak Banana Republic z 1995 roku i była jedynym ciuchem w mojej szafie w biurze, bo nie mam czasu biegać po sklepach jak ty i Camilla, a najwyraźniej robicie to co drugi dzień mimo twoich gigantycznych – możemy powiedzieć gigantycznych? – powiedzmy to: gigantycznych debetów na kartach. Okej? Masz rację. Wykorzystaj swoją minutę, nałóż sobie róż na policzki, czy co tam, kurwa, musisz zrobić, i idź na wybieg. To jest najważniejsze.

Evelyn zrobiła krok do tyłu, a po chwili kolejny. Zabrzęczał telefon. Spojrzała na wyświetlacz i zobaczyła wiadomość od Camilli: Potrzebują c. na backstage'u, JUŻ. Charlotte tłukła pięścią w przycisk fontanny, woda włączała się i wyłączała. Evelyn zostawiła ją samą, szła tak szybko, że prawie biegła. Dołączyła do Camilli za kurtyną. Dziesięć minut makijażu i dziesięć minut układania włosów, później przebrała się w swój strój – kilt i obcisły sweter z cekinami – bardziej skromną wersję tego, co miała na sobie Camilla. Skubiąc kilt, zmusiła się do zignorowania nieprzyjemnego uczucia, które utrzymywało się jak przykry oddech od czasu rozmowy z Charlotte.

– Dobrze wyglądasz – powiedziała Camilla i wysunęła dolną wargę.

– Ty lepiej – odparła Evelyn i stanęła w rzędzie za Camillą przed wyjściem na parkiet. Następnego dnia rzeczywiście znalazła się na zdjęciach Patricka McMullana. Podpis brzmiał: „Camilla Rutherford z koleżanką”.

## Rozdział dwudziesty

### Powrót do domu

Wysoki trzask jej telefonu rozbrzmiał chyba po raz piętnasty w ciągu jednej godziny. Pierwsza dzwoniła Camilla – chciała się dowiedzieć, czy Evelyn pojedzie w weekend do Sachem, a Evelyn odpowiedziała, że jeszcze da znać. Chciała jechać, zwłaszcza że – jak wspomniała Camilla – wybierali się tam Jaime de Cardenas i kilkoro przyjaciół Souse. Z drugiej strony na sobotę była zaplanowana zbiórka pieniędzy na Filharmonię, w której mieli uczestniczyć członkowie zarządu Sloan Kettering. Evelyn doszła do wniosku, że jeśli musi wybierać, rozsądniej będzie się skupić na Sloan Kettering, a Jaimego może poznać kiedy indziej. Wciąż wydzwaniała do pracownika Filharmonii odpowiedzialnego za wydarzenie, żeby zapytać, kto potwierdził przybycie, ale nie mogła się dodzwonić.

Poza tym dzwonili do niej wszyscy, z którymi nie chciała rozmawiać. Kobieta z firmy zajmującej się ściąganiem czynszu informowała, że kwietniowa, a teraz także i majowa opłata nie została uiszczona i że przed końcem tygodnia muszą dostać czek.

– W Nowym Jorku lokator ma bardzo dużo praw – Evelyn powtórzyła to, co kiedyś powiedział jej ojciec. Wychodziła z założenia, że ma przed sobą przynajmniej trzy, cztery miesiące, zanim naprawdę wpadnie w tarapaty za niepłacenie czynszu, a do tego czasu jakoś się ogarnie finansowo. Kobieta powiedziała, że lokator wcale nie ma tak dużo praw i że zostaną podjęte kolejne kroki. Chcą mnie tylko nastraszyć, pomyślała Evelyn. Camilla nie pozwoliłaby, żeby coś takiego spędzało jej sen z powiek, i Evelyn postanowiła, że podejdzie do tego podobnie. Potem zadzwonił mężczyzna z zastrzeżonego numeru. Nagrał się na automatyczną sekretarkę i powiedział, że jest z firmy windykacyjnej, która przejęła jej zadłużone konto w Barneys, i prosi, by oddzwonić, żeby ułożyć plan spłaty. Usunęła tę wiadomość, zanim jeszcze dosłuchała do końca. Wiarygodne zaprzeczenie, pomyślała.

Później zadzwonił ojciec i zostawił wiadomość, ale Evelyn jej nie odsłuchiwała. Kiedy Charlotte powiedziała jej o oskarżeniu, zadzwoniła do domu, a matka potwierdziła, że został oskarżony, między innymi o korupcję. Barbara była wściekła, Evelyn też. To, że mógł postawić swoją rodzinę w tej niepewnej sytuacji z powodu własnej chciwości, zamiłowania do amarantowych marynarek, poszetek i szpanerskich samochodów, doprowadzało ją do szału. Gorzej, uważała go teraz za głupca. Tylko on z całej firmy został oskarżony, a w przypadku kogoś, kto praktykował prawo, tak mocne uwikłanie w aferę korupcyjną oznaczało, że był nieostrożny i głupi. Od tamtej pory prawie nie rozmawiała z ojcem. Raz napisał do niej maila z pytaniem, czy ma rachunek za jakąś kolację, którą jedli rok temu



w dniu, o który dopytywała się prokuratura. Nie wyjaśnił, co się stało, nie zapytał, jak się trzyma, tylko udawał, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. W odpowiedzi zapytała go po raz kolejny, co ma powiedzieć Camilli w sprawie kolacji, a on odpisał, że to nie jego problem.

Na koniec serii telefonów zadzwoniła matka. Evelyn odebrała, aby przekonać się, czy mogłaby dostać od niej trochę pieniędzy, żeby ci inni ludzie przestali ją męczyć. Barbara kazała jej przyjechać do domu i powiedziała, że to pilne.

– Mam wypełniony tydzień, mam. Nie dam rady.

– Evelyn, nie masz wyboru.

– W ten weekend powinnam jechać albo na wielką zbiórkę pieniędzy, albo do Sagem, a przedtem mam jeszcze mnóstwo roboty.

– Jeśli nie możesz dzisiaj, to jutro – powiedziała matka. – Pojedź porannym pociągami i wieczorem będziesz z powrotem. My zapłacimy za podróż.

– Och, dziękuję. Miło, że płacicie, kiedy wam to jest na rękę – odparła.

– Evelyn. Bądź tu jutro – oznajmiła Barbara i w słuchawce zapadła cisza.

Pięć minut po tym, jak weszła do domu w Bibville, zaczął dzwonić telefon stacjonarny. Zadzwonił cztery razy, potem piąty raz i szósty, aż Evelyn zorientowała się w końcu, że matka musiała wyłączyć automatyczną sekretarkę. Już sięgała po słuchawkę w korytarzu, kiedy poczuła szybkie uderzenie w przedramię.

– To dziennikarze – powiedziała Barbara. – Albo inne sępy, które dzwonią, żeby wyrazić współczucie dla twojego ojca. Doprawdy, tak się cieszą, kiedy widzą jego upadek. Nie odbieraj.

Evelyn cofnęła rękę. – Au. To bolało. Skąd się tu wzięłaś? Nie wiedziałam, że jesteś w domu. Chciałaś, żebym przyjechała, więc zrobimy to, co mamy zrobić. Mam bilet na autobus z Easton do New Carrollton, który odjeżdża za trzy godziny, więc jeśli nikt nie zamierza mnie odwieźć, muszę na niego zdążyć.

Telefon przestał dzwonić i Barbara zdjęła słuchawkę z bazy. – Niech pomyślą, że jest zajęte – powiedziała. – Nie widziałaś nikogo w Easton, prawda?

– Tylko taksówkarza. Musimy też porozmawiać o pieniądzach. Wciąż czekam na pieniądze, które obiecaliście mi na czynsz, a dodatkowo muszę jeszcze opłacić parę rachunków.

– Dale – krzyknęła Barbara. – Dale! Twoja córka tu jest!

Evelyn słyszała, jak drzwi jego gabinetu otwierają się i zamykają. Ojciec wszedł wolnym krokiem po schodach, trzymając się poręczy.

– Cześć – powiedziała sucho Evelyn.

– Hej – odpowiedział.

Żadne z nich się nie uśmiechnęło.

Evelyn wzruszyła ramionami.

– No więc co to za wielka tajemnica, rodzice?

– Porozmawiamy na zewnątrz – odparł ojciec i otworzył drzwi wejściowe.

Żwir chrząścił mu pod butami, kiedy szedł, a Evelyn wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć, dokąd idzie. Kierował się w stronę sosnowego gaju, który rósł ze trzydzieści jardów dalej. Zasadzili sosny, kiedy się tu wprowadzili. Były teraz smukłe i eleganckie.

Jej matka poczłapała za nim. Evelyn poszła w ich ślady, przybierając osłupiały wyraz twarzy na wypadek, gdyby ktoś ich obserwował. Rodzice stali w milczeniu koło drzew.

– To ten moment, kiedy trzeba złożyć w ofierze kozła? – zapytała, kiedy do nich dołączyła.

– Licz się ze słowami – odparł Dale. Zerwał z drzewa małą gałązkę i zgniół w palcach igły. Z oddali dobiegł przeciągły dźwięk klaksonu ciężarówki.

Ojciec przez chwilę przyglądał się igłom na swojej dłoni, a potem spojrzał na Evelyn. – Śledczy federalni założyli nam podsłuch na telefonie – powiedział. – Zakładam, że się z tego wycofano, ale na wszelki wypadek będziemy rozmawiać tutaj.

– Myślisz, że w domu są podłożone pluskwy?

Ojciec szarpnął za konar, a matka stała ze skrzyżowanymi rękoma i patrzyła na dom.

– Ludzie – powiedziała Evelyn zdenerwowanym tonem. – Przytelepałam się tu, mimo że naprawdę mam ciężki tydzień, żebyśmy mogli jeszcze raz porozmawiać o tej katastrofie. Będziemy siedzieć w ciszy czy powiecie mi, co tak ważnego zrobił tata, że musiałam rzucać wszystko i tu przyjeżdżać?

– Nie zwracaj się do rodziców per ludzie – odparła ostro Barbara.

– Twoje zachowanie, Evelyn... – zaczął Dale, ale nie dokończył myśli. Kiedy udało mu się już ogołocić gałąź, rzucił ją na samochód, który stał zaparkowany na żwirze. – Zaczęli ujawniać materiał dowodowy w tej sprawie. Nie jest taki słaby, jak myśleliśmy. Jak ja myślałem. Nie jestem winny, chcę to powiedzieć jasno. Podsłuchy to trudna sprawa. Zupełnie niewinny człowiek, taki jak ja, może się wydawać podejrzany, jeśli nagrana rozmowa zostanie wyjęta z kontekstu. W tym kraju system prawa karnego działa bardzo mocno na niekorzyść oskarżonego w dowolnej sprawie, a za przestępstwa urzędnicze grożą wysokie kary. Dziesięć, piętnaście lat. Ja mam sześćdziesiąt cztery – w moim przypadku to skuteczne dożywocie.

– Zdawało mi się, że mówiłeś, że nie ma żadnej sprawy – odpowiedziała Evelyn.

– Nie mogę liczyć na łut szczęścia podczas procesu. Wiem, jak działają ławy przysięgłych, myślałem o tym, dyskutowałem z moim prawnikiem, z twoją matką i wiem, że nie mogę... że nie możemy ryzykować.

– Przez cały czas mówiłeś, że nie zrobiłeś nic złego.

– Nie warto ryzykować procesu. Rudy, mój adwokat, pracuje z rządem nad

ugodą. Zarzutem byłoby utrudnianie śledztwa, a to mniej poważne niż korupcja. Jeżeli nam się uda, to byłaby najlepsza opcja.

– I nie będzie aresztu?

– Więzienia – wymamrotała Barbara.

– Co? – spytała Evelyn.

Barbara wydeła wargi.

– Chodzi ci o więzienie. Do aresztu trafiają osoby tymczasowo zatrzymane, a przynajmniej tak mi powiedziano. Musieliśmy się kompletnie odseparować od wszystkich, którzy mają związek z firmą. Parę dni temu spotkałam w klubie Sally i musiałam...

– Unikniesz więzienia, prawda? – Evelyn zwróciła się do ojca.

Dale przycisnął dłonie do szczęki. – Wnioskowaliśmy o wyrok w zawieszaniu, ale istnieje ryzyko, że sędzia nałoży karę więzienia.

– Mówisz poważnie?

– Tak.

Evelyn zaczęła potrząsać głową. – Chwileczkę. Chwileczkę. Ławy przysięgłych to twoja działka. Powinieneś potrafić ich przekonać do wszystkiego. Zawsze twierdziłeś, że to potrafisz, prawda? Te artykuły w gazetach, te nagrody? Te wszystkie nagrody? A mimo to uważasz, że nie uda ci się przekonać ławy przysięgłych o własnej niewinności? Naprawdę? Bo wydawałoby się, że gdybyś był naprawdę niewinny, pewnie wykorzystałbyś wszystkie swoje umiejętności, żeby nie zostawiać mnie i mamy i nie iść do więzienia. Myślałam, że jesteś człowiekiem, który decyduje, co jest dobre, a co złe, i czy moja praca oraz prośby o pieniądze są warte zachodu, a nie kimś, kto idzie do więzienia, bo nie może sobie poradzić z dowodami, które zebrał na niego rząd. Czyżbyś nie był tym człowiekiem, tato? Otóż nie, najwyraźniej nim nie jesteś. Okazuje się, że ty też możesz zrobić coś złego. Wiesz, skąd o tym wiem? Bo niewinni ludzie nie muszą się przyznawać do winy. I wiesz, co jeszcze? Nikt nie ściga przypadkowych, niewinnych ludzi. Gdybyś zachował większą ostrożność, jak najwyraźniej zrobili to twoi partnerzy, nic takiego by się nie stało. Najwyraźniej nikt poza tobą nie miał problemu z trzymaniem się zasad.

Usłyszała głośny trzask i odskoczyła do tyłu. Dopiero po chwili zobaczyła, że ojciec uderzył pięścią w drzewo. Jego oczy pociemniały ze złości.

– Evelyn Beegan, nie wiem, kiedy stałaś się takim stuprocentowo zepsutym bachorem – powiedział.

To nie był koniec – dalej tłukł pięściami w drzewo. Potem spojrzął przez ramię, a ból, jaki Evelyn zobaczyła w jego oczach, sprawił, że zaczęła tracić grunt pod nogami. Podszedł do samochodu, wskoczył do środka, odpalił silnik, trzasnął drzwiami i odjechał z piskiem opon.

Odwróciła się, żeby wytłumaczyć swoje zachowanie matce, ale Barbara już

szła w kierunku domu.

Dotknęła telefonu, który miała w kieszeni. Czuła się zagubiona, czuła, że potrzebuje, żeby ktoś powiedział jej, że wszystko jest w porządku. Nie zastanawiając się długo, zadzwoniła do Scota.

– Ev? Przepraszam, właśnie wsiadam do taksówki. Jak tam w domu?

– Dobrze, w porządku – odpowiedziała.

– Wszystko się dobrze układa?

Spojrzała na dom. W miejscu, z którego odjechał ojciec, unosił się beżowy pył. Dobrze? Jej ojciec szedł do więzienia i uważał, że jest beznadziejna.

– Może się przyzna – powiedziała głośno. – Mój tata. Mama właśnie mi powiedziała.

– Lex i Czterdziesta Trzecia – powiedział Scot. – Co zrobi twój tata? Przepraszam, połączenie jest kiepskie.

– Przyzna się. Przyzna się do winy. Nie wiem, co wiesz i czy wiesz o śledztwie. O oskarżeniu. Ale on zamierza się przyznać. To może oznaczać więzienie – w jej głosie pobrzmiewała coraz większa gorycz. – Mój ojciec w więzieniu. Nieźle, co? Członkowie komitetu organizacyjnego Balu będą przerażeni – powiedziała. Po raz pierwszy chciała o tym rozmawiać. – Wszyscy o tym wiedzieli? Wszyscy wiedzą? Camilla mówi, że te oskarżenia to nic poważnego, ale sama myśl jest straszna: mój ojciec w więzieniu. Nie jest typem twardziela, a mama nigdy nie pracowała i teraz zostanie sama, zrobi się straszny bałagan. No i pieniądze, Scot. Nie wiem, skąd wziąć pieniądze.

– Ev? – powiedział Scot.

– Co? – odparła. Chciała usłyszeć, że ją kocha, że jej pomoże.

– Evelyn? Halo? Halo?

– Scot. Scot?

– O. Teraz cię słyszę. Przepraszam. Straciłem połączenie. Kto co zrobił?

Twarz Evelyn ściągnęła się w grymasie.

– Nie słyszałeś nic z tego, co mówiłam.

– Nie, przepraszam. Co się dzieje?

Evelyn nadal wpatrywała się w dom. Matka nie zawracała sobie głowy zamknięciem drzwi wejściowych.

– Nieważne – powiedziała po chwili ciszy.

– Nie, to ja przepraszam, powiedz.

– To nic. To nic.

– Coś z twoim ojcem?

Podeszła do drzwi i zobaczyła, że matka siedzi na schodach.

– Nie. Nic. Muszę lecieć – powiedziała i zakończyła połączenie.

– Kto to był? – zapytała Barbara.

– Nikt. Camilla – odparła Evelyn.

– Powiedziałaś jej, że twój ojciec nie może uczestniczyć w jej przyjęciu? W tym, które tak mu pochlebiło?

– Boże – Evelyn z całej siły przycisnęła głowę do telefonu. – Nie. Masz rację. Po prostu... po prostu daj mi chwilę.

– Tak dużo telefonów do wykonania i spraw do załatwienia – powiedziała Barbara. – Pamiętam to. Życie. Kiedyś było takie krótkie. Twoje też takie jest, Evie? Kiedy patrzę na twoje zdjęcia, myślę, że może tak. Kiedy dni mijały jak szalone jeden po drugim, noce nigdy nie były dość długie, a my szaleliśmy z radości na myśl o kolejnym przyjęciu. Teraz nie mogę pojąć, jak to możliwe, że wszystko się takie wydawało. Wyobrażasz sobie? Chcieć, żeby kolejny dzień nadszedł szybciej? Teraz chciałabym, żeby szybciej się skończył. Życie robi się takie długie, kiedy się starzejesz.

– Nie jesteś stara, mamó – wymamrotała Evelyn bez większego przekonania, wciąż wciskając głowę w słuchawkę telefonu.

– Co będzie napisane na moim nekrologu?

– Co?

– Nie mów „co”, bo brzmisz jak kwoka. Spędziłam całe życie na wychowywaniu ciebie i skakaniu wokół twojego ojca. Co będzie napisane na moim nekrologu?

– Mamó, ty nie umierasz.

– Matka i żona, to jeden wers. Mieszkanca Bibville, to razem dwa.

Evelyn przełknęła ślinę. Patrzyła, jak matka gapi się w sufit. Nie myliła się.

Odwróciła się mechanicznie i ciężkim krokiem przeszła do pokoju z pianinem. Jedyne, co mogła robić, kiedy w jej głowie rozbrzmiewał stłumiony ryk, to grać na pianinie. Czowała, że jeśli uda jej się wystukać na klawiszach *Somewhere*, będzie mogła uwolnić od niego swój umysł.

Jednak kiedy weszła do środka, pierwsze, co zobaczyła, to szafki, które powinny być zasłonięte przez pianino. Dopiero po chwili zrozumiała, że pianina nie ma. Jedynym znakiem, że kiedykolwiek tam stało, był prostokątny ślad na podłodze, w miejscu, gdzie wcześniej był dywanik.

– Mamó? Mamó? – jej głos był o oktawę wyższy niż zwykle. Pobieгла z powrotem do holu. – Mamó, gdzie jest pianino?

Matka nie ruszyła się z miejsca.

– Evie – powiedziała. – Do ugody dochodzi wielomilionowe odszkodowanie. Niezależnie od rządu pożywa go jego własna firma. A koszty sądowe są wręcz astronomiczne. Sprzedawca Steinwaya dostał zapytanie z domu aukcyjnego.

– Sprzedaliście je?

– Nie mieliśmy wyboru.

Te wszystkie poranki z piosenkami. Wszystkie sesje skąpane w popołudniowym słońcu. Utwory, które odkładała sobie w głowie jako te, które będzie grała ze

swoją córką, pokazując jej palcowanie i nacisk. Wyobrażała sobie, jak bardzo będzie przy tym cierpliwa. Przepadło. Nie było jej dane zagrać na nim po raz ostatni. Nie było jej dane powiedzieć mu, jak wiele dla niej znaczyło. Gładkie białe i błyszczące czarne klawisze, ciężkie pedały i chłodne drewno, wszystkie piosenki, które mogła z niego wydobyć, te wszystkie chwile, kiedy jej matka grała, a ona siedziała w słońcu i była szczęśliwa.

– Nie tylko pianino – powiedziała cicho Barbara. – Również dom. Sag Neck.

– Dom?

– Będziemy musieli go sprzedać, Evie. Adwokat próbuje wytrzasnąć dla nas jakieś marne grosze, z których będziemy żyć. Nie chodzi tylko o koszty sądowe. Jeżeli twój ojciec pójdzie do więzienia, będzie to oznaczało miesiące bez dochodu, a rzecz jasna, nie będzie mógł już praktykować prawa, więc z tego, co nam zostanie, będziemy musieli utrzymać się już do końca życia – roześmiała się gorzko. – Pytałaś o pieniądze na czynsz? Cóż, oglądałam jednorodzinne apartamenty do wynajęcia. Czy ty wiesz, jak to jest, kiedy Jude Carea pokazuje ci taki apartament? Wiesz, jak ta wywłoka się cieszy, że upadłam tak nisko?

Ręka Evelyn powędrowała do ramienia. Zaczęła je masować, uciskać, rozcierać zgrubienia. Wszystko nie mogło tak po prostu zniknąć. Na pewno da radę coś zrobić. Nie było jeszcze za późno. To, czy jej rodzina przetrwa, zarówno towarzysko, jak i finansowo, zależało teraz od niej. Wiedziała, że niedługo skończy jej się czas.

Światło w holu się zmieniało, stawało się zimne i szare. Kiedy Evelyn odwróciła się do matki, jej spojrzenie było przytomne i ostre. Głośno oddychała przez nos.

– Będzie dobrze – powiedziała. – Muszę wracać do domu. Jest kilka spraw, którymi powinnam się zająć.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

### Galeria trofeów

Mimo kiepskiej jazdy Camilli cała czwórka: Camilla, Nick, Scot i Evelyn, dotarła do Lake James z tylko jednym mandatem, który dostali pod Saratogą na autostradzie Northway. Camilla jechała dziewięćdziesiąt trzy, ale przekonała policjanta, żeby napisał osiemdziesiąt siedem. Powiedziała potem, że kiedy prawnik, który pomagał jej rodzinie w podobnych sytuacjach, złoży odwołanie w sądzie do spraw wykroczeń drogowych, kara zostanie zredukowana do dwustu dolarów grzywny, bez żadnych punktów karnych.

Zaraz po wyjeździe z Sag Neck Evelyn zadzwoniła do Camilli, powiedziała, że z wielką chęcią przyjedzie na weekend, i przeprosiła, że nie zdecydowała się od razu. Zastanawiała się, czy Camilla ulokuje ją i Jaimego w pokojach w głównym korytarzu, co ułatwiłoby sprawę. Nie ułatwiało jej natomiast zaproszenie Scot'a. Kiedy poprzedniego wieczoru spotkała się z Camillą na kilka drinków, żeby przedstawić jej pomysł zerwania z nim i zobaczyć, jak zareaguje, w barze pojawił się Nick ze Scot'em. Zdenerwowało ją, że z góry przyjęto, iż należy go uwzględnić w planach towarzyskich. Poza tym jej docinki pod adresem Scot'a nie spotykały się z aplauzem Camilli lub Nick'a, co denerwowało ją jeszcze bardziej. Teraz w samochodzie bawił się blackberry i w ogóle nie brał udziału w rozmowie. Scot Przylepa. Wszędobylski Scot.

W Bibville, po zimnym ciosie, jakim był dla niej brak pianina, doszła do wniosku, że źródłem wszystkich jej problemów jest właśnie Scot. Gdyby nie poświęciła tyle czasu na randki z nim, miałyby już ugruntowaną pozycję. Byłaby zaręczona z kimś bardziej prominentnym i traktowałyby sprawy rodzinne z większą swobodą – byłaby pewna siebie, usatkwowana i miałyby pieniądze. Zamknęła kartę wspomnień o dobrych stronach Scot'a i wytłumaczyła samej sobie, że jego jedyną funkcją i powodem, dla którego wytrzymywała mokre pocałunki i obłapiające ją wielkie dłonie, było wspieranie jej, bycie tym, z kim mogła porozmawiać o rodzinnych problemach, a nawet tego nie potrafił zrobić jak należy. Jej ojciec miał zostać wysłany do więzienia, matka miała się przeprowadzić do wynajętego apartamentu, a ona miała zostać bez pieniędzy, uwiązana do tego prostackiego bankiera, który nie potrafił niczemu zaradzić.

Chyba że...

Camilla zatrzymała się przy marinie i cała czwórka poszła do czekającej motorówki. W Sachem Evelyn po raz pierwszy odetchnęła z ulgą, widząc, że nie dostała jednego z najlepszych pokoi gościnnych: ona i Scot mieli dwa osobne łóżka, co oznaczało, że łatwo mogła się wykręcić od seksu.

Kiedy ona na jednym z łóżek czytała „Vogue’a”, Scot realizował „plan treningowy” – określał tak swoją kalistenikę, którą ani chybi zaczerpnął z jakiejś broszurki dla sportowców z 1910 roku. Gdy czterdzieści minut później wrócił, pot spływał mu po twarzy. Evelyn miała nadzieję, że zachował na tyle rozsądku, żeby ćwiczyć gdzieś, gdzie nikt go nie widział. Przyskoczył do niej, żeby dać jej szybkiego całusa w policzek, ale cofnęła się i wytarła z twarzy pot znad jego górnej wargi.

– Ktoś dzwonił? – zapytał i podniósł blackberry, który leżał na łóżku.

– Zupełnie nikt – odpowiedziała i przewróciła kartkę „Vogue’a”. Wciąż tkwiła w gąszczu reklam przed stopką redakcyjną, bo gdy Scot był na treningu, katalogowała jego wady i zastanawiała się, kiedy przyjedzie Jaime. Mimo wszystko miłe wspomnienia ze Scotem wciąż się przekradały do jej głowy. Przypominała sobie, jak pewnej nocy, kiedy nie mogła zasnąć, przyniósł jej gorące mleko w chropowatym kubku domowej roboty. Zmusiła się, żeby skontrolować to wspomnieniem o grze w golfa w Greenwich Country Clubie. Każdy jego strzał kończył się ostrym odbiciem w bok, więc ona, Nick i Preston spędzili około czterech godzin nad dziewięcioma dołkami, szukając jego zagubionych piłek. – Trening się udał? – zapytała.

– Sześćdziesiąt sekund ćwiczeń, trzydzieści sekund przerwy. Trening interwałowy – upuścił telefon i sięgnął po jej rękę, ale nie zareagowała, więc wycofał dłoń. – Wpadłem na siostrę Camilli. Zdaje się, że później przyjedzie ktoś jeszcze. Jakiś przyjaciel Camilli.

– Dzisiaj? – wypaliła. Po chwili się zreflektowała i próbowała udawać, że jest pochłonięta reklamą brzydkiej torby, robionej na szydełku.

– Tak. Wiedziałaś, że będą przyjeżdżać jeszcze inni? Myślałem, że poza tą grupą nikogo już nie będzie.

– Ja... Camilla coś o tym wspominała. Myślałam po prostu, że mają przyjechać później.

– Nie – powiedział Scot i otarł czoło, zraszając Evelyn kroplami potu. Zesztywniała. Scot poszedł do łazienki. – Dzisiaj. Administrator właśnie szedł po łódź, żeby ich odebrać.

Ze swojego miejsca Evelyn widziała wąski skrawek łazienki. Scot składał ubrania i układał je na umywalce, żeby się nie pogniosły przez pięć minut, które spędzi pod prysznicem. Usłyszała, że włącza wodę, a potem stęka po wejściu pod prysznic. Wiedziała, że nie uda jej się to, co planowała, jeśli będzie tu Scot.

Jego blackberry zaczął dzwonić. Evelyn przesunęła się do tyłu na łóżku, żeby jej nie zobaczył z łazienki, gdyby wyszedł spod prysznica, a potem sięgnęła po telefon i spojrzała. DAVID GREENBAUM PRACA – widniało na wyświetlaczu. Już po chwili zlokalizowała ikonkę telefonu.

– Tu linia Scota Tannauera – powiedziała przyjemnym tonem.



– Co? Chcę rozmawiać ze Scotem – odezwał się nieuprzejmy głos.  
– Bardzo mi przykro, musiał na chwilę wyjść. Może ja będę mogła pomóc?  
Mówi Evelyn Beegan, jego dziewczyna – odparła, choć ostatnie słowa nie chciały jej przejść przez gardło.

– Tak, muszę porozmawiać ze Scotem.

– Coś się wydarzyło w pracy?

– Można tak powiedzieć. Wiem, że biega teraz po górach Catskill, ale proszę mu powiedzieć, żeby natychmiast do mnie zadzwonił. Do Greenbauma.

– Po górach Adirondack. To brzmi poważnie, panie Greenbaum. Jest pan pewien, że ma tylko zadzwonić? Nie potrzebuje go pan w biurze?

– Jak ma się znaleźć w biurze, skoro najwyraźniej wyjechał na weekend z dziewczyną?

– Nie jesteśmy daleko od miasta, naprawdę. Jeżeli wyjedzie teraz, wieczorem będzie w biurze.

– Dobrze. Świetnie. Dobrze. Niech tu od razu przyjedzie.

– Tak robi.

Kilka minut później usłyszała, że Scot wyłączył wodę. Nie chciała oglądać go zaraz po prysznicu – rozczochranego, czyściutkiego i pełnego nadziei, jak mały chłopiec. Stała plecami do drzwi łazienki i zapukała. – Dzwonił David Greenbaum. Wciąż wydzwaniał, więc odebrałam, na wypadek gdyby to była awaryjna sytuacja.

– Czego chciał? – zapytał zaniepokojony Scot.

– Chce, żebyś wrócił do miasta. Jak najszybciej.

– Kurczę – wymamrotał Scot. – Powinienem do niego zadzwonić.

– Nie. W porządku. Powiedział, żebyś po prostu wracał. A nie dzwonił.

– Kurczę. Będę musiał jechać. Bardzo cię przepraszam.

– Nie, chodzi o pracę. Ja to rozumiem.

Scot wydawał się wściekły.

– Nie powinienem był w ogóle przyjeżdżać.

– Nie ma problemu. Sprawdź, o której jest następny pociąg. Wydaje mi się, że jeden odjeżdża koło czwartej – wieczorem byłbyś na miejscu.

– Ratujesz mi życie – wyjrzał zza drzwi i pocałował ją w ramię. Przez twarz przemknął jej wyraz bólu.

Kiedy skończyła rozmawiać z darmową infolinią Amtraku, przekazała Scotowi, że pięć po czwartej jest pociąg do Albany. Tam będzie mógł się przesiąść i pojechać do centrum. Potem zamówiła taksówkę, która miała czekać na niego przy marinie, i poprosiła go, żeby czekał w dokach na administratora, który zabierze go do miasta. Zeszła poszukać kucharza, by go zawiadomić, że na obiedzie nie będzie jednej osoby. Gdy wracała z budynku jadalni, usłyszała ryk silnika motorówki przy głównym hangarze – administrator wrócił z Jaimem. Uskoczyła w kępę

drzew. Czując, jak zarośla łaskoczą ją w kostki, słuchała Scotta, który rozmawiał po hiszpańsku z angielskim akcentem.

– Czyli mówi się: *Es un placer...*

– *Placer* – odpowiedział ktoś, poprawiając jego wymowę. Jego głos brzmiał jak przesiąknięty sosnami i tytoniem.

– *Placer hacer negocios...*

– *Negocios.*

– *Con ustedes.*

– *Sí. Perfecto.*

– *Placer hacer negocios* – powtórzył Scot. – Dziękuję. Za parę tygodni jadę do Mexico City na spotkanie – *encuentro*, zgadza się? – z... *clientado*?

– *Cliente* – odpowiedział głęboki głos. – Poradzisz sobie świetnie.

– Scot, co to ma być, do cholery? Dzień z językiem hiszpańskim? – rozległ się głos Nicka. – Jaime, stary.

– A – odparł Scot. – Pomyślałem sobie, że poćwiczę.

– Nick, jak się masz? – odezwał się Jaime, tym razem z uwodzicielsko głębokim brytyjskim akcentem z nutką amerykańskiego. – Nie ma sprawy, Scot. Cieszę się, że mogłeś poćwiczyć. Nie mam wątpliwości, że poradzisz sobie znakomicie. Miło było się z tobą spotkać. Powodzenia z dzisiejszym powrotem.

– Dzięki. *Gracias*. Muszę tylko... widzieliście Evelyn? Zdawało mi się, że miała tu być, ale... muszę... no cóż.

Evelyn zerknęła na zegarek. Jeżeli pociąg odjeżdżał pięć po czwartej, Scot musiał natychmiast wyruszyć w drogę. Pozostała schowana wśród drzew.

– Możecie jej powiedzieć, że musiałem już iść? – zapytał Scot.

– Nie ma problemu – odparł Nick.

Evelyn czekała i próbowała uspokoić oddech. W końcu usłyszała warkot silnika motorówki i głucho stuknięcie – najwyraźniej Scot postawił swoją wielką stopę na pokładzie. Wygladziła włosy i wyszła z za drzew.

Spodziewała się wysokiego mężczyzny, ale Jaime de Cardenas był niski, jasnobrązowy i wysportowany. Jego bicepsy były elegancko upakowane w pozbawionych tłuszczu ramionach. Wyglądał, jakby co tydzień przebiegał dwanaście mil, a co drugi dzień podnosił ciężary na siłowni, ściągając na siebie spojrzenia zarówno chłopaków, jak i dziewczyn z Equinox.

– Obserwowałam kaczki przy kortach tenisowych. Jest tam naprawdę fascynująca grupa... o, cześć! Chyba się jeszcze nie poznaliśmy. Jestem Evelyn Beegan – powiedziała.

Wkrótce pojawiła się Camilla i zarządziła, że będą grać w krokieta. Evelyn szło całkiem nieźle – oczywiście nie deklasowała Camilli, ale trzymała poziom.

Camilla postukała młotkiem o młotek Jaimego. – Jak ci się podoba pokój? – zapytała.

– Jest świetny – odparł Jaime. – To miejsce jest niesamowite, CHR. Nie wiem, dlaczego nie przyjeżdżałem tu od tak dawna?

– A kiedyś często przyjeżdżałeś? – zapytała Evelyn.

– O Boże, latem w szkole średniej nie było nic ważniejszego – odparł Jaime.

– My wszyscy z St. George’s przyjeżdżaliśmy zobaczyć dziewczyny z St. Paul’s w strojach kąpielowych. Pamiętasz, CHR? To lato, kiedy przechodziłaś fazę religijną? Co niedzielę kazała nam maszerować do kościoła. W St. Paul’s śpiewała w chórze i była wyjątkowo pikantną chórzystką.

Camilla spojrzała na Jaimego, mrużąc oczy w sposób, jakiego Evelyn wcześniej nie widziała. Wydawała się delikatniejsza – Evelyn wyobraziła sobie paznokcie, których nie pokryto ostatnią, zewnętrzną warstwą lakieru. – Mówisz tak, jakbym była wokalistką wspierającą, a przecież śpiewałam jako solistka, skarbie.

– Zgadza się. Pamiętam, jak śpiewałaś *Ave Maria*. Dla tego wykonania warto było znieść tę wymuszoną świętość.

Rozmowa nie toczyła się w kierunku pożądanym przez Evelyn. Jaime prawie na nią nie patrzył. Musiała zaznaczyć swoją pozycję, i to szybko.

– Czy przymus chodzenia do kościoła nie jest wpisany w każdą szkołę z internatem? – zapytała i osłoniła oczy od słońca. – W Sheffield, do którego uczęszczałam, każdego ranka chodziliśmy do kaplicy. Kiwano głowami w stronę Żydów i muzułmanów i udawano, że panuje tam bezwyznaniowość, choć nie dało się ukryć, że to kościół.

Jaime odwrócił się w jej stronę i zmierzył ją wzrokiem od góry do dołu i z powrotem – zbyt wolno, by można to było nazwać niezobowiązującym zacieka-wieniem.

– Sheffield – powtórzył z namysłem. Evelyn niemal fizycznie czuła na sobie jego wędrujące spojrzenie.

– Tak, Evelyn poszła do Sheffield, a mieszkała w śmiesznym małym miasteczku w Maryland. Musiałaś się czuć jak ktoś z zagranicy – powiedziała Camilla i zarzuciła włosami.

– Ja dorastałem w Londynie, więc też się tak czułem – powiedział Jaime. Jego oczy migotały, ale Evelyn nie potrafiła nic z nich wyczytać.

– Dla Evelyn musiało to jednak być bardziej egzotyczne – Camilla uderzyła młotkiem, piłka pokonała wzniesienie, a potem delikatnie skrzyła i przetoczyła się przez bramkę.

– Doskonale – powiedziała Camilla. – To dziwne, że grasz z Jaimem w grę pod tytułem: Właśnie się poznajemy. Mówiłaś przecież, że już się znacie.

Evelyn spróbowała zrobić zdziwioną minę. – Tak mówiłam? Nie sądzę.

– A ja tak – odparła Camilla. – Mówiłaś, że poznaliście się w Harvard Clubie. Może wtedy, kiedy byłaś tam ze swoim chłopakiem?

– Możliwe – powiedziała szybko Evelyn. – Nick, teraz twoja kolej, prawda?

– Harvard Club? Wyglądam na aż taki zabytek? – odparł Jaime i się roześmiał.

– Wydawało mi się to dziwne – powiedziała Camilla i posłała Evelyn chłodne spojrzenie. – Jej chłopak...

– Wiesz, co słyszałam o Harvard Clubie? – przerwała Evelyn. Próbowała wymyślić coś wiarygodnego. – Kiedy próbowali unowocześnić menu i usunąć z niego staromodne dania, jak polędwicę Wellington czy małże casino, członkowie klubu się wściekli i zagrozili, że gremialnie odejdą.

– Wierzę w to – odparł Jaime. – Nie sądzę, żeby podniebienia członków Harvard Clubu były szczególnie żądne przygód.

– Bo są tak starzy, że dostają wszystko w formie papki. *Shazam!* – powiedział Nick.

Evelyn się uśmiechnęła. Uczucie, jakie towarzyszyło wygłoszeniu wiarygodnego kłamstwa, było dziwnie przyjemne. Uderzyła piłkę młotkiem. Jaime położył swój młotek na ziemi i odwrócił się do Nicka. – Nie cierpię przerywać gry, ale, przyjacielu, muszę iść do miasta. Jeśli chcesz iść ze mną, przyjmę towarzystwo z otwartymi ramionami.

– Zostań – poprosiła Camilla z nadąsaną miną. – Możemy posłać do miasta administratora, po co tylko chcesz.

– Nie, obiecałem, że osobiście dostarczę to Jackowi. Jestem w tym samym mieście, mogę się zająć dostawą.

– W takim razie nie zabieraj Nicka. Obiecał mi, że po południu pogramy razem w tenisa.

– Ja muszę iść do miasta – powiedziała Evelyn. Camilla się w nią wpatrywała i już zaczynała coś mówić, ale Jaime był szybszy.

– Świetnie – odparł.

– Evelyn – zaczęła Camilla, ale Evelyn powiedziała: – Przepraszam na chwilę – i rzuciła na ziemię młotek do krokietu. Pobiegła do łazienki na górze, szybko pociągnęła usta pomadką, rozczesała rzęsy i zbiegła z powrotem. Drzwi do pokoju Camilli były otwarte, a tuż obok drzwi, na kredensie, leżała jej bransoletka z Racquet Clubu.

Evelyn spojrzała w prawo, a potem w lewo. Nikogo nie widziała ani nie słyszała. Zrobiła mały krok przed siebie i znów się zatrzymała. Pomyślała, że tylko pożyczyc ją na wieczór i zaraz odłoży na miejsce. Przyjaciółki ciągle pożyczają sobie biżuterię. Bransoletka leżała na kredensie. Błyskała. Gdyby Jaime zauważył ją na jej ręce, mógłby pomyśleć, że jej rodzina też ma związki z Racquet Clubem. Jeszcze raz spojrzała przez ramię, potem wbiegła do pokoju i wsunęła bransoletkę do kieszeni.

W mieście powiedziała Jaimemu, że ma odebrać drewnianą miskę ze srebrnym porożem dla matki Prestona. Przy kasie, kiedy płaciła, wyjęła bransoletkę

z kieszeni i włożyła na lewy nadgarstek, żeby Jaime mógł ją zobaczyć z fotela kierowcy. Wydawała się ciężka, wspaniała i na swoim miejscu.

Gdy Jaime objeżdżał James Pond, obracała nadgarstek w tę i z powrotem i słuchała kojącego pobrzękiwania małych rakietek. Kiedy się nachyliła, żeby pogłośnić radio, bransoletka uderzyła o pokrętkę.

– Ta bransoletka jest taka nieporęczna – powiedziała. – Mój dziadek i pradziadek byli poważnymi członkami Racquet Clubu i te ozdoby cenili sobie chyba najbardziej. O inne rodowe pamiątki prawie nie dbali – nasze srebra były tak zmatowiałe, że ledwo można było rozpoznać, że to srebra – ale te rakiety były zawsze wypolerowane i w doskonałym stanie. Chyba po prostu mężczyźni uwielbiają zwićzać.

Zerknęła na Jaimego. Nie potrafiła powiedzieć, co myśli.

– Camilla też ma taką – dodała na wypadek, gdyby już wcześniej zwrócił uwagę na bransoletkę. – Dlatego od razu zostałyśmy przyjaciółkami. Miałam te wszystkie małe rakiety od wieków, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby włożyć je w bransoletkę – powiedziała i sięgnęła po klapkę przeciwsłoneczną.

– To miłe – powiedział swobodnie Jaime, a potem skręcił w długą uliczkę. Evelyn spojrzała na znak i zorientowała się, że zawiózł ich do Lake James Clubu – prywatnego klubu dla mężczyzn, który był znany z tego, że dopiero dziesięć lat wcześniej zniesli tu zakaz wstępu dla gruźlików i Żydów.

– Pozwolisz? Jest tu kolega mojego ojca, który potrzebuje pewnych dokumentów – powiedział Jaime.

– Tak, oczywiście, że tak – odparła Evelyn. – Zaczekam tutaj.

– Będziesz siedziała w samochodzie?

Poczerwieniała. Myślała, że kobietom nie wolno wchodzić do klubu. Nie cierpiała zaliczać podobnych wpadek.

– Nie, nie, chętnie wejdę, jeśli to nie problem.

Jaime się uśmiechnął.

– Jeśli o mnie chodzi, nie ma problemu. To nie jest żadna tajna transakcja.

Evelyn pośpieszyła za nim. Przywitał się z ochroniarzem, wziął trochę orzeszków z baru i szybko wsypał do małego plastikowego kubeczka. Wrzucał je do ust i ssał w taki sposób, że żołądek Evelyn się obudził. Minęli kryte korty tenisowe i wielką bibliotekę z orientalnymi dywanami. Zajrzał do środka, szybko się odwrócił, położył jej na ramieniu gorącą dłoń i powiedział: – Zaczekaj tutaj.

Wciąż czuła jego rękę na ramieniu, jak wypalone piętno. Patrzyła, jak wręcza teczkę starszemu mężczyźnie, gawędzi z nim, śmieje się, podaje mu rękę, a potem wraca do niej.

– Zrobione – powiedział z uśmiechem. – Nie było tak źle, prawda?

Wracali do wyjścia, kiedy Jaime nagle się zatrzymał, odwrócił i nachylił tak blisko, że widziała błysk jego zębów i czuła jego zapach – potu i metalu. Poczowała

wirowanie w dolnej części brzucha.

– Chcesz coś zobaczyć? – zapytał.

Przytaknęła.

Wbiegł po jednych schodach, potem po kolejnych i pchnął drzwi, prowadzące do ciemnego korytarza z wielkimi oknami po jednej stronie. Unosił się tam zapach kurzu, a kiedy jej oczy przyzwyczyły się do mroku, zobaczyła mnóstwo głów martwych zwierząt: jeleni, łosi, lisów i niedźwiedzi, a u swoich stóp – szopa, który wyglądał, jakby zaciskał na czymś zęby. O ścianę po prawej oparte były kaczki – pięknie upierzone, ozdobne i martwe.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała.

– W galerii trofeów – odparł. Jego oddech łaskotał ją w szyję, stała w kompletnym bezruchu. – Kiedy któremuś z członków udaje się ustrzelić coś szczególnie cennego, trofeum ląduje tutaj. Tę ja zastrzeliłem – wskazał kaczkę, tak piękną, że wyglądała na ręcznie malowaną. Miała elegancki czarny czub i ładną białą łatę koło oka. Płytką, do której była przymocowana, balansowała na rozklekotanym krześle.

– Była piękna – powiedział. – Leciała z kumplami nad Saranac. Trafiłem trzy, ale to był najczystszy strzał.

Głośno przełknęła ślinę.

– One są bezbronne.

– To kaczki, Evelyn.

– Czy to nie jest obszar chronionego krajobrazu?

– Wystarczy mieć zezwolenie.

Spróbowała się uśmiechnąć.

– Dotknij jej – powiedział.

Nie poruszyła się.

– No dalej, dotknij.

Położył rękę na dolnej partii jej pleców, zaczęła się trząść.

– To na szczęście – dodał. – Dotknij.

Był teraz zaledwie kilka cali od niej, jego ręka była ciepła i sprężysta, pozwalała poczuć, jak jego ciało unosi się i opada przy każdym oddechu.

– Kiedy jej dotkniesz, możesz pomyśleć życzenie. Wyglądasz, jakbyś takie miała.

Popchnął ją do przodu. Kaczka była przymocowana do płyty w kształcie tarczy. Evelyn nie mogła odpędzić myśli o jej ostatnich chwilach, kiedy odważnie latała nad spokojnymi wodami jeziora, myśląc, że jest bezpieczna i wolna.

– Po prostu wyciągnij rękę, o tak – powiedział Jaime i przysunął prawą dłoń do jej talii. Jego lewa ręka spoczywała na jej lewym ramieniu. Nagłym ruchem poprowadził jej dłoń tak, że znalazła się na głowie kaczki. Wcisnął małe rakiety w jej nadgarstek i przytrzymał jej rękę, choć odruchowo próbowała ją oderwać

od nastroszonych piór kaczki. Przycisnął mocniej i zaczął przesuwać jej dłoń po ciele kaczki i rozszerzać palce.

– Dobra dziewczynka – powiedział.

Sprzączka pasa Jaimego wbijała jej się w plecy, wziął jej nogi w dwa ognie. Oddychała ciężko, zbyt ciężko, nie jak kobieta, na wpół z przerażeniem, na wpół z podnieceniem. Odpędziła od siebie myśli o kaczce i chciała, żeby Jaime przywarł do niej mocniej, tutaj, w tym brudnym korytarzu na piętrze. Czowała się tak, jakby punkty, w których się stykali – jego gładka, opalona dłoń, zimny metalowy zegarek, sprzączka pasa na plecach, mokasyn, który dotykał jej sandała – emitowały mrugające, czerwone światło.

– Pomyśl życzenie – powiedział cicho, a ona pomyślała, a potem odwróciła twarz, tak że patrzyła mu teraz w oczy i widziała wyraźnie jego długie rzęsy.

– O tak, Jaimie? – zapytała, również ściszone głosem, podnosząc na niego wzrok i próbując naśladować jego ton.

Zabrał rękę, cofnął się i spojrzał na zegarek.

– Powinniśmy wracać – powiedział i ruszył do drzwi. Evelyn została sama, z ręką wciąż przyciśniętą do martwej kaczki.

## Rozdział dwudziesty drugi

### Taipi

Kolacja została podana w ośmiokątnej jadalni w Sachem, na długim, drewnianym stole, przy którym tego wieczoru siedziało siedemnaście osób. Po południu pojawiła się Souse, a towarzystwo było bardziej eklektyczne niż u Hackingów: małżeństwo właścicieli Camp Adekagagwaa, melancholijny Azjata, którego – najwyraźniej szczerze – nazwali swoim poetą rezydentem na czas letni, rektor Yale, który nazywał się Gardiner, dyrektor kampusu z Harvardu, który także nazywał się Gardiner, kobieta, która zajęła trzecie miejsce w golfowym U.S. Open w 1993 roku, importer win – Chipp przez dwa p – który zawsze jako pierwszy w Stanach dostawał skrzynki Beaujolais Nouveau, gitarzysta Whitesnake ze swoją dwudziestoletnią dziewczyną, tęga starsza kobieta, która bezskutecznie próbowała zorganizować pornograficzną wystawę wokół wypożyczonej Madame X, kiedy zasiadała w radzie Isabella Stewart Gardner Museum, tęga młodsza kobieta, która powiedziała, że przez lata pracowała w Cartierze, ale „nie odpowiadało jej to”. Evelyn pomyślała, że to barwne towarzystwo, i z przyjemnością popisywała się przed Jaimem, kiedy pytał o Block Island i Bar Harbor. Cieszyła się też, że w Sachem nie musi dotykać brudnych naczyń – była od tego służba, a ona miała na tyle wysoki status, że nie musiała już się odwdzięczać pracą za gościnę.

Preston przyplął łodzią zaraz po podaniu deseru. Pomyślała, że jego obecność wzmocni jej pozycję, ale z drugiej strony mocno utrudni jawne flirtowanie z Jaimem – dawny przyjaciel nie pozwoli jej na wiele.

– Nie miałeś zdążyć na kolację? Gdzie byłeś? – zapytała i nachyliła się, żeby pocałować go w policzek.

– Tu i ówdzie – odparł i rozchylił poły marynarki, żeby ukazać butelkę.

– Pres, co to ma znaczyć? Rutherfordowie mają wspaniałą piwnicę.

– Lubię mieć prywatny zapas – oznajmił śpiewnym tonem Preston.

– Jesteś pijany? – zapytała Evelyn.

Spojrzał na nią. – Nie tykam tego towaru. Gdzie jest twój dawny chłopak? Twój lew salonowy?

– Musiał wyjechać. Miał kryzys w pracy.

– Czy w tej speluncie jest jakiś gin?

– Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że wypileś go już dosyć. Wiedz, że Charlotte prosiła, żebym miała cię na oku.

– O co prosiła? Jest tu gin z tonikiem?

– Chciałam cię zapytać: czy twoja matka miała okazję porozmawiać z kimś o Sloan Kettering?



Preston zacisnął usta w wąską kreskę. – Gdyby Fritz Rutherford nadal tu był, wszędzie roiliby się od ginu z tonikiem.

– Preston, możesz mnie posłuchać? Wydawało mi się, że twoja mama mogłaby szepnąć słówko, że pomagałam przy Balu Français.

Preston spojrział jej w oczy. Poczula zaskakujące ukłucie strachu.

– Słyszę cię – powiedział tylko, a następnie się odwrócił i zaczął rozmawiać ze starszymi.

Souse przywitała się z nim, a wkrótce potem wyszła, tłumacząc, że jest bardzo zmęczona. Camilla zaproponowała, żeby młodzi poszli do Taipi. Evelyn ruszyła za nimi. Puściła przodem płaszącą Phoebe i wsłuchiwała się w krzyki w ciemnościach. W połowie wzgórza przystanęła, odwróciła się i spojrzała na obóz. Czowała pod stopami sprężystą ziemię, a wokół siebie zimne nocne powietrze, ciemne jezioro i jasne gwiazdy. Głosy jej przyjaciół stawały się coraz bardziej odległe.

Tak długo odrzucała słowa matki o tym, jak powinno wyglądać jej życie. Myślała, że Barbara nie ma o tym pojęcia. Kiedy miała siedemnaście lat i chodziła na kurs *Wstęp do psychologii* w Sheffield, rozpoznawała matkę w opisach depresji i mechanizmu wyparcia. W którymś momencie zasugerowała, żeby matka zgłosiła się do psychiatry, który pomógłby jej wyrazić to, co czuje. Barbara, która akurat szorowała metalową patelnię drucianym zmywakiem, trzasnęła nią o zlew.

– Chcesz wiedzieć, jak się czuję, Evelyn? Każdego dnia wstaję i zadaję sobie pytanie: pozmywać naczynia czy przedawkować tabletki? Oto jak się czuję. Czy to dobre wyjaśnienie?

Barbara myli się co do życia, myślała, kiedy chodziła do Davidson i celowo nie wstępowała do snobistycznego żeńskiego stowarzyszenia, a jedynie rzuciła cięte komentarze z dystansu, patrząc, jak te rozszczebiotane dziewczyny z uśmiechem mkną przez college'owe życie. Myli się, myślała, kiedy przeprowadzała się do Nowego Jorku, zdeterminowana, żeby stanąć na własnych nogach. Myli się, myślała, kiedy wypełniała swoje wakacje pracą i pociła się na peronach metra, podczas gdy Preston i jego przyjaciele jeździli do fantastycznych, rześkich kurortów.

Ale Barbara miała rację.

Evelyn walczyła z nią długo i zawzięcie o życie, które, zanim poznała Camillę, właściwie składało się z telewizji i żarcia na wynos. Mieszkała w Nowym Jorku, ale w nim nie żyła. Potem, kiedy stabilny fundament w postaci jej rodziców i domu w Bibville zaczął ulegać erozji, wreszcie dała tym ludziom szansę i zorientowała się, że ją akceptują. Znalazła swoje miejsce. Była tutaj.

– Ev! Dorwał cię niedźwiedź? – krzyknęła Camilla.

– Jeśli wyjdiesz dziś do lasu, spotka cię w nim niespodzianka! – zaintonował Preston, a Nick do niego dołączył.

Evelyn dotarła ścieżką do Taipi i przeszła przez werandę. Główne pomiesz-

czenie było przytulne, jak w domku letniskowym, a wszystko miało barwy Yale – niebieska kanapa, biały dywanik, niebieskie koce. Fritza Rutherforda już od dawna nie było w Sachem, ale jego *Alma Mater* żyła nadal.

Preston unikał jej i wszystkich pozostałych. Zdjął marynarkę i po pijacku umościł się w fotelu ze starym komiksem Archie, którego pofałdowane od wilgoci strony przeszły niejedno. Kiedy Jaime zobaczył komiks, zapytał Evelyn, czy jest bardziej Betty czy Veronicą. Położyła dwa palce na jego ramieniu i odpowiedziała, że po trosze jedną i drugą. Nalała sobie whisky. Pachniała jak plaster z opatrunkiem, ale Evelyn szybko opróżniła szklaneczkę, a potem kolejną.

Spojrzała na coraz bardziej rozmazanego Jaimego palącego cygaro i zaczęła myśleć o sygnałach, które wysyłał jej tego popołudnia. Wszystko się udawało, szło tak gładko. Jaime bez wątpienia pokryje koszt dotacji Luminarzy na imprezie Camilli – dwadzieścia pięć tysięcy dolarów to kwota, którą pewnie wydawał, kiedy wyjeżdżał na weekend za miasto. Zaczęła się zastanawiać, jak wyglądają zaproszenia na śluby z południowcami, którzy mają setki środkowych imion. Czy napisaliby o tym w „Vogue’u”? Jaime się śmiał, Nick wycierał nos, ona piła kolejną szklaneczkę whisky, wszyscy śpiewali *Umbrella*, ona i Jaime tańczyli.

Potem była na dworze z Prestonem i czuła, jak przeszywa ją nocne powietrze. Preston coś mówił, ale nie chciało jej się słuchać, więc przechyliła się nad poręczą i szukała w dole potłuczonych butelek, ale nie mogła żadnej znaleźć. Kiedy przechyliła się jeszcze mocniej, zafascynowana światłami odbitymi w jeziorze, Preston szarpnął ją za kołnierz.

– Co ty wyprawiasz, do cholery? – zawołał.

– Światła są ładne – powiedziała pijackim głosem i przeniosła ciężar ciała na jedną nogę, a potem na drugą.

– Nie o to mi chodzi i dobrze o tym wiesz. Tańczysz tam z Jaimem lambadę? A co ze Scotem?

– A co ma być ze Scotem? Kiedy ostatnio sprawdzałam, nie było go tutaj. O ile wiem, nigdy też nie musiałam mieć pozwolenia na taniec.

– Nie mówię o pozwoleniu. Na kim ty chcesz zrobić wrażenie? Stajesz na głowie, żeby się wpasować w to towarzystwo. Nie warto, Evelyn. Nie warto.

– A to dobre, i kto to mówi! – Evelyn zachwiała się do tyłu i złapała chropowatą drewnianą balustradę. – To dobre, Prestonie Hacking. Staję na głowie? Proszę cię. Praktykuj to, co sam głosisz. Masz dwadzieścia osiem lat i sam stajesz na głowie i jesteś sztuczny. Co, zazdrościsz mi? To ty chcesz tam być i ocierać się o Jaimego?

Jego twarz zamarła, odwrócił się w stronę jeziora.

– O, tak lepiej. Ukrywaj się dalej, Pres. Nikt nigdy nie pozna twojego małego sekretu. Cśśś, nie mów ani słowa. No proszę, pouczaj mnie dalej, jak to nie powinienam stawać na głowie, żeby się wpasować w towarzystwo. Tylko że w tym samym

czasie jakoś nie możesz przyznać, że jesteś gejem, choć cały świat o tym wie. Ujawnij się, Prestonie Hacking! Ujawnij się!

Jej ostatnie słowa zawisły w powietrzu, tym bardziej że Preston nadal stał nieruchomo. Jego szczupła sylwetka była czarna na tle niebieskiego nieba, czarna jak drzewa, góry i jezioro. Evelyn czuła się tak, jakby w jej głowie szalał wirujący cyklon, który zaraz porwie ją z ziemi i zabierze ze sobą.

– Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewał – powiedział cichym, niewyraźnym od gniewu głosem. Potem zaczął biec. Zbiegł po stopniach Taipi, a po chwili usłyszała stukot jego twardych podeszew na ubitej ścieżce.

– Preston! – zbiegła za nim po schodach, poczuła pod stopami twardą ziemię, potknęła się o korzeń i z hukiem runęła przed siebie. Upadła na ręce i na moment zapało jej dech w piersiach. Podniosła wzrok. Nie widziała ani nie słyszała Prestona. Wzięła dwa niepewne, chrapliwe oddechy i uderzyła dłońmi o ziemię. Raz, drugi, trzeci.

Potem wstała, otrzepała kolana i dłonie, i weszła po schodach z powrotem na przyjęcie.

– Za młodość – powtarzał bełkotliwie Jaime i nalewał wszystkim do szklanek coś, co było w kwadratowej butelce i pachniało anyżem. Evelyn opróżniła swoją szklankę, a zaraz potem szklankę Prestona. Phoebe leżała wyciągnięta przy kominku, a Camilla i Nick grali w scrabble na czas. Marynarka Prestona leżała tam, gdzie ją zostawił. Evelyn wypła jeszcze jedną whisky, żeby nic nie czuć, kiedy na nią patrzyła. Teraz w końcu siedziała obok Jaimego, razem z nim pochylając głowę nad starą książką o łodziach typu Adirondack.

Chwiejnym krokiem poszła do łazienki. W lustrze zobaczyła, że ma rumieńce, więc zaczęła się bić po twarzy, żeby równo rozprowadzić na niej kolor. Kiedy wróciła, ogarnęła mętnym spojrzeniem zebranych w pokoju. Piękny, dopracowany wygląd dziewczyn ustąpił miejsca świecącym nosom, nastroszonym fryzynom i czerwonym pręgom od przyciasnych butów. Chłopcy, jeszcze niedawno świeży, ogoleni i pachnący mydłem, teraz wydzielali zapach hormonów i alkoholu. Zarost zaczynał się przebijać przez szorstką skórę, a usta były suche i gorące od starej whisky. Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie są jej buty. Lakier na palcach u nóg wyglądał jak połyskująca krew. Preston wyszedł, Evelyn wiedziała, że był na nią wściekły, wiedziała, że z ważnego powodu, ale nie pamiętała, w czym był problem. Nick mówił coś do niej w korytarzu, potem Nick, Camilla i Phoebe zbiegali ze wzgórza, Phoebe upadła, w mroku słychać było jej śmiech. Z czymś jej się to skojarzyło, ale nie mogła się skupić, kiedy próbowała o tym myśleć. Potem paliła się tylko jedna lampa, ona ssała ucho Jaimego, a czas był pomieszany. Nie czuła już smaku alkoholu, zatem dodała trochę whisky do swojej whisky, bo ktoś dał jej bezalkoholową. Był tu Jamie, szczyrzył zęby w uśmiechu i śpiewał, a potem światła zgasty i wszystko było w porządku, wirowało, było w porządku.

Szarość, wszystko wirowało. Zimno. Było jej zimno. Jej głowa i jej ciało, zimne ciało. Trzęsące się, nagie. Evelyn ocknęła się na niebieskiej kanapie, próbowała się rozgrzać pod czyimś szalikiem. Poczowała, że wokół niej unosi się aura czegoś złego, ale się obudziła. Chociaż czuła mroźne powietrze i ulokowała się w tym obcym pokoju, przez trzy–cztery sekundy nie wiedziała, co jest grane. Czuła się dobrze, prawie nie miała kaca. Potem chłód w palcach u nóg i rąk zastąpiło inne uczucie. Świadomość, że między jej nogami jest coś lepkiego. Usiadła, była ciężka. Jej żołądek się skurczył.

Była naga i dygotała na kanapie. Na skrzyni przed sobą widziała pomięte serwetki, kilka brudnych szklanek i pustą butelkę po whisky. W którymś momencie musiała włożyć bransoletkę Racquet Clubu – zostawiła na jej nadgarstku intensywnie czerwone ślady. Wzdrygnęła się, kiedy próbowała oddzielić lepkie ciało od materiału kanapy. Mętlik w jej głowie walczył z fizycznym pragnieniem, żeby włożyć zmiętą sukienkę. Rozejrzała się po pokoju, próbując ją znaleźć. W końcu jej się to udało – sukienka leżała w smętnym stosie, na starym egzemplarzu *Wyspy skarbów*. Evelyn była tak skołowana, że nie mogła znaleźć majtek. Gdzie są majtki? W głowie wyświetlił jej się obraz Jaimego szarpiącego ją za włosy, ale go odpędziła. Opadła na kolana i zaczęła szukać po omacku, jakby zupełnie straciła wzrok. W końcu je wyczuła, były obrzydliwie zaskorupiałe. Musiała powstrzymać mdłości, kiedy, wkładając je, poczuła na sobie tę drapiącą skorupę. Sandały, skopane gdzieś na bok, były ciemne od śladów, które zostawiły jej palce. Wszystko było zabrudzone, zużyte.

Podniosła się. Drżała. Zimne światło przedświt, które wpadało do środka przez okna, wysysało kolory z pokoju i z jej ciała. Nadstawiła uszu i czekała na odgłos spuszczonej wody, szuranie jego stóp, cokolwiek, co wyjaśniłoby, dokąd poszedł Jaime, ale w pokoju panowała cisza. Słyszeć było tylko ćwierkanie ptaków i drapanie jakiegoś szczura lub wiewiórki, ale nie było odgłosu kroków, warkotu motorówek, żadnych oznak ludzkiej obecności.

Trzęsła się i próbowała powstrzymać mdłości, ale bezskutecznie. Pobieгла do łazienki. W głowie znów wyświetliła jej się migawka z poprzedniej nocy: była tutaj i robiła mu loda. Czy weszła za nim do łazienki? Jej pachy wydzielały zapach ziemi i seksu. Nadeszła pierwsza fala torsji. Przypomniała sobie słowa Jaimego: „Jesteś pewna, że nie odciągam cię od przyjaciół?”. Wciąż zapominała, jak ma na imię, więc w ogóle nie zwracała się do niego bezpośrednio. Migawka: podnosi się z krzesła, kiedy Jaime i Phoebe tańczą do *Hollaback Girl*, i bełkocze: mogę się wciąć? Migawka: ściska się za kolano, mówi o tym, jak ważna jest dobroczynność, i podkreśla, że dotacje w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy są jej podstawowym budulcem. Migawka: pchnęła go na kanapę. Oplotła nogami. Migawka: próbowała rozpiąć zębami jego dzinsy, ale podniósł jej głowę i zrobił to sam, jedną ręką. Migawka: głupi pomysł, który wyczytała w „Cosmo” w salonie paznokci, jakoby

należało używać włosów do łaskotania mężczyzn w czasie seksu oralnego. Jaime siedział z rękoma za głową, a ona jeździła jasnymi włosami tam i z powrotem po jego kutasie i wydała z siebie coś, co w zamierzeniu miało być seksownym jękiem. Migawka: – Zęby nie, nie używaj zębów. – Migawka: po seksie oralnym podchodzi do niego na kolanach, włosy ma skołtunione, chce go pocałować, ale on odmawia, próbuje być żywiołowa i radosna, mówi: – Twoja kolej – a on odpowiada: – Mmm, nie sędzę. – Migawka: ona przesuwając bransoletkę po jego ciele. Uprawiali seks – pamiętała, jak na niej był i jęczał, choć nie pamiętała, jak do tego doszło. Nie zdjął nawet dżinsów do końca, pamiętała, że ocierały się o jej nogi. Potem wstał i zastanawiała się, czy weźmie ją w ramiona jak Scot. Słuchała dźwięku płynącej wody, usłyszała odgłos naciąganej koszuli, a później zobaczyła szalik. Z kaszmiru, jasnoróżowy.

– Chciałbym cię zobaczyć tylko w tym – oznajmił Jaime. Szalik wylądował na jej twarzy i nie wiedziała, co zrobić. A potem pokój wirował, dopóki nie zasnęła.

Teraz, kiedy w ciemności klęczała nad miską klozetową, łzy z jej oczu wpadały prosto do sedesu i wypływała żółte kałuże whisky zmieszanej z kwasem żołądkowym. Kurczowo trzymała się deski, trzęsła się z zimna, a z żołądka strzykały strumienie żółci, jeden za drugim. Wreszcie, gdy żołądek był już pusty, podźwignęła się na rękach i pacnęła nadgarstkiem we włącznik światła. W czystym lustrze zobaczyła skołtunione, tłuste włosy, rozmazany tusz, ciemnofioletowe cienie wokół oczu, bezbarwną skórę i żółtą obwódkę z wymiocin wokół ust.

Poruszała się, jakby brnęła przez gęsty krem. Odkręciła zimną wodę i zaczęła ochlapywać nią twarz, ale po chwili jej ramiona opadły do przodu, a głowa osunęła się do zlewu. Jasne kosmyki znalazły się pod wodą, która spływała jej po plecach i ramionach, skapywała na podłogę, przesiąkała przez sukienkę. Evelyn stała w kałuży. Nagle gwałtownie poderwała głowę do góry – była czerwona i desperacko próbowała zaczerpnąć powietrza. Wytarła papierem toaletowym tusz z twarzy, wyczyściła blat wokół umywalki i spuszczała wodę raz za razem, raz za razem. Wiedziała, że musi niepostrzeżenie przejść do głównego budynku i umyć włosy. Czyż nie wspominała Jaimemu, że chodziła do Sheffield? Że była debiutantką, pochodziła ze starego rodu z Baltimore i pomagała przy organizacji Balu Français? Zostałby na noc, gdyby tylko lepiej ją poznał, gdyby wiedział, że naprawdę jest kimś. Czy nie dała tego po sobie poznać?

Jaime nie zwracał sobie głowy zamykaniem drzwi. Pomyślała, że każdy mógł ją zobaczyć, kiedy leżała naga, przykryta szalikiem jak dziwka. Usłyszała łopot ptasich skrzydeł za oknem i odległy skrzek. Zakryła oczy dłońmi i patrzyła spomiędzy palców, jakby się spodziewała, że zobaczy coś innego, ale widziała tylko strzępy poprzedniej nocy. Gruba, czarna mucha usiadła na półpłynnym camembencie i zaczęła spijać rozlewający się tłuszcz.

Dopiero kiedy spojrzała na swoje kolano, zadrapane i wysmarowane ziemią, przypomniała sobie upadek i sytuację z Prestonem. Spojrzała w stronę dużego pokoju, jego marynarka wciąż tam była. Uciekł. Zdradziła go, sprawiła, że jego największy sekret zabrzmiał jak zwykła plotka. A on uciekł. Dotknęła marynarki, ale nie wiedziała, co z nią zrobić, więc zostawiła ją na fotelu.

Na chwiejnych nogach, w szarym świetle, poszła do głównego budynku i do swojego pokoju. Nikt jej nie widział. Nareszcie była w łóżku. Spała, budziła się, znowu spała. Potem były kroki. Pukanie. Sen o tym, że wypadają jej zęby. Mdłości. Spanie. Sen – zapisała się na angielski w Sheffield, ale nie było jej na ani jednym zajęciach i okazało się, że nigdy nie ukończyła szkoły. Dźwięki z dołu. Już ją coś omijało. Minuty, może godziny później, usłyszała słowo „omlet”, które odpędziła od siebie. Osunęła się w szarość, zrobiło jej się niedobrze, przekręciła się w łóżku.

Potem: jakiś dźwięk. Otworzyła zaskorupiałe oczy. Dzień. Późna godzina. Rozległo się pukanie.

– Evelyn? – głos Camilli. – Czas wstawać. Już dziesiąta. Chcę szybko wyjechać. Możesz wracać później pociągiem albo zabrać się ze mną teraz.

Jaime. Poprzednia noc. Jaime. Scot. Camilla ją zabije. Wszyscy ją zabiją. Było źle. Było naprawdę źle. Wsunęła pod kołdrę nadgarstek, na którym nadal tkwiła bransoletka. Nie ruszała się, jej serce szalało przez cukier z alkoholu i problemy, których była przyczyną.

– Okej – odpowiedziała. Jej głos był skrzekliwy i bez wyrazu. – Kiedy wyjeżdżasz?

– Za godzinę.

– Wezmę tylko prysznic.

Po drodze do łazienki usłyszała głos Jaimego z kuchni na dole. Mówił coś o robieniu tostów do jajek.

Oczywiście robił dla niej tosty. Oczywiście wszystko było w porządku. Jaime ją lubił. Przypomniała sobie chwilę, kiedy pozwoliła, żeby trzymał dłoń na jej dłoni, nieprawdopodobne zauroczenie w Lake James Clubie, to, jak powiedział, że jest w jakiś psotny sposób ładna albo po prostu psotna, nie mogła sobie przypomnieć. Sposób, w jaki się wokół niej kręcił, kiedy wszyscy inni już poszli. Nie mogła być jakąś pierwszą z brzegu dziewczyną, z którą się przespał. Nie mogła być zabawką, aspirującą do klasy średniej, kolejną walizką w kolejnym holu, jak śpiewała Madonna. To musiał być początek czegoś poważnego. Wspominał o swojej matce – kto mówi o matce, jeśli to nie jest coś poważnego? Spotkanie w Lake James było taką uroczą historią, że praktycznie zapewniało im pierwszą rubrykę w dziale ogłoszeń ślubnych „Timesa”. On będzie chciał się wkrótce ustatkować, a ona, jako małżonka, będzie dla niego idealną towarzyszką we wszystkich funkcjach, które pełnił. Zaryzykowała i na pewno wygra. Wszystko będzie dobrze. Musi być dobrze.

A co ze Scotem? Daj spokój, mówiła sobie. Nie myśl o tym. Nie przypominaj sobie uśmiechu, z jakim patrzył na ciebie wsparty na łokciu, kiedy się pierwszy obudził, dwa tygodnie temu w niedzielę. Nie było innego sposobu, tłumaczyła sobie dalej, nie mogłaś zerwać ze Scotem, nie wiedząc, czy między tobą i Jaimem zajdzie coś poważnego. Ludzie zdradzają. Kennedy, Paleyowie i Rooseveltowie też zdradzali. Nie była mężatką i nie ślubowała wierności. Robiła to dla swojej rodziny. Postępowała słusznie.

A Preston? O nim też nie ma sensu myśleć. Przyjaciele mówią głupoty. Przyjaciele wybaczą. Wszystko w porządku. Będzie dobrze.

Wstała z łóżka, przyciskając złotą rakiętę do miękkiej dłoni. Kiedy mijała pokój Camilli, rozpięła bransoletkę i już miała położyć ją na kredensie, gdy nagle skrzypnięcie na schodach sprawiło, że podskoczyła. Zapięła ją znowu i wbiegła do łazienki. Włączyła wodę, tak gorącą, jak tylko się dało, weszła pod prysznic, myła się i szorowała, dopóki nie poczuła bólu. Kiedy wyszła, bransoletka ociekała wodą. Nie mogła zostawić jej na komodzie Camilli, bo wzbudziłoby to podejrzenia, a poza tym Jaime mógłby się zastanawiać, gdzie się podziała. Podniosła torbę i schowała bransoletkę do bocznej kieszeni.

Na dole zastała Nicka i Camillę. Pili kawę w małej rodzinnej kuchni, służącej do jedzenia śniadań i przekąsek. – Czyli chcesz jechać z nami?

– Mam do wyboru to albo pociąg?

– Tak.

– Jaime jedzie później?

W tej samej chwili Jaime wszedł do kuchni. – Hej – powiedział i spojrzał na Evelyn, przekrzywiając głowę.

– Wyjeżdżasz później, Jaime? Mogłabym się zabrać?

– Możliwe, że wyjadę niedługo. Nie jestem pewien. Muszę załatwić parę spraw po drodze, pojedź z Camillą.

– No to idź po rzeczy, Ev. Musimy się zbierać – powiedziała Camilla.

– Muszę teraz zadzwonić, spotkamy się w Nowym Jorku, stary – zwrócił się Jaime do Nicka. Do Camilli powiedział: – Bardzo dziękuję za cudowny weekend. Było niesamowicie.

Camilla się nachyliła i pocałowała go dwa razy w policzek. Evelyn podeszła, żeby zrobić to samo, ale Jaime się cofnął i zaczął przeglądać katalog, który leżał na stole. – Spotkam się z wami w Nowym Jorku, mam nadzieję, że raczej wcześniej niż później – powiedział.

To zdanie rozbrzmiewało w jej głowie, kiedy zносиła torbę po schodach. Zanim łódź z Sachem dobiła do brzegu, zastanawiała się, czy było ono adresowane specjalnie do niej. W samochodzie analizowała je dalej. Znał jej numer. Znał, prawda? Nagle w głowie wyświetlił jej się obraz jej samej, jak siedzi na podłodze i prosi Jaimego o numer. Rzeczywiście, w folderze Wysłane był esemes, przesłany

przez nią dwie minuty po trzeciej rano na numer zaczynający się od 917: „czesc tu ev wracaj szybko”. A więc w środku nocy wysłała mu wiadomość. Nie był to dobry sposób na granie niedostępnej, ale wiedziała, że wkrótce zadzwoni. Musiał zadzwonić. Położyła telefon na kolanach, na wypadek gdyby zaczął wibrować, i patrzyła przez okno na długie odcinki zieleni między zjazdami z Northway.

Jaime prawdopodobnie zadzwoni dziś wieczorem, żeby nie wyjść na nadgorliwego, myślała. A może jutro, jak tylko wróci do domu i trochę odpocznie. Tak, na pewno wtedy zadzwoni. Bawiła się klamrą pasa bezpieczeństwa i próbowała zabić czas, ale czuła pulsujący ból w głowie, a posępne uczucie odrazy do samej siebie, które próbowała trzymać na dystans, odkąd się obudziła, czaiło się na krawędziach świadomości. Spojrzała na zegar na desce rozdzielczej. Było piętnaście po dwunastej. W jej mózgu panował teraz jeden wielki skacowany mętlik. Najpierw surowo karciała się za zachowanie w stosunku do Scotta, potem przestawiała się na niepokój z powodu bransoletki, która nadal była w jej torbie. Mózg mówił jej, że jest nie tylko nielojalną kłamczuchą, ale też złodziejką, potem przechodził w tryb zamartwiania się, że to już koniec, jej i jej rodziny. Rozgrywała swoje ostatnie karty. To na pewno zadziało, musiało zadziałać.



## Rozdział dwudziesty trzeci

### Le Bal Français

Od jej powrotu z Sachem minęło sześć dni. Sześć dni bez kontaktu z Jaimem. Sześć dni z ludźmi od czynszu, ludźmi z Barneys, z jej rodzicami i... nie, nie, nie, nie, nie, nie miała zamiaru dziś o tym myśleć. Nie tego dnia. To był dzień Balu. Nic nie miało prawa go zepsuć.

W skrzynce miała wiadomość głosową od ojca, ale postanowiła jej nie ruszać. Nic nie mogło jej zepsuć tego dnia. Preston nie dzwonił. Pierwotnie miał uczestniczyć w afterparty po Balu, ale wiedziała, że teraz nie wchodzi to w grę. Raz za razem zaczynała układać wiadomość do niego, ale poza słowem „Ja” nie wiedziała, co napisać, jak potraktować tę wersję siebie, która objawiła się wtedy na werandzie. Nie chciała o tym myśleć tego dnia. Camilla też ociągała się z odpowiedzią, a to mogło oznaczać, że... nie, nie, nie, nie dzisiaj. Nie dzisiaj.

Punktualnie o piątej weszła do Plazy z torbą na ubrania Naeem Khan (zadzwoiła do działu PR Naeem Khan i obiecała, że napisze o balu, o sobie i o tym, co na sobie miała, do „Timesa” i „Vanity Fair” – wychodząc z założenia, że to zapewnienie nie jest tak całkiem wyssane z palca). Płacz, na który sobie pozwoliła po powrocie z Sachem – przemoczone chusteczki, poplamiona łzami koszula i czerwone powieki – należał już do przeszłości. Krople Visine, woda i krem pod oczy załatwiły sprawę. Evelyn miała wszystko pod kontrolą.

Sprawdziła apartament na piętrze – debiutantki trajkotały tam o chłopaku z Princeton, który wysłał zaproszenie na Facebooku trzem z nich. Kiedy wychodziła zza rogu, prawie zderzyła się głową z Jennifer. Jej spojrzenie – pełne czystej pogardy – sprawiło, że Evelyn miała ochotę wbić sobie paznokcie w dłonie. To nie Jennifer jest bohaterką tego wieczoru, powiedziała sobie. Nie po to pracowałam tak ciężko, żeby się tu dostać, aby jakaś osiemnastolatka była w stanie zepsuć mi humor. Ruszyła do sali balowej, żeby pomóc w przygotowaniach.

Margaret/Push i Souse już tam były i nanosiły małe poprawki na stole z przedmiotami na cichą aukcję i ostro instruowały kelnerów, kiedy należy zabierać talerze z sałatkami. Evelyn ruszyła w ich stronę, gdy nagle zadzwonił jej telefon. Wyciszyła go i przekierowała połączenie na pocztę głosową.

– Pani Faber – powiedziała i uśmiechnęła się.  
– Evelyn, prawda?  
– Tak jest.  
– Wyglądasz pięknie. Bardzo ładna sukienka.  
– Dziękuję. Pani też pięknie wygląda. Wythe robi oczywiście olśniewające wrażenie. Przed chwilą widziałam ją na górze.

– Naprawdę? To dobrze, to dobrze. Przekonać ją, żeby włożyła sukienkę – pewnie sobie wyobrażasz, jakie to wyzwanie. Miejmy nadzieję, że na czas prezentacji zostawi gdzieś trampki.

– Dopilnuję tego.

Z drugiej strony sali nadbiegła Souse. – Evelyn! Witaj, kochanie. Gdzie jest Camilla? Nie miała być z tobą?

– Szczerze mówiąc, nie odzywała się do mnie. Myślałam, że planuje przyjść na piątą, ale nie jestem pewna, gdzie jest.

Souse uniosła ręce.

– Dzieci – zwróciła się do Margaret. – To jest bal jej siostry, a ona zasiada w komitecie. Mogłaby się trzymać zapowiedzianej pory.

– Tak czy inaczej, Phoebe wygląda pięknie i właśnie mówiłam pani Faber, że wszystko przebiega gładko – powiedziała Evelyn.

– Przynajmniej ty jedna trzymasz rękę na pulsie, kochanie – odparła Souse. – Wspaniała sukienka. Calvin?

– Naeem Khan.

– Oczywiście. Dzisiejsze dziewczyny są takie modne, prawda, Push? Wyglądasz cudownie. Mam nadzieję, że moja córka marnotrawna wkrótce się pojawi. Jak tak dalej pójdzie, spóźni się na prezentację. Myślałam, że po dwudziestce przestanie się tak zachowywać, ale najwyraźniej byłam w błędzie.

– Przykro mi to słyszeć – powiedziała Evelyn. – Chciałabym, żeby więcej osób w moim wieku doceniało tradycję. Osobiście ją wytropię, jeśli będę musiała. Bardzo się cieszę, że mogłam się z panią znowu spotkać, pani Faber, na pewno jeszcze się dziś zobaczymy. Jeśli nie potrzebuje pani mojej pomocy tutaj, to wrócę na górę i będę tam wszystkiego doglądała. Phoebe i Wythe wyglądają wspaniale, naprawdę. Będzie pani bardzo dumna, kiedy je zobaczy.

O ósmej Evelyn zeszła na dół. Goście, europejskim zwyczajem, dawali sobie całusy w jeden i drugi policzek.

– Muszę znaleźć ambasadora Szwajcarii – wymamrotał ktoś.

– Czy to nie ten w rogu, z czerwoną poszetką? – odparła druga osoba.

– Nie, nie, to jest konsul Szwajcarii.

Przy wejściu do sali balowej fotografowie robili zdjęcia. Margaret Faber z mężem, przybierający pozy, które miały tworzyć wrażenie, że zdjęcia były robione z ukrycia. Souse i Ari. Fotografowie wyraźnie wiedzieli z góry, kogo chcą uwiecznić, a kogo nie. Evelyn nie podchodziła, na wypadek gdyby nie zaliczono jej do tego pierwszego grona.

Jej telefon zabrzączał. Wchodzę – brzmiał esemes od Camilli, a kiedy Evelyn spojrzała w kierunku wejścia, fotografowie już robili jej zdjęcia.

Orkiestra swingowała *Dites-Moi*. Evelyn poczekała, aż Camilla skończy pozować, i podeszła.

– Sprawdźmy, przy którym stoliku nas posadzono – powiedziała Camilla.

Kiedy szły do stolika numer dziesięć, dodała:

– Evelyn, wciąż nie otrzymałam czeku od twojego ojca.

– Ach tak? – odparła Evelyn, otworzyła pięść i patrzyła na to, co było w środku.

– Zaproszenia już rozesłano – kontynuowała Camilla. – Zostały trzy tygodnie. Jeżeli na przykład chce dać w prezencie akcje, to w porządku, ale jego sekretarka dziwnie ze mną rozmawiała, kiedy do niej dzwoniłam.

– Indie – odparła Evelyn. – Pojechał w długą podróż do Indii. Tam produkowane są leki.

– Gdziekolwiek pojechał, potrzebuję tej dotacji. Prosiłam go kilka miesięcy temu, więc nie powinnam się tym zajmować w ostatniej chwili.

– Wiem. Wiem.

– W tym roku grupa otrzymała rekordowo wysokie dotacje, między innymi dzięki niemu. W przyszłym tygodniu będzie komunikat prasowy.

– Pracuję nad tym, Camillo – Evelyn chwyciła jedno z połączanych krzeseł przy stoliku dziesiątym. Było tam już wielu gości z listy A, między innymi Ari i Souse. – Pracuję nad tym.

Dziewczyny zajęły miejsca, orkiestra zaczęła grać radosną wersję hymnu, a Souse uniosła palec i pogroziła nim córce. Potem w sali zrobiło się ciemno i w świetle reflektora znalazł się chłopczyk, ubrany jak mały lord Fauntleroy, który zaczął śpiewać *Marsylianke*. Goście powstali i mu zawtórowali: *Aux armes, citoyens!*

Następnie na scenę weszła Agathe, przewodnicząca Balu. Pomachała gościom na powitanie, a w tym samym czasie kelnerzy zaczęli serwować okazałe kawałki homara w sosie bearnaiskim na zielonej fasoli. Przedstawiła honorowego gościa: szefa katedry europeistyki z Uniwersytetu Columbia. Evelyn pamiętała z jednego ze spotkań organizacyjnych, że była to trzecia osoba na liście. Dwie pierwsze niezdarnie odmówiły, tłumacząc, że ze względu na swoje stanowiska nie chcą być kojarzone z debiutantkami.

Zgasły światła i rozpoczęła się prezentacja. Mistrz ceremonii – kierownik Zespołu Instrumentów Dłużnych w Whitcomb Partners oraz mąż jednej z gospodyń – spojrzał na swoją pierwszą kartkę.

– Wythe Van Rensselaer jest reżyserką dokumentu o artystach graffiti ulicznego, utrzymanego w stylu niemieckich ekspresjonistów, i mistrzynią międzyuczelnianego biegu na dwieście metrów. Latem miała przyjemność pracować charytatywnie w Laosie i Botswanie. Lubi grać w pokera. Jej bracia John i Fredrick w ubiegłych latach byli osobami towarzyszącymi na balu. Jesienią zaczną uczęszczać do Yale.

Kiedy padła nazwa Yale, na widowni dało się słyszeć wyraźne: Ooo. Wythe

z rozmysłem wyszła, trzymając pod rękę swojego towarzysza, potem dygnęła i niewiarygodnie wolno przeszła na skraj parkietu. Naprzód wystąpiła Phoebe.

– Phoebe Rutherford mówi płynnie po francusku, łacinie, starogrecku, serb-sku i łotewsku. Szczególnie pasjonuje się łucznictwem i wyszywaniem na kanwie.

Souse odwróciła głowę i spojrzała na Camillę, która zakryła usta dłonią.

– No co? – wyszeptała. – Pomyślałyśmy, że to będzie śmieszne. Może się interesować wyszywaniem, łucznictwem i tymi wszystkimi językami.

– To nie są żarty – syknęła Souse.

– To jest żart – odparła Camilla.

– Wiesz, jak ciężko nad tym pracowałam? Jak ciężko pracowały nad tym te wszystkie kobiety?

– Oj, mam, daj spokój. To jest impreza.

– Evelyn przyszła dzisiaj o piątej. Ty łaskawie zjawiłaś się dopiero po rozpoczęciu przyjęcia, a przecież to nie siostra Evelyn dzisiaj się tu prezentuje. Ja nie umniejszam rangi twoich wydarzeń.

– To był tylko żart – odparła Camilla. – Myślałam, że będzie śmieszny.

– No cóż, nie jest – Souse gorączkowo stuknęła palcami.

Evelyn, która siedziała po drugiej stronie Souse, nachyliła się do niej i mając nadzieję, że Camilla tego nie usłyszy, powiedziała: – Tak mi przykro. Gdybym wiedziała, nigdy bym jej nie pozwoliła wpisać tego do notki.

– Dziękuję – odparła Souse i gwałtownie odsunęła krzesło od stołu. Wyszła, zanim mistrz ceremonii powiedział: – Jennifer Foster jest mistrzynią szermierki, wydała płytę CD z własnymi piosenkami, a niedawno jej obraz *Puste domy* znalazł się w finale prestiżowej Nagrody Courbeta. Jako pierwsza uczennica Spence dokonała tego dwa lata z rzędu. Jesienią zacznie uczęszczać do Whitman College, małego college'u sztuk wyzwolonych, uważanego za waszyngtoński Williams.

Evelyn zauważyła, że z boku sceny Souse szepcze coś Agathe, przewodniczącej. Agathe spojrzała zmartwiona w kierunku ich stolika i pokiwała głową.

Dziewczyny ustawiły się w rzędzie – za plecami każdej stanął jej towarzysz – i uśmiechały się sztywno, kiedy fotograf robił im zdjęcia. Potem wyszły na parkiet i zaczęły tańczyć szarpanego walca.

Kiedy orkiestra skończyła *Try to Remember*, Evelyn trąciła Camillę.

– Czy to aluzja do tego, że wszystkim debiutantkom dziś w nocy urwie się film?

– O ile to się już nie stało – odparła Camilla.

– Phoebe wyglądała fantastycznie.

– Prawda?

Światła na scenie znów się zapaliły i w ich kręgu znalazła się Agathe. Wyglądała na zdenerwowaną i mówiła coś do mistrza ceremonii. – Bardzo dobrze – zagrzmiał do mikrofonu, nie zdając sobie sprawy, że jest włączony. Agathe smyr-

gnęła na skraj sceny.

– A teraz, zgodnie z tradycją Balu Français, czas na *danse d'honneur*. Prosimy byłą debiutantkę, żeby wystąpiła i rozpoczęła drugi taniec z naszym czcigodnym ambasadorem – powiedział mistrz ceremonii.

Światło reflektora przeniosło się na stolik Evelyn. Camilla wyprostowała plecy i skromnie skinęła głową, jakby była nominowana do Oscara.

– W tym roku gospodynie balu z przyjemnością proszą pannę Evelyn Beegan o poprowadzenie tańca. Panno Beegan?

Rozbrzmiał aplauz. Evelyn zmrużyła oczy w świetle reflektora i spojrzała na Camillę. Ta z uśmiechem patrzyła przed siebie.

– Panno Beegan? – powtórzył mistrz ceremonii.

Evelyn wstała i poczuła, jak trzęsą jej się nogi. Kiedy była nastolatką, matka zapisała ją na lekcje walca do szkoły w centrum handlowym, choć protestowała, że nigdy, przenigdy jej się to nie przyda. Dobra robota, mamó, pomyślała. Jeszcze raz spojrzała na Camillę, która wpatrywała się w mistrza ceremonii i biła brawo. Pochyliła głowę. To wszystko było zaplanowane, na pewno. Aplauz przybrał na sile, wydawało się, że obmywa ją jak przyjemne, ciepłe fale. Po chwili znalazła się w jeszcze ostrzejszym kręgu światła, tak jasnego, że nic nie widziała. Po jej lewej stronie strzelił flesz. Wyobraziła sobie Jaimego, który ogląda zdjęcie i zdaje sobie sprawę, kim ona jest. Uśmiechnęła się, najpierw nieśmiało, a potem pewnie i szeroko, bo światło i aplauz dodały jej otuchy. Tym razem to było dla niej. W końcu wszystko było właśnie dla niej.

Reflektor podążał za nią, kiedy szła na środek parkietu. Wyciągnęła rękę do ambasadora. – *C'est un plaisir* – powiedziała melodyjnie. Skupiła się na jego stopach – skoro była debiutantką, powinna doskonale tańczyć walca – i kiedy orkiestra zaczęła grać *Que sera, sera*, naśladowała jego kroki. To był jeden z ulubionych fortepianowych kawałków Barbary, ale tutaj miał o wiele bardziej soczyste i prawdziwe brzmienie. W tył – dwa – trzy, w tył – dwa – trzy, płynęli po parkiecie, przez całą jego długość i szerokość. Ambasador kręcił nią i obracał, nabierali prędkości, wirowali, wpadali niemal w galop. Kiedy wybrzmiały ostatnie nuty, ambasador wygiął jej rękę w elegancki łuk i zgiął się w głębokim ukłonie, a ona skromnie dygnęła. Zapaliły się światła i nagły błysk na chwilę ją oślepił. Flesze zaczęły błyskać ze wszystkich stron, słyszała swoje imię, które przybierało na sile jak fala: Evelyn! Evelyn, tutaj! Evelyn, w lewo! Evelyn, jaki to projektant? Evelyn, prosto! Evelyn! Evelyn! Evelyn! Nie była już „i gościem”, „i przyjaciółką”, nieustannie w drugim rzędzie. Każdy, kogo kiedykolwiek poznała, mógł ją tam zobaczyć, przekonać się, że jest warta uwagi. Joseph Rowley, który głośno jęknął, kiedy w Eastern Tennis Clubie znalazł się z nią w parze w deblowym turnieju zawodników do lat dwunastu, rozgrywanym w systemie kołowym. Margie Chow, jej współlokatorka z Sheffield, która po pierwszym roku nie chciała już dzielić z nią

pokoju. Ludzie, którzy zawracali jej głowę w sprawie czynszu, i pracownicy Barneys dowiedzą się, kim jest i że nie powinni byli jej denerwować. Wszyscy pokręcą ze smutkiem głowami i będą tego żalowali. Przecież od samego początku miała w sobie tę iskrę, prawda? Czyż nie była kimś? Prawda, że byliśmy głupi, skoro tego nie dostrzegaliśmy? Camilla, Jaime, Nick i Charlotte. Preston. Preston jej wybaczy. I jej matka, jej matka! Ależ Barbara będzie szczęśliwa. Evelyn, tutaj! Evelyn! Błyskały flesze i wszyscy widzowie w końcu wiedzieli, jak się nazywa. Wiedzieli, że ona, Evelyn Beegan, ma tu swoje miejsce.

## Rozdział dwudziesty czwarty

### Po Balu

W niedzielę rano Evelyn wstała wcześniej, żeby przejrzeć nowe posty na Appointment Booku. Na górze strony widniało zdjęcie, na którym sunęła tanecznym krokiem po parkiecie. Podpis brzmiał: Tańczące Marzenia – Evelyn Beegan wybrana do *danse d'honneur* na Balu Français. Zaczęła przeglądać zdjęcia Patricka McMullana i zobaczyła siebie na bardzo wielu z nich. Dla zabawy zalogowała się na People Like Us i wpisała w wyszukiwarkę swoje nazwisko. Ktoś ze Stambułu zrepostował jej zdjęcie i napisał: KOCHAM jej naem.

Kiedy to przeczytała, wysłała do Camilli maila: Zajrzyj na Appointment Book! Dobrze wyszłaś na zdjęciu.

To była prawda, choć Camilla była na zdjęciu grupowym, a Evelyn została sfotografowana oddzielnie. Camilla nie odpisała. Kilka godzin później napisała do niej znowu: Tańce bardzo się przeciągnęły. Jestem taaaaka zmęczona :(

Nadal nic. Próbując pośrednio naprawić sytuację, wysłała szczególnie elokwentną (tak przynajmniej jej się wydawało) wiadomość do Souse, w której dziękowała jej za bal. Liczyła na to, że w ten sposób się dowie, jakie wrażenia miała Camilla. Potem wysłała Nickowi kilka wesołych esemesów na temat zbliżającego się weekendu w Lake James i regat Fruit Stripe, które zgodnie z zarządzeniem Souse miały się odbyć w tym terminie. Chciała w ten sposób wybać, czy Camilla mówiła mu coś na jej temat, ale odpowiedzi Nicka były zwyczajne. Myślała, i to często, czy nie zadzwonić do Prestona, ale nie widziała, jak rozpocząć rozmowę.

Nie mogła się zdecydować, czy zostawić w telefonie maksymalną głośność, na wypadek gdyby dzwonił Jaime, który na pewno już zdążył się dowiedzieć, że tańczyła *danse d'honneur*, czy w ogóle go wyłączyć, żeby się nie rozpraszać czekaniem na telefon od niego. W rezultacie wpatrywała się w telefon, jakby był bombą. Na przemian włączała go i wyłączała, ale nie było żadnych nieodebranych połączeń ani wiadomości nagranych na pocztę głosową. Ani od Jaimego, ani od Camilli.

Chcąc oczyścić skrzynkę, na wypadek gdyby Jaime chciał zostawić wiadomość głosową, odsłuchiwała w końcu tę, którą jej ojciec zostawił w piątek. Było to jedno zdanie wypowiedziane ścisłym głosem: pomyślałem, że będziesz chciała wiedzieć, że dziś przyznaję się do winy, bo wygląda na to, że zapomniałaś. Wyobraziła sobie ojca, jak zawstydzony stoi przed obliczem sędziego, ale po chwili zmieniła tok myślenia. Sam się w to wpakował, to była jego wina. Czego oczekiwali od niej rodzice? Pocieszenia? Wsparcia? A czy mogła liczyć na to samo z ich strony? Nie robili nic, żeby poprawić sytuację rodziny. W przeciwieństwie do

niej. Będą musieli radzić sobie sami.

We wtorek ktoś dzwonił do niej z dziwnego numeru. Za pierwszym razem odebrała z nadzieją, że to Jaime dzwoni z Wenezueli. Okazało się jednak, że to kolejna firma windykacyjna, tym razem działająca w imieniu AmEx. Powiedziała, że pomylili numer, i zafundowała swojej komórce krótką kwarantannę w lodówce.

W środę rano, kiedy Camilla i Jaime wciąż nie dawali znaku życia, doszła do wniosku, że Jaimemu musiało się stać coś strasznego. Może umierała mu babcia. Nawet gdyby jej nie lubił, i tak by się odezwał. Przecież, na Boga, też była gościem Camp Sached i tańczyła *danse d'honneur* na Balu Français. Chyba że była jakaś awaria w Verizonie, kiedy wysyłała wiadomość ze swojego numeru. Może mieli awarię? Gdzie była Camilla? Potrzebowała mieć ludzi po swojej stronie.

Takie myśli tłukły jej się po głowie jak kule bilardowe, kiedy w ciepłe śródowe popołudnie biegła w stronę Central Parku. Nie zdziałała nic w sprawie komitetu wspierania Sloan Kettering i wiedziała, że Preston już jej nie pomoże, więc zgłosiła się jako wolontariuszka. Miała nadzieję, że praca u podstaw w końcu zaowocuje stanowiskiem w komitecie. Jej zadanie polegało na rozdawaniu wody podczas biegu/ marszu na pięć kilometrów, połączonego ze zbiórką funduszy na szpital dziecięcy.

Wzięła z bazy małe papierowe kubeczki i prawie się zderzyła z Brooke Birch. Ona także miała plakietkę WOLONTARIUSZ i niosła całe naręczne opakowań żelu energetycznego.

– Brooke?

Brooke szybko się obejrzała, ale nie znalazła żadnej oczywistej drogi ucieczki.

– Evelyn – odparła.

– Co porabiasz w mieście?

– Będziemy tu do czasu ślubu. Pod koniec czerwca.

– To fantastycznie. Tak miło z twojej strony, że się zgłosiłaś na ochotnika.

– Dzięki za zachętę – powiedziała Brooke.

– Hej – zawołała szybko Evelyn. Brak odpowiedzi od Camilli i Jaimego nie dawał jej spokoju. Jeśli traciła grunt pod nogami, potrzebowała więcej stabilności. Więcej przyjaciół. Zdjęcia na stronach poświęconych wydarzeniom towarzyskim stanowiły dobry, bardzo dobry początek. Ale nie czuła się całkiem bezpiecznie. Potrzebowała sojuszników. – Często się widzisz z Camillą, odkąd jesteś w mieście?

– Evelyn, powiem szczerze: z pewnością wiesz, że nie jesteśmy w najlepszych stosunkach. Jak było na Balu? Dobrze się bawiłaś jako asystentka Camilli, czy kim tam byłaś?

– Posłuchaj – odparła łagodnie Evelyn, ustawiając papierowe kubeczki w stos. – Nie wiem, jakie plany co do Balu miała Camilla, ale nie chciałam... nie



chciałam zająć twojego miejsca.

– W porządku.

– Sposób, w jaki cię wykluczyła, to było jakieś wariactwo. Chciałam wtedy coś powiedzieć, ale nie byłam pewna, co zrobić.

Brooke zaczęła się od niej oddalać. – Naprawdę nie musimy o tym rozmawiać, Evelyn. Dobrze? Jak długo znasz Camillę, dwie minuty? Moje gratulacje, teraz to ty jesteś jej najlepszą przyjaciółką.

Evelyn poszła za Brooke. Czuła, że ogarnia ją spokój. Wyobraziła sobie ojca, który stoi w swoim gabinecie i kładzie przycisk do papieru na stosie sądowych dokumentów. Sekret każdej ugody – mawiał – to znaleźć esencję tego, co jest najważniejsze dla drugiej strony, i postarać się, żeby uwierzyła, że to dostanie.

– Tak przy okazji, masz piękny pierścionek. Nie przyjrzałam się mu zbyt dokładnie, kiedy się poznałyśmy. Will sam go wybrał?

Brooke przerwała swój marsz. – Tak.

Jedno opakowanie żelu upadło na ziemię, ale Brooke go nie podnosiła. – Zainspirował go pierścionek mojej babci, który zawsze bardzo mi się podobał.

– Tak pięknie wygląda na twojej dłoni. Bardzo dobrze łapie światło. A więc masz już sukienkę? Jak wygląda?

Martwa twarz Brooke trochę się rozluźniła. – Och, jest taka piękna – powiedziała i zawiesiła głos. Evelyn posłała jej zachęcający uśmiech. – Bez ramiączek, z dopasowanym stanem. Ma fason syreny i tren.

– Ivory?

– True white – Brooke niemal piszcziała.

– Cudownie. Będzie ci świetnie pasowało do cery.

Brooke się uśmiechnęła. Evelyn potrafiła rozpoznać fałszywy uśmiech. Ten był szczerzy. Zapytała o suknie druhen. Brooke wrzuciła paczki do wielkiej miski i zaczęła opisywać lamówki z programu. Evelyn wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Brooke. Wiedziała, co chce usłyszeć. Ma się rozumieć. – Chciałam ci tylko powiedzieć, że przykro mi z powodu Camilli. To znaczy z powodu Balu.

Głos Brooke był teraz bardziej miły. – Cała Camilla, prawda? Tyle o tym myślałam... była tak jawnie zazdrosna, że wychodzę za mąż, a ona nie. Przepraszam, że jestem szczęśliwa, a nie całkiem zależna od niej.

– Wydawała się trochę zdenerwowana, że się zaręczyłaś.

– Nie mogę uwierzyć, że ci to powiedziała.

Evelyn milczała. Ojciec nauczył ją, że to kolejny etap negocjacji. Jeżeli pozwoli się innym mówić, zdradzą więcej, niż im się wydaje.

– A może i mogę. Po prostu... znam Camillę, odkąd miałyśmy trzynaście lat. Obie byłyśmy prefektami w St. Paul's. Nie wierzę, że skarży się na prawo i lewo, że mam czelność wychodzić za mąż. Uważasz kogoś za swojego przyjaciela, a tu nagle puf. Postąpiła tak z każdym, nie wiem, dlaczego byłam zaskoczona, kiedy

i mnie to spotkało. W St. Paul's właściwie co roku do grona osób, które się jej znużyły, dołączał ktoś nowy. Jedną z tych dziewczyn była naprawdę dziwna. Przed grą w lacrosse'a zawsze zakładała sportowe gogle na okulary. Camilla sprawia sobie błyszczącą, nową zabawkę, bawi się nią, a potem wyrzuca. Teraz lata po Nowym Jorku i jęczy, że wychodzę za mąż. Czy nie może po prostu się z tego cieszyć? Być po mojej stronie?

Brooke zamachała ręką, sygnalizując zmianę tematu. – Widziałam na Appointment Booku, że tańczyłaś *danse d'honneur*.

– Tak – odparła Evelyn. Zastanawiała się, co się stało z dziewczyną w goglach.

– Camilla na pewno się wściekła.

– Nie wydawała się zła – odparła Evelyn.

– Liczyła na to, że zostanie wybrana. Słyszałam, że nawet dobrała sukienkę do baretek ambasadora.

Evelyn wróciła myślami do balu. Przypomniała sobie, że sukienka Camilli miała odcień czerwieni i złota, i rzeczywiście pasowałyby do kolorowych pasków na kłapie dyplomaty. Poczula, że przewracają jej się wnętrzności. Odebrała Camilli tę chwilę, a to było bardzo niebezpieczne. Tak mocno ścisnęła opakowanie żelu, że mało brakowało, a pękłoby i załało jej ramię.

– Jestem zaskoczona, że po czymś takim nadal z tobą rozmawia.

– Sądzę, że... – Evelyn zaczęła wymyślać jakąś wymówkę, która miała wyjaśnić, co się stało, ale zamilkła. Doszła do wniosku, że jeśli chce mieć Brooke po swojej stronie, najlepiej zrobi, jeśli szczerze przyzna, że być może ona też jest na wylocie u Camilli. Wybuchnęła śmiechem. – Po tym wszystkim wysłałam jej z osiem maili i nie doczekałam się odpowiedzi.

Brooke spojrzała na nią z niepokojem, a potem też zaczęła się śmiać. – Cóż, miała być druzną na moim ślubie.

Obie zaczęły rechotać. Do oczu Evelyn napłynęły łzy, próbowała zaczerpnąć powietrza. – Dopasowana kolorystycznie sukienka na *danse d'honneur*! – zapisała. – Camilla mnie zastrzeli.

– Nawet jeszcze nie wysłała potwierdzenia przybycia!

Stały, ściskając się za ramiona, zgięte w pół ze śmiechu. – Nie chcesz jej po prostu powiedzieć... – Brooke nagle się wyprostowała i spoważniała.

– Że nie ma pełnej kontroli nad śmietanką towarzyską? – dokończyła Evelyn.

– Może dobrze by jej zrobiło, gdyby to usłyszała. Wszyscy zawsze tak się jej boją.

– Myślę, że wyszłoby jej to na dobre.

Brooke i Evelyn spojrzały na siebie. Jedną popychała drugą w stronę krawędzi przepaści.

– Twoje zdjęcie na Appointment Booku musiało przyprawić ją o atak serca – powiedziała Brooke po chwili milczenia.

Śmiech był tak przyjemny, że Evelyn miała ochotę zaznać go znowu. – Skąd w ogóle można wiedzieć, w jakim kolorze będą baretki ambasadora? – zapytała. Znow zaczęły się śmiać. Nagle rozległ się dźwięk gwizdka. Evelyn spojrzała za siebie – do wyjścia pozostało piętnaście minut. – Muszę iść do swojego stanowiska – powiedziała. – Bardzo miło było się spotkać, Brooke. Może znow na siebie wpadniemy. Przy okazji walki z rakiem albo czegoś takiego.

– Możliwe – odparła Brooke.

Kiedy Evelyn dotarła do stanowiska z wodą, jej wesoły nastrój zdążył już się ulotnić. Przed wieczornym spotkaniem ze Scotem, z którym umówiła się na kolację w Le Bilboquet, kilka przecznic od domu Camilli, była rozgorączkowana i nieobecna myślami. Wciąż zadawała sobie pytanie, czy nie powiedziała za dużo Brooke. Czekając na Scota, bujała się na krześle i w kółko czytała menu: kurczak Cajun i cykorie *aux Roquefort*, kurczak Cajun i cykorie *aux Roquefort*...

– Cześć – powiedział Scot, kiedy się pojawił. Był bardziej zdenerwowany niż zwykle, wręcz podskakiwał w miejscu.

– Cześć – pocałowała go, odliczyła pięć sekund i się odsunęła.

Scot usiadł, pociągnął serwetkę, przez co wybrzuszyła się w dziwny kształt. Evelyn sięgnęła po nią, strzepnęła i ułożyła mu na kolanach.

Zjawił się kelner, żeby przyjąć zamówienie. Evelyn zobaczyła, że Scot przełożył serwetkę z powrotem na stół i zaczął ją skręcać jak sznurek. Kiedy kelner odszedł, zapytała, jak minął mu dzień. Scot nie odpowiedział. Dalej skręcał serwetkę w jedną i w drugą stronę. Po chwili przeprosił i poszedł do łazienki. Kiedy wrócił, drapał się po linii włosów i mocno je szarpał. Wyprostował plecy i spojrzął na Evelyn. Mimo towarzyskiej nieporadności, w college'u radził sobie doskonale w grupie dyskusyjnej. Wiedziała, że kiedy miał coś ważnego do powiedzenia, ćwiczył to wcześniej, dzięki czemu mówił pewnie i płynnie. Tego efektu nie był w stanie powtórzyć w luźnej rozmowie.

– Muszę z tobą o czymś porozmawiać. To narasta już od jakiegoś czasu – powiedział. – Moment nie jest idealny, ale rzadko kiedy jest.

Evelyn zastygła w bezruchu z ręką na stole. – Tak.

– Doszły mnie pewne słuchy. Zazwyczaj nie wierzę w plotki, ale muszę usłyszeć od ciebie, że to nieprawda.

Evelyn zacisnęła dłoń w pięść.

– Chodzi o Jaimego, w Lake James – powiedział Scot.

Jej oddech był płytki, ale wiedziała, że nie może tego pokazać. Starła się pilnować, żeby jej klatka piersiowa się nie unosiła. – Jaime? – zapytała takim tonem, jakby próbowała skojarzyć, skąd zna to imię.

Scot nacisnął zęby widelca do sałatek. Widelec podskoczył i spadł ze stołu. –

Słyszałem o pewnych rzeczach, w które nie wierzę, ale chciałem cię o nie zapytać wprost.

– Co takiego słyszałeś? – jej śmiech, który miał zabrzmieć swobodnie, był piskliwy.

– Jestem pewien, że to paskudna plotka. Jestem pewien, że to nieprawda, ale słyszałem, że doszło do czegoś między tobą a Jaimem. Po tym, jak wyjechałem z Lake James.

Wdech nosem, wydech ustami, powtarzała w myślach Evelyn. – Nie wiem, co na to odpowiedzieć – stwierdziła. – To kompletny absurd. Kiedy coś takiego miałyby się wydarzyć? Zaraz po twoim wyjeździe? Oczywiście, że nie. Oczywiście, że nie.

– Tak właśnie myślałem – odpowiedział, prawie nieśmiało.

– Przecież mnie znasz. Prawda?

Scot głośno wypuścił powietrze pomiędzy grubych warg. – Przepraszam. Przepraszam, Ev. Nie powinienem był pytać. Ja... po prostu się martwiłem. Możesz to zrozumieć?

Przycisnęła nadgarstek do stołu, żeby opanować drżenie ręki, i zacisnęła palce na jego dłoni. – Scot. Jestem tu z tobą. Proszę. Cieszymy się kolacją i zapomnijmy o tym wszystkim, dobrze?

Ścisnęła jego rękę, ale nie potrafiła powiedzieć, czy on odwzajemnia uścisk, czy się wycofuje.

– Okej – powiedział. Po chwili mówił już o jakiejś bankowej sprawie, nad którą pracował z Nickiem – miało to związek z transferem ryzyka kredytowego i bańką CDO, ale Evelyn miała w głowie kule z waty i nie potrafiła go zrozumieć. Nie mogła uspokoić rytmu serca przez całą kolację i w nocy, nawet kiedy próbowała zasnąć.

## Rozdział dwudziesty piąty

### 10.15 Adirondack

W piątki odjeżdżał tylko jeden pociąg do Lake James – 10.15 Adirondack. Evelyn miała ze sobą torbę podróżną i, żeby się przypodobać Camilli, dwie zakupowe torby z zapasami na Fruit Stripe. Były tam foliowe woreczki, specjalnie zamówione w sklepie internetowym, żółte, zielone i czerwone łakocie sprzedawane na wagę, po które wybrała się na Lower East Side, i mnóstwo paczek gumy Fruit Stripe. Miała też ze sobą własny sprzęt na Fruit Stripe – Souse zdecydowała, że tegoroczną dyscypliną będzie wioślarstwo, a Evelyn była w tym całkiem niezła. Ostatniego dnia trzy razy dzwoniła do Camilli, żeby zapytać, czy nie potrzeba czegoś jeszcze, ale Camilla nie oddzwoniła.

Po spotkaniu ze Scotem w ogóle nie mogła spać, kolejnej nocy też prawie nie zmrużyła oka, więc była tak zmęczona, że wszystko wydawało jej się zabawne i przerażające zarazem. Kiedy przez wagon przeszedł konduktor, zaczęła płakać ze śmiechu, bo pomyślała, że wyglądał jak robot, który zaraz zerwie sobie twarz i zaprezentuje fizjonomię kosmity. Fizjonomia, fizjonomia, myślała, kiedy pociąg mknął na południe, rzeka Hudson się rozszerzała, a ziemia wyglądała tak, jakby unosiła się w powietrze i mieszała z niebem. Zadzwoił telefon, znów zablokowany numer. Wsunęła go do kieszeni torby, a wtedy jej palce natrafiły na bransoletkę Camilli. Co ona wyprawiała? Co najlepszego zrobiła? Telefon zadzwonił znowu, tym razem na wyświetlaczu pojawił się numer firmy windykacyjnej działającej w imieniu AmEksu. Dlaczego ją ścigali? Wnętrznosci zaczęły jej się skręcać, tętno przyspieszyło, a w ściśniętym gardle poczuła drapanie. Jej oddech był za szybki, a jednak nie dość szybki i kiedy panika dotarła do mózgu, nie miała już nad nią żadnej kontroli. Siedziała na fotelu pociągu, miała szeroko otwarte oczy i płytki oddech, i wyliczała w myślach wszystkie sprawy, które próbowała kontrolować. Swojego ojca, jego proces, Camillę, Prestona, telefony od Barneysa i AmEksu – to były tylko jedne z wielu, bardzo wielu rachunków, których nawet nie otworzyła i nie wiedziała, czego się w nich spodziewać. Do tego jeszcze czynsz, dotacja w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy, Scot, który dowiedział się o Jaimem – w jaki sposób? Kto jeszcze wiedział o Jaimem? W pewnym momencie próbowała się trochę zdrzemnąć, ale spała krótko i dręczyły ją niepokojące sny, które zostawiały po sobie uczucie porażki, wrażenie, że po coś sięgała, spadała... Obudziła się spocona. Czowała kwaśny smak w ustach i słyszała głos konduktora: – Dojeżdżamy do Lake James.

– Wszyscy pasażerowie wysiadający w Lake James – powtórzył. Evelyn została na miejscu. Zastanawiała się, co by było, gdyby pojechała dalej na północ,

do Kanady. Ale kiedy pociąg zwolnił i się zatrzymał, konduktor wyjął bilet z jej fotela. – Pani stacja – powiedział i radośnie przeniósł jej torbę do przejścia.

Kiedy wchodziła do budynku dworca, poczuła, że wibruje jej telefon. Serce podskoczyło jej do gardła i opadło z powrotem. Jasne, że wszystko było w porządku, po prostu zaczynała wariować. Świetnie załatwiła sprawę ze Scotem. Po prostu potrzebowała trochę snu i to wszystko. Tylko trochę snu. Uśmiechnęła się i kiwnęła głową pracownikowi, który czytał magazyn „Buckmasters”, i wyciągnęła telefon z torby. Nie było żadnego esemesa ani wiadomości głosowej. Najwyraźniej po prostu przycisnęła telefon.

Postawiła torbę na czystym kawałku podłogi i ostrożnie na niej usiadła. Odczekała dziesięć, dwadzieścia minut, a potem wstała i udawała, że przygląda się broszurkom na temat różnych miejsc, do których można dojechać pociągiem.

– Boston? – odezwał się nagle mężczyzna.

– Słucham?

– Broszurka, którą pani ogląda. Dobre miasto.

Evelyn opuściła wzrok i spostrzegła, że rzeczywiście trzyma w ręku zgiętą broszurkę *Boston – miasto na wzgórzu* ze zdjęciem miasta nocą. Wyglądało na spokojne. Delikatne żółte światła padały na ceglany kościół. Przypomniał jej się ostatni rok w Sheffield, kiedy razem z Charlotte odwiedzały Prestona, który studiował w Tufts. Jadały w restauracjach Black Bay i podawano im wino, bo Preston miał przy sobie cygara – dzięki temu wyglądał na czterdzieści lat, a nie dziewiętnaście i nigdy nie proszono go o dowód. Ona... oni byli wtedy szczęśliwi. – To dobre miasto – powiedziała.

Pracownik przejechał palcem po daszku swojej czapki z napisem USS Kearsarge i spojrzął na Evelyn. – Czasami dobrze jest po prostu wsiąść w pociąg i pojechać gdzieś indziej – oznajmił.

Od strony parkingu dobiegł pisk opon. Evelyn wyjrzała i zobaczyła granatowego jaguara z napisem COZTEGO na tablicy rejestracyjnej. Odłożyła broszurkę na stojak. Pracownik stacji coś odpowiedział, ale ona była już za drzwiami – nie chciała kazać Camilli czekać. Otworzyła tylne drzwi samochodu, żeby położyć na siedzeniu torby z zapasami, ale Camilla wynurzyła się z siedzenia kierowcy i zatrzymała ją gestem dłoni, jakby była małym dzieckiem, które trzeba powstrzymać przed wyjściem na ulicę.

– Evelyn, mamy problem – powiedziała Camilla. – Słuchaj, to trochę niezręczna sytuacja. Szkoda, że nie zadzwoniłaś i nie uprzedziłaś, że przyjedziesz. Myślę, że to się nie uda.

Evelyn się wyprostowała. – Co się nie uda? Przecież dzwoniłam.

– Ty. Tutaj. W ten weekend.

Evelyn zaśmiała się słabo, mając nadzieję, że to żart, ale Camilla stała nieruchomo, w okularach przeciwsłonecznych.

– Już tu jestem – odparła Evelyn. Nie zabrzmiało to zbyt inteligentnie.  
– Powinnaś była się upewnić, zanim wsiadłaś do pociągu.  
– Wysłałam ci esemesa.  
– Naprawdę? No to w takim razie nie dotarł – Camilla kilka razy nacisnęła klamkę, tak że zastukała o błyszczący lakier. – Może powinnaś zwracać uwagę na to, co robisz? Żeby tak płaszać na balu wokół Jaimego de Cardenasa... zakładam, że już znasz jego nazwisko. Pewnie masz je w jakimś swoim pliku z informacjami na jego temat.

Evelyn tak mocno szarpała się za ucho, że prawie wyrwała kolczyk. – Jaime – powiedziała słabym głosem. – Co u niego?

Camilla zdjęła okulary przeciwsłoneczne i spojrzała prosto na Evelyn. – No tak, nie sądziłam, że utrzymywaliście kontakt po twoim... cokolwiek to było. Dziewczyna Jaimego to fantastyczna osoba. Fantastyczna. Była kapitanem drużyny hokeja na trawie w Andover, grała w Yale i ma stypendium Fulbrighta.

Evelyn stała w zupełnym bezruchu. Hokeistka Andover-Yale? Jaime musiał sobie myśleć... od samego początku była tylko żartem...

– I powiem ci, że Nick nie jest zachwycony, że tak się rzucałaś na biednego Jaimego, chociaż chodziłaś ze Scotem.

– Skąd Nick... O Boże.

– A obiecywanie mi, że twój ojciec wesprze mój event, tylko po to, żeby mnie skompromitować? Nigdy byś go nie skłoniła, żeby wypisał ten czek, prawda? Twój ojciec idzie do więzienia, więc... hm... to by się nigdy nie stało. Nie wiem, dlaczego chciałaś zrobić coś takiego komuś, kto zawsze był dla ciebie miły, podał ci rękę i wciągnął cię do tego świata. Pracuję z moim terapeutą nad szczerością. Uznał, że to będzie dla mnie dobre doświadczenie, jeśli tu przyjadę i powiem ci to osobiście. To nie jest dla mnie łatwe – Camilla przydeptała podeszwą japonki kawałek gumy przyklejonej do asfaltu. Evelyn opuściła wzrok i spojrzała na gumę, pobrudzoną i zabłoconą przez but – była prawie tak samo szara jak asfalt. W tył i w przód, w tył i w przód – tak poruszał się palec u nogi Camilli. Miał niepomalowany paznokieć i był dość sękaty.

W tył i w przód. Jaime miał dziewczynę. Camilla i Nick o tym wiedzieli i dlatego wiedzieli również, że nie chciał mieć z nią nic wspólnego po ich zbliżeniu. Sprawa jej ojca wreszcie wychodziła na jaw, było za późno, żeby mogła cokolwiek z tym zrobić, a jej przynależność klasowa była tak oczywista, jakby ją sobie wytatuowała. Pozostawał jeszcze Scot, może udałoby jej się do niego dotrzeć przed wszystkimi.

– Z Jaimem do niczego nie doszło – powiedziała w końcu.

– Evelyn, naprawdę nie chcę znać szczegółów. Lepiej będzie, jeśli wrócisz do domu.

– W piątki jest tylko jeden pociąg powrotny, w południe. Poza tym mam te

wszystkie rzeczy.

Camilla przejrzała zawartość toreb. – Wezmę to, co się przyda na imprezie – powiedziała.

– Ale...

– Jestem pewna, że już się wkręciłaś do innych rodzin w okolicy. Któraś z nich na pewno cię przyjmie.

– Camillo, to zwykle nieporozumienie. Twoja mama chce, żebym jutro wystartowała.

– To nie jest nieporozumienie, Evelyn. Nie wystartujesz. Opuść. Chociaż raz.

Po tych słowach Camilla wskoczyła do samochodu, zamknęła drzwi i dodała gazu. Dopiero wtedy Evelyn zdała sobie sprawę, że kiedy wysiadła, żeby z nią porozmawiać, nie wyłączyła nawet silnika.

Spojrzała do tyłu, żeby się upewnić, że pracownik stacji tego nie widział, wzięła torbę i ruszyła w kierunku drogi dojazdowej za centrum handlowym koło dworca. Nie chciała, żeby ktokolwiek, kto wjeżdżał do miasta albo z niego wyjeżdżał, zobaczył ją przy głównej drodze. Minęła tylną stronę sklepu spożywczego i wypożyczalni wideo – tu i tu śmietnik był przepełniony. Mijała sklepy meblowe dla turystów, motele i warsztaty szkutnicze, przed którymi ustawione były łodzie. Przeszła obok lodziarni, motelu i hotelu, który mieścił się tuż obok, minęła kwaciarnię, w której wszystkie panny młode zamawiały latem bukiety. Od tej strony wszystko wyglądało tak samo – gigantyczne kontenery na śmieci, niedopałki papierosów i samochody zaparkowane pod dziwaczными kątami na opustoszałych parkingach.

Evelyn czuła, że dopóki jest w ruchu, wszystko będzie dobrze i da radę opanować sytuację. Camilla ze wszystkiego się wycofa – Jaime nie wspomniał ani słowem o dziewczynie, więc między nim a nią musiało się już coś psuć, Scot może jeszcze nie był do końca pewien, więc mogła przekonać Nicka i Camillę, żeby nie mówili mu prawdy. Spotka się z Prestonem i go przeprosi. A jeśli chodzi o jej ojca... wszyscy nie mogli o nim wiedzieć, to niemożliwe. Choć tak naprawdę nie mogła tego wykluczyć.

Po czterdziestu pięciu minutach marszu zobaczyła niewielkie wzgórze, wyznaczające granicę między centrum miasta a peryferiami, na których mieściły się centra handlowe. Zbiegła na dół. Było jej gorąco, śmierdziała potem i bolało ją tam, gdzie skórzany pasek torby wpijał się w ciało. Zaczęła się rozglądać za miejscem, w którym mogłaby odpocząć. Upewniła się, że nikt jej nie obserwuje, i przystanęła koło mariny. Kilka razy skłamała. Złamała zasady Camilli. Ciężko pracowała, żeby się tu dostać, i nie miała zamiaru dać się pokonać tylko dlatego, że Camilla tak zarządziła.

Jak na tę porę dnia w piątek, marina była pełna ludzi. Trwały przygotowania



do Fruit Stripe, wszędzie pełno było przyczep z jedynekami, dwójkami, czwórkami i ósemkami. Pojawiło się też kilka uczelnianych załóg – cztery osoby w swetrach z Yale niosły łódź do wody, żeby wieczorem trochę powiosłować. Evelyn przypomniała sobie załogę z Sheffield, regaty na Schuylkill i Quinsigamond i to, jak w motelu w przeddzień wyścigu ładowali się węglowodanami. Dwoje ludzi rozpięło transparent: REGATY FRUIT STRIPE 2007 – KIEROWNIK FRUIT STRIPE. Evelyn stała pod drewnianym łukiem mariny Lake James, kiedy zobaczyła Scotą.

– O Boże – zawołała wesoło z wyraźną ulgą. Podbiegła i zarzuciła mu rękę na szyję. – Tak się cieszę, że cię widzę. Nawet nie zdajesz sobie sprawy.

Zamknęła oczy i przyłożyła ucho do bijącego serca Scotą. Tak się cieszyła, że tam był, silny i ciepły, jakby na jej wezwanie. Po trzech błogich sekundach w jej głowie pojawiło się pytanie, dlaczego w ogóle się tam znalazł.

– Jezu – rozległ się czyjś głos. Evelyn spojrzała i za plecami Scotą dostrzegła Nicka. Stał ze skrzyżowanymi rękoma.

– Nick? – zdziwiła się.

– Myślę, że mogę z dużą dozą pewności powiedzieć, że Scot nie chce cię teraz widzieć – oznajmił Nick i wyszedł z cienia Scotą, który zaczął przygryzać kciuk. – Camilla mówiła, że cię nie będzie.

Jej żołądek zaczął się zbliżać do temperatury wrzenia. – Scot idzie z tobą? Do Camilli?

– Taki jest plan – odparł Nick. Zaczął kierować Scotą w stronę motorówek, ale Evelyn złapała go za ramię.

– Przepraszam, Nick, ale wolno mi porozmawiać z moim chłopakiem. Nie jesteś jego ochroniarzem.

– Nie, Evelyn, jestem jego przyjacielem. Wracaj do domu.

Była o kilka cali niższa od Nicka, ale udało jej się pchnąć go do tyłu i wcisnąć się pomiędzy niego a Scotą, który wyglądał jak teleportowany z mieszkania 5G. Nick ruszył w jej stronę, ale położyła mu rękę na ramionach i go odepchnęła. – Przepraszam. Rozumiesz – powiedziała.

– Co, kurwa? – zawołał Nick, kiedy prowadziła Scotą na ławkę przy śmietniku.

Scot opadł na ławkę, nadal nie nawiązywał kontaktu wzrokowego. Podeszła do niego na palcach i po chwili wahania położyła mu dłoń na plecach. Scot drgnął i się odsunął. Nie patrzył na nią i podniósł rękę, żeby osłonić oczy. Evelyn znów położyła mu dłoń na plecach. Były rozgrzane. Scot natychmiast ją odepchnął.

Od strony wybrzeża dobiegało skandowanie: – Bulldog! Bulldog! Hau, hau, hau!

– Powinnaś wyjechać – powiedział. Jego głos był ściszony, pozbawiony życia.

– Nie mogę – zaczęła Evelyn. Skupiła się na ciemnej linii – miejscu, w którym ławka spotykała się z rosnącym za nią żywopłotem. Zdanie zawisło w powietrzu. Idioci z Yale wykrzykiwali: – Eli, Yale!

– Nie chcę cię widzieć – powiedział Scot. Schował głowę w dłoniach, jego głos był cichy i pusty.

Evelyn objęła się ramionami i zadała pytanie, na które znała odpowiedź. – O co chodzi? Możesz mi przynajmniej to powiedzieć?

– O to, że spałaś z Jaimem.

Mocniej objęła się ramionami, wbiła paznokcie w przedramiona i odsunęła się od Scota. – Okej. Okej. Już o tym rozmawialiśmy. Więc tak po prostu uwierzysz w plotkę na mój temat?

– Nie – przerwał Scot. Teraz w jego głosie pobrzmiwała wściekłość. – Nie rób tego.

Evelyn czuła się tak, jakby każde nieodpowiednio dobrane słowo mogło mieć długotrwałe konsekwencje. Zostawiała między nimi długie przerwy. – Ja nie... Ja... – zakryła usta palcami i zaczęła się szczypać w wargi, jakby ten masaż mógł pomóc w udzieleniu odpowiedzi. – To nie tak, jak się wydaje. Byłam... Byliśmy...

– Co? Co byliście?

Nie potrafiła dokończyć tego zdania. Słońce świeciło coraz mocniej.

– Byłam tak pijana, że nie wiedziałam, co robię – powiedziała w końcu.

– Kłamiesz. Bronilem cię. Jak naiwny idiota. Prawie uderzyłem Nicka – Scot podciągnął kolana. Kiedy się tak skulił, mimo zwałistej sylwetki wyglądał na bardzo kruchego. Musiała jeszcze raz spojrzeć na jezioro. Ktoś powiewał chorągiewką Yale. – Dlaczego?

– To było głupie. To było takie głupie. W mojej rodzinie wszystko się rozpadało, wciąż się rozpada i myślałam... – Niepewnie położyła rękę na jego przedramieniu, a on ją strząsnął.

– Nie dotykaj mnie.

Cisza między nimi pulsowała i wydawało się, że narasta, choć na brzegu skandowano coraz mocniej. – Ja tylko... zrobiłam coś głupiego. Nie chcę zepsuć tego, co jest między nami...

Coś przeleciało obok. Spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła, że Scot zrzucił z nogi but. – Wynoś się stąd – powiedział.

– Scot. Proszę – jej głos był teraz wysoki i proszący, jak głos dziecka. – Możemy to jakoś rozwiązać.

Nie wiedziała, co powiedzieć dalej. – Scot, jesteś wspaniały. Taki mądry. I taki miły. Proszę – wiedziała, że musi powiedzieć coś, co sprawi, że przestanie się tak okropnie zachowywać.

– Taki mądry? Nawet nie przyszło ci do głowy, że wiedziałem o twoim ojcu,

prawda? Myślałaś, że jestem aż tak głupi? Że jestem takim ćwokiem? O wszystkim wiedziałem, Evelyn. Po prostu chciałem ci dać czas i przestrzeń, żebyś sama mi o tym powiedziała.

– Powiedziałabym ci. Mówiłam. Próbowалам. Camilla twierdziła, że takie śledztwa, że takie oskarżenia nie są... że to nie jest...

– Dosyć. Przestań. Odejdź. Byłem w Sachem. Tego ranka. Kiedy ty... – przełknął ślinę. Słyszała wokół siebie hałas, szum jak po przyłożeniu ucha do muszli z oceanu. Za wszelką cenę chciała go zmiękczyć, sprawić, żeby ją przytulił i pozwolił jej zmoczyć jego koszulę łzami.

– Popełniłam błąd – powiedziała. – Wielki błąd. Naprawię go. Proszę.

Ogarnęła ją nagła czułość i poczucie straty. Wiedziała, co musi powiedzieć – coś, czego nigdy wcześniej nie powiedziała żadnemu chłopakowi. – Kocham cię – wyszeptwała.

– Jak śmiesz – odpowiedział ledwo słyszalnym głosem. – Jak śmiesz.

Wydał gorzki chichot, tak daleki od jego zwyczajnych, delikatnych pochrząkiwań, że był jak nowe, okropne oblicze, które wykopała spod słodkiej powierzchni. Wstał. Próbowала z nim iść. Położył jej ręce na ramionach, jakby miał zamiar ją pocałować, ale nagle zatopił palce w jej tricepsach, aż zaskomlała. Puścił ją. Miała nadzieję, że nie będzie musiał się schylać po but – wiedziała, że jeszcze bardziej by go to zawstydziło. Ruszył w stronę wody i Nicka.

– Możemy porozmawiać później? – zapytała. Błyszczały jej oczy i mówiła szybko.

Scot się nie odwrócił.

Stała i patrzyła, jak robi się coraz mniejszy i mniejszy. Wsiadł z Nickiem do motorówki i ruszyli w stronę Sachem. Jego palce pozostawiły bolesny odcisk na jej ramionach. Wokół niej panował ruch, zaczynało się ściemniać i było coraz zimniej. Patrzyła niewidzącym wzrokiem na dziób łodzi. Zamrugowała raz, a potem jeszcze raz i przeczytała: MANIA MAMY MILDRED. Ściskając telefon tak mocno, że prawie jej wypadł, ryknęła do słuchawki: – Czy mogę prosić o połączenie z rezydencją Hackingów w Lake James, na Mt. Jobe Road? Tak, zgadza się.

Odebrał Bing. Evelyn prawie wypuściła z ręki telefon, ale udało jej się go utrzymać. Niskim głosem, choć i tak by jej nie poznał, powiedziała: – Chciałabym rozmawiać z Jean Hacking.

– Halo, czy to pani Hacking? Pani Hacking, mówi Evelyn Beegan z Sheffield. Dobrze, dziękuję. Nie, nie, właśnie jestem w domku letniskowym z grupką znajomych. Tak, naprawdę podoba mi się po renowacji. Preston? Ja... miałam zamiar do niego zadzwonić, ale... trudno go złapać. Nie, nie, mam jego komórkę. W zasadzie to miałam nadzieję, że uda mi się porozmawiać z panią. Wiem, że to bardzo bezpośrednio z mojej strony, ale nie mogłam się powstrzymać. Słyszałam, że organizuje pani grupę na jutrzejszy Fruit Stripe, i tak się zastanawiałam... bar-

dzo kocham wioślarstwo, więc gdyby potrzebowała pani kogoś na ostatnią chwilę... Tak, w Sheffield startowałam w wadze lekkiej. Tak! Tak. Dwuwiosłowe? Oczywiście, może być. Tak, tak, na pewno powiem, że jestem Mamą Mildred. Naprawdę? To fantastycznie. Nawet pani nie wie, jak bardzo tęsknię za wiosłowaniem. O, to naprawdę świetnie, pani Hacking. O siódmej rano przy marinie. Będę tam. Nie mogę się doczekać.

Zakończyła rozmowę. Miała zamiar pokazać im wszystkim. Kiedy Scot ją zobaczy, zmieni zdanie. Podobnie jak Camilla. Widziała w wyobraźni, jak dopływa do brzegu, wyskakuje z łodzi, wszyscy poklepują ją po plecach, a ona wychodzi na werandę tegorocznego gospodarza, śmieje się i wznosi toast wraz z innymi uczestnikami, Camilla patrzy na nią przynajmniej z zainteresowaniem, a najlepiej z widocznymi wyrzutami sumienia, a Scot zmienia zdanie. Była kimś, komu należy się miejsce w tych regatach i w tym świecie. Oni wszyscy jeszcze zobaczą, na co ją stać.

## Rozdział dwudziesty szósty

### Tor wyścigowy

Jedynym pokojem dostępnym w Lodge w Lake James był apartament Łoś, który kosztował tysiąc sześćset dolarów za noc. Choć recepcjonistka wyraźnie prosiła o kartę kredytową, a nie debetową, Evelyn uznała za całkiem prawdopodobne, że żadna z jej kart kredytowych, nawet Visa Pewter, nie jest już aktywna, i wręczyła jej kartę debetową, modląc się, żeby kwota pozostała na koncie wystarczyła do pokrycia kosztów. Kiedy recepcjonistka sfinalizowała transakcję i podała jej klucz od pokoju, Evelyn pomyślała, że musi tylko przetrwać sobotni wyścig i wszystko się jakoś ułoży.

Apartament Łoś oferował przepiękny widok na jezioro, ale panoramiczne okna wychodziły również na Sachem. Kiedy jarzące się irysowe niebo, charakterystyczne dla Lake James o zmierzchu, ustąpiło miejsca czerni i gwiazdom, Evelyn mogła zobaczyć światła w domu Rutherfordów.

Zamówiła jedzenie do pokoju. Jedząc spaghetti, które miało doładować ją węglowodanami, patrzyła na Sachem, jakby oglądała telewizję. Z West Lake wypłynęła jakaś łódź. Evelyn śledziła wzrokiem jej światła, zbliżające się do Sachem, i zastanawiała się, czy płynie z Shuh-shuh-gah. Światło na górze głównego domu zamrugało. Czy to było poddasze, czy gabinet Souse? Zobaczyła jeszcze dwa kolejne światła, które wyruszyły z tego samego punktu na West Lake i kierowały się w stronę Sachem. Była pewna, że to Hackingowie płynęli tam na jakieś organizowane przed Fruit Stripe przyjęcie, na które pani Hacking jej nie zaprosiła ani nawet o nim nie wspomniała. Zmrużyła oczy i spojrzała na jezioro. Próbowała wypatrzeć jakiś ruch na wyspie, Scotta, Nicka albo Camillę. Otworzyła drzwi balkonowe, żeby sprawdzić, czy uda jej się ich usłyszeć. Usłyszała czyjś śmiech i kilka nut zagranych na trąbce, ale dźwięk nad jeziorem rozchodził się w taki sposób, że trudno było zlokalizować jego źródło. Mimo to wyobraziła sobie ich wszystkich w Sachem, zapalone światła, trzaskający ogień, muzykę Louisa Armstronga. Na pewno o niej rozmawiali.

Poczuła się lepiej, kiedy już coś zjadła. W końcu trochę rozjaśniło jej się w głowie. Wyjęła z torby bransoletkę Camilli i zapięła ją na nadgarstku, naciskając opuszkami palców na złote struny rakiet tenisowych.

Następnego ranka obudziła się o piątej trzydzięci z odciskiem poduszki na twarzy. Nie spała dobrze. Ciężkim krokiem poszła do mariny, gdzie człowiek z Mildred's Moms pomógł jej otaklować jedynekę i zanieść ją do wody. Nie była w stanie odpędzić uczucia, że to wszystko jej się śni. Kiedy dokręcała śruby, smarowała szyny i przywiązywała numer startowy, zauważała, że słowa i czynności,

które na całe lata zniknęły z jej pamięci – zwykłej i ruchowej – teraz zaczynały wracać. Podnózek. Dulka. Reling. Opuściła wzrok i spostrzegła, że wciąż ma na ręku bransoletkę z rakietami. Pomyślała, że może schowa ją gdzieś w trawie, ale w końcu postanowiła jej nie zdejmować. Nie dało się jej niczym zastąpić, a nie mogła ryzykować, że ją zgubi.

Zaczęła wiosłować, wciąż jakby przez sen. W Sheffield uprawiała wioślarstwo jednowiosłowe i choć trener co jakiś czas kazał im próbować dwóch krótkich wiosła, operowanie nimi nie było dla niej naturalne. Poza tym zapomniała, jak wywrotna jest tego typu łódź. Wystarczyło odrobinę za głęboko zanurzyć wiosło, a przechylała się na jedną stronę, grożąc wywróceniem i przymusową kąpielą dla Evelyn.

Sądziła, że regaty, tak samo jak żeglarskie Fruit Stripe, będą po prostu pretekstem, aby widzowie i uczestnicy mogli napić się przed południem, więc jej brak przygotowania nie będzie stanowił problemu. Tymczasem zawodnicy byli muskularni i skoncentrowani, a w butelkach zamiast T najwyraźniej mieli wodę. Niewypowiedziana ironia, na którą liczyła, była dziś nieobecna w Lake James. Usłyszała trzask, dobiegający od strony wybrzeża, i zorientowała się, że głośniki na wysokich słupach, które początkowo uznała za element nagłośnienia jakiegoś weekendowego koncertu, miały służyć do komentowania wyścigu.

– Dzień dobry, witamy na trzydziestych trzecich dorocznych regatach Fruit Stripe – rozległ się głos, podejrzanie podobny do głosu komentatora Boba Costasa. Czy przypadkiem nie czytała gdzieś, że miał dom na East Lake?

Kiedy się rozgrzewała, komentator omawiał trasę: zachodni brzeg Turtle Island, kolejnej prywatnej wyspy na jeziorze, położonej bliżej niż Sachem, potem przesmyk między Turtle i Sachem i okrążenie boi na południu. Należało zostawić boje po sterburcie i uważać na skały przy wschodnim wybrzeżu Turtle. W głośnikach grzmiało, kiedy pierwsza grupa łodzi zbliżyła się do linii startu. – Robert Stinson, znany ze swojego dorocznego przyjęcia bożonarodzeniowego, trzykrotnie zwyciężył w dwójce w kategorii masters w regatach na rzece Shuylkill...

Oj, pomyślała Evelyn. To zawodowi wioślarze.

Organizatorzy wypuszczali łodzie w dwuminutowych odstępach. Sędzia starter dał jej znać, że ma jeszcze trzy minuty. Podpłynęła do linii startu. Człowiek na zakotwiczonej tratwie złapał jej łódź za rufę. Wykonywała drobne ruchy wiosłami, żeby utrzymać się w linii prostej, ale zerwał się wiatr i zaczynało ją znosić. Usłyszała, że komentator przedstawia ją jako Jenny Vinson, mieszkającą w Manchesterze matkę trójki dzieci, spośród których najstarsze wiosłuje w Choate. Najwyraźniej pani Hacking nie zaktualizowała notek biograficznych. Potem usłyszała: – Do biegu, gotowi? Start!

Pchając mocno nogami i ściągając plecy do tyłu, próbowała przypomnieć sobie strategię wioślarską. Szybkie tempo na starcie, żeby rozpędzić łódź, zgadza

się? A może w czasie wyścigu trzeba rozłożyć siły?

Mieszkańcy niektórych domków nad jeziorem zaczęli wypływać łódkami, żeby obejrzeć wyścig. Jedna motorówka podpłynęła zbyt blisko – sternik nie wziął pod uwagę, że kilwater może ją wywrócić. Poczowała zapach spalin, który skojarzył jej się z jajkami po benedyktyńsku. Woda wydawała się ciężka, a jej ciało nie pamiętało, w jaki sposób prowadzi się wiosła. Ręce poruszały się zbyt szybko podczas podjazdu, a nogi nie potrafiły zgrać się z resztą ciała podczas przeciągnięcia. Pociła się, nie miała ze sobą nic do picia i nie mogła sobie przypomnieć, jak długo trwają tego typu wyścigi. Dwadzieścia minut? Godzinę? Łódź, która wystartowała dwie minuty po niej, zaczęła się zbliżać. Wioślarz w opasce w biało-czerwone pasy wyglądał jak przybysz z lat siedemdziesiątych.

– Charlie Hawley dogania naszą wioślarzkę z Mam Mildred – usłyszała z głośnika.

O nie, pomyślała. Tym razem nie dam się pokonać.

Nie wiedziała, czy to adrenalina, czy strach, i było jej wszystko jedno. Rytm zaczął do niej wracać: zabranie – nogi – odbicie – wypuszczenie, zabranie – nogi – odbicie – wypuszczenie, a jej ciało pamiętało wszystko lepiej niż umysł. Niemal stała na podnóżku i mało brakowało, a przecięłaby sobie uda o włókno szklane. Woda rozbryzgiwała się wokół, kiedy wymachiwała wiosłami, a łódź się unosiła, jakby zaraz miała wyskoczyć z wody i wznieść się w powietrze. Evelyn szybowiała. – Jenny Vinson z Mam Mildred wyciska z Charliego Hawleya ostatnie poty – wołał komentator. – Szykuje się nam wspaniały wyścig.

Minęła pierwszą boję, która wyznaczała zakręt, zatopiła jedno wiosło i przeciągnęła drugim, żeby skrócić. Była teraz w przesmyku pomiędzy Sachem a Turtle. Charlie Hawley, którego widziała w oddali, robił się coraz mniejszy. Zwolniła odrobinę w podjeździe, żeby zaczerpnąć kilka łyków powietrza. Spojrzała – niewiele brakowało, żeby wyprzedziła kolejną łódź. Mogła wygrać wyścig. Dobić do brzegu i unieść nad głowę ten głupi puchar Fruit Stripe. Było jej gorąco w ręce i czuła, że robią się na nich pęcherze, ale ponownie mocno chwyciła wiosła i zaczęła z powrotem nabierać rozpędu.

Usłyszała dobiegający z północy warkot motorówki – łódź nie dołączyła do pozostałych widzów, tylko płynęła prosto na nią. Evelyn poczuła nagły przypływ energii. Teraz naprawdę ruszyła – ostro wiosłowała i mocno odpychała się nogami. Płynęła. Sunęła naprzód. Utrzymywała rytm. Zabranie – nogi – odbicie – wypuszczenie. Wózek nie próbował już wyskoczyć z szyn. Wiosła rozumiały, czego od nich oczekiwała.

Z motorówki dobiegł krzyk. – Evelyn! – To był głos Camilli. Evelyn nie była zaskoczona, że go słyszy.

Zabranie – nogi – odbicie – wypuszczenie. Teraz krótsze pociągnięcia, żeby nabrać prędkości. Wyobraziła sobie, że obok siedzi sternik i krzyczy: Tak jest,

świetnie ci idzie, pokaż im, na co cię stać. Zabranie – nogi – odbicie – wypuszczenie.

– Evelyn! – tym razem głośniej. Na krawędzi wybuchu.

Jeden i wydech – przeciągnięcie, dwa i wdech – podjazd.

– Co ty tu robisz? – urywane, krótkie pytanie.

– Co ona tu robi? – kolejny głos dobiegający z łodzi – Camilla wzięła ze sobą obstawę.

Evelyn dostrzegła w motorówce trzy podskakujące głowy.

– Evelyn, co ty robisz na Fruit Stripe? – Camilla podpłynęła bliżej. Jeszcze nie wiedziała, że ma zamiar wygrać ten wyścig. Że za jakieś dwadzieścia minut wysiądzie z łodzi, spocona i z poczuciem zwycięstwa, i otoczą ją życzliwi ludzie. Scot, pani Hacking, Souse i wszyscy, których spotkała po drodze.

– Czy to nie jest... – odezwała się głośno Phoebe, a Camilla powiedziała coś, co zabrzmiało jak „powojnik jest tutaj”, choć nie miało to sensu. Potem trzeci głos powiedział: – Powinniśmy doprowadzić do jej dyskwalifikacji. – Evelyn odwróciła głowę, żeby zobaczyć, kto to taki. To była Brooke. Przyjęta z powrotem. Brooke ją zastąpiła, tak jak wcześniej ona zastąpiła Brooke, kiedy Camilla usłyszała o zaręczynach. Jej plan, żeby przeciągnąć Brooke na swoją stronę, zawiódł. Camilla zawsze będzie dzierżyła władzę, a ona stała się nową dziewczyną z goglami.

Patrzyła na dziób motorówki, która pruć wodę coraz bliżej niej, i próbowała jeszcze mocniej odpychać się nogami. Stań na podnózkach – krzyczał niewidzialny sternik. Wydostań się stąd.

– Evelyn! Kto cię zaprosił? – zapytała Camilla.

Zabranienogiodbiciewypuszczenie. Camilla nachylała się nad sterem i żądała zaproszenia, jakby to było prywatne przyjęcie, którego gospodynią była ona. Zabranienogiodbiciewypuszczenie, zabranienogiodbiciewypuszczenie. Evelyn czuła ból pleców i nie mogła się tak daleko odpychać. Wciągnęła mięśnie brzucha i próbowała podeprzeć nimi plecy. Zabranienogiodbiciewypuszczenie. Paliło ją w nogach. Musiała się znaleźć jak najdalej stąd.

– Wiedziałyście, że będzie startować? – zapytała Phoebe.

– Nie miała startować. To znaczy: zamierzała, w łodzi Mam, ale rzecz jasna nic z tego nie wyszło. To jakaś szalona intryga – powiedziała Camilla.

– Gdzie ona się w ogóle zatrzymała? – zapytała Brooke.

– Może u Hackingów – odparła Camilla. – U kogokolwiek, kto ją przyjmie, prawda?

Zabranienogiodbiciewypuszczenie. Evelyn przypominała sobie, jak przyjemnie jest wprawiać łódź w ruch, kiedy pokona się jej początkowy bezwład. Kilkoma pchnięciami udało jej się wyprzedzić motorówkę o pół długości łodzi, ale Camilla nie odpuszczała.



– Może przeżywa jakieś załamanie – krzyknęła Camilla. – W związku z ojcem i w ogóle.

– Jej ojcem? – zapytała Phoebe.

– Tym prawnikiem, który dawał łapówki. Trąbią o tym w wiadomościach.

Evelyn zaczęła kaszleć, charknęła i splunęła flegmą na motorówkę.

– Fuj! – krzyknęła Phoebe. Camilla powiedziała coś do grupy. Evelyn usłyszała, że było to coś na temat przyznania się jej ojca do winy.

– Słyszę was! – zajadłowała Evelyn. Zaskoczona Brooke podniosła wzrok, ale Camilla najwyraźniej się tego spodziewała, bo nadal stała wyprostowana za sterem.

– Evelyn, co ty robisz? Sądziłam, że dałam ci jasno do zrozumienia, że nie jesteś tu mile widziana – oznajmiła Camilla. – Hmmp! – dodała od siebie Phoebe.

– To twoje jezioro? – odparła Evelyn, zaczerpnęła powietrza i zdała sobie sprawę, że to było kiepskie posunięcie. Bez wątpienia jezioro należało bardziej do Camilli niż do niej.

Camilla nie wykorzystała tej szansy. – To dziwne – wymamrotała do swoich dam dworu – Nikt jej tu nie chce – dodała na tyle głośno, żeby było ją słychać, a Brooke pisnęła: – To nienormalne.

– A Jaime... – zaczęła Camilla, ale Evelyn jej przerwała, chyba po raz pierwszy w życiu.

– Co, Camilla jest wściekła o chłopaka? Camilla, która może iść do łóżka, z kim chce i kiedy chce, jest wściekła? – krzyknęła Evelyn. – Czy byłam ci nieposłuszna? Czy tylko ty możesz o wszystkim decydować?

– Co ty chcesz udowodnić? – zapytała Camilla.

– Może Evelyn powinna przestać sypiać z cudzymi chłopakami? – podsunęła Phoebe.

– Może Jaime też powinien przestać sypiać z cudzymi dziewczynami, ale jakoś go nie widać w tym waszym kółku graniastym. Camillo, dlaczego zabrałaś na tę wycieczkę swoją młodszą siostrzyczkę? Co to ma być, sesja treningowa? – krzyknęła Evelyn. – Może problemy dorosłych powinny zostać między dorosłymi?

– Ja mam osiemnaście lat – zaprotestowała Phoebe.

– Posłuchaj, te twoje kłamstwa na temat twojego ojca...

– Ojej, przepraszam! Myślałam, że nikogo nie obchodzi, czy ktoś został skazany, czy nie. A może dotyczy to tylko twojego nowojorskiego towarzystwa?

– Skłamałaś w sprawie dotacji, Evelyn. Przykro mi z powodu twojego ojca...

– Czyżby, Camillo? Przykro ci z powodu mojego ojca? Masz to gdzieś, do kurwy nędzy! – gwałtownie wypowiedziane słowo „kurwa” sprawiło jej jeszcze większą satysfakcję niż charknięcie, które dobyło się z jej ust. – Chciałaś Jaimego dla siebie! Jesteś wściekła o chłopaka! To wszystko!

– Myślisz, że się wściekam z powodu jakiegoś chłopaka? Wyglądam na aż

tak nieciekawą? – odparła Camilla.

– No to o co chodzi? O taniec? Te trzy minuty, w czasie których światło reflektora nie padało na ciebie? Przykro mi, że robiono zdjęcia jeszcze komuś oprócz ciebie. To musiało naprawdę zabołeć.

– Nawet nie byłaś debiutantką, prawda? – krzyknęła Camilla. – The Bachelors' Cotillion? Coś ci powiem. Moja koleżanka Morgan z St. Paul's była tam debiutantką i nigdy o tobie nie słyszała. Ani o twojej rodzinie. Majątek zbity na spedycji? Naprawdę? Zmyśliłaś to od początku do końca. No i po co? Żebyś mogła być służącą grupy nastolatków? A twój ojciec? Nigdy nie miał wesprzeć Luminary, prawda? Od jak dawna kłamałaś?

– Miałaś zamiar go wypatroszyć podczas tego lunchu – powiedziała Evelyn. – Wprowadzić go tam, jakby był jakimś dziwolągiem. Oto prawnik z Południa, drodzy państwo nowojorczyki. Jest taki prostolinijny, że nawet nie zrozumiał, że ma zapłacić dwadzieścia pięć tysięcy, aby ludzie mogli się z niego ponabijać. Czy ta maskotka tańczy? Jak ta Camilla to robi, że jest taka mądra?

– Oj, przestań. Jesteś żalosa.

Evelyn próbowała zaczerpnąć tchu i uciec krążącej wokół niej motorówce, ale Camilla zwiększała prędkość, a fale wbijały jej trzonki wiosła w brzuch.

– A no tak, Camillo, tylko ty możesz ustalać zasady. Tylko ty możesz rządzić wszystkim i wszystkimi. Zapomniałam. Wybacz mi, proszę – Evelyn poświęciła niemało czasu na czytanie o tym, skąd się wzięła fortuna Camilli, i doszła do wniosku, że w tym przypadku jedyną różnicę między nimi stanowił czas. Była zła, że Camilla ją atakowała, i wszystko się z niej wylało. – W czasie Wielkiego Kryzysu Henningowie nie płacili nawet uczciwego wynagrodzenia, a korzenie bankowej fortuny Rutherfordów nie są do końca przejrzyste, więc jeśli chcesz rozmawiać o pochodzeniu...

– Moje drogie, mamy tu stalkerkę – powiedziała Camilla i zaczęła klaskać. Do tego musiała puścić ster i motorówka prawie się zderzyła z wiosłem Evelyn. Charlie Hawley się zbliżał, wykorzystując kłótnię. Evelyn próbowała przyspieszyć. – Dlaczego nie zapytasz Brooke? – odparła Evelyn, ale Brooke odwróciła się w kierunku burty, wyraźnie zafascynowana postępami Charliego Hawleya. – Teraz tego nie powtórzysz, Brooke? Dobrze, w takim razie ja ci powiem, co od niej usłyszałam. Każdy ma coś do powiedzenia, kiedy cię nie ma w pobliżu, i nie są to miłe rzeczy. Mówiliśmy, że wykorzystujesz ludzi, a potem ich wyrzucasz. Teraz ja to mówię, ale rozmawialiśmy o tym. Rozmawialiśmy.

– Brooke, powiedziałaś coś takiego? – zapytała Camilla spokojnym tonem.

Brooke pokręciła smutno głową.

– Tak właśnie myślałam. To kolejne twoje wymysły, Evelyn – powiedziała słodkim głosem Camilla.

– Jestem Evelyn i byłam debiutantką – dodała Phoebe głośnym falsetem. –

Jestem Evelyn i lubię sypiać z facetami, którzy są zdecydowanie nie z mojej ligi.

– Ty masz osiemnaście lat! – zawołała Evelyn, zasysając powietrze. Pociągnięcia wiosłami były coraz krótsze. – Czy to nie za wcześnie na bycie pierwszoligową suką? Czy do tego nie trzeba dorosnąć, jak zrobiła to twoja siostra?

Camilla podpłynęła tak blisko, że Evelyn musiała wetknąć między nie wiosło, żeby nie uderzyć w motorówkę i nie stracić równowagi. Przez chwilę myślała, że udało jej się uciszyć Camillę, ale potem usłyszała: – Czy to moja bransoletka?

Evelyn włożyła wiosło z powrotem w dulkę i starała się wiosłować tak szybko, żeby Camilla nie widziała wyraźnie bransoletki.

– Ukradłaś mi bransoletkę, ty wariatko? – zapiszczała Camilla. – Nie mogłam jej znaleźć i prawie zwolniłam żonę administratora, bo myślałam, że to ona ją zabrała. Ty pokręcona stalkerko. Powinnam była się domyślić.

Evelyn nie mogła złapać tchu, wiosłowała coraz szybciej i szybciej. Nagle wiosło na sterburcie zostało wessane do wody i rękojeść uderzyła ją prosto w brzuch; przez jej myśli przemknęło pojęcie „złapać raka” i kiedy zrozumiała, co się dzieje, rękojeść wiosła przeleciała jej nad głową. Wpadła do wody. Przeszył ją lodowaty chłód. Jak to możliwe, że latem woda w jeziorze jest aż tak zimna? – pomyślała. Po chwili zobaczyła swoją łódź, wywróconą do góry nogami, z różowym sterem obscenicznie wystającym z wody. Ubranie lepiło jej się do ciała i ciągnęło się za nią, przez chwilę płynęła w miejscu, próbując odzyskać oddech i równowagę, po czym zanurkowała, żeby choć na chwilę uwolnić się od motorówki. Popatrzyła w stronę wybrzeża, ale było za daleko, żeby ciągnąć tam łódź, a nie mogła sobie przypomnieć, co trzeba zrobić, żeby ją odwrócić. Uczepiła się wciąż przymocowanego do łodzi wiosła, które unosiło się niewinnie na powierzchni jeziora, jak gdyby nic się nie stało. Jakby to wcale nie ono wyrzuciło ją przed chwilą do wody. Evelyn nie miała pojęcia, co robić. Od motorówki dzieliło ją teraz zaledwie kilka jardów, nad sobą widziała twarz Phoebe, wykrzywioną w złośliwym grymasie. Brooke wyglądała, jakby zaraz miała się rozpłakać. Evelyn wykaszła trochę wody i podpłynęła do przewróconego kadłuba. Woda naprawdę była lodowata.

Camilla skierowała motorówkę na skraj przewróconej łodzi i patrzyła na Evelyn, która próbowała utrzymać się na powierzchni. Phoebe zaczęła coś mówić, ale Camilla jej przerwała: – Cicho bądź, Phoebe.

Kiedy patrzyła na Evelyn, jej oczy błyszczały z wściekłości. – Moja bransoletka? – powiedziała.

Evelyn przyłożyła czoło do łodzi.

– Oddaj ją – nakazała Camilla.

Kiedy Evelyn zaczęła gmerać przy bransoletce, zawołała: – Nie, przestań. Przestań. Wpadnie ci do wody. Przestań. Dlaczego wszystko zmyśliłaś?

– Bo... – Evelyn podniosła wzrok. Oczy piekły ją od wody z jeziora, ramię

ozdabiało źdźbło trawy, na nadgarstku drugiej ręki tkwiła bransoletka, która bez żadnych wątpliwości należała do Camilli, skarpetki były ciężkie od wody, a jej wielkie plany obrócone wniwecz. – Bo inaczej bym się tu nie dostała – powiedziała w końcu cichym głosem. – Nie była pewna, czy Camilla to usłyszała.

Po czasie, który dłużył się tak, jakby to było kilka minut, rozległ się trzask krótkofalówki. – Tak, mówi Camilla Rutherford. Obserwuję wyścig Fruit Stripe. Tuż obok Turtle jest przewrócona łódź – Evelyn kopnęła nogami. – Zawodniczka? Wygląda na to, że wszystko w porządku. Nie znam jej. Nie, nie widzę numeru.

Evelyn zaczęła drzeć. Podciągnęła się na rękach i częściowo zawisła na łodzi. Wtedy Camilla podniosła rękę w geście, który wyglądał jak salut połączony z machnięciem, i łódź wycofała się z impetem. Camilla jedną ręką skręciła ster i popędziła ku innym zawodnikom, innym przyjaciołom, innym życiom. Evelyn położyła policzek na zimnym kadłubie z włókna szklanego i czekała, aż ktoś przyplynie i zabierze ją na brzeg.

## Rozdział dwudziesty siódmy

### Dostępne środki

Evelyn siedziała zgarbiona na dworcu i próbowała zebrać siły, żeby kupić bilet na pociąg o 12.19. Ostatnie zapasy siły woli wykorzystowała, zmuszając się do powrotu do Lodge w Lake James i płacąc rachunek, który, ku jej przerażeniu, obejmował dwie doby – najkrótszy możliwy pobyt – i po doliczeniu podatku wyniósł 3936 dolarów. Kiedy w hotelowym bankomacie podjęła kolejne pięćdziesiąt dolarów, żeby zapłacić za samochód na dworzec, na wydruku zobaczyła kwotę, która wryła jej się w pamięć. Dostępne środki: \$15.07.

Spojrzała na swoje stopy. Paznokcie nadal miały żywiołowy kolor magenta, ale były zmatowiałe od wody i poszarzałe po wczorajszym długim spacerze. W poczekalni było bardzo gorąco.

Drzwi z parkingu otworzyły się i zamknęły, usłyszała odgłos kół walizki i dziarski stukot obcasów. – Geraldine, jeżeli w przyszłym roku chcesz wziąć udział w Hampton Classic, musisz lepiej dbać o swojego konia i nie liczyć na to, że wszystko zrobią za ciebie w stajni. Poczekaj chwileczkę. Muszę tylko kupić sobie bilet.

Kolejne słowa były już wypowiedane innym tonem, najwyraźniej zarezerwowanym dla klasy robotniczej – Proszę jeden bilet na najbliższy pociąg do Croton-on-Hudson. O której odjeżdża?

– Dwunasta dziewiętnaście – odpowiedziała kasjerka.

– Bardzo dobrze.

Evelyn usłyszała kilka piknięć i szelest przekładanych papierów. Po chwili kobieta wróciła do rozmowy przez telefon. Tym razem skarżyła się na swoją asystentkę. Evelyn próbowała poskromić nieprzyjemne wrażenie, że ta kobieta na pewno jest przyjaciółką jej przyjaciół, ale stawało się coraz silniejsze. Spojrzała w górę, ale kobieta była odwrócona i dało się dostrzec tylko falowane blond włosy. Kobieta zakończyła rozmowę i natychmiast zaczęła kolejną, bardzo głośną. Ktoś stojący po drugiej stronie przejścia posłał jej spojrzenie pełne dezaprobaty, ale nie poskutkowało.

– Czyli ta dziewczyna sama się zaprosiła, a potem nawet nie złapała aluzji? To dość zabawne, Souse.

Evelyn skuliła się na siedzeniu.

– Beegan? Nie. A ty? Skąd oni są? Beegan? To nie jest nazwisko z Baltimore. Jak ją nazywa Camilla? Aha, rozumiem. Powojnik. Pnąca roślina. Kiedy te dziewczyny spoza miasta zakosztują sławy czy nawet samej akceptacji – a raczej tego, co uważają za akceptację – to pojawia się duży problem. Oczywiście nikogo,

kto naprawdę stąd jest, ani trochę to nie obchodzi.

Kobieta mówiła tonem kogoś, kto udzielał tej rady wielokrotnie. Była to obiegowa opinia na temat tysięcy dzieciaków z Duluth, Mobile czy Detroit, które przyjeżdżały do Nowego Jorku i próbowały wznieść się ponad swoją społeczną pozycję.

Powojnik towarzyski. O tym właśnie Camilla mówiła w motorówce, pomyślała Evelyn. Sądziła, że bycie częścią tego towarzystwa jest jej przeznaczone, ale liczba błędów, które popełniła, była tak wielka, że mogli je wymienić kompletnie obcy ludzie w poczekalni na dworcu. Jaime. Jego dziewczyna. To, że ta dziewczyna grała w hokeja na trawie w Yale. Scot. Jej ojciec. Jej matka. Pozycja, której nie miała. To, że przez cały czas udawała.

– Pociąg przyjeżdża za dziesięć minut. Proszę przygotować bilety – powiedziała do mikrofonu kobieta z kasy.

Evelyn miała mdłości i nadal się pociła. Wstała i przeszła naokoło przez poczekalnię, żeby kobieta nie mogła zobaczyć jej twarzy. – Jeden do Nowego Jorku, proszę – powiedziała, kończąc szeptem.

Kobieta z popękanymi naczynkami na policzkach i farbowaną na czerwono trwałą zaczęła coś wpisywać do systemu. – Sto siedemdziesiąt pięć – powiedziała.

– W jedną stronę?

– To zakup last minute. Dostępna jest tylko klasa biznes.

Evelyn wsparła się na przedramionach. W głowie szumiało jej tak głośno, że zaczęła się zastanawiać, czy wszyscy to słyszą. Otworzyła portfel i popatrzyła na pakiet opcji, które nie były już dla niej dostępne. Na wszystkie puste, bezużyteczne karty, które wypełniały jej portfel.

Visa Pewter. Może wciąż będzie działać na nowych warunkach, które jej zaproponowano. Popchnęła ją przez ladę. Kobieta przejechała nią przez czytnik i, zgodnie z jej przewidywaniami, powiedziała: – Nie wchodzi, skarbie. Masz coś innego?

Evelyn czuła, że coś jest nie tak z jej oddechem. A może z sercem? Czy na stacji zmieniło się światło? Zrobiło się tak szaro. Wydawało jej się, że słyszy głos Scota. Ręka wyciągnęła z portfela kartę AmEx – Evelyn wiedziała, że jest coś, czym powinna się martwić w związku z tą kartą, a już po chwili ze zdziwieniem zobaczyła, że kobieta trzymająca kartę ma taką samą dłoń jak ona. – Nie, ta dziewczyna też nie działa. Proszę chwileczkę zaczekać – usłyszała, ale słowa unosiły się w przestrzeni, zderzały ze sobą i nie układały się w żaden logiczny ciąg. Słyszała głos Camilli, powtarzał: powojnik, powojnik. Dlaczego wyłączyli tu powietrze?

– Pociąg do Nowego Jorku o dwunastej dziewiętnaście przyjedzie za pięć minut. Prosimy o wzięcie bagażu i skierowanie się na peron – usłyszała Evelyn, a zaraz potem: – Coś jeszcze, skarbie? – Evelyn zapewne odpowiedziała, choć wszystko było teraz zniekształcone, bo usłyszała dobiegający z bardzo daleka głos

kasjerki. Mówiła coś o sklepie Barneys. Przypomniała sobie swój pierwszy wyjazd do Nowego Jorku. Zobaczyła wtedy, że koło stacji metra jest Barneys, i postanowiła, że kupi tam sobie torebkę, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo są drogie. Po chwili wyszła obrażona i kupiła torebkę na ulicznym straganie. Była urocza, czerwona i kosztowała jakieś dwadzieścia dolarów. Poklepywała ją po drodze na pociąg linii N do centrum, gdzie umówiła się z Charlotte do kina.

Stała na śmierdzącym żółcią peronie na Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, słyszała szum przejeżdżających pociągów i patrzyła na przeciwległy peron, na którym roilo się od ludzi w niebiesko-pomarańczowych bluzach New York Mets. Kibice Metsów stali w jaskrawych trzy- i czteroosobowych grupkach, a bluza każdego z nich deklarowała indywidualne sympatie – PIAZZA 31, ALOMAR 12, ALFONZO 13. Rozległy się potrójne klaśnięcia i wkrótce cały peron zaczął krzyczeć: Do boju, Mets. Wszyscy byli mile widziani, wszyscy wspólnie w tym uczestniczyli, wszyscy mieli nadzieję, że drużyna awansuje do fazy play-off. Do boju, Mets. Nowy Jork! Nowy Jork!

Gdzieś w mieście pomarańczowy kot skończył przeżuwać majeranek rosnący przy drzwiach do apartamentu typu studio i mrucząc, wskoczył na ramię swojego właściciela, który wrócił wcześniej z pracy do domu. Gdzieś w mieście młody chiński pianista siedział w sali prób i grał pierwsze nuty *Koncertu Cesarzskiego*, te same, które wieczorem w Filharmonii otulą małą dziewczynkę w rzędzie D migoczącą chmurką. Chłopak na Staten Island przyłożył palec do dolnej części pleców dziewczyny, która do tej pory była tylko przyjaciółką. Na ciemnym poddaszu w Hell's Kitchen kobieta z pędzlem w dłoni zrobiła kilka kroków w tył i patrzyła na obraz przedstawiający żółto-zieloną autostradę i niebo w kolorze leśnej zieleni, którego ukończenie zajęło jej dwa lata. Sprzedawczyni w brooklińskiej bodedze stuknęła karmazynowym paznokciem w pudełko wody koperkowej i uspokajała świeżo upieczoną oraz zmęczoną matkę, która trzymała na rękach płaczące dziecko. Wdzięczny uśmiech matki sprawił, że kobiety same prawie się rozpłakały.

Rozległ się turkot kół zwiastujący przybycie pociągu, a po chwili widać już było jego światła. Wszyscy ludzie na peronie naprzeciwko niej równocześnie zatu-pali nogami. Dalej, Mets. Dalej, Mets.

– Dalej, Nowy Jork – krzyknął ktoś z wyraźnym brooklińskim akcentem, kiedy drzwi się otworzyły.

*New York, New York, a helluva town* – piosenka z musicalu *On the Town* chodziła jej po głowie. Nagle ktoś popchnął ją do tyłu. Spóźnił się na spotkanie z Charlotte i nie zdążył kupić popcornu. Char uwielbiała cukierki Milk Duds z popcornem. – Przepraszam, pociąg przyjechał.

*The Bronx is up but the Battery's down*

– Dobrze się pani czuje?

*The people ride in a hole in the ground*

Usłyszała pisk kół na torach. Piosenka zmieniła tonację i przeszła w crescendo.

*New York, New York*

– Proszę pani? Pociąg przyjechał. Proszę pani, czy mam zadzwonić po lekarza?

Wyglądało na to, że siedziała. Było bardzo gorąco. Dlaczego tak marzła, skoro było tak gorąco? Piosenka rozbrzmiewała jej w głowie tak głośno, że słyszała ją nawet mimo szumu wentylatora przemysłowego.

*It's a helluva town!*

Dopiero po chwili dotarło do niej, że słowa są tak głośne, bo wyśpiewuje je na całe gardło. Blondynka – powojnik, powojnik – posłała jej przestraszone spojrzenie. Evelyn popatrzyła na nią dziko i nagle wysunęła palce do przodu, jakby chciała zaatakować ją szponem. Nie wiedziała, gdzie jest, i nie miała dokąd pójść. Choć pot spływał jej po twarzy, przez jedną krótką chwilę czuła się wolna.



## **Część trzecia**

## Rozdział dwudziesty ósmy

### Wszyscy w górę

Evelyn uniosła pod światło okrągły chips z tartego parmezanu, który podpiekła na chrupko w mikrofalówce. Jak na razie dawała sobie radę przez trzy tygodnie. Kasjerka upierała się, żeby zadzwonić do jej „najbliższych”, ignorując zapewnienia Evelyn, że nikogo takiego nie ma. Wstrzymała pociąg i zadzwoniła pod numer, który w komórce Evelyn był zapisany jako „Mama i Tata”. Załatwiła formalności związane z zakupem biletu do domu i porozmawiała z konduktorem, który załadował ją do pociągu i zaproponował jej szklankę wody, kiedy pociła się i drżała. Potem ktoś musiał zamówić jej taksówkę. Obudziła się dwa dni później w swoim mieszkaniu, już bez gorączki. Pod drzwiami znalazła kolejne pismo dotyczące czynszu. Tym razem było to oficjalne wezwanie do zapłaty, w którym informowano, że jeśli natychmiast nie ureguluje zaległej należności, firma podejmie kroki prawne.

Nie miała jednak z czego jej uregulować. Zrezygnowała z internetu i z kablówki. Przejrzała szafę i poprzekładała do torebek zakupowych sukienki, spódnice, buty i bieliznę z życia, które było teraz tak odległe. Kiedy kupowała te wszystkie rzeczy, wyobrażała sobie, jak pewnego dnia włoży je do odpowiedniej, wystarczająco dużej szafy. Delikatne jedwabne ubrania spoczywałyby ostrożnie złożone w osobnych drewnianych szufladach, poodzielane bibułą przez służącą, a nie zwinięte w rulon i upchnięte na jednej czwartej powierzchni szuflady kredensu. Suknie wieczorowe oddałaby do Madame Paulette's, żeby je wyczyszczono i przygotowano do przechowywania, a trzydzieści lat później jej córka albo jakiś inny, niesprecyzowany spadkobierca, może córka Camilli albo Prestona, której byłaby matką chrzestną, pójdzie w jednej z nich na śmieszne przyjęcie w stylu vintage. Pozdejmowała ubrania z wieszaków i wyciągnęła z szuflad, zrobiła z nich najmniejsze możliwe kostki, wolno składając każdą rzecz na pół, a potem jeszcze raz na pół, po czym związała wszystko w ciasne pakunki, które powkładała do toreb. To wszystko zaniiosła do second-handu, który pewnego dnia pojawił się na górnym Madisonie.

Dzięki temu miała dość gotówki, żeby przetrwać te tygodnie, głównie na makaronach Cup Noodles, mleku, bananach i płatkach Grape-Nuts. Poza tym, kiedy była zdesperowana, piła chateau diana, które wyglądało jak wino, ale było „produktem winopodobnym” i kosztowało cztery dolary. Chodziła tylko na wschód, do bodeg, nigdy na zachód, i zastanawiała się, czy w bodegach bliżej parku również sprzedają „produkty winopodobne”. Może po prostu wcześniej nie zwróciła na to uwagi.

Myślała o pracy, ale nie miała żadnych prawdziwych umiejętności. Co mogła zrobić, zaproponować, że przedstawi potencjalnych pracodawców odpowiednim ludziom? Ludziom, dla których była powojnikiem? Nie miała nic do zaoferowania. Nowy Jork pulsował dalej bez niej, a ona tego nie słyszała. Nie lubiła przebywać na ulicy wczesnym rankiem i wieczorem, ponieważ w oczywisty sposób nie pasowała do ludzi, którzy mieli pracę i cel w życiu. Nie pasowała tam w późnych godzinach porannych, kiedy matki pożyczwały swoje dzieci od niań i zabierały na ekskluzywne lekcje muzyki, gdzie mogły spotkać inne wpływowe matki. Nie pasowała po południu, kiedy nianie migrowały na wschód do Brearley i Chapin i na zachód do Nightingale i Dalton. Nie pasowała wieczorami, kiedy ludzie wracali z pracy do domów i śpieszyli się na randki. Przez to, że nie miała swojego miejsca, nie chciała być widziana. Zanim przestała sprawdzać pocztę, dostała wiadomość od Brooke, która żądała zwrotu bransoletki Camilli. Skasowała ją. Myślała, żeby zadzwonić do Charlotte, ale nie chciała prowokować wykładu, który z pewnością ją czekał. Czasem patrzyła na numer Prestona, zastanawiała się, gdzie jest i czy on czasem się nie zastanawia, co porabia jego dawna przyjaciółka Evelyn. Rodzice dzwonili kilka razy po incydencie na dworcu w Lake James i wydawali się zmartwieni, ale kiedy powiedziała, że po prostu zrobiło jej się słabo, bo za mało jadła, już o nic nie pytali. Do nich też nie chciała dzwonić. Podejrzała, że ojciec jest na nią zły za to, że zignorowała rozprawę, podczas której przyznał się do winy, a matka tylko by jęczała, jak straszne ma życie. Miała swoich niezawodnych kumpli – windykatorów z Barneysa, AmEksu, a teraz jeszcze z Visy, którzy próbowali ją oszukać, dzwoniąc z różnych numerów i o dziwnych porach, dopóki nie wyłączyła komórki i nie odłączyła od prądu telefonu stacjonarnego w mieszkaniu.

Życie zamierzało toczyć się dalej i w tym właśnie tkwił problem. Spała do jedenastej, potem jeszcze drzemała po południu. W nocy siedziała na łóżku, zbyt spanikowana, żeby zasnąć, bo wiedziała dokładnie, co przyniesie kolejny dzień: więcej tego samego, więcej monotonii. Z każdym dniem robiła się coraz starsza, z każdym dniem oddalała się od tego, kim chciała być. Czasami spinała włosy w koński ogon i zmuszała się, żeby pójść do obskurnej knajpy za rogiem, w której mieli bezprzewodowy internet. Przeglądała Appointment Book i czytała o wszystkich przyjęciach, na które nie została zaproszona. Jak to możliwe, że była tak blisko tego wszystkiego? Jak to możliwe, że wypuściła to z rąk?

Pojedynczy ludzie i rodziny przechodzili koło niej na ulicach, dni mijały jak zawsze, jej procesy fizjologiczne stały się powtarzalne i daremne. Kiedy nie było nic, co odróżniałoby jeden dzień od kolejnego, jej umysł pędził na oślep, talia robiła się coraz szersza, a niewielka kwota, którą zarobiła na sprzedaży ubrań, szybko się kurczyła. Nie zdarzało jej się już przespać całej nocy. Budziła się i na wpół śpiąca nadaremnie szukała ramienia Scotta, które dałoby jej poczucie bezpie-

czeństwa. Rzuciła się w skłębionej, przepoconej pościeli, której nie prała od miesięcy, bo nie było jej już stać na usługę transportową, a nie chciała siedzieć na widoku w pralni samoobsługowej.

O trzeciej nad ranem wyglądała przez okno, wpatrywała się w ciemność i wsłuchiwała w ciszę, która jest możliwa tylko na ulicach miast. Słyszała sprzedawcę z bodegi, który krzyczał coś po koreańsku znad góry owoców mango, i piski samochodu dostawczego z masarni, z wizerunkiem uśmiechniętej świni. Najgorsza była konstatacja, że ciemność wkrótce się skończy, bo oznaczało to, że wkrótce zacznie się kolejny dzień. Słońce nie dawało za wygraną i za każdym razem wracało.

Tego ranka (a może poprzedniego, wszystkie były takie same) otrzymała jeszcze jeden list od firmy zarządzającej jej mieszkaniem. Był wetknięty w drzwi i znalazła go, kiedy szła wyrzucić śmieci. Nie wiedziała, jak długo tam tkwił, i nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz wychodziła z mieszkania. W kopercie było pismo z sądu, zajmującego się sprawami mieszkaniowymi. Wyglądało jak pozew. Zmusiła się, żeby je przeczytać, i choć miała kłopoty ze skoncentrowaniem się na tyle długo, żeby je zinterpretować, zrozumiała, że firma zarządzająca mieszkaniem wzywa ją do sądu. Nie miała pieniędzy, żeby zapłacić zasądzoną kwotę. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do ojca i nie poprosić go o radę, ale wówczas musiałaby włączyć telefon, a nie chciała, żeby namierzyli ją ludzie od kart kredytowych.

Czuła się, jakby w głowie miała szlam, który nie pozwala jej jasno myśleć. Przeczytała zawiadomienie jeszcze dwa razy. Jeżeli do tego czasu wyjedzie, nie będą mogli nic zrobić. Nie będą mogli wydać niekorzystnego wyroku z powodu jej nieobecności na przesłuchaniu, gdyby już tu nie mieszkała.

Był piątek, trzynasty lipca. Przed wyjściem z domu Evelyn wzięła prysznic, a to już było coś, choć nie miała już siły, żeby wysuszyć włosy suszarką ani nawet spiąć je z powrotem w koński ogon. Miała na sobie baletki Delman, starte na podszwach, i była zbyt lekko ubrana. Wydawało jej się, że na dworze będzie tak gorąco jak wtedy, kiedy ostatni raz wychodziła z domu. Tymczasem panował prawie jesienny chłód, choć była połowa lipca. Biegając Trzecią Aleją, opuściła głowę, żeby osłonić ją przed wiatrem.

Skreśliła w prawo, w Sześćdziesiątą Drugą, i szła na zachód, gdzie zaczynały się bardziej eleganckie domy. Zbierało się na deszcz, a niebo było tak ciemne, że mogła zobaczyć, co się dzieje w domach. Na zewnątrz szare i zimne jak gład, w środku były rozświetlone – widziała przyjęcia, drinki, roześmianych ludzi, postać w garniturze, przechodzącą od jednego okna do drugiego, w sypialni na górze małą główkę dziecka, które powierzało jakieś sekrety swojej lalce. Zmierzała do Colony Clubu na skraju Park Avenue. Kiedy dotarła na miejsce, stanęła po drugiej stronie ulicy – było tam rusztowanie, pod którym mogła się schować.

Czuła na sobie podmuchy wiatru. Stała za słupem rusztowania, kiedy nagle zobaczyła jedną, a potem drugą nogę w szpilkach w kolorze wielbłądziej wełny, biały płaszcz i długie, rudawozłote włosy. Camilla wyszła z taksówki i mówiła coś do biegnącego za nią Nicka. Po chwili dołączył do nich ciężko stąpający Scot. Evelyn schowała się w cieniu, ale nie patrzyli w jej stronę. Dała im czas, żeby opuścili lobby, po czym przeszła przez ulicę i weszła do klubu.

– Przepraszam – powiedziała do recepcjonisty. Siedział przy biurku, a za jego plecami wisiała mała tablica z różnokolorowymi pinezkami, oznaczającymi członków klubu na poszczególnych piętrach – przewodnik po jego świecie, tym samym, który jeszcze niedawno miała nadzieję zawojować. – Ja w sprawie wieczornego przyjęcia z okazji urodzin Camilli Rutherford.

– Tak. Jest pani na liście? Jak brzmi pani nazwisko?

– Nie, nie ma mnie na liście – odparła Evelyn. Nie spodziewała się, że przyjmą ją z powrotem do grupy. Nie wiedziała nawet, czy miałyby ochotę znów do niej należeć. Chciała tylko się wytłumaczyć.

– Jeżeli nie ma pani na liście...

– Proszę mnie tylko wpuścić na minutę.

– Przykro mi, ale to zamknięta lista gości i obawiam się, że nie mogę tego zrobić.

– Ale ja znam tych wszystkich ludzi. To są moi przyjaciele. To byli moi przyjaciele.

– Jeżeli pani chce, może pani zadzwonić do panny Rutherford i poprosić o dopisanie do listy. Ja z chęcią poczekam.

Kobieta w różowym kostiumie i z tak zaawansowaną osteoporozą, że naszyjnik z wielkich bursztynów wydawał się przyginać jej szyję do ziemi, przepchnęła się obok Evelyn. – Dzień dobry, gdzie jest pani Hudson? – zapytała stanowczo, a recepcjonista się odwrócił i spojrzał na tablicę. – Jeszcze nie przyjechała, pani Bagley – odpowiedział.

– Nie mogę do niej zadzwonić – odparła Evelyn. – To znaczy mogę, ale nie odbierze. Nasze stosunki naprawdę się popsuły. Zdarzyła się panu kiedyś taka sytuacja? Kiedy wszystko po prostu się psuje, a pan wie, że tak jest, ale nie umie tego naprawić i coraz bardziej się mota?

Zdała sobie sprawę, że nie rozmawiała z nikim od wielu dni.

Posłał jej współczujące spojrzenie, ale zaraz potem wskazał głową drzwi. – Bardzo mi przykro, ale obawiam się, że osoby spoza klubu i spoza listy gości nie mogą tu przebywać.

Kobieta w różu wróciła. – Nie mogłam jej nigdzie znaleźć – powiedziała i popatrzyła ze złością na Evelyn. – Coś jest nie tak, może to miało być jutro, ale jutro jest sobota, a ona wie, że w soboty nigdy nie jadam poza domem. Widziałaś ją?

Evelyn poczuła się nieswojo i nie odpowiedziała. Kobieta wyszła.

– Proszę – powiedział recepcjonista i wskazał drzwi. W żaden sposób nie dał po sobie poznać, że właśnie zdarzyło się coś nietypowego.

Ręka Evelyn powędrowała z powrotem do kieszeni. – Czy mógłby pan tylko... – zaczęła, ale zadzwonił telefon i recepcjonista podniósł słuchawkę. Wyszła na dwór, zmarznięta od klimatyzacji w Colony Clubie. Poczwała, że wiatr się wzmaga.

Jeszcze zanim go zobaczyła, poczuła jego perfumy – ostre, chemiczne nuty, żywica, czarny zapach. Dopiero potem usłyszała Phila Giamattiego: – Kogo ja widzę, Beegs?

– Phil – odparła słabym głosem. Lakierowany bankier, którego po raz ostatni widziała na meczu Sheffield – Enfield, zanim to wszystko się wydarzyło.

– Wchodzisz? Zimno tu na dworze – powiedział Phil i poklepał ją po ramieniu.

– Co ty tu robisz?

– Chcę, żeby moja firma zainwestowała w fundusz. No i nie zapominaj, że jestem niezastąpiony na imprezach.

– Jaki fundusz?

– Nicka Geary’ego. I jakiegoś koleś, który pracował z Greenbaumem w Morgan.

– Scota? Tannauera? – zapytała.

– Chyba tak.

– Znasz Nicka i Scota?

– Przychodzę z kasą, skarbie – Phil potarł kciuk o palec wskazujący. – Mój były szef z Bear został inwestorem i uważa, że ja też powinienem wcześniej się w to włączyć.

– Zakładają fundusz?

– A ty myślałaś, że co się tam dzieje?

– Myślałam, że to ma być przyjęcie urodzinowe Camilli Rutherford.

– A tak, jest też impreza jakichś lasek. W dzisiejszych czasach biznes i życie towarzyskie się przenikają, wiesz? Ten fundusz będzie CZA-DO-WY. Oni uważają, że rynek hipoteczny się załamie. Chyba próbują zwerbować bogate wdowy, czy coś w tym stylu.

Evelyn pokręciła głową. – Chodzi o to... chcę... czy mogę po prostu wejść jako twój gość?

– Jako mój gość? – Phil poklepał się po brzuchu.

– Proszę. Po prostu powiedz recepcjoniście, że jestem z tobą. Uwinę się w dwadzieścia minut i sobie pójdę.

– Wszystkie tak mówią. Dziewczyna, z którą się umówiłem, może tu być w każdej chwili. Nie da rady, Beegs.

– Ja chcę tylko... to byli moi przyjaciele – powiedziała proszącym tonem.  
– Nigdy nie myślałem, że doczekam dnia, kiedy Beegan będzie mnie o coś błagała – odparł Phil i zarechotał. – Nie ma cię na liście gości? Co takiego zrobiłaś?

Evelyn zobaczyła nadchodzącą dziarskim krokiem postać i rozpoznała w niej Souse.

– Phil – powiedziała i chwyciła go za rękę. Wyjęła z kieszeni bransoletkę Camilli z Racquet Clubu. – Daj to ode mnie Camilli. Proszę.

– Co to jest?

– Jej własność, którą próbowałam zabrać. To długa historia. Proszę, po prostu jej to daj.

– Co mam jej powiedzieć?

– Powiedz jej... – Souse pędziła chodnikiem z niepokojącą prędkością. Evelyn przeniosła wzrok na Phila i wcisnęła bransoletkę mocno w jego grubą dłoń. – Powiedz jej, że przepraszam. Powiedz jej, że ja...

– Że ty co?

– Że się pogubiłam. Powiedz jej, że się pogubiłam.

– Pogubiłaś się? – zaczął Phil, ale Evelyn się odwróciła i zaczęła biec. Pędziła przed siebie, mijała ludzi, światła, słyszała klaksony i plaskanie baletek, które miała na nogach. Świat zrobił się niebiesko-czarny, niektórzy nowojorczyki już otwierali parasole i czekali na pierwsze krople. Wkrótce z nieba spadną boleśnie smagające kurtyny deszczu. Wirujący wiatr zbierał błoto z ulicy i ochlapał nim kostki, miotał liście i papierki od gumy Orbit. Potrząsał gałęziami drzew. Nieświadomi niczego turyści dalej chodzili okrężnymi ścieżkami, a nowojorczyki, którzy wiedzieli, co się szykuje, zaczęli wchodzić pod markizy i za pionowe plastikowe osłony przy stoiskach z owocami w bodegach. Spoglądali na siebie nawzajem, a potem na niebo i próbowali ocenić, ile mają czasu. Kilku szło dalej, walcząc z parasolami – kupionymi na stacji metra od Nigeryjczyków, którzy wyczuwali deszcz wcześniej niż ktokolwiek inny. Śpieszyli się dokądś, żeby za chwilę biec w kolejne miejsce. Pojedyncza, ciężka kropla zimnej wody rozprysła się na twarzy Evelyn, kolejna uderzyła ją w kolano. Pociemniało, deszcz runął na nią z hukiem. Przemoczona w jednej chwili sukienka zaczęła kleić się do nóg, a buty wypełniły się wodą. Nie przestawała biec. Kiedy widziała przed sobą światła, skręcała. Kilka razy wpadła na ludzi, którzy uciekali przed deszczem. Mamrotała przeprosiny i biegła dalej.

Kiedy się w końcu zatrzymała, paliło ją w płucach, a na rzęsach miała wielkie krople wody. Nie wiedziała, jak długo biegła ani w której części miasta się znajduje. Pochyliła się do przodu i opierając ręce na nogach, próbowała złapać oddech. Potrzebowała łazienki. Musiała się wysuszyć. Spojrzała przed siebie, w ciemną uliczkę: zamknięty salon pielęgnacji paznokci, otwarta jadłodajnia z fala-

felami i czerwone drzwi, nad którymi wisiał neonowy szyld. Bar. Nada się, pomyślała. Otworzyła czerwone drzwi.

Gorące powietrze i muzyka uderzyły w nią w tej samej chwili. Znała te nuty, to była... tak, kiedy głęboki i chropowaty głos zaczął śpiewać, nie miała już wątpliwości – piosenka *The Ladies Who Lunch* Sondheima. Jej oczy przystosowały się do półmroku na dole. Sala, do której prowadziły schody, była mała i drewniana, jakby ktoś wziął bar ostrygowy z XVIII-wiecznej Pearl Street i przeniósł go tutaj, w którejkolwiek części Midtown się teraz znajdowała. Choć był lipiec, na suficie zobaczyła rozpięte lampki choinkowe. Na stołkach dookoła pianina, wokół którego urządzono bar, siedziała grupka ludzi. Pianista był rudowłosy i nosił okulary.

Piosenkarz był pulchny i miał nabrzmiałą twarz. Jego małe dłonie były złączone. Miał na sobie znoszony brązowy sweter i należał do ludzi, na których Evelyn nie zwróciłaby uwagi na ulicy, ale śpiewając, delikatnie się uśmiechał, a jego oczy błyszczały. Pomyślała, że w tym gorącym wnętrzu z pewnością bucha z niej para, ale została na szczycie schodów. Nie miała ochoty wychodzić, ale nie chciała też przeszkadzać piosenkarzowi. Kiedy nucila sobie w głowie dalszy ciąg utworu, muzyka nagle przestała grać.

– Klientka! – krzyknął pianista.

– Klientka! – powtórzył za nim piosenkarz.

Zrobiła krok do tyłu.

– Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie – krzyknął pianista. – Hej, ty! Wchodź!

Zagrał wyczekujący D7, akord nadziei.

– Ja? – odparła Evelyn.

– Nie stój tam taka przemoczona. Nie interesują nas mokre dziewczyny, prawda, chłopcy?

Ludzie wokół pianina zaczęli się śmiać, a on zagrał G – rozwiązanie sytuacji zasygnalizowanej przez D7. – Wejdz. Tutaj dziewczyny są piękne. Nawet orkiestra jest piękna – powiedział i zaczął grać pierwsze nuty *Kabaretu*.

Niepewnie zeszła na drewniany parkiet.

– Więcej szczeka, niż gryzie – powiedział piosenkarz.

– Moje ugryzienia są pyszne – zaprotestował pianista. Jego ręce śmigały po klawiaturze, kiedy grał akordy *The Ladies Who Lunch*.

– Znasz słowa? – zapytał mężczyzna o przyjaznej, pociągłej twarzy i w tweedowej cyklistówce.

– Jeśli znasz słowa, to możesz usiąść przy pianinie – powiedział pianista. – Jeśli nie, wyślemy cię do kąta, gdzie siedzą heterycy i turyści.

Spojrzała w tamtą stronę, ale tego wieczoru w kącie nie dostrzegła żadnych turystów ani heteryków. Zaczerpnęła tchu. – Znam słowa – powiedziała.

– Ona zna słowa! – odezwał się piosenkarz.

– Ona zna słowa! – powtórzył pianista. – Możesz stanąć tutaj, obok pięknego





wych stołków, obitych czerwoną skórą, i przez chwilę po prostu była w tym miejscu, rozświetlonym czerwonym blaskiem lampek choinkowych. Głos odzianego w brązowy sweter piosenkarza wzbijał się coraz wyżej. Wyobrażała sobie jego mieszkanie, które musiało być smutne – trzeszczący stary kaloryfer, na którym suszyły się mokre skarpetki, podłogę tak krzywą, że każdy guzik, który oderwał się od swetra, leciał aż do samego rogu. Nie było to życie, które sobie wyobrażał, kiedy przyjechał do Nowego Jorku z tym pięknym głosem, pomyślała, przykładając do ust zimną butelkę piwa. Nie było to też życie, które sama sobie wyobrażała. Naprawdę próbowała. Walczyła. I przegrała.

Ogarnęło ją zmęczenie. Zażyczyła sobie ostatnią piosenkę – *Corner of the Sky*. Wrzuciła ostatnie dwa dolary do słoika pianisty. Pamiętała, żeby powiedzieć proszę. Wycofała się w kierunku drzwi i cicho, zbyt cicho, by ktokolwiek mógł ją usłyszeć, zaśpiewała wraz z innymi: „Nie pytaj, dokąd idę, tylko nadstaw uszu, kiedy mnie już nie będzie”. Wymknęła się na zewnątrz i nikt tego nie zauważył.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

### Marina Air

– Evelyn – Barbara stała przy ekspresie do kawy. Nie ruszyła się z miejsca. – Wcześniej wstałaś.

– Tak – zegarek na mikrofalówce wskazywał pięć po szóstej.

Jedyne oświetlenie w mieszkaniu stanowiła ciemna żarówka pod mikrofalówką. Było ciemno – bluza Sheffield, którą wyciągnęła z pudła z napisem UBRA-NIA – EVELYN, była odwrócona na lewą stronę i pachniała drewnem. Na zewnątrz, na parkingu przed Marina Air, rozległ się pisk opon.

Poprzedniego dnia, kiedy po podróży pociągiem, autobusem i taksówką przyjechała z Nowego Jorku do Sag Neck, zobaczyła, że rodzinny dom został ogołocony tak samo jak mieszkanie Petit Trianon, które opuściła – zostały tylko kable i kłęby kurzu. Miejsca, w których leżały dywaniki, znaczyły jasne prostokąty, a tam, gdzie wcześniej stał zegar z wahadłem, stolik do herbaty i szeslong, były tylko włosy i resztki kurzu. W swoim pokoju zastała jedynie zwinięty śpiwór, pudełko po butach pełne starych płyt kompaktowych i zużyte błyszczki Lip Smackers, z pewnością wydobyte z którejsz z szuflad w łazience. Dopiero kiedy wyjrzała do ogrodu, zobaczyła tabliczkę: NA SPRZEDAŻ – SPRZEDANE.

Chwilę później do domu wszedł ojciec. Wydawał się skłębły jak balonik po paradzie Macy's z okazji Święta Dziękczynienia. Kiedy zobaczył ją na szczycie schodów, omal nie krzyknął. Żadne z nich nie wiedziało, jak się zachować – ojciec nie pytał, co tu robi, ona nie opowiadała o tym, co wydarzyło się w jej życiu. Ojciec próbował wskrzesić w sobie trochę dawnej radości – powiedział, że pogoda jest dobra, a mama już się zadomawia w Marina Air. Był zaskoczony, iż Evelyn nie wie, że chodzi o apartament na obrzeżach miasta, który wynajęli.

Wieczorem zawiózł ją na miejsce. Budynek Marina Air był dwukondygnacyjny, miał zewnętrzne schody, zewnętrzne przejścia i znajdował się w miejscu, gdzie Main Street przechodziła w Route 33. Evelyn pomyślała, że dawniej musiał tu być motel, zanim przerobiono go na mieszkania dla rozwiedzionych tatusiów. Barbara była w apartamencie 2L – ciemnym, czteropokojowym labiryncie – i rozpakowywała pudła.

– Evelyn, co ty tu robisz? – zapytała. Ona też wyglądała, jakby nie spała od dawna.

– Wyjechałam z Nowego Jorku – wypaliła. – Nie dzwoniłam. Ja po prostu... Przepraszam.

– Wyjechałaś z Nowego Jorku? Dlaczego, na Boga?

– Wyjechałam – powtórzyła cicho.

Dale wskazał, żeby usiadła na kanapie, która zajmowała większą część salonu-jadalni. – Czy to przez sprawę sądową? – zapytał. – Doceniam, że przyjechałaś, ale nie musiałaś się przenosić.

– Tak. Nie – Evelyn nie siadała. – Eksmitowali mnie z mieszkania, a w każdym razie pewnie by to zrobili, gdybym została. Straciłam pracę. Straciłam przyjaciół.

Dale zaczął się zastanawiać nad tym, co powiedziała. Barbara opadła na krzesło w rogu, odwrócona od nich obojga.

– W porządku. W porządku, Evelyn. Każdy ma czasem kłopoty – powiedział Dale.

– Próbowałam wszystko naprawić. Za późno, ale próbowałam. Ciągle próbowałam – powiedziała Evelyn. Spoglądała na ojca, który przysiadł na poręczu kanapy. – Dzięki temu mogę tu być na ogłoszeniu wyroku. To dobrze. Nie chciałam, żeby tak się stało. Skończyły mi się pieniądze i zrobiłam to, co uznałam za najlepsze. Po prostu próbowałam przetrwać.

– Wszystko w porządku – powiedział ojciec, wykręcając sobie palce. – W porządku.

Barbara została na krześle, a Dale w końcu pocałował ją w czoło i powiedział, że zawsze będzie tu mile widziana. Nie spodziewała się takiej życzliwości. Poszła do małej sypialni, która, jak powiedział Dale, służyła również jako biuro. Wisiał tam (trochę krzywo) oprawiony plakat z obrazem Georgii O’Keeffe, który kupiła w Sheffield Shopie, kiedy była na ostatnim roku. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że wszystkie jej obrazy tak naprawdę przedstawiają waginy. Zaczęła się zastanawiać, czy powiesił go tam ojciec, czy matka.

W sypialni czuć było terpentyną i chińskim plastikiem. Evelyn spała lekkim snem. Obudziła się, kiedy było jeszcze ciemno, przez godzinę leżała, aż w końcu wyszła porozmawiać z matką. Barbara wciąż sprawiała wrażenie pokonanej, ale przynajmniej zaczęła mówić.

– Pomóc ci z ekspresem do kawy? – zapytała Evelyn.

Barbara wysunęła uchwyt filtra, wsunęła go znowu i nacisnęła kilka przycisków. – Twój ojciec zawsze robił kawę.

– Kiedy się tu wprowadzi?

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

– Kiedy wszystko popakuje w Sag Neck?

– A pakuje wszystko w Sag Neck? – to była jedna z ulubionych gierk Barbary – udawanie niezorientowanej.

– Tak mi się wydaje, mamó. Nie wiem. Naprawdę nie jestem w nastroju, żeby się tym zajmować. Czeka z wprowadzeniem się tutaj, aż ogłoszą wyrok?

– Co masz na myśli?

– To, czy czeka z wprowadzeniem się tutaj, aż ogłoszą wyrok. Musimy to

robić?

– Co robić?

– Mamo.

– Tak? – odparła Barbara nieobecny tonem, jakby Evelyn pytała o dostępność kortu tenisowego w Eastern.

– Tata tu nie mieszka?

– Nie.

– To znaczy... nie ma w planach tu zamieszkać?

– Trudno powiedzieć.

– Ale ty mieszkasz? Tutaj?

– Najwyraźniej.

– Ale Sag Neck zostało sprzedane.

– Wiem o tym, Evelyn.

– Dlatego myślałam, że zamieszka tutaj do czasu, aż będzie musiał iść do więzienia, jeżeli rzeczywiście tak będzie. Myślałam, że tylko tymczasowo w Sag Neck. Tutaj jest dla niego miejsce, prawda?

– Czy wszyscy damy radę się pomieścić w tym okropnym mieszkaniu?

Woda wpływa do tej maszyny automatycznie?

Evelyn przeczesła ręką włosy. – Mogę poprosić kluczyki od samochodu?

– Jest szósta piętnaście rano.

– Tak. Wrócę. Później. Mogę je dostać?

– Przy drzwiach.

Evelyn się nie przebrała ani nie umyła zębów, po prostu wyszła na dwór w japonkach i spodniach dresowych. Kiedy weszła do domu w Sag Neck, usłyszała, jak ojciec hałasuje na górze.

– Halo?

– Tato?

– Evelyn. Dlaczego wróciłaś?

– Pomyślałam, że zrobię ci śniadanie. Musisz się odżywiać, prawda?

Podniosła torebkę z 7-Eleven, kupioną po drodze za pięć dolarów, które znalazła w szufladzie ze szpargałami w Marina Air. Oprócz tego zmieszała płatki kukurydziane z tygodniową śmietaną. Zastanawiała się, jak długo już tu mieszkała, samotnie, patrząc na pokoje, które kiedyś były w pełni umeblowane i w których mieszkała jego rodzina. Nie potrafiła się zdobyć na więcej słów, ale kiedy skończył jeść, poklepała go po ramieniu.

Chcąc dobrze podzielić czas, przydzieliła sobie dwa zadania na każdy dzień. Poniedziałek: ogarnianie łazienki w Marina Air, a potem przygotowanie pizzy z angielskich muffinów na obiad dla siebie i ojca. Wtorek: pomaganie ojcu przy pakowaniu książek, potem przenoszenie pudeł do magazynu. Środa: pralnia, a potem korzystanie z internetu w bibliotece Jeremiaha Regis przy Main Street.

Zalogowała się do People Like Us i zobaczyła, że zmienił się design, a na stronie głównej zamieszczono promocję biletów na imprezy sportowe. Chciała znaleźć konto Camilli, ale zostało usunięte. Sprawdziła swoją skrzynkę – były w niej wiadomości o promocjach w DailyCandy, wyprzedaży sample sale w Theory i propozycja zakupu biletów na jesienną galę w American Ballet Theater. Jej sprzedawca z Céline pytał, dlaczego już od jakiegoś czasu do nich nie zaglądała. Nie licząc jakiejś absolwentki Sheffield, która pytała, czy Evelyn mogłaby pomóc w zbliżającej się akcji zbierania dotacji przez telefon, nie było ani jednego osobistego maila, nikt z jej dawnych przyjaciół nie pytał, co się z nią dzieło i czy wszystko w porządku. Nowy Jork nie tylko dobrze sobie radził bez niej, ale w ogóle nie zauważył, że wyjechała.

Kiedy wróciła do domu, zastała matkę całkowicie pochłoniętą programem, w którym przyszłe panny młode wybierały suknie ślubne. Była dopiero pierwsza, popołudnie jawiło jej się jak długi, ciągnący się cukierek. Matka siedziała z lekko rozdziawionymi ustami, jakby brakowało jej energii, żeby je zamknąć. Mężczyzna na ekranie mówił właśnie niskiej kobiecie w sukni w kształcie babeczki, że wygląda jak dziecko. – Wróć za kilka godzin – powiedziała Evelyn. Matka nie podniosła wzroku.

Wróciła do biblioteki Regis i znalazła informację o firmie z Baltimore, która pozyskiwała stażystów. Pomyślała, że może nie być tak źle. Być może firma prawnicza albo bankowa potrzebowała stażysty. Miałyby wtedy własny gabinet z drzwiami i darmowymi bloczkami papieru. Kobieta, która przeprowadzała rozmowę, kazała jej usiąść przy zatłuszczonym komputerze z wytartymi literami g i h i zrobić test. Komputer wyglądał jak z lat osiemdziesiątych i piszczał jak rosyjska gra w komputerowe szachy za każdym razem, kiedy zrobiła coś nie tak. Bip! – rozlegało się nawet wtedy, kiedy kliknęła na niewłaściwą komórkę w Excelu. Bip, bip, bip – przy każdej niepoprawnej opcji formatowania, kiedy tworzyła pismo służbowe. Kiedy się pomyliła i naciskała backspace, znowu piszczał, a Evelyn zaczynała panikować. Pod koniec kobieta złożyła ręce i powiedziała, że miałyby większe szanse na rynku pracy, gdyby zapisała się na kurs pisania na klawiaturze w szkole dla sekretarek.

Kiedy jechała z powrotem płaskimi drogami pokrytymi brązowym pyłem, co chwilę mijając łuszczące się na brzegach niewykupione billboardy, uderzyła ręką w kierownicę. Miała ochotę krzyknąć: szkoła dla sekretarek? Chodziłam do Sheffield. Byłam na głównym zdjęciu na Appointment Booku. Jestem kimś. Byłam kimś.

Trzy dni później depresja Barbary pokryła mieszkanie jak gigantyczna wersja cieni do powiek, których ostatnio zaczęła używać, i Evelyn uznała, że musi wyjść z domu i musi zarobić trochę pieniędzy. W Bibville nie było szkoły dla sekretarek, ale były sklepy. Zaczęła mentalny przegląd tych ulokowanych przy

Main Street. Nowy sklep winiarski? Nadal nie orientowała się w cabernet, pewnie odrzuciliby ją tak samo jak tamta agencja. Bali High. Nie mogła wyobrazić sobie siebie w roli skutecznej sprzedawczynie batikowych spódnic. Caffeteria na nabrzeżu. To nie był taki zły pomysł. Jej wakacyjna przyjaciółka Jane pracowała tam w liceum i nawet była zadowolona – napiwki były zaskakująco wysokie jak na kawiarnię, w której zjeść można było w zasadzie tylko muffinki i sałatkę z tuńczyka na chlebie ze sklepu.

Kiedy dotarła na nabrzeże, w Caffeterii panowała atmosfera cichego wczesnego popołudnia. Okna były zamknięte, a na czerwonych drzwiach, grubych od kilku warstw farby z różnych epok, wisiał znak PROSZĘ ZAMYKAĆ DRZWI, JEST GORĄCO! Nigdzie nie było widać kartki z napisem POMOC POSZUKIWANA. Czy takie miejsca nie wywieszały takich informacji, kiedy potrzebowały pracowników? Pchnęła drzwi, zadźwięczał dzwonek, a zza baru spojrział na nią mężczyzna z brodą przyprószoną siwizną, w okularach bez oprawki. Był skoncentrowany i czujny jak wiewiórka i wyglądał znajomo. Evelyn przypomniała sobie, że kiedy przychodziła tu latem w czasach liceum, był bardzo zasadniczy w kwestii darmowych dolewek mrożonej kawy.

– Hej – powiedziała.

– Hej, czym mogę służyć? – odparł i zaczął wytrzepywać gazetę „Bibville Tattle”.

– Właściwie to... chciałam zapytać, czy jest u pana jakaś praca. To znaczy tutaj. Chciałabym tu pracować.

Mężczyzna złożył „Tattle”, odsunął od siebie i wygładził w miejscu zgięcia.

– Właśnie się przeprowadziłam z Nowego Jorku, więc jestem przyzwyczajona do tłumów – powiedziała. Głupio to zabrzmiało. – Aha, i mogę pracować w dowolnych godzinach. Mieszkam tu obok, więc gdyby trzeba było pracownika na ostatnią chwilę albo gdyby ktoś nie przyszedł...

Mężczyzna podrapał się po nosie. – Kim pani jest?

Nie wiedziała, co chce usłyszeć, więc dała mu kilka odpowiedzi. – Urodziłam się pod Waszyngtonem, ale dorastałam w Bibville, na Meetinghouse Creek, a moja rodzina – w zasadzie matka – właśnie przeprowadziła się do miasta – sprzedaliśmy dom, to trochę skomplikowana sprawa, no i teraz mieszkamy przy Main, koło parku. Obok stacji Sunoco. Do czerwca mieszkałam w Nowym Jorku, ale miałam tu pewne rodzinne sprawy, którymi musiałam się zająć, więc przyjechałam. Moja koleżanka Jane pracowała tu któregoś lata, chyba w dziewięćdziesiątym szóstym, kiedy jeszcze nazywaliście się Early Roost, i jej się podobało... Tak więc...

– Pytałem, jak się pani nazywa.

– Aha! Ojej. Evelyn Beegan.

– Evelyn. Jestem Rick. Nie podam ci ręki. Inspektorzy sanitarni mogą na nas patrzeć. Masz jakieś doświadczenie?

– Pracowałam w kawiarni w... – urwała. Jeśli będzie udawać, że wie, jak się obsługuje przemysłową maszynę do espresso, skończy się na tym, że spuści parę, pozalewa się mlekiem i straci pracę. – Nie – powiedziała cicho. – Ale mogę się nauczyć.

Rick odłożył gazetę i starannie wyrównał. Splótł dłonie, podłożył je pod brodę i patrzył na Evelyn, jakby chciał ją odczytać za pomocą różdżki. Wreszcie najwyraźniej się to udało, bo zaklaskał. – No cóż, Evelyn, tak się składa, że musimy zatrudnić kogoś na jesień, bo jeden z naszych pracowników przenosi się do Chesapeake, ale nie zaczynałabyś na samej górze.

– Tak jest. Rozumiem. Nie ma problemu.

– Nie będziesz mogła dotykać tego maleństwa – wskazał srebrną maszynę do espresso – dopóki ci nie pozwolę. Możesz parzyć kawę z dripa, przygotowywać mrożoną, zajmować się podstawowym serwisem i sprzątaniami, a przez sprzątanie rozumiem naprawę sprzątaniami – mop i tak dalej.

– Mogę sprzątać – zapewniła, ale zabrzmiało to tak, jakby zadawała sobie pytanie.

– Płacimy tu minimalną stawkę. Czyli na początek dziewięć dolarów za godzinę, plus napiwki.

Jakim cudem dziewięć za godzinę to minimalna stawka? – zastanowiła się.

– Przyjdź w piątek o szóstej. Mia pokaże ci, co i jak. Nie przyjdiesz – wylatujesz. Przyjdiesz pijana – wylatujesz. Rozumiemy się?

– Ludzie przychodzą pijani o szóstej rano?

– Zdziwiłabyś się – Rick wziął do ręki gazetę, polizał palec, żwawo potrząsnął, a gazeta otworzyła się na dziale sportowym. Evelyn czekała, myśląc, że da jej jakiś list polecający albo będzie kazał coś podpisać, ale był pochłonięty lekturą. Odchrząknęła. Podniósł wzrok.

– Przepraszam... czyli... mam pracę? – zapytała.

Pokiwał głową i przewrócił stronę.

Nie chcąc mu przeszkadzać, żeby nie zmienił zdania, otworzyła drzwi najdelikatniej, jak mogła, tak że dzwonek prawie się nie poruszył. Odwróciła się i spojrzała na szyld lokalu – nazwa Caffeteria zapisana była ozdobną kursywą i opatrzona wykrzyknikiem. Dziewięć dolarów za godzinę. W Nowym Jorku zdarzało jej się wyrzucać dolarowe banknoty, bo były przemoczone albo za bardzo wymięte i ją brzydziły, a teraz zamierzała pracować za dziewięć dolarów na godzinę. Ciężkim krokiem wróciła do apartamentu Marina Air i weszła na zewnętrzne schody.

W mieszkaniu panowała ciemność, rolety były opuszczone, a w powietrzu unosił się kwaśny zapach. Drzwi do pokoju Barbary były zamknięte. Podeszła do okna w dużym pokoju, pociągnęła za sznurek i podniosła rolety. Uchyliła okno i przeszła do kuchni, żeby otworzyć lufcik – chciała wpuścić do środka trochę światła, odrobinę powietrza i odgłosów z zewnątrz. Uchyliła drzwi, żeby ułatwić



przepływ powietrza.

W piątek rano jej budzik zadzwonił o niewyobrażalnie wczesnej czwartej czterdzieści pięć i prawie się spóźniła, bo nie mogła się zdecydować, co na siebie włożyć. Nigdy nie zwróciła uwagi, jak ubierają się pracownicy kawiarni. Przyjemnie było wziąć prysznic i ubrać się do pracy – wybrała białą tunikę i sandały na niskim obcasie. Zanim dotarła na drugi koniec Main Street, już bolały ją stopy, a po całym poranku na obcasach prawie krzyczały.

Mia miała czarne spodnie, chodaki, kolczyk w nosie i czapkę robioną na drutach. Była wyraźnie poirytowana faktem, że Evelyn jest takim żółtodziobem, że nawet nie schowała włosów. Kazała jej wybierać pomiędzy jednorazowym czepkiem i ścierką do naczyń. Evelyn zdecydowała się na to drugie i pomyślała, że w połączeniu z białą tuniką nadało jej to wyglądu oszalałej pielęgniarce z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Mia kazała jej zemleć ziarna kawy. Kiedy już to zrobiła, wysypała je sobie na białą sukienkę. Próbowała je zetrzeć, ale to tylko pogorszyło sytuację. Miała ochotę rzucić ziarnami o ścianę i pobiec do domu, ale w domu czekała na nią tylko Barbara w ciemności. Wytrzymała do końca zmiany i pokuściła z powrotem na Main Street. Kiedy wróciła, z lewej stopy płynęła jej krew.

W pokoju wyciągnęła buteleczkę Perles de Lalique i wodziła kciukiem po jej gładkiej powierzchni i po ozdobnym korku. Spryskała nadgarstki i kark. Czowała nuty pieprzu i zaszuszonego róż, które zawsze uwalniały się na początku. Kilka niepewnych kropel deszczu zabębniło o szybę. Poczowała się niemal, jakby była z powrotem w Nowym Jorku, z dala od Marina Air i tego wszystkiego. W nocnej szafce był jej iPod. Wyjęła go i włączyła Judy Holliday. Poruszała ustami do słów: *they've burst your pretty balloon and taken the moon away*. Zamknęła oczy i wachała nadgarstki.

Rano w Caffeterii ktoś wspomniał, że Nowy Jork świętuje, bo giełda idzie w górę. Zaczęła się zastanawiać, czy w Nowym Jorku też pada. Wyobrażała sobie, co robią wszyscy jej przyjaciele. W Greenwich Village Nick szedł przez Barrow Street i z radością myślał o funduszu, który założył ze Scotem. Kiedy przejechał samochód, wyczuł dokładny moment i z precyzją tancerza baletowego uskoczył na ganek kamienicy, a wysoka fala wody ochlapała kobietę, która szła za nim. Ociekająca wodą kobieta wypuściła z ręki swój tani czarny parasol z wystającymi metalowymi drutami, które wyglądały jak ramię uszkodzonego robota – przyrząd, który nie przetrwałby nawet jednej nowojorskiej burzy.

Camilla, która zrezygnowała ze spotkania z refleksolożką i popędziła do domu, jak tylko zobaczyła pierwsze krople deszczu, siedziała w salonie, sączyła herbatę z filiżanki i patrzyła na foki bawiące się w deszczu w Central Park Zoo. Na kanale Style, emitującym pokazy mody, być może wspomnieli o kursach akcji, a jeśli tak, to Camilla wyłączyła telewizor. Jakie znaczenie miały dla niej fluktuacje giełdowe?

Ze Scotem było łatwo – pracował nad swoim funduszem hedgingowym – cokolwiek to mogło znaczyć. Siedział w biurze i zarabiał pieniądze. Badał rynek. Był sfrustrowany, że Nicka nigdy nie ma. Gotowe... i gotowe – jak mówił Preston.

W przypadku Charlotte też nie było problemu: siedziała w sali konferencyjnej pełnej prawników i nawet nie zdawała sobie sprawy, że padało. Tej nocy nie wyjdzie z pracy – w ciągu kolejnych trzech dni ledwo prześpi osiem godzin – bo szef powiedział jej, że nie są w stanie wyczuć rynku, a jeśli nie zamkną tej transakcji do końca tygodnia, w ogóle nie dojdzie do skutku.

A Preston? Gdzie był Preston? Próbował być lojalnym przyjacielem, ostrzec ją przed niebezpieczeństwami czyhającymi w towarzystwie, do którego próbowała się wbić, i przed ludźmi, z którymi próbowała się zaprzyjaźnić: Bridie Harley, Gemmą Lavallo i – tak jest – Camillą Rutherford. Odpłaciła mu, druzgocząc go, sprawiając, że poczuł się, jakby nie mógł liczyć nawet na dawnych przyjaciół.

Chciała widzieć go szczęśliwego, więc wyobraziła go sobie w Greenwich Country Clubie przy ósmym dołku, kiedy starannie ustawiał się do uderzenia i myślał o tym, żeby skończyć dziewiąty, zanim deszcz dotrze do Greenwich. Uderzenie, piłka leci łukiem i miękko ląduje na greenie. Prawdopodobnie wykorzysta zwykłą na giełdzie, żeby kupić więcej apartamentów na Florydzie, czy czym on tam się zajmował. Jak tylko zacznie padać, popędzi do klubu, włoży kolce do szafki i zmieni je na mokasyny. Usiądzie z butelką ginu i zdzierając białą warstwę z kawałka limonki, będzie patrzył przez klubowe okno na pole golfowe, pociemniałe od deszczu. Czy był samotny? Czy był szczęśliwy? Czy robiło mu to jakąś różnicę?

Następnego ranka budzik znów zadzwonił o czwartej czterdzieści pięć. Wstała i na sztywnych, pokrytych pęcherzami nogach poszła do pracy, tym razem w ciemnej koszuli i butach na płaskim obcasie. Kilka godzin po rozpoczęciu zmiany Mia ją awansowała – miała teraz wypisywać rachunki i nabijać je na szpi-kulec. Na szczęście w sobotę w kawiarni panował taki ruch, że nie miała czasu myśleć o Nowym Jorku i Marina Air. Była zbyt zajęta przenoszeniem muffinek tam i z powrotem, wydawaniem reszty i donoszeniem kawy. W niedzielę praca chwilami sprawiała jej przyjemność. Mia nie lubiła rozmawiać z klientami, więc Evelyn ją w tym zastąpiła. Jednym z gości był wyprowadzacz psów z Hootenanny – terierem o brodzie siwej jak u mędrca. Suka zaczęła kuleć na jedną nogę, a ponieważ jej właściciele byli w Hongkongu, wyprowadzacz nie był pewien, czy zabrać ją do weterynarza. Kolejny klient patrzył na świat przez różowe okulary – w dosłownym sensie – i wyglądał jak żywcem wyjęty z działu damskiego w Goodwill. Wykonywał jakąś pracę dla firmy autobusowej Maryland Upper Shore Transit. Musiał stać na przystanku na rogu Bay i Main i zapisywać coś w notatniku za każdym razem, kiedy przyjeżdżał autobus. Potem przechodził na przystanek po przeciwnej stronie i zapisywał coś innego. Dodawał do kawy trzy opakowania sło-

dzika Sweet'N Low i lubił, kiedy była wyjątkowo gorąca (Mia powiedziała, że sekret polega na wstawieniu jej na piętnaście sekund do mikrofalówki, ale tak, żeby klient tego nie widział).

Pod koniec pierwszego tygodnia Rick dał jej kopertę z czekiem i plikiem banknotów – pieniędzmi z napiwków. Wetknęła ją na dno torebki i za każdym razem, kiedy koło niej przechodziła, sprawdzała, czy koperta nadal tam jest. Po drodze do domu wpłaciła pieniądze na rachunek bankowy. Na ekranie bankomatu ukazał się napis: „Środki dostępne – \$315.19”. Korzystała z bankomatu po raz pierwszy od pobytu w Lake James. Widząc, jak bardzo poprawiła bilans po tygodniu pracy, uśmiechnęła się delikatnie do niebieskiego ekranu.

Czytała *Wspaniałość Ambersonów* – egzemplarz z czasów Sheffield, z jej starymi notatkami nagryzmołonymi na marginesach – kiedy usłyszała, że otwierają się drzwi. Weszła matka, z torbą z McDonalda (kiedy mieszkała w Sag Neck, nigdy nie próbowała fast foodów, a ostatnio odkryła, że smakuje jej Filet-O-Fish).

– Jesteś już – powiedziała. Była ubrana w sięgające ziemi kimono pokryte rysunkami małych herbaciarni. Evelyn miała nadzieję, że skorzystała z drive-through. – Możesz nakryć do stołu.

Babs zamierzała zjeść coś usmażonego w głębokim tłuszczu, zapakowanego w kartonik i podanego jej przez kuloodporną szybę, ale nie zniżyłaby się do użycia papierowej serwetki – na tę myśl Evelyn lekko się uśmiechnęła. Wstała i rozłożyła lniane serwetki, sztućce i talerze.

– Nie zastanawiałaś się, gdzie podziewałam się przez ostatni tydzień? – zapytała.

– Nie wiem – odparła Barbara. – Wygląda na to, że wokół dzieje się mnóstwo rzeczy, o których nie wiem.

Sprawiała wrażenie przygaszonej. Usiadła, ułożyła sobie serwetkę na kolanach i popchnęła letniego hamburgera w stronę Evelyn.

– Pracowałam. Zatrudniłam się. W Caffeterii. To ta urocza kawiarenka na nabrzeżu. Z dobrą lemoniadą.

Barbara wzięła nóż i widelec i odkroiła kawałek fishburgera. Przeżuwała i połykała tak wolno, że Evelyn praktycznie widziała, jak ryba schodzi w dół przełyku.

– No więc – Evelyn podjęła jeszcze jedną próbę – odkładam trochę pieniędzy.

– Hamburger ci stygnie – odpowiedziała Barbara.

Dzwonek telefonu stacjonarnego przestraszył je obie. Oprócz telemarketerów inicjujących niezręczne konwersacje nikt już do nich nie dzwonił.

– No? To może być coś ważnego – powiedziała Barbara i osuszyła usta z sosu tatarskiego.

Evelyn odebrała, ale zanim zdążyła powiedzieć halo, głos po drugiej stronie

już zaczął trajkotać. – Halo! Szukam Evelyn Beegan, mam nadzieję, że to dobry numer.

– To nowy numer – odparła.

– Czy to Evelyn? Evelyn, mówi Becky Breen, dawniej Becky Aquino, z Sheffield. Kopę lat.

Nie mogła sobie przypomnieć twarzy Becky, ale pamiętała, że była przewodniczącą Towarzystwa Demostenesa – grupy studiującej klasyczną grekę – i że na którymś z zebrań wygłosiła niekończącą się orację w tym właśnie języku.

– I do tego zastrzeżony.

– No cóż, Sheffield nie miałoby najwyższego wskaźnika dotacji od absolwentów spośród wszystkich prywatnych liceów, gdyby pozwalało ludziom tak po prostu zniknąć. Niestety lub na szczęście. Słuchaj, chcę z tobą pomówić o głównych dotacjach. Jak wiesz, nasza klasa jest teraz w ferworze zbierania funduszy. Już tak niewiele brakuje nam do pokonania rocznika osiemdziesiątego siódmego...

– Mówię poważnie. Nikt nie wie, że można mnie zastać pod tym numerem. Macie na swoich usługach mafię?

Becky się roześmiała. – To biuro pozyskiwania dotacji w prywatnym liceum. Jesteśmy lepsi niż mafia. Pamiętasz Panuponga Pradchapheta z Tajlandii? Dołączył do nas na drugim roku, zniknął po jednym semestrze? Namierzaliśmy go w Zjednoczonych Emiratach Arabskich.

– Został waszym głównym donatorem?

– Tak, i do tego stałym.

– Nieźle – Evelyn pokiwała głową. – No to co tam masz na mój temat w książce?

– Słucham?

– Zajmowałam się zbieraniem funduszy w Sheffield i wiem, że dostajecie małą książkę, z historią dotacji i potencjałem każdej z osób. Co jest napisane przy moim nazwisku?

– Obawiam się, że nie mogę zdradzać...

– Becky, właśnie mi powiedziałaś, że Panupong Pradchaphet mieszka w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, już samo to jest złamaniem przepisów. Daj spokój. Chcę wiedzieć, co tam jest napisane. No? Pomogę ci. Evelyn Topfer Beegan, dziewięćdziesiąt osiem, akademik Beardsley, zamieszkała...

– Yy... Le Petit Trianon...

– A miejsce zatrudnienia?

– People Like Us. Dyrektor do spraw członkowskich.

– Jaka w tym roku jest kwota docelowa w moim przypadku? W zeszłym roku wpłaciłam... ile? Tysiąc?

– Oczywiście będziemy się cieszyć z każdej kwoty, ale jeśli zechcesz dołączyć do Rising Gryphon Society i zdecydujesz się na kwotę dwudziestu pięciu

tysięcy...

– Evelyn! – Barbara, która od tygodni wydawała się pogrążona w półśnie, teraz gwałtownie wymachiwała rękami i próbowała ją powstrzymać.

Evelyn zakryła słuchawkę. – Co takiego?

– Kto dzwoni?

– Sheffield. Biuro absolwentów.

– Czego chcą?

– Dotacji. Właśnie mam im powiedzieć, że trafili pod niewłaściwy adres.

– Nie mów im tak, Evelyn. Nie trzeba im tego mówić.

– Dlaczego?

– To niestosowne – odparła Barbara.

– Nie sądzisz, że się zorientują, jeśli nie będę w stanie wpłacić większej dotacji?

– Myślę, że nie musisz się poniżać.

Evelyn wystawiła język. W słuchawce rozległ się głos. – Halo? Evelyn, jesteś tam jeszcze?

Przyłożyła słuchawkę z powrotem do ucha. – Posłuchaj, Becky – zaczęła, nie odrywając wzroku od matki. – Może powinnaś dopisać to przy moim nazwisku. Miałam pewną... nazwijmy to, korektę sytuacji życiowej.

– Aha.

– Czy mogłabyś zamienić tego „dyrektora” na „baristę”? Chociaż nie, to przesada. Niech będzie „sprzedawca”. „Sprzedawca w kawiarni” – tak będzie lepiej. Moim nowym pracodawcą jest Caffeteria. Adres w Petit Trianon jest już nieaktualny. Jestem teraz tymczasowym mieszkańcem Marina Air Apartments w Bibville. Choć w sumie to nie takie tymczasowe.

Barbara coraz szybciej kręciła głową, patrząc na pudełko po Filet-O-Fishu.

– Oczywiście. Zaktualizuję wpis.

– Podejrzewam, że w notatkach jest też coś na temat mojego ojca, ale on prawdopodobnie idzie do więzienia, więc okazałe dotacje przez jakiś czas nie będą przychodzić. O ile w ogóle. Możemy się zgodzić na, powiedzmy, trzy dolary?

– Co tylko ci odpowiada. Liczy się udział, nie kwota. W takim razie... yy... zapiszę sobie.

– Trzy dolary nie uprawniają do pamiątkowej szklanki do whisky, prawda?

– Obawiam się, że nie.

– Może chociaż dostanę jakąś ładną pocztówkę? Chciałabym taką z Sheffield. Mogę ją powiesić w kawiarni. Co drugi tydzień odpowiadam za tablicę.

– Nie powinno być problemu. Mogę tylko zapisać sobie adres w Marina Air?

Kiedy Evelyn skończyła rozmawiać, pudełko po Filet-O-Fishu było całkiem spłaszczone, a Barbara nadal kręciła głową. Evelyn odgryzła wielki kawałek zimnego hamburgera. – Myślę, że najlepiej jest odpowiednio dostosować oczekiwania.

Wzięłaś keczup?

## Rozdział trzydziesty

### Wytyczne orzecznictwa

– Mamo? Wstawaj. Za czterdzieści minut musimy być na dole.

Evelyn próbowała wygładzić cerę korektorem w łazience Wilmington Friendship Inn. Jarzeniówka, trzeszcząca nad jej głową, nadawała wnętrzu niezdrowy, żółtawy wygląd. Bez naturalnego światła Evelyn nie potrafiła stwierdzić, czy podstawowy problem wynika z oświetlenia w kolorze kocich wymiocin, czy z tego, że jej skóra jest tak czerwona, że żaden makijaż tego nie przykryje. Weszła do pokoju z ciemnozielonym dywanem i zasłonami w ciemnym odcieniu magenty i spojrzała na łóżko znajdujące się po drugiej stronie pomieszczenia. Nieforemny kształt w pościeli niespodziewanie wypuścił z siebie powietrze.

– Czuję się po prostu paskudnie – matka przeturlała się w stronę okna.

Ubiegłego wieczoru, kiedy przyjechały, sama szykowała sobie ten los, kiedy zmęczonym głosem oznajmiła, że nie ma siły na wzięcie do ust choćby kęsa czegośkolwiek. Evelyn musiała więc sama pójść do Wendy's po pieczonego ziemniaka. Ojciec już był w hotelu, w oddzielnym pokoju, ale przez całą noc rozmawiał o wyroku ze swoim adwokatem Rudym. Rozmawiał z nią tylko krótko przez telefon – chciał się z nimi spotkać w lobby o ósmej trzydzieści.

– Chodź, mamo. Musisz wziąć prysznic. Ciśnienie wody nie jest takie złe, poza tym przywiozłam Kiehl's, więc nie będziesz musiała używać mydła.

Uwaga na temat ciśnienia wody była kłamstwem. Wiedziała też, że matce nie spodobałyby się cienkie, obskurne białe ręczniki – zbyt cienkie nawet jak na ścierki od kurzu dla Walerii, gdziekolwiek teraz pracowała. – Mamo, proszę. Rudy powiedział, że o ósmej trzydzieści musimy być w lobby – cofnęła się do łazienki. – Włączę ci wodę, dobrze? Potrzeba minuty, żeby się nagrzała.

Matka uniosła rękę i pozwoliła jej bezwładnie opaść. – Czuję się po prostu okropnie. Nie mogę się ruszać. Chyba się czymś zatrulałam.

– Nie jadłaś nic od czasu tej kanapki w samochodzie wczoraj wieczorem.

– Ociekała majonezem. W majonezie roi się od zarazków. Nie rozumiem, dlaczego ludzie w tych delikatesach smarują majonezem praktycznie wszystko. Waleria nigdy nie dodawała majonezu do moich kanapek.

– Waleria robiła ci kanapki?

– Przynajmniej się nie nudziła – odparła Barbara.

– Sprzątanie domu to też coś, co nie pozwala się nudzić. Objawy zatrucia występują ze cztery godziny po jedzeniu. W tym wypadku minęła cała noc. Jestem pewna, że nic ci nie jest.

Evelyn ruszyła w stronę łóżka, ale się zatrzymała. Nie chciała oglądać matki

w szlafroku, widzieć zarysu jej starzejącego się ciała pod cienką tkaniną, kiedy wydzielala poranny zapach i wydawała się aż zanadto krucha.

– Majonez... – wymamrotała Barbara i przyciągnęła kołdrę z przaśnym wzorem paisley do przedramienia. – Evelyn, proszę, wyłącz to upiorne światło.

– W łazience?

– Boli mnie od niego głowa. Czuję, że zaczyna mi się migrena, a wtedy nie mogę znieść żadnego światła. Evelyn, dzisiaj nie dam rady nigdzie pójść. Przepróś ode mnie ojca.

– Co?

– Nie mów „co”, Evelyn, ile razy mam ci powtarzać? Mówi się „słucham”.

– Mamo, musisz iść. Rudy powiedział, że to ważne, abyśmy obie tam były.

To może mu pomóc.

– Cóż, będziesz musiała powiedzieć Rudy’emu, że bardzo źle się czuję. Twój ojciec do tej pory radził sobie ze wszystkim sam. Jestem pewna, że nikomu nie pomogę, jeśli będę za nim szła z potwornym bólem głowy, kiedy na oczach kamer będą go prowadzić na salę sądową.

– Nie będą... nie sądzę, żeby go tak prowadzili, mamo. Proszę, wyjdź z łóżka. Musisz iść.

Barbara naciągnęła na głowę cienką kołdrę w rdzawopomarańczowym kolorze. – Fofyt blan łafyl – powiedziała.

– Co? – Evelyn popatrzyła spode łba na stworzenie pod kołdrą. Ponad narzutą widać było siwe odrosty jej blond włosów. Matka się wycofywała, ale oznaczało to, że cała odpowiedzialność spocznie na jej barkach. Zachowywała się jak małe dziecko, kiedy ona tak bardzo potrzebowała matki. Poczula, że łzy napływają jej do oczu, ale zaczęła mrugać, żeby je odpędzić. Jedna z nich musiała być opoką i najwyraźniej ta rola przypadła właśnie jej. – Wstawaj, mamo. Wstawaj.

Barbara opuściła kołdrę tuż pod linię ust. – Mówiłam, że nie wiesz, jak to było. Ci wszyscy ludzie, udający troskę: jak się czuje Dale? I co ja mam na to odpowiedzieć?

– Nie wiem, mamo. Proszę. Wyjdź z łóżka.

– Dlatego po prostu już nigdzie nie wychodzę.

– Ale dzisiaj musisz – Evelyn spojrzała na budzik z białymi cyframi jak z lat osiemdziesiątych. Zafurkotało i 7.58 zmieniła się w 7.59. – Mamy pół godziny. Musisz się ubrać. Nawet jeśli to ostatnie, na co masz ochotę. To pomoże tacie dostać łagodniejszy wyrok, musisz to zrobić. Proszę. Po prostu wstań.

Barbara milczała. Evelyn spojrzała na zegarek – godzina zmieniła się w 8.00, a potem w 8.01. – Po prostu nie mogę dzisiaj wyjść z łóżka. Powiedz swojemu ojcu, że czuję się okropnie i mam mdłości. Próbowałam, Evelyn. Specjalnie przyjechałam aż tutaj. Nie mogę się spotkać ze wszystkimi w takim stanie. Muszę odpocząć.



Evelyn mocno zacisnęła powieki, potem otworzyła oczy, podeszła do okna i szeroko rozsunęła zasłony. Kółka ze zgrzytem przejechały po metalowym pręcie, a Barbara wydała stłumiony jęk. Evelyn wróciła do łazienki i chciała trzasnąć drzwiami, ale drewno było cienkie jak wafelek i zamknęły się z cichym fuknięciem. Cisnęła szczotką do włosów o podłogę i rzuciła szminką w lustro, tak że na szkle został dyndający różowy kawałek. Pomaszerowała z powrotem do pokoju.

– Masz jeszcze jedną szansę – powiedziała jednostajnym, lodowatym głosem. – Zrób, co do ciebie należy.

Matka z wysiłkiem otworzyła oczy. – Nie powinnaś upiąć włosów?

Ręce Evelyn szukały jeszcze czegoś, czym mogłaby rzucić, ale w pobliżu nic nie było, więc tylko tupnęła i wydała bezradny okrzyk. Barbara już zamknęła oczy. Zaczęła mówić: – Powiedz swojemu ojcu... – ale Evelyn chwyciła torebkę i wyszła przed końcem zdania, trzaskając drzwiami najmocniej, jak potrafiła.

W windzie cuchnęło kawą instant i papierosami. W lobby jakieś dziecko ostrożnie obierało pomarańczę do parującego bemału z jajecznicą. Zobaczyła Rudy'ego przed automatycznymi drzwiami, które otwierały się i zamykały, kiedy wymachiwał rękoma.

– Dobrze, mamy jeszcze kilka minut. Twój ojciec jest w samochodzie. Wsiadaj – powiedział.

Wyszła z hotelu i usadowiła się na tylnym fotelu SUV-a. Siedzący z przodu Dale się odwrócił. Na jego twarzy nie było uśmiechu, zmarszczki na czole tworzyły nowy wzór. – Cześć – powiedział.

– Tato – odezwała się Evelyn.

Rudy chwycił drzwi samochodu i wetknął głowę do środka. Evelyn poczuła zapach jego cynamonowej gumy. – Gdzie Barbara?

– Mama już prawie gotowa? – zapytał ojciec. Był schludnie i subtelnie ubrany, granatowy garnitur wydawał się na niego za duży. Podbródek wisiał. Kiedy skończył zdanie, wykrzywił usta w grymasie, ale nie udało mu się osiągnąć pełnego uśmiechu.

– Nie. Mówi, że się rozchorowała. Przykro mi.

– O co chodzi? – zapytał Rudy.

– Mówi, że się rozchorowała. Moja matka. Nie przyjdzie. Przeprasza. Przykro mi.

– Rozchorowała się – Rudy tak energicznie żuł gumę, że jego wargi plaskały o siebie przy każdym ruchu szczęki. – Czyli co, wisi nad toaletą i wymiotuje?

Evelyn patrzyła na siedzenie przed sobą.

Guma w ustach Rudy'ego zmieniała się w pianistą masę, wypełnioną śliną. – Ona rozumie całą koncepcję, prawda? Pokazujesz się jako prawy członek społeczności, odpowiedzialna żona i ładna córka stoją po twojej stronie i sędzia patrzy na ciebie nieco łaskawszym okiem niż w sytuacji, kiedy twojej żonie tak bardzo na

tobie zależy, że choruje w dniu, w którym zostajesz skazany za utrudnianie śledztwa.

Ojciec opuścił lusterko w klapce, żeby widzieć córkę. – Evelyn, może postaraj się ją tu ściągnąć? Po prostu idź do pokoju i zobacz...

Rudy nie przestawał żuć. – Tak, skarbie, idź tam na górę i powiedz, żeby tu zeszła... yy... pięć minut temu? Samochód zaraz odjedzie i lepiej, żeby w nim była.

Evelyn się odwróciła i spojrzała na Rudy'ego. Na wargach miał plwocinę. Przeniosła wzrok na ojca. Zacerpnęła tchu. – Panie kierowco, wie pan, dokąd mamy jechać, prawda?

Mężczyzna zerknął we wsteczne lusterko i coś mruknął.

– Świetnie. No to lepiej się zbierajmy. Tato, jesteś gotowy? Rudy, jeśli masz zamiar jechać tym samochodem, to proponuję, żebyś wsiadł.

– Posłuchaj, słoneczko – powiedział Rudy.

– Evelyn. Tak mam na imię. Nie Słoneczko. Nie wracam tam, zrozumiano? Wydaje ci się, że nie próbowałam? Jak chcesz iść tam na górę, trzaskać drzwiami, prosić, krzyczeć i robić sceny w korytarzu Friendship Inn, to proszę bardzo. Ale ja nie będę tego robiła i myślę, że powinniśmy już jechać. Lepiej, żeby była tam z nim jego córka, a nie tylko ty. Prawda, Rudy?

– Kurwa! – krzyknął Rudy w przestrzeń. Minutę później otworzył tylne drzwi i klapnął na fotel obok Evelyn.

Budynek sądu, widziany z zewnątrz, nie obiecywał niczego. To przemawiało na jego korzyść. Najbardziej ze wszystkiego przypominał więzienie – prostokątne, szarobure, z ery żużlobetonowej architektury, inspirowanej Związkiem Radzieckim. Rudy przeprowadził je przez wykrywacze metalu do sali sądowej. Ławki już były wypełnione, niektórzy – z pewnością dziennikarze – mieli w rękach notesy. Przesłuchanie zaczęło się o czasie. Prokurator i Rudy spierali się o wytyczne orzecznictwa w takich sprawach, a potem o zwrot kwoty dziewięciu milionów dolarów – znacznie wyższej, niż Evelyn się spodziewała. Potem sędzia zapytał, czy Dale ma coś do powiedzenia.

Miał. Jego szyja, widziana od tyłu, wydawała się wyciągnięta, a głowa ciężka. Po chwili trochę się wyprostował. – Sędzio Nakamura, moi szanowni koledzy prawnicy. Chciałem wam tylko powiedzieć, że poważnie myślałem o tym, co zrobiłem. Zmierzyłem się ze swoimi demonami i za wszystko biorę pełną odpowiedzialność. Rozumiem, że z prawnego punktu widzenia było to niewłaściwe, jakkolwiek słuszne mogło mi się wówczas wydawać i jakkolwiek mocno wierzyłem, że pomagam swoim klientom. Zawsze pracowałem na rzecz swoich klientów i zawsze wierzyłem, że jestem wobec nich w porządku. Niezależnie od tego, kiedy prawo mówi, że się mylisz, należy go słuchać.

Usiadł. Sędzia podniósł wzrok. Powiedział, że w tego typu sprawach orzeka

się karę od piętnastu do dwudziestu jeden miesięcy, ale widełki są jedynie sugerowane, a nie narzucone. Stwierdził, że wziął pod uwagę wszystkie czynniki, włącznie z poparciem środowiska, rodziną i opinią, którą wypracował sobie przez lata i która kazała sądzić, że było to tylko jednorazowe potknięcie.

Evelyn obserwowała ojca od tyłu i widziała, że kiwa głową. To był dobry znak – zawsze mówił, że potrafi odczytać sędziego lepiej niż ktokolwiek inny. Proszę, myślała, próbując przekazać to telepatycznie sędziemu. Proszę. Zawieszenie, żadnego więzienia. Proszę.

Sędzia zaniósł się kaszlem, jakby miał problem z oskrzelami. Jednakże, kontynuował, biorąc pod uwagę obecne stanowisko administracji stanu Delaware dotyczące tego, co jest, a co nie jest etyczną praktyką wśród prawników, a także godną najwyższego potępienia naturę całego proceduru, przedstawionego przez oskarżycieli, ważne jest, żeby wysłać w świat komunikat, że ślepa pogon za pieniądzem nie może być tolerowana. Dale Beegan niniejszym zostaje skazany na dwadzieścia dziewięć miesięcy pozbawienia wolności.

Wszystko wokół jej ojca zrobiło się rozmazane. Dale odwrócił głowę i spojrział na nią. Było to spojrzenie, które widziała tylko raz w życiu – u niewidomego mężczyzny, który przechodził przez ulicę, kiedy nadjeżdżała furgonetka. Kierowca przycisnął klakson, a mężczyzna się odwrócił, przerażony, z rękoma w górze, trząsł się i myślał, że to jego ostatnie chwile, a nie może nawet zobaczyć, co się zbliża.

Ludzie zaczęli wstawać, rozprawa była zakończona. Dwadzieścia dziewięć miesięcy? Prawie dwa razy tyle, ile wynosił sugerowany minimalny wyrok? Wysyłanie komunikatu o ślepej pogoni za pieniądzem? Jej ojciec dał plamę, ale dlaczego konsekwencje były dla niego tak poważne? Firmy oferowały łapówki, żeby szybciej się rozrastać za granicą, inwestorzy oszukiwali klientów, producenci obchodzili prawa ochrony środowiska, wszystko po to, żeby zarabiać jeszcze więcej, a jednak w sądzie nie było teraz przedstawiciela żadnej z tych grup. Nikt z nich nie miał pójść teraz do więzienia.

Ojciec ruszył naprzód, powłócząc nogami, a ona pomyślała o chłopcu z fryzurą na amerykańskiego żołnierza, który chciał pokazać tym wszystkim bogatym dzieciakom, że nie rządzą światem.

Rudy otwierał bramkę do części dla widzów, żeby wypuścić Dale'a. Evelyn zerwała się na nogi. – Ja się tym zajmę – powiedziała.

– Na zewnątrz jest prasa. Nie wiesz, jak się tym zająć – odparł Rudy.

– Wiem – ucięła i odciągnęła ojca na bok. Patrzył w ziemię. Odczekała do momentu, aż tłum się rozszedł, i zjechała z nim windą. Na zewnątrz było kilku fotografów.

– Nie wiem... – zaczął Dale, ale był zbyt oszołomiony, żeby dokończyć.

Evelyn wzięła go pod rękę. – Pójdziemy prosto do samochodu, dobrze, tato? Nie musisz nic mówić. Po prostu patrz przed siebie. Znam fotografów. Rób to, co

ja. Damy radę.

Pchnęła drzwi sądu, minęła fotografów, którzy za nimi biegli i pstrykali zdjęcia, i patrząc cały czas przed siebie, odprowadziła ojca do samochodu. Kiedy otworzyła mu drzwi, spojrział na nią oczyma wciąż rozszerzonymi ze strachu i powiedział: – Dziękuję.

## Rozdział trzydziesty pierwszy

### Do więzienia

Dale miał się stawić w więzieniu 19 grudnia. Rudy wnioskował, żeby przesunąć termin na po świętach, ale Federalne Biuro Więzień nie wyraziło na to zgody. Powiedział Evelyn, że załatwił wszystko z firmą, która wynajmowała jej mieszkanie. Zdążyła już zapomnieć, że był jej poręczycielem. Kiedy odparła, że ma pracę i powinna się tym zająć sama, posłał jej Olśniewacza. Nie widziała go od miesięcy. – Nie mogłem się powstrzymać przed zawarciem jeszcze jednej ugody – powiedział.

19 grudnia Barbara weszła do salonu-jadalni z filiżanką herbaty. Miała na sobie kostium St. John – Evelyn nie widziała go od czasów Sag Neck i nie sądziła nawet, że matka zabrała go ze sobą do Marina Air.

– Ojciec przyjdzie o dziesiątej?

– Tak. To, zdaje się, trzy godziny drogi i chciał mieć trochę czasu w zapasie na wypadek, gdybyśmy zabłądzili. Chyba nie jest dobrze spóźnić się do więzienia – powiedziała Evelyn.

– A co będzie, jeśli się spóźnisz? Wsadzą cię do więzienia? – odparła Barbara i się roześmiała. Był to dziwny, ostry dźwięk, którego Evelyn nie słyszała już od dawna.

– Mamo! – zawołała. Nie mogła powstrzymać chichotu.

Ranek był wyjątkowo ciepły jak na grudzień w Bibville. Dale zadzwonił do drzwi. Wyglądał, jakby miał iść grać w golfa – miał na sobie lekką kurtkę khaki, różową koszulkę polo, spodnie khaki i tenisówki. Brakowało jego paska ze skóry aligatora – Evelyn zaczęła się zastanawiać, czy pracownicy więzienia nie konfiskują osadzonym takich rzeczy, żeby je później sprzedać.

– Hej, tatusiu. Ładnie wyglądasz – nie była do końca pewna, co powiedzieć, ale koło kącików jego oczu pojawiły się delikatne zmarszczki.

– Dziękuję, kochanie. I dziękuję, że mnie podwiesz. Wszyscy koledzy z więzienia będą mi zazdrościć takiego pięknego szofera.

Poduszczyki tłuszczu, dzięki którym zawsze miał pyzaty uśmiech, zniknęły. Przeniósł wzrok na stojącą za nią matkę. – Witaj, Barbaro.

Barbara miała przed sobą filiżankę herbaty, ale nie wypila ani łyka. – Dale – powiedziała drżącym głosem.

Evelyn odczekała minutę i zadzwoniła kluczem, żeby zrobiło się trochę weselej. – To jak, gotowy? – powiedziała do ojca.

– Chciałbym tylko się pożegnać z twoją mamą – powiedział.

Barbara wstała tak szybko, że prawie przewróciła filiżankę. – Chyba pojedę

z tobą – powiedziała. – Dlaczego tak na mnie patrzycie? To ładny dzień na przejażdżkę.

Parking o tej porze pełen był ludzi, którzy załatwiali swoje codzienne podmiejskie sprawy: jakaś kobieta wyjmowała z SUV-a wielkie plastikowe torby z Lowe's – wystawały z nich półki. Druga krzyczała do swojego dziecka, że to ona rządzi. Kiedy Barbara i Dale szli do samochodu, wyglądali jak lalki w innej skali – matka wybiegła, a ojciec szedł zapadnięty w siebie.

W samochodzie Evelyn włączyła płytę Hanka Williamsa, jedną z ulubionych płyt ojca. Ku swojemu zaskoczeniu, kiedy wyjechała z parkingu Marina Air, usłyszała dobiegający z tyłu głęboki głos matki, która wtórowała Williamsowi, kiedy śpiewał *Jambalayę*.

– Mamo? Jesteś ukrytą fanką Hanka Williamsa? – zapytała.

– Nigdy nie lubiłam swojego głosu.

Hank przeszedł do *Half As Much*. Za oknem przesuwwały się wyprane zimowe barwy.

– Wszystko odzyskam – powiedział nagle Dale. – Mam plan. Odzyskam wszystko, jak tylko wyjdę. Wiem, że nie mogę już mieć praktyki, ale jest cała lista rzeczy, które planuję. Technicznie rzecz biorąc, nie mogę być prawnikiem, ale wciąż mogę być świetnym konsultantem. Jeszcze wróćcie do Sag Neck.

– Tato – powiedziała Evelyn. Dale wyglądał przez okno. – Nie musisz wszystkiego odzyskiwać. To może nawet nie być możliwe.

– To jest możliwe w każdej chwili.

Evelyn popatrzyła na drogę. Wiedziała, że to nieprawda. Nie da się odtworzyć dawnego życia, ze wszystkim i ze wszystkimi, którzy kiedyś w nim byli. Ludzie reagują, wchodzą w interakcje, rozwijają się, a kawałki układanki zmieniają kształt i przestają idealnie do siebie pasować.

– Barbaro – powiedział Dale. – Dasz sobie radę?

Evelyn usłyszała kliknięcie otwieranej puszkii napoju gazowanego. Matka piła tab. – Automat z napojami – powiedziała. – Nigdy nie przypuszczałam, że będę mieszkać gdzieś, gdzie jest automat z napojami, ale to praktyczne, kiedy o każdej porze można kupić sobie zimną puszkę. Nawet przestałam sama robić lód.

– Naprawdę? – odparł Dale.

– Na końcu korytarza jest maszyna, która robi tyle lodu, ile dusza zapragnie.

Evelyn zerknęła na ojca, na którego twarzy zaczynał się pojawiać lekki uśmiech, a potem napotkała spojrzenie matki we wstecznym lusterku i z szacunkiem skinęła jej głową.

– A ty, Evie? Poradzisz sobie? Nie tęsknisz zbyttnio za Nowym Jorkiem? – zapytał Dale.

Evelyn patrzyła na namalowany na jezdni pas i myślała, co powiedzieć. Na kartach kredytowych miała ogromne długi. Caffeteria była dobrym posunięciem,

przynajmniej coś zarabiała, ale dług był tak wielki, że wciąż o sobie przypominał, bez względu na to, co robiła. To nie wystarczyło. Mogła pracować tam kilka lat i nadal wisiałoby nad nią widmo rachunków.

Czekała. Zawsze czekała. W Nowym Jorku na to, żeby jej życie zmieniło się w jakieś inne, bardziej interesujące. Czekała na pieniądze, które, jak sądziła, wzniosłyby ją na wyższą pozycję i które powinny płynąć z jakiegoś męskiego źródła – od ojca, Scota, Jaimego. Czekała na to, że będzie rozpoznawalna i akceptowana w towarzystwie, że będzie gwiazdą Appointment Booka. Kiedy o tym myślała, zawsze wyobrażała sobie przyszlą siebie na zdjęciach, w myślach doklejała swoją twarz do ciała kogoś innego, widziała się w cudzych sukienkach, na cudzych przyjęciach, przybierającą nie swoje pozy. Teraz, po powrocie do domu, cierpliwie czekała, aż coś się wydarzy, aż dostanie jakiś znak, jak powinien wyglądać jej życiowy cel. Może to tak nie działało? Może trzeba zmieniać wszystko krok po kroku?

To, że Nowy Jork wciąż istniał, było nie do pojęcia. Był odłączony od jej obecnego życia, tego samochodu i podwózki do więzienia. Daleki od jej stóp, które mrowiły od całodziennego stania, od jej włosów, które pachniały kawą nawet po kilku szamponach, od pociągania za uchwyt filtra w maszynie do espresso, przekręcania pokrętła spieniacza, odgłosu mleka chlustającego do metalowego kubeczka. W Bibville wyglądała na tyle inaczej niż wtedy, kiedy była dzieckiem, że dawni koledzy z klasy jej nie rozpoznawali, a były koleżanki matki zamawiały latte na chudym mleku i uciekały – bo było im wstyd za Barbarę, za nią albo za siebie – nie potrafiła stwierdzić. Do jej dwudziestych ósmych urodzin pozostało tylko kilka miesięcy, a tymczasem mieszkała w rodzinnym domu, pracowała w kawiarni, jej ojciec za kilka godzin miał zostać więźniem, matka nie była przystosowana do prawdziwego życia, a ona sama tkwiła w długach. Nie był to najlepszy zestaw faktów, ale kiedy naciskała pedał gazu, myślała o tym, że to po prostu fakty. Ani mniej, ani więcej.

– Tak – odparła. – Dam sobie radę.

Trzy godziny później, kiedy wjechali na więzienny parking, szukała argumentów przemawiających za tym, że nie będzie tak źle. Rosła tam trawa, a ceglane budynki były podobne do tych w Sheffield. Mężczyźni w oliwkowych kombinezonach, którzy czekali, żeby wsiąść na ciężarówkę, przynajmniej ze sobą gawędzili. Evelyn wyłączyła silnik, a kiedy wysiedli, razem z matką stanęły koło Dale'a. Evelyn się rozejrzała. Nie była pewna, czy przyjdzie po niego któryś ze strażników.

– Mamy z tobą wejść? – zapytała.

– Nie chcę, żebyście wchodziły, skarbie. Muszę się zarejestrować, a to trochę potrwa. Zobaczymy się niedługo, okej?

– Wezmę twoją kurtkę – powiedziała Barbara. – Nie wierzę, że system federalny jest w stanie zrobić cokolwiek jak trzeba, a już na pewno nie zgubią dobrej

kurtki, jeśli mogę temu zaradzić. A twoja obrączka?

– Mój konsultant więzienny powiedział, że jest dozwolona.

– Ci, którzy tam siedzą, przetopią ją w kilka sekund. Przechowam ją dla ciebie.

Dale zdjął obrączkę z palca i podał ją Barbarze z pytającym wyrazem twarzy. Evelyn patrzyła, jak matka owija palce wokół obrączki, a potem bierze rękę Dale'a i mocno ją ściska. Dale położył jej dłoń na ramieniu. Evelyn cofnęła się o kilka kroków i stanęła za bagażnikiem, żeby dać im trochę przestrzeni.

Słyszała, jak rozmawiają ściszonymi głosami, a kilka minut później ojciec odchrząknął i powiedział: – Evie?

– Tak? – odparła i podeszła do rodziców.

– Już czas iść.

Zrobiła krok do przodu i uściskała ojca. – Powinnam była zapytać, czy ty dasz sobie radę.

– Się wie – odpowiedział i mrugnął. Pocałował zaskoczoną Barbarę i po chwili już go nie było, zniknął w przyczepie na terenie więzienia.

Wieczorem, po powrocie do Bibville, Evelyn poszła do biblioteki Regis. Panowała w niej cisza, a stanowiska komputerowe były puste. Usiadła przed jednym z komputerów i wpisała w Google: doradztwo w sprawie spłaty długów Maryland lub Delaware. Trzy dni później wychodziła z biura w Wilmington z dwoma rygorystycznymi planami finansowymi i wynegocjowanym z firmami planem spłaty kart kredytowych. Jeden plan finansowy, na teraz, opierał się na założeniu, że musi mieć więcej godzin w Caffeterii albo znaleźć drugą pracę. Wiedziała, że w Hubie – lokalu z hamburgerami i piwem – szukają kelnerki. Drugi plan był przewidziany na czas, kiedy – daj Boże – nie będzie już mieszkała w apartamencie matki, dostanie lepiej płatną pracę na cały etat i będzie w stanie opłacać czynsz, chociaż taki w wysokości siedmiuset dolarów miesięcznie, przez co należało rozumieć rozkładaną kanapę gdzieś w Queens. Zaczynała spłacać rachunki, niektóre od razu, niektóre stałymi miesięcznymi porcjami rozłożonymi na kolejne lata. Powoli wypijała piwo, którego sama nawarzyła.



## Rozdział trzydziesty drugi

### W doku

Barbara przepchnęła się przez drzwi. W rękach miała torby z Food Liona w Easton. Ostatnio odkryła bluzy sportowe Juicy Couture. Miała na sobie brzoskwiniową welurową bluzę z kapturem i spodnie dresowe, elastyczne w talii – to chyba była dla niej jedyna zaleta tego, że wypadła z towarzystwa.

Sygnal dzwonka do drzwi był donośny i długi, zaskoczył Evelyn. Tego dnia miała wolne i wciąż miała na sobie piżamę, choć było późne popołudnie. Właśnie oglądała w telewizji, jak Doroty obraża Rose w rozmowie z Blanche. Nie pamiętała, kiedy ostatnim razem słyszała dzwonek do drzwi w tym mieszkaniu.

– Evelyn, zobaczysz, kto to? – zawołała z kuchni matka.

Evelyn otworzyła lekko drzwi, gotowa przepędzić świadków Jehowy czy kogokolwiek, kto stał za drzwiami, ale poczuła powiew zimnego powietrza, a osoba po drugiej stronie zaczęła napierać. W szczelinie w drzwiach pojawił się czubek głowy i rozczochrane jasnobrązowe włosy.

– Jezu Chryste – zawołała Charlotte i siłą otworzyła drzwi. – Naprawdę tu jesteś.

Lewy kącik ust Evelyn uniósł się w uśmiechu. – Tak.

– Evelyn, kurwa mać, co ja słyszę? – zawołała Charlotte i uniosła rękę, jakby chciała ją uderzyć. – Czy to piosenka z czołówki *Golden Girls*?

– To ma być pierwsze pytanie, które mi zadajesz?

– Nie. Nie. Przepraszam. Byłam służbowo w Annapolis i pomyślałam... Nie wiedziałam, gdzie się podziałas. Nie miałam pojęcia, gdzie ty się podziałas.

Evelyn objęła się ramionami. – A czy to miało jakieś znaczenie?

– No, miało. Twoja komórka była wyłączona, stacjonarny w Bibville nie działa, twoje mieszkanie było opróżnione. Myślałaś, że co sobie pomyśłę? Nowojorskimi dziewczynom przytrafiają się różne złe rzeczy i byłam zaniepokojona.

– Nowojorskiej dziewczynie przytrafiły się różne złe rzeczy. Jak mnie znalazłaś?

– Biuro absolwentów. Kiedyś namierzyli mnie w hotelu w Dallas, gdzie pracowałam nad integracją w firmie, więc nic dziwnego, że znaleźli cię pod stałym adresem. A tak w ogóle, nie przyszło ci do głowy, że mogłabyś wspomnieć starej przyjaciółce, że zwijasz manatki i wyjeżdżasz z miasta?

Evelyn ruszyła się, żeby ją uściskać, ale Charlotte zrobiła unik. – Nie przytulałyśmy się w dniu zakończenia szkoły, to i teraz nie będziemy. Pogryzę cię. Moimi ostrymi, psimi ząbkami. Pęcherz zaraz mi eksploduje. Między Annapolis a Bibville nie ma chyba żadnej toalety. Mogę zrobić siusiu?

– Evelyn, kochanie, kto jest za drzwiami? – dobiegło z sypialni matki. Barbara najwyraźniej się tam wślizgnęła, kiedy Evelyn otwierała drzwi. Po chwili wyszła zza rogu. Tak szybko, że aż się zderzyły. Evelyn odwróciła głowę. Barbara wyglądała olśniewająco. Była ubrana w kaftan, na głowie miała turban i przypominała Elizabeth Taylor po jednym z jej obozów odchudzających.

– Mamo, możesz dać mi chwilkę?

Barbara najwyraźniej nie mogła. Nie na darmo się wystroiła z myślą o gościach. Wyjrzała znad ramienia Evelyn – pachniała skórzanymi perfumami Babs z dawnych lat. – Mój Boże, Charlotte, co za szczęście. Jak to miło z twojej strony, że przyjechałaś aż tutaj zobaczyć się z Evie. Bardzo mi się podobają twoje włosy, kiedy nie masz tych kitek.

Położyła na drzwiach swoje wielkie szpony, wypielęgnowane i jakimś cudem niezniszczone, choć teraz to ona zajmowała się zmywaniem i sprzątaniami, i pchnęła drzwi, żeby Charlotte mogła wejść do środka.

Evelyn nie ruszyła się z miejsca i wodziła wzrokiem po Charlotte. Jej przyjaciółka przyjeżdżała do Sag Neck kilka razy na długi weekend i na Święta Dziękczynienia, więc musiało to być dla niej jak gra Memory. Dopasuj zagraconą kanapę wepchniętą pod żaluzje do tej, która stała w pokoju z pianinem w Sag Neck. W stosie opartych o ścianę obrazów znajdź ten, który przedstawia polowanie na lisy i wisiał w holu w Sag Neck.

Charlotte niepewnie stała w progu, jej niedawny zapał łowcy nagród przygasał.

– Mamo – powiedziała Evelyn ostrzejszym tonem. – Muszę porozmawiać z Charlotte na osobności.

– Nie ma mowy, nie po takiej długiej podróży – odparła Barbara nieco zbyt radosnym tonem. – Charlotte, wybacz mojej córce. Chyba od wyjazdu z Nowego Jorku nie wie już, jak się zachować. Wejdz. Evelyn, wyjmiesz ser?

Evelyn podniosła wolną rękę i wygładziła brwi. – Ser – powtórzyła. – Pewnie. Zobaczmy. Mamy chyba pepper jacka. Zjadłabyś plasterek?

– Nie mam ochoty na ser – odpowiedziała Charlotte i mocniej otuliła się marynarką.

– Oj. Przepraszam. Jest zimno. Wejdz. Łazienka jest w korytarzu, po twojej lewej.

Barbara kręciła się po mieszkaniu, wyrównywała stosy gazet i wyjmowała produkty z lodówki. – Uwielbiamy mieszkać w centrum. To trochę bardziej ekscytujące niż stary dom, który po prostu zrobił się dla nas za duży – powiedziała, kiedy Charlotte przechodziła obok. – Wyobrażasz sobie – być samej nocą w tym domu? To było naprawdę przerażające. Po prostu nienawidziłam schodzić na dół. – Evelyn patrzyła, jak Barbara układa stosik serwetek koktajlowych z monogramem BTB i... – czy to były krakersy Cheez-it? – na tacy, którą, jak się okazało, również przywio-

zła z Sag Neck.

Kiedy Charlotte wróciła, Barbara ustawiła przed nią tacę. – Znalazłam te przepyszne serowe przekąski – powiedziała. – Na pewno pełno w nich kalorii i będziemy musiały odpokutować na siłowni, ale skoro już mamy babskie spotkanie, to czemu nie?

Charlotte posłusznie wzięła dwa krakersy i serwetkę. – Mmm.

– Wspaniale jest zobaczyć dawnych przyjaciół Evie – powiedziała Barbara i wygładziła turban. – Naprawdę cudownie. Charlotte, mogę ci przynieść coś do picia? Mamy trochę białego wina, mogę też zajrzeć do barku koktajlowego i zobaczyć, co mi się uda sklecić.

– Myślę... Char, daj mi dwie sekundy na przebranie się, dobrze? – powiedziała Evelyn.

– Wiesz, właśnie myślałam o Sheffield – zaczęła Barbara, kiedy Evelyn pobiegła do pokoju, żeby narzucić na siebie dzinsy i bluzę. Kiedy wróciła do salonu, Charlotte posłała jej straszne spojrzenie. Barbara mówiła: – ...i oczywiście nie chce ze mną o tym rozmawiać, ale wydaje się, że Evie miała właśnie wysłać zaproszenie Camilli...

Evelyn wzięła sobie krakersa i dźwignęła Charlotte z kanapy. – Idziemy do centrum – oznajmiła, a Charlotte dodała: – Dziękuję za przekąski, pani Beegan!

Z początku szły w ciszy. Minęły bezlistne drzewa w parku, tajsłą knajpę z patio na zewnątrz, zamkniętym na zimę, i mały ceglany ratusz. Kiedy mijaly banki, Charlotte w końcu się odezwała. – A więc byłaś...

– Tutaj. Tak. W malutkim mieszkanku. Z matką.

– Współlokatorka Babs. Jezu. A twój tata?

– Dwadzieścia dziewięć miesięcy.

– To chore – odparła Charlotte. – Myślisz, że jest winny?

– Nie wydaje mi się, żeby rząd federalny rozpatrywał sfabrykowane sprawy – stwierdziła. – Ale dwadzieścia dziewięć miesięcy? To, co zrobił, nie jest gorsze od tego, co goście z Wall Street robią każdego dnia. Ogólnie rzecz biorąc, nie wiem, czy na to zasłużył.

Charlotte kopnęła kamień. – Czytałam, że wysłali go do naprawdę dobrego więzienia.

– Petersburg. Jego drugi wybór.

– Czy to nie tak jak przy wyborze college'u? Opcja wymarzona i opcja realistyczna?

– Nie zdziwiłoby mnie to. Wiedziałaś, że wokół konsultacji więziennych rozwinął się cały przemysł? Mój ojciec zatrudnił jakiegoś byłego skazańca, który mówił mu, jak się zachowywać w kiciu.

– Po pierwsze, pewnie nie mówi się „w kiciu”.

– No naprawdę. Chyba przede wszystkim nie wolno się wcinać w kolejkę po

obiad. To było ciekawe – Evelyn patrzyła na rozciągające się przed nią szare wody zatoki i myślała, że przydałby się jej podobny konsultant, który przeprowadziłby ją przez życie w Nowym Jorku. Nie próbuj przyćmić samicy alfa – ta zasada prawdopodobnie obowiązywała i w Nowym Jorku, i w więzieniu.

Charlotte posmarowała usta balsamem Vaseline. – Nadal nie można zobaczyć twojego ojca w tym pomarańczowym stroju? Noszą takie? Myślisz, że pozwolili mu wnieść pomadę?

– Nie używa pomady.

– Przykro mi, Evelyn, ale już czas, żebyś poznała prawdę. Takie włosy nie biorą się znikąd. Tutaj w grę wchodzi porządny produkt.

Charlotte odwróciła głowę i popatrzyła na znak GORAÇA KAWA, który wisiał na lodziarni. – Możemy się zatrzymać? Umrę, jeśli nie dostanę kofeiny.

– Mogę ci dostarczyć kofeiny, ale nie tutaj – powiedziała Evelyn. – Na pewno ci ucieszy, że mam zniżkę pracowniczą w najlepszej kawiarni w mieście – rzuciła to jak żart, bo nie była pewna reakcji Charlotte.

– Ty? Ty pracujesz w kawiarni? – Charlotte popatrzyła na nią spod zmrużonych powiek. – Poważnie?

– No. A wieczorami jestem kelnerką w Hubie. Chcesz piwa i burgerów, wal do mnie jak w dym.

– Evelyn Beegan – barista łamane przez kelnerka.

– Char, to też praca, prawda?

– Nie – odparła Charlotte. – Nie. Ja uważam, że to dobrze.

– Kłamiesz.

– Wcale nie. Uważam, że to naprawdę dobrze. Choćby dlatego, że pracujesz. To dobry krok, naprawdę.

Zaczęło mżyć, kiedy mijaly kino Ioka z reklamami filmu *Wpadka*, który trafił do Bibville z kilkumiesięcznym opóźnieniem. Żółte światła Caffeterii padały na nabrzeże, a szaroniebieskie niebo miało teraz taki sam odcień jak woda. W środku chłopak z popołudniowej zmiany wycierał ladę. Dał Evelyn dwa darmowe migdałowe croissanty z poprzedniego dnia i kawę. Deszcz nadal przyjemnie stukał o ziemię, kiedy siedziały na jednej z ławek na zewnątrz i patrzyły na zimowy port.

Evelyn oderwała róg croissantu i zaczęła się zastanawiać, czy jest sens silić się na swobodny ton. – Co tam u wszystkich? – zapytała.

Charlotte położyła sobie croissantu na kolanach. – To jeden z powodów, dla których chciałam się z tobą zobaczyć. Pres jest na odwyku.

– Nie – odparła Evelyn. Była przygotowana na plotki, przez które poczuje się wypchnięta poza nawias, nie na poważne życiowe zmiany u swoich najlepszych przyjaciół. Przez cały czas miała nadzieję, że u Prestona wszystko dobrze. Schowała twarz w dłoniach. – Kiedy widziałam go po raz ostatni w Sachem – kontynuowała, patrząc na kawałek prażonej kukurydzy pod ławką – powiedziałam mu, że

wszyscy wiedzą, że jest gejem.

– Evelyn.

– Wiem. Wiem. Byłam pijana, wiem, że to nie jest wytłumaczenie, ale on po prostu... po prostu się odwrócił, zbiegł po schodach i od tamtej pory już go nie widziałam ani z nim nie rozmawiałam.

– Boże, Ev. Co cię podkusiło, żeby to powiedzieć?

– Chyba się wściekłam, bo mówił, że jestem fałszywa, i poczułam, że on sam jest tak bardzo fałszywy, jeśli chodzi o tę absolutnie podstawową sprawę. Myślałam o tym tysiąc razy. Gdybym mogła to cofnąć albo inaczej rozegrać, zrobiłabym to, możesz mi wierzyć. To na pewno mu nie pomogło.

– Och, Ev.

– Zdaje się, że odchodząc, stosowałam politykę spalonej ziemi. Kiedy poszedł na odwyk?

– Miesiąc temu. Uderzył w drzewo, kiedy jechał do Bostonu. Rozmawiałam z nim o tym, zanim zamknął się w sobie i przestał mówić na ten temat – podobno wykonał gwałtowny skręt, kiedy zobaczył, że przed maską przebiegł mu pies. Nie jestem pewna, czy rzeczywiście tak było – po północy żaden pies nie chodził raczej po ulicy – ale powtarzał, że ten pies był podobny do Hamiltona. Skazali go za jazdę pod wpływem alkoholu, ale wydaje mi się, że to myśl, że mógł po pijanemu uderzyć psa, sprawiła, że zgłosił się na odwyk i tam został.

– O Boże, Char. To przerażające. A jemu nic się nie stało? Uderzył w drzewo.

– Był posiniaczony, ale miał zapięte pasy i otworzyły się poduszki powietrzne. Musiał zapłacić za uszkodzenie drzewa. To był jakiś cenny wąż.

– Char, powinnam się była bardziej postarać. Po tej scenie w Sachem powinnam była przeprosić, zapukać do niego, zrobić cokolwiek. Ale po prostu czułam, że nie chce mnie widzieć – jestem pewna, że nie chciał – a potem wszystko się załamało. Pres. Jezu. Czy ktoś tam z nim jest? Jego rodzice?

– Przez pierwsze tygodnie odwiedziny są zabronione, ale na pewno dowiadują się, co u niego.

– Nick do niego dzwonił? Albo Camilla? Mieli z nim kontakt po wypadku i tak dalej?

– Nie sądzę.

– Boże. Jak stado hien. Słabi osobnicy są dla nich bezużyteczni. Poszłaś go odwiedzić?

– Nadal obowiązuje zakaz odwiedzin. Nawet kiedy się skończy, będę mogła wygospodarować najwyżej jedno popołudnie. W Graystone mam urwanie głowy. Mój szef jest przekonany, że rynek niedługo się załamie – gospodarka, na której się opiera, to katastrofa, więc próbujemy zrobić jeszcze trochę zakupów. Jestem w Bibville tylko dlatego, że dziś rano musiałam się spotkać z firmą zabawkarską

w Annapolis i mogę wrócić dopiero wieczorem. A Preston potrzebuje... sama nie wiem. Potrzebuje kogoś... czegoś więcej. Niewiele mu pomogę, jeśli wpadnę po południu na kawę. I tak go odwiedzę, kiedy tylko będę mogła, ale mam poczucie, że on potrzebuje prawdziwego przyjaciela. Poza tym znasz Presa – nigdy nie poprosi o pomoc. Wiem, że jest na odwyku, bo po tym, jak powiedział mi o wypadku, nie odbierał telefonów ode mnie ani nie odpisywał na maile. W końcu miałam już dosyć tej wyspy znikających przyjaciół i zadzwoniłam do pani Hacking. Podała mi numer do niego. To jakiś wypasiony ośrodek w Marblehead. Przysięgam, że bym się nie domyśliła, że to ośrodek odwykowy, gdyby nie to, że pani Hacking podała mi numer, a recepcjonistka, kiedy odebrała telefon, powiedziała: Seaview House, oferujemy specjalistyczną terapię uzależnień od 1987 roku, czym mogę służyć?

– Od 1987 roku, co? – odparła Evelyn i kopnęła Charlotte w nogę.

– Mam naprawdę szczególną pamięć. Pamiętam, że pomyślałam, że musieli zacząć, bo właśnie wtedy ci wszyscy handlowcy zapijali się tam na śmierć. *Plus ça change, plus c'est la même chose.*

– *Vraiment* – Evelyn uśmiechnęła się smutno. – Jak długo ma tam być?

– Chyba jeszcze około miesiąca w ośrodku, a potem czeka go długa terapia ambulatoryjna. Wolałabym, żebyście nie przeżyli załamania w tym samym czasie.

Evelyn podniosła głowę. – Przepraszam.

– Ech – Charlotte wzruszyła ramionami. – We wrześniu przeniosłam się do Brooklynu. Jak ci się podoba taka zmiana?

– Chciałaś się pozbyć dręczących cię wspomnień o mnie?

Charlotte wybuchnęła śmiechem. – W zasadzie tak, coś w tym stylu. Na Manhattanie nie dało się już wytrzymać. Bleecker Street zawładnęły autobusy *Seksu w wielkim mieście*, na każdym kroku powyrastały apartamentowce. Biedna Jane Jacobs. Za to Brooklyn jest świetny. Mnóstwo kreatywnych ludzi. Chcesz się dowiedzieć, co słyhać u reszty twojej ekipy?

Evelyn wzięła głęboki oddech. – Dawaj.

– Fundusz hedgingowy Nicka i Scota żyje i ma się dobrze. Nick wkupuje się w łaski kogo trzeba, żeby dostać pieniądze, a Scot odwala całą robotę. Grają przeciwko obligacjom subprime.

– Nick gra przeciwko Wall Street?

Charlotte się roześmiała. – Jeżeli dzięki temu ma kasę. Widziałam prospekt. Nick ma dostęp do wszystkich tych dzieciaków szastających kasą, a Scot wykonuje właściwą pracę. Wygląda na to, że wkroczył w idealnym momencie. Alan Greenspan powiedział w zeszłym miesiącu, że myślał, że rynek mieszkaniowy to bańka spekulacyjna. Ja sądzę, że zarobią na tym kupę forsy.

– Czy to się nigdy nie skończy?

– Na Wall Street? Będzie trwało, dopóki nie padnie. Tak czy owak, w razie

krachu Nick i Scot są gotowi ukreć temu łeb.

Evelyn strząsnęła okruszek do wody. – Spotyka się z kimś?

– Scot? Tak, Nick poznał go z taką jedną Geordie. Chodziła do Princeton, jest kilka lat młodsza od nas. Pracuje w branży wydawniczej. Myślę, że to coś poważnego.

– Jest dla niego dobra?

Charlotte skinęła głową. To szczególnie ją zabolalo. Chciała, żeby Scot był szczęśliwy, i wiedziała, że do siebie nie pasują, ale nadal za nim tęskniła. Po wszystkich jej nietrafionych zakładach to mimo wszystko Scot miał się okazać wielkim zwycięzcą.

– A co z Camillą? – spytała cicho. Wciąż co jakiś czas nie mogła się powstrzymać, wpisywała jej nazwisko w wyszukiwarkę i sprawdzała, jakie nowe nazwiska pojawiły się na jej towarzyskiej liście. Spotykała się z kimś z Vanity Fair 100 – listy ludzi z branży technologicznej i medialnej. Jego start-up z dziedziny rozpoznawania mowy miał podobno zostać kupiony przez Yahoo za kilkaset milionów.

– Widuję ją tu i tam. Działa w kilku organizacjach artystycznych, jedna zajmuje się dmuchaniem szkła czy czymś takim, inna artystycznym graffiti. To nawet całkiem zabawne. Ostatnio ciągle bywa na przyjęciach w centrum. Kiedy ją ostatnio widziałam, mówiła, że przeniesie się do Meatpacking District.

Evelyn przegryzła migdał na pół. Od czasu, kiedy włożyła tyle pracy w to, żeby zacząć zauważać, a potem poznać pierwszy i, jak jej się wydawało, najlepszy elitarny krąg, wszyscy poczynili tak szybkie postępy. Charlotte zaczęła opisywać przyjęcie na dachu Soho House, które Camilla zorganizowała dla młodego artysty Tayeba Idrissi, który zbierał posty z czegoś, co nazywało się Twitter, i robił z nich mapy świata. Kiedy Charlotte ze szczegółami opowiadała o instalacji Tayeba w Storm King, Evelyn poczuła na języku chropowatą krawędź migdała i doszła do wniosku, że nie może już tego słuchać.

– Wiesz co, Char? Przepraszam, wiem, że sama zapytałam, ale nie chcę o tym słuchać. To bez znaczenia. Jeśli nie Tayeb, to ktoś lub coś innego, a ja wciąż próbowałabym temu dorównać. Zawsze tak było.

Charlotte odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, zapytała: – Co ty robiłaś, Ev?

– W Nowym Jorku?

– W Nowym Jorku. Zrobiła się z ciebie suka.

– Bądź ze mną szczerą, Char – powiedziała Evelyn. Jej palce u nóg się naprężyły.

– Przykro mi, ale taka jest, jakby, prawda.

– Chodzi ci o to, co było przy Camilli i w ogóle? Wydaje mi się, że to przez towarzystwo, w którym się obracałyśmy...

– Mnie w nim nie było, Evelyn. Byłaś tylko ty.

– Okej, w porządku. Towarzystwo, w którym ja się obracałam. Tego wszystkiego było po prostu za wiele. Pieniądze, które trzeba było na to wydać. Walka o zaproszenia. Przyjęcia.

Evelyn przesuwała rękoma po drewnianej ławce i próbowała znaleźć sposób, żeby wytłumaczyć to Charlotte, która nie przejmowała się takimi sprawami. – To brzmi głupio, kiedy mówię o tym głośno, bo to tylko przyjęcia, ale dla mnie było ważne. – Zaczęła pociągać nosem, wytarła go, a potem z przerażeniem spojrzała na ślad, który został na rękawie. Wybuchnęła śmiechem. – Nowy Jork sprawił, że pomieszało mi się w głowie. Po prostu próbowałam przetrwać.

– Próbowalaś przetrwać w Nowym Jorku rodem z książek Edith Wharton. Ten Nowy Jork już właściwie nie istnieje. Spójrz na ogłoszenia ślubne w „Timesie”. Tam zawsze jest coś w stylu: ona pracuje w McKinseyu, a on jest profesorem ekonomii. Wszystko na podstawie dokonań.

– Nieprawda, Char. Uwierz mi, znam ogłoszenia ślubne w „Timesie”. Wszystkie są w stylu: on jest dyrektorem w Goldmanie, ona studiuje rozwój dziecka w okresie wczesnego dzieciństwa na Bank Street School of Education, a jej ojciec odpowiada za zarządzanie aktywami w bla bla bla, i właśnie kupili dom w Cos Cob.

– Okej, jest tam wielu bankierów, ale społeczeństwo nie jest już tak zamknięte.

– Czyżby? Przejdź się na bal debutantek i wtedy mi to powiedz.

– Inni otwierają szeroko drzwi. Przedsiębiorcy, artyści i kto tam jeszcze... proszę bardzo, śmieję się, ale to dzięki nim posiadacze starych fortun stają się interesujący. Jak myślisz, dlaczego Camilla ni z tego, ni z owego została mecenasem sztuki?

Evelyn lekko potrząsnęła głową.

– Tak bardzo chciałaś się tam dostać, gdy tymczasem powinnaś próbować się wydostać – powiedziała Charlotte.

Evelyn rzuciła przed siebie ostatni kawałek croissanta – wpadł do wody z satysfakcjonującym pluskiem. Samotna bernikla kanadyjska podpłynęła, gęgając, złapała okruch i odleciała. W końcu Evelyn zapytała: – Wydostać? I dokąd pójść?

– Nie wiem dokąd, ale życie na Upper East Side to niejedyna wersja życia w Nowym Jorku. W Brooklynie jest mnóstwo ciekawych ludzi, takich, którzy kiedyś byli w Nowym Jorku – pisarzy, grafików, piwowarów...

– Piwowarów?

Krople deszczu stawały się coraz większe.

– Ev, myślę... – Charlotte spojrzała na wodę. Szukała słów. – Czym ty próbowałaś być? Czy w tym wszystkim nie chodziło o twoją matkę?

Evelyn patrzyła na swoje stopy i próbowała sklecić odpowiedź. – Bez matki,



której zdawałam relację ze wszystkiego, bez jej pomysłów, mogłabym nie być tak interesująca, to prawda. Ale to byłam ja, Char. To nie ona chodziła na przyjęcia debiutantek i wydarzenia dobroczynne, to nie ona kradła bransoletki.

Charlotte ściągnęła dolną wargę. – Ukradłaś bransoletkę?

– Nie znasz nawet połowy z tego, co się wydarzyło.

– No chyba nie.

– Nie chodzimy już nawet do Cichetti's, tego sklepu spożywczego na Main, bo moja matka jest przekonana, że odkąd popadliśmy w niełaskę, sąsiedzi zmienili o nas zdanie. Nie spotyka się nawet z dawnymi przyjaciółmi. – Evelyn spojrzała na szarą wodę, która zaczynała ochlapywać dok.

– Jaki masz teraz plan, Ev?

– O co chodzi, nie podoba ci się, że żyjemy sobie z mamą jak w serialu *Kochane kłopoty*?

– Mówię poważnie. Jesteś młoda, ładna, masz pieniądze...

– Nie. Po pierwsze, dwadzieścia siedem lat to nie jest wiek pierwszej naiwnej. Poza tym nie mam pieniędzy. Rodzice musieli spłacić hipotekę, dochód ze sprzedaży domu pójdzie na ugodę z Leiberg Channing, bo trzeba zapłacić rządowi dziewięć milionów dolarów i pokryć koszty sądowe. Moja matka wciąż uważa, że o pieniądzach się nie rozmawia. Możesz mi wierzyć, próbowałam to wy badać, ale naprawdę nie sądzę, żeby zostały jakieś pieniądze, przynajmniej sądząc po tym, jak je wydaje. Jestem zdana na siebie.

– Wow. No cóż, przynajmniej przyjechałaś na ogłoszenie wyroku, żeby mu pomóc i w ogóle.

– Powinnam tam być częściej. Pomagać im się pakować i spędzać czas z tatą, ale w Nowym Jorku wszystko było tak pogmatwane i wydawało mi się, że jeśli tylko spędzę tam jeszcze trochę czasu...

Załamano jej się głos i poczuła łzy napływające do oczu. Zaczęła odruchowo mrugać, żeby je odpędzić, choć właściwie nie wiedziała, po co to robi. Po chwili pozwoliła im spływać po policzkach. Poczuła ulgę.

– Hej. Hej – Charlotte objęła ją ramieniem. – Nadal tu jesteś, dzieciaku.

– Jestem w Bibville – powiedziała i mocno wciągnęła powietrze przez zatkany nos.

Charlotte ścisnęła jej ramię. – Dlaczego nic nie mówiłaś? Na temat twojego ojca? Próbowałam z tobą o tym rozmawiać, ale zachowywałaś się tak... sama nie wiem. Jakby to się nie działo naprawdę.

Evelyn spojrzała na Charlotte – jej kręcone włosy otulała mgła. – Co miałam powiedzieć, Char? Myślałam, że może nikt o tym nie wie albo nie skojarzy faktów. Co by to dało, gdybym zaczęła o tym mówić?

– No cóż, mogłaś trochę bardziej się postarać, żeby zatrzymać posadę. A mówienie czasem zbliża ludzi. Tak twierdzi mój terapeuta.

– Nie powtarzaj tego WASP-om – odparła Evelyn.

Kiedy krople deszczu zaczęły bębnić o dok, Evelyn myślała o Nowym Jorku, który zostawiła za sobą, i o Nowym Jorku, który odkrywały Charlotte, Camilla i reszta. Wstała i wyciągnęła rękę. – Chodź, Char. Zaraz cała przemokniesz. Nie jesteś przyzwyczajona do deszczu w Bib. Wsadzimy cię pod prysznic, damy przepiękny ręcznik z monogramem Barbary Beegan, a przed wyjazdem zjesz obiad w Hubie. Mam kasę z napiwków i stać mnie na dodatkową grzankę czosnkową.

– Grzanka czosnkowa to propozycja nie do odrzucenia – powiedziała Charlotte i mocno otuliła się bluzą. – *Vámanos*.

## Rozdział trzydziesty trzeci

### Northeast Regional

Pociąg szarpnął i Evelyn obudziła się. Przejeżdżali koło Trenton. Wyjrzała przez okno w poszukiwaniu pasywno-agresywnego znaku TRENTON PRODUKUJE, ŚWIAT KUPUJE, ale tym razem go przegapiła. Miała ze sobą tylko tanią czerwoną walizkę na kółkach, którą dostała w prezencie na pożegnanie od znajomych z Caffeterii. Za dwa tygodnie zamierzała wrócić na weekend do Bibville i jeszcze raz pojechać z matką do Petersburga – obiecała, że zdobędzie adres mailowy do guru doradztwa finansowego, z którym Dale chciał organizować wzięzione wykłady.

Mniej więcej dwa miesiące po wizycie Charlotte Evelyn oznajmiła matce, że wyjeżdża. Jej wirtualne wycieczki z komputera w bibliotece zaowocowały adresami kilku dobrze ocenianych kawiarni i restauracji w Nowym Jorku, które być może potrzebowały pracowników, i kilku ogłoszeń „Poszukiwana współlokatorka” na Craigslist. Mogłaby pozwolić sobie na takie mieszkanie, gdyby dostała pracę. Stary numer komórki Prestona nie był już aktywny. Schowała dumę do kieszeni i kilka razy dzwoniła do pani Hacking, ale zawsze odzywała się automatyczna sekretarka. Nagrywała wiadomości – przedstawiała się i miała nadzieję, że pani Hacking powtórzy Prestonowi, że o nim myśli.

Choć po drodze na dworzec Barbara była zła i mówiła, że nie ma czasu wszystkich wozić, to kiedy przyjechał pociąg, naprawdę się rozkleiła. Poklepała Evelyn po głowie i powiedziała, że wspaniale było mieć w domu swoją małą dziewczynkę i że nie wie, co by bez niej zrobiła.

– Wiesz co? Ile kobiet w twoim wieku ma szansę zacząć wszystko od nowa? Jesteś wolna, przynajmniej na chwilę – powiedziała Evelyn.

Barbara wydeła wargi, a potem się uśmiechnęła.

– Być może – powiedziała i znów poklepała Evelyn po głowie.

– Gdybyś czegoś potrzebowała, dzieli nas tylko przejazdka pociągiem.

– Twoi przyjaciele będą szczęśliwi, że mogą znów cię zobaczyć. Camilla – powiedziała Barbara, unosząc brew. Evelyn tłumaczyła jej delikatnie, a potem dobitnie, że przyjaźń z Camillą należy już do przeszłości, ale Barbara najwyraźniej nie chciała przyjąć tego do wiadomości.

– Charlotte – powiedziała z naciskiem. – Camilla niekoniecznie.

– Nie powinnaś tak łatwo rezygnować z przyjaźni, Evelyn.

Evelyn przekrzywiła głowę i patrzyła na słońce, które wyglądało zza barierki na dworcu.

– Mamo? – odezwała się. – Musisz zostawić takie decyzje mnie, okej?

– Nie bądź protekcyjnalna.

– Nie jestem. Po prostu teraz to moja kolej. Okej?

Barbara rozejrzała się dookoła, jakby chciała znaleźć coś, co pomoże córce zmienić zdanie, ale w końcu spojrzała z powrotem na nią.

– Skoro tego chcesz.

Smutny uśmiech Evelyn zamienił się w śmiech.

– Tego właśnie chcę, mamó. A teraz cię uściskam, dobrze?

– Mówisz, jakbym miała się wzbraniać przed uściskiem.

– Okej – Evelyn pochyliła się do przodu. Poczowała na policzku ciepły oddech mamy. Obie szybko cofnęły się i poklepały nawzajem po ramieniu.

– Bezpiecznej podróży.

– Pa, mamó.

– Do widzenia, kochanie.

Evelyn z zaskoczeniem zobaczyła, że kiedy pociąg przyjechał, matka stała na peronie, mimo zimna, i uniosła na pożegnanie dłoń w rękawiczce. Evelyn odmachała zza brudnej szyby.

Pociąg pędził w kierunku Manhattanu. Evelyn planowała zatrzymać się na kilka dni w mieszkaniu Charlotte w Brooklynie – Charlotte była z wizytą w jakiejś fabryce włókienniczej w Georgii. Miała zamiar posprawdzać ogłoszenia i trochę poszpendać się po okolicy. Według Google na Brooklyn Heights było kilka dobrych kawiarni. Jeśli brałaby podwójne zmiany, będzie mogła rozejrzeć się za czymś na dłużej – może w jakimś czasopiśmie albo w handlu elektronicznym. Dopóki będzie zarabiała trzydzieści jeden tysięcy rocznie i wydawać to głównie na czynsz i jedzenie, da radę trzymać się planu spłat, który ustaliła z doradcą kredytowym.

Kiedy pociąg zatrzymał się na Penn Station, szybko wysiadła, ale potem po prostu stanęła na ciemnym peronie. Ludzie przepychali się koło niej, idąc w kierunku schodów. Brooklyn. Serowarzy i projektanci piwa, czy co tam mówiła Charlotte. Ta sama śpiewka w innej tonacji – próbowała stworzyć sobie życie, które inni ludzie uważali za wartościowe, po raz kolejny walczyła, żeby udowodnić, że jest coś warta.

Ludzie wybiegali z pociągu, a Evelyn spodziewała się, że ktoś zapyta, co tu robi, dokąd idzie i jakie ma plany. Ale oni tylko przetaczali się obok. Ktoś uderzył ją plecakiem, ktoś inny teczką i zorientowała się, że była teraz irytującym przyjezdny, który zakłóca ruch. Ruszyła, wciągając torbę po schodach. Dotarła do zatłoczonej poczekalni i zaczęła czytać rozkład pociągów Amtraku. Adirondack, Carolinian, Crescent, Northeast Regional. Odjazdy z torów 7E, 12W, 14W, 9W. Pod rozkładem ułożone były broszurki. Rozpoznała jedną, która wystawała ze sterty: *Boston – miasto na wzgórzu*. To samo spokojne miasto, te same urocze światła, o których myślała, kiedy czekała na Camillę podczas swojej ostatniej wizyty

w Lake James. To samo miejsce, w którym kiedyś była dobrą przyjaciółką Charlotte, Prestona. Co takiego powiedział ten pracownik dworca w czapce USS? Czasami dobrze jest po prostu wsiąść do pociągu i pojechać gdzieś indziej?

Wyjęła broszurę ze stojaka, szarpnęła za uchwyt walizki i wybiegła przez boczne drzwi na korytarz. Podeszwy jej tretornów głośno zaskrzypiały, kiedy skręciła za róg do kasy biletowej Amtraku. Nie było kolejki. Drobną kobietą w okienku miała siwe włosy, tak kręcone i stojące, jakby przeżyły pożar i cykl w pralce. – Dokąd pani jedzie? – zapytała.

Evelyn uniosła broszurę. – Do Bostonu.

– W interesach czy dla przyjemności?

– Chyba jedno i drugie – powiedziała i wolną ręką rozpięła kieszonkę na pieniądze przy pasku. Czuła się idiotycznie, nosząc coś takiego, ale jednocześnie nie zamierzała pozwolić, żeby z powodu dumy ukradziono jej pieniądze, które zarobiła w Caffeterii i Hubie.

– Boston. Przyjemne miasto.

– Jeżeli uda ci się tam... – Evelyn próbowała zacytować *New York, New York*, ale kasjerka nie złapała żartu. – Odbywa się tam dużo wyjazdowych prób do musicali. Dzięki temu można wejść w rolę – wyjaśniła.

– Jest pani aktorką?

– Nie. Nie. Nie jestem... ja... – wyjęła z kieszonki kilka dwudziestodolarowych banknotów i podniosła wzrok. Oczy jej błyszczały. – Ale mogę pracować w teatrze. Co prawda nie na scenie, ale mogę sprzedawać bilety na musicale Harvardu. Albo pozyskiwać reklamodawców do programów teatralnych. Może któregoś dnia zostać kierownikiem sceny. A nawet pracować w kawiarni. Ale przede wszystkim jadę spotkać się z dawnym przyjacielem.

Kasjerka wzruszyła ramionami. – Z powrotnym czy w jedną stronę?

– W jedną stronę. Tylko w jedną stronę.

Kobieta podała jej bilet. – Pociąg już czeka. Proszę się pośpieszyć. Tor 9W.

Evelyn przeszła przez poczekalnię, ciągnąc za sobą walizkę. Otworzyła klapkę telefonu i w biegu próbowała wybrać numer 781-555-1212, ale nie mogła się połączyć. Dopiero blisko wyjścia, u szczytu schodów wiodących na Ósmą Aleję, pojawił się jeden pasek zasięgu.

– Dzień dobry, chciałabym poprosić o numer do Seaview House w Marblehead. Tak, proszę mnie połączyć.

Rozległy się dwa sygnały, a potem kobiecy głos: Tu Seaview House, oferujemy specjalistyczną terapię uzależnień od 1987 roku, czym mogę służyć?

Evelyn zaczęła się śmiać. – Od 1987? Czy to przez tych wszystkich handlowców? Koleżanka tak mi powiedziała.

– Słucham? – odparł głos.

– Chciałabym rozmawiać z Prestonem Hackingiem. Przez jakiś czas był tu

pacjentem i chyba już nie jest, ale muszę przekazać mu wiadomość – powiedziała.

– Chwileczkę – odparła recepcjonistka. Evelyn sprawdziła na tablicy status swojego pociągu – czekał na pasażerów. Tupnęła nogą.

– Nie mogę udostępnić jego numeru, ale może pani zostawić wiadomość.

– Dziękuję. Proszę mu powiedzieć, że to wiadomość od Evelyn i że przepraszam, że tak długo nie było ze mną kontaktu, przepraszam za wszystko, ale przyjeżdżam do Bostonu, przyjeżdżam się z nim zobaczyć. Nie wiem, gdzie się zatrzymam ani co będę robić, ale jakoś to rozwiążę i będę tam dziś wieczorem, jeśli mogę się z nim zobaczyć. Jeśli mogę mu pomóc. Nawet jeśli nie mogę mu pomóc, to i tak tam będę. To wszystko. Wkrótce się z nim zobaczę.

Drugą ręką przycisnęła perłowy kolczyk tak mocno, że mogła wyczuć krew pulsującą w uszach, i poczuła ten przyjemny dyskomfort miarowych uderzeń.

– Evelyn – powiedziała recepcjonistka miłym tonem. – Bardzo dobrze. Przekażę wiadomość.

Evelyn podała swój numer telefonu i zakończyła rozmowę.

– Northeast Regional, pasażerowie proszeni są o udanie się na peron. Northeast Regional – rozległ się głos z głośnika nad ich głowami.

Podniosła wzrok, spojrzała na schody i wybrała numer, który teraz był na szczycie listy ulubionych. Miała wielką nadzieję, że osoba po drugiej stronie odbierze.

– Halo?

– Char?

– Ev? Brzmisz, jakbyś była w jaskini.

– Blisko. Jestem na Penn Station.

– Pojechałaś do Nowego Jorku?

– Pojechałam... miałam taki zamiar... ale potem zrozumiałam... Jadę do Bostonu. Pociąg za chwilę odjeżdża. Spotkam się z Prestonem, wyrwę go z jego samotni i postaram się być dla niego przyjacielem. Ty nie możesz sobie na to pozwolić, ale ja mam czas. Jasne, że to ja powinnam pojechać.

– Northeast Regional – powtórzył głos. Evelyn przeskoczyła kilka kroków.

– Charlotte? – powiedziała.

– Chyba zaraz się rozplaczę, a stoję na środku fabryki włókienniczej – odparła Charlotte. – Oczywiście, że powinnaś jechać.

– Tak?

– Tak. Jedź. Powodzenia. Wieczorem do ciebie zadzwonię.

Evelyn podbiegła do bramki, machnęła biletom kontrolerowi i zbiegła po schodach na peron – walizka stuknęła o stopnie i wbijała się jej w łydki. Kiedy weszła do wagonu i usiadła, ciężko dysząc, spojrzała w dół i zobaczyła wiadomość od Charlotte: Dobrze, że wróciłaś.

Napisała odpowiedź: Jeszcze nie całkiem, ale pracuję nad tym.

Pociąg szarpnął i wyjechał na ostre nowojorskie słońce. Nacisnęła „wyślij” i ruszyła w drogę.

## Podziękowania

Odkąd pamiętam, kochałam książki. Pisanie własnej jest jak sen.

Elisabeth Weed, od teraz znana jako WASP-specjalistka od kontraktów, wzięła tę książkę i ani na chwilę nie zwolniła tempa. To zdolna redaktorka, twarda negocjatorka, zabawna, szczerza i urocza kobieta. Mam dużo szczęścia, że ją znam. Dana Murphy z The Book Group to bystra i uważna czytelniczka. Cieszę się, że mam po swojej stronie tytanów pracy – Jenny Meyer i Howiego Sandersa.

Wszyscy moi współpracownicy z St. Martin's Press byli życzliwi i cudowni. Charlie Spicer jest dowcipny, żywiołowy i mądry. Sally Richardson jest bezwzględna – i wytworna – ambasadorką tej książki. Olga Grlic, Michael Storrings i cały dział graficzny stworzyli niesamowitą okładkę. Lisa Senz, Jeff Dodes, Laura Clark, Angeliqe Giammarino i cały dział marketingu to niezwykle kreatywni ludzie, a pracownicy działu sprzedaży są przebojowi i naprawdę kochają książki. Dori Weintraub i Tracey Guest to prawdziwe profesjonalistki w dziedzinie PR-u. Ogromnie się cieszę, że książka zostanie też wydana w miękkiej oprawie, bo dzięki temu będę mogła nawiązać bliższą współpracę z Jennifer Enderlin. April Osborn cierpliwie odpowiadała na moje liczne irytujące pytania. Elizabeth Catalano i Dave Cole wraz z ekipą adiustatorów uratowali mnie przed wieloma błędami.

Pisząc tę książkę, czerpałam z dorobku licznych pisarzy i muzyków. *Świat zabawy* to pierwsza powieść dla dorosłych, w której naprawdę się zakochałam. Wnikliwe spojrzenie Edith Wharton na społeczeństwo i rolę kobiet w nim nie przestaje zadziwiać i niepokoić. *Wspaniałość Ambersonów* Bootha Tarkingtona po raz pierwszy przeczytałam jako nastolatka i wciąż pamiętam tę historię rodziny, która walczy, żeby utrzymać swój status. *Tragedia amerykańska* Theodore'a Dreisera pokazała mi, jak toksyczne mogą stać się tego typu ambicje. Książki Louisa Auchinclossa to zgryźliwe spojrzenie człowieka, który sam był częścią elity Manhattanu – powinien być częściej czytany. To od niego zapożyczyłam bransoletkę Camilli z Racquet Clubu – lubię myśleć, że Camilla mogłaby być potomkinią niektórych bohaterów jego książek.

Od Stephena Sondheima pożyczyłam nie tylko oryginalny tytuł tej książki, ale też szczególną wizję samotnego Nowego Jorku z *Company* i marzycielsko-ambitnego Nowego Jorku z *Merrily We Roll Along*. *Stephen Sondheim: A Life* Meryle Secrest i *Finishing the Hat* samego Sondheima to wyśmienite lektury, które pozwoliły mi osadzić jego dzieła w kontekście.

Leonard Bernstein skomponował poruszającą nowojorską muzykę, która wzbogaciła moje rozumienie miasta. W całej książce odwołuję się do jego *West Side Story*, współtworzonego z Sondheimem, oraz do *Wonderful Town* i *On the Town*, których współautorami byli Betty Comden i Adolph Green. Wykorzystałam



także słowa piosenek *Annie*, *Bells Are Ringing*, *Evita*, *Cabaret* i *Pippin*.

Wiele osób pomogło mi zrozumieć świat Evelyn – czy raczej świat Camilli – od balów debutantek po zwyczaje potomków starych fortun. Nie szczędzili mi czasu i bardzo im za to dziękuję. Błędy w tym, jak przedstawiłam ten świat, leżą wyłącznie po mojej stronie.

Swoją ciekawość zawdzięczam znakomitym nauczycielom, zwłaszcza Tomowi Ronie, Sue Hovis, Rogerowi Hindmanowi i Ronowi Kimowi. Pisać nauczyli mnie znakomici redaktorzy, w szczególności Dean Murphy, Jim Aley, Dan Ferrara i Jane Berenston (często myślałam, że jeśli wykonuję swoją pracę z jedną dziesiątą jej elokwencji i inteligencji, radzę sobie całkiem nieźle). Wendell Jamieson i redaktorzy „New York Times Metro” nie tylko byli doskonałymi redaktorami, ale też bardzo mnie wspierali i nie mieli nic przeciwko temu, żebym pracowała w „Timesie”, jednocześnie pisząc książkę. To przywilej móc być częścią redakcji „The New York Timesa” i należeć do organizacji próbującej obserwować i tłumaczyć świat.

Moi przyjaciele fantastycznie mnie wspierali, nawet kiedy szalałam z nerwów z powodu tej książki. Erin Autry Montgomery i Irene So Hedges należą do tego rodzaju bystrych i zabawnych towarzyszek życia, które ma się nadzieję poznać w college’u. Robin Pringle to wierna przyjaciółka, która potrafi sprawić, że największe poświęcenie wygląda niezwykle elegancko. Caroline Han zadziwiła mnie od dnia, w którym się poznałyśmy. Katie McClurg Anderson to uosobienie ciepła. Megan Wyatt była oddaną przyjaciółką jeszcze na długo przed tym, kiedy przywdziała pudełko po proszku do prania, a ja włożyłam sukienkę koktajlową, by wystąpić w przedstawieniu o drzewach w Northwest, w szkole podstawowej. Andrew Mandel i Scott Resnick umilali mi śpiewem moje najlepsze chwile w Nowym Jorku. Przyjaciele tacy jak Sarah Goldstein, Kayleen Schaefer i Reyhan Harmanci sprawiają, że Kocham tu mieszkać. Jest jeszcze wielu, wielu innych ludzi, których uwielbiam i podziwiam (To o tobie! Widzę cię!).

Kilkoro przyjaciół i znajomych przyczyniło się bezpośrednio do powstania tej książki. Cynthia Collins Desai, wieloletnia, lojalna i przezabawna przyjaciółka, wykorzystwała swoją niepokojąco dobrą pamięć, żeby pomóc mi wskazać modne miejsca w Nowym Jorku z czasów przed kryzysem. Mówi się, że po trzydziestce trudno znaleźć przyjaciół na całe życie, ale Jessica Silver Greenberg udowadnia (mam nadzieję), że jest inaczej – jest cudowną koleżanką, wspaniałą przyjaciółką i przezabawną dziewczyną, a jej uwagi były nieocenione. Julie Bosman była rewelacyjną przewodniczką po świecie wydawniczym i najlepszym przykładem na to, że można z godnością zachować równowagę pomiędzy pracą a życiem osobistym. Olivia Wassenaar zechciała odpowiedzieć na moje pytania o życie na Upper East Side. Dzięki uwagom Jennifer Pooley ta książka jest o wiele lepsza. Susan Bradanini Betz była skrupulatną adiustatorką tekstu. Amor Towles, Nick Bilton, Tina

Henry Bou-Saba i Emma Frelinghuysen udzielili mądrych rad na temat rynku książki i marketingu. Courtney Sullivan, Maggie Shipstead i Emma Straub zgodziły się być wczesnymi czytelniczkami. Malcom Gladwell, który uważnie przeczytał tekst, również był ogromnie pomocny. David Carr pomógł mi, tak jak wielu innym pisarzom, poczuć, że dam radę. Bardzo za nim tęsknię.

W mojej ogromnej rodzinie jest mnóstwo twórczych ludzi i mam szczęście, że do niej należę. Od przemierzania tanecznym krokiem Czterdziestej Drugiej Ulicy z Joanne, przez rozmowy o życiu i miłości z Denitem po przyglądanie się Missy, kiedy maluje – czas spędzony z nimi ożywił mój świat. Moja matka chrzestna Mara Jayne Miller to stylowa, bystra, kompletnie niepowtarzalna kobieta.

Ogromnie podziwiam Lee Clifford i Jerry'ego Useema – są opanowanymi rodzicami, wspierającymi małżonkami, zabawnymi towarzyszami i wiele, wiele razy podnosili mnie na duchu, kiedy tego potrzebowałam. Wybaczam Lee, że powiedziała Mikołajowi, iż Stephanie była bardzo, bardzo niedobra.

Moi rodzice – Steve i Judy Cliffordowie – zachęcali mnie do czytania i stawiania pytań, pokazywali mi sztukę i muzykę i sprawiali, że czułam, iż mogę podejmować ryzyko, bo zawsze mogę na nich liczyć. Ich wsparcie, wiara we mnie i entuzjazm w stosunku dla tej książki były i są dla mnie niezwykle ważne.

Dziękuję Macowi i Mabel, najlepszym towarzyszom pisania.

Przesyłam wyrazy miłości i podziękowania Steve'owi, którego poranne uśmiechy pokazują mi, że szczęście wcale nie musi być skomplikowane. To sama radość.

I wreszcie, kiedy Bruce Hedlam zachęcał mnie do dalszego pisania, powiedział, że bez względu na to, jaki będzie ostateczny efekt, liczy się to, że próbowałam. Wierzy w kreatywne, pełne życie i ciężko pracuje, żeby stało się to dla nas rzeczywistością. Choć wykonuje niesłychanie wymagającą pracę, dawał mi czas i miejsce do pisania, udzielał rad, pozwalał się wyżyć, kiedy coś nie wychodziło, a potem pomagał mi wrócić do pisania. Kocham go, bardzo mu dziękuję i mam nadzieję, że wie, jak wiele dla mnie znaczy.

## Przypisy końcowe

Przekład Natalii Gałczyńskiej. ↵

Fragment *Snu nocy letniej* Williama Shakespeare'a w przekładzie Stanisława Barańczaka. ↵

WASP (*White Anglo-Saxon Protestant*) – nieoficjalny termin, oznaczający białych Anglosasów wyznania protestanckiego. Do 2012 roku stanowili większość w amerykańskim społeczeństwie (przyt. tłum.). ↵

Fragment Psalmu Dawida według Uwspółcześnionej Biblii Gdańskiej. ↵

Fragment *Opowieści kanterberyjskich* w przekładzie Heleny Pręczkowskiej.

↵

